

OKRUCHY WSPOMNIENÍ

**Absolwentów Wydziału Elektrycznego
Politechniki Warszawskiej
Rocznik 1953-1958**



OKRUCHY WSPOMNIENÍ

Absolwentów Wydziału Elektrycznego

Politechniki Warszawskiej

Rocznik 1953-1958

Warszawa 2015

Redaktorzy „Okruchów wspomnień”:
Jerzy Dąbrowski, Kazimierz Malanowski,
Wojciech Śliwiński, Władysław Torbicz

Copyright © Redaktorzy

Projekt okładki:
Władysław Torbicz

Wydawca: Jerzy Dąbrowski
Wydanie 1, 2015

ISBN 978-83-934966-1-7

Skład komputerowy:
Jerzy Dąbrowski

Druk i oprawa:
Sowa - Drukarnia cyfrowa, Sp. z o.o.
05-500 Piaseczno, ul. Raszyńska 13

Przedmowa

Na historię każdej społeczności największy wpływ mają przede wszystkim jej członkowie oraz więzy wytworzone głównie na początku jej powstawania. Jest oczywiste, że te elementy zależą od wielu czynników: okresu historycznego, wcześniejszych losów jej członków czy też postawionych sobie celów, a głównie ewentualnej ich zbieżności.

Studia rozpoczęliśmy w 1953 r., roku śmierci Stalina, ale stalinizm w Polsce, którego oddziaływanie jest trudne do wyobrażenia dla współczesnego młodego pokolenia, osiągał wtedy swoje apogeum. W wyborze Wydziału Elektrycznego kierowały nami różne czynniki, niekoniecznie ściśle związane z zainteresowaniami. Dla niektórych z nas rozpoczęcie i kontynuacja studiów wiązały się z dramatycznym przewyciężaniem trudności dotyczących sytuacji finansowej, mieszkaniowej, a często i politycznej. Pochodziliśmy z różnych środowisk i różnych obszarów Polski w jej granicach przedwojennych i powojennych, a także spoza Polski – z Francji, Hiszpanii i Korei Północnej. Mieliliśmy bardzo różne doświadczenia z naszego dzieciństwa, przypadającego na lata wojny. Wiele osób, z różnych względów, nie dotrwało z nami do końca studiów, natomiast później dochodzili nowi.

Przy tych wszystkich różnicach, po pięciu latach wspólnej nauki i wspólnych przeżyć, tworzyliśmy dosyć zżytą ze sobą społeczność, choć bliższe więzy łączyły ze sobą mniejsze grona przyjaciół, czy to ze względu na przynależność do jednej z 6 grup studenckich w czasie pierwszych lat studiów, czy wybór tej samej specjalizacji, czy obozy wojskowe, czy też z uwagi na podobne zainteresowania. Niewątpliwie silniejsze więzy wytworzyły się między mieszkańcami domów akademickich.

Po ukończeniu studiów nasze drogi rozeszły się, jednakże nawiązane wcześniej przyjaźnie i kontakty koleżeńskie wytrzymały w wielu przypadkach próbę czasu. Pewien przełom nastąpił, gdy dzięki pomysłowi Ewy Okrasy-Torzeckiej w 1998 roku, na 40-lecie dyplomu, odbył się pierwszy zjazd koleżeński zorganizowany przez Władka Torbicza w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej PAN. Potem, w tym samym Instytucie spotkaliśmy się na dwóch kolejnych zjazdach: na 50-lecie dyplomu (2008) i na 60-lecie rozpoczęcia studiów (2013). Do zacieśnienia kontaktów przyczyniły się znacznie spotkania w restauracji San Antonio, organizowane dwa razy do roku przez Wojtkę Śliwińskiego i Mirka Zajdla.

Przyjazna atmosfera panująca na tych spotkaniach była źródłem powstania pomysłu Władka Torbicza, uzgodnionego z Wojtkiem Śliwińskim, napisania wspólnych wspomnień o tytule „Okruhły Wspomnień”, obejmujących okres studiów oraz późniejsze doświadczenia zawodowe i pozazawodowe. Zaproponowany tytuł miał sugerować, że przewidywane wspomnienia mogą mieć bardzo różny charakter, poczynając

od mniej lub bardziej systematycznego opisu, a kończąc na charakterystycznych lub komicznych epizodach. Również postulowana objętość wspomnień mogła być różna, od kilku do około dwudziestu stron.

Inicjatywa ta spotkała się z powszechną aprobatą. Uczestnicy spotkań w San Antonio powołali czteroosobowy komitet redakcyjny, który postanowił nie udostępniać sukcesywnie nadsyłanych tekstów innym potencjalnym Autorom, aby uniknąć wzajemnego oddziaływania i zapewnić całkowitą niezależność wypowiedzi. Każdy z redaktorów miał swój udział w pracach redakcyjnych, w tym Kazik Malanowski w sposób szczególny dbał o poprawność literacką tekstów, a Jurek Dąbrowski wziął na siebie trud przygotowania ich do druku w postaci książki. Redaktorzy starali się ograniczać swoje uwagi tylko do spraw redakcyjnych, sugerując Autorom, co najwyżej, usunięcie materiału wykraczającego poza zakres wspomnień, względnie skrócenie lub wydłużenie pewnych partii tekstu, natomiast nie ingerowali w sprawy wyrażanych poglądów i ocen, nawet kontrowersyjnych. Jest zrozumiałe, że przy takich zasadach, opisy tych samych osób czy wydarzeń, szczególnie z okresu wspólnych studiów, powtarzają się we wspomnieniach różnych Autorów, lecz każdy z nich przedstawia je tak, jak zapamiętał. Dotyczy to także zróżnicowanego spojrzenia na naszych Nauczycieli. Podobnie opinie wyrażane przez poszczególnych Autorów mogą różnić się tak między sobą, jak i od własnych opinii redaktorów. Sądzymy, że ta różnorodność spojrzeń może być interesująca nie tylko dla aktorów opisywanych wydarzeń, lecz również dla czytelników spoza naszego kręgu. Natomiast atrakcyjność opisów naszej działalności zawodowej może wynikać z różnorodności kierunków naszych działań, podejmowanych zadań, spotykanych osób, zaistniałych sytuacji i niespodzianek życiowych czy miejsc, do których skierował nas los, leżących nawet daleko poza granicami Kraju, we wszystkich częściach świata.

Okres, w którym przyszło nam żyć nie skąpił nam wydarzeń o historycznym znaczeniu politycznym i społecznym oraz głębokich przemian we wszystkich dziedzinach życia związanych z rozwojem nauki i techniki. Jako świadkowie tych przemian, w „Okruchach” przedstawiliśmy małą część historii naszego pokolenia.

Redaktorzy „Okruchów wspomnień”:

Jerzy Dąbrowski, Kazimierz Malanowski, Wojciech Śliwiński, Władysław Torbicz

Warszawa, 2015

Stanisław Abramczyk



**Obrazki z mojego życia
trudem malowane**

Początki

W 1953 r. ukończyłem Technikum Elektryczne w Warszawie. Ze względu na obowiązujące w tamtym czasie nakazy pracy, absolwenci techników byli kierowani do pracy do różnych zakładów. Istniała jednak furtka w tych przepisach do dalszej nauki. Najlepsi maturzyści byli zwalniani z nakazu pracy na okres egzaminów na wyższą uczelnię. Ja wraz z czterema kolegami skorzystałem z tego przywileju i złożyliśmy dokumenty na Politechnikę Warszawską. Piątkę stanowili: Jan Danielewski, Janusz Migdalski, Szymon Wieromiejczyk, Ignacy Zawicki i ja. Gdybyśmy nie zostali przyjęci to w dalszym ciągu obowiązywałby nas nakaz pracy. Zakończyło się szczęśliwie, ponieważ wszyscy zdaliśmy, zostaliśmy przyjęci i ukończyliśmy Politechnikę Warszawską.

Pamiętam egzamin wstępny z matematyki w Dużej Auli Politechniki. Siedzieliśmy przy stolikach daleko jeden od drugiego – chyba na wyciągnięcie dwóch rąk. Wszystkie zadania rozwiązałem, kiedy jeszcze nikt swoich prac nie składał. Pomyślałem, że może przyjąłem złą metodę ich rozwiązania i że chyba muszą być w nich jakieś kruczki, na które nie zwróciłem uwagi. Czyżby zadania te miały być takie łatwe? Gdy niektórzy zaczęli oddawać swoje prace egzaminacyjne, ja jeszcze raz przejrzałem moje rozwiązania pod względem innej metody uzyskania wyniku, ale nie doszukałem się błędu i oddałem moją pracę tak na około 30. miejscu, znacznie przed zakończeniem wyznaczonego terminu. Również egzamin ustny z fizyki wypadł mi pomyślnie.

Egzamin ustny z matematyki zdawałem u Prof. Hampla. Przyszła mi taka myśl: jeśli trafię na łatwe pytanie, to będę przedstawiał odpowiedź jak najdłużej, a to w tym celu, aby Profesor zadał mi mniej pytań. Tak się złożyło, że na każde pytanie jakie otrzymałem odpowiadałem i Profesor mówił, że już starczy, a ja jeszcze coś dopowiadałem.

Gdy wywieszono listy osób przyjętych na pierwszy rok, to przy ich sprawdzaniu tak byłem podenerwowany, że, mając nazwisko na literę A, zacząłem szukać siebie na listach Wydziału Architektury. Moje zdenerwowanie spotęgowało się, gdy swojego nazwiska tam nie znalazłem. Po chwili jednak zdenerwowanie ustąpiło, ponieważ uświadomiłem sobie, że szukam siebie na niewłaściwych listach. Przesunąłem się trochę dalej wzdłuż długiej tablicy, omijając Architekturę i Budownictwo i na Wydz. Elektrycznym znalazłem siebie. Nastąpiło wielkie odprężenie i zadowolenie. Odszukałem również przyjętych kolegów z Technikum.

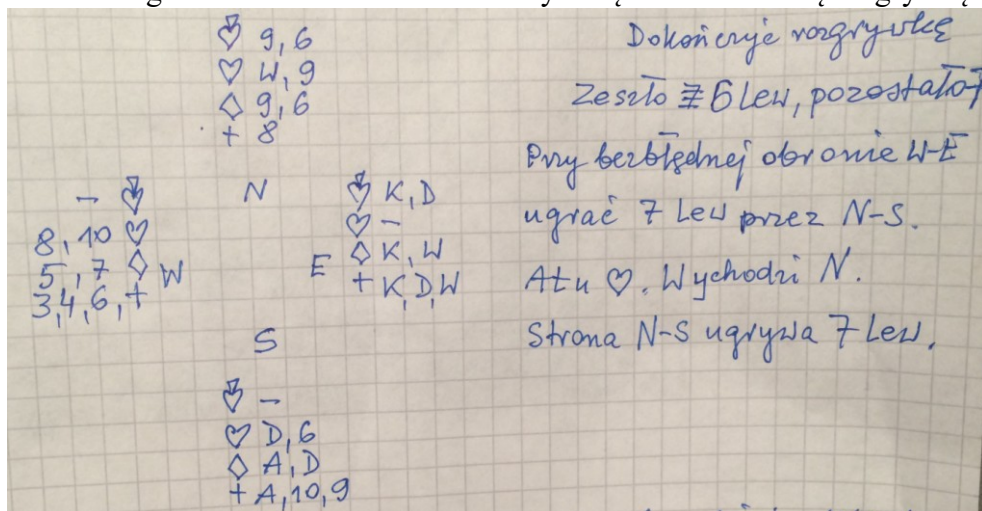
Okres studencki

Może wspomnę o swoich przeżyciach związanych z egzaminem z fizyki na koniec drugiego semestru. Egzamin przypadał na drugi dzień po weselu, na którym bardzo mi zależało, ponieważ był to ślub sąsiadki. Dlatego postanowiłem przygotować się bardzo dobrze do egzaminu z fizyki wcześniej – przed weselem. Po przyjechaniu z wesela, zajrzałem do książki z fizyki i stwierdziłem, że tematy, które mogą być przedmiotem egzaminu, są tak odległe, że można je określić jako mi nieznane. Wróciłem do nich po paru godzinach i zauważyłem, że tematy są mi znane. Na drugi dzień stwierdziłem (w dniu egzaminu), że na każdy temat mogę dużo powiedzieć. Pojechałem na egzamin nie z samego rana, lecz trochę później. Poczekalem trochę na giełdzie, zorientowałem się jakie są pytania i w jaki sposób są one zadawane, i wszedłem na egzamin. Na wszystkie pytania odpowiedziałem „śpiewająco”. Pani profesor zapomniałem nazwiska (chyba Leibler) mówi do mnie: czy zgodzę się, jeżeli postawi mi z egzaminu ocenę dobry i jednocześnie podniesie mi ocenę z zaliczenia z 3,5 na dobry, i tak samo z laboratorium z 3,5 na dobry. Nie miałem uwag do usłyszanej propozycji. Na giełdzie dowiedziałem się, że poprzedniego dnia kilkoro studentów nie zdało, a i tego dnia też byli tacy. Sylwester Miller po zdanym egzaminie zaproponował, żeby to uczcić u „Zagłoby”, dokąd udaliśmy się w parę osób.

Ponieważ nie przyznano mi akademika, wynajmowałem mieszkanie od prywatnej osoby. Również nie przyznano mi stypendium. Mieszkanie w domu akademickim przyznano mi po pierwszym roku, zaś stypendium chyba dopiero na piątym semestrze. Mieszkałem kolejno w akademikach przy ul. Księcia Janusza, Mochnackiego i Akademickiej 5. W Akademiku przy ul. Księcia Janusza wielokrotnie słyszałem i słuchałem Janusza Migdalskiego wygrywającego na akordeonie różne kujawiaki (pochodził on z Kujaw), taniec z szablami i inne. W akademiku przy ul. Mochnackiego mieszkałem w pokoju z Januszem Kubiczem i Jurkiem Kociołkowskim.

Do egzaminu z przedmiotu Ekonomia Polityczna Socjalizmu przygotowywaliśmy się wspólnie, jeden czytał pozostali słuchali i na zmianę. Metoda okazała się dobra i wszyscy zdaliśmy egzamin. Bywało, że

studenci spędzali trochę wolnego czasu przy grze w brydża. Ja również grałem, choć przyznać muszę, że niewiele, a w tym nigdy na pieniądze – może dlatego że niewiele ich miałem. Przytoczę niedokończoną rozgrywkę.



Przedstawiałem to zadanie w ciągu kilku lat wielokrotnie kilku kolegom Elektrykom, lecz do tej pory nie podjęli oni mojego wyzwania.

Dyplomanci na ostatnim roku studiów, wśród których byłem i ja, zostali ulokowani w dużej sali (chyba to była świetlica) przy ul. Grójeckiej. Zamieszkało tam około 18 osób. Kilku mieszkańców podjęło już pracę zawodową między innymi Jan Figura (Dżon) w fabryce kabli w Ożarowie. Lubił on zabawy i dwa razy w tygodniu bywał na wieczorkach tanecznych w soboty i niedziele. Któryś z mieszkańców podał myśl, że gdy wróci z zabawy w niedzielę i nastawi budzik na dzwonienie o godzinie piątej rano (rozpoczynał pracę o szóstej w Ożarowie) to po kilkunastu minutach zaśnie. Postanowiliśmy zmienić nastawienie budzika, tak żeby zbudził go jeszcze tego samego wieczoru, lecz, aby wyrwany ze snu myślał, że już jest piąta. Tak też się dokładnie stało. Budzik dzwoni. My przykryci kocami zerkamy z ukrycia na to, co się dzieje. Dżon szybko zarzuca na siebie marynarkę, łapie ręką aktówkę i biegiem pędzi po schodach do tramwaju. My przez okno z ciemnego pokoju, nie zapalając światła, widzimy jak biegnie do przystanku i wchodzi do nadjeżdżającego tramwaju. O tej porze około dwudziestej drugiej ruch na ulicy taki sam jak rano około piątej. Dojechał do Dworca Śródmieście. Była to budowla drewniana z zegarem wiszącym przy wejściu i schodami drewnianymi prowadzącymi na perony. Przy dworcu patrzy na zegar i widzi godzinę dwudziestą drugą. Po chwili pyta przechodzącą kobietę: - która godzina, lecz ona widząc, że stoi koło zegara odeszła nie odzywając się. Potem zszedł na peron – na zegarze godzina prawie taka jaką widział przy wejściu. Pyta mężczyznę: - która godzina, lecz ten odpowiedział, że jest ta, którą widzi na zegarze. „Nie rano

w poniedziałek?” – zapytał jeszcze raz mężczyznę. Otrzymał odpowiedź, żeby pojechał do domu i się wyspał. Wrócił do akademika. Wyciągnął z łóżka kindżał, którego był właścicielem. Wyrznię wszystkich krzyczał Dżon wymachując kindżałem, lecz po kilku/kilkunastu minutach, ktoś z mieszkańców wyjął wódkę i tak, po wielu uspokajających wymianach zdań zdarzenie zakończyło się ugodowo.

W tym samym pokoju obchodziłem imieniny. Współmieszkańcy namówili Janka Figurę, żeby napił się wódki z nimi (on do tej pory nigdy nie pił alkoholu). Po dłuższym czasie dał się namówić. Zaproponowali mu, żeby zagrał w szachy z solenizantem, na co się zgodził. Trzeba tu wyjaśnić, że on latem jeździł na plażę wiślaną i rozgrywał partie szachów na pieniądze i wracał zawsze wygrany. Szachownicę znał tak dobrze, że wygrywał z partnerem, który przesuwiał na szachownicy figury swoje i jego, gdy on leżał na łóżku w przeciwległym rogu pokoju i nie widział szachownicy. Zdarzyło się wtedy, że po wypiciu wódki nawet w małej ilości przegrał ze mną – tak mu wódka zaszkodziła. Żądał natychmiast rewanżu, lecz wyjaśniliśmy mu, że rewanżu nie rozgrywa się natychmiast – najwcześniej po dwóch tygodniach, żeby przegrany mógł w tym czasie dobrze przygotować się do gry rewanżowej. Orzeczenie takie zdenerwowało go bardzo i nie rozmawiał z nami przez pewien czas.

Mieszkając w akademiku przy ul. Grójeckiej wykonywałem pracę dyplomową. Nie podjąłem pracy zawodowej przed ukończeniem studiów, choć namawiali mnie współmieszkańcy i nawet załatwili mi miejsce w Hucie Warszawa, bo tam pracował już Włodek Szmidel i jeszcze któryś z kolegów. Po obronie inżynierskiej pracy dyplomowej w dniu 16 października 1957 r. mogłem myśleć o pracy zawodowej.

Praca zawodowa

Z Włodkiem Szmidlem i z kimś jeszcze, któregoś dnia wybrałem się w podróż do Huty Warszawa. Przy dworcu PKS Marymont mieszczącym się przy ul. Żeromskiego dużo osób wyszło z zatłoczonego autobusu i ja również, żeby wypuścić wychodzących. Wtedy pytam jak jeszcze daleko do tej Huty, czy to tam gdzie na horyzoncie widać dymy z kominów? Tak, odpowiedzieli mi. Więc ja zdecydowałem, że nie będę jeździł do pracy za Warszawę i wróciłem do akademika przy ul. Grójeckiej. Inni namówili mnie, żeby iść do pracy do Biura Projektów Elektryfikacji Wsi. Przystałem na to.

Warto tu dodać, że podczas studiów byłem na praktyce w Przedsiębiorstwie Elektryfikacji Rolnictwa, biorąc udział w elektryfikacji wsi Kamionka 8 km za Augustowem. Dowiedzieliśmy się, że w pobliżu we wsi Bohoniki jest meczet i mieszkają tam Tatarzy. Postanowiliśmy zwiedzić ten meczet. Towarzyszący nam imam wyjaśnił nam pewne zasady ich

religii, np. że w ich świątyniach nie ma obrazów oraz, że wchodzi się do świątyni bez obuwia – nam pozwolił wejść w obuwiu, lecz nikt z miejscowych wiernych tego nie widział. Mówił również, że przygotowuje swojego syna na przyszłego imama oraz, że myśli o wysłaniu go na studia do Kairu w Egipcie.



Meczet w Bohunikach, przy którym stoją – od lewej strony: Bogdan Rusiniak, Stefan Matuszewski, autor, Witold Proga i Henryk Radzikowski



Grób imama na cmentarzu muzułmańskim w Bohonika
Stary wiatrak w pobliżu Bohonik: stoją: Stefan Matuszewski i autor

Na załączonym zdjęciu przedstawiłem meczet, przy którym stoją uczestnicy praktyki. Byliśmy również na pobliskim cmentarzu muzułmańskim – załączam zdjęcie grobu imama. Na trasie wyprawy do wsi Bohoniki obejrzelśmy bardzo zniszczony wiatrak.

Ta praktyka mogła mieć wpływ na moją decyzję zatrudnienia w wymienionym Biurze Projektów. Moja praca w Biurze Projektów obejmowała wyjazdy na parę dni „w teren”, w celu rozeznania „potrzeb terenu”, a potem parę tygodni pracy w biurze nad wykonaniem projektu. Zelektryfikowałem sporo wiosek w obecnym województwie mazowieckim. Podczas jednego z wyjazdów w teren poznałem przyszłą żonę. Dochowaliśmy się dwójki dzieci, które również ukończyły studia wyższe.

Kilkudniowe wyjazdy w teren nie bardzo pasowały do moich planów życiowych. Podjąłem więc pracę w FSO na stanowisku energetyka zakładu. Na urządzenia fabryczne znajdujące się w moim obszarze działania patrzyłem nowym okiem. Niektóre podzespoły tych urządzeń często się psuły, co prowadziło do wytwarzania wadliwych produktów. Wprowadziłem zmiany, które wyeliminowały te wady.

Mój pierwszy wniosek racjonalizatorski polegał na tym, że usprawniłem retorty elektrycznego pieca węglowego. Do retort wkładane były warstwami zębate koła talerzowe tylnego mostu, które były hartowane w atmosferze węglowej tego pieca. Do retorty wkładano około dwudziestu czterech kół talerzowych, a do pieca – chyba pięć retort. Zdarzało się, że retorty z kołami rozgrzane w piecu do temperatury około 960 °C nie wytrzymały ciężaru włożonych kół i przy wyjmowaniu ich z pieca wypadały z nich rozżarzone koła talerzowe na podłoże betonowe. Często wiele z nich nie nadawało się do produkcji stając się brakami. Zmieniłem konstrukcję tych retort i zamówiłem na odlewni nowy model i nowe odlewy wg moich rysunków. Obróbkę wiórową wykonałem w podległym mi dziale. Byłem zadowolony, ponieważ nowe retorty nie psuły się i miałem spokój w utrzymaniu w sprawności technicznej urządzeń, które mi podlegały, a odlewów retort nie trzeba było tak dużo zamawiać i tworzyć duże zapasy. Technolodzy, którzy nadzorowali produkcję i podpisywali karty braków, zapytali mnie, co się stało, że od dłuższego czasu braków nie ma? Co się zmieniło, co się stało? Wyjaśniłem im, że wprowadziłem odpowiednie zmiany w retortach. Oni zaś namówili mnie, żebym złożył wniosek racjonalizatorski, ponieważ zmiany, które wprowadziłem przynoszą duże korzyści – oszczędności. Dali mi formularz wniosku racjonalizatorskiego, pomogli mi wypełnić i złożyli go do Działu Racjonalizacji do opinii i rozpatrzenia. Wtedy nawet nie wiedziałem, że jest w naszym Zakładzie taka komórka organizacyjna i na czym polega jej działalność. Opinia rzeczoznawców była negatywna. Stwierdzała ona, że zmiany proponowane są nierealne, nie do wykonania i odrzucili wniosek. Nie potrafili zauważyć,

że się mylą, ponieważ mój wniosek był już wdrożony z dobrym wynikiem. Technolodzy, którzy namówili mnie do złożenia wniosku, skłonili mnie, żebym złożył odwołanie. W odwołaniu napisałem, że już od około sześciu miesięcy zmiany są wprowadzone i dają wymierne efekty, eliminując przez to braki. Po powtórny rozpatrzeniu wniosku – mojego odwołania – opinie zmieniły się na moja korzyść, uznano mój wniosek jako racjonalizatorski i przyznano nagrodę. Pieniądze kuszą do działania, więc wniosków usprawniających pracę urzędów produkcyjnych złożyłem sporo. Między innymi na wydziale lakierni wprowadziłem, po gruntownym zanurzeniowym karoserii, strefę mgły wodnej z wody zdemineralizowanej. Spowodowało to wyeliminowanie zacieków z ociekającego gruntu, które zasychały na trasie zanurzenie – suszarka. Poprzednio zacieki te były rozwałkowane przed suszarką, żeby zmniejszyć do minimum konieczność ich usuwania papierem ściernym. Po wprowadzeniu mojego pomysłu zacieki zostały praktycznie wyeliminowane. Jakość powłoki lakierowanej uległa poprawie. Także zmniejszyło się zatrudnienie, co wpłynęło na obniżenie kosztów produkcji samochodów w FSO.

Zostało to zauważone. Byłem wielokrotnie nagradzany. Mogłem poznać trochę szerszego świata. Dwutygodniowy pobyt w NRD – to turystyka. Wyjazd do Czechosłowacji miał głównie na celu zapoznanie się z zakładami produkującymi samochody Skoda w Mlada Boleslav oraz samochody sportowe w Żylinie.



Miasto i jezioro Ohrid

Pobyt w Jugosławii w drugiej połowie lat 1970-tych na zaproszenie Jugosłowian, łączył pożyteczne z pięknym, tzn. poznanie zakładów samochodowych Zastawa w Kragujevacu z odpoczynkiem w jednym z piękniejszych kurortów nad jeziorem Ohrid. Oddziało ono wtedy

Jugosławię (obecnie Macedonię) od Albanii. Dla mnie, mieszkańca zgrzebnego PRL, wyjazd do Jugosławii, uważanej przez nas za kraj kapitalistyczny, był wielkim przeżyciem. Ponadto smakowała nam rakija, której jest kilkanaście gatunków. Serwowano ją nam do posiłków i obdarowano na wyjeździe.

Z FSO na emeryturę odszedłem w 1994. Będąc stosunkowo młodym emerytem, stałem się ogrodnikiem, co ciągle daje mi dużo radości, a długie przebywanie na świeżym powietrzu wśród drzew owocowych, będących źródłem nie tylko smacznych owoców, lecz i życiodajnego tlenu sprawia, że nie narzekam na swoje zdrowie.

Janusz Wiesław Adamczyk



Szczęściarz



Zaprawa do życia

Częstochowa. 3 styczeń 1950 r. Pograżony w głębokim śnie poczułem na skroni przejmujący chłód stali. Zanim otworzyłem oczy, pomyślałem „To już?” Dwóch cywili pochylało się nade mną, jeden świecił w twarz, drugi nie odrywał pistoletu od mojej głowy.

„Nazwisko!”

W nikłym odblasku latarki zobaczyłem w głębi zbiorowej sypialni sylwetki milicjantów przy łóżkach tych, którzy nie wyjechali na święta. Na parterze stał blady i osłupiały kierownik internatu. Wychodząc, powiedziałem nieopatrznie „Do widzenia”, co w tej sytuacji zabrzmiało dla niego złowieszczo.

Prowadziło mnie dwóch cywili i dwóch milicjantów. Było jeszcze ciemno, śnieg skrzypiał pod butami. Gdy na Jasnogórskiej mijaliśmy budynek mojego liceum im. R. Traugutta, pomyślałem „Już tu nigdy nie wrócę!”, jak wtedy w 1942, gdy w połowie sierpnia opuszczałem dom rodzinny w Włoszczowie, żegnany przez trzech przyjaciół, których krótko potem pochłonął Holokaust.

Doszliśmy do ponurej siedziby UB przy Parkowej. Wepchnięto mnie do zatłoczonej celi. Stałem oszołomiony w palcie udając, że nie rozpoznaję nikogo. Do przytomności przywołał mnie głos jakiegoś zarośniętego aresztanta: „Rozbierz się i siadaj na podłodze. Jak już tu jesteś to tak szybko nie wyjdiesz tak za trzy, cztery lata...” i zaniósł się krótkim śmiechem. Wykrakał! Pomyślałem: „Przed miesiącem ukończyłem 17 lat. Ulgowych. Teraz zaczniesz się dorosłe życie.”

Powyższe, co napisałem jest koniecznym wstępem do historii mojej edukacji i studiów. W czasie okupacji, ze względu na rozmaite koleje losu chodziłem tylko do 2-ej i 3-ej klasy, klasę 4-ą i 5-ą przerabiałem trochę w domu. Dopiero po wojnie, od 6-ej klasy uczyłem się już regularnie aż do połowy klasy 10-ej.

Siostra przysłała mi do więzienia podręczniki do 10-ej klasy, które zdeponowano w magazynie. Wystąpiłem z prośbą o ich wydanie. Przyjął

mnie z-ca naczelnika do spraw „pol-wych”. Długo i kwieciste mówił o sytuacji politycznej, konieczności wyboru i potrzebie myślenia o przyszłości itd. Udałem, że kompletnie nie wiem o co chodzi. Skończyło się na niczym. Po paru miesiącach ponowiłem prośbę. Tym razem odpowiedź była krótka: „Nie”.

Wkrótce potem, przy okazji wprowadzania nowej polityki penitencjarnej, zaczęto organizować kursy a nawet szkółki przysposabiające do zawodów oraz typować kandydatów na te kursy. Stałem przed obliczem jakiegoś chorążego. Przed nim, na biurku leżała szara tekturowa teczka z biegnącym na ukos czerwonym pasem i napisem „Szczególnie niebezpieczny w okresie odbudowy państwa polskiego” i wpisanym moim nazwiskiem. Po kilku pytaniach, spojrzawszy mi triumfalnie w oczy, zamaszystym ruchem ręki napisał na teczkę: „Nie kształcić”

Była jakaś „biblioteka” – pewna ilość książek wybrana z listy krążyła po celach i po pewnym czasie była wymieniana. Czytałem wszystko. Oprócz paru pozycji klasyków, przeważnie rosyjskich, opanowałem doskonale podręcznik umacniania brzegów rzek i stawów przy pomocy wikliny, „Spawanie acetylenem” i „Montera-elektryka”. Czytałem też parokrotnie „Chemię” oraz jakąś prawną książkę o anatomii zwierząt, co potem zaowocowało dobrze zdanymi egzaminami. Tam też przeczytałem „Kronikę elektryczności” Wejtkowa, co wpłynęło później w znacznym stopniu na wybór kierunku studiów.

Więzienie znosiłem może nawet lepiej od innych, przyzwyczajony do okupacyjnej poniewierki, zmian, pracy i dyscypliny. Ba! Doczekałem się nawet „kierowniczego stanowiska”! A było to tak. Staliśmy grupą przy kruszarce i taśmociągu, wożąc taczkami bazalt i piach. Było przeraźliwie zimno. Wiatr wdierał się pod drelichy. Większość stała kuląc się z zimna, ja chcąc się zagrzać, biegałem z taczkami. Dwóch kryminalnych odpowiedzialnych za pracę widocznie nas obserwowało z pakamery. Po pewnym czasie jeden z tych atletycznych typów wyszedł i szturchając mnie potężnym palcem w pierś, zawyrokował: „Ty będziesz kierownikiem!”. Nie śmiałem odmówić!

Dopiero po latach, już na wolności, gdy tow. Gierek oznajmił oficjalnie, że „niekoniecznie na najniższym stanowisku kierowniczym musi być członek partii” awansowałem ponownie.

Zwolniono mnie w końcu października 1952r, dwa miesiące wcześniej, za wyrobienie ponad 100% normy. Prawdę mówiąc, wg obowiązujących przepisów; powinienem być zwolniony dużo wcześniej, ale nie było sensu „kopać się z koniem”.

Zakotwiczylem u dalszej rodziny w Kielcach z obowiązkiem comiesięcznego meldowania się na posterunku milicji. Rozpocząłem starania o pracę i przyjęcie do 11 klasy szkoły ogólnokształcącej dla

pracujących. Przyjęcie do 11 klasy uwarunkowano zdaniem egzaminów z klasy 10. Rozpocząłem intensywną naukę i przygotowania do egzaminów. Niestety, po dwóch tygodniach przyszło wezwanie do stawienia się w Częstochowie przed komisją poborową. Byłem zdruzgotany. Zapowiadały się następne trzy lata. Zaczął się wyścig z czasem. Uczyłem się dzień i noc, prawie co parę dni zdawałem jakiś egzamin, przeważnie w prywatnych mieszkaniach nauczycieli. W międzyczasie dostałem pracę w młynie jako robotnik. Zdążyłem. Na komisję jechałem z zaświadczeniem, że jestem uczniem 11 klasy, co upoważniało do odroczenia poboru, ale nie dawało pewności. W RKU spotkałem znajomych z więzienia. Byłem już pewny. Bataliony Pracy! Uratowało mnie to zaświadczenie i łzy siostry. Po miesiącu otrzymałem kartkę od spotkanych kolegów: „Pracujemy w kopalni, trzymamy miejsce dla Ciebie.” W końcu listopada uczyłem się już w popołudniowym liceum ogólnokształcącym dla pracujących. Radość z wolności dodawała mi energii, nauka wchodziła mi do głowy z łatwością. Zorganizowałem niedzielne powtórki z przerabianych lekcji, opracowałem i rozdałem odbite na powielaczu streszczenia przewidywanych tematów do matury z j. polskiego, historii i fizyki. Przy tym zajęciu uczyłem się najwięcej. Szczególnie byli zadowoleni z tego pracownicy miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa, których w klasie było kilku, a którym nawał pracy w tym okresie nie pozwalał na zagłębienie się w naukę. Wydałem też trzy gazetki ścienne, które cieszyły się dużym uznaniem, a które wraz z „brykami” i prowadzeniem powtórek, policzone mi zostały jako prace społeczne.

Te gazetki zainteresowały moją osobą przewodniczącego ZMP w moim liceum (chyba z niższej klasy), który osobiście przyniósł mi ankietę a potem legitymację, i w którego obecności schowałem ją do kieszeni na sercu. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

W tym krótkim, kieleckim okresie żyło mi się spokojnie. Tylko cztery razy miałem styczność z „tymi panami”. Raz ktoś pytał „czy tu mieszka ktoś na A” blokując nogą otwarte drzwi, drugi raz kazał „zlizać to” tj. napis kredą na bramie „zgiń komuno” i jeszcze dwa razy zostałem zatrzymany na ulicy idąc z dziewczyną gromkimi słowami „potrafiłeś mnie!”. Przepraszałem gorąco, bo zdawałem sobie sprawę jaki dostałbym „łomot”, gdybym zaprzeczył. Ktoś, kto pamięta atmosferę tamtych lat może przyznać, że to było spokojne życie.

Maturę zdałem bardzo dobrze, tylko z matematyki miałem gorszy stopień. Były to moje wielkie dni, żałowałem, że już się skończyły. Ku mojemu zaskoczeniu otrzymałem Dyplom Przewodnika Nauki i Pracy Społecznej, który uprawniał do przyjęcia na studia bez egzaminu. Złożyłem papiery, w życiorysie napisałem wziętą prawdę: „przerwałem naukę, pracowałem, podjąłem znowu”, bez wspomnienia o więzieniu. Żadnego

poparcia nie miałem. W lipcu lub sierpniu otrzymałem wiadomość o przyjęciu na studia, przyznaniu miejsca w akademiku i stypendium. Promieniałem ze szczęścia. Radość mąciła mi myśl, prawie pewność, że prawda się wyda.

Na studiach

Przyjechałem do Warszawy i zakwaterowałem się w słynnym pokoju 506. Był to pokój 12-osobowy. Większość kolegów z wyjątkiem Alfreda Bronicza była młodsza ode mnie ale to nie przeszkadzało w nawiązaniu bliskich koleżeńskich więzów, szczególnie ze Staśkiem Grefkowiczem i Wojtkiem Śliwińskim oraz Jurkiem Busłowiczem, którym zwierzałem się ze swoich kłopotów. Ta przyjaźń przetrwała próbę czasu. Tu muszę wymienić wszystkich mieszkańców tego niezapomnianego pokoju. Byli to: Stasiak Grefkowicz, Wojtek Śliwiński, Jurek Sidorowicz, Jurek Busłowicz, Alfred Bronicz, Janek Bielec (nie mylić z Janem Bielem), Rysiek Gąska, Wacek Bartoszczuk, Franek Dudkowski, Józek Klocek, Tadek Majewski i Janusz (Wiesiek) Adamczyk, czyli ja. W krótkim czasie byliśmy już tak wszyscy zżyci, że do dziś, gdy spotkamy się przypadkowo, na naszych twarzach wykwita uśmiech wzajemnej sympatii i wraca pamięć tamtych chwil. Częstymi gośćmi w tym pokoju byli także Stefan Anusik – późniejszy wspólny organizator i szef wycieczek kajakowych oraz Tadek Twardowski. Był to pokój gdzie, można powiedzieć, światło nigdy nie gasło. Warunki do nauki nie były wyśmienite, ale za to było bardzo wesoło. W dzień. W nocy rozlegało się chóralne lekkie poświstywanie lub chrapanie, przerywane czasem pukaniem w drzwi wiodących na dach akademika medyczek przy Mochnackiego. Przeważnie ja, śpiący najbliżej tych drzwi, wstawałem i otwierałem nieznanemu delikwentowi, który zbyt długo zabawił u dziewczyn i nie chciał ryzykować osłabienia ich czci i rozmowy z portierem. Rano budził nas zainstalowany na ścianie budzik konstrukcji Jurka Sidorowicza. Szybkie śniadanie i na wykłady zatłoczonym tramwajem, często na stopniach lub na tzw. „cycku”, czyli łączniku, wystającym z tyłu tramwaju i przesuwanym się w kierunku odwrotnym do skrętu. Jazda na nim była więc połączeniem przyjemności i gimnastyki.

Co roku zmienialiśmy akademik i mieszkaliśmy przeważnie w innym składzie. Na Elekcyjnej mieszkałem z Stasiem Wojtanowskim, Jurkiem Żukowskim i Tadkiem Pieczykolanem. Jeden z nas był najpilniejszym i uczył się prawie bez odpoczynku. W trosce o jego zdrowie zastosowaliśmy fortel znany z „Szkoły Orłąt”. Mówiliśmy, że od nadmiernej nauki puchnie głowa a cichcem wkładaliśmy mu za wewnętrzny otok czapki akademickiej złożone paski papieru. Fortel podziałał. Po paru dniach, wychodząc z grupą do kina, z trudem włożył czapkę, przyznając „rzeczywiście, od nauki jednak głowa puchnie”. Innym razem, gdy nikt nie

chciał się przyznać do pozostawienia otwartego okna, trzy dni spaliśmy przy otwartym, aż zamarzył atrament w kałamarzu i dopiero sprzątaczką ulitowała się nad nami. Tam też odbył się słynny mój pojedynek z Jurkiem Żukowskim na namoczone w wodzie tzw. „renifery”. Tłukliśmy się po gębach prawie do czasu, kiedy wytrząśnięta kompletnie została z nich woda. Czy młodość jest taka piękna, dlatego że nie jest taka zdroworoządkowa?

W innych latach mieszkałem ze Zdziśkiem Bogdanowiczem i Gienkiem Korejwo – stałym drużem eskapad kajakowych i zabaw tanecznych, Frankiem Dudkowskim i Stasiem Wojtanowskim. Piszę „Stasio” bo tuż po rozpoczęciu studiów Stasio wybrał się wraz z Jurkiem Żukowskim na jakieś targi książki, ale w tłumie gdzieś się zawieruszył, więc Jurek dał ogłoszenie przez megafon, że „zaginął mały Stasio”. A Stasio miał 1, 8 m wzrostu. Stasio odnalazł się bardzo szybko, ale zdenerwowany ogłoszeniem. I to zdrobniałe imię już przy nim zostało. Franek i ja byliśmy nałogowymi palaczami, więc wieczorem przed snem, leżąc na swoich piętrowych łóżkach trzymaliśmy zapalone papierosy w dłoniach odsuniętych od łóżka na zewnątrz, ze względu na obawę zaproszenia ognia. Po pewnym czasie koledzy z dołu zaczęli się uskarżać na konieczność codziennego mycia nóg. Okazało się, że popiół z naszych „fajek” spadał czasem do ich pozostawionych przy łóżkach butów.

Na wykładach robiliśmy skrzętnie notatki, bo do pewnych przedmiotów nie było podręczników. O naszych świetnych wykładowcach i asystentach z pewnością wielu z nas napisze, nie będę więc powiełał wspomnień. Chciałbym tylko przypomnieć, być może pominiętego, wykładowcę ekonomii politycznej – prof. Berlera, który nudny i ideologiczny przedmiot wykladał z takim zapałem, zaangażowaniem, pięknym głosem i jego modulacją, podkreślaniami pewnych zdań odpowiednim ruchem ręki – to zaciśniętą pięścią, to rozłożeniem rąk, to grymasem twarzy, że niemal chciało mi się wyjść na środek sali i bić się w piersi za swe winy. Podobnie, jeden z naszych aktywistów też tak się przejął, że po jednym z wykładów ogłosił, że w ramach walki o dyscyplinę nauki „bumelantów będziemy stawiać na piedestale!”. Pomimo groźby tak ostrych restrykcji, sala przyjęła to z aplauzem. Niestety, po latach, rozeszła się pogłoska, że nasz profesor został w USA specjalistą od ideologicznej walki z komunizmem. Szkoda! Mógł oddać nieocenione usługi naszym przyszłym rządcom.

Może pod jego wpływem i świetnymi, jak na ówczesne czasy, warunkami studiów, zacząłem krytycznie oceniać swoją przeszłość. Toteż chętnie wziąłem udział w jakiejś czwórce propagandowej, powołanej jesienią na pierwszym roku w celu uświadamiania obywateli o korzyściach planu sześcioletniego czy coś w tym rodzaju. W skład wchodził Jurek Antonik, Tadek Cieśliński, Stasiak Chwaliński i ja – wszyscy z 1-ej grupy.

Przydzielono nam dwa jednopiętrowe budynki przy Opaczewskiej. W porozumieniu z dozorcą zwoływaliśmy mieszkańców z krzesłami do mieszkania na dół i „truliśmy” coś zgodnego z ideologiczną linią partii. Bez przygotowania! Sukces krasomówczy tak mnie rozochocił, że gdy jakaś dystygowana, starsza pani siedząca na fotelu, powiedziała, że nie zejdzie z uwagi na ból nóg, w rewolucyjnym porywie zadeklarowałem zniesienie jej na dół wraz z fotelem. Po takiej propozycji miła dama pomknęła chyżo na dół. Akcja była udana, ale w następnych dniach przypominały mi się oczy tych ludzi, pełne strachu i rezygnacji, co ostudziło mój chwilowy zapał i dało asumpt do przemyśleń. W drodze powrotnej Stasiek Chwaliński opowiadał, że w podobnej czwórce brał udział w akcji zwalczania „bikiniarzy”, Przydybali pod Polonią jakiegoś typowego „bikiniarza” i mimo jego protestów przejechali mu trochę maszynką po głowie. Podobno sprawa była poruszana na szczeblu rządowym, bo był to syn jakiegoś dyplomaty. Franek Dudkowski opowiadał, że też należał do aktywu w klasie maturalnej. Na wiadomość o śmierci Stalina pobiegli trójką do proboszcza i zażądali bicia w dzwony. Ksiądz popatrzył na nich i spytał: „Czy pan Stalin był wierzący?” Zatkano ich: „No nie”. „To jeśli ja biłbym w dzwony, to jakby to było odebrane przez członków partii? Mogliby pomyśleć, że był wierzący.” Dzwony nie zabiły.

Na przerwach brać studencka skupiała się na korytarzu przeważnie w kilku grupach ale z aktywną „dyfuzją”. Ku mojemu żalowi, nasze uroczce i młodziutkie koleżanki trzymały się w swojej grupce, w której królowała posągowa i nieosiągalna nawet w naszych marzeniach Basia M. Taki był niepisany podział ról: my byliśmy wprawdzie nieśmiały, ale „macho” a dziewczyny, przeważnie pierwsze uczennice z liceum, skromnymi panienkami, zapewne w domu pod rygorem typu „Mela, Hesja, do gam!”.

Prawie w każde wakacje, dwa tygodnie spędzaliśmy na studenckich wczasach, wędrownkach górskich czy kajakowych, organizowanych przez ZSP lub indywidualnie. Niezapomniany dla mnie był spływ kajakowy od Węgorzewa, przez wielkie jeziora mazurskie, Pisą, Narwią i Bugiem aż do Modlina w składzie Stefan Anusik, Gienek Korejwo, Janek Wasiak i ja. Na jeziorze Kisajno złapał nas prawie że „biały szkwał”, najedliśmy się strachu ale jakoś dopłynęliśmy do brzegu. Następny spływ to Czarną Hańczą i Kanałem Augustowskim oraz Biebrzą do Ełku dobraną kompanią: Anusik, Korejwo, Stasiek Grefkowicz, Włodek Lach, Kazik Korcz i ja. Przy okazji wpadliśmy do domu Rajmunda Mońko w Rajgrodzie, gdzie jego mama uraczyła nas obiadem z niezapomnianymi kotletami schabowymi, jakich nie jedliśmy w życiu. Z uwagi na ciągłe, ulewne deszcze, zakończyliśmy spływ przy jakimś moście w pobliżu Ełku. Mieliśmy też wczasy zimowe: raz na Szrenicy, do której dobrnęliśmy w zawiei śnieżnej w nocy (zima stulecia) a raz na Hali Gąsienicowej z Gienkiem Korejwo i Włodkiem Winiarskim.

Z Gienkiem poszliśmy kiedyś na Żółtą Turnię z nartami, bo była odwilż i nie było jazdy na trasach.. Dobrnęliśmy do szczytu i zjechaliśmy do podnóża. Zaczęła się męka podchodzenia do góry w głębokim, mokrym śniegu. Nigdy już nie byliśmy tak zmęczeni jak wtedy Z ledwością, słaniając się na nogach, dobrnęliśmy do schroniska. Oby to rozum był przy młodości! Następnego dnia z Włodkiem Winiarskim wdrapaliśmy się na Świnicę żlebem przy Liliowym, w warunkach skrajnie lawinowych.

W okresie letnim często braliśmy udział w brygadach żniwnych lub w okresie jesiennym w tzw. wykopkach. W wakacje po pierwszym roku pojechaliśmy na żniwa do PGR blisko Myśliborza zespołem: Basia Misztal, Janek Biel, Robert Włodarczyk i ja. Na dworcu powitał nas młody v-dyrektor zespołu PGR-ów i zabrał w dalszą podróż służbowym samochodem. Po drodze z zapalem opowiadał, jak trudno było w tych okolicach przekonać gospodarzy do wstępowania do zakładanych spółdzielni produkcyjnych. „A jak ktoś nie chciał?”- spytał Biel. „To go wysyłaliśmy pod trawkę”- brzmiała odpowiedź. Zdrętwiliśmy z wrażenia. Rozmowa już się nie kleiła. Może to i była ponura przechwałka tego mołojca, ale przypomniałem sobie współwięźniów - prelegentów pol-wych, skazanych za właśnie takie zabójstwa w głośnej „sprawie gryfickiej”.

W okresie wakacyjnym mieliśmy też praktyki grupkami o różnym składzie w różnych miejscowościach i różnych zakładach: ja praktykę odbywałem w browarze i Zakładzie Urządzeń Dźwigowych w Warszawie, w PGR Staniątki oraz w Hucie Lenina w Nowej Hucie. W browarze d. Haberbuscha byliśmy z Zosią Gochnio, Staśkiem Grefkowiczem, Wojtkiem Śliwińskim i młodzieńcem Zygmuntem Warszawą. Tam też poznaliśmy dzięki klasie robotniczej cały arsenał bojowych okrzyków a nawet całe wiązanki bardzo przydatne w sytuacjach stresowych. Z tego powodu Zosia, ku naszemu żalowi, zmieniła wydział. Przypomnę: Zosia na wysokości I piętra, stojąc na rusztowaniu, przekuwała przecinakiem ścianę celem zrobienia otworu. Nagle „mesel” wypadł jej z rąk i spadł na parter tuż obok jednego z pracujących tam robotników, który popisał się pięciominutową „wiązanką”. Bez powtarzania się! Zosia z godnością wstała, otrzepała się i powiedziała „Zmieniam wydział”. I już jej na budowie i na wydziale nie widzieliśmy. Również, przy męczącej pracy ręcznego przekuwania otworów w ceglanych ścianach, byłem zatrudniany wraz z Zygmuntem Warszawą. Pewnego razu, po przekuciu otworu nieopatrznie dmuchnąłem w otwór. Po chwili ujrzałem obsypane czerwonym pyłem oblicze i okulary rozeźlonego Zygmunta, który jednak po zobaczeniu mnie w tym samym stanie, roześmiał się tylko. Do praktyki w PGR skłoniła nas, tj. Tadka Cieślińskiego, Szymka Snopczyńskiego i mnie, głównie chęć poznania zabytków Krakowa, bo zakwaterowanie mieliśmy w akademiku w Krakowie. Praktyka tam właściwie nic nam nie

dała. Najwięcej skorzystaliśmy z praktyki w walcowni blach w Nowej Hucie, gdzie byłem z Staśkiem Grefkowiczem, Wojtkiem Śliwińskim i Jurkiem Busłowiczem. Po latach, byłem tam uruchamiać tę walcownię ponownie, po jej awarii i spaleniu.

Powrócę tu jednak do 1-go roku studiów. Pewnego dnia, w czasie wykładu z analizy matematycznej prof. R. Hampel ogłosił: „pan Adamczyk proszony jest o zgłoszenie się po wykładzie do dziekanatu”. Dziekanem był właśnie prof. R. Hampel. Zaraz po wykładzie pospieszyłem do dziekanatu. „Przyszło pismo z Urzędu Bezpieczeństwa z Kielc w pana sprawie”. A więc stało się. Zreferowałem krótko sprawę. Popatrzył na mnie smutnym wzrokiem i powiedział „Ratuj się pan...jakoś”. Przemyslałem sprawę i w następnych dniach zgłosiłem się do uczelnianego Zarządu ZMP, gdzie wyłuszczyłem sprawę. „Sprawa jest skomplikowana. Musimy przemyśleć”. Po kilkunastu dniach zgłosiłem się do uczelnianej POP. Przyjął mnie jakiś dyżurny i po wysłuchaniu obiecał podać sprawę „wyżej”. I znów nie doczekałem się odpowiedzi, więc w ramach skarg i zażaleń zapisałem się do V-ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W oznaczonym dniu stanąłem przed jego obliczem. Wysłuchał mnie i poradził, abym w ramach odkupienia winy popracował w kopalni, a potem „się zobaczy”. Zdesperowany, wynędzniały z napięcia, zwróciłem się pisemnie do prezydenta B. Bieruta, opisując mój przypadek. O dziwo, po ok. miesiącu otrzymałem z KC PZPR pismo „Proszę się zgłosić do KC PZPR w godzinach niekolidujących z zajęciami na uczelni”. Wstąpiła we mnie nadzieja. Przyjęła mnie tow. Dłuska. Przypatrzyła mi się dokładnie i oznajmiła, że „tow. Bierut nie jest z Was zadowolony” co znów zabrzmiało z jakąś nutą nadziei i poradziła zwrócić się do rektora Politechniki. Napisałem więc sążniste pismo do rektora - prof. Jerzego Bukowskiego tłumacząc się z faktu zatajenia pewnych „danych osobowych,” jak się to teraz mówi. Po kilku dniach zostałem przyjęty przez rektora w jego gabinecie. Wysłuchał mnie uważą i powiedział „Biorę Was na moją osobistą odpowiedzialność. Nie zawiedźcie”.

Byłem szczęśliwy. Rozpoczął się dla mnie wspaniały okres, który w zasadzie trwał aż do 1968 roku. Nikt mnie nie „naprawiał”, nikt nie namawiał do „współpracy”, nikt nie wypominał przeszłości. Nawet po latach, po przeczytaniu w IPN dwóch świstków zrezygnowałem z reszty, takie to były „duperele”. Jeśli chodzi o ten okres studencki to tyle tylko, że nie dostałem paszportu na wycieczkę do Jugosławii tak jak i Kazik Malanowski. Nie zawiodłem też rektora – nie oblałem żadnego egzaminu. Jedynym przykrym epizodem było stanięcie w ostatnim roku studiów przed komisją dyscyplinarną senatu za wypożyczenie mojej karty mieszkańca akademika Jurkowi Żukowskiemu, który przerwał studia, pracował w terenie, ale podjął naukę na WSI i nie miał gdzie się zatrzymać.

Nieraz się zastanawiałem, jak się to stało, że los potraktował mnie tak wspaniałomyślnie. Bo gdyby zaplanowano aresztowanie mnie dzień później, byłbym prawdopodobnie podziurawiony kulami, z procesu wyszedłem ze stosunkowo łagodnym wyrokiem, do kopalni nie poszedłem, zdobyłem maturę w krótkim czasie, a gdybym nawet uniknął tych przykrych zdarzeń, to być może aktyw klasowy (co uświadomiłem sobie dopiero po przeczytaniu szkicu wspomnień Jurka Dąbrowskiego) wydałby mi tak złą opinię, że nie byłoby co marzyć o studiach. Jeśli chodzi o te moje kłopoty na początku studiów to wydaje mi się, że był jakiś nieumyślny łańcuch ludzi dobrej woli, bo i z „naczalstwa” ZMP przysłano mi raz kogoś do uświadomienia politycznego, w partii PW też chyba coś na ten temat wiedzano bo w 56 r. p. Bożena Puchalska – Hubner spytała mnie, czy nie mam kłopotów związanych z tą sprawą, a i chyba prezydent nie zajmował się tym tematem osobiście, tylko przekazał do KC, skąd zapewne poszedł przychylny lub neutralny sygnał do rektora, który ostatecznie uchronił mnie przed relegowaniem z uczelni. Do dziś podziwiam jego odwagę w podjęciu takiej decyzji. Działo się to przecież niecały rok po śmierci Stalina.

Tutaj chciałbym poruszyć sprawę, która też mogła zaważyć na moim losie a teraz skłoniła mnie jednak (wbrew wewnętrznym oporom) do napisania tych „okrucichów...”. Otóż w 56 lub 57 r. odbyło się zebranie wyborcze ZMP koła naszego roku. Wśród różnych kandydatur, była również podana przez Biela (dlaczego przez niego?) i moja kandydatura. Przerażony, przesłałem kartkę do Biela „wiesz, że byłem w lesie, wycofaj bo nie przejdę”, którą on przeczytał na głos. Ku mojemu zdumieniu, na ponad 100 głosujących w tajnych wyborach tylko dwa głosy były przeciw, w tym jeden mój.

Teraz mała dygresja. Na ostatnim z naszych spotkań elektryków Sławek Jędrzejczyk zwrócił się do mnie słowami „Chciałbym Ci podziękować. Dużo Ci zawdzięczam.” Zbaraniałem. Sławek mi przypomniał, co potem odtworzyłem z trudnością z pamięci jak z płyty starego komputera, że w czasie zajęć na studium wojskowym on często opowiadał anegdoty polityczne podpadające wyraźnie pod paragraf. Odciągnąłem go pewnego razu za rękaw na bok i powiedziałem coś w rodzaju „daj sobie chłopie spokój z takimi kawałami, bo skończysz tak jak ja”. Przemysłał sprawę i podobno posłuchał mojej rady, co być może uchroniło go przed przykrościami w dalszym życiu.

A więc w tym miejscu chciałbym podobnie podziękować wszystkim żyjącym i nieżyjącym uczestnikom tego zebrania za prawie jednomyślny wybór, który zdziwił mnie niepomiernie ponieważ nasza społeczność studencka składała się z młodych ludzi różnego pochodzenia, różnych przekonań, wyznań, narodowości, często nawet członków partii. I tak myślę, że gdyby wtedy, w okresie zawirowań politycznych, górę wziął beton

partyjny a ja przegrałbym te wybory większością głosów to mogłoby się zdarzyć, że aktyw ZMP i partyjny wyrzuciłby mnie ze studiów, partia potępiłaby koło ZMP za zwłokę, dzielnica potępiłaby POP za brak czujności klasowej a rektor mógłby stracić stanowisko. Są to dywagacje typu einsteinowskiego „gdyby moja teoria okazała się błędna...” ale sprawy mogły się przecież potoczyć wtedy w niekorzystnym dla mnie kierunku. Myślę, że nie zawiodłem oczekiwań wyborców. Nie zwołałem żadnego zebrania.

Po studiach

I na tym w zasadzie powinienem skończyć wspomnienia, ale jeszcze parę zdań z czasu pracy zawodowej, bo z natury jestem „humorystą”. Otóż po dwuletniej pracy w Zelmocie wraz z Tadkiem Majewskim, Tadkiem Twardowskim i Michałem Świechowskim, rozpocząłem pracę w Elektroprojekcie, gdzie również pracowali: Jurek Kossowski, Zdzisiek Kupiec i także Tadek Majewski. Po paru dniach przyszedł do pokoju w towarzystwie sekretarza POP sam dyrektor, często zamykany przed wojną za działalność komunistyczną, i ściskając mi dłoń powtarzał „Bardzo mi się podobał Wasz życiorys, kolego. Bardzo!” Utrzymałem powagę adekwatną do tej uroczystej chwili!

Żyło mi się wesoło i spokojnie. Aż do 1968r. Za namową kolegi zapisałem się na wycieczkę po krajach basenu Morza Śródziemnego. W zamieszaniu tamtego roku otrzymałem paszport i pojechałem na tę wspaniałą wycieczkę. Nic mnie w zasadzie nie trzymało w kraju, ale wróciłem. Zdecydował fakt, że dyrektor oświadczył w opinii, że „zasługuję na wycieczkę”. Nie wiedziałem jak postąpić, bo był to zacy człowiek, więc postąpiłem chyba przyzwoicie.

Po pewnym czasie dostałem kartkę od Tadzka Majewskiego z Austrii, a wkrótce potem od dawno niewidzianego kolegi z czasów młodości z USA z propozycją ożenku w kraju i wyjazdu do USA. Nie kwapiłem się. Zacząłem odczuwać wyraźne zainteresowanie moją osobą i znajomymi za granicą aż do parogodzinnego przesłuchania i sporządzenia swojego drzewa genealogicznego włącznie. Ani kolega z USA ani Tadek nie wyglądali mi na imperialistycznych agentów, ale raczej na solidnych ludzi. Tadcowi po maturze nawet jego nauczyciel powiedział „jesteś bardzo porządnym człowiekiem” - dokładnie to, co i mnie powiedział ksiądz podczas spowiedzi przedślubnej, a co mnie tak zdziwiło, że przez pół godziny przyglądałem się sobie w lustrze. A może spowiednik był głuchy? Czyżby służby interesowały się tylko „porządnymi”? Nie wiedziałem co się dzieje, wracały zmyły przeszłości.

Po pewnym czasie dostałem zawiadomienie, że na podstawie porozumienia pomiędzy ministerstwami zostaję przeniesiony do

Wojskowego Biura Projektów. W takich przypadkach ciśnie się na usta pytanie: „dlaczego właśnie ja?” Na nic się zdały protesty. „Ubierzemy w kamasze i będzie pan pracował za 1/3 pensji!”. Po 6 latach pracy spotkany na schodach dyrektor spytał „No i jak młody człowieku, zaaklimatyzowałeś się już?” Pozostawiam to bez komentarza.

No, to teraz epilog. Po 10 latach zatrudniłem się w Megadexie, gdzie akurat dyrektorem działu był Jurek Kossowski, któremu zawdzięczam, że zaryzykował i wysłał mnie na kontrakt za granicę, jeszcze w czasach PRL, co w zasadzie odmieniło moje życie. Dalej już było tylko lepiej i lepiej. W firmie tej pracowałem (z 2,5-letnią przerwą – praca za granicą) aż do rozwiązania firmy i emerytury. Był to mój najlepszy okres pracy, w którym jeździłem dużo po świecie.

Reasumując, szczerze mogę powiedzieć, że miałem szczęśliwe i barwne życie. Przyszłość też mi się jawi w słonecznych barwach.

Jest rok 2015. Może zimą pojadę na narty z niezawodnym kompanem Leszkiem Wójcikiem. A już w 2018 r. będę mógł się zapisać na wizytę u stomatologa. Po prostu czuję się i jestem szczęściarzem!

Podobno w latach 70-ych, na podchwytliwe pytania, dlaczego partyjni mają więcej szczęścia i powodzi im się lepiej niż innym, odpowiadali sloganem: „bo Pan Bóg nas bardziej lubi”.

Chociaż byłem bezpartyjny, mnie też widocznie lubił. Bardzo!

Jan Bielec



Radość i powaga życia

Studia na wesoło

Wybaczcie, że nie będę wspominał rzeczy poważnych, a skupię się na anegdotycznej stronie bezpowrotnie minionego okresu naszych studiów. Będzie mi przyświecać maksyma mojego przyjaciela Tadka Majewskiego, głoszona na sylwestrowym spotkaniu w 1953 roku „życie studenckie jest piękne”. Działo się to w naszej 12-ce w pokoju 509. w akademiku przy Placu Narutowicza.



Wesoła „dwunastka” - od lewej Wacek Bartoszczuk, autor, Fredek Bronicz, Tadek Twardowski (gość), Wiesiek Adamczyk, Tadek Pieczykolan, Wojtek Śliwiński, Stasiek Grefkowicz, Jurek Busłowicz, Franek Dudkowski, Jurek Sidorowicz, Józek Kłoczek

Tak przyzwyczailiśmy się do życia we wspólnocie, że nie mogliśmy się rozstać podczas odpoczynku na łonie natury.



Na spacerze – od lewej: autor, R.Gąska, Wacek Bartoszczuk, Antonio Marti, Tadek Pieczykolan



W Łazienkach – od lewej: Józek Klocek, autor, Wiesiek Adamczyk, Staszek Grefkowicz, Wojtek Śliwiński, Jurek Busłowicz

Już sam dojazd tramwajami na Politechnikę był niepowtarzalny. Prócz sławnych „winogron warszawskich” mieliśmy swoje metody. I tak „jazda na cycku” (na zderzaku tramwaju) preferowana przez kolegę Bartoszczuka albo „jazda na Danielewskiego” (nasz kolega Danielewski był przystojnym, nienagannie ubranym młodzieńcem, który zajmował miejsce w tylnej części tramwaju unikając kontroli).

Osobiście preferowałem późniejsze rozpoczynanie zajęć. Któryś z kolegów (myślę, że Staszek Grefkowicz) określił to „bielcowaniem”. Z powodu częstej nieobecności na lektoracie z języka rosyjskiego

(prowadzonym wspianiem przez panią Hildebrand) byłem wezwany przez Dziekana, prof. Hampla na komisję dyscyplinarną. Profesor otworzył dużą księgę i słyszałem jak mówił do siebie: „matematyka-dobrze”), a do mnie: „w porządku”. Oczywiście radośnie zmierzam do drzwi, a wówczas Profesor dodaje: „Oby mi się to więcej nie powtórzyło”.

Dzięki studiom zaliczyłem większość spektakli Operetki na Puławskiej, w których występowali moi ulubieńcy – pani Beata Artemska i pan Mieczysław Wojnicki.

Osobny rozdział stanowiła piłka nożna. Z racji stałego zamieszkania, byłem kibicem Wisły Kraków, ale ze względu na studia, kibicowałem CWKS-Legii. Znani piłkarze Wisły: Gracz, Kohut, Mordarski, Jurowicz, Szczurek mieli odpowiedników w Legii: Brychcy, Masheli, Woźniak... Atmosfera na meczach była nieporównywalna do dzisiejszej. Kibice byli spontaniczni, ale tolerancyjni. Przychodzili z całymi rodzinami. O ich humorze niech świadczy fakt z meczu ze szwedzkim zespołem Djurgarden. Gdy CWKS-Legia przegrywał z trybun jakiś kibic krzyknął „Kordecki na boisko”. Cały stadion wybuchnął śmiechem.



Elektryfikacja wsi Kosiny Kapiczne – od lewej: Staszek Grefkowicz,
autor, Wacek Bartoszczuk

Dzięki studiom i piłce nożnej poznałem dwóch serdecznych przyjaciół Michała Świechowskiego i Tadka Majewskiego, z którymi „nie

jeden mecz wygraliśmy i nie jeden przegraliśmy”. Rozpoczęliśmy od rozgrywek na Oraczewskiej, poprzez Kosiny Kapliczne w czasie wakacyjnej praktyki studenckiej, dalsze nasze spotkania trwały przez cały okres studiów. Jako ciekawostkę dodam, że kiedy byliśmy na praktyce studenckiej w Gdańskiej-Ołowiance z Tadkiem Majewskim, proponowano nam grę w juniorach gdańskiej drużyny.



Autor jako monter, Po całym dniu pracy: Jurek Busłowicz i autor

Dużo uroku życiu studenckiemu dodawały liczne epizody i gafy. I tak, idąc po zaliczenie z Elektroniki (na ćwiczeniach, na których nigdy nie byłem), po wcześniejszym uzyskaniu informacji o wyglądzie asystenta, i tak go nie rozpoznałem. Zdążyłem tylko powiedzieć „ale gafa”. Mimo to zaliczyłem.

Prócz nauki w akademiku kwitło życie towarzyskie. Dominował brydż, a w przypadku awarii oświetlenia – salonowiec. Tutaj spektakularne sukcesy odnosił Tadek Majewski z racji średniej postury, ale mocnego uderzenia. Znany miłośnik literatury Jurek Busłowicz w wolnych chwilach pogrążał się w czytaniu Pieresławskiej Rady i natychmiast zasypiał. Nawiasem mówiąc, do dzisiaj mam wątpliwości, czy ją doczytał do końca. Jurek organizował również wieczorki z licznymi „atrakcjami”. Nie mniej sławna była walizka, którą trzymał pod łóżkiem, a w której przechowywał ciasteczka przywiezione w czasie ferii. Nie przeczytałem nigdy tylu książek, nie oglądałem tylu filmów i wielkich imprez sportowych, co w czasie studiów. Nawiązane przyjaźnie podczas studiów, trwają do dzisiaj. Studenckie życie było piękne.



Nasze „wojsko”. Zdjęcie lewe: Koledzy ze Studium Wojskowego; zdjęcie prawe – stoją: Piotrek Zadura, Tadek Majewski, Stanisław Woronowicz, leżą: Wacek Bartoszczuk, Heniek Sobuś, autor



Zimowe igraszki w Górach Sowich (1957). Z lewej: autor, Zdzisiek Bogdanowicz, Wojtek Śliwiński; z prawej: Władek Torbicz, Zdzisiek Bogdanowicz, Wojtek Śliwiński, Tadek Majewski, autor

Moje przygody z energetyką

Rok 1959. Skończyło się „piękne studenckie życie”, a nastąpiła twarda rzeczywistość. Dawne nakazy pracy przestały obowiązywać. Należało szukać pracy. Z pomocą przyszedł mi Tadek Majewski. Tadek pracował w Przedsiębiorstwie Montażu Elektrycznego Elektrobudowa Katowice przy budowie elektrociepłowni w Łodzi. Przedsiębiorstwo Elektrobudowa realizowało roboty elektryczne w pełnym zakresie we wszystkich elektrowniach i elektrociepłowniach oraz wybranych dużych zakładach przemysłowych w Polsce. Oprócz tego, było producentem rozdzielnic, szyn ekranowanych, osprzętu elektrycznego a równocześnie prowadziło pomiary pomontażowe i rozruch urządzeń elektrycznych.

Tadzio roztoczył przede mną perspektywy rozwoju, mówił: „wpierw czeka cię staż pracy, po którym awansujesz na kierownika odcinka robót. Dalsze perspektywy awansu, zależą od ciebie. Możesz zostać kierownikiem montażu, kierownikiem grupy montażu a nawet dyrektorem. Każde z tych stanowisk wiąże się z odpowiedzialnością za dobre i terminowe wykonanie robót, oraz odpowiedzialnością za duże zespoły pracowników”.

I tak dzięki wspaniałej atmosferze stworzonej przez Dyrekcję firmy i Kierownictwo Budowy oraz pasjonującej pracy, związałem całe swoje życie zawodowe z Elektrobudową. Przez 36 lat uczestniczyłem, a później kierowałem robotami elektrycznymi w Elektrociepłowni Łódź, Elektrowni Adamów, Elektrowni Siersza II, Elektrociepłowni Kraków, Elektrowni Jaworzno III, Elektrowni Połaniec, Elektrowni Skawina, Elektrowni Wodnej Czorsztyn i Elektrociepłowni Kielce. Miałem satysfakcję z przekazania do sieci energetycznej 4,5 tys. MW oraz czterech bloków energetycznych po 200 MW w ciągu jednego roku w elektrowni Jaworzno III. Były to dobre czasy (po sławnym 20-stopniu zasilania) polskiej energetyki.

Osobny rozdział stanowią budowy eksportowe: Elektrownia Tusimice w Czechosłowacji oraz Elektrownie Yeniköy i Kemerköy w Turcji.

Przemierzając Polskę spotykałem naszych kolegów w różnych rejonach i tak w Łodzi w jednej firmie pracowałem z Tadkiem Majewskim i Włodkiem Stasiakiem. Elektrobudowa w Łodzi w tym czasie zatrudniała wielu młodych inżynierów z różnych Politechnik. Nasi szefowie prezentowali świetne zdolności techniczne, organizacyjne i intelektualne. Jako przykład podam, że mój szef inżynier Hofman między innymi wygrał teleturniej Wielka Gra (25 tys. zł) z tematu literatura amerykańska. W Łodzi spotkałem również Jurka Żukowskiego. Odwiedził mnie także Włodek Torbicz. W Elektrowni Adamów spotkałem Kazia Chodzińskiego, który pracował jako dyżurny ruchu. W Zjednoczeniu Budowy Elektrowni i Przemysłu, u wspaniałego człowieka i dyrektora (późniejszego

wiceministra) Jerzego Wojtowieckiego, spotkałem Michała Łodygowskiego. Największą niespodzianką było spotkanie Jurka Żukowskiego w Turcji. Był to rok 1984. Jurek kierował montażem rozdzielni najwyższych napięć w Elektrowni Jatagan, a ja kierowałem montażem części elektrycznej w sąsiedniej elektrowni Yeniköy.



Moja załoga w Elektrowni Yeniköy, wrzesień 1986 (w środku autor)



Elektrobudowa – zwycięzcy turnieju w siatkówce

Były to czasy, które najchętniej wspominam. Elektrim i Megadex realizowały inwestycje „pod klucz” trzech elektrowni Yatagan, Yeniköy i Kemerköy, oparte na pełnych polskich dostawach (kotły, turbiny, transformatory, rozdzielnice, kable energetyczne, nawęglanie, aparatura sterownicza, pomiarowa itp.).



Wyprowadzenie mocy w elektrowni Yeniköy



Wyprowadzenie mocy w elektrowni Kemerköy

Elektrownie zlokalizowane były w zagłębiu węgla brunatnego, a jednocześnie w regionie wspaniałym pod względem turystycznym oraz historycznym. Mieszkańcy tego regionu Turcji to wspaniali, uczciwi, uczynni i przyjaźni ludzie. Takie miejscowości w zasięgu naszych wycieczek jak: Bodrum, Kusadasi, Milet, Pamukkale, Efez, Selçuk, Pergamon, to „mekka” starożytności. Szczególnie piękny jest Efez ze swoją

biblioteką, marmurową ulicą, wspaniałym amfiteatrem (o wysokiej technice realizacji świadczy akustyka obiektu, gwarantująca dobrą słyszalność z każdego miejsca) i licznymi śladami wysokiej kultury i techniki.



Biblioteka w Efezie



Wapienne osady w Pamukkale – autor z żoną Danutą,
córką Joanną i synem Jackiem (1984)



Grób Św. Jana Ewangelisty – autor z lewej strony (1994)

Wspaniałym obiektem jest położony na pobliskim wzgórzu Dom Matki Bożej. Według francuskich naukowców to ostatnie miejsce pobytu Matki Bożej. Zainstalowane w pobliżu tablice informacyjne (również w języku polskim) opisują historię tego odkrycia. Miejsce to jest powszechnie odwiedzane przez turystów, w tym katolików z całego świata i Turków.



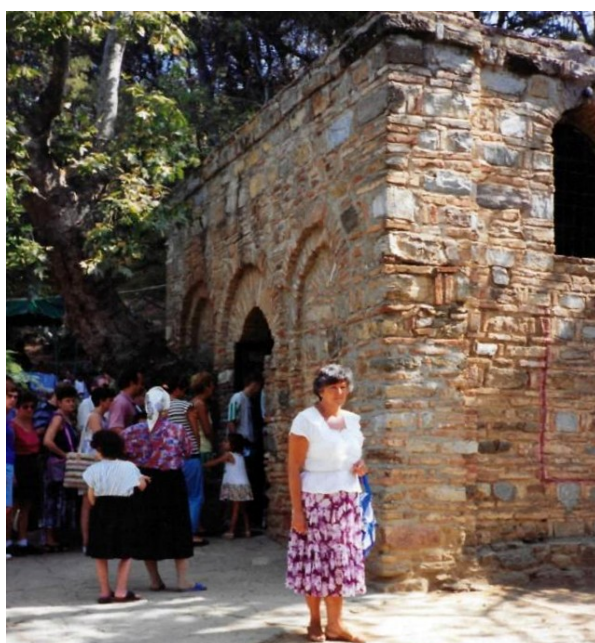
Msza Św. w Maryemanie – nasz opiekun duchowy ks. Sima

Dla nas Polaków to szczególne miejsce. Tutaj nasz opiekun ksiądz Sima odprawiał nam Msze Święte. Ksiądz Sima franciszkanin, Polak,

dojeżdżał ze Stambułu na nasze budowy. Zapewniał także duchowe wsparcie dla pracujących Polaków. Pod jego kierunkiem w dniu Święto Bożego Ciała organizowaliśmy w Maryemanie procesję do ołtarzy przygotowanych przez poszczególne budowy. Potwierdzeniem badań naukowców francuskich może być płyta nagrobna św. Jana Ewangelisty w pobliskim Selçuku. Św. Jan był ostatnim opiekunem Matki Bożej.



Uroczystości Bożego Ciała



Dom Maryi Dziewicy w Maryemanie – moja żona

Duże wrażenie wywołują ruiny Miletu. Wspominam o tym dlatego, bo ktoś z nas nie pamięta twierdzenia Talesa z Miletu.

Dzięki inicjatywie ks. Simy, jako Elektrobudowa wykonaliśmy instalację oświetlenia kościoła w Stambule. Jedną z najcenniejszych nagród w mojej karierze zawodowej jest list z podziękowaniem Generała Zakonu Franciszkanów w Rzymie.



PAX ET BONUM

MINISTER GENERALIS
ORDINIS FRATRUM MINORUM CONVENTUALIUM
PIAZZA Ss. APOSTOLI, 51 - TEL. 6784178 - 6786718
00187 ROMA

PROF. N. 226/86

ROMA 15 kwietnia 1984

Szanowni Panowie,

zostałem poinformowany przez O. Alionsa Sammut, przełożonego klasztoru SENT ANTUAN w Istambule o wspaniale przeprowadzonej przez Was pracy przy instalacji elektrycznej w naszej bazylice noszącej imię tego wielkiego Świętego.

Pragnę wyrazić Wam podziękowanie za dzieło dokonane z miłością i kompetencją. Przypominam sobie, że podczas mojej wizyty w Istambule latem 1983 r. zauważyłem konieczność wymiany instalacji elektrycznej w całym kompleksie budynków kościelnych pod wezwaniem św. Antoniego. Zdaję więc sobie sprawę z wagi Waszego dzieła oraz z tego, iż w ten sposób pragnęliście okazać sympatię o. Jerzemu Simie i jego Współbraciom.

Wszystkim składam wyrazy uznania, a mianowicie Panu Dyr. inż. Adamowi Białemu, Panu inż. Tadeuszowi Rubaszewskiemu, zastępcy dyrektora, Panu inż. Janowi Bielecowi, Panu inż. arch. Janowi Cichemu, Panu inż. Adamowi Oźga, Panu inż. Antoniemu Dochoda oraz wykonawcom technicznym: Panom Aleksandrowi Pietrzykowi Henrykowi Kapuścińskiemu, Piotrowi Matuszowi i Janowi Kulbaczowi

Życzę Wam i Waszym Rodzinom błogosławieństwa Bożego a także wstawiennictwa wielkiego świętego jakim jest św. Antoni, czczony i kochany w całym świecie często także przez niekatolików i niechrześcijan jak to ma miejsce w naszej Bazylice w Istambule.

Szczerze i z szacunkiem pozdrawiam

Sanfrancesco M. Serrini
O. Lanfranco Serrini/
Przełożony Generalny Zakonu
Braci Mniejszych Konwentualnych -
OO. Franciszkanów

Gdy po 10-ciu latach wróciłem na budowę trzeciej elektrowni Kemerköy, postęp w Turcji w rozwoju infrastruktury był ogromny. Powstały nowe kurorty, autostrady, budownictwo. Ponieważ budowa była w końcowej fazie realizacji nie zastałem już naszych kolegów Jurka Żukowskiego i Wieśka Adamczyka. Elektrownia Kemerköy zlokalizowana jest nad piękną zatoką zwaną „niebiańską”. Jako ciekawostkę techniczną podam, że Elektrownia używa wody morskiej do obiegu chłodzącego – po odpowiednim przygotowaniu. Ze względu na walory turystyczne i przyrodnicze zatoki, cały czas trwała walka między inwestorem a ekologami.

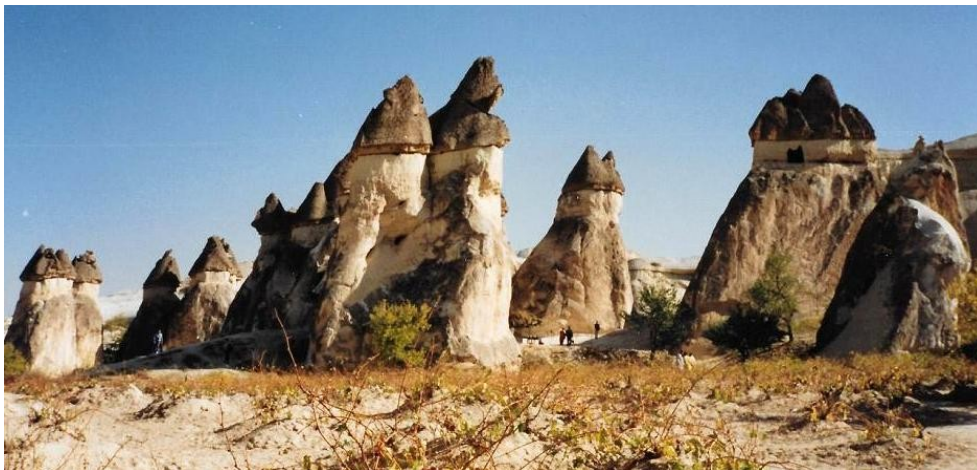
Znane i nowe miejsca starożytnej historii podziwiałem po 10-ciu latach z Michałem Świechowskim, który odwiedził mnie w Turcji. Ci sami przyjaźni ludzie, a na budowie ten sam zasłużony ksiądz Sima i wyjazdy do Domku Matki Bożej w Maryemanie. Wtedy poznałem unikatową atrakcję turystyczną - Kapadocję. Kapadocja to zespół tworów górskich w postaci kopców, a w nich grotty zamieszkiwane od II wieku n.e. przez prześladowanych chrześcijan, pełne malowniczych fresków.



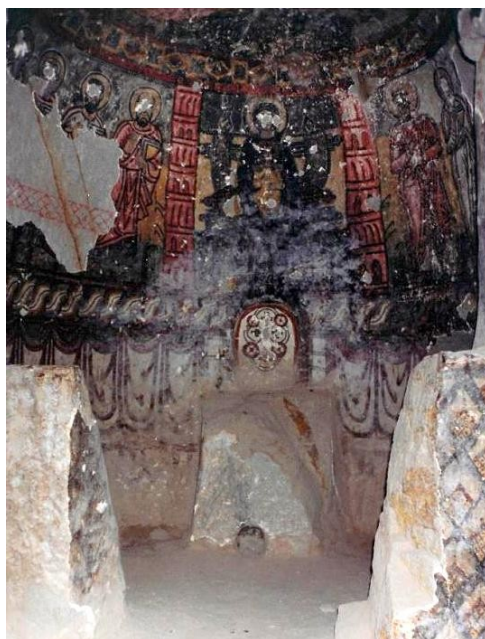
Kapadocja – autor

I tak na budowie Elektrowni Kemerköy w Turcji zakończyłem przygodę z energetyką. W 1995 r. przeszedłem na emeryturę, wspominając prognozy Tadka Majewskiego zaliczyłem wszystkie szczeble kariery do Dyrektora Wielkiego Zespołu Budów i Dyrektora Energetyki III Stopnia.

Przyjaźnie zapoczątkowane na studiach trwają do dzisiaj. Serdeczne więzi z Michałem Świechowskim zaowocowały przyjaźnią naszych rodzin.



Kapadocja



Freski w skalnym kościele w Kapadocji

W roku 2013 obchodziliśmy wspólnie 50-lecie naszych związków małżeńskich. We wspomnieniach pomijam wątki rodzinne, gdyż każdy z nas miał swoje radości i smutki. Oby przyszli elektrycy kończąc karierę zawodową mogli tak jak my mieć satysfakcję z dobrze wykonanej pracy.

Barbara Bolkowska (Meller)



Takie były początki...

...studiów

Szkołę średnią ukończyłam w Płocku. Było to Liceum im. St. Małachowskiego – najstarsze liceum w Polsce, z dużymi tradycjami i bardzo dobrą kadrą pedagogiczną.

Elektrotechnika nie była moim pierwszym wyborem kierunku studiów. Zgodnie z oczekiwaniami rodziców miałam studiować medycynę. Ale tuż przed maturą bardzo spodobał mi się kolega, który zamierzał zostać inżynierem elektrykiem. Nie mówiąc nic koledze, złożyłam dokumenty tam gdzie on - na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. Miałam Dyplom Przodownika Nauki i Pracy Społecznej, który uprawniał do podjęcia dowolnych studiów bez egzaminów wstępnych. Z przyjęciem na Wydział Elektryczny nie miałam więc problemu. Kolega niestety nie został przyjęty na studia z powodu zbyt niskiej oceny z egzaminu wstępnego. Może, gdyby wiedział co zrobiłam z jego powodu, to bardziej by się postarał....

Z pewnymi trudnościami przychodziło mi przystosowanie się do nowych warunków życia. Zamieszkałam w akademiku przy ul. Kazimierzowskiej w pokoju 6-cio osobowym. Było to dla mnie przeżycie. Nie byłam w harcerstwie i nie miałam doświadczeń z obozów harcerskich. Nie jeździłam też na kolonie szkolne. A tu: piętrowe łóżka, wspólna szafa, ciasno i nikłe perspektywy zmiany na lepsze. Ale było nas sześć i wszystkie musiałyśmy to polubić, żeby było miło. I w końcu- było miło. Poza tym zaprzyjaźniłam się z koleżanką z grupy - Basią Misztal. Mieszkała w Warszawie i tu miała rodzinę i swoje towarzystwo. Włączyła mnie do swego grona. A na drugim roku zamieszkałam w nowym akademiku - przy ul. Kopińskiej. Jasne, czyste pokoje - w porównaniu z akademikiem przy Kazimierzowskiej, jak na owe czasy - luksus.

Z przyjemnością chodziłam na uczelnię. Gmach Główny i tereny Politechniki zrobiły na mnie duże wrażenie. Od razu było widać, że to poważna uczelnia i poważnie należy podejść do studiowania na niej. Na

wykładach audytoria były pełne studentów, głównie rodzaju męskiego. Nas, dziewczyn, było tylko 15.

Bardzo lubiłam wykłady prof. Kazimierza Zarankiewicza z mechaniki. Ożywiał swoje wykłady anegdotami i fraszkami. Pamiętam np. tę o względności czasu: "Godzina wiekiem ze złym człowiekiem, a wiek godziną z piękną dziewczyną". Pomimo okazywanej nam empatii, wcale nie łatwo było zdać u Niego egzamin. Niezwykłe były również zajęcia z geometrii wykreślnej i rysunku technicznego. Prowadził je artysta-malarz - prof. Stanisław Wocjan. Wykonywane przez Niego na tablicy rysunki techniczne wyglądały jak abstrakcyjna grafika. Ciekawą postacią był również doc. Roman Hampel - wybitny matematyk i poliglota z genialną pamięcią.

Początek studiów okazał się bardzo ciekawy. Przestałam mieć wątpliwości, czy studia techniczne to jest to, co może mnie zainteresować. Atmosfera w grupach studenckich była bardzo dobra, wspieraliśmy się nawzajem - nieznanym był panoszący się obecnie "wyścig szczurów". Nawiązywały się przyjaźnie i wspólne spędzanie wolnego czasu. Więcej czasu niż z innymi spędzałam z Edkiem Jasińskim, Andrzejem Kmiecikiem i Januszem Księżopolskim.

... pracy naukowej i komputerów

Po dwóch latach trzeba było podjąć nową decyzję - wybrać specjalność. Wiedziałam już, że nie mam predyspozycji, żeby zostać inżynierem w fabryce, albo projektantem w biurze projektowym. Wybrałam sekcję Sieci Elektryczne. Specjalistyczne przedmioty prowadzili wspierali profesorowie: Czesław Mejro (sieci elektryczne i układy sieciowe), Tadeusz Kahl (instalacje elektryczne i statyka sieci), Włodzimierz Szumilin (przesył i eksploatacja), Stanisław Kończykowski (teoria zwarć, równowaga współpracy układów). Byli to profesorowie, którzy oprócz wiedzy teoretycznej mieli duże doświadczenie praktyczne i potrafili zainteresować studentów uprawianymi przez siebie dziedzinami elektrotechniki oraz tym, co aktualnie dzieje się w elektroenergetyce. A zaczynało się wówczas tworzenie krajowego systemu elektroenergetycznego powstającego w wyniku łączenia lokalnych układów.

Doc. Zygmunt Skoczyński i doc. Stefan Bernas wprowadzili modelowanie matematyczne do analiz układów elektroenergetycznych. W Katedrze Układów Energetycznych powstały analizatory sieciowe dla energetyki i na potrzeby dydaktyki. Urządzenia te nie były uniwersalne - służyły rozwiązywaniu określonej klasy zagadnień. Na maszynach Stefana Bernasa można było symulować realną sieć elektroenergetyczną i obliczać rozprawy mocy. W tamtym czasie, w krajach zachodnich rozpoczął się rozwój zastosowań maszyn cyfrowych, o czym dowiadaliśmy się

z nielicznych publikacji zagranicznych i znacznie mniej licznych publikacji krajowych. Doc. Z. Skoczyński był prekursorem nowoczesnych metod obliczeniowych w elektroenergetyce i inicjatorem utworzenia w Instytucie Elektrotechniki ośrodka obliczeniowego z maszyną ELLIOTT 803B (zainstalowano ją w początku lat 60-tych). Zastosowanie maszyny cyfrowej do obliczania rozplywu mocy z uwzględnieniem strat sieciowych było przedmiotem mojej pracy dyplomowej. Promotorem pracy był doc. Zygmunt Skoczyński. On też zasugerował mi podjęcie pracy w Instytucie Energetyki i tam przygotowanie dyplomu.

W lipcu 1958 r., początkowo na umowę-zlecenie (też były *umowy śmieciowe*), rozpoczęłam pracę w Instytucie Energetyki w Warszawie, w którym utworzono właśnie w Zakładzie Systemów Energetycznych Pracownię Eksploatacji Systemów i rozpoczęto prace nad zastosowaniem informatyki w elektroenergetyce. W Pracowni Eksploatacji Systemów rozpoczęli również pracę koledzy ze studiów: Henryk Gładyś i Gienek Waśniewski.

Zasadniczym problemem i główną trudnością było poznanie zagadnień programowania. Wymagało to znajomości metod numerycznych, znajomości maszyny i techniki liczenia na niej. Jediną dostępną wówczas maszyną była uruchomiona w 1958 r. w Zakładzie Aparatów Matematycznych PAN przy ul. Śniadeckich (obecnie Instytut Matematyczny PAN), pierwsza polska maszyna cyfrowa XYZ. Miała ona pamięć operacyjną na rurach rtęciowych, pamięć zewnętrzną na bębnach magnetycznych, a wejście i wyjście na perforowanych kartach Boole'owskich.

W tajniki działania maszyny i jej oprogramowania wprowadzili mnie ich twórcy - Romuald Marczyński i Adam Empacher. Oni też wprowadzili do języka polskiego słowo "komputer" (łac.), a nie często używane wówczas "kompjuter" (ang.). Muszę tu zwrócić uwagę na fakt, że programy pisane były w języku wewnętrznym maszyny. Minęło trochę czasu zanim przy rozwiązywaniu problemu ujętego w temacie mojej pracy magisterskiej, a także problemów, którymi równocześnie zajmowałam się pracując w Instytucie Energetyki, zaczęłam myśleć w kategorii logiki maszyny. Niewątpliwie była to bardzo ciekawa przygoda intelektualna, ale egzamin dyplomowy zdałam dopiero w czerwcu 1960r.

Na konferencji nt. "50 lat zastosowań informatyki w Polskiej energetyce", zorganizowanej w kwietniu 2009 r. przez Stowarzyszenie Elektryków Polskich, prof. Andrzej Kłós nazwał ten okres *okresem prehistorycznym*. Gdyby nam wówczas powiedziano, jak rozwinię się informatyka w czasie naszej aktywności zawodowej, nazwalibyśmy to *science fiction*.

W Instytucie Energetyki pracowałam do 1970 r. (od 1964r. w Pracowni Teorii Systemów) i zakończyłam przygotowaniem doktoratu pt. "Metoda określania stopnia niezawodności zasilania wielkich odbiorów przemysłowych jako podstawa do planowania układu elektroenergetycznego". Można już wtedy było zastosować nową maszynę cyfrową - ODRA 1204, zainstalowaną w Instytucie Energetyki. Promotorem pracy był prof. Czesław Mejro. Pracę doktorską obroniłam w 1971 r. na Wydziale Mechanicznym, Energetyki i Lotnictwa, gdzie wówczas pracował mój promotor.

... uprawiania sportu i turystyki

Pierwszy wyjazd na narty zorganizował w 1959 r. dla pracowników swojego Zakładu w Instytucie Energetyki - jego szef - Andrzej Kłos, który uznawał zasadę, że sprawność fizyczna jest równie ważna jak sprawność umysłowa. Pojechaliśmy, w bardzo nielicznym gronie, do Zakopanego. Zamieszkaliśmy w Domu (raczej domku) Energetyka w Kuźnicach. Pierwsze kroki na nartach stawiałam na Kalatówkach. Bardzo mi się to spodobało, a jeszcze bardziej, jak okazało się, że mój mąż (poznany na drugim roku studiów asystent z podstaw elektrotechniki - Stanisław Bolkowski), także lubi góry i jazdę na nartach. Od tego czasu jeździliśmy przynajmniej raz w sezonie do Zakopanego, Szczyrku, Karpacza, a od lat 90-tych - w Alpy, do Austrii i Włoch. Wyjazdy na narty zakończyliśmy w 2010r.



Na nartach z mężem i wnuczką Kasią, Dolomity 2008r.

W latach 60-tych wiele urlopów letnich spędziliśmy chodząc po Tatrach. Znalazłam zdjęcie z jednego z takich wypadów w góry. Są na nim prof. Tadeusz Cholewicki, jego adiunkci - Ryszard Matusiak i Tadeusz Kaczorek z żonami i ja (mój mąż robi zdjęcie). Z Matusiakami urlopy w górach spędzaliśmy dość często - także w zimie na nartach.



Prof. Tadeusz Cholewicki, jego adiunkci - Ryszard Matusiak i Tadeusz Kaczorek z żonami i ja – Tatry, lata 60-te



W Tatrach, lata 60 - te

Na pierwszą wycieczkę zagraniczną pojechałam w 1959 r. do Bułgarii. Nie pamiętam, jak i przez kogo była ona zorganizowana. Było nas niewiele ponad dziesięć osób, w tym kilka osób z Instytutu Energetyki. Pojechalśmy pociągiem i zamieszkaliśmy w hotelu w Sofii. Sami organizowaliśmy zwiedzanie ciekawych miejsc w Bułgarii. Była to bardzo udana wycieczka.

Druga zagraniczna wycieczka, wymienna na Węgry, na którą udaliśmy się z mężem w 1961 r., została zorganizowana dzięki porozumieniu Politechniki Warszawskiej z Politechniką w Budapeszcie. Wzięło w niej udział ponad 20 osób – pracownicy Politechniki z żonami. Zwiedziliśmy wiele bardzo ciekawych i malowniczych miejsc, łącznie z degustacją win przy cygańskiej muzyce i odpoczynkiem nad ciepłym Balatonem. Była to wycieczka bardzo precyzyjnie zorganizowana – bez niespodzianek. Ta przesadna precyzja stłumiła emocje przeżyć, które zawsze są związane z poznawaniem nieznanego wcześniej piękna, a emocje przecież służą utrwaleniu tego piękna w pamięci.

Na początku lat 70-tych, za Gierka, nastąpiło lekkie otwarcie na zachód. Pojawiło się hasło: "Europa za 100 dolarów". Wyrobiliśmy paszporty, wykupiliśmy dewizy (330 dolarów) i bez konkretnego programu pojechalśmy w czasie wakacji z 11-to letnią córką Magdą do Jugosławii – pociągiem do Dubrownika, z przesiadką w Belgradzie. W Dubrowniku na stacji kolejowej czekali już ludzie oferujący kwatery. Zbędna była znajomość języków obcych – łatwo było porozumieć się we własnych językach. Wybraliśmy sympatycznie wyglądającą kobietę w czerni i bardzo dobrze trafiliśmy. Mieszkanie było bardzo wygodne, a gospodyni dostarczyła nam niezbędnych informacji, co koniecznie należy zobaczyć w Dalmacji. Z wielką życzliwością służyła nam także dobrą radą i pomocą. Z taką samą życzliwością spotkaliśmy się w innych miejscach pobytu – w mieście Korczula, założonym przez starożytnych Greków na półwyspie Korczula na Adriatyku, i w Splicie – z bogatą historią od czasów starożytnej Grecji i pięknymi zabytkami greckimi i rzymskimi, głównie z czasów cesarza Dioklecjana, który tu zbudował swoją rezydencję. Zwiedziliśmy wiele, a pieniędzy starczyło na ponad 2 tygodnie (!). Przekonaaliśmy się też, że lepiej poznaje się kraj i ludzi jadąc na wycieczkę samodzielnie, niż na zorganizowaną "objazdówkę". Ale też lepiej jest mieć przygotowany przynajmniej zarys programu wycieczki, niż jechać "w ciemno".

Na niektóre wycieczki nie można jednak było jechać samodzielnie. Uczestniczyłam w takich wycieczkach, zorganizowanych przez biuro podróży, ale według własnego programu opracowanego przez znajomych zajmujących się m.in. energetyką i gospodarką wodną. Były to wycieczki turystyczne do Brazylii i Chin – ukierunkowane na zwiedzanie

charakterystycznych miejsc, ale ich punktem kulminacyjnym było zaznajomienie się z największymi na świecie elektrowniami wodnymi – do których indywidualny turysta nie ma wstępu. W Brazylii zachwyciła nas hydroelektrownia Itaipu na rzece Parana, położona przy granicy Brazylii, Argentyny i Paragwaju, w pobliżu przepięknych wodospadów Iguacu. W Chinach była to budowa Zapory Trzech Przełomów dla hydroelektrowni – w założeniu większej od Itaipu. Zapora powstawała w miejscu, gdzie rzeka Jangcy przepływa przez Kotlinę Seczuańską. Płynąc statkiem widzieliśmy na zboczach gór oznaczenia poziomu wody po zapełnieniu zbiornika. Oznaczały one, że pod wodą zniknie nie tylko wiele miast, ale zatopione zostaną liczne obiekty turystyczne światowej klasy. Przesiedlono ponad 2 mln ludzi.

Sposób organizowania wycieczek, według własnego programu zwiedzania, preferuję do dziś. Daje to możliwość nie tylko zobaczenia interesujących atrakcji turystycznych, ale też poznania ludzi, zwyczajów, regionalnej kuchni i lokalnych ciekawostek. Turystyka, nie tylko zagraniczna, stała się naszą, wspólną z mężem, pasją.

... pracy dydaktycznej i energetyki jądrowej

Przeniesienie w 1970 r. Instytutu Energetyki z ul. Mysiej do Mor spowodowało podjęcie decyzji o zmianie pracy (ze względów rodzinnych). Naturalnym wydawał się wybór Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej. W październiku 1970r. rozpoczęłam pracę w Instytucie Elektroenergetyki w Zakładzie Elektrowni i Gospodarki Elektroenergetycznej. Kierownikiem Zakładu był prof. Tadeusz Bełdowski. Prowadziłam tu wykłady specjalistyczne, seminarium dyplomowe, prace dyplomowe magisterskie, laboratorium encyklopedii elektroenergetyki. Miałam dobry kontakt ze studentami. Współpracując z Kołem Naukowym Elektryków Studentów zorganizowałam kilka spotkań na tematy związane z informatyką w energetyce oraz, wykorzystując swoje kontakty w energetyce, kilka wycieczek studentów do elektrowni i rozdzielni wysokiego napięcia. Gdy w 1971r. prof. Bełdowski został rektorem Politechniki Białostockiej, funkcję kierownika Zakładu zaczął pełnić doc. Ryszard Matla. I wtedy zaczęły się "schody".

Nawiążę tu do wydarzeń z marca 1968 r. Na Uniwersytecie Warszawskim i Politechnice organizowane były wiece, w których brało udział wiele tysięcy studentów. Żądano poszanowania Konstytucji PRL i zapewnienia swobód obywatelskich. Wiece te, a także marsze, zostały brutalnie rozpędzone przez milicję i ORMO. Wielu studentów aresztowano. Następstwem tych zdarzeń było ustawowe ograniczenie samorządności uczelni i wzmocnienie roli organizacji partyjnej. Utworzono na wydziałach kolegia dziekańskie, w skład których wchodził: pierwszy sekretarz

Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR, przewodniczący Rady Oddziałowej ZNP oraz przewodniczący Rady Wydziałowej Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Kolegium takie opiniowało przede wszystkim wnioski personalne pracowników i sprawy dotyczące bieżącego funkcjonowania wydziału. A partia poświęcała wiele uwagi polityce kadrowej i preferowała *aktywnych uczestników życia społeczno-politycznego*.

Chcę tu zaznaczyć, że w Instytucie Energetyki pracowałam na stanowisku adiunkta od 1964 r. Przechodząc do pracy w Politechnice i mając w bardzo bliskiej perspektywie uzyskanie stopnia doktora (co było warunkiem zostania adiunktem), przyjąłam stanowisko starszego asystenta. Chociaż stopień doktora uzyskałam, lecz adiunktem nie zostałam. Nie byłam *aktywnym uczestnikiem życia społeczno-politycznego*. Pierwszym sekretarzem POP był wówczas doc. Roman Matla i na jego wniosek, kolegium dziekańskie nie awansowało mnie. Chyba nie podobała się mu moja, niekontrolowana przez organizację partyjną, współpraca ze studentami. Przypięto mi łatkę "wrogiego elementu", co ciągnęło się za mną przez długi czas.

Odwołanie do rektora było o tyle skuteczne, że zasugerował mi zmianę wydziału po zakończeniu roku akademickiego 1971/1972. Jedynym alternatywnym rozwiązaniem był dla mnie Wydział Mechaniczny, Energetyki i Lotnictwa, na którym była przeprowadzona obrona mojej pracy doktorskiej. Niestety prof. Mejro już tam nie pracował - przeszedł na emeryturę.

Pomógł mi prof. Stanisław Andrzejewski, z którym wielokrotnie zetknęłam się pracując w Instytucie Energetyki. Był On Pełnomocnikiem Rządu ds. Wykorzystania Energii Atomowej, a jednocześnie pracował w Instytucie Techniki Ciepłej na Wydziale Mechanicznym, Energetyki i Lotnictwa - był kierownikiem Zakładu Siłowni i Reaktorów Jądrowych. Po zapoznaniu się z moją sytuacją, zaproponował mi przejście do swojego zakładu na stanowisko adiunkta. Stało się to w lipcu 1972 r. Cieszył się On tak dużym autorytetem, zarówno w środowisku politycznym jak i naukowym, że wszelkie działania podejmowane przez *towarzyszy* przeciwko mnie, spełzły na niczym. Byłam pod parasolem ochronnym.

Nauczona doświadczeniem z Wydziału Elektrycznego, nie angażowałam się w żadne prace ze studentami poza obowiązkową dydaktyką. Pensum dydaktyczne wypełniały mi zajęcia nie bardzo ambitne - prace przejściowe z zakresu energetyki i prowadzenie laboratorium elektrotechniki. Skoncentrowałam się natomiast na poznawaniu nowej dla mnie dziedziny, jaką była energetyka jądrowa. Należało to do zakresu naukowej działalności Zakładu.

W końcu 1972 r. zapadła decyzja rządowa o budowie elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Rozpoczęły się prace przygotowawcze. Zakład Siłowni i Reaktorów Jądrowych został włączony w te prace. W latach 1974 - 1978 brałam udział w opracowaniach Zakładu zleczanych przez Instytut Energetyki i przez GBSiPE Energoprojekt, a dotyczących warunków pracy i bezpieczeństwa elektrowni jądrowych, a także optymalizacji struktury systemu elektroenergetycznego z uwzględnieniem elektrowni jądrowej.

I tu znowu zaczęły się "schody".

W 1979 r. miałam już zawansowaną habilitację nt. wyboru i zastosowania metod matematycznych optymalizacji systemu energetycznego w ujęciu stochastycznym. Wystąpiłam do dyrektora Instytutu o częściowe zwolnienie mnie z zajęć dydaktycznych, aby przeznaczyć więcej czasu na zakończenie habilitacji. W odpowiedzi usłyszałam: "Pani Basiu, niewątpliwie uzyska Pani habilitację, ale docentem to Pani i tak nie zostanie". Parasol ochronny został zwinięty (kilka miesięcy wcześniej zmarł prof. St. Andrzejewski). Podjęłam decyzję o odejściu z pracy w Politechnice. Poniosłam porażkę.

...pracy w administracji państwowej

Dowiedziałam się od przyjaciół z Instytutu Energetyki, że w Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki przygotowywana jest koncepcja utworzenia rządowego programu badawczego dotyczącego rozwoju energetyki. Bardzo mnie to zainteresowało - i to na tyle, że we wrześniu 1979 r. przystąpiłam do pracy w Departamencie Analiz, Badań, Rozwoju i Wdrożeń. Moim zadaniem było przygotowanie do zatwierdzenia przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów preferowanych kierunków badań naukowych i postępu technicznego tego programu w korelacji z założeniami rozwoju społeczno-gospodarczego kraju.

Głównym koordynatorem programu był prof. Marcei Baran z Politechniki Śląskiej. Do prac zostały włączone instytuty zajmujące się energetyką w szerokim rozumieniu. Odbyło się wiele konferencji naukowych w celu uzgodnienia zakresu merytorycznego badań i organizacji wykonania programu. Uczestniczyłam w tych niezwykle ciekawych spotkaniach, a także w konferencjach zagranicznych (w Londynie, Wiedniu, Paryżu, Brukseli), na których przedstawiane były najnowsze osiągnięcia naukowe z zakresu energetyki. Brałam także udział w posiedzeniach RWPG (w Bukareszcie, Moskwie, Lipsku), na których rozpatrywano założenia rozwoju energetyki w krajach członkowskich. Ostatecznie zostały ustalone zakresy prac badawczo-rozwojowych w głównych kierunkach: energetyka cieplna, energetyka wodna, energetyka jądrowa, niekonwencjonalne źródła energii, racjonalne użytkowanie energii, ochrona środowiska. Tak powstał Rządowy Program PR-8 pt. "Kompleksowy Rozwój Energetyki" - do

realizacji w latach 1981-1985. Niestety, nie był to dobry czas na inwestycje i wykorzystanie uzyskanych wyników w gospodarce. Najbardziej spektakularne było przerwanie budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu.

... w Komitecie Badań Naukowych

Rok 1989 zastał mnie w Urzędzie Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń. Szefem Urzędu był prof. Jan Janowski, wicepremier w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Z Jego inicjatywy rozpoczęto prace nad założeniami do aktów prawnych dotyczących nauki i działalności badawczo-rozwojowej. Na szefa zespołu do opracowania założeń, a następnie stosownych ustaw, powołany został w randze podsekretarza stanu, prof. Stefan Amsterdamski. Zostałam włączona w skład tego, nieformalnego zresztą, 6-cio osobowego zespołu. Czułam tremę pomimo swoich wieloletnich doświadczeń w prowadzeniu badań naukowych i w organizowaniu działalności badawczej.

Wykorzystanie posiadanej wiedzy do tworzenia nowego systemu organizacji i finansowania badań naukowych stosownie do nowych reguł, a przede wszystkim odejście od zasad centralnego sterowania i wprowadzenie zasad konkurencyjności, wymagało radykalnej zmiany stosowanych dotychczas kryteriów oceny co jest dobre, a co złe.

Przeanalizowanie stosowanych za granicą systemów organizacji i finansowania badań naukowych (angielskiego, amerykańskiego, francuskiego), a także dyskusje w środowisku naukowym, dały podstawę do przyjęcia koncepcji utworzenia instytucji będącej połączeniem wybieralnego, decyzyjnego grona uczonych oraz części administracyjno-wykonawczej i przyznawania środków finansowych na zasadach konkursowych. Prace zakończyły się w styczniu 1991 r. uchwaleniem przez Sejm ustawy o Komitecie Badań Naukowych. Wtedy też rozpoczęło się przygotowywanie aktów wykonawczych do ustawy, a w szczególności rozporządzeń dotyczących procedur wyboru członków Zespołów Komitetu i procedur składania i oceny wniosków o finansowanie.

Równolegle do prac legislacyjnych prowadzone były działania dotyczące organizacji urzędu Komitetu. Moim zadaniem stało się zorganizowanie departamentu bezpośrednio współpracującego z zespołami profesorskimi. Powstał Departament Badań, którego zostałam dyrektorem. To był trudny, ale też bardzo ciekawy okres mojej pracy. Zasadniczym problemem było przygotowanie kadry do obsługi konkursów projektów badawczych (grantów). Część pracowników przejęto z likwidowanego Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń. Obsługa informatyczna składała się z dwóch PC 256 MB i dwóch osób umiejących z nich korzystać. Brak było programu do rejestracji wniosków, a tym bardziej systemu informatycznego do ich oceny i wyboru. Na wykonanie

niezbędnych prac mieliśmy ok. pół roku - do ustalonego terminu zamknięcia pierwszego konkursu wniosków grantowych. Ale mieliśmy już wtedy kilkanaście komputerów i program do rejestracji wniosków. W trakcie tworzenia była wewnętrzna sieć komputerowa departamentu. Byliśmy już na tyle przygotowani, że mogliśmy zapewnić niezbędną obsługę administracyjno-wykonawczą Zespołów Komitetu.

Przewodniczącym Komitetu Badań Naukowych w randze ministra, członka Rady Ministrów, został prof. Witold Karczewski. Stworzył On niezwykle atmosferę współpracy i wzajemnej życzliwości pomiędzy członkami Komitetu i pracownikami urzędu. Wszyscy nauczyliśmy się swoich nowych ról. W Departamencie Badań koncentrowały się kontakty ze środowiskiem naukowym. Mieliśmy obraz jak funkcjonują przyjęte unormowania. Wspominam spotkania z przewodniczącymi Zespołów, na których omawialiśmy swoje spostrzeżenia i propozycje działań.



Otwarcie jednej z nowych inwestycji w Państwowym Instytucie Geologicznym

W środowisku naukowym także panował nastrój twórczego niepokoju. Przejawiało się to podejmowaniem licznych inicjatyw przez jednostki naukowe, w których finansowo uczestniczył KBN. Dla przykładu wymienię tylko niektóre. Już na samym początku utworzenia KBN bardzo aktywne okazało się środowisko informatyków. Przy Uniwersytecie Warszawskim powstał instytut pn. Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa (NASK, który odegrał bardzo ważną rolę w przyłączeniu

Polski do Internetu), w Gdańsku utworzono Centrum Informatyczne - Trójmiejska Akademicka Sieć Komputerowa (TASK), W Poznaniu, przy Instytucie Chemii Bioorganicznej, powstało Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe, w Krakowie rozbudowano Akademickie Centrum Komputerów Dużej Mocy (CYFRONET-AGH), utworzono Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego Uniwersytetu Warszawskiego (ICM).

Dużo inicjatywy wykazywały również środowiska naukowe zajmujące się badaniami morza - zbudowano statki badawcze "Baltica" (Morski Instytut Rybacki w Gdyni) i "Navigator XXI" (Akademia Morska w Szczecinie), nowe laboratoria Oddziału Geologii Morza Państwowego Instytutu Geologicznego. Wybudowano w Obserwatorium Astronomicznym UMK w Toruniu największy w Europie Środkowej radioteleskop.

Intensywnie rozwijano współpracę naukową z zagranicą; Polska, mająca status obserwatora, w 1991 r. stała się pełnoprawnym członkiem Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN.

Intensywny rozwój informatyki, skierowanie znacznych środków finansowych na inwestycje i zakupy aparatury badawczej oraz na finansowanie projektów badawczych własnych, przyniosły dobre efekty w rozwoju nauki. Miałam dużą satysfakcję z pracy w urzędzie Komitetu Badań Naukowych. Zostałam odznaczona Kawalerskim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski.

Na podstawie ustawy z 8 października 2004r. Komitet Badań Naukowych, jako organ naczelny administracji rządowej, przestał istnieć. Jego uprawnienia przejęło Ministerstwo Nauki i Informatyzacji.

... i emerytura

Pracę zawodową zakończyłam w 2005r. Do przejścia w "stan spoczynku" byłam przygotowana. Mogę potwierdzić słuszność starego przysłowia "Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz". "Ścielenie" zaczęło się w połowie lat 70-tych, chociaż nie myślałam wtedy jeszcze o emeryturze. Zapanowała wówczas moda na budowę domów letniskowych w okolicach Warszawy. Odwiedzaliśmy naszych znajomych w ich "daczach" i uznałam, że posiadanie takiej odskoczni jest całkiem niezłym pomysłem. Mąż początkowo nie podzielał tego poglądu – twierdził, że spędzanie wolnego czasu w jednym miejscu jest bez sensu i nie będzie angażował się w takie przedsięwzięcie, szczególnie, że nie mieliśmy wystarczających zasobów finansowych. Poszliśmy na kompromis: działka będzie nie w okolicach Warszawy, a na Mazurach nad Jeziorem Nidzkim w Karwicy, ja zajmę się budową i będziemy tam jeździli wtedy, gdy nie będzie bardziej atrakcyjnych pomysłów na spędzenie wakacji. Tak się też stało.

Nie miałam wtedy pojęcia w co wchodzi. To był *hard core*. Zdobywanie materiałów na budowę graniczyło z cudem. Budowę prowadzili robotnicy, którzy tylko z nazwy byli murarzami lub cieślami. W 1977 r. wylano fundament, w 1978r. zakończono budowę. Dość szybko zapomniałam o tych przeżyciach. Widok z okien na jezioro, tak czysta woda w jeziorze, że można było łowić raki, piękna i grzybna Puszcza Piska w zasięgu krótkiego spaceru, w bliskim sąsiedztwie znajomi i przyjaciele, zadowolony mąż i córka - to były walory, dla których warto było podjąć wysiłek. Wprawdzie jeszcze kilka lat trwało doprowadzanie domu do satysfakcjonującego stanu, ale to już była sama przyjemność.

Teraz, na emeryturze, spędzamy w Karwicy więcej czasu, tyle, na ile pozwalają obowiązki zawodowe męża – wykłady na Politechnice, działalność w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich, w Wydziale IV PAN. Nie pożegnaliśmy się też z naszymi turystycznymi zainteresowaniami. Będąc tu zwiedzamy ciekawe miejsca na Mazurach, a co najmniej raz w roku, jak dotychczas, wyjeżdżamy na wycieczki zagraniczne, które sama przygotowuję.

Od połowy lat 90-tych w wyjazdach towarzyszy nam wnuczka Kasia, a od 2004r. dołączyła do nas reszta rodziny - córka Magda (też elektryk) z mężem i wnuczek Jaś. Bardzo sobie chwalimy takie wspólne wyjazdy.



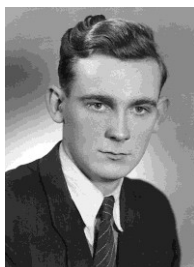
Maroko, Sahara - 2005r.

Przygotowanie wyjazdu to dość długi proces. Trzeba dokonać wyboru: dokąd jechać, na jak długo, co trzeba zobaczyć – w tym określić

cel przewodni (np. wulkany Włoch, klasztory Meteora w Grecji), jaką wybrać trasę, na jakie etapy podzielić podróż. Taki program ramowy musi być na tyle elastyczny, żeby można było wprowadzać spontaniczne zmiany w trakcie wyjazdu. Jedynym ograniczeniem jest rezerwacja hoteli, której dokonuję przez Internet. Te moje działania, wnuczka Kasia nazwała żartobliwie – Biuro Podróży "Babcia Basia". Po powrocie robię dokumentację wycieczki – opis i fotografie.

W trakcie wycieczek robiłam od kilkudziesięciu do kilkuset zdjęć. Do czasu wejścia techniki cyfrowej, zdjęcia były na błonach fotograficznych i slajdach. Odbitki wykonane przez zakłady fotograficzne nie były dobrej jakości. Poza tym, obecnie zdjęcia przechowuje się na ogół na dyskach komputerowych, a nie w albumach. Pomocnym okazał się skaner do filmów i slajdów Nikon. Jego cechą jest to, że skanowanie jednego zdjęcia zajmuje ok. 5 minut. Co najmniej tyle czasu zajmuje też opracowanie zdjęcia za pomocą programu Photoshop. Ale przecież mam czas...

Jerzy Dąbrowski



Elektroenergetyka z żeglarskim hobby

Czasy studenckie

Szkolę podstawową ukończyłem w roku 1948 i zostałem przyjęty do Liceum Ogólnokształcącego w Wyszku. Lata nauki w Liceum wspominam jako okres bardzo nieciekawych. Wychowawcą naszej klasy, a następnie po roku, także i dyrektorem, był gorliwy zwolennik systemu panującego w PRL. Ja, jako syn oficera „sanacyjnego”, byłem dla niego czarną owcą i był do mnie zdecydowanie źle nastawiony. W związku z trwającą w tym czasie wojną koreańską w szkole odbywały się poranne apele, na których wytypowani uczniowie podawali bieżące, odpowiednio przygotowane informacje, a my potępialiśmy imperialistów amerykańskich. Często, jako uczniowie, byliśmy wysyłani do okolicznych wsi, jako „agitatorzy” w bieżących problemach życia codziennego, to znaczy głównie do wyjaśniania braków podstawowych artykułów i narzędzi rolniczych. W okresie przygotowań do egzaminów maturalnych miała miejsce straszna tragedia. Po wspólnej nauce w prywatnym mieszkaniu, nie powrócił do domu jeden z uczestników nauki. Po kilku dniach znaleziono go zamordowanego, leżącego w wodzie na brzegu rzeki. Po 1956 roku stało się publiczną tajemnicą, że morderstwa dokonali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Takie zdarzenia były niezamierzoną przez władze edukacją społeczno-polityczną.

Przed egzaminami maturalnymi w roku 1952 należało wypełnić formularze zgłoszenia na uczelnię. Ja od dawna marzyłem o budowie okrętów na Politechnice Gdańskiej i tak wypełniłem formularz, ale mój dyrektor stwierdził, że na tę uczelnię nie zasługuję. Po dyskusjach zgodził się, abym wypełnił zgłoszenie na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. W czasie balu maturalnego Mama dowiedziała się od dyrektora, że nie powinienem się dostać na studia „ponieważ mój Ojciec poległ i nie zasłużył się Polsce ludowej”. Oczywiście o tej rozmowie dowiedziałem się od Mamy dużo później, będąc już studentem. Mogę tu

tylko wspomnieć, że sam dyrektor był przedwojennym podoficerem rezerwy, ale bardzo chciał się zasłużyć tej nowej władzy ludowej.

Przyszedł czas egzaminów na studia, do których bardzo pomagał mi przygotować się szwagier Mamy, wujek inż. Leonard Bosk, który przed wojną był asystentem na Politechnice Warszawskiej. Po egzaminach zostałem powiadomiony o przyjęciu na pierwszy rok Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej.

Tu jako ciekawostkę muszę wspomnieć, że wielokrotnie byłem zapytywany przez moich szkolnych kolegów partyjnych, czy to prawda, że dostałem się na studia, na co odpowiadałem twierdząco. Sprawa tych pytań wyjaśniła się dopiero w roku 1972, kiedy to Mamę, mieszkającą nadal w Wyszowie, odwiedził nieznajomy mężczyzna i poinformował, że w roku 1952 pracował w Kuratorium Oświaty w Pułtusku i przy kwalifikacji kandydatów na wyższe uczelnie uwagę jego zwróciła wyjątkowo niekorzystna na tamte czasy opinia. Zapoznał się z nią szczegółowo i zorientował się, że dotyczy syna jego znajomego sprzed wojny i opinię zmienił. Po tej informacji szybko pożegnał się i wyszedł. Niestety Mama tego Pana nie rozpoznała, ale uznaliśmy, że to Opatrzność nad nami czuwała.

Czas studiów był dla mnie trudny ze względu na warunki finansowe, w jakich znajdowała się moja rodzina. Mama miała na utrzymaniu mnie, młodszego brata i Babcię. Od drugiego roku studiów otrzymywałem stypendium. Cały czas studiów obiady jadłem w studenckiej stołówce w budynku na rogu Alei Niepodległości i Koszykowej. Praktycznie cały okres studiów współpracowałem ze stałą grupą, w skład której wchodził: Marysia Kwasięborska (Malewska-Łącka), Ryszard Malewski, Janusz Strzyżewski, a często też Alicja Mróz-Peczyńska. W tym zespole przygotowywaliśmy się też do kolejnych egzaminów, a w wolnych chwilach między zajęciami żeglowaliśmy razem z Marysią i Ryśkiem po Wiśle jako członkowie Klubu „Rejsy”.

Wszyscy studenci od pierwszego roku studiów przechodzili obowiązkowe szkolenie wojskowe w ramach zajęć Studium Wojskowego. Na zajęcia wojskowe przeznaczony był jeden dzień raz na dwa tygodnie. Przebieraliśmy się od rana w zielone kombinezony i zajęcia odbywały się w budynku „Nowej Kreślarni” na terenie głównym Politechniki lub na Polu Mokotowskim.

W lipcu 1957 roku cały nasz rocznik został wysłany na obóz wojskowy do Morąga, jako piechota. Obóz zlokalizowany był w starych prusko-kościelnych koszarach, w których widać było wpływy „Wschodu”, na zewnątrz w miarę porządek, ale obok drzwi prowadzących z kondygnacji podziemnej ciężko było przejść ze względu na dochodzące zapachy. Obok koszar zlokalizowany był rozległy lekko pagórkowaty teren

ćwiczeń. Na tym terenie odbywaliśmy większość ćwiczeń, a w pamięci wielu z nas zapadły ćwiczenia prowadzone przez sadystę porucznika „glizdę”. Członkowie ćwiczących pododdziałów nieśli w czasie ćwiczeń rozłożony na elementy ckm, a porucznik preferował bieg wokół pagórka do momentu, aż ćwiczący zaczęli padać z wycieńczenia. Pamiętam, jak pewnego dnia nasz kolega Zenek Fiuczek (później zmienił nazwisko na Czarnecki) zorganizował wśród dobrych znajomych zbiórkę do czapki. Poinformował nas jednocześnie, że zebrane pieniądze potrzebne są na ucywilizowanie porucznika „glizdy”. Zenek zlokalizował miejsce zamieszkania porucznika, który mieszkał w miejscowości odległej o jedną stację kolejową od Morąga i z dwoma kolegami wymykał się po zajęciach z koszar i przebrani pod domem porucznika spuszczały mu manto. Zaskoczeniem dla nas była zbiórka pieniędzy po rozpoczęciu roku akademickiego, po powrocie z ćwiczeń wojskowych, ale Zenek wyjaśnił, że porucznik do końca był niepoprawny, więc należy mu się kolejne lanie.

Ważną i miłą odskocznią od ponurej rzeczywistości i biedy w czasie studiów było niewątpliwie żeglarstwo. Cały wolny czas spędzałem z kolegami żeglując na Wiśle lub na Bugu. W latach 50-tych moją ulubioną wyprawą był rejs w górę Bugu przed nocą „świętojańską” 23/24 czerwca i spływanie od wieczora przez noc do Wyszkowa, podczas gdy w mijanych wsiach nad rzeką paliły się ogniska, przy których zebrani ludzie śpiewali piosenki, a rzeką płynęło wiele wianków oświetlonych lampkami, puszcanych z kolejnych wsi.

Będąc cały czas członkiem Klubu w Wyszowie, na pierwszym roku studiów zapisałem się do Sekcji Żeglarskiej AZS. Przystań mieliśmy po praskiej stronie Wisły – w dół rzeki przy moście Poniatowskiego (przedwojenny budynek Oficerskiego Yacht Klubu). Panowała tam wspaniała koleżeńska atmosfera, ja miałem przydzieloną pod opiekę żaglówkę klasy „Olimpijka”, na której bardzo lubiłem żeglować po Wiśle. Niestety, w związku z budową stadionu 10-lecia władze Warszawy zdecydowały o likwidacji klubu w tym miejscu i przeniesieniu go daleko w górę rzeki, a budynek klubu zburzono. Trudno było i wtedy, i dziś zgadnąć, komu klub w tym miejscu przeszkadzał. Teren przez wiele lat był zarośnięty nadrzecznymi krzakami – dopiero w roku 2010 zaczęto tam organizować plażę miejską. W 1954 r. przenieśliśmy się do nowo powstałego Żeglarskiego Klubu Turystycznego „Rejsy” PTTK, który zlokalizowany był i jest nad kanałem Czerniakowskim na terenie przedwojennego klubu „Syrenka”, a ja nadal jestem członkiem tego Klubu.

W roku 1955 władze państwowe zdecydowały się, po latach zamknięcia na łańcuch portów morskich dla jachtów, na wypuszczenie z portów na morze kilku jednostek, a ja otrzymałem z Klubu LOK w Wyszowie skierowanie na rejs morski na jachcie s/y „Młoda Gwardia”,

bo tak chwilowo w PRL nazywał się jacht „Generał Zaruski”, który wypłynął w rejs razem z jachtami: „Kolektyw” (przedwojenny i wkrótce znów „Korsarz”), „Towarzysz” (dawna „Venus”) i „Zetempowiec”(dawna „Spartanka”). Na każdym z jachtów był podoficer WOP z radiostacją, a jachty miały się trzymać w zasięgu wzroku. Zadaniem kapitana było takie wykorzystanie warunków sztormowych, aby wszyscy się pogubili, a dzielny wopista zdrowo pochorował na chorobę morską. W rejsie tym odwiedziliśmy Kołobrzeg i Ustkę. Szczególnie Kołobrzeg wywarł na mnie przykre wrażenie z powodu ogromu zniszczeń. Z portu widać było daleko stojące mury zniszczonej katedry, której nie zasłaniały ruiny okalających ją domów. Radiostacja przydała się w drodze z Ustki do Gdyni, gdy na otwartym morzu zaobserwowaliśmy pływającą minę morską. Po zawiadomieniu Gdyni o znalezisku dostaliśmy polecenie obserwować minę z bezpiecznej odległości do czasu, aż przyplynie okręt Marynarki Wojennej i wskażemy mu położenie miny.

W następnym roku znów na tym samym jachcie spotkałem się z kolegami z mojego warszawskiego klubu. Obserwowaliśmy, jak grupa naszych trochę starszych kolegów żeglarzy szykuje się do „dużego” rejsu na koniec Zatoki Botnickiej na jachcie LPŻ s/y „Orion”. W czasie tego rejsu postanowiliśmy, że my też popłyniemy w daleki rejs – do Finlandii. Po powrocie do Warszawy skompletowaliśmy załogę i zaczęli załatwiać formalności. Zdawaliśmy sobie sprawę, że problemem będzie uzyskanie paszportów. Sprawę dokumentów załatwiliśmy razem całą załogą i metoda okazała się skuteczna na paszportowych urzędników, bo gdy jednego z nas wyrzucali, zza drzwi wchodził następny i w końcu otrzymaliśmy po kolei potrzebne pieczątki, dokumenty i w rezultacie paszporty na rejs do Finlandii oraz mogliśmy wykupić w banku po 5 dolarów na osobę. Wiz nie potrzebowaliśmy, bo Ambasada Finlandii poinformowała nas, że w tym kraju żeglarzy nie obowiązują wizy. Rejs na jachcie s/y „Orion” wypożyczonym nie bez problemów od LPŻ-u podczas którego odwiedziliśmy Helsinki, trwał od 25.09. do 10.10.1956 r. i obfitował w wiele przygód. Najpierw chcieli nas koniecznie aresztować na morzu Rosjanie, bo kto to wymyślił, aby spokojnie pływać jachtem po morzu. Użyli w tym celu wodnopławca, kutra straży przybrzeżnej, a w końcu niszczyciela, który nas pilnował prawie do fińskich wód terytorialnych. Przynajmniej nie musieliśmy się martwić o prawidłową pozycję na morzu, na naszą prośbę co godzinę wypisywali aktualną pozycję na tablicy wywieszanej na ich burcie. Po wejściu do portu zacumowaliśmy przy pirsie klubu zlokalizowanego na wyspie w centrum miasta, gdzie mimo zakończenia sezonu zostaliśmy miło przyjęci. W klubie dano nam do dyspozycji łódkę do kontaktowania się z miastem. W Finlandii byliśmy przyjmowani niezwykle gościnnie jako załoga pierwszego polskiego jachtu

po wieloletniej przerwie. Działo tam z czasów przedwojennych Towarzystwo Fińsko-Polskie, które zorganizowało z okazji naszego przybycia spotkanie, w miejscowej prasie ukazał się artykuł ze zdjęciem załogi.

Bardzo interesujące było muzeum poświęcone walkom bohaterskiej Armii Fińskiej po napaści Armii Czerwonej na Finlandię w listopadzie 1939 r. (ciąg dalszy realizacji paktu Ribbentrop-Mołotow), w czasie której Sowieci ponieśli bardzo wysokie straty i właśnie o szczegółach tych walk opowiadano nam z dumą w muzeum.

Muzeum to miało zdecydowanie charakter antyradziecki, pokazując kolejne ciężkie klęski agresora. W tym muzeum przypomniały mi się rozmowy rosyjskich żołnierzy prowadzone w domu z Babcią w 1945 r., którzy wspominali o ciężkich walkach w Finlandii, stwierdzając, że przeżyli ci, którzy chowali się za grube sosny. Szereg lat później, podczas mojej kolejnej wizyty w Helsinkach, chciałem muzeum zwiedzić ponownie, ale już go nie odnalazłem. Znajomi Finowie poinformowali mnie, że zostało zlikwidowane ze względu na dobro stosunków dwustronnych. W drodze powrotnej, ze względu na sztormowe warunki, obawiając się, że zabraknie nam jedzenia, poprosiliśmy przepływający szwedzki statek, którego nazwę pamiętam do dziś – s/s „Oskar Gorthon”, międzynarodowym sygnałem flagowym TK „potrzebuję żywności” o pomoc, która została nam natychmiast udzielona. Spuścili szalupę, która przywiozła nam spory zapas jedzenia, a także zawiadomili Gdynię Radio, że spotkali polski jacht sprawny, który jest w drodze do kraju. Rejs zakończył się pomyślnie, jednak komplikacje wystąpiły w następnym roku, kiedy jeden z kolegów z załogi w wychodzącym wtedy magazynie „Dookoła Świata” opisał rejs artykule „Jachtem do Helsinek”. Władze zawiesiły kapitana w prawach do prowadzenia rejsów, „bo jak to możliwe, aby kapitan socjalistycznego jachtu prosił kapitalistów o pomoc”. Z powodu przedłużenia się rejsu na Politechnice zjawiłem się dopiero 11 października.

Rozpoczynając studia miałem obowiązek zgłosić się do Uczelnianego Koła ZMP w celu kontynuowania przynależności do tej organizacji. Szczególnie w dwóch pierwszych latach odbywało się szereg zebrań i spotkań, na których śpiewaliśmy głównie rosyjskie „czastuszki”, dyrygowała nami grupa naszych kolegów studentów pochodzenia „polskiego”, za przekonania komunistyczne wydalona z Francji. Byliśmy także wysyłani na różne akcje propagandowe i agitacyjne, ale nie pamiętam, byśmy je traktowali poważnie. Mała aula w gmachu głównym zamieniona była początkowo w „kapliczkę” nowych władców, gabinet marksizmu-leninizmu. Przynależności do ZMP i znaczka tej organizacji pozbyłem się w czasie zbiórki naszego roku studiów przed wymarszem z Uczelni na wiec „towarzysza Gomułki” w październiku 1956 r., gdy jeden z kolegów

zapropował, abyśmy kolejno odwiedzili jeden z WC w Gmachu Głównym i tam wrzucili nasze znaczki organizacyjne wraz z przywiązaniem do tej organizacji zagadnienie to kwitując odpowiednim przekleństwem i spuszczeniem wody.

Okres pracy zawodowej

Po ukończonych studiach, rozpocząłem 1 stycznia 1959 r. pracę w Warszawskich Zakładach Radiowych T-1 przy ul. Poligonowej, ale wkrótce okazało się, że rozpoczyna się budowa Wyszowskiej Fabryki Mebli i Urządzeń Wnętrz w Wyszowie, i pilnie potrzebny jest inżynier elektryk. Mama nadal mieszkała w domu rodzinnym w Wyszowie przy ul. Sowińskiego, więc nie namyślając się wróciłem do Wyszowa i rozpocząłem pracę od 10 marca 1959 r. jako inżynier stażysta, pełniąc jednocześnie obowiązki inspektora nadzoru robót elektrycznych na budowie fabryki.

Wkrótce po rozpoczęciu pracy w Wyszowie przypomniało sobie o mnie Ludowe Wojsko Polskie i jako absolwent Studium Wojskowego Politechniki Warszawskiej, w stopniu plutonowego podchorążego zostałem powołany na trzymiesięczne ćwiczenia do Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu w okresie październik-grudzień 1959 r. Spotkałem tam wielu moich kolegów z czasów studiów, co sprawiało, że czas płynął szybko i bez specjalnych problemów. Stałym źródłem zatargów z dowództwem była natomiast następująca sprawa. Wszyscy otrzymaliśmy tylko mundury polowe i gdy w niedzielę większość z nas wybierała się do kościoła na Mszę, to dowództwo zabraniało nam udziału w Mszy tłumacząc, że w mundurach polowych nie wolno chodzić do kościoła. Ale mundurów wyjściowych dla nas nie było i problem powtarzał się co tydzień.

Niestety w mundurach tych nie wpuszczano nas także do większości porządnych restauracji w Rynku miasta. W niedzielę po kościele mieliśmy swoje stałe miejsce pobytu w restauracji w Rynku, która miała duży lokal w starej piwnicy. W październiku 1960 r. Rada Państwa mianowała mnie na stopień podporucznika w korpusie osobowym wojsk inżynieryjnych, z przeniesieniem do rezerwy.

Dni robocze w fabryce były bardzo absorbujące, tydzień roboczy trwał od poniedziałku do soboty włącznie, tylko w sobotę pracowało się krócej, bo do godziny 13.00. Fabryka była zaprojektowana bardzo nowocześnie – olbrzymie połączenie dachów na strunobetonach, co wtedy w kraju było zupełnie nową technologią w budownictwie przemysłowym. Jednak dzięki dobremu kierownictwu budowa fabryki postępowała bardzo sprawnie, co nie znaczy, że nie było problemów technicznych, które jako młody inżynier musiałem rozwiązywać, często zasięgając rady moich kolegów z Warszawy bardziej doświadczonych w pracach na budowie.

W tym czasie wobec faktu, że zakupiliśmy oddział fabryki do produkcji płyt wiórowych w RFN i cała dokumentacja tej części fabryki była po niemiecku, intensywnie uczyłem się języka niemieckiego, a moim nauczycielem była Mama. Nauka przydała się, nie miałem problemów z porozumiewaniem się z niemieckimi specjalistami zarówno podczas pobytu w niemieckiej fabryce, jak też i w czasie rozruchu fabryki w kraju oraz w trakcie późniejszych wyjazdów do Niemiec.



Na terenie budowy fabryki, wiosna 1961 r.

W listopadzie 1961 r., zostałem delegowany w składzie czteroosobowej delegacji specjalistów do Republiki Federalnej Niemiec – do fabryki w Springe koło Hannoveru, gdzie produkowano urządzenia do produkcji nowoczesnych płyt wiórowych, w celu odbycia praktyki w zakresie montażu i obsługi urządzeń do produkcji płyt, które zostały tam dla nas zakupione. Zadaniem moim było następnie przeprowadzenie montażu i rozruch części elektrycznej zakupionej fabryki płyt. Z punktu

widzenia zawodowego wyjazd był udany. Po zakończeniu montażu fabryka płyt wiórowych ruszyła poprawnie, przedstawiciel dostawcy nie miał uwag, jednak z wyjazdem tym łączył się inny niemiły dla mnie problem. Po powrocie z Niemiec zacząłem otrzymywać wezwania poprzez moją Dyрекcję na spotkania ze smutnymi panami w skórzanych płaszczach do herbaciarni „Gong” w Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Panowie ci wiedzieli, że pływam na rejsy morskie i mieli tylko jedno życzenie, abym się zobowiązał do składania sprawozdań z rejsów – opisów tego, co widziałem za granicą. Przy każdorazowym spotkaniu stwierdzałem, że żadnych sprawozdań pisać nie będę, jednak na zakończenie spotkania musiałem podpisać formularz stwierdzający, że o odbytym spotkaniu nie wolno mi nikogo poinformować. W końcu panowie ci stwierdzili, że jeśli nie chcę współpracować, to i na morzu pływać nie będę. Rzeczywiście, w latach 1962 i 63 nie dostawałem zezwoleń na pływania morskie, nawet na tak zwane rejsy krajowe. Jako anegdotę z tych spotkań mogę jeszcze dodać, że panowie ci zwracali się do mnie „towarzyszu Dąbrowski”, na co ja odpowiadałem, że „nie jestem towarzysz tylko pan Dąbrowski”, na co oni, że panów już w Polsce nie ma, ja na to, że jeszcze są i ja jestem pan Dąbrowski, a nie towarzysz. Dialog taki powtarzał się na kolejnych spotkaniach.

W tamtym okresie życie klubowe w „Rejsach” było bardzo aktywne, szczególnie we wtorki, kiedy odbywało się zebranie Zarządu Klubu i spotykało się wiele osób. W czasie tych spotkań jeden z kolegów stwierdził „byłem na spotkaniu w herbaciarni „Gong”, ale nie powiem po co” i tak powstał w klubie zwyczaj, że co jakiś czas któryś z kolegów stwierdzał „byłem w herbaciarni Gong”, ja też do tego grona dołączyłem, ale jednocześnie zorientowałem się, że do herbaciarni są „zapraszani” koledzy, którzy żeglują po morzu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że w związku z tymi zaproszeniami mogą być w Klubie koledzy, którzy nie potrafili odmówić współpracy. Spostrzeżenie to wykorzystywałem kilka lat później, gdy jako kapitan prowadziłem samodzielnie rejsy; miałem podstawy, aby przypuszczać, że jest duże prawdopodobieństwo obecności w składzie załogi przedstawiciela „spółdzielni długie ucho”, bo tak określaliśmy współpracowników bezpieczeństwa.

Po zakończeniu budowy w lipcu 1963 r. zostałem Głównym Energetykiem Fabryki. Praca w fabryce dawała mi satysfakcję zawodową i zadowolenie. Jednocześnie, w związku z rozbudową Huty Szkła Wyszaków, w 1964 r. pełniłem tam obowiązki inspektora nadzoru eksploatacji urządzeń wysokiego napięcia. W latach 1960-65 pracowałem dodatkowo jako nauczyciel przedmiotów zawodowych, początkowo w Szkole Przysposobienia Zawodowego, a następnie w Zasadniczej Szkole Zawodowej.

Po pewnym czasie przypomniała sobie o mojej skromnej osobie „nasza partia”, a szczególnie mój kolega szkolny, który był wtedy działaczem w Powiatowym Komitecie Partii w Wyszkowie. Był on zdania, że wszyscy na kierowniczych stanowiskach muszą być członkami partii, a jeśli nie, to nie mogą pełnić funkcji kierowniczych. W drugiej połowie roku 1965 naciski się nasiliły, od życzliwych mi osób otrzymałem informację, że mam dwa wyjścia: albo wstąpię do partii, albo mnie zniszczą, jeśli dalej będę tu pracował. W tej sytuacji zadzwoniłem do swoich kolegów z czasów studiów (jednym z nich był Leszek Wójcik) – kilku z nich pracowało w Instytucie Elektrotechniki w Warszawie-Międzyzlesiu, gdzie przedstawiłem swoją sytuację i prawie natychmiast dostałem propozycję pracy w Instytucie. Trochę zdziwiony był mój Dyrektor, do którego przyszedłem z podaniem o pilne zwolnienie; był to wspaniały człowiek, ja mu wprost powiedziałem o mojej sytuacji i otrzymałem zgodę na zwolnienie z pracy w fabryce w okresie 2-tygodniowym, z dniem 31.X.1965 r.

W Instytucie Elektrotechniki rozpocząłem pracę od 1.XI.1965 r. początkowo w Międzyzlesiu w Zakładzie Techniki Świetlnej, a mieszkałem w wynajętym pokoju w Aninie na ulicy X Poprzecznej.

Po kilku miesiącach pracy w Międzyzlesiu przenieśliśmy się do Zakładu Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki, który mieścił się w gmachu Elektrotechniki Politechniki Warszawskiej, ponieważ ta praca bardziej odpowiadała mojemu dotychczasowemu doświadczeniu zawodowemu. Praca w instytucie naukowym w PRL, na ogół z niską pensją, miała jedną bardzo ważną dla mnie zaletę, poza kierownictwem Instytutu do partii należeli na ogół ochotnicy, często nieudacznicy, którzy chcieli coś znaczyć, natomiast nie zmuszano pracowników do zapisywania się do tej organizacji „czerwonych”. Pracę w instytutach naukowych kontynuowałem do wiosny 1988 r., korzystając z przysługującego sześciotygodniowego urlopu, podczas którego mogłem żeglować na morzu i śródlądziu.

W sierpniu 1964 r. po kilkuletniej przerwie udało mi się dostać paszport na rejs morski i popłynąłem do Holandii na klubowym jachcie s/y „Jarl”, który prowadził mój przyjaciel z czasów studiów, wtedy już kapitan jachtowy Rysiek Malewski. Był to wspaniały rejs, podczas którego przepłynęliśmy przez Holandię kanałami od IJmuiden do Rotterdamu, zwiedzając po drodze wiele ciekawych miast. Od tego czasu na ogół bez problemów dostawałem zezwolenia na pływania morskie, o które co roku występowało się indywidualnie za pośrednictwem Klubu. Wprawdzie zezwolenia te wydawane były przez Służbę Bezpieczeństwa, ale żeby lepiej wyglądało, to odpowiednie listy otrzymywały Komitety Kultury Fizycznej

w miastach wojewódzkich i wpisu do Książeczki Żeglarskiej dokonywały upoważnione tam osoby.

W styczniu 1966 roku udało mi się kupić w Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie nowy samochód marki „Trabant 601”. Zaraz też otrzymałem z Urzędu Skarbowego pismo żądające udokumentowania, skąd wziąłem pieniądze na zakup samochodu. Ponieważ pismo to bardzo mnie zirytowało, odpisałem, że jeśli pracowałem przez prawie 7 lat jako inżynier budujący fabrykę w Polsce Ludowej, to uważam, że nie mam powodów do tłumaczenia się i o dziwo dali mi spokój. W kwietniu 1966 r. ożeniłem się i zamieszkaliśmy u rodziny żony początkowo w Rembertowie, a po kilku miesiącach w domu z jej Rodzicami w Wesolej. Urodziły się nam kolejno dwie córki Iwona i Maria w odstępie czteroletnim.

Praca w Zakładzie Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki była bardzo interesująca i twórcza, dzięki wspierałem zespołowi ludzi, którzy tam pracowali (prof. J. Gzylewski, T. Łaś, Ryszard Malewski). W kwietniu 1972 r. Rada Naukowa IEl powołała mnie na stanowisko adiunkta naukowo-badawczego w Instytucie. Po uzgodnieniu ze mną z dniem 1.IX.1972 r. zostałem służbowo przeniesiony do Instytutu Energetyki Warszawa Mory do Zakładu Wysokich Napięć i powołany na stanowisko adiunkta naukowo-badawczego tego Instytutu. Rozpocząłem pracę w Laboratorium Wysokich Napięć, którego wkrótce zostałem kierownikiem, a w styczniu 1975 r. powołano mnie na stanowisko zastępcy kierownika Zakładu Wysokich Napięć. Od początku 1975 r. brałem czynny udział w projektowaniu nowoczesnego laboratorium najwyższych napięć do badań układów izolacyjnych sieci o napięciu 400 i 750 kV, a następnie nadzorowałem jego budowę i uruchomienie.

Jako Kierownik Laboratorium Najwyższych Napięć brałem czynny udział w pracach powołanej przez Rosjan organizacji „Interelektrotest”. Organizacja ta skupiała przedstawicieli wszystkich laboratoriów wysokich napięć i wielkich mocy krajów członków RWPG oraz Jugosławii. W ramach „Interelektrotestu” odbywały się dwa razy w roku spotkania przedstawicieli wszystkich laboratoriów, w grupach wysokich napięć i wielkich mocy, kolejno we wszystkich krajach członkowskich RWPG (nie było spotkań w Jugosławii). W czasie spotkań, którymi kierowali Rosjanie, zapoznaliśmy się z laboratoriami w kolejnych krajach, z wyjątkiem laboratorium w Rosji, do którego mimo wielu prób z naszej strony, nie zostaliśmy wpuszczeni. Omawiano możliwości wspólnych badań, które planowali Rosjanie i rozdzielano poszczególnym uczestnikom spotkania zakresy badań do wykonania w laboratoriach. Wyniki badań należało przekazywać do organizatorów.

W roku 1975 dzięki imiennemu zaproszeniu, którego inicjatorem był mój przyjaciel dr Ryszard Malewski, wówczas już pracownik naukowy

Kanadzie, odbyłem 6-miesięczny staż w największym na świecie laboratorium najwyższych napięć w Hydro-Quebec Institute of Research, Varennes Canada, które zostało dwa lata wcześniej uruchomione. Celem stażu było zapoznanie się z rozwiązaniami zastosowanymi przy budowie tego laboratorium i wykorzystanie zdobytych doświadczeń przy budowie laboratorium Najwyższych Napięć Instytutu Energetyki w Warszawie.

Z pobytu w Kanadzie pozostały mi bardzo miłe wspomnienia dotyczące moich gospodarzy – Kanadyjczyków, od których uzyskałem szereg informacji ważnych dla budowy laboratorium w Kraju. Ponadto wykonałem ciekawe badania w laboratorium, dotyczące między innymi układów dla napięć między 600 i 1200 kV prądu stałego.

Niestety, mam bardzo złe wspomnienia z kontaktów z Konsulatem Generalnym USA w Montrealu. Występowałem tam o wizę umożliwiającą wyjazd wraz z przyjaciółmi do ich domku letniskowego (kotydzu) nad jeziorem Lake Champlain w Stanach, niedaleko od granicy kanadyjskiej, uzyskując za każdym razem, po miesięcznym oczekiwaniu, zgodę na jednokrotne przekroczenie granicy. Spotkałem się tam z aroganckim traktowaniem i chamskim zachowaniem panów wicekonsulów USA, którzy przeprowadzali rozmowy z osobami składającymi wnioski wizowe. Zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie powinienem się dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że ich cywilizacja liczy sobie 200 lat wobec tysiącletniej polskiej. Kiedyś przyjdzie czas, że i oni nauczą się kultury.

O moim pobycie w Kanadzie przypominano mi w dosyć dziwnych okolicznościach po kilku latach. Odwiedził mnie w Instytucie, jako Zastępcę Kierownika Zakładu Wysokich Napięć (Kierownik Zakładu był nieobecny), osobnik pewny siebie, który się nie przedstawił. Oświadczył on, że sprawa, o której będziemy rozmawiali jest poufna, i przekazał mi kilka zagranicznych opracowań naukowych w języku angielskim, dotyczących technik wysokonapięciowych. Opracowania te były pozbawione stron tytułowych, nie można było więc określić skąd pochodzą (gdzie je skradziono). Moim zadaniem było siłami Zakładu ocenić przydatność tych opracowań dla potrzeb krajowych. Przyjmując te opracowania zacząłem je przeglądać i ku mojemu zdumieniu trafiłem na opracowanie, które sam wykonałem w Kanadzie, dotyczące wytrzymałości izolacji przy napięciu stałym 1200 kV. Oświadczyłem wtedy, że znajduję tu swoje opracowanie i za chwilę wyjąłem z szuflady to samo opracowanie, ale ze stroną tytułową. Osobnik trochę się zmieszał i przekonywał mnie, że nie wolno mi nikomu o tym powiedzieć, czego zresztą nie uczyniłem. Jeśli chodzi o moje opracowanie, to mogę przypuszczać, że skopiowano je w naszej Ambasadzie w Montrealu. Wracając z delegacji służbowej do Kraju miałem prawo przekazać wszystkie dokumenty i książki do Ambasady celem dostarczenia ich do mnie do miejsca pracy. Była to wygodna forma, bo

papiery są ciężkie, a limit bagażu na przelot nie uwzględniał faktu, że leciałem na pół roku, wylatując w marcu, a wracając we wrześniu. W stosunku do moich kanadyjskich gospodarzy czułem się mimo wszystko w porządku, ponieważ uzgodniłem z moim szefem, co chcę zabrać ze sobą i wszystkie materiały, jakie zabierałem, na szereg dni wyłożyłem na moim biurku, informując współpracowników, że zabieram je za zgodą szefa do Instytutu w Warszawie.

Uważam, że warto jeszcze wspomnieć moje doświadczenie dotyczące współpracy z Centralą Handlu Zagranicznego. W końcu lat 70. polskie przedsiębiorstwa elektroenergetyczne budowały w Iraku szereg linii 123 kV. Ponieważ był to duży kontrakt, wszystkie łańcuchy izolatorowe izolatorów szklanych kołpakowych francuskiej firmy Sediver oraz same izolatory były badane w naszym laboratorium wg norm międzynarodowych, pod moim kierownictwem. Co jakiś czas wyniki badań sprawdzał jeszcze niezależny ekspert ze strony zlecającego. Tak się niestety złożyło, że same izolatory nie spełniały wymaganej normą próby na przebicie w oleju. Próbę tę powtarzałem wielokrotnie, z tym samym negatywnym wynikiem; robione dla porównania próby na izolatorach rosyjskich, generalnie gorszej jakości, tę próbę przechodziły pomyślnie. O tej sytuacji poprzez Dyрекcję Instytutu zostało powiadomione Ministerstwo i tam zdecydowano, że natychmiast mam udać się do Paryża, wraz z przedstawicielką Elektrimu, aby wyjaśnić sprawę z przedstawicielami Sedivera. W maju 1979 r. poleciliśmy do Paryża i zaczęły się trudne rozmowy. Dostawca twierdził, że moje badania są błędne, a według ich badań wszystko jest w porządku. Ja miałem z sobą komplet badań i oświadczyłem, że je udostępnię, ale tylko pod warunkiem, że najpierw dostanę ich wyniki badań. Szybko zorientowałem się, że takich badań nie mają. Po długich, ciężkich dyskusjach, gdy zorientowali się, że ja nie zmienię zdania, przyznali się, że izolatory, które idą do Iraku, nie są zgodne z kontraktem – czyli nie są produkcji Sedivera, ale ich filii w Anglii, dotychczasowej angielskiej firmy Pilkington. Ponieważ groziło oczywiste zerwanie kontraktu, zaproponowali, że na dalsze partie obniżą cenę i będą to izolatory Sedivera. Chodziło wtedy o dostawę jeszcze około 45 tysięcy sztuk izolatorów. Zaproponowali zamiast 34,30 FFr. cenę 32,0 FFr. za sztukę. Muszę powiedzieć, że byłem z przeprowadzonych rozmów zadowolony, ale wynik naszych negocjacji musiała zatwierdzić centrala Elektrimu w Warszawie. Nie czekaliśmy długo, przy dobrym koniaku, na odpowiedź, która mnie zupełnie zaskoczyła. Przyszła zgoda na wysłanie po wynegocjowanej cenie 4 tysięcy sztuk izolatorów, reszta będzie negocjowana we wrześniu. Nasi gospodarze Francuzi nie byli w stanie zrozumieć sensu tej decyzji, ja zresztą też. Po powrocie do Warszawy, w Elektrimie jedna z Pań na korytarzu powiedziała mi: „Co Pan chciał

zrobić, pozbawić nas wyjazdów do końca roku?”. Sprawa mnie tak zbulwersowała, że notatki z tych rozmów zachowałem na pamiątkę dziwnych czasów i dziwnej moralności tamtych handlowców.

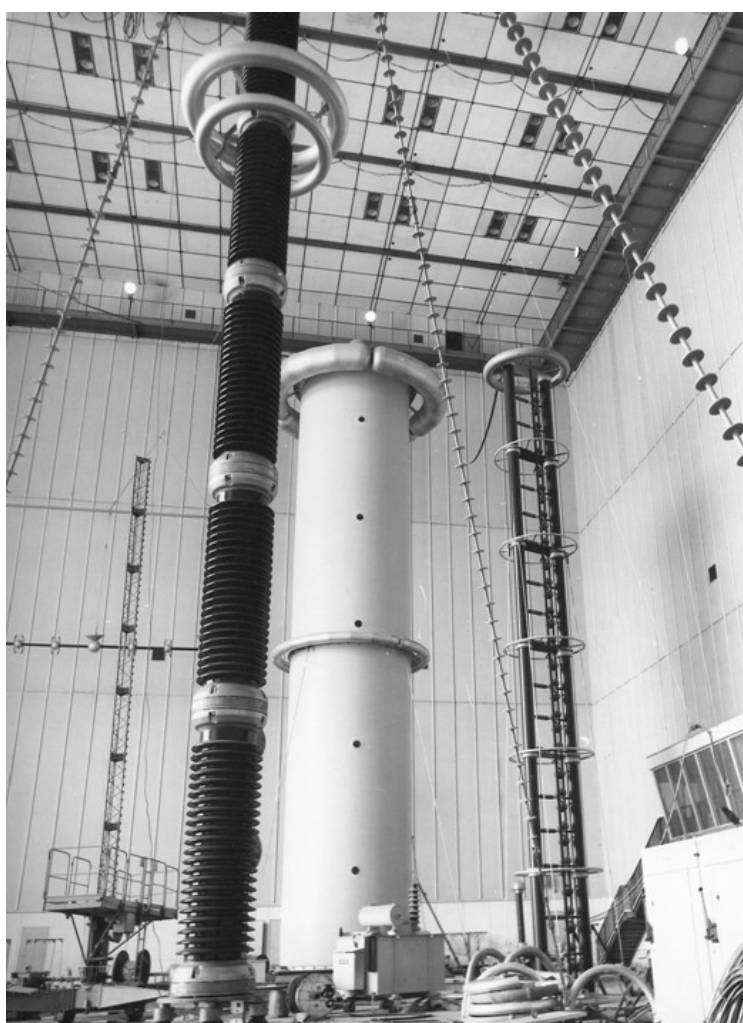
Od początku 1980 r. byłem głównym organizatorem prac związanych z uruchamianiem naszego Laboratorium Najwyższych Napięć. Od połowy grudnia 1980 r. do końca kwietnia 1981 r. kierowałem montażem generatora udarowego 5 MV. Z montażem tego generatora związany był poważny problem, typowy dla czasów PRL, gdzie zamawiający zakup urządzenia z zagranicy nie miał prawa kontaktować się bezpośrednio z dostawcą, a tylko za pośrednictwem którejś z Central Handlu Zagranicznego. Realizację zakupu generatora w Szwajcarii za ponad milion dolarów prowadził Elektrim.

Kontrakt na zakup generatora przewidywał wyjazd naszej ekipy na próby rozruchowe do dostawcy – firmy Haefeli-Szwajcaria. Firma Haefeli powiadomiła Instytut w odpowiednim czasie, że generator jest gotowy do prób odbiorczych i oczekują na nasz przyjazd. Mieliliśmy podczas tych prób potwierdzić zgodność parametrów generatora z zamówieniem i otrzymać całą jego dokumentację montażową. Elektrim cały czas informował nas, że nie są gotowe nasze paszporty, czas płynął, aż przyszedł telex od dostawcy, że po próbach wysłano nam generator. Z powodu opóźnienia budowy nowej hali najwyższych napięć, generator został zmagazynowany w Instytucie w 1976 r. w około stu skrzyniach w jednej z hal laboratoryjnych starego budynku Wysokich Napięć.



Gotowa do montażu urządzeń Hala Najwyższych Napięć IEn.,
i fragment Pola Probierczego 400 kV, z suwnicą bramową 5 Ton

Gdy w końcu 1980 r. hala była przygotowana na tyle, że można było rozpocząć w niej montaż generatora, wystąpiliśmy z prośbą do dostawcy o przekazanie nam niezbędnej dokumentacji, bo mieliśmy tylko prospekt reklamowy. Odpowiedź była dla nas zaskoczeniem, bowiem z przysłanego nam pisma okazało się, że na rozruchu była cała przewidziana umową ekipa, ale tylko z Elektrimu i otrzymała wszystkie dokumenty. W tych czasach powszechnie było wiadomo, że pracownicy Central Handlowych dobrze zarabiają na tzw. dietach zagranicznych. Ważniejszy dla nich był ich własny zarobek, niż interes Instytutu, który reprezentowali, a zdawali sobie sprawę ze swojej bezkarności.



Generator udarowy 5 MV firmy Haefely z układami pomiarowymi
w nowej Hali Najwyższych Napięć I En.

Generator został zmontowany pod moim kierownictwem z udziałem zespołu inżynierów i techników z mojej pracowni, na podstawie prospektu

reklamowego. Prace prowadzone były w bardzo ciężkich warunkach od 1.12.1980 r. do połowy kwietnia 1981 r., ponieważ Hala Najwyższych Napięć (wewnątrz. 45x45x36m), w której odbywał się montaż, nie miała czynnego ogrzewania, a zima była ostra. Dzięki wspaniałemu zespołowi ludzi, z którymi pracowałem, montaż generatora udało się w istniejących warunkach zrealizować.

Nie był to jedyny tego typu przypadek podczas mojej pracy w Instytucie. Analogicznie sytuacja wyglądała z centralą Metronex, za pośrednictwem której był kupowany w NRD, w fabryce TUR Drezno transformator dużej mocy do prób zabrudzeniowych izolacji.

W latach 1982-83 kierowałem realizacją zadania badawczego: „Badania elektryczne łańcuchów izolatorowych z osprzętem prototypowym dla linii 750 kV”. Była to praca twórcza, w wyniku której powstały ostateczne rozwiązania konstrukcyjne układów izolacyjnych dla linii 750 kV Chmielnicka (ZSRR) – Rzeszów. Za pracę tą Ministerstwo przyznało kolejno dwie nagrody:

- Nagroda Zespołowa II Stopnia Ministra Górnictwa i Energetyki w lutym 1985 r. dla kierowanego przeze mnie Zespołu za "Opracowanie prototypu i wykonanie badań konstruktorskich oraz wdrożenie do produkcji osprzętu sieciowego dla linii 750 kV",
- Nagroda Zespołowa I Stopnia Ministra Górnictwa i Energetyki w lutym 1986 r. za udział w opracowaniu: "Unikalne rozwiązania projektowe i realizacja w Polsce układu przesyłowego 750 kV Chmielnicka Elektrownia Atomowa - Rzeszów".

W latach 1983-85, z upoważnienia Dyrektora Instytutu, pełniłem funkcję koordynatora prac Zakładów Instytutu Energetyki na rzecz inwestycji układu przesyłowego 750 kV. W dniu 27 kwietnia 1983 roku Dyrektor Instytutu wręczył mi pismo stwierdzające: „W porozumieniu z kierownikami zainteresowanych zakładów powierzam Obywatelowi koordynowanie prac Instytutu Energetyki związanych z uruchomieniem linii 750 kV w Polsce”.

Prowadzenie prac przygotowawczych do budowy linii 750 kV związane było z licznymi wyjazdami na posiedzenia robocze-koordynacyjne do Lwowa i Kijowa, a także udział w wycieczkach technicznych do pracujących stacji rozdzielczych 750 kV w ZSRR. Zaskoczeniem dla nas były bardzo rzeczowe i szczere informacje przekazywane w czasie tych wyjazdów, dotyczące dostarczanej nam aparatury i wyposażenia rozdzielni 750 kV produkcji radzieckiej, gdzie informowano nas o wszystkich wadach i usterkach, z którymi możemy się spotkać w czasie montażu i eksploatacji. Informacje te potwierdziły się później.

Podczas roboczych narad z partnerami rosyjskimi ustalony był szczegółowy harmonogram prac rozruchowych układu przesyłowego

750 kV Chmielnicka – Rzeszów, który miał być uruchomiony na koniec 1984 roku. Zapisy umowy przewidywały obecność naszych przedstawicieli przy rozruchu na stacji Chmielnicka, a rosyjskich na stacji Rzeszów. W czasie narady w końcu roku 1984 Rosjanie, nie podając powodów, stwierdzili, że uruchomienie układu nastąpi w roku następnym. My ze strony Polski byliśmy gotowi do uruchomienia naszej części układu i zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w końcowym rezultacie opóźnienie uruchomienia będzie przypisane stronie polskiej. W tej sytuacji po rozmostkowaniu linii na granicy uruchomiliśmy nasz odcinek w planowanym terminie 20.XII.1984 roku, z czego bardzo niezadowoleni byli nasi partnerzy. W kilka miesięcy później nastąpił rozruch całego układu przesyłowego, jednak mimo ustaleń nikt z naszych przedstawicieli nie został wpuszczony do rozdzielni przy elektrowni Chmielnicka, tylko przedstawiciele rosyjscy byli obecni w czasie prac rozruchowych w rozdzielni Rzeszów.

Podczas uroczystości uruchomienia tej linii w dniu 20.XII.1984 zostałem odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Odznaczenie to związane było również z budową i uruchomieniem Hali Najwyższych Napięć Instytutu Energetyki.

W dniu 30 marca 1984 r. Rada Naukowa IEn. rozpatrzyła mój wniosek i otworzyła przewód doktorski nt. „Specyficzne cechy układów izolacyjnych w pobliżu słupów linii NN ze szczególnym uwzględnieniem linii 750 kV”. Występując z wnioskiem o otwarcie przewodu zakładałem, że pracę na ten temat wykonam na podstawie badań układów izolacyjnych linii 750 kV przeprowadzonych do 1984 r., jak również – wyników prac i badań związanych z tematyką linii przesyłowych 750 kV, przewidzianych do wykonania w Laboratorium Najwyższych Napięć w latach następnych. Niestety, innego zdania był mój ówczesny, nowy zresztą kierownik Zakładu, a jednocześnie pierwszy sekretarz „naszej zjednoczonej” w Instytucie – zablokował mi tematy prac laboratoryjnych i zabrał klucze do laboratorium, które ja uruchomiłem. Po przeszło dwóch latach złożyłem na ręce Dyrektora Instytutu pismo do Rady Naukowej uzasadniające rezygnację z kontynuowania pracy doktorskiej. Niestety w tamtych czasach ludzie z „naszej partii” byli wszechwładni.

Z generatorem udarowym 5 MV miałem jeszcze jedną „przygodę”. Tak się złożyło, że w jakiś czas po uruchomieniu linii przesyłowej 750 kV, w Oddziale Transformatorów Instytutu Energetyki w Łodzi potrzebny był generator udarowy, wprawdzie o innych parametrach, ale ktoś sobie wykombinował, że można zabrać generator z Instytutu Energetyki w Morach, bo to będzie taniej, niż kupować nowy dla Łodzi. Zostałem w towarzystwie Dyrektora Instytutu zaproszony na spotkanie z Dyrektorem Departamentu w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki, który chciał ustalić

termin i dowiedzieć się o sposobie demontażu generatora. Oświadczyłem wtedy, że tego generatora zdemontować się nie da, ponieważ montaż prowadziłem bez podstawowej dokumentacji (niestety dzięki Elektrimowi) i aby zabezpieczyć pewność montażu kolejnych 25 stopni generatora, stopnie te zostały sklezione na stałe klejem z żywicy epoksydowych, dodatkowo poza plastikowymi śrubami dostarczonymi do montażu. W tej sytuacji próba demontażu skończy się zniszczeniem kolejnych stopni. Ministerstwo odstąpiło od przenoszenia generatora do Łodzi, a ja na wszelki wypadek nie poinformowałem o swoim blefie Dyrektora Instytutu, aby Go nie narażać na stres.

Ciekawym i ważnym wydarzeniem w moim życiorysie, nie tylko żeglarskim, była praca w charakterze zawodowego marynarza. Polscy żeglarze w latach 1984-90 stanowili 7-osobową załogę luksusowego jachtu motorowego m/y „El Bravo”, którego właścicielem był szwajcarski milioner. Jacht ten o długości 46,4 m, zbudowany w stoczni włoskiej w 1982 r., wyposażony w dwa silniki po 2640 KM, pływał pod banderą Panamy – port macierzysty Panama.



Jacht „El Bravo”, zaprojektowany i zbudowany we Włoszech, prezentuje piękną sylwetkę

Załoga na tym jachcie zmieniała się co pół roku w okolicy maja/czerwca i października/listopada. W roku 1987 zostałem zaproszony przez kapitana Z. Pieńkawę do składu załogi jako I oficer – w czasie od czerwca do listopada – oraz w roku 1989 – w czasie od maja do października (w pracy brałem urlop bezpłatny na 5 miesięcy plus urlop normalny).

Jacht posiadał dwie luksusowe dwuosobowe kabiny armatorskie na pokładzie głównym – jedna z nich była jednocześnie gabinetem armatora – oraz cztery luksusowe dwuosobowe kabiny dla gości pod pokładem, dwa salony: jeden na pokładzie głównym, drugi na pokładzie górnym;

dwuosobowe kabiny dla załogi z sanitariatami i prysznicami, dwie motorówki na pokładzie łodziowym i garaż na samochód pod pokładem na rufie.



Autor - oficer na pokładzie łodziowym jachtu

Plan wykorzystania jachtu ustalony przez Armatora był w zasadzie stały i wyglądał następująco: na przełomie maja i czerwca postój w stoczni Palma de Majorka (malowanie i przegląd jachtu po przejściu Atlantyku), wypłynięcie do portu w Ibizie, gdzie jacht miał na okres lata stałe miejsce postojowe przy nabrzeżu portu jachtowego. W okresie lata pływanie po Morzu Śródziemnym, w początkach października powrót na stocznię w Palmie – szczegółowy przegląd maszyn, przygotowanie jachtu do przejścia Atlantyku; na przełomie listopada i grudnia rejs do Brazylii, gdzie jacht pływał do końca kwietnia i zaczynał podróż powrotną do stoczni w Palmie. Na jachcie tym miałem możliwość zapoznania się z najnowocześniejszym na owe czasy wyposażeniem nawigacyjnym, łącznie z nawigacją satelitarną i telefonami satelitarnymi, ale najważniejszym elementem, który usprawiedliwiał taki wyjazd, była bardzo dobra pensja płacona oczywiście w dolarach amerykańskich. Dziennie otrzymywałem więcej, niż wynosiła moja pensja miesięczna w Instytucie, przy istniejącym wówczas przeliczniku dolarowym.

Mogę tu przytoczyć ciekawą opowieść naszego Armatora o historii powstania dużych luksusowych jachtów zdolnych do rejsów atlantyckich. W końcu lat 70. w którymś z klubów, gdzie spotykali się właściciele ówczesnych luksusowych jachtów pływających po Morzu Śródziemnym, w czasie dyskusji padło pytanie: „Czy zdajecie sobie panowie sprawę

z tego, że Rosjanie, jeśli się zdecydują, to mogą być u nas za kilka dni i nic ich nie będzie w stanie powstrzymać, a my znajdziemy się pod ich panowaniem”. Odpowiedź jednego z uczestników spotkania była spokojna: „Tak, ale ja mam już jacht z załogą gotowy w każdej chwili przejść na drugą stronę Atlantyku”. Głównie z tego powodu szereg bogatych armatorów zaczęło budować jachty zdolne do pływania po Atlantyku, obsadzone na stałe załogami. W końcu lat 80. było takich jachtów w Europie około czterdzieści.

Z drugiego kontraktu wróciłem już do innego – wolnego Kraju. Dalsza praca w charakterze marynarza już mnie nie interesowała, po powrocie miałem wspaniałą pracę w swoim zawodzie w Energetyce.

W kwietniu 1988 r. po otrzymaniu propozycji od naszego kolegi Edka Jasińskiego, na własną prośbę przenieśliśmy się do Wspólnoty Energetyki i Węgla Brunatnego – Dyrekcji ds. Naukowo-Badawczych i Wdrożeń, gdzie pracowałem jako główny specjalista ds. aparatury elektroenergetycznej. Z dniem 1.10.1990 r. WEiWB została przekształcona w Polskie Sieci Elektroenergetyczne S.A. Rozpocząłem tam pracę w Dyrekcji Rozwoju jako główny specjalista, a następnie zostałem powołany na kierownika Wydziału Nowej Techniki, gdzie od 1992 r. zajmowałem się także problemami przesyłu energii prądem stałym, zapoznając się z istniejącymi rozwiązaniami w Szwecji i Danii oraz organizując w PSE S.A. kolejne seminaria również międzynarodowe związane z tą tematyką.

Po przejściu przez PSE S.A. linii najwyższych napięć 220, 400 i 750 kV do eksploatacji, z dniem 1.04.1994 r. zaproponowano mi przeniesienie do Dyrekcji Przesyłu na stanowisko Kierownika Wydziału Linii, a następnie pracowałem jako Kierownik Wydziału Techniki Liniowej w Departamencie Zarządzania Majątkiem Sieciowym PSE S.A., aż do chwili przejścia na emeryturę z dniem 30.06.2002 r.

Od lipca 1995 r. do lutego 1998 r., decyzją Zarządu PSE S.A. powołano mnie równocześnie z dotychczas pełnionym stanowiskiem na Kierownika Projektu (po stronie polskiej) połączenia kablowego prądu stałego systemów elektroenergetycznych Polski i Szwecji (450 kV DC, 600 MW), a wg schematu organizacyjnego całości projektu zostałem zastępcą szefa projektu, którym był Szwed z firmy Vattenfall.

Udało mi się zorganizować dobrze pracujący zespół specjalistów (zagadnienia inwestycyjne, systemowe, stacje przekształtnikowe, kable i linie napowietrzne wysokiego napięcia prądu stałego, rozliczenia finansowe z partnerem szwedzkim), który dużym wysiłkiem, pokonując różne biurokratyczne opory doprowadził do załatwienia wszystkich formalności umożliwiających rozpoczęcie prac związanych z budową

połączenia kablowego oraz budową stacji przekształtnikowej po naszej stronie i budowy nowej rozdzielni 400 kV Słupsk.



Autor - Kierownik Wydziału Linii w Dyrekcji Przesyłu PSE S.A.

W czasie pracy w Instytucie Energetyki zostałem członkiem Polskiego Komitetu Wielkich Sieci Elektrycznych (PKWSE), który należy do międzynarodowego stowarzyszenia o nazwie Conseil International des Grands Reseaux Electriques - CIGRE. W latach 1992-2003 byłem członkiem Rady Zarządzającej PKWSE. W ramach pracy w PSE S.A. byłem do 2000 roku aktywnym członkiem międzynarodowej grupy roboczej tej organizacji, biorąc udział w kolejnych Sesjach Generalnych organizowanych co 2 lata w Paryżu. Rada Administracyjna CIGRE w Paryżu wyróżniła mnie tytułem „Distinguished Member” w roku 2002.

Od początku studiów przez cały okres pracy zawodowej, aż do chwili obecnej jestem członkiem Stowarzyszenia Elektryków Polskich, pełniąc różne funkcje organizacyjne. W 2005 roku otrzymałem Złotą Odznakę Honorową SEP, a w roku 2015 medal im. Prof. Pawła Jana Nowackiego.

Czas pracy zawodowej w PSE S.A. wspominam bardzo dobrze. Dzięki przełożonym, którym podlegałem, miałem pełną możliwość realizowania ambicji zawodowych, zapoznawania się z najnowszymi rozwiązaniami światowymi w zakresie budowy i eksploatacji linii najwyższych napięć, podczas bardzo licznych wyjazdów zagranicznych i kontaktów z zagranicznymi specjalistami. Pozwoliło mi to na wprowadzanie tych rozwiązań w praktyce krajowej w tej dziedzinie.

Kierowałem wspaniałym zespołem wysoko kwalifikowanych pracowników, z którymi wspólnie tworzyłem i prowadziłem politykę dotyczącą prawidłowej budowy i eksploatacji naszych linii najwyższych napięć według światowych standardów. Był to wspaniały okres mojej pracy zawodowej.

Za całokształt pracy w PSE S.A. w dniu Święta Energetyka w 2000 roku otrzymałem Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Emeryt

Przyszła emerytura i prowadząc własną działalność zawodową w zakresie doradztwa technicznego głównie dla PSE S.A., mogłem też zająć się bardziej sprawami pozazawodowymi, które mnie od dawna interesowały. Jeszcze od czasu studiów przez cały czas pracy interesowałem się historią udziału Wojska Polskiego w II Wojnie Światowej, jednak temat ten w czasach PRL był traktowany bardzo marginalnie. Szczęśliwie okres PRL skończył się, powstała III RP, ja jednak myliłem się bardzo sądząc, że Wojsko Polskie w III RP będzie się starało nadrobić stracony czas w stosunku do żołnierzy Września. Niestety, w wojsku panował nadal duch minionej epoki, w której ci ludzie zostali wychowani. Nie pomyślano na przykład o wydaniu historii poszczególnych pułków walczących z najeźdźcą w 1939 r., jak to uczyniono w czasach II RP, wydając „Zarys Historii Wojennej Pułków Polskich 1918-1920”. Z braku zainteresowania władz wojskowych prywatna Oficyna Wydawnicza „Ajaks” (Pruszków) rozpoczęła wydawanie serii „Zarys Historii Wojennej Pułków Polskich w Kampanii Wrześniowej”. Oficyna ta korzystając ze wsparcia różnych sponsorów, a także kół przyjaciół poszczególnych pułków, wydała cały szereg opracowań opisujących działania danego pułku w Wojnie Obronnej 1939 r., jednak opracowania dotyczącego 71. pp nie doczekałem się.

Ojciec mój służył do 1939 roku w 71. Pułku Piechoty, który zlokalizowany był w Zambrowie. Pułk ten w dniu 11 września 1939 r. walczył o odbicie miasta z rąk niemieckich. W czasie walk o miasto poległ mój Ojciec i został pochowany w Mogile zbiorowej na miejscowym cmentarzu.

Podczas spotkania z Burmistrzem Miasta Zambrowa, po przedstawieniu zebranych dokumentów, zyskałem pełne zrozumienie dotyczące problemu zmiany formy pomnika na Mogile poległych w walce o Zambrow z uzupełnieniem istniejących nazwisk o sprawdzone nazwiska poległych i tam pochowanych, oraz umieszczenie na pomniku orła II RP i odznaki pamiątkowej pułku. Zmianę formy pomnika doprowadziłem do realizacji zgodnie z przyjętym założeniem. Jednocześnie uzyskałem zapewnienie, że rocznica bitwy będzie w Mieście uroczystie obchodzona.

W związku ze zbliżającą się 70. rocznicą wybuchu Wojny Obronnej 1939 r. postanowiłem, że na tę rocznicę opracuję, na podstawie dotychczas

zebranych materiałów, historię 71. Pułku dotyczącą udziału w walkach 1939 r. i jeśli nie znajdę wydawcy, to wydam opracowanie sam. Realizacja tego zamierzenia stała się realna dzięki poparciu Burmistrza Miasta Zambrowa, który obiecał wydać opracowanie pod tytułem:

„**71. Zambrowski Pułk piechoty. Zarys historii i udział w wojnie obronnej 1939 r.**” W 70. rocznicę bitwy 11.09.2009 r. odbył się wieczór autorski w Regionalnej Izbie Historycznej w Zambrowie zorganizowany przez Miejski Ośrodek Kultury.

Bardzo owocny okazał się mój wyjazd w 2010 r. do Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie, gdzie niezwykle życzliwi i uprzejmi pracownicy umożliwili mi zapoznanie się z bogatymi zasobami archiwalnymi, w tym z istniejącymi autentycznymi relacjami uczestników walk z 71. pp. Na podstawie zebranych tam materiałów, powstało drugie, rozszerzone wydanie historii walk pułku.

Kolejne (trzecie) wydanie historii pułku zostało wzbogacone o zdjęcia odszukanych w Muzeum Wojska Polskiego historycznych chorągwi: pierwszej – wręczonej jeszcze we Włoszech i następnej wręczonej w 1919 r. po przybyciu pułku do Łowicza. Cennym uzupełnieniem jest zdjęcie orła z głowicy sztandaru pułku, który udało mi się odnaleźć po długich poszukiwaniach kolekcjonera militariów, który jest właścicielem orła.

Orzeł ten jest jedynym elementem, jaki ocalał ze sztandaru 71. Pułku Piechoty zakopanego nocą 12/13 września 1939 r. przed ostatnią próbą wydostania się 18. DP z okrążenia. Niestety losy zakopanego sztandaru, ani orła do chwili odnalezienia go w roku 1976 przez kolekcjonera nie są znane. Pierwsze poszukiwania zakopanego we wrześniu 1939 r. sztandaru podjęto dopiero po 33 latach, we wrześniu 1972 r. z udziałem podoficera, który sztandar zakopywał, i ostatniego oficera dowodzącego pułkiem w czasie walk pod Andrzejewem, kpt. Mariana Liskowiaka – niestety, bez rezultatów. Na sytuację taką niewątpliwie decydujący wpływ miała atmosfera i wrogie często podejście do byłych oficerów Wojska II RP w czasach panowania „władzy ludowej”.

W połowie roku 2014 Muzeum Regionalne we Wrześni wydało moją książkę „**Historia garnizonu Września..**”

We wrześniu 2014 roku odbyła się w Zambrowie prezentacja mojej kolejnej książki „**Historia garnizonów Ostrów Mazowiecka-Komorowo, Różan, Zambrów i służba w tych garnizonach kpt. Władysława Dąbrowskiego**”.

Podczas uroczystości wrześniowych otrzymałem w Zambrowie tytuł **Honorowego Obywatela Miasta Zambrowa.**

Ryszard Gaska



Trudny zawód inżyniera elektryka w mieście rodzinnym



Droga na studia.

Urodziłem się w Skarżysku-Kamiennej w dniu 06.03.1933r. Ojciec był maszynistą kolejowym. Wypadek w pracy spowodował, że w 1937 r. musiał przejść na rentę, z której nasza rodzina - rodzice, ja i siostra – żyliśmy do wojny. W 1941 r. zmarł ojciec, więc praktycznie zostaliśmy bez środków do życia. Trudne lata wojny udało się jakoś przeżyć dzięki temu, że matka z braku możliwości zarobku w mieście zatrudniała się przy pracach polowych u rolników w okolicznych wsiach. Wiejską Szkołę Podstawową ukończyłem w Skarżysku-Kościelnym w 1947 r. Zaraz po wojnie szkoły ponadpodstawowe były płatne. Ponieważ matka nie pracowała, więc nie miałem widoków na dalszą naukę. Jako dziecko pracownika PKP miałem pewne możliwości nauki zawodu w szkole zawodowej przy węźle kolejowym Skarżysko-Kamienna. Okazało się jednak, że jestem za młody (wtedy miałem 14 lat). Dzięki znajomym matka zapisała mnie na kurs elektromonterów, na którym dokształcano pracowników Zakładów Energetycznych Okręgu Radomsko-Kieleckiego „ZEORK”, powstałych jeszcze w 1928 r. Rozpiętość wieku słuchaczy była bardzo duża - od moich 14 lat do około 50, a poziom wykształcenia - od 7 klas do półanalfabetów. Po około miesiącu nauczyciel, będący jednocześnie wykładowcą położonego obok Gimnazjum Przemysłowo-Energetycznego (powstałego w 1928. r.), pomógł mi przenieść się do tego gimnazjum, które ukończyłem w 1950 r. Dwa lata później gimnazjum to ukończył również nasz kolega Henio Gładyś.

Dalej nauka potoczyła się „rozpędem”. Grupa 20 uczniów (w tym ja) została skierowana do Liceum Energetycznego (Ośrodek Szkolenia Energetyki) w Nysie, które w wyniku reformy szkolnictwa w 1950 r. zostało przekształcone w Technikum Mechaniczne. W tym Technikum na Oddziale Elektrycznym uzyskałem w 1952 r. maturę i stopień technika elektryka. Absolwentem tego technikum jest również Piotrek Zadura. Jako technik

elektryk o kierunku sieciowym otrzymałem skierowanie do pracy (nakaz) w Zakładzie Energetycznym Bielsko-Biała. Ze względu na dużą odległość od domu udało mi się zmienić nakaz pracy i zostałem przyjęty do pracy w Zakładach Metalowych MESKO w Skarżysku-Kamiennej. Zakłady te, wybudowane dzięki decyzji ówczesnego premiera, gen. Władysława Sikorskiego w latach do roku 1924, działały od początku pod nazwą Państwowa Fabryka Amunicji (PFA). Już w 1939 r. PFA zatrudniała ponad 4,5 tys. pracowników i była bardzo ważnym ogniwem w całym Centralnym Okręgu Przemysłowym.

W czasie okupacji PFA przejmują koncern "HASAG", który uruchamia intensywną produkcję amunicji na potrzeby frontowe armii niemieckiej. FA-HASAG poprzez swoich pracowników należących do konspiracji była jednym z głównych źródeł zaopatrzenia w amunicję żołnierzy Polski Podziemnej, a zwłaszcza okolicznych oddziałów partyzanckich Ziemi Świętokrzyskiej, m.in. najbardziej znanych: "Ponurego", "Nurta" i "Szarego". Na maszynach FA-"HASAG" pracownicy konspiracji produkowali również masowo części składowe do montowanego w okolicach Suchedniowa pistoletu VIS, będącego na uzbrojeniu żołnierzy Polski Podziemnej. W FA-HASAG Niemcy istniał również obóz pracy przymusowej, gdzie masowej eksterminacji poddawano Polaków i Żydów.

W MESKO zostałem zatrudniony w Pionie Głównego Energetyka jako referent ds. węglowych w elektrowni zakładowej. Po przepracowaniu ok. 2 miesięcy dostałem angaż na mistrza zmianowego tej elektrowni – i zaczęło się! W czasie zmiany byłem "mistrzem" dla zespołu ludzi prowadzących ruch urządzeń: kotłów, pomp, turbozespołów, urządzeń nawęglania, odpopielania i innych. Nikt nie traktował mnie ulgowo z tytułu moich kwalifikacji (technik elektryk sieciowy). Podlegli mi pracownicy (fachowcy z wieloletnią praktyką) chętnie doprowadzali do dyskusji z panem "mistrzem", zadawali pytania na "wymyślony" temat itp. Praca na tym stanowisku wymagała zapoznania się z urządzeniami elektrowni, ich budową i eksploatacją, a więc solidnie należało "odrobić lekcję" w ramach samokształcenia, nie omijać przy tym rozmów z podległymi fachowcami i przyjaznymi "szefami".

Automatycznie z elektrotechnika sieciowego stałem się technikiem energetykiem o kierunku elektrownie ciepłe. Praca była dość ciekawa i dobrze płatna (2500 zł miesięcznie), nie myślałem więc o ewentualnej dalszej nauce. Istniejąca sytuacja nie dawała motywacji do dalszej nauki. Kiedy jednak wygasła wojna w Korei i Zakłady Metalowe zatrudniające w tamtym czasie ok. 20 tys. pracowników zaczęły redukować zatrudnienie i przestały zapewniać odroczenie od służby wojskowej (nazywało się to reklamacją od wojska), przyszło opamiętanie. Podjąłem więc decyzję o przystąpieniu do egzaminu wstępnego na Wydział Elektryczny

Politechniki Warszawskiej i złożyłem wymagane dokumenty. Krążyło wtedy między kolegami powiedzenie: „P.W. albo W.P.” (Politechnika Warszawska albo Wojsko Polskie). Lipiec 1953 r. – pozytywny wynik egzaminu wstępnego, to zapowiedź 6-letniego (jak się później okazało) okresu studiów.

Studia

Pierwszy semestr studiów i związane z nim konieczne zmiany przyzwyczajzeń i organizacji życia nie były łatwe, ale nie było rady. Studia wymusiły poddanie się odpowiednim rygorom wymaganym od studentów, w latach 50. ub. wieku dość ostrym. Niski status ekonomiczny mojej rodziny zapewnił otrzymanie stypendium i akademika (bez tego nie byłoby możliwe studiowanie). Zmienione środowisko i nowy charakter nauczania dały mi się mocno we znaki. Początek był radosny, ale też związany z licznymi przeszkodami. Radość sprawiało zamieszkanie w akademiku przy pl. Narutowicza w 12-osobowym pokoju na 5. piętrze w gronie: Janusz Adamczyk, Wacek Bartoszczuk, Józek Berczyński, Jurek Busłowicz, Staszek Grefkowicz, Andrzej Gurgul, Józek Klocek, Tadzio Majewski, Tadzio Pieczykolan, Jurek Sidorowicz i Wojtek Śliwiński. W tak licznym gronie osób nie było warunków do nauki. Istniały natomiast warunki do różnego rodzaju dyskusji, gier, zabaw zręcznościowych itp. Byli i tacy (pilniejsi), którzy próbowali po zajęciach przeglądać notatki, czy coś przeczytać, ale szybko z tego rezygnowali i wsiąkali w ogólną atmosferę. W akademiku były pokoje do cichej nauki, co umożliwiało lepsze skupienie się, ale daleko było do komfortu.

Indywidualne zajęcia poszczególnych kolegów wyglądały różnie. Np. Jurek Busłowicz każdego wieczora przed snem rozpoczynał czytanie grubej książki p.t. *Pierejaśławska Rada*. Nawiasem mówiąc dotyczyła ona obrad starszyny kozackiej zebranej w Perejaśławiu w 1654, która postanowiła uznać zwierzchnią władzę cara rosyjskiego nad terytorium Ukrainy Zadnieprzańskiej. Po kilku minutach usypiał, wtedy koledzy mieli pole do popisu, włącznie z nalaniem wody do spodni. Jurek Sidorowicz był już wtedy "fachowym majsterkowiczem". Do wiszącego na ścianie zegara przytwierdził styki i podłączył dzwonek, co umożliwiało poranne budzenie. Zostało to pozytywnie ocenione przy okazji wizytacji pokoju. Staszek Grefkowicz wykazywał dużą wiedzę na temat produkowanych motocykli, czym powodował dość zaangażowaną dyskusję z kolegami (sam był fanem PANONI). Ja zajmowałem kolegów nie tylko znajomością praktycznych wiadomości o elektrowniach, lecz także elastycznością ciała (potrafiłem założyć nogę na szyję). Janusz Adamczyk był stale zamyślony i praktycznie nie włączał się w wir życia pokoju. Wynikało to, jak nam później zdradził, z powodu „nieścistości”, jakie celowo popełnił w ankiecie personalnej.

W związku z tym próbował skontaktować się z kancelarią Bolesława Bieruta – Prezesa Rady Ministrów i I Sekretarza PZPR – aby wyprzedzić ewentualne konsekwencje w przypadku wykrycia tych „nieściskości”.

Nie wiem, czym skończyłoby się to „szaleństwo” wspólnego mieszkania, gdyby władze Wydziału po upływie ok. miesiąca nie zdecydowały o rozdzieleniu grupy Koreańczyków rozpoczynających studia na naszym roku i włączeniu ich do poszczególnych grup polskich studentów, aby ułatwić im adaptację oraz naukę przedmiotów i języka polskiego. Tak się złożyło, że Andrzej Gurgul, Wacek Bartoszczuk i ja zamieszkaliśmy z Koreańczykiem Chan Phil-Junem w pokoju 4-osobowym na 7. piętrze (734 czy 737). W nowym składzie pokoju rozpoczęło się spokojniejsze życie studenckie. Byliśmy wszyscy w drugiej grupie (33 osoby, w tym Koreańczyk, Hiszpan Antonio Marti i paru repatriantów z Francji). Mnie odgórnie wyznaczono na starostę grupy, a organizatorem został Andrzej Gadałński. Organizator grupy miał za zadanie dbać o odpowiedni poziom pracy politycznej organizacji młodzieżowej (ZMP). Do moich obowiązków należało sprawdzanie obecności na wykładach. Mając duże poczucie obowiązku zacząłem notować obecność kolegów i nim się obejrzałem, moja działalność sprawiła pewne kłopoty kolegom opuszczającym zajęcia: musieli tłumaczyć się ze swojej nieobecności przed Komisją Dyscyplinarną w Dziekanacie. Zorientowałem się, że muszę „lepiej” dostrzegać kolegów na wykładach.

Pierwszy semestr udało mi się zakończyć z pozytywnymi wynikami zaliczeń i egzaminów. Dopiero teraz człowiek mógł poczuć się prawdziwym studentem. W podanym wyżej składzie osobowym pokoju mieszkaliśmy do końca pierwszego roku. W następnym roku studiów przeniesiono mnie do nowego akademika przy ul. Ks. Janusza na Kole, gdzie w czteroosobowym pokoju zamieszkałem z Tadzkiem Majewskim, Wackiem Bartoszczukiem i Zdzisławem Michniewskim, studentem II-go roku Wydz. Chemii. Pod względem „ideowym” nie spełniałem podobno warunków koniecznych do zamieszkania z Koreańczykiem (taką opinię wydał kol. "dojrzały ideowo i politycznie"). Nasz pokój miał być gotowy do zamieszkania dopiero przed Bożym Narodzeniem (termin oddania akademika przeciągał się), więc do tego czasu mieszkaliśmy w Hotelu Robotniczym przy ul. Elekcyjnej. Kolejne miejsca mojego zamieszkania to akademiki: przy: pl. Narutowicza, ul. Grójeckiej, a na piątym roku przy ul. Mochnackiego. Natomiast pracę magisterską wykonywałem mieszkając przy ul. Ks. Janusza. Tak więc w czasie studiów zamieszkiwałem kolejno we wszystkich akademikach, jakimi dysponowała Politechnika.

Zakwaterowanie to jeden z podstawowych warunków umożliwiających studia osobie spoza Warszawy. Mnie zapewniało „pełny komfort” życia w ówczesnej nieodbudowanej jeszcze stolicy. Ale studia to

czas, który student oprócz nauki powinien wykorzystać na rozwój własnej osobowości. Co by nie powiedzieć, pobyt w Warszawie stwarzał takie możliwości. Jak wiemy, był to okres powojenny – Warszawa była zniszczona, ustrój w Polsce też nie pochodził z własnego wyboru i jako nie do końca przewidywalny „gwarantował” różnego rodzaju niespodzianki. Organizacja życia studenckiego musiała być podporządkowana organizacji życia społeczno-politycznego kraju. Modne, powiem wyraźniej, zalecane były prace społeczne i manifestacje polityczne. Wymagane było też angażowanie się w działalność organizacji społecznych i politycznych, co bardzo często wymuszało zmianę planów wykorzystania czasu. Prace społeczne polegały przeważnie na udziale w odbudowie Warszawy. Były to praktycznie prace porządkowe po ukończeniu budowy dróg, osiedli itp. Manifestacje, to głównie udział w pochodach 1-szo majowych lub też w innych „ważnych” świątach państwowych czy partyjnych (zjazdy PZPR, czy KPZR). Pierwszego maja 1954r. (pierwszy rok studiów) Politechnika manifestowała z kwiatami (podobne były do maków). Każdy student musiał wykonać własnoręcznie (z dostarczonej czerwonej bibuły) duży kwiat i z nim defilować przed trybuną honorową, na której stali przywódcy PRL i PZPR. Pochód zakończył się na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i Nowego Świata, gdzie pozbywający się tych rekwizytów utworzyli wielkie zwałowisko „zmiętych kwiatów”.

Studiując w Warszawie można było i należało korzystać z dostępnych placówek kultury, a było ich (już wtedy) dużo. Liczne kina z najnowszym aktualnym (na ten czas) repertuarem, teatry, muzea czy opera mieszcząca się wtedy w gmachu ROMY. Ich dostępność była jednak ograniczona względami finansowymi i wolnym czasem, ale korzystanie nawet w części z tych możliwości pozwalało przybyłemu z prowincji młodemu człowiekowi rozwijać się kulturalnie. Wspólne zwiedzanie zabytków Warszawy też było formą rozrywki i poznaniem historii oraz miejsc Martyrologii Warszawian.

Życie studenckie w akademiku po wykładach to nie tylko „cicha” nauka. Zawarte szerokie znajomości umożliwiały powstawanie różnych kręgów towarzyskich, w których obchodziło się najróżniejsze osobiste uroczystości: imieniny, urodziny czy świętowanie pozytywnego wyniku egzaminu. Najpopularniejsze i najczęstsze spotkania to gra w brydża i towarzyszące jej rozmowy (choć grano również w pokera, canastę itd.). Gra w brydża zaczęła dominować na drugim roku studiów, kiedy wielu z nas przestało kibicować przy tej grze i zaczęło próbować sił samodzielnie.



Pogawędka na Placu Narutowicza studentów drugiej grupy przed wyjazdem z akademika na zajęcia na Politechnice – od lewej strony siedzą: Zdzisiek Kupiec, Henio Gładyś, Zdzisiek Gac, Czesiek Grzeczyński, Jacek Kaniewski, Andrzej Gadaliński, autor, Andrzej Iwanowski; stoi Antonio Marti

Były również wspólne wyjazdy turystyczne.



Wycieczka organizowana przez specjalność Maszyny Elektryczne – od lewej strony: Bogdan Rusiniak, Zdzisiek Bogdanowicz, Piotrek Zadura, Włodek Torbic, Tadek Majewski, Wacek Bartoszczuk, autor oraz jeden z Koreańczyków – chyba Jen Jon-Su

Stało się to pewnym rodzajem manii. Często grano codziennie, a czasami całą noc, a bywały nawet przypadki gry kosztem wykładów. Z czasem przyszło opamiętanie i brydż przestał paraliżować życie w akademiku, chociaż grano nadal, ale już w sposób „dojrzały”. Np. grupa: Andrzej Gurgul, Tadzio Majewski, Wacek Bartoszczuk, Janek Bielec i ja grała w każdy piątek po zajęciach. Prowadziliśmy aż do końca studiów ewidencję wyników tej gry.

A teraz kilka słów o przebiegu naszych studiów i ich organizacji. W ciągu pierwszych dwóch lat studiowaliśmy wg jednolitego programu w 6-ciu grupach. Po drugim roku zostaliśmy podzieleni na specjalizacje (około 10). Ja w grupie 16-tu kolegów na kursie inżynierskim i w grupie 8-miu kolegów na kursie magisterskim studiowałem na specjalizacji Elektrownie Ciepłne. Kierownikiem Zakładu Elektrowni był Prof. Stanisław Kończykowski, który wykładał jednocześnie Urządzenia Elektryczne Elektrowni, Zwarcia w Układach Elektroenergetycznych i Równowagę Współpracy Elektrowni. Studia wymagające wiele wysiłków i wyrzeczeń, w których trzeba było przezwyciężać wiele niewygód, problemów i przeciwności losu, pozostawiły jednak niezatarte, miłe wspomnienia z wykładów wielu znanych osób: profesorów, naukowców czy specjalistów. Z wdzięcznością wspominam Profesorów, którzy prowadzili wykłady w ramach programu ogólnego i dla studentów o specjalności Elektrownie Ciepłne: Romana Hampla – Matematyka, Witolda Kotowskiego – Podstawy Elektrotechniki, Kazimierza Zarankiewicza – Mechanika, Stefana Lebsona – Przyrządy Pomiarowe, Władysława Latka – Maszyny Elektryczne, Jerzego Kryńskiego – Aparaty Elektryczne, Czesława Mejro – Sieci Elektryczne, Pawła Nowackiego – Automatyka, Stanisława Kończykowskiego – Elektroenergetyka, Janusza L. Jakubowskiego – Technika Wysokich Napięć (T.W.N), Szczepana Szczeniowskiego – Fizyka Atomowa, Tadeusza Cholewickiego – Elektrotechnika Teoretyczna, Bolesława Mayzela – Wytrzymałość Materiałów, Józefa Żydanowicza – Zabezpieczenia Sieci Elektrycznych, Witolda Szumana – Sieci i Urządzenia Ciepłne Elektrowni, Stanisława Wocjana – Rysunek Techniczny.

W naszych studenckich czasach, kiedy brakowało podręczników, a skrypty były nieliczne, asystent profesora był ważnym i niezbędnym ogniwem w procesie nauczania. Jego wiedza i umiejętności pedagogiczne sprawiały, że trudny materiał z wykładu stawał się po ćwiczeniach i laboratoriach „strawny”. Asystenci byli blisko nas i często stawali się starszymi kolegami. Wymienię tylko asystentów prowadzących zajęcia z drugą (moją) grupą studencką oraz na specjalności Elektrownie Ciepłne. Wtedy (1953 – 1958) byli to jeszcze magistrowie: Zbigniew Ciok – Matematyka (opiekun grupy drugiej – na pierwszym roku); Damazy Laudyn – Elektrotechnika, Projektowanie Urządzeń Elektroenergetycznych;

dr Saturnina Woszczerowicz – Laboratorium z Fizyki; Prokopiuk – Fizyka; J. Nowikowski, R. Krawczyński i p. Goliński – T.W.N.; p. Długosz – Lab. T.W.N; p. Bełdowski p. Bursztyński – Elektroenergetyka, panowie Dylong i Królikowski – Mechanika, p. Burakowski – Rysunek Techniczny.

Wielu naszych asystentów zostało profesorami, naukowcami, czy projektantami ważnych obiektów przemysłowych. Np. Głównym Projektantem Elektrowni Kozienice był w latach 70-tych ubiegłego stulecia nasz asystent mgr inż. Damazy Laudyn. Miałem wielką przyjemność spotkać się z nim w 1972 r. z okazji zakończenia pierwszego etapu budowy tej Elektrowni, tzn. uruchomienia pierwszego turbozespołu 200 MW. Za udział w tych pracach mgr inż. Damazy Laudyn otrzymał wówczas wysokie odznaczenie państwowe.

Jeżeli chodzi o wspomnienia z „wojska”, to podobnie jak inni koledzy ukończyłem czteroletnie Studium Wojskowe (2 lata – artyleria, 2 – piechota zmechanizowana) i obóz w Morażu w stopniu kaprała podchorążego. W trakcie zajęć na studium, a szczególnie na egzaminach nie brakowało momentów humorystycznych. Jednym z takich był sposób na "pewne" zdanie egzaminu z Taktyki u ppłk. rez. W. Zielonki. Polegało to na tym, że jeden ze zdających wyciągał 2 zestawy pytań, egzaminującemu zaś zgłaszał nr tylko jednego, tego z którego zdawał egzamin. Następnie po zdaniu egzaminu nieujawniony zestaw pytań przekazywał koledze, który miał zdawać, a ten opracowywał odpowiedź i na "pewniaka" szedł do komisji egzaminacyjnej. Wyciągał nowy zestaw, lecz zgłaszał nr. Tego, który miał opracowany. Z tego zdawał egzamin, a wyciągnięty nieujawniony przekazywał następnemu w kolejce do egzaminu. Wszystko szło b. "fajnie" dopóki kolejny student, nasz przemyły kol. Jan Figura, nie "spalił" całej sprawy. Zgłaszając się do egzaminu podał nr posiadanego tematu (tajnego), zamiast najpierw wyciągnąć nowy. Na obozie też nie brakowało „ciekawych zdarzeń” – osobiście brałem udział w jednym z takich. W czasie egzaminu na zakończenie obozu (ja już zdałem egzamin ze Wyszkania Strzeleckiego) przychodzi kolega i mówi: "Rysiuniu", dobry jesteś z tego strzeleckiego, zdawaj za mnie. Myślę, co mi szkodzi. Poszedłem, po drodze powtarzam sobie nazwisko kolegi, podchodzę pod drzwi komisji i w tym momencie drzwi się otwierają, a stojący w nich porucznik pyta: do egzaminu? Odpowiadam: tak jest panie poruczniku. Nazwisko? – a ja, zamiast podać nazwisko kolegi przedstawiłem się swoim nazwiskiem i spaliłem sprawę. Kolega zlecający był niepokieszony. Niedługo po studiach władze wojskowe "wypożyczyły " mnie na 3-miesięczne przeszkolenie w Szkole Łączności w Zegrzu, gdzie kolejny raz zmieniono mi specjalność na Łączność. Wojsko musiało mnie polubić, gdyż po niedługo potem zostałem powołany na przeszkolenie w Jednostce Łączności w Białobrzegach nad Zalewem Zegrzyńskim. W kolejnych latach WKU za

aktywną pracę w Klubie Oficerów Rezerwy awansowała mnie na podporucznika i następnie na porucznika rezerwy.

Egzamin Dyplomowy zdany 18 lutego 1959 r. zakończył ponad 5-cioletni okres studiów. Zdobyć zawodu i stopnia mgr inż. elektryka stało się początkiem nowego okresu w moim życiu. Mając ukończone 26 lat i oczywiste zobowiązania względem rodziny (matka w podeszłym wieku) zmuszony byłem szybko podjąć pracę zawodową.

Koniec studiów – co dalej?

Absolwent

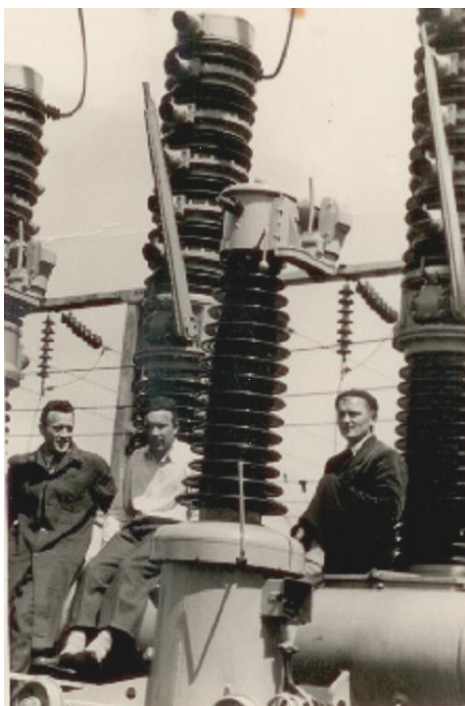


Jeszcze w czasie studiów, pod koniec pracy nad dyplomem, koledzy, którzy rozpoczęli już pracę w Warszawie w różnych instytutach naukowych, namawiali mnie do podjęcia pracy podobnej jak oni. Taką próbę nawet podjąłem, ale trafiłem na niezbyt chętnych mi pracodawców, a poza tym praca w Warszawie wiązała się z problemami mieszkaniowymi i symbolicznymi zarobkami, co nie pozwalało na zaopiekowanie się Rodziną. Postanowiłem więc wrócić do „gniazda”, do miejsca skąd wyruszyłem na studia, tj. do Skarżyska-Kamiennej.

W miejscowym Zakładzie Energetycznym akurat zwolniło się miejsce pracy dla inżyniera elektryka i zostałem zatrudniony jako Inżynier ds. Wyłączników i Transformatorów z wynagrodzeniem miesięcznym 1200 zł (jak wspominałem, przed studiami zarabiałem 2500 zł). Nie było to wprawdzie stanowisko w elektrowni, ale zawodowo mieściło się w profilu specjalności wyuczonej na studiach, z większym zakresem Sieci Elektrycznych. Porównując pracę przed studiami i po studiach można powiedzieć, że najpierw zmieniłem sieci na elektrownie, a potem odwrotnie. Po 6-ciu latach studiów w Warszawie, rozpoczął się trudny okres adaptacji do nowych warunków. Praca wymagająca konkretnych decyzji i rozwiązań inżynierskich oraz obowiązki życia codziennego szybko wyeliminowały rozterki duchowe i niezyciowe marzenia. Obowiązki wynikające z pracy pomagały w adaptacji, a upływ czasu robił swoje.

Najbardziej stabilizująco podziałało założenie rodziny (grudzień 1959 r.). Okazało się też, że wiedza zdobyta na studiach była całkiem solidna i przydatna w praktyce. Kolejne lata pracy w Zakładzie przyniosły

stopniowo awanse w zawodzie. I tak kolejno zajmowałem stanowiska Kierownika Służby Izolacji, Kierownika Wydziału Postępu i Rozwoju, Kierownika Zakładowej Dyspozycji Ruchu.



Stacja 220/110/30 kV Rożki k. Radomia (lata 1960-te) – autor pierwszy z lewej,
Targi Poznańskie (1964) – autor pierwszy z prawej

Miałem też propozycje szybszego awansu, jednak wybrałem drogę mniej burzliwą, starając się jak najdłużej pracować przy urządzeniach w terenie, a nie przy biurku. Praca przy urządzeniach zapewniała bliski kontakt z szybkim w tamtym okresie postępem technicznym, energetyka zmuszona była do szybkiej modernizacji urządzeń, ponieważ bez takiej modernizacji byłoby niemożliwe pokrycie wzrastającego zapotrzebowania na energię.



Narada dyspozytorów mocy (1971), Solina – autor pierwszy z prawej

Konieczność wprowadzania nowoczesnych urządzeń do rozbudowywanego w szybkim tempie systemu w Zakładzie wymagała coraz wyższych kwalifikacji zawodowych personelu obsługi. Miejscowy rynek pracy nie zapewniał pokrycia tych potrzeb więc, aby rozwiązać ten problem Zakład zorganizował Szkołę Zawodową, w której nauczycielami przedmiotów zawodowych byli pracownicy mający odpowiednie kwalifikacje. Wraz z grupą kolegów podjąłem się tego zadania. Musiałem jednak zdobyć wymagane kwalifikacje pedagogiczne. Przez pewien czas równoległe z pracą zawodową pełniłem funkcję Dyrektora Przyzakładowej Szkoły Zawodowej, a także nauczałem przedmiotów zawodowych w Technikum Energetycznym dla Pracujących. Miałem okazje spotykać tam kolegów, z którymi w latach 1947-1950 uczęszczałem do Gimnazjum.

1 lipca 1972 r. zostałem powołany na stanowisko Dyrektora Technicznego Zakładu Energetycznego w Skarżysku-Kamiennej. Praca na tym stanowisku pozwalała wykorzystać wiedzę i doświadczenia zdobyte w poprzednich miejscach pracy, jednakże musiałem uzupełnić wiedzę z zakresu ekonomiki i organizacji energetyki. Wiele czasu i poświęcenia wymagało kierowanie i nadzór realizacji zadań w pionie Dyrektora Technicznego tak, że nawet doby brakowało na ich wykonywanie. Było to

stanowisko do ciężkiej pracy, a nie do reprezentacji.

Lata 1980-te były bardzo trudne dla energetyki, gdyż wcześniejsza modernizacja i rozbudowa nie były wystarczające. Niemodernizowany przemysł wykorzystujący przestarzałe technologie był powodem ciągłego wzrostu zapotrzebowania na energię elektryczną. W celu pokrycia tego zapotrzebowania w określonych porach roku i dnia zarządzający energetyką chwyтали się najróżniejszych sposobów, a wszystko kończyło się drastycznymi, okresowymi wyłączeniami zasilania odbiorców. Takie działania wymagały opracowywania szczegółowych planów i harmonogramów zapewniających w jakimś stopniu w miarę „sprawiedliwą” kolejność i czas wyłączeń.

Lata 80. (1981 - 86) to czas kiedy Ministrem Górnictwa i Energetyki był gen. dyw. Czesław Piotrowski. On to na wzór wojskowy wprowadził do energetyki mundury i stopnie. Mundur był szaro-granatowy, a stopnie zamiast gwiazdek miały postać małych kwadratów. Każdy pracownik posiadał odpowiedni stopień, np.: brygadzysta – podobnie jak odpowiedni podoficer, kierownicy oddziałów i wydziałów – jak oficerowie, dyrektorzy – jak oficerowie wyżsi (dyr. – pułkownik, zastępcy – podpułkownicy), dyrektorzy w Okręgu – generałowie.



Narada dyrektorów technicznych zakładów energetycznych Wschodniego Okręgu Energetycznego w Radomiu (1986)

1.01.1988 r. złożyłem rezygnację ze stanowiska dyr. techn. i przeszedłem do pracy w jednostce nadrzędnej WOE Radom (Wschodni Okręg Energetyczny) na stanowisko Głównego Specjalisty d/s Rozwoju Sieci. Rok 1988 zapoczątkował szereg zmian poczynając od zmian w polityce, a następnie w gospodarce krajowej, w tym w energetyce. W okresie tych przemian, przechodziłem kolejno z jednego likwidowanego przedsiębiorstwa do innego poczynając od WOE w Radomiu, aż

„wylądowałem” w Zakładzie Usług Technicznych Energetyki (trzeci zakład z kolei). W maju 1989 r. zostałem oddelegowany do Przedsiębiorstwa Energoeksport Warszawa i zatrudniony przy budowie Elektrowni Janschwalde w NRD jako kierownik grupy remontowej. Praca ta dotyczyła remontu urządzeń mechanicznych i cieplnych elektrowni w części już pracującej (kotły, pompy, urządzenia pomocnicze i rurociągi ciepłe). Obserwator mojej pracy zawodowej może stwierdzić: "znowu w elektrowni". Praca na terenie NRD trwała z przerwami do 1993 r.

Wraz ze zmianą ustroju kraju i reorganizacją gospodarki pojawiły się znane trudności z zatrudnieniem, co szczególnie dotknęło takie miasta jak Skarżysko-Kamienna, w którym zmniejszono zatrudnienie lub likwidowano różne zakłady pracy. Z konieczności po osiągnięciu wieku 60 lat w 1993 r. przeszedłem na emeryturę.

Próbowałem jeszcze, już jako emeryt, szukać pracy w zreorganizowanej energetyce, ale bez skutku. Ponieważ nie zdecydowałem się szukać pracy poza miejscem zamieszkania, pozostała przymusowa bezczynność zawodowa. Na emeryturze trzeba było zająć się pracami remontowymi przy własnym domu, a więc z elektryka sieciowca i elektrowniarza przekwalifikowałem się na robotnika budowlanego oraz „małego” ogrodnika.

Chwila zadumy

Może to miejsce jest właściwe na moją małą refleksję. Miasto Skarżysko-Kamienna położone w dolinie rzeki Kamiennej, otoczone lasami (leżące na skraju Puszczy Jodłowej) po szybkim rozwoju w II Rzeczypospolitej (budowa COP) i w okresie PRL-u (rozbudowa przemysłu po II Wojnie Światowej) w końcu lat 80-tych (ub. wieku) było miastem 50-tysięcznym. Wcześniej zatrudnienie mieli wszyscy chętni do pracy z miasta i z okolicznych wsi, których dowożono zorganizowanym transportem. Wielkie zakłady w tamtym okresie to: Zakłady Metalowe, Węzeł Kolejowy, Odlewnia i Emaliernia Żeliwa "Witwickiego", Przedsiębiorstwo Budowlane i "Fabryka Domów". Obecnie, po transformacji ustrojowej nastąpiły ogromne zmiany w zakresie działalności tych zakładów. Zakłady Metalowe o 90-letniej tradycji praktycznie zostały zlikwidowane – pozostała drobna działalność bez perspektyw i programu. Jadąc ulicą poprowadzoną (obecnie) przez tereny Zakładów odnosi się wrażenie przejazdu przez „cmentarzysko”. Węzeł kolejowy, jak całe niemodernizowane PKP, stał się zwykłym skrzyżowaniem torów. Odlewnia i Emaliernia została zlikwidowana, a w jej prawie 100-letnich budynkach utworzono Market Budowlany i Wielobranżowy. Przedsiębiorstwo Budowlane wraz "Fabryką Domów" zostało zlikwidowane, w wielkich halach po Fabryce Domów zlokalizowały się nieliczne Hurtownie i jakies

Centrum Rekreacji (typu siłownia). Bezrobocie sięgające 20% powoduje, że młodzi ludzie w poszukiwaniu pracy przenoszą się do większych miast, a nawet emigrują w świat. Skarżysko-Kamienna staje się miastem emerytów – miastem bezrobotnych.

Jak długo to potrwa, naprawdę nikt nie może tego przewidzieć. Chyba może tu pomóc mądry, energiczny i zaangażowany samorząd, który będzie umiał zaproponować wykorzystanie wszelkich szans na sprowadzenie kapitałów inwestycyjnych i Celowych Funduszy Europejskich.

Nadzieją na odrodzenie miasta są liczne szkoły ogólnokształcące, w tym III Liceum Ogólnokształcące im. ks. Stanisława Staszica, prekursora rozwoju przemysłu na Ziemi Świętokrzyskiej, oraz kilka oddziałów zamiejscowych szkół wyższych. Absolwenci tych szkół mogą zapewnić odbudowę kadr dla realizacji ewentualnych programów inwestycyjnych. Nadzieją na ożywienie w mieście są również działania w ramach planowanej Skarżyskiej Strefy Ekonomicznej w sektorze przemysłu zbrojeniowego, nawiązującej do prawie 100-letniej tradycji tego regionu.



Henryk Gładys



**Blaski i cienie mojego życia
studenckiego,
zawodowego i społecznego**

Czasy studenckie

Pierwszy kontakt z uczelnią to oczywiście egzamin wstępny. Nigdy nie zapomnę egzaminu z fizyki, a to z tego względu, że nie byłem z tego przedmiotu należycie przygotowany. Powodem było moje wykształcenie, które odbywałem najpierw w przyzakładowej szkole zawodowej w Skarżysku-Kamiennej, gdzie, po jej ukończeniu, uzyskiwało się tytuł monter elektryka i małą maturę, ale fizyki w szkole nie było. W szkole tej nauka odbywała się równoległe z praktyką zawodową, tzn. 3 dni w tygodniu była to nauka teoretyczna, a 3 dni – praca w warsztatach szkolnych, gdzie wykonywaliśmy różne elementy na potrzeby Zakładów Energetycznych Okręgu Radomsko-Kieleckiego (ZEORK), na przykład zamki do drzwi podstacji. Poznawaliśmy też praktycznie zakładanie instalacji elektrycznych, co zaowocowało później w życiu prywatnym tym, że byłem zorientowany w instalacjach elektrycznych, a najważniejszym dowodem tej orientacji było to, że po okresie ponad 40 – letnim, tj. w roku 1996 samodzielnie założyłem instalację elektryczną w nowym, piętrowym budynku mojego brata. Po skończeniu tej szkoły uczęszczałem następnie do klasy maturalnej Technikum Energetycznego w Łodzi, gdzie zdałem w 1953 r. maturę i uzyskałem tytuł technika elektryka, ale gdzie również nie było fizyki.

W tym stanie rzeczy przed zbliżającym się egzaminem wstępnym uczyłem się trochę sam (o korepetycjach nie było mowy, gdyż mieszkałem na wsi) z pewnego podręcznika fizyki (o ile pamiętam, autor tego podręcznika nazywał się Buras, ale imienia już nie pamiętam) i tak pojechałem na egzamin.

Z fizyki egzaminowały dwie osoby: kobieta i mężczyzna (nazwisk nie będę wymieniał, aby nie popełnić ewentualnego błędu). Ja byłem przeznaczony do egzaminatorki, która, jak podawały wieści z giełdy egzaminacyjnej, była bardziej wymagająca i trudniej było u niej zdać

egzamin. Ja wyciągnąłem jakiś zestaw pytań dotyczący energetyki jądrowej i akurat na ten temat niewiele mogłem powiedzieć i chyba, oblałbym ten egzamin, gdybym musiał zdawać u tej egzaminatorki. W tym jednak momencie dopisało mi szczęście, mianowicie ten łagodniejszy egzaminator ukończył akurat egzaminowanie poprzedniego kandydata na studia i zapytał mnie, czy jestem już przygotowany, a jeśli tak, to będę zdawał u niego, po uzgodnieniu z egzaminatorką. Bez chwili namysłu odpowiedziałem: „tak”, jestem przygotowany, chociaż faktycznie nie znałem pełnej odpowiedzi na wylosowane pytania egzaminacyjne z energetyki jądrowej, a nie pamiętam, czy tam były jeszcze jakieś inne pytania. W trakcie egzaminu pan egzaminator nie uzyskując ode mnie satysfakcjonującej odpowiedzi, wystarczającej do uzyskania oceny dostatecznej, skomentował krótko: „przecież wiedział pan, że będzie zdawał egzamin, a jest pan nieprzygotowany.” Opisałem mu wówczas całą moją sytuację, o której wspomniałem wyżej, a po zakończeniu tego opisu, chwytając się ostatniej deski ratunku, powiedziałem mniej więcej tak (do dziś nie wiem, skąd ja - chłopak ze wsi - miałem tyle odwagi, aby „wykrztusić” te słowa): „Panie asystencie, jeśli pan mnie przepuści na tym egzaminie i go zdam, to na studiach dam sobie radę, może więc pan asystent zada mi jakieś dodatkowe pytania?”. Egzaminator wysłuchał mnie uważnie i postawił rzeczywiście dodatkowe pytanie, mianowicie zapytał mnie o wzór na ogniskową soczewki. Tutaj akurat trafił, bo ja z wyżej wspomnianej książki fizyki zapamiętałem właśnie ten wzór i go napisałem, a w konsekwencji egzaminator ten podziękował mi i postawił prawdopodobnie ocenę dostateczną z egzaminu, a ponieważ pozostałe egzaminy zdałem dość dobrze, więc na uczelnię mnie przyjęto bez problemu. Nie ukrywam, że miałem potem trudności z nauką fizyki, ale jakoś dałem sobie radę z tym przedmiotem na studiach, tak jak to przewidywałem.

Tak więc Drogie Koleżanki i Drodzy Koledzy mój pierwszy kontakt z Wydziałem Elektrycznym PW nie był miłym przeżyciem, zakończonym jednak pełnym sukcesem, co miało znaczący wpływ na dalsze moje życie, bo nie wiem, jak by ono dalej się potoczyło, gdybym egzaminu wstępnego z fizyki nie zdał.

Po zdany szczęśliwie egzaminie wstępnym miałem rozpocząć studia już od 1 września, gdyż wówczas w tym terminie zaczynały się zajęcia na I roku. Wyruszyłem na ten początek roku ze wsi w dawnym województwie kieleckim (obecnym świętokrzyskim) do Warszawy z niewielką ilością pieniędzy otrzymanych od rodziców, co miało istotne znaczenie, gdyż tuż po przyjeździe, a było to 31 sierpnia 1953 r. okazało się, że nie ma dla mnie akademika, a trzeba było się gdzieś przespaciać, bo już następnego dnia rozpoczynała się nauka. Rychło też, gdy dowiadywałem się dlaczego nie mam akademika, okazało się, że nie przyznano mi również

stypendium, z powodu rzekomego zaginięcia podań o akademik i stypendium. Jak się później okazało, rzeczywistą przyczyną było potraktowanie mnie jako syna „kułaka”, mimo że rodzice moi mieli tylko około 3,5 ha ziemi. No i zaczął się dla mnie koszmar, bo jak zacząć mieszkać i żyć, gdy nie można było liczyć na jakąś znaczącą pomoc od rodziców, skoro było nas w rodzinie czworo rodzeństwa. Zacząłem więc „waletować” w akademiku przy pl. Narutowicza, gdzie znalazłem takie miejsce, gdyż akurat w tym akademiku mieszkał kuzyn ze wsi rodzinnej, który studiował na innym wydziale PW. Do 1 października miałem więc miejsce zagwarantowane w jego pokoju (nie miałem jedynie pościeli w łóżku), ale od 1 października musiałem się z tego pokoju wynieść i zrobić miejsce dla innego studenta. W tej sytuacji ktoś mi doradził, abym po 1 października udał się do akademika przy ul. Górnośląskiej, który pełnił rolę pólśanatorium dla studentów zagrożonych gruźlicą. Ponieważ były tam jakieś wolne miejsca, więc kierownictwo tego akademika pozwoliło mi na kilkudniowy pobyt. W rezultacie, po krótkim pobycie, każdego dnia, gdy powracałem z wykładów, recepcjonistka prosiła mnie o natychmiastowe opuszczenie akademika. Przyjmowałem to do wiadomości, stwierdzając, że tylko zabiorę swoje osobiste rzeczy z pokoju i zaraz się wyniosę. W rzeczywistości zawsze szedłem do mojego pokoju, zamykałem się i już w tym dniu nie wychodziłem na zewnątrz. W ten sposób, nie pamiętam już przez ile dni, ale w każdym bądź razie przez jakiś czas udawało mi się zmylić czujność obsługi akademika i przedłużać pobyt o kolejny dzień. Nie wiem jak długo trwałaby jeszcze taka „zabawa”, ale i tym razem dopisało mi szczęście, gdyż do akademika przybyli dziennikarze (chyba było ich dwóch) z redakcji dawnej Trybuny Ludu (dziennika ogólnopolskiego) z zamiarem opisanego, jak pięknie żyją studenci w akademikach Polski Ludowej. Dyrektorka akademika skierowała ich właśnie do mojego pokoju, w którym ustawiono ładny wazon z kwiatami i w tej atmosferze rozpoczęła się wizytacja i wspólnie z dyrektorką oględziny mojego pokoju i panujących w nim warunków. Po kilkudziesięciominutowej wizycie, dziennikarze zaczęli wychodzić, żegnając się ze mną, a w tym momencie dyrektorka zwróciła się do mnie mówiąc: no, a teraz „wynocha z pokoju”. Słyszając to dziennikarze osłupieli i zapytali mnie, czy ja tu nie mieszkam? Opisałem wówczas moją sytuację, wyjaśniając, z jakiego powodu się tutaj znalazłem, a oni na to do mnie: to niech Pan z nami pojedzie do Redakcji Trybuny Ludu. Tak też się stało. Nie pamiętam już, czy zostałem zmuszony do natychmiastowego zabrania ze sobą swoich rzeczy, czy też jeszcze tam wróciłem, w każdym bądź razie pojechałem z tymi dziennikarzami do redakcji Trybuny Ludu, skąd oni zaczęli wydzwaniać do rektoratu PW w mojej sprawie. Ja sam osobiście zaraz się tam wybrałem. Interwencja Trybuny Ludu pomogła, gdyż jeden z prorektorów uczelni lub jakiś

pełnomocnik rektora poinformował mnie, że otrzymałbym miejsce w akademiku, gdyby tylko takie wolne miejsce się znalazło. Powiedział mi wprost: jeśli pan znajdzie takie wolne miejsce, to je panu przydzielimy. Co było więc robić? Pojechałem znów do akademika przy pl. Narutowicza, gdzie ponownie „zaczepiłem” się tymczasowo (chyba znowu u tego mojego kuzyna, u którego „waletowałem” we wrześniu, mimo, że tam nie było już wolnego miejsca) i dosłownie zacząłem pukać od pokoju do pokoju na tym piętrze, gdzie chwilowo przebywałem, w poszukiwaniu wolnego miejsca. Jakież było więc moje zdziwienie, gdy po odwiedzeniu któregoś z rzędu pokoju, mieszkający w nim student stwierdził, że jest wolne miejsce, o czym świadczył również brak bielizny pościelowej na jednym z łóżek. W tej sytuacji szybko pojechałem do rektoratu, powiedziałem o wolnym miejscu i wówczas ten prorektor, czy też tylko pełnomocnik rektora osobiście pojechał ze mną do akademika, abym mu wskazał to wolne miejsce. Po sprawdzeniu w odpowiedniej dokumentacji, że rzeczywiście nie ma kompletu mieszkańców w tym pokoju, natychmiast otrzymałem przydział do tego pokoju, chociaż mieszkali w nim studenci z innego roku studiów. Było to tuż przed wyjazdem do domu rodzinnego na weekend, podczas którego wypadał dzień Wszystkich Świętych – 1 listopada i należało odwiedzić groby najbliższej rodziny i przyjaciół. W tym samym czasie okazało się, że przyznano mi również stypendium. Nie wiem, czy było to wynikiem interwencji rektoratu na Wydziale Elektrycznym, czy to był przypadek, że akurat w tym samym czasie dwie sprawy zostały załatwione. W każdym razie moje problemy życiowe zostały rozwiązane i mogłem spokojnie wyjechać do rodziców na Wszystkich Świętych w dniu 1 listopada 1953 r., a po powrocie do Warszawy kontynuować studia już bez stresu i kłopotów życiowych.

Zakończył się mój koszmar pierwszych dwóch miesięcy studiów, a dalej przebiegało już wszystko normalnie. W kolejnych latach mieszkałem przez jakiś czas (na II roku studiów) w akademiku przy ul. Ks. Janusza, a potem znów przy pl. Narutowicza. Pamiętam, że podczas wypadków poznańskich i węgierskich w roku 1956 mieszkałem właśnie na pl. Narutowicza i w tym burzliwym okresie pewnego dnia przeżyłem gazowanie akademika przy użyciu świec dymnych, nie pamiętam już z jakiego powodu. Był to okres dochodzenia do władzy Władysława Gomułki i byłem obecny na pl. Defilad przy Pałacu Kultury podczas wielokrotnie pokazywanego w telewizji, słynnego przemówienia tego polityka do zebranego tłumu mieszkańców Warszawy, ale to już inny temat i nie będę go dalej rozwijał.

Czas studiów przebiegał normalnie, zarówno w zakresie nauki, jak i życia w akademiku. Nie utkwiły mi w pamięci specjalne wydarzenia, warte upowszechniania. Nie miałem też dodatkowych przeżyć, jeśli chodzi

o egzaminy i zaliczenia poszczególnych przedmiotów. Na ogół wszystko zaliczałem w terminie, z wyjątkiem samego egzaminu dyplomowego, który zdawałem z opóźnieniem, jak większość z nas, dopiero na początku 1959 roku, gdy już pracowałem zawodowo przez około trzech miesięcy.

Po studiach

W telegraficznym skrócie przytoczę tylko niektóre charakterystyczne zdarzenia, związane z moją pracą zawodową, początkowo w Instytucie Energetyki, a następnie w b. Państwowej (później w Krajowej) Dyspozycji Mocy (PDM i odpowiednio KDM) i w końcowej fazie pracy zawodowej - po wielu reorganizacjach w resorcie energetyki – w Polskich Sieciach Elektroenergetycznych (PSE SA).

Rozpoczynając pracę zawodową w listopadzie 1958 r. w Instytucie Energetyki przy ul. Mysiej 2 zakładałem, że popracuję tam tylko kilka miesięcy, a następnie „ruszę” w Polskę i będę pracował w przemyśle, aby praktycznie poznać energetykę, a nie zaczynać praktyki od biurka, tym bardziej, że w kilku zakładach przemysłowych oczekiwano, że rozpocznę w nich pracę. Ociągałem się jednak ze swoją decyzją i zamiast planowanych kilku miesięcy pozostałem w gmachu przy ul. Mysiej 50 lat, dokładnie pięćdziesiąt lat bez jednego miesiąca, gdyż dopiero w październiku 2008 r. opuściłem ten gmach, przechodząc do firmy PSE – Operator SA (obecnie , po wielu reorganizacjach w branży energetycznej, znów PSE SA), ale o tym napiszę dalej.

Była niejedna okazja by zmienić pracę, ale napiszę tylko o jednej, która dzisiaj dla młodych absolwentów politechnik wyglądałaby jak bajka. Otóż mniej więcej po roku pracy zawodowej zaproponowano mi objęcie stanowiska kierownika rejonu energetycznego w b. ZEORKu w Skarżysku Kamiennej, a więc tam skąd pochodzę, gdyż urodziłem się na wsi pod Skarżyskiem i tam mieszka moja rodzina. Interesująca jednak była nie tylko sama praca na stanowisku kierowniczym, lecz również fakt, że chcieli mi dać mieszkanie zakładowe w Skarżysku. W tej sytuacji nie zastanawiałem się zbytnio co zrobić - tym bardziej, że nie mieliśmy jeszcze własnego mieszkania - i byłem już zdecydowany na wyjazd z Warszawy, ale na przeszkodzie stanęła moja żona – rodowita Warszawianka, która nie chciała się ruszyć ze stolicy. Cóż więc miałem robić? Nie chciałem przecież rozbijać rodziny i w rezultacie pracowałem aż do dzisiejszych dni tylko w Warszawie, jeśli nie liczyć krótkiego okresu pracy w innym miejscu w latach 2008 – 2011, o czym będzie dalej.

Pozostając w Warszawie trzeba było starać się dwukrotnie o mieszkanie spółdzielcze - najpierw mniejsze tzw. M3, a później większe M5. Byliśmy, co prawda, rodziną 4-osobową, tj. ja z żoną oraz dwie córki i przysługiwało nam w zasadzie mieszkanie co najwyżej M4, ale ówczesna

władza PRL przyznawała czasem prawo do dodatkowego metrażu mieszkania, i mnie takie prawo przyznano za otrzymanie Nagrody Państwowej II Stopnia, co zostanie szczegółowiej opisane dalej.

Już na początku pracy zawodowej pracowałem w zespole programistów jednej z pierwszych maszyn cyfrowych (wówczas nikt nie mówił o komputerach) o nazwie „XYZ”, która była zbudowana w Instytucie Maszyn Matematycznych i którą prasa okrzyknęła „mózgiem elektronowym”. Nie będę opisywał problemów, z którymi trzeba było zmierzyć się w tamtych latach, wystarczy może tylko wspomnieć, że byłem jednym z pierwszych energetyków – programistów, który opracował algorytm obliczeń rozptyłów mocy w systemie elektroenergetycznym, a algorytm ten był podstawą do napisania odpowiedniego programu obliczeniowego w kodzie wewnętrznym powyższej maszyny cyfrowej.

Z dniem 1 stycznia 1962 r. przeniesiono mnie służbowo do pracy w PDM, przy czym nikt się nie pytał o moją zgodę. Do dziś nie wiem dlaczego akurat mnie przeniesiono, czy dlatego, że byłem w moim zespole najlepszy, czy najgorszy, czy może jeszcze z jakiegoś innego powodu. W każdym bądź razie chodziło tu o kogoś, kto będzie wdrażał w PDM nowoczesne metody ekonomicznego rozdziału obciążeń (ERO) między elektrownie. Zajmując się w dalszym ciągu tym tematem, ale już w PDM, współpracowałem jednak nadal ściśle z zespołem Instytutu Energetyki, który opuściłem w wyniku przeniesienia służbowego. Praca ta zaowocowała szeregiem nagród resortowych i wyróżnień, ale szczytowym wyróżnieniem było przyznanie Nagrody Państwowej II Stopnia w dziedzinie Techniki, za rezultaty uzyskane w dziedzinie ERO, 9-osobowemu zespołowi składającemu się głównie z pracowników Instytutu Energetyki, Politechniki Warszawskiej i PDM. Był to rok 1970 i do dziś pamiętam uroczystość rozdania Nagród Państwowych, na kilka dni przed ówczesnym świętem państwowym w dniu 22 lipca, w Urzędzie Rady Ministrów, z udziałem niektórych rządzących naszym krajem (byli tam jeszcze m.in. Józef Cyrankiewicz i Władysław Gomułka, tuż przed początkiem „ery Gierkowskiej”).

Teraz kilka słów o pracy, za którą otrzymaliśmy Zespołową Nagrodę Państwową. Otóż do okresu wdrożenia nowoczesnych metod ERO, rozdział obciążeń między elektrownie i dobór składu agregatów wytwórczych, pracujących w poszczególnych okresach doby, odbywały się na podstawie wskaźników jednostkowych zużycia paliwa umownego (lub kosztów) na produkcję energii elektrycznej w g/kWh lub w zł/kWh, określanych na podstawie danych statystycznych. Metoda była prosta: im mniejszy był powyższy wskaźnik jednostkowy, tym bardziej uprzywilejowana była elektrownia lub blok wytwórczy jeśli chodzi o stopień obciążenia lub uruchomienia do pracy w danym okresie doby.

W tym czasie jednak na świecie rozwinęła się teoria ekonomicznego rozdziału obciążeń na podstawie tzw. charakterystyk przyrostów względnych kosztów (w zł/KWh) w funkcji obciążenia bloku lub elektrowni. Charakterystyki te są zatem funkcją jednostkowych przyrostów względnych kosztów (w zł/kWh) w funkcji obciążenia bloku lub elektrowni. Zgodnie z teorią ERO optymalny, tj. najbardziej korzystny pod względem ekonomicznym, rozdział obciążeń przypadający na dany blok lub całą elektrownię uzyskuje się wówczas, gdy bloki te lub elektrownie pracują przy tym samym poziomie przyrostu względnego kosztów.

Nie sposób tutaj opisać całej metodologii sporządzania charakterystyk przyrostów względnych kosztów z wykorzystaniem odpowiedniego oprogramowania komputerowego oraz praktycznych metod utrzymania równości tych przyrostów względnych przez dyspozytorów mocy, zarówno poprzez polecenia ustne, jak i z wykorzystaniem rozwijającej się w tym czasie automatycznej regulacji mocy i częstotliwości w systemie elektroenergetycznym. Jest to złożony problem, ale właśnie za rozwiązanie tego złożonego problemu, przynoszącego olbrzymie oszczędności w zużyciu paliwa i kosztach produkcji energii elektrycznej przyznano nam Nagrodę Państwową II Stopnia.

Po 1970 roku, jak już wspominałem wyżej, nastąpiła „era Gierkowska”, gdyż w latach 70-tych tow. Edward Gierek pełnił funkcję I Sekretarza Partii (PZPR). Dla mnie osobiście lata 70-te to były „złote” lata „Gierkowskie”, gdyż dużo podróżowałem wówczas służbowo za granicę, pełniąc m.in. funkcję przedstawiciela Polski w organizacji europejskiej UNIPED, tj. w „Unii Producentów i Dystrybutorów Energii Elektrycznej”, co wiązało się m.in. z tym, że w okresie dwóch lat jeździłem co pół roku za granicę na posiedzenia plenarne jednej z podgrup tej organizacji, zajmującej się prognozowaniem zapotrzebowania na moc i energię. Były to wyjazdy do pięknych miejscowości (np. Palma na Majorce lub Nicea na Lazurowym Wybrzeżu). Ponadto uczestniczyłem w różnych międzynarodowych konferencjach i odbywałem staże zagraniczne (byłem po 2 miesiące na stażach szkoleniowych w Holandii i we Włoszech). Długo mógłbym opisywać tutaj charakterystyczne spotkania zawodowe z lat 70-tych, w których brałem udział, choćby międzynarodowa konferencja w Turcji (Ankara), gdzie wygłaszałem referat w języku angielskim, przed audytorium wypełniającym całą salę kinową. Wspomnę jedynie o powitaniu delegatów przy wejściu na kolację koleżeńską podczas dużej międzynarodowej Konferencji w Cambridge (Anglia) w 1975 r., w której uczestniczyło kilkuset delegatów z całej Europy, a może i spoza Europy. Powitanie to było bardzo uroczyste i dzisiaj, choć nie pamiętam już tytułu referatu, który tam wygłaszałem, to

przypominam sobie powitalny okrzyk gospodarza tej kolacji: „Mr Glejdis from Poland”.

Na szczęście jeden z wyjazdów do USA nie doszedł do skutku i dzięki temu ocalałem (wraz z drugim kolegą), gdyż nasz powrót z tego wyjazdu (po odbyciu dwumiesięcznego stażu szkoleniowego) planowany był dokładnie na dzień 13 marca 1981 r. samolotem, który tuż przed wylądowaniem na lotnisku Okęcie w Warszawie uległ katastrofie. Obaj, ze wspomnianym wyżej kolegą nie znaleźliśmy się w samolocie gdyż w ostatniej niemal chwili odwołano nasz wyjazd do USA, ponieważ, spośród planowanej delegacji 5-cio osobowej, nasza specjalizacja zawodowa najmniej pasowała do tematyki stażu szkoleniowego. Wyjechało więc 3 osoby zamiast 5 i przewodniczący tej delegacji (pracownik Instytutu Badań Jądrowych) zginął, a dwóch innych ocalało, gdyż na własny koszt przedłużyli sobie jeszcze pobyt w USA i nie znaleźli się w rozbitym samolocie. Była to jedna z większych katastrof; zginęła w niej m.in. znana wówczas piosenkarka Anna Jantar.

Niezależny od pracy zawodowej, lecz blisko z nią związany był mój udział w działalności społecznej. Otóż w 1960 r. wstąpiłem do Stowarzyszenia Elektryków Polskich (SEP), a od 1962 r. do dnia dzisiejszego uczestniczę społecznie w działalności tej organizacji.



Walny Zjazd Delegatów Oddziału Warszawskiego SEP, 2.03.2002 r.

Zapoczątkowałem ją inicjując w 1962 r. założenie Koła SEP przy b. Państwowej Dyspozycji Mocy (PDM). Byłem jego pierwszym przewodniczącym (wówczas nie używano jeszcze tytułu: Prezes Koła). Z biegiem lat funkcji tych przybywało, a poczynając od 1998 r. do chwili obecnej aktywnie uczestniczę w działalności Oddziału Warszawskiego SEP. Obecnie jestem wiceprezesem – skarbnikiem tego Oddziału oraz prezesem Koła SEP przy PSE SA i Przewodniczącym Kolegium Sekcji Energetyki OW SEP. Dodatkowo od 1998 r. do chwili obecnej pełnię funkcję Przewodniczącego Komitetu Naukowo-Technicznego FSNT-NOT Gospodarki Energetycznej.

Do najważniejszych osiągnięć SEP i NOT należało organizowanie w ramach OW SEP (począwszy od 1995 r. aż do chwili obecnej) cyklicznej konferencji (początkowo co dwa lata, a później rzadziej) na temat: „Optymalizacja w Elektroenergetyce”, znanej w skrócie jako OPE’95, OPE’97 itd., aż do tegorocznej Konferencji OPE’15, która odbędzie się w dniu 7 października 2015 r. Natomiast w ramach działalności w NOT, pod moim przewodnictwem, organizowane były zwykle co rok konferencje o różnej tematyce, związanej głównie z gospodarką energetyczną, bezpieczeństwem energetycznym i efektywnością energetyczną, przy wykorzystaniu energetyki odnawialnej.

W całym okresie pracy zawodowej publikowałem w różnych czasopismach (najczęściej w czasopiśmie ENERGETYKA) i opracowywałem referaty na różne konferencje. Łącznie było to ponad 70 publikacji, ale najważniejszym osiągnięciem była publikacja dwóch książek technicznych, wydanych przez WNT pt.: (1) *Komputery w kierowaniu pracą systemu elektroenergetycznego* (WNT – 1980) i (2) *Praca elektrowni w systemie elektroenergetycznym* (wspólnie prof. Ryszardem Matłą z Politechniki Warszawskiej) – która miała 3 wydania, ostatnie w 1999 r.

Oddzielną sprawą jest mój udział, od 1993 r. do chwili obecnej, w pracach Sekcji Systemów Elektroenergetycznych Komitetu Elektrotechniki PAN, której jestem członkiem.

Za całokształt działalności zawodowej i społecznej byłem wielokrotnie wyróżniany zarówno odznaczeniami państwowymi, jak i medalami i odznakami SEP i NOT. Ostatnim odznaczeniem państwowym jakie otrzymałem był Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (rok 2000), zaś w zakresie działalności społecznej: medal 90-lecia SEP (rok 2009) oraz Diamentowa Honorowa Odznaka NOT (rok 2011).

W końcowej fazie pracy zawodowej, przed emeryturą, byłem kierownikiem Wydziału Administrowania Majątkiem Sieciowym. Było to związane z moimi licznymi wyjazdami do stacji elektroenergetycznych 400 i 220 kV, zwykle w charakterze przewodniczącego zespołu

likwidacyjnego, w celu oceny (i ewentualnej likwidacji) zużytych urządzeń rozdzielczych. Pewnego razu chociaż byłem chory (gardło, chrypka) i nie bardzo nadawałem się do wyjazdu, zdecydowałem się jednak wyjechać pociągiem do zespołu stacji wysokiego napięcia PAK (zespół elektrowni i stacji WN – Pątnów, Adamów, Konin). Podczas tej podróży kierownik powyższego zespołu stacji z własnej inicjatywy zawiózł mnie i jeszcze drugiego kolegę współpracownika do nowo budowanej bazyliki NMP w Licheniu Starym, położonym w pobliżu zespołu PAK. Bazylika ta nie była jeszcze wówczas ukończona. Dzięki tej podróży stałem się jednym z darczyńców bazyliki i w późniejszych latach odwiedzałem ją jeszcze kilkakrotnie, oczywiście już z pominięciem wizyty w zespole stacji PAK.

Po przejściu na emeryturę w 2002 r. rozpocząłem prywatną działalność zawodową, zakładając firmę jednoosobową o nazwie: „Agencja Badawczo – Szkoleniowa Energetyki” – ABSEN.

W ramach tej działalności wykonywałem zwykle różne analizy zużycia energii na potrzeby własne stacji, ale w latach 2005 – 2011 koncentrowałem się głównie na audytach energetycznych budynków na stacjach 400 i 220 kV (np. budynków nastawni lub potrzeb własnych), dla potrzeb Operatora Systemu Przesyłowego (ściślej mówiąc dla potrzeb PSE SA; początkowo była to firma PSE-Operator SA, ale później wróciła do starej nazwy PSE SA). Od roku 2008 do 2011 nie pracowałem już przy ul. Mysiej, lecz w siedzibie b. PSE-Operator SA (obecnie jest to znów PSE SA) w Konstancinie-Jeziornie.



Występuję w roli przewodniczącego spotkania koleżeńkiego

Natomiast częściowo jeszcze w roku 2011, a już całkowicie po roku 2011, pracowałem na umowie zlecenia w Biurze Zarządu Głównego SEP, pełniąc funkcję Dyrektora Biura Studiów i Analiz SEP. Najważniejszym tematem pracy w tym okresie była realizacja projektu ELEVET - „Przejrzystość kształcenia zawodowego inżynierów elektryków”, finansowanego przez Unię Europejską w ramach projektu Leonardo da Vinci.

W międzyczasie nastąpił rok 2008 związany z 50-tą rocznicą ukończenia studiów i podtrzymując tradycję naszych Zjazdów wziąłem tym razem na swoje barki (wspólnie z Władkiem Torbiczem) organizację kolejnego Zjazdu Absolwentów w dniu 28 czerwca 2008 roku w siedzibie Instytutu Biocybernetyki w Warszawie. Załączone zdjęcie przedstawia mnie właśnie w roli prowadzącego obrady tego Zjazdu.

Aktualnie (w I półroczu 2015 roku) w dalszym ciągu kieruję Biurem Studiów i Analiz SEP, w ramach którego wykonywane były różne ekspertyzy dotyczące instalacji elektrycznych, ale podstawowym tematem w latach 2011-2014 była realizacja wspomnianego wyżej projektu ELEVET. Realizacja I etapu tego projektu zakończyła się w czerwcu 2014 r., ale obecnie, w ramach II etapu (już nie finansowanego przez UE) prowadzę wykłady na kursach dla wykładowców SEP, zapoznając ich z wymaganiami projektu ELEVET, aby mogli przekazywać je dalej na kursach doksztalających i kursach ukierunkowanych na uzyskanie uprawnień zawodowych (po zdaniu egzaminu przed odpowiednią Komisją Kwalifikacyjną). Zakłada się, że kursy, na których obecnie wykładam będą prowadzone jeszcze w 2015 r., a co potem to jeszcze nie mogę przewidzieć, gdyż będzie to zależało również od możliwości współpracy z innymi agendami gospodarczymi w ramach Zarządu Głównego SEP i Oddziału Warszawskiego SEP. Być może jeszcze zajmę się innymi tematami szkolenia (?) w energetyce zawodowej współpracując z PSE SA lub PGE SA w ramach Ośrodka Rzeczoznawstwa i Usług Technicznych Oddziału Warszawskiego SEP. Wszystko będzie zależeć od aktualnej koniunktury i mojego zdrowia.

W wielkim skrócie opisałem ważniejsze zdarzenia z mojej działalności zawodowej i społecznej w SEP i FSNT-NOT. Tym organizacjom poświęciłem sporą część życia, pełniąc w nich szereg funkcji, a przy tym organizując różne imprezy, przede wszystkim konferencje i seminaria. Jeśli Pan Bóg pozwoli, to jeszcze i w następnych latach nie spocznię w tej działalności.



Refleksje

Studia

Studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej w moich wspomnieniach, to w pierwszym planie profesorowie i asystenci. Oto jak spostrzegałem niektórych z nich.

Prof. Witold Kotowski. Przedmiot – Podstawy Elektrotechniki. Zanim usiadł sprawdził palcem czy na biurku i na krześle nie ma kurzu. Nigdy nie widziałem na jego twarzy wyrazu uśmiechu ani złości. W brązowej welwetowej marynarce nie wyróżniał się bardzo spośród studentów, bo chyba połowa z nich nosiła takie marynarki. Krążyły anegdoty, że podczas egzaminu był rygorystyczny i przesadnie precyzyjny: -„Proszę obejść stół dookoła... Student rusza, a Profesor krzyczy: Stop! - Jeszcze nie powiedziałem w którym kierunku." Wielu studentów musiało powtarzać egzamin raz albo kilka razy. Już pracowałem w Zakładzie Energetycznym i pojechałem do Rejonu Otwock, gdzie nadzorowałem roboty elektryczne. W pewnej chwili do biura wszedł Profesor, przedstawił się i zgłosił kierownikowi awarię elektryczną w swoim domu w Otwocku. Powołał się przy tym na rozmowę telefoniczną z dyrektorem z centrali Zakładu Energetycznego, panem C., wcześniej pracownikiem naukowym na Wydziale Elektrycznym PW. Dla mnie było jasne, że powołanie się na dyrektora z centrali miało zapobiec ewentualnym trudnościom w usunięciu awarii, gdyby reklamację przyjmował któryś z "nękanych" na egzaminie byłych studentów.

Jeszcze jedno wspomnienie o Profesorze miało miejsce w 1998 roku w autokarze wiozącym uczestników wycieczki, członków Stowarzyszenia Elektryków Polskich z Warszawy do siedziby firmy Schneider Electric w Grenoble. Gdy autokar ruszył i połały się toasty, mikrofon wzięł Mieczysław P. z PSE Warszawa i rozpoczął przedstawianie uczestników. Siedzącego obok niego przedstawił: -„A to jest Dyrektor Elektroprojektu Warszawa, pan Jerzy Kotowski, syn starego Kota, profesora z Wydziału Elektrycznego, który nieraz dobrze dał mi w dupę!"- Jerzy tylko się uśmiechał.

Prof. Kazimierz Zarankiewicz, matematyk, dla nas wykładał

mechanikę. Prezes Polskiego i wiceprezes Międzynarodowego Towarzystwa Astronautycznego. Jego wykłady były bardzo interesujące, często zawierały ciekawostkę lub żart, jak na przykład ten o nauce języka obcego: bierzemy słownik, pierwszą stronę interesującego nas tekstu tłumaczymy 3 dni, drugą 2 dni, a po miesiącu nie mamy już problemu. Wtedy (1953 - 1954) jego działalność w dziedzinie astronautyki wydawała się czysto teoretyczna, jeśli chodzi o realizację lotów w kosmosie. Tymczasem 3 lata później (1957) Sputnik krążył na orbicie. W 1969 roku ludzie chodzili po Księżycu.

Pewnego dnia przed wykładem Profesor wywołał mnie i wręczył mi dwa jego opracowania w języku angielskim z dziedziny matematyki z wpisem: Panu G... A... za celująco zdany egzamin od autora. 26 II 1954. W pierwszej chwili poczułem się jak pierwszy na podium olimpijskim, ale zaraz Profesor poprosił następną osobę i jeszcze następną – razem kilka osób. A moje hobby rozwiązywania zadań z mechaniki zamiast krzyżówek zostało niespodziewanie nagrodzone.

Prof. Józef Żydanowicz. Wykładał przedmiot Zabezpieczenia Elektroenergetyczne, napisał wiele podręczników. Egzamin końcowy z tego przedmiotu przeprowadzał asystent, na wszystkie pytania odpowiadałem, aż dostałem pytanie o zabezpieczenia łączowe. Ten temat był mi obcy. Czas leciał, a ja nie mogłem nic wymyślić. Wreszcie asystent pyta egzaminującego obok Profesora: -"Panie profesorze, student nic nie wie o zabezpieczeniach łączowych!." Profesor na to: -"Dać mu to co wie!" W tym momencie przypomniałem sobie – pytam: -" Czy chodzi o łącza wielkiej częstotliwości?" i dodaję: „do przesyłania sygnału zabezpieczeniowego o wielkiej częstotliwości wykorzystuje się przewody robocze linii wysokiego napięcia”. Dalej egzamin przebiegał pomyślnie.

Prof. Stanisław Kończykowski. Przedmiot - Urządzenia Elektroenergetyczne. Egzamin u Profesora polegał na podpytywaniu, co student wie na temat... i jeżeli student za długo się namyślał, dostawał pytania naprowadzające. Oczekiwanie na odpowiedź Profesor dobrze wykorzystywał konsumując kanapki, po czym zgarniał okruchy i kończył pozytywnie zdany egzamin. Kolejny wykład – o urządzeniach elektrycznych dla sekcji Elektrownie – Profesor prowadził spokojnie aż do momentu, gdy, powtarzając parę razy termin "żarówka fazowa" (zwykła żarówka do pogładowego sposobu synchronizacji generatora z siecią) przejęczył się mówiąc "fazówka żarowa." Gdy to się powtórzyło, skończyło się małym poruszeniem wśród słuchaczy. Innym razem wykład dotyczył zabezpieczeń przekaźnikowych i występował tam zwrot "czas własny przekaźnika." Profesor też przejęczył się i powiedział "włas czasny." Za pierwszym razem był tylko cichy szmer, za drugim ktoś wybuchnął głośnym śmiechem, inni też trochę się roześmiali. A Profesor?

Kontynuował wykład nie okazując żadnej reakcji.

Prof. Roman Hampel, matematyk. Na pierwszych latach Profesor „pędził z materiałem”, widocznie nie mając czasu na dygresje. Na kursie magisterskim miał więcej swobody i w jego wykładach pojawiły się opowiadania, ciekawostki i anegdoty wiążące się z matematyką. Szkoda, że tego nie spisał, bo sama osoba Stefana Banacha i jego "Księga Szkoła" zajęłaby spory rozdział. Tak jak Leopold Infeld w książce Wybrańcy Bogów opisał genialnego samouka Ewarysta Galois, który rozwiązywał już poważne problemy z matematyki jeszcze przed studiami, a chcąc pogłębić wiedzę, starał się dostać na studia, ale nie zdał egzaminu wstępnego, zaskoczony pytaniem o logarytmach, tak dla niego prostym, że uznał je za kpinę i nie odpowiedział nic.

A teraz sprawy inne.

Koreańczycy. Na naszym roku było kilkunastu Koreańczyków przybyłych do Polski pod koniec wojny koreańskiej. Na II i III roku studiów mieszkaliśmy w akademiku przy pl. Narutowicza z Władkiem Torbiczem i Koreańczykiem Chan Cho-Dżinem. Cho-Dżin dużo rozmawiał, dobrze mówił po polsku, a również ładnie śpiewał, zwłaszcza arie z opery Madame Butterfly Pucciniego, której akcja dzieje się w Japonii (Japonia przez wiele lat okupowała Koreę). Pewnego razu Cho-Dżina odwiedził inny Koreańczyk i w ich dyskusji powtarzały się słowa "Hampel Maria". Po wyjściu kolegi zapytaliśmy o co chodziło. Okazało się, że rozmawiali o Profesorze Hamplu, ale Cho-Dżin nie wiedział o jaką Marię nam chodzi. W końcu dogadaliśmy się, że to co my odbieraliśmy jako Maria po koreańsku brzmi jak malia i oznacza nadużywane nieraz w rozmowach słowo w rodzaju "prawda", "mocium panie" itp.

Z Chan Cho-Dżinem wiąże się jeszcze jedno zdarzenie. Otrzymywał on przez jakiś czas co miesiąc przekazem 200 złotych. Doręczał mu je listonosz Jabłoński, który wykrzykiwał: -"Dzień dobry panie Czang Kai-Szek. Mam dla pana pieniądze!" i wręczał pieniądze wyliczając: sto, sto pięćdziesiąt..., sto dziewięćdziesiąt pięć, – i ostatnią piątką w ręku zataczał łuk, i chował do kieszeni kończąc: -dwieście. Cho-Dżin nie protestował ani na brak 5 złotych, ani na nazwisko Czang Kai-Szek, choć ten był przywódcą na Tajwanie, popieranym przez Amerykanów. Dobre stosunki z Koreańczykami uległy oziębieniu po wydarzeniach 1956 i 1957 roku.

Studium Wojskowe. Raz na dwa tygodnie studenci uznani jako zdolni do służby wojskowej odbywali w godzinach 7- 19 szkolenie wojskowe. Przebieraliśmy się w mundury i szliśmy na sale wykładowe lub z karabinami maszerowaliśmy na Pole Mokotowskie. W lipcu 1957 roku wyjechaliśmy do jednostki wojskowej w Morągu i tam pod dowództwem oficerów z jednostki wyruszyliśmy w pełnym rynsztunku, w hełmach, z karabinkami, ckm-ami, często i z maskami p-gaz. ćwiczyć natarcie na linii

Ostróda - Morąg. Wracaliśmy zmordowani i spoceni, toteż przed ciszą nocną, o godzinie 22 w każdym pokoju któryś krzyczał, np.: -"Trzeci dzień wojska minął!" Wszyscy mu odpowiadali: „i ...uj z nim!" Początkowo dowództwo czyniło dochodzenie skąd te krzyki i co oni wykrzykują. Wkrótce studenci poskarżyli się w dowództwie, że na obiad dostają codziennie jako mięso kawałek gotowanej słoniny, cuchnącej, ze skórą z resztkami szczeciny. Od razu, albo po wykrojeniu lepszych kawałków słonina szła na widelec, student schylał głowę i wyrzucał w nieznanym kierunku. Najlepiej, żeby wpadła do talerza z zupą. Skarga pomogła, mięso podawano lepsze, z pożytkiem nie tylko dla nas, ale i żołnierzy służby czynnej. Na dzień 14 lipca wyznaczone było złożenie przysięgi przez nas i przez setki żołnierzy służby czynnej. Czynione były próby na placu i czytane były słowa przysięgi – przysięgać mieliśmy m.in. „na wierność Związkowi Radzieckiemu." Powiedzieliśmy, że takiej przysięgi nie będziemy składać. Nasi dowódcy, oficerowie z jednostki usiłowali nas przekonać, że to niemożliwe, że przysięgę musimy złożyć, a w przeddzień poinformowali nas, że słów tych możemy nie wypowiadać.

Dowódca naszego plutonu, porucznik R. (Radomski) był szczególnie dokuczliwy. Krzykliwym głosem beształ nas bez przerwy. Ale dwa razy widzieliśmy go w sytuacji komicznej. Raz zajęcia w polu przedłużyły się do zmroku i z zarośli wyległy chrabąszcze. Szczególnie upodobały sobie osobę porucznika. Zaczęły krążyć koło jego głowy, on zaczął robić gwałtowne uniki w bok, do tyłu, skokami zaczął oddalać się od nas przeklinając, że w takich warunkach nie można prowadzić zajęć i zaraz zarządził powrót do koszar. Innym razem prowadził strzelanie z pistoletu TT ostrą amunicją. Strzelanie było na tyle ważne, że oficerowie, którymi mieliśmy zostać na zakończenie obozu, powinni dobrze strzelać. Tymczasem jeden z kolegów oddał już dwa strzały i nawet nie trafił w tarczę. Porucznik zaczął bardzo krzyczeć, kolega coś mu odpowiadał obniżając pistolet i bezwiednie kierując lufę w stronę porucznika. Porucznik zaczął uciekać krzycząc: - „Lufa w górę! Lufa w górę!" Wiedział bowiem, że pistolet był gotowy do strzału (odbezpieczony i nabity) i groziło mu realne niebezpieczeństwo. Po obozie dano mi stopień kaprała podchorążego.

Koniec studiów nie był rozstaniem z obowiązkami wojskowymi. W 1962 roku zostałem skierowany do Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze, gdzie spędziłem 3 letnie miesiące w towarzystwie Henia Sobusia. Miałem możliwość dowiedzieć się od niego wiele o jego tułaczce w Kazachstanie, dokąd został wywieziony z rodziną po zajęciu wschodnich ziem Polski przez Sowieców podczas II Wojny Światowej. Pozostałem kapralem podchorążym. Na stopień oficerski zostałem awansowany po wielu latach, po odbyciu kolejnych ćwiczeń wojskowych.



Autor z Heniem Sobusiem w OSR Jelenia Góra, 1962

Kawały wojskowe i nie tylko z tamtych lat

- Wykładowca pyta studenta: czym się czyści lufę po strzelaniu. Student odpowiada: logarytmem.
Wykładowca chwilę zastanawia się i mówi: Można logarytmem, ale lepiej to robić wyciorem.
- Na obozie wojskowym studenci pytają swojego dowódcę: czy mogą zorganizować zawody w grę w brydża.
Odpowiem jutro. Muszę zapytać dowódcę jednostki. Nazajutrz odpowiada: Nie możecie. W jednostce nie ma boiska do brydża.
- W pewnej jednostce był żołnierz, który lubił zakładać się i który wygrywał wszystkie zakłady. W końcu wszyscy mieli go dość i dowództwo postanowiło pozbyć się go wysyłając do innej jednostki. Tak się złożyło, że żołnierz miał w tamtej jednostce kolegę, który go informował. Przed wyjazdem żołnierz założył się, że nie upłynie miesiąc i włoży on świeczkę w dupę dowódcy tamtej jednostki. Nikt w to nie wierzył i wszyscy się założyli. Po paru tygodniach przyszło podziękowanie od dowódcy tamtej jednostki, że przysłali mu żołnierza, który wyleczył go z hemoroidów po latach cierpień i to prostym

sposobem – wkładaniem świeczki w bolące miejsce.

- Kawał niewojskowy (autentyczne).

W Rejonie Żyrardów przez wiele lat kierownikiem był p. Edward Świeczka. Znałem go, bo nadzorowałem tam roboty. Pewnego razu do Rejonu zadzwonił zdenerwowany odbiorca, że od rana nie ma światła, nie mógł się dodzwonić, zapytał co tam w Rejonie się dzieje i kiedy będzie światło. Telefon odebrał pracownik i chcąc przekazać słuchawkę nadchodzącemu kierownikowi powiedział do odbiorcy: To ja panu dam Świeczkę. W słuchawce usłyszał: Coo?, świeczkę to wsadź pan sobie w d.!

Praca 1959 - 2002

Pierwszym miejscem mojej pracy po studiach był Zakład Energetyczny w Pruszkowie, a później w Warszawie. W pierwszym roku odbyłem staż na stanowiskach technicznych, następnie rozpocząłem pracę w Dziale Nadzoru jako inspektor nadzoru robót elektrycznych. Praca ta bardzo mi odpowiadała ze względu na częste wyjazdy w teren, dużo ruchu i swobodę w działaniu. Złe strony to: potrzeba szczegółowych rozliczeń materiałowych i finansowych budowy oraz niska płaca! Zakłady energetyczne należały w czasach PRL do pięciu zakładów, gdzie zawsze były wolne miejsca pracy, gdzie zarobki były najniższe i które miały opinię: "czy się stoi, czy się leży, dwa patyki (tysiące) się należy." Do tej kategorii zakładów należały także: poczta, komunikacja miejska, PKP i służba zdrowia. Wkrótce pojawił się też tajemniczy Czesław W. i ciekawski Tadeusz L. Ich pierwsze starcie zasługuje na wzmiankę. Tadek przechodząc zauważa, że Czesiek wypełnia formularz wpłaty i pyta: – co to jest? Czesiek odpowiada: – Alimenty na chłopaka; ale to już ostatni miesiąc. Pytanie: – To on ukończył 18 lat? Czesiek: – Nie, 9 lat (Czesiek ma 33 lata), następne 9 lat przejmuję drugi. Zdziwienie, więc Czesiek musi dalej improwizować. Bo było nas dwóch, żaden nie chciał się przyznać do ojcostwa i sąd tak zdecydował. Ja pierwsze 9 lat, ten drugi, wtedy jeszcze młodociany, następne 9 lat. Tadek usłyszał nasze chichoty i zrozumiał, że Cześka nie można o nic pytać. A prawda była taka, że Zakład zamówił dla chętnych pracowników motocykle SHL na raty i Czesiek wypełniał blankiet ostatniej raty. Niedługo potem kierownik polecił Tadekowi zebrać dane personalne pracowników. Tadek podchodzi do Cześka i mówi: - Czesław W., to wiem. Data i miejsce urodzenia? Czesiek podaje datę i dodaje: – Na stole. Tadek: – Co na stole? Czesiek: – Miejsce urodzenia. Tadek widzi, że Czesiek znowu go nabiera, więc mówi: – Czesiek, nie pieprz głupot, urodziłeś się jak każdy na łóżku. Podaj mi miejscowość! Czesiek, spokojnie wyjmuje dowód i pokazuje. Tadek czyta i wykrzykuje: - O. K.! Na stole! Wtedy zerwaliśmy się z krzesel wszyscy, biegniemy i widzimy: „Nastole”. Wydawało się, że Tadek nie da się więcej nabrać. Kiedyś do Cześka przyszedł kolega,

rozmawiali długo i ciekawie, a gdy wyszedł, Czesiek zajął się swoimi sprawami, jak gdyby czekając na pytania. Wreszcie Tadek zapytał, kto to był. Czesiek opowiedział, że znają się od dawna, ostatnio nie spotykali się, obecnie kolega jest nauczycielem elektrotechniki w technikum. Tadekowi było mało; zapytał: – A jak się nazywa? Czesiek odpowiedział niewyraźnie: – Kurła. Tadek: – Czesiek, jak?, bo mu się zdawało, że usłyszał słowo kurwa. Czesiek powiedział głośno i wyraźnie: Kur ban.

Przez nasz pokój przechodziło się do następnego pokoju, w którym mieścił się dział dokumentacji. Drzwi do tego pokoju były stale otwarte. Czesiek wykorzystywał to do robienia psikusów kierowniczce działu, p. Janeczce. Janeczka nie obrażała się, lecz mówiła: - Czesiu, na taki kawał już mnie nie nabierzesz. On wtedy mówił: – A założymy się? Gdy np. usłyszał, że jakiś projekt jest pilny, dzwonił do Janeczki zniekształconym głosem mówiąc do słuchawki przez grzebień z bibułką. Przedstawiał się jako np. kierownik z biura projektów, które ten pilny projekt opracowywało i zawiadamiał, że termin oddania projektu przesuwają się o parę miesięcy, bo projektant np. znalazł się w szpitalu. Przerażona Janeczka biegnie przez nasz pokój do dyrektora, którego gabinet dzieliła od naszego pokoju ściana z cienkiej dykty, przekazuje mu złą wiadomość o opóźnieniu. Dyrektor uspokaja Janeczkę, że rozmawiał przed godziną z dyrektorem biura projektów, który nie przewidywał opóźnienia. I zapytał Janeczkę, czy to nie Czesiek dzwonił do niej. Janeczka widocznie przypomniawszy sobie dziwny głos rozmówcy i wracała uśmiechnięta, ale przechodząc obok Cześka pogroziła mu.

Żarciki Cześka nie były szkodliwe ani obraźliwe, lubił je nawet dyrektor. Pewnego razu dyrektor odebrał jednak dziwny telefon: – Czy to dyrektor C.? Mówi porucznik Świąć z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Otwocku. Proszę przybyć do Urzędu jutro na godzinę 10. Dyrektor wszedł do naszego pokoju, podszedł do Cześka siedzącego nad jakimiś papierami i powiedział z uśmiechem: – Poruczniku Świąć!?! Czesiek spojrział zdziwiony, oczekując dalszego ciągu, a dyrektor powtórzył: – Poruczniku Świąć!?! i wyszedł. Pytamy Cześka, o co chodziło, on nic nie wie. Po kilku dniach nadszedł list z Urzędu Bezpieczeństwa ponawiający wezwanie.

Z powyższych wspomnień zdawałoby się, że nasza praca jako inspektorów nadzoru była pasmem ciekawych i przyjemnych zdarzeń. Ale naprawdę to było pasmo zmagania z wykonawcami, brakiem materiałów, przygotowaniem obiektów do odbioru technicznego, przekazaniem ich do eksploatacji i, co najprzykrzejsze, rozliczenie kosztorysowe i materiałowe obiektów. Odnośnie do rozliczenia materiałowego: każdy materiał musiał być pobrany z magazynu i potwierdzony dokumentem. Zdarzyło się kiedyś, że brygadzysta Telesfor B., człowiek niezwykle żywiołowy, potrzebował, na

dokończenie budowy stacji transformatorowej, płaskownika stalowego zwanego "bednarką". Wpada do magazynu i woła:" – Potrzebuję 5 metrów bednarki na zero! (tzn. na połączenie punktu zerowego transformatora z uziemieniem stacji). Magazynier: – Nie ma! Brygadzista rozgląda się i wskazuje na niewielki krąg bednarki, akurat wystarczający dla niego. Magazynier: – Tej bednarki nie mogę ci dać, bo jest na zero (w kartotece magazynowej ta bednarka jest już wydana)! Brygadzista łapie krążek, krzyczy: – To ja właśnie potrzebuję na zero! i wybiega zostawiając zdezorientowanego magazyniera.

W latach pięćdziesiątych ub. wieku w Warszawie modernizowano sieć elektryczną przechodząc z układu 3 x 220 V na układ z przewodem zerowym uziemionym (obecna nazwa: przewód neutralny) 3 x 380/220 V. Pamiętam skargę czytelnika Expressu Wieczornego, u którego w domu po przełączeniu na nowy układ spaliły się żarówki i radiodbiornik. Po wielu tygodniach Express zamieścił odpowiedź: – "Monter zgubił zero." Oznaczało to, że zamiast przewodu zerowego doprowadził drugi przewód fazowy, czyli napięcie 380 V. Wspomnę tu też o czytelniczce Expressu, która zapytała, dlaczego ryż, który kupuje w sklepie czuć smarem. Stwierdziłem to samo i zacząłem śledzić rubrykę odpowiedzi. Po około pół roku ukazało się wyjaśnienie: Łuszczarnia Ryżu w Gdyni (?) wyjaśnia, że łożysko łuszczarki przepuszczało smar do produktu. Łożysko wymieniono, winnych ukarano. Naszych klientów przepraszamy. W Expressie też, w rubryce Ogłoszenia Drobne było stałe ogłoszenie: Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych w Szczecinie przyjmie 2700 robotników do prac torowych. Od czasu do czasu zaglądałem, zawsze było 2700.

Po pięciu latach zatrudniłem się w Pracowni Projektowej na stanowisku sprawdzającego. Praca polegała na wyjeździe w teren z projektantem rozpoczynającym projekt, porady w trakcie pracy nad projektem, sprawdzeniu rękopisu projektu i gotowego projektu po napisaniu na maszynie i po oprawieniu, ponieważ nawet wtedy można było znaleźć rzeczy niezwykle. Na przykład schemat urządzenia elektrycznego w obiekcie Piastów jest z nazwą obiektu Sobolew, bo jest taki sam, a projektant zapomniał zmienić nazwy. Wiele błędów robiły maszynistki: kołki rozporowe zamiast rozporowe, izolator z trzonem sprośnym, a nie skrośnym, przekładnik jednorazowy zamiast jednofazowy. Około 1965 roku przybył do Pracowni Edek D., reemigrant z Belgii, który przebywał tam z rodzicami od dziecka od czasów przedwojennych, uczęszczał do szkoły francuskiej i wrócił do Polski po wojnie. Dopiero w Polsce miał stały kontakt z językiem polskim, ukończył uczelnię techniczną i pracował gdzieś w biurze projektów. Gdy znalazł się w towarzystwie szybko stawał się jego duszą. Atrakcyjności przydawał mu pewien akcent nabyty na obczyźnie. Np. zwrot o trudnym zestawie spółgłosek, „koszt transformatora wraz

z transportem”, często występujący w projektach był dla niego ciężki do wymówienia. Wtedy, przed rozpoczęciem wypowiedzi, mówił: „bodajże”, albo „co się okazuje”, stąd uzyskał przydomek Bodajże Czosie Okazuje.

Odbiory techniczne obiektów miały uroczyste zakończenie w restauracji "Pod Retmanem" przy ul. Bednarskiej na Mariensztacie, niedaleko siedziby ZE. Po zajęciu miejsc panowie dzwoniли do żon, przyjaciółek, koleżanek z pracy, aby wzięły taksówki i przyjechały na wspólną zabawę. Po którymś tam toaście i daniu, siedząca obok Jurka koleżanka zapytała go, wskazując na Edka, kto to jest ten pan, co tak dziwnie mówi. Jurek, niby szeptem, ale wystarczająco głośno powiedział: - Bo to jest Żyd. Edek usłyszał to i wykrzyknął: – Ja Żid? Ja nie Żid! Ja nie jestem żaden Żid! Incydent szybko utonął w kolejnym toaście i impreza trwała do późna. Pozostawioną dokumentację poodbiorową niektórzy odbierali na drugi dzień. Raz zdarzyło się coś podobnego i Edkowi. Bawił się bardzo dobrze, podrywał kelnerkę Madzię, ona uśmiechała się do niego, ale następnego dnia przyjechał do pracy bez okazałej teczki służbowej. Zaczął rozpytywać innych uczestników imprezy czy nie widzieli jego teczki. Uczynny Jurek zaraz przypomniał sobie, że gdy wszyscy wychodzili z restauracji widział Edka z Madzią przy trzepaku. – Ty, Edek obściskiwalesz Madzię, a ona, przegięta, trzymała jedną ręką stojącą obok teczkę. Dla Edka wszystko stało się jasne. Krzyknął: – To ona, k..., podp... mi teczkę! i pobiegł w kierunku restauracji. W pustej o tej porze restauracji był tylko szatniarz. Edek dostrzegł w szatni swoją teczkę, złapał ją i zapytał tylko, kto ją oddał. Szatniarz odpowiedział, że przyniosła ją sprzątaczką, – Stała przy stole, tam, gdzie pan siedział!

Zwiększające się zapotrzebowanie na moc w sieci elektrycznej spowodowało, że przy Zakładzie powstał wydzielony Oddział do wykonywania tych zadań. Pracownia Projektowa znalazła się w tym Oddziale. Wzrosło zatrudnienie oraz ilość środków transportu i sprzętu zmechanizowanego. Jednocześnie wzrastały koszty, gdyż na robotę jechał samochód z ludźmi, koparka, dźwig, samochód z ciężkimi materiałami. Kiedyś był to tylko lekki samochód z ludźmi i samochód z materiałami. Coraz trudniej było wykonać „przerób” – wskaźnik, od którego zależała premia kwartalna. Największy nacisk na wykonanie przerobu szedł od dyrekcji okręgu, która określała wysokość premii i zatwierdzała wykonanie, a przy tym była sama najwyższej premiowana. Gdzieś około 1976 roku, kiedy niewykonanie zadań stało się bardzo bliskie, pan W., specjalista finansowy w Zakładzie podsunął dyrekcji pomysł, aby wystąpić do dyrekcji okręgu z wnioskiem, aby koszty transportu i sprzętu odejmowane od przerobu potraktować jako efekty i dodawać je do przerobu. Wniosek został wyśmiany, jako bzdurny i absurdalny. Gdy jednak plotki o takim wniosku dotarły do okręgu i zbliżał się termin zatwierdzenia premii kwartalnej,

wniosek wydawać się zaczął coraz bardziej interesujący i w końcu został zatwierdzony. Tak chyba zaczął się upadek PRL.

W 1989 r., po 6-letnim pobycie w Afryce, który opisuję dalej, powróciłem do Zakładu Energetycznego, który wtedy mieścił się w Rembertowie. Zostałem zatrudniony na stanowisku inspektora nadzoru linii wysokiego napięcia (WN) i stacji WN/SN (SN - średnie napięcie). Było nas tylko trzech, w tym znany już nam Czesiek W. Przydzielono mi do nadzoru modernizację linii, które kolejno nadzorowałem. Były to linie: 110 kV Małkinia - Sokołów Podlaski - Siedlce, Piaseczno - Góra Kalwaria, Ostrołęka - Maków Mazowiecki i linia 220 kV Mory - Kozienice (część, do granicy ZE). Nadzorowałem również budowę linii: 400 kV Warszawa - Białystok (100 km, do granicy ZE), którą opisuję w oddzielnym rozdziale, linii 110 kV Mińsk Mazowiecki - Świerk (wspólnie z Ryszardem S.), a także budowę stacji 110/15 kV z powiązaniem z siecią 110 i 15 kV w miejscowościach: Ząbki, Konstancin Jeziorna, Sobolew, Babice oraz modernizację stacji: 110/15 kV Piastów, Mińsk Mazowiecki, Świerk, Pruszków, Grodzisk Mazowiecki i inne.

Budowa stacji Konstancin Jeziorna była bardzo pilna, gdyż istniejące zasilanie ze stacji 30/15 kV było przestarzałe, zbyt małej mocy i znajdowało się na terenie siedziby Rejonu, przeszkadzając w uporządkowaniu terenu. Stacja została zbudowana względnie szybko około 1994 roku, ale utknęła budowa zasilania z sieci 110 kV odcinkiem linii dwutorowej prawie 2 km długości. Linia biegła większość trasy, według projektu, wzdłuż wąskiej działki "badylarza", który zażądał wysokiego odszkodowania. W czasach PRL-u byłby on wzywany, zastraszany, szykanowany, dopóki by nie ustąpił. Po transformacji ustrojowej pozostały tylko rozmowy z właścicielem. Po dwóch lub więcej latach, nowy dyrektor zarządził, że da do dyspozycji negocjatorowi milion złotych, aby uzyskał odpowiednie uzgodnienia. Negocjator uzgodnił koszt na milion złotych, ale udał się do właściciela identycznej sąsiedniej działki z pytaniem, ile on by zażądał. Ten odpowiedział, że zgodziłby się za połowę. Mając ten argument negocjator wrócił do pierwszego właściciela i uzgodnił cenę na 800 tys. zł. Wybuchło niezadowolenie ze strony innych właścicieli, którzy już podpisali zgodę za niską cenę, jak również ze strony Rejonu, który obawiał się znacznie teraz trudniejszych rozmów z właścicielami. Wkrótce linia została wybudowana, a stacja uruchomiona.

Linia 110 kV Mińsk Maz. - Świerk długości blisko 20 km czekała na realizację prawie 40 lat. Dopiero wielka awaria w regionie otwockim pod koniec lat 90-tych i kryzys budownictwa (firmy traciły klientów), który rozpoczął się około 2000 roku przyśpieszyły budowę. Tutaj trudnością była wielka liczba małych działek i duże zadrzewienie na trasie. Budowy podjęła się prężna firma z Wybrzeża, której groził upadek. Małe środki

przewidziane na pokrycie kosztów dla właścicieli działek wyeliminowały w przetargu konkurentów, którzy obawiali się, że gdyby przekroczyli te środki zabrakłoby im pieniędzy na budowę linii. Rozmowy z właścicielami prowadził przez wiele miesięcy sam dyrektor firmy, wpadając co miesiąc do ZE z fakturą za kolejny odcinek przeprowadzonych uzgodnień. Jednocześnie trwały prace projektowe. Nie upłynęły 2 lata i budowa linii oraz wykonanie niezbędnych robót w stacjach Mińsk Mazowiecki i Świerk zostały zakończone i odebrane. Po odbiorze świętowaliśmy zakończenie inwestycji w miłej nowej restauracji niedaleko Świerku. Byli wszyscy zainteresowani, w tym Główna Energetyk Instytutu Problemów Jądrowych, pani Krystyna K., która bardzo nam ułatwiała dostęp do tej do niedawna pilnie strzeżonej instytucji IPJ. W pewnej chwili weszła na salę restauracyjną atrakcyjnie wyglądająca młoda pani i gdy przechodziła obok naszego stołu pani Krysia zawołała: - Dzień dobry, pani Izo, miło mi, że panią widzę, co u pani słychać? – Dzień dobry, pani kierowniczo, ja tu jestem właścicielką. Pani Iza pracowała w dziale pani Krysi, zwolniono ją w latach 90-tych, gdy IPJ zaczął podupadać. Przypomniałem sobie, że pani Krysia zwróciła się do wykonawcy robót w nastawni, aby doprowadził sygnalizację stanu urządzeń stacji do jej biura. Wykonawca zgodził się dodając, że to koszt rzędu 300 złotych. Pani Krysia odpowiedziała, że nawet taka kwota stanowi dla dyrekcji IPJ problem. Może dlatego zmieniono nazwę z Instytutu Badań Jądrowych na Instytut Problemów Jądrowych.

Kilka razy wzywał mnie na rozmowę specjalista czuwający w Zakładzie nad kosztami inwestycji. Tematem rozmów były urządzenia gaszące i gaśnicze, w które jest wyposażona każda stacja transformatorowa WN/SN. Wskazywał mi pozycję w kosztorysie, gdzie był dławik gaszący w cenie kilkudziesięciu tysięcy złotych i pytał, czy pozycja ta jest poprawnie wyliczona. Spojrzawszy odpowiadałem, że poprawnie i czekałem co powie dalej. Ale on zmieniał temat i do sedna sprawy nie wracał. A sedno sprawy tkwi w tym, że urządzenia gaśnicze służą do gaszenia ognia: są to gaśnice – naczynia napełnione czynnikiem, który po uwolnieniu wytwarza pianę, śnieg lub in. w cenie od tysiąca do kilku tysięcy złotych; albo koce gaśnicze w cenie już od ok. 60 złotych. Natomiast urządzenia typu dławik gaszący o rozmiarach i kształcie niewielkiego transformatora służą do całkowitego lub częściowego zmniejszenia (kompensacji, gaszenia łuku elektrycznego) prądu zwarcia doziemnego w sieci średniego napięcia (np. 15 kV). Wtedy sieć może pracować kilka godzin bez wyłączenia. Domyślam się, że chodziło mu o to, dlaczego nie stosujemy tanich gaśnic lub koców, zamiast drogich dławików gaszących.

Linia 400 kV Warszawa - Białystok

Północno - wschodni region Polski jest oddalony od dużych elektrowni i linie połączeniowe były o niewystarczających mocach

przesyłowych. Region ten był w dużym stopniu zasilany z elektrowni litewskich, lecz Litwa uprzedziła nas, że w przyszłości nie będzie mogła tego realizować. Przystąpiono więc do projektowania mocnego wzmocnienia krajowego systemu elektroenergetycznego przez linię 400 kV Warszawa – Białystok. Projekt rozpoczęto pod koniec lat 80-tych, a budowę – w 1991 roku. Długość linii wynosiła 170 km, a odcinek warszawski, który miałem nadzorować – 98 km. Początkowy odcinek – 20 km – został zaprojektowany jako dwutorowy, z możliwością poprowadzenia linii do Siedlec (odcinek ten już zrealizowano – 2015 r.) . Główne dane konstrukcyjne: przewody wiązkowe (w wiązce dwa przewody o przekroju 240 mm²), ochrona odgromowa linii to dwa przewody.

W początkowej fazie budowy zmieniono jeden z przewodów odgromowych na przewód ze światłowodem. Było wtedy dwóch wytwórców takich przewodów: w USA i w Japonii. Przewód zamówiono w USA. Do montażu tego przewodu potrzebni są przeszkoleni monterzy, specjalne narzędzia i aparatura. Amerykanie zamierzali wykonać ten montaż, jak również przejąć budowę części lub całej linii. W tym celu zapoznali się z projektem, trasą i warunkami terenowymi, z już założonymi bazami sprzętu i materiałów, ich ubezpieczeniem i ze zbiorczym zestawieniem kosztów (zsk). Zrezygnowali jednak z powodu, ich zdaniem, słabego ubezpieczenia i zabezpieczenia baz, a także zbyt małych środków finansowych. W zsk przewidziano bowiem 85 % środków na budowę i 15% na pokrycie kosztów roszczeń właścicieli gruntów i odszkodowań. W Ameryce proporcje byłyby: 10% - budowa, 90% - roszczenia i odszkodowania, czyli powinniśmy powiększyć nasz koszt całkowity 8,5 krotnie. Co do montażu przewodu ze światłowodem ustalono, że zrobią to Polacy i w tym celu grupa polskich monterów zostanie przeszkolona w USA. Wyjechała spora grupa dyrektorów i kierowników i jeden monter, brygadzysta Prądka. Jeden, ale później okazało się, że dał sobie radę znakomicie. Po powrocie Polacy zachwycali się łącznością komórkową w USA – podczas pokazu montażu przewodu na budowie w terenie, w szczerym polu, zaszła potrzeba kontaktu z biurem dykcji w Warszawie. Amerykanin włączył telefon komórkowy, poprosił o numer, oddał telefon Polakowi i po chwili oczekiwania było połączenie. Był to rok 1992, w Polsce raczej się wtedy tylko mówiło o komórkach.

Budowa ruszyła, ale trudności było bardzo dużo. W pewnej miejscowości właściciel działki o nazwisku Mróz domagał się dużego odszkodowania nie pozwalając ustawić słupa. Dostał odszkodowanie, mimo że roboty nie były jeszcze zakończone. Słup ustawiono, ale przy rozciąganiu przewodów powstały znowu szkody i nowe żądania właściciela, Tym razem nie pozwalał na zamocowanie izolatorów i przewodów na słupie. Właściciel i jego rodzina dyżurowała bez przerwy przy słupie nie pozwalając zbliżyć

się monterom. (monterzy byli w pobliżu wykonując prace przygotowawcze). Taka sytuacja trwała już trzeci dzień. Właściciel oczekiwał na kolejną wypłatę, lub że monterzy odjadą. Ale monterzy nie odjeżdżali, bo znany nam już brygadzysta Prądka miał inny plan. Czekał on na moment chwilowego zawahania lub nieuwagi dyżurujących przy słupie. Ta chwila nadeszła, brygadzysta krzyknął: – Na słup, panowie! – i monterzy weszli na słup. Właściciel ustąpił. Niedługo potem dowiedzieliśmy się, że ten upór podtrzymywał jego kuzyn o nazwisku też Mróz, pracujący w miejscowym powiecie jako leśnik. ZE zlecał mu wycenę drzew, które należało wyciąć z trasy pod linią energetyczną. Tak więc współpracował z nami w zakresie szacowania drzew i doradzał wujowi jak wyciągnąć więcej pieniędzy z budowy linii.

To nie koniec przeszkód w budowie. W miejscowości Kąty koło Stanisławowa dwaj mieszkańcy, Rogala i Prajzner wstrzymali budowę linii na około pół roku. Wykonawca musiał przesunąć maszyny i ciężki sprzęt na inny odcinek, gdyż każdy przejazd po trasie linii przez grunty Rogali lub Prajznera kończył się pozwem do sądu rejonowego o naruszenie własności prywatnej. Pozwy pisał Prajzner, radca prawny Polleny w Warszawie, a Rogala, miejscowy rolnik ulegał we wszystkim rzutkiemu prawnikowi. Prajzner wybudował w czasach PRL dom letniskowy obok domu Rogali i wykupił grunt w Kątach, złożony z kilku działek położonych w pewnych odległościach od siebie. Działek tych nie uprawiał, czekał na lepsze ceny za grunty. Początkowo, wykonawca ustawił parę słupów na kilkukilometrowym odcinku linii, ale gdy próbował zbliżyć się z budową do zabudowań wsi, wtedy natrafiał na którąś z tych działek. Raz, gdy ciężki pojazd przejechał przez działkę Prajznera, ten zażądał 10 milionów zł (1000 zł nowych) odszkodowania. Wykonawca zapłacił tę kwotę i otrzymał pokwitowanie. Po paru miesiącach pojechałem do Kątów oszacować szkody u jednego z rolników i wskazując na sąsiednią działkę powiedziałem: – Według planu ta działka należy do Prajznera! Na to rolnik odrzekł, że teraz należy do niego, bo niedawno ją od Prajznera kupił i ma umowę kupna. Z numeru na planie działek wiedziałem, że 10 milionów złotych odszkodowania, które zapłacił wykonawca dotyczyły tej właśnie działki. Zacząłem podejrzewać, że Prajzner oszukał wykonawcę biorąc pieniądze po sprzedaniu działki. Trzeba było tylko porównać datę umowy z datą pokwitowania pieniędzy i ewentualnie złożyć w sądzie pozew przeciwko Prajznerowi. Ale po dwóch dniach Rogala i Prajzner wycofali z sądu wszystkie pozwy i zaraz potem Prajzner wyjechał do Kanady.

Pewnej nocy rozszalała się wichura nad dopiero co skończonym odcinkiem linii. Wiatr nasilał się i nad ranem mieszkańcy pobliskich zabudowań obudzili się, bo do szumu wichru doszły ich uszów zgrzyty zginanych konstrukcji i odgłosy padających słupów. Zwalił się słup

odporowo-naróżny, tzw. mocny, pociągając kilka sąsiednich słupów przelotowych. Przyczyną tego było wyrwanie kotwy ze świeżo wylanego fundamentu słupa. Linia nie była jeszcze pod napięciem, więc nie było błysku ani trzasku od łuku elektrycznego, które przy napięciu 400 kV są bardzo duże. Też nocą, 14 stycznia 1993 roku na Bałtyku zatonął w czasie sztormu prom Heweliusz. Sztorm osiągnął wtedy najwyższy stopień w skali Beauforta. Straty w linii nie były wielkie, szybko je nadrobiono.

Nie był to koniec przygód. Mieszkańcy Ceranowa w dolinie Bugu zobaczyli pewnego dnia błysk nad lasem i usłyszeli silny wybuch. Wybiegli na drogę i ktoś powiedział, że słyszał odgłos samolotu. Wszyscy zaczęli nabierać przekonania, że w lesie spadł samolot. Starsi ludzie pewnie jeszcze pamiętali wybuchające przed 50 laty, w tych okolicach, niemieckie samoloty – pociski V1. Niedaleko stąd spadł wtedy w bagna nadbużańskie słynny pocisk V1 – niewypał, który znaleźli Polacy i w częściach przesłali do Anglii. Grupa biegnących mieszkańców z łopatami i bosakami do gaszenia pożaru skierowała się w kierunku lasu. Gdy wybiegli spoza zabudowań, nie zobaczyli dymu ani ognia, lecz spostrzegli w oddali jadący szybko w kierunku lasu samochód terenowy. Po chwili ten samochód zatrzymał się, następnie zawrócił. Ludzie dobiegli do lasu i nie znaleźli ani samolotu, ani śladu pożaru, więc wrócili. Potem dowiedzieliśmy się, że była to próba załączenia linii pod napięcie. Z chwilą podania napięcia na linię, między przewodem i niewyciętym najbliższym drzewem powstał łuk elektryczny powodujący błysk i huk. Zabezpieczenie działające na zwarcie doziemne w ułamku sekundy wyłączyło linię. A samochodem terenowym jechał kierownik budowy, który zobaczył tłum biegnący w tym samym kierunku i dla ostrożności zawrócił – jechał do miejsca zbliżenia linii do lasu. Następnego dnia byłem w Ceranowie w sprawie poszerzenia wycinki drzew w lesie. Przyjechała specjalna brygada i rozpoczęła pracę od wycięcia drzewa, które spowodowało wyłączenie linii. Założono liny odciągające, aby drzewo nie padło na przewody linii. Zauważyłem, że drzewo jest zgięte w kierunku wzdłuż linii, a pień pochylony w stronę linii. Podzieliłem się z brygadzystą moim spostrzeżeniem, że po przecięciu pnia górna część drzewa może się przekręcić i upaść na przewody, a ten odrzekł: – My to robimy codziennie, proszę się nie martwić! Oddaliłem się i obserwowałem. Gdy pracownik przeciął pień, drzewo skręciło się i zaczęło lecieć na linię; brygadzista krzyknął: – Uciekać do lasu! Gałęzie pchnęły przewody, a te zabujały się, ale łuku elektrycznego nie było – linia nie była pod napięciem.

Zair

W czerwcu 1980 roku zadzwonił do mnie ze Skarżyska Kamiennej Rysio Gąska, abym skontaktował się z Mietkiem N., kolegą z kursu magisterskiego. Powiedział, że pracuje on w Kinszasie w Zairze i może

ułatwić mi otrzymanie tam pracy. Od Mietka dowiedziałem się, że praca ta, to wykłady w Wyższym Instytucie Technicznym, a warunki otrzymania kontraktu na pracę, to znajomość języka francuskiego poświadczona przez komisję państwową o zdaniu egzaminu z wynikiem dobrym oraz przedstawienie dokumentów: dyplomu, zaświadczenia praktyce zawodowej i innych – wszystko tłumaczone na język francuski. Dokumenty oddałem Mietkowi, a ten złożył je bezpośrednio w tamtym Instytucie. Mietek powiedział, że do Polservice`u złożę je po akceptacji mojej osoby przez Instytut. Pierwszym problem było: jak dostać się do komisji językowej. Komisje te działały nieregularnie i tylko załatwiały sprawy osób z własnej instytucji lub uczelni. Spróbowałem uzyskać informację w SGPiS. W sekretariacie ktoś rozmawiał z sekretarką; gdy przerwał, zacząłem przedstawiać jej mój problem. Zanim odpowiedziała, włączył się do rozmowy ten ktoś – okazało się, że był to pracownik naukowy uczelni, dobrze zorientowany w tych sprawach. Dał mi telefon do profesora Mirosława K., który był członkiem komisji egzaminacyjnej. Profesor zrobił mi krótki egzamin, stwierdził, że muszę powtórzyć gramatykę, a następnie przygotowuje mnie do egzaminu. On sam nie może wziąć udziału w egzaminie, ale przygotowuje mnie tak, żebym zdał. Jego lekcje były drogie. Powiedział: –Jestem drogi, bo jestem dobry. Rzeczywiście, po niedługim czasie egzamin zdałem. Ale był to okres politycznie burzliwy, po roku był stan wojenny, wydawało się, że nic z moich starań nie wyjdzie. Mimo to złożyłem dokumenty w Polservice`ie.

We wrześniu 1982 roku dowiedziałem się, że Polservice oferuje pracę na rynku frankofońskim północno-afrykańskim. Pojechałem tam, aby przenieść dokumenty, ale gdy zacząłem mówić, że chciałbym przenieść papiery z biura zairskiego, bo leżą tam już ponad rok i nic się nie dzieje, weszła pani, która, słuchając moich słów zapytała: – A jak nazwisko? Ja: – Grochala. Ona: – proszę ze mną, bo na pana czekają bilety na samolot affrette (czarter) Bruksela – Kinszasa.

Podobnie było z Markiem Augustynopolskim, pracującym też w Instytucie. Przyjechał on z Krakowa do Warszawy z dwiema nieletnimi córkami i bagażami. W Polservice`ie powinny czekać na nich bilety do Kinszasy. Gdy podał swoje nazwisko, pani mówi: - Nie ma dla pana biletów. Myśląc, że może bilety nadejdą, zanocował w hotelu i na drugi dzień przybył znowu z córkami i bagażami, i znowu otrzymał tę samą odpowiedź. Sytuacja powtórzyła się na trzeci dzień i wtedy zainteresowała się nimi inna pani; czyta ona nazwisko i mówi: - Tu są trzy bilety, ale na nazwisko Opolski Augustyn – Marek, Lucyna, Joanna ?!... Przecież to są pana bilety, tylko przekreślono nazwisko.

Odlot samolotu miał nastąpić 25 października. Miałem nieco ponad miesiąc czasu na załatwienie masy spraw. Mówię: – Za późno się o tym

dowiaduję. Nie zdążę wszystkiego załatwić. Pani na to: – Musi pan zdążyć! I tak było, choć o niektórych sprawach dowiadywałem się w ostatniej chwili. Wiedziałem, że w Polservice`ie nic mi nie powiedzą, bo wyjazd załatwiałem poza nimi. Np., o szczepieniach dowiedziałem się w ostatnim dniu przed wylotem do Brukseli i to w warunkach bardzo denerwujących. – Szczepienia do 15-tej, jest 13-ta, a ja dowiaduję się, że muszę mieć zaświadczenie o braku przeciwwskazań. Jadę do przychodni, wpadam do gabinetu kierowniczkę, przerywam naradę, mówię o zaświadczeniu do szczepień wymaganych przed podróżą do Afryki – za chwilę mam zaświadczenie. Wracam do punktu szczepień tuż przed 15-tą. Inny przykład: – odbierając wizę w Ambasadzie Zairskiej dzień przed wyjazdem, dowiaduję się od Polaka, że muszę zabrać żelazko, kuchenkę elektryczną, garnki itp., bo tam te rzeczy są bardzo drogie.

Odprawa na lotnisku dramatyczna: waga bagażu przekroczona, bagażu ręcznego (do 5 kg) – jest 30 kg, ale bagaż przechodzi. Odprawa dewizowa: – Ile ma pan pieniędzy? Ja: – 52 dolary USA. Kontrolerka: – Bez zezwolenia nie wolno nic wywieźć. Ja pozwalam panu zachować 10 dolarów, resztę proszę oddać rodzinie. Odszedłem do rodziny, schowałem głębiej, przeszedłem kontrolę, mogę lecieć. Bruksela, godziny: 22-23, ciepło, bary, kioski otwarte, dużo ludzi spaceruje. Jutro odlot do Kinszasy. Nazajutrz na lotnisku tłum osób czarnych i trochę białych. Czarni to dyplomaci, urzędnicy, biznesmeni, z żonami, zwykle z kilkoma i dziećmi, około dziesiątki. Ich bagaże to skrzynie z blachy pomalowane na brązowo, wielkie i mniejsze. Podjeżdża samolot, 320-miejscowy DC-10 firmy Mac Donell Douglas, wszystko i wszystkich zabiera i lecimy. Alpy, morze Śródziemne, Sahara i zielona Afryka Równikowa. Nadchodzi burza. Z wysokości 10 kilometrów to piękny spektakl przyrody. Błyskawice bez przerwy – w czasie błysków piękne barwy chmur, jakby wyreżyserowane na nasze powitanie. Po 8 godzinach lotu jesteśmy na lotnisku w Kinszasie. Odprawa tych tłumów trwała do 22-giej. Była kontrola szczepień. Nocny przejazd do miasta (25 km), to było pierwsze zetknięcie dziwnymi „zjawiskami”. Przy drodze, co kilkadziesiąt metrów paliła się świeczka, a przy niej siedziała jakaś postać, sprzedawca papierosów czy orzeszków? Papierosy kupowało się tam na sztuki od takich sprzedawców przy drodze lub ulicy. Polacy walczący z nałogiem doceniali to.

Zawieziono nas na przedmieście willowe do piętrowego hoteliku Trzy Siostry (Les Trois Soeurs) z 10 pokojami. Ze mną przyjechał Marian R. z rodziną. W hotelu mieszkał już Janusz B., też z rodziną – obaj pracujący w Instytucie. Z korytarza na I piętrze można było przejść do drewnianej przybudówki – stróżówki. W nocy przebywał w niej stróż o imieniu Placid. Nieźle mówił po francusku, a mnie brakowało zwykłych rozmów po francusku, więc często z nim rozmawiałem. Co prawda Marian

R., Polak urodzony we Francji, tam zrobił maturę, mówił świetnie po francusku, ale on wolał rozmawiać po polsku. Tajemniczy Janusz B., ekspert od radarów wojskowych, w czasie wojny wietnamskiej przebywał w Wietnamie – on również znał francuski perfekcyjnie. Po pięćdziesiątce, rozwiedziony, poróżniony z rodziną, mieszkał on na parterze z żoną Basią i 1,5-rocznym Przemkiem. Wkrótce w hotelu zamieszkał Egipcjanin Aziz Said z żoną i córeczką. Skończył on studia we Francji o specjalności elektronika. Pracował w Kairze na uniwersytecie. W Zairze szukał lepszych warunków życia. Chcąc wejść z nim w dobre układy zaprosiłem go z żoną i 3-letnią córką na kolację, stawiając na stole m.in. wódkę i wino. Żona Aziza, Rosette, nosząca się po arabsku, zrobiła zaraz z tego koktajl. Ja się uśmiechnąłem, Aziz się roześmiał, a Rosette pewnie myślała, że koktajl jej się udał. Aziz mieszkał w małym pokoiku i znalazł w pobliżu dom wymagający remontu. W znalezieniu domu i w zakupie materiałów do remontu pomagał mu nasz stróż Placid.

Pewnego popołudnia wracałem z zajęć i spotkałem w pobliżu hotelu Placida; prowadzili go dwaj żandarmi. Pytam: – Placid, co się stało? Placid: – Aresztowali mnie! Ja: – Dlaczego? Placid, spokojnie: – Ukradłem farby Aziza. Zrozumiałem z tego, że rodzina Placida nie żyła w biedzie, ale nie stać jej było na remont domu, teraz mogła go rozpocząć. A że Placid pójdzie do więzienia, a tam nie karmią, bo Państwu brakuje pieniędzy? Rodzina będzie mu przywozić regularnie paczki żywnościowe i napoje, a gdy będzie dzielił się tym ze strażnikiem nisko i nieregularnie płatnym, dostanie może nawet lepszą celę. Roczek czy półtora minie szybko. Placida zastąpił młody Pascal, też dużo rozmawialiśmy, ale Pascal wiecznie potrzebował pieniędzy. Drobne sumy po prostu mu dawałem, ale gdy potrzebował więcej, to musiał wymyślić jakąś historyjkę. Pogrzeb w rodzinie, to historia zbyt oklepana, więc pewnego razu wręczył mi gotowe pokwitowanie pożyczki z sumą, datą zwrotu i podziękowaniem. Aziz spotkał mnie na korytarzu, był bardzo wzburzony, wskazał ręką w dół i powiedział: – Powiedz temu tam (Januszowi), że jak jeszcze raz zakręci wodę, to ja mu zrobię tak: – wymownie dłoń przeciągnął po szyi i dodał: – U nas w Kairze tak się załatwia takie sprawy! Powiedziałem o tym Januszowi i dowiedziałem się, że w nocy kilka razy budził ich szum wody i płacz dziewczynki, więc zakręcił wodę. Niedługo potem Aziz wyprowadził się.

Umiejętność gotowania wyniesiona z akademika nie przydała się tutaj. Nie było kartofli, które smażyło się jak frytki. Jak ugotować makaron, fasolę, a zwłaszcza ryż, wiedziała tylko Teresa R i Basia B. Na szklankę ryżu wziąć trzy szklanki wody? Przecież to wyjdzie rzadka zupa! O dziwo! Woda znikła, a mam pół garnka sypkiego ryżu. A jak przyrządzić awokado, maniok, oberżyny (fr. bakłażany), papaya, pamplemusy? Takie tylko warzywa przynosiła do hotelu postawna Zairka z miednicą ze 20 kg na

głowie, obydwie ręce wolne.

Nieraz prosiła, żeby przy zdejmowaniu przytrzymać miskę, gdy była czubata. Kiedyś przyszła z chłopcem około 8 lat. Pytam go, czy chodzi do szkoły. Mówi, że tak. Ja: – A jak skończysz, to kim chcesz być? Jego pewność siebie i sama odpowiedź zaskoczyła mnie: - Journaliste! (Pomyślałem: jak Marszałek Mobutu był początkowo dziennikarzem).



Marszałek Mobutu z małżonką (ok. 1980 roku).

Wracam do sprawy mojej kuchni, wszystko gotowałem sobie sam. Od sąsiada Jovanovića (gdzie mieszkałem w Centrum) przejąłem stosowanie ostrych przypraw: pili-pili, papryczki ostre; pieką w język w czasie jedzenia, ale nie szkodzą. Mietek N., który był najdłużej w Zairze, na bazarze za miastem pokazywał mi, jakie cri-cri kupować, aby nie zostać oszukanym. Cri-cri są to owady skaczące, większe od chrabąszcza, bezskrzydłe, wieczorem wydają głos świerszcza i wtedy się je łapie. Do jedzenia nadają się żywe i ruchliwe, albo wiązane nitką w długi różaniec i chłopcy stoją przy drodze z patykami, z których zwisają takie różańce, albo trzymane luzem w koszyku i jakoś unieruchamiane, aby nie skakały. Mietek nie kupił w końcu, bo młoda sprzedawczyni nie chciała podać ceny, tylko się śmiała.

Praca w Instytucie.

Wyższy Instytut Technik Stosowanych (L'Institut Supérieur des

Techniques Appliquees) w Zairze prowadził studia na 5 Wydziałach: Elektrycznym, Elektronicznym, Lotniczym, Mechanicznym i Meteorologicznym. Studia trwały 3 lata. W Instytucie pierwsze kroki skierowałem do Dyrektora Personalnego, który oznajmił mi, że wykłady będę prowadził na Wydziale Elektroniki – przedmiot wykładowy elektrotechnika ogólna – i zaprosił mnie na uroczyste rozpoczęcie roku akademickiego. W Dziekanacie otrzymałem rozkład zajęć – na początek 6 godzin wykładu raz na dwa tygodnie.

Na uroczystości rozpoczęcia roku akademickiego zebrała się cała dyrekcja, już całkowicie zairska. Wśród dziekanów tylko dziekan Wydziału Elektroniki nie był Zairczykiem – był nim Polak, profesor z AGH, Andrzej F. W czasie przemówień w języku francuskim zdarzało się, że niektórzy dyrektorzy wtrącali słowa lub zdania w języku miejscowym, lingala. Budziło to za każdym razem wśród studentów głośny śmiech i okrzyki, bo wykładowcy spoza Zairu nie znali tego języka. Pierwszy wykład miałem w połowie listopada. Było mało studentów, ich liczba zaczęła rosnać około świąt Bożego Narodzenia. Studenci dobrze przyjęli moją prośbę o wyrozumiałość w przypadku błędu językowego. Natomiast dwukrotnie miałem zaskakującą manifestację, kiedy studenci wstali i głośno krzyczeli. Raz było to pod koniec I semestru. Przydzielono mi pomoc do prowadzenia ćwiczeń z elektrotechniki. Byli to dwaj Zairczycy w stopniu asystenta. Gdy oznajmiłem to studentom, wybuchł krzyk i hałas. Zrobiłem przerwę i chciałem wyjść z sali, ale stał przy mnie trzęsący się student, który prosił, abym pozostał, bo studenci chcą go bić. Przypomniałem sobie, że znam tego studenta; przed jednym z pierwszych wykładów to on zaczął zadawać mi pytania, na które nie chciałem odpowiadać nie znając intencji pytającego (np. pytania o stan wojenny). Przerwałem, mówiąc: – Te pytania nie należą do tematu! Dowiedziałem się potem, że był on członkiem partii Ludowy Ruch Rewolucyjny (MPR) i, być może, "wtyczką" tej partii, jak również "przedstawicielem" studentów na forum dyrekcji. MPR była jedyną partią w Zairze, a przy pogarszającej się sytuacji ekonomicznej kraju traciła już popularność. Pomyślałem, że przerwanie pytań studentowi może go uraziło, ale dlaczego studenci mieliby go za to bić. Najbardziej prawdopodobnym powodem manifestacji studentów był fakt, że asystenci Zairczycy zaniżali oceny przy egzaminie, a chcąc zaliczyć ćwiczenia student musiał im płacić. A jeżeli chodzi o asystentów, szybko się z nimi zaprzyjaźniłem i dużo mi pomagali. Druga manifestacja to była właściwie panika. W czasie wykładu student siedzący przy oknie zerwał się z krzesła coś krzyknął i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami jakby opędzając się przed czymś. Wszyscy studenci wstali, zaczęli krzyzczeć, wybiegać z sali, niektórzy też wymachiwali rękoma. Wszyscy byli tak podekscytowani, że o kontynuowaniu wykładu nie było mowy. Okazało się, że do sali wleciała

mucha tse-tse. Jej ukłucie powoduje śmiertelną chorobę, śpiączkę afrykańską. Na szczęście mucha nikogo nie ukłuła.

Sądy, kary i wyroki w praktyce. Spotkałem się parę razy z wykonaniem "wyroku" na miejscu za kradzież na ulicy. Raz we wgłębieniu ulicy w centrum widziałem przywiązanego do słupa młodego człowieka. Wokół stało kilkunastu gapiów, przechodnie pytali ich, czym zawinił i jeżeli ktoś uznał, że powinien być ukarany, brał kawałek opony samochodowej i wymierzał winnemu parę ciosów. Innym razem widziałem, jak z biurowca w centrum wyszedł biznesmen z wyglądu, bo w garniturze, z teczką i nagle podbiegło do niego dwóch młodych ludzi, jeden potracił go, a drugi wyrwał mu teczkę i zaczęli uciekać. Wtem do uciekających podbiegło dwóch ochroniarzy, chwycili ich, jeden odebrał teczkę, a drugi już wykonywał wyrok: trzymając za włosy tłukł ich głowami, dopóki jeden nie osunął się na ziemię.

Historię pewnego pułkownika gwardii prezydenckiej, będącego na emeryturze przeczytałem w miejscowej gazecie. Mieszkał on spokojnie na przedmieściu w willi otoczonej ogrodem. Tymczasem jego córka, grająca w zespole siatkarek, zaczęła, wraz z zespołem, odnosić sukcesy i zdobywać nagrody w kraju i za granicą. Zwabiony tymi nagrodami pojawił się u pułkownika kaid (szef plemienny lub gubernator okręgu względnie grupy wsi w północnej Afryce) znany z rozbojów i zabójstw. Zapowiedział on, żeby pułkownik przygotował dużą sumę pieniędzy. Pułkownik powiedział, że pieniędzy nie ma i żeby więcej tu się nie pokazywał, bo użyje broni. Kaid, któremu nikt się jeszcze nie sprzeciwił, roześmiał się i powiedział, że daje mu termin do jutra. Następnego dnia pułkownik zobaczył kaida na terenie ogrodu idącego w kierunku willi. Pułkownik wystrzelił zabijając go na miejscu. Pułkownik zgłosił zdarzenie na policji i, wiedząc, co policja powinna zrobić, czekał na jej przybycie. Ale nic się nie działo, więc drugiego dnia pułkownik wyruszył do miasta, aby przyspieszyć zabranie zwłok kaida. Wszędzie, gdzie się pojawił, zbywano go niczym. Tymczasem trup w ogrodzie, w tropikalnym klimacie, zaczął się rozkładać. W akcie desperacji pułkownik przedstawił swoją sprawę w redakcji, którą następnie opisał w gazecie.

Marek Augustynopolski, czekając na kogoś, zaobserwował następującą scenkę. W pobliżu był przydrożny posterunek – mały murowany kiosk bez drzwi i bez szyb w oknie. W pobliżu stał żandarm. W pewnej chwili podeszli do niego żandarmi prowadzący związanego aresztanta i zostawili go. Wtedy żandarm zaczął wybijać drewnianą futrynę z okna kiosku i gdy jeden kawałek wypadł, zaczął nim bić aresztanta. Kiedy Marek to opowiedział jasna stała mi się sprawa, z którą przyszedł do mnie Mokanda, boy Andrzeja Fr., gdy mieszkałem przy Cite` Verte. Mokanda prosił, aby wystawić oświadczenie dla stojącego obok niego kuzyna,

nauczyciela, który miał do przeniesienia do domu deskę. Gdyby spotkał żandarmów, bez faktury ze sklepu lub oświadczenia, ci by mu ją odebrali, a gdyby się nie wykupił, może jeszcze pobili. Gdyby na moim miejscu był Andrzej, to po prostu by ich przepędził. Ja dałem kartkę i długopis, żeby kuzyn napisał tekst, a ja wpiszę swoje dane i podpiszę. Minęło pół godziny, wychodzę, na kartce tylko kilka liter. Napisałem oświadczenie i nieraz martwię się, czy oni na podstawie mojego oświadczenia nie przenosili hurtowni desek.

Kontrakt i płatności. Byłem w grupie osób, które nie miały kontraktu. Zaraz po przylocie rozpoczęliśmy starania o wydanie nam kontraktów. Kontrakty przygotowywało Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, personalnie urzędnik Casanua, nazywaliśmy go Kazanowa. Działał on bardzo powoli i jakby niechętnie. Z doświadczeń poprzednich lat wynikało, że tylko częste wizyty w biurze Kazanowy, i to w grupie, mogły przyspieszyć wyrobienie kontraktu. Męczyliśmy go i kontrakty otrzymaliśmy aż po 3 miesiącach. Było jednak opóźnienie w płatnościach. Doszło ono do 30 miesięcy, gdy wypłacono część zaległości, ale mnie nie objęło. Przed wyjazdem na drugie wakacje w 1994 roku złożyłem w Ministerstwie prośbę o rozmowę z osobą odpowiedzialną za płatności, czy jest szansa na wypłatę zaległości, bo przepracowałem blisko dwa lata i nie otrzymałem jeszcze ani jednego dolara. Zjawiłem się w biurze i przedstawiłem się. Urzędnik powiedział swoje nazwisko, i dodał po polsku: Skończyłem SGPiS u profesora Baki, możemy rozmawiać po polsku. Powiedział on, że pomimo opóźnienia i trudności jakie przeżywa Państwo, płatności będą realizowane. Dopiero po dwóch i pół roku od przybycia wypłacono mi 19 miesięcy zaległości. Potem nastąpiła przerwa ponad 30 miesięcy, sytuacja ekonomiczna Zairu pogarszała się, rosła inflacja waluty o nazwie zair. Polacy, których w Kinshasie było sporo, tworzyli delegacje kilkuosobowe i odwiedzali Ministerstwo, Bank i inne instytucje centralne, domagając się wypłaty zaległości. Gdy dowiedzieli się, że przyjeżdża Niemiec z NRF, delegat funduszu MFW, który subsydiował szkolnictwo wyższe Zairu, dokooptowali do swej delegacji profesora Andrzeja Fr. z PW, znającego język niemiecki i wystarali się o spotkanie z nim. Niemiec nic nie obiecał, ale zainteresował się bliżej Polakami. Spoglądając np. na listę Polaków powiedział, że widzi wiele nazwisk swojsko brzmiących dla niego: Langer, Nagler, Nolbert, spolszczone Fridrich pana Andrzeja, a już rozbroił go Andrzej całkowicie, gdy wyrecytował fragment poematu Goethego. Znał poemat z dzieciństwa, gdyż w jego domu rodzinnym dzieci wychowywała i uczyła po niemiecku guwernantka – Wiedenka.

Pragnę tu zauważyć, że oprócz wynagrodzenia kontraktowego w dolarach, którego część otrzymałem dopiero po dwóch i pół roku, co

miesiąc otrzymywałem wynagrodzenie w zairach w wysokości równoważnej około 50 dolarów, wystarczające na skromne utrzymanie jednej osoby.

Różne zdarzenia. W styczniu 1984 roku wyszedłem z hotelu, aby jechać na zajęcia i spotkałem właściciela hotelu, który powiedział, żebym zabrał swoje rzeczy, bo z powodu niepłacenia za hotel będzie on zamknięty, a wejścia zaspawane. Odpowiedziałem, że jadę do Instytutu, powiem o tym dyrektorowi i gdy dyrektor nic nie zrobi, zabiorę swoje rzeczy. Poinformowałem dyrekcję o groźbie właściciela. Po powrocie nikogo z mieszkańców nie było w hotelu, a wejścia zaspawane. Na szczęście wejście do stróżówki nie było zamknięte, a drzwi na korytarz pierwszego piętra łatwe do otwarcia. Dostałem się do swoich rzeczy, wśród nich miałem bukfel, którym rozpiłowałem spawy drzwi wejściowych. Otwarcie tych drzwi było konieczne, aby wynieść lodówkę, własność Instytutu. Zamieszkałem u Andrzeja Fr. w Zielonym Osiedlu (Cite Verte). Były to najprzyjemniejsze miesiące pobytu w Zairze. Piękne, nowe domki na piaszczystej górze o łagodnym zboczu, cisza i spokój. Lubiliśmy obserwować zbliżające się burze, zwłaszcza wieczorami. Elektryczność była wyłączana, aby nie narażać sieci na awarie, a błyskawice rozświetlały bez przerwy krajobraz. Obserwowaliśmy zwłaszcza błyski seryjne, przesuwające się w jednym kierunku. Raz naliczyliśmy 7 równoległych linii świetlistych. O boyu Andrzeja, który nazywał się Mokanda, już pisałem.

Mokanda od jakiegoś czasu namawiał Andrzeja, aby udzielił mu pożyczki na doprowadzenie wody do jego domku, bo robili wodociąg w pobliżu. Andrzej pożyczył mu te pieniądze. Niedługo potem Mokanda przyszedł z podziękowaniami, bo miał już wodę, ale co najważniejsze, że miał teraz biznes: sprzedawał tę wodę. Wracamy kiedyś do domu i widzimy, że ładnie rosnące drzewko awokado ma ścięty czubek. Pytamy, co to znaczy i Mokanda mówi, że drzewko nie owocowało, a po ścięciu czubka zacznie owocować. Andrzej na to: – I myślisz, że stanę z koszykiem owoców awokado i będę je sprzedawał? Nie rób takich rzeczy bez uzgodnienia ze mną!

Po kilku latach pobytu w Zairze, Marian J. opuszczał ten kraj. Zaproponował mi zajęcie jego mieszkania i dzięki temu zamieszkałem w centrum Kinszasy. Mieszkanie znajdowało się w trzypiętrowym budynku, który stał na skrzyżowaniu ulicy wylotowej w kierunku przedmieścia i ulicy handlowej, przy której były sklepy i Wielkie Targowisko (Grand Marche). Naprzeciwko był Ogród Zoologiczny, plener malarski i stacja busów i "autobusów" fula-fula. Te ostatnie były to ciężarówki NATO wycofane z użytku i przystosowane do przewozu ludzi – w blaszanym pudle otwór wejściowy bez drzwi i otwory okienne bez szyb. Rano jechały z przedmieść, a wieczorem wracały przepelnione. W ciągu dnia jeździły tylko busiki.

Ulica i stacja były bardzo hałaśliwe, np. kompletowanie pasażerów busów do wyjazdu to był teatr: busy, dwa lub więcej, z włączonymi silnikami, naganiacze biegają między oczekującymi a busikiem i udają, że wsiadają krzyżąc i nawołując, kierowca zwiększa gaz, ktoś z oczekujących nie wytrzymuje i wsiada, a wtedy krzyki ustają i silnik wraca do biegu jałowego. Za chwilę drugi bus robi to samo, aż któryś zapełniony jest np. do połowy, wtedy rusza.



Wykładowcy w Instytucie, 1987. Od lewej: autor, Lingisa, Andrzej Fr., Ngongo Teli, Andrzej F.

Przed wieczornym wyjazdem często puka do drzwi malarz z pobliskiego pleneru z niesprzedanymi obrazami. Katalogowałem kupione obrazy, do końca pobytu numeracja doszła do 120, do dziś pozostało mi jeszcze 40. Techniki: olej na płótnie, często olej plus piasek. Style różne: krajobrazy, picassy, maski, sceny, portrety. Najczęściej przychodzili: pejzażysta Lutumba, który na moją uwagę, że to kicz, śmiał się i potwierdzał: - Tak, tak!, aby tylko nie stracić klienta, który zawsze coś

kupił.; drugi to ambitniejszy Elambo, z czasem jego obrazki stawały się coraz mniejsze, on sam coraz chudszy, aż zniknął na pół roku. Gdy przyszedł, odszykowany i odżywiony, ale bez żadnego obrazu, powiedział, że maluje komuś reprodukcje z fotografii, dobrze zarabia i przyszedł podziękować, że go ratowałem w najgorszych dla niego momentach. Zdarzało się bowiem, że przychodził pożyczyc parę zairów na fula-fula do domu. Pytałem Lutumbę, ile takich obrazów na dzień namaluje, z dziesięć? Odpowiedział: – No nie, dziesięć to nie!



Elambo (z lewej) i Lutumba przed mieszkaniem autora prezentują swoje obrazy

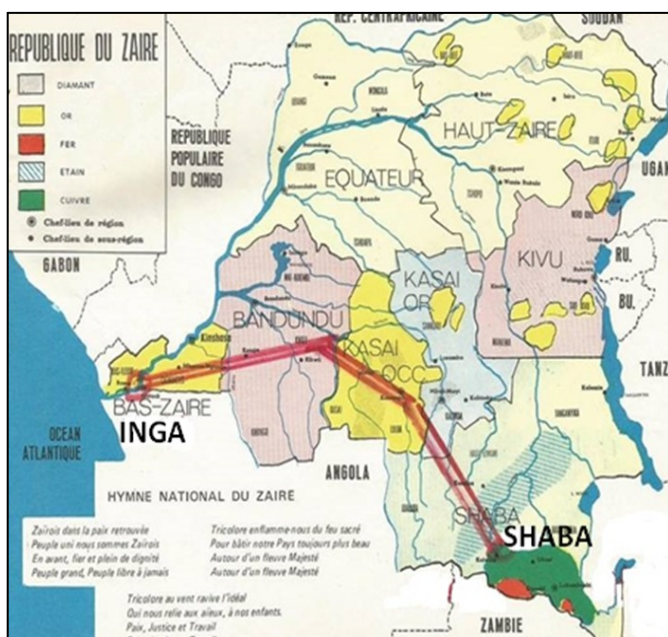
Obok mnie mieszkał Jovanović z żoną. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Byli to Serbowie z Belgradu, on bardzo żywiołowy, studia w Pradze przerwała mu interwencja wojsk Układu Warszawskiego w 1968 roku. Znalazł się w Paryżu, gdzie próbował dziennikarstwa, w końcu przybył do Zairu. Gdy kupiłem telewizor kolorowy, przychodzili co wieczór i trudno im było odejść. Były dwa programy: z Kinszasy i z Brazzaville. Gdy spotkał Polaka miał jedną jedyną sprawę do niego: czy i kiedy będą płacić? Polacy bowiem najlepiej to wiedzieli, gdyż odwiedzali Ministerstwo, Bank i inne instytucje. Ale gdy ktoś się zdradził, że coś wie, Zvonko (imię) popadał

w euforię. Krzyczał: - Ki ta di sa?, Kto ci to powiedział? (Qui t`a dit ca) i nie wypuścił go, dopóki nie wycisnął z niego wszystkich szczegółów. Dlatego nazywaliśmy go Kita disa. Rozmawiało się z nim po francusku, bo serbo-chorwacki, choć słowiański jest już językiem tak niezrozumiałym, że tylko niektóre słowa, np. woda lub chleb brzmią podobnie do polskiego. Marian J., mieszkający tu poprzednio opowiadał, że w rozmowie z nim użył zwrotu "czek bez pokrycia", to Zvonko cieszył się jak dziecko, że u nich ten zwrot brzmi tak samo. Po powrocie z wakacji przywiozłem przepis na faworki, w którym w celu nadania kruchości zamiast smalcu daje się trochę piwa. Poczęstowałem Jovanovićów: tak im smakowały, że ciągle pytali, kiedy będę smażył faworytki. Do końca nie nauczyli się, że to są faworki.

Energetyka Zairu. Olbrzymie zasoby energii zawarte są w wodzie rzeki Zair (Kongo). Znalazłem gdzieś takie porównanie: w pobliżu ujścia rzeki w każdej sekundzie spada z wysokości 60 metrów sześćian wody o boku 100 metrów. Tam powstały elektrownie: Inga I o mocy 360 MW, wybudowana w 1971 roku, oraz Inga II o mocy 1100 MW - w 1982 roku. W ostatnich latach zaplanowano budowę do 2020 roku elektrowni o mocy 40000 MW. W budowie zostaną zastosowane środki zapobiegające rozrostowi roślin wodnych przed zaporą co pozwoli uniknąć tych negatywnych skutków występujących w przypadku elektrowni Inga I i Inga II.

Zair posiada złoża metali (miedź, żelazo, cyna, złoto) i minerałów (diamenty), tak bogate i różnorodne, że powstało powiedzenie, że to "skandal geologiczny". Kopalnie, zakłady metalurgiczne potrzebują energii elektrycznej i w tym celu wybudowano oddaną do użytku w 1982 roku linię wysokiego napięcia Inga - Shaba długości 1700 km. Linia prądu stałego +/-500 kV ma moc przesyłową 560 MW; linia o dwóch przewodach-biegunach: plus (+) i minus (-). Przewody zawieszane są na oddzielnych słupach, odległość między przewodami 50 m.

Magiczne słowo: transformator. Polak zatrudniony podobnie jak ja w Instytucie Budownictwa, skontaktował się z Francuzem w celu budowy linii średniego napięcia w Dolnym Zairze. Ja i Francuz otrzymaliśmy zadanie rozpoznania trasy linii. Otrzymaliśmy samochód z kierowcą, mapy i pieniądze i ruszyliśmy szosą w kierunku Matadi, głównego portu Zairu. Francuz był już w tym regionie i sporo wiedział o ciekawszych obiektach po drodze. Dla mnie był to najciekawszy dwudniowy wypad turystyczny, Francuz chciał zobaczyć niedawno wybudowany olbrzymi punkt rozdzielczo-połączeniowy linii 220 kV w pobliżu elektrowni Inga. Zboczyliśmy z szosy i i ujechaliśmy wiele kilometrów, ale żadnych linii nie było widać. Dojechaliśmy do skrzyżowania dróg i zatrzymaliśmy się.



Linia wysokiego napięcia Inga-Shaba, 1700 km i słupy tej linii
 Elektrownia Inga na banknocie 5



zairów

Niedaleko był ktoś wykonujący jakieś prace. Francuz podszedł do niego i zaczął go pytać. Człowiek ten nie wiedział nawet o co chodzi. Podszedłem bliżej i usłyszałem, że Francuz usiłuje opisać słowami, jak taki punkt wygląda. Krzyknąłem: - transformator! Jego rozmówca natychmiast wskazał kierunek. Dodam tylko, że w takim punkcie transformatora nie ma, ale ludziom chyba na całym świecie ta nazwa kojarzy się z urządzeniem elektrycznym.

Łącznie przepracowałem na kontrakcie 71 miesięcy, zapłacono mi za 59 miesięcy. Upadek państwa Zair zniweczył nadzieje na zapłatę zaległości.

Krótką historia Zairu 1960 - 1997

Do roku 1960 - Kongo Belgijskie (kolonia belgijska).

1960 - uzyskanie niepodległości. Nazwa kraju zmieniona na Kongo - Kinshasa. Prezydentem został Kasavubu, premierem Lumumba.

1960 - 1963 - secesja Katangi, na czele Czombe.

1965 - zamach stanu; Mobutu prezydentem.

1966 - Mobutu również premierem.

1970 - 1974 - reformy konstytucyjne: Mobutu władcą absolutnym.

1971 - zmiana nazwy kraju na Zair (do 1997), rzeki Kongo na Zair, powstanie nazwy pieniądza zair.

Od 1980 - pogarszanie się sytuacji ekonomicznej Zairu.

1997 - Mobutu umiera w Rabacie, Maroko; władzę przejmuje Kabila, który zmienia nazwę kraju na Demokratyczna Republika Kongo. Niektóre nazwy wracają: rzeka - Kongo, Shaba - Katanga, pieniądź zmienia nazwę na kongijski frank, symb. CDF.

Czym się zajmuje emeryt

Przede wszystkim nie nudzę się. Codziennie z psem idziemy 2,5 km na działkę. Na działce są tylko: trawa, drzewa i krzewy. Ja zajmuję się działką, piesek przechodzi pod ogrodzeniem do psów z sąsiedztwa. Po dwóch - czterech godzinach wracamy na obiad. Latem jedziemy na Mazury, nad Biebrzę, w Bory Tucholskie, na rodzinny spływ kajakowy. Ubolewamy, że dużo tam Niemców, Francuzów, Anglików, a nie ma Polaków (bo to wysiłek fizyczny, no i w kraju?). Co najmniej jedna wycieczka zimowa: np. Niepokalanów, Żelazowa Wola, Nieborów, Kazimierz Dolny. Raz w tygodniu godzina na basenie. Miesiące zimowe: majsterkowanie i czytanie, godzina dziennie telewizja (bo szkoda czasu). I tak już przeleciało 13 lat.



Spływ – Krutynia, 2006.

Sławomir Jędrzejczyk



Wspomnienie z głowy, czyli z niczego



Studia

Pierwszego albo drugiego września 1953 zacząłem studia od zebrania inauguracyjnego w audytorium 315. Prowadził je Pan Prof. Czesław Mejro, chyba ówczesny dziekan. Zostałem przydzielony do grupy 2, której starostą mianowano Ryszarda Gąskę. Nie miałem wówczas skończonych 18 lat, a najstarszy w grupie był 32-letni Czesław Grzeczyński. Zaczęło się bardzo nieciekawie – około 50 h tygodniowo obowiązkowych zajęć, kreślenia, Studium Wojskowe, nędzna stołówka w obecnym Pałacyku Rektorskim, brak mieszkania, bo nie dostałem akademika, a byłem chłopakiem ze środkowej Polski, sto kilometrów od Warszawy. Bywało, że na zajęcia przychodziłem z całym swoim dobytkiem, jako że pomieszkowałem na korytarzu Hotelu Nauczycielskiego na Spasowskiego. Nie znałem miasta i nie było koło mnie wsparcia od kolegów... Żle wspominam tamten czas i tamtą Politechnikę, która była wówczas szkołą zawodu, z Gabinetem Marksizmu Leninizmu, ale bez prawdziwej biblioteki.

Jakoś udało mi się pokonać prof. Kotowskiego i prof. Hampla – dzięki temu zaliczyłem pierwszy semestr, a potem pierwszy rok i jedyny pochód 1-majowy (1954 r.): Chałubińskiego, Aleje Jerozolimskie i Most Poniatowskiego... Po drodze tow. „Tomasz” przed KC i główkowanie, jak prysnąć przed Mostem Poniatowskiego. Zaczęło się „przemieszczanie do prawej”. Pomogła mi w tym asystentka z Marksizmu. Ona też bokiem przeciskała się na prawo, czyli w stronę trybuny i tak koło Muzeum Wojska Polskiego usłyszałem: „Towarzysz też, fajnie, może jeszcze raz uda nam się zobaczyć tow. Bieruta”. Ja nie zobaczyłem jeszcze raz.

Dziś młodzież pewnie nie wie, co to pochód i po co tam się szło, gdy się nie chciało tam iść. To bardzo dobrze, że teraz trudno młodzieży to zrozumieć. Pewnie teraz młodzież też nie wie, że wówczas nie było jeszcze Pałacu Kultury a za to pełno gruzów, że było prawie szczęściem zdobycie miejsca w pokoiku, który miał sufit wylepiony gazetami, żeby przytrzymać odpadający tynk i piec kaflowy, a pod drzwiami węgiel. Taki miałem na trzecim piętrze w centrum Warszawy z widokiem na gruzy i budujący się

właśnie Pałac. Było nas w tym „apartamencie”, na 16 metrach, trzech szczęśliwców: medyk, ja i „przedstawiciel” SGGW. Każdy z innej beczki, więc w nauce nie miałem żadnego wsparcia. Pewnie współczesna młodzież też nie wie, dlaczego w 1956 r., przy wejściu do Auli na wiec w sprawie „Wydarzeń Węgierskich”, trzeba było pokazać indeks i odpowiedzieć na pytanie np. ile to jest $\int x dx$. W każdym razie do dziś pamiętam ile jest.

Kiedy tak szybko cofam się w tamte czasy, nagle widzę prof. Kazimierza Zarankiewicza, jak upuszcza kredę i twierdzi, że właśnie zmienił „układ Wszechświata”, albo jak namawia, żeby w samolocie poprosić pilota o otwarcie okienka i sprawdzić, „jak gęste” jest powietrze w czasie lotu? Albo prof. Stefana Lebsona, jak na wykładzie odpala jednego papierosa od drugiego, a matematyka w Jego „wykonaniu” staje się narzędziem do opisywania tego, co w „przyrządzie pomiarowym” się dzieje, a nie problemem samym w sobie.

Zapisałem się na Aparaty Elektryczne – Katedra prof. Jerzego Kryńskiego. Wybór był przypadkowy, a właściwie jeden z kolegów, chłopak po technikum, czyli w zawodzie bardziej obyty niż absolwent ogólniaka, zdecydował: – „Na dyplomie będziemy mieli «Aparaty» to właściwie będziemy mogli się zajmować wszystkim”. W Katedrze poznałem przemiłych ludzi, a jakoś szczególnie zapamiętałem Andrzeja Au, wówczas mgr inżyniera. Bardzo ciepło i ciągle Go wspominam, choć już dawno przyszło nam Go pożegnać...


Studia były ciężkie i nie pamiętam, aby były szalenie ciekawe. Ciągle czekałem na zajęcia w laboratorium. Były nieliczne i jak przypominam sobie – też były udręką. – „Nie dotykać! Ostrożnie! Gdzie sprawozdanie ?” Niedawno znalazłem takie sprawozdanie. Chyba jedyny mój wysiłek, to żeby ładnie odkalkować od kogoś na szybie. Tak było na fizyce, TWN (Technika Wysokich Napięć) i innych. Za to kiedy awansowałem na kurs magisterski to nawet z Dziekanatu nas nie wyrzucano: – „Pan z magisterskiego? A to nie szkodzi, proszę przyjść z zaliczeniem później, kiedy Pan zaliczy... Oczywiście teraz będzie warunkowe zaliczenie.” I tak w 1958 roku zdałem dwa egzaminy: prawo jazdy i kurs narciarski.

I po studiach

W 1959 r. Instytut Elektrotechniki potrzebował pilnie młodej kadry i chyba z radością przyjął przyszłych inżynierów Witka Proęgę i Andrzeja Gadalińskiego, a oni wciągnęli mnie. Tak 15 kwietnia stałem się pracownikiem Instytutu Elektrotechniki w Warszawie na Pięknej, z 1700 zł + ekwiwalent deputatu węglowego.

6 kwietnia 1960 roku dostałem dyplom magistra inżyniera elektryka z dziedziny przyrządów rozdzielczych. Przez całe studia miałem jeden

semestr wytrzymałości materiałów, w IEl kazano mi projektować odlewy! To specjalność mechaników! Miałem szczęście do wyrozumiałych ludzi, a kiedy Instytut wybudował Laboratoria w Międzylesiu trafiłem do zespołu uruchamiającego Zwarciownię. Byłem nareszcie w laboratorium! W dodatku w ówczesnej „POLITYCE” (Nr 3 z 18-01-1964) ukazał się artykuł W. Adamieckiego „Próg numer dwadzieścia jeden” o laboratorium 21-szego wieku, czyli o NASZEJ ZWARCIOWNI. Przez 13 lat byłem zachwycony tym co robiłem. Przyznam się, że jeżeli cokolwiek „ułożyło” mi się z elektrotechniki to podczas pracy w laboratoriach.

 **INSTYTUT ELEKTROTECHNIKI**
ZAKŁAD KONSTRUKCJI URZĄDZEŃ I MASZYN ELEKTRYCZNYCH
WARSZAWA – MIĘDZYLESIE

Urząd pocztowy: Warszawa 92
Skrót teleg.: INSTELTEBEKA – Warszawa

TELEFON 10-10-21

Ob.
Jędrzejczyk Sławomir

N. B. P.
Oddział Warszawa-Praga
Nr konta 1526-8-563

Warszawa, ul. Złota 62 m.26

Wasz znak: z dnia:
Nasz znak: TBK/R3a/CB/1428 Data: 15.IV.1959 r.

Dotyczy: zaangażowania.

Angażujemy Obywatela z dniem 15.IV. 1959 r. na 3 miesięczny okres próbny do TBK-SWM z płacą zł.1.700.- miesięcznie plus ekwiwalent deputatu węglowego.

K/o:
DN
NK
AF
R3a
C

Główny Inżynier Zakładu
A. Ekert

Ale były też i inne doświadczenia. Teraz widzę, że związane z czasem słusznie minionym. Dla aparatów elektrycznych, jak i dla wielu innych urządzeń, były i są opracowywane wymagania techniczne w postaci odpowiednich norm. W moim ówczesnym Laboratorium właśnie zajmowaliśmy się badaniami aparatów „na zgodność” z normami. Byliśmy młodzi, więc korciło nie zgadzać się ze standardami. Jest Laboratorium, jest dość przychylny klimat, więc co szkodzi postawić pytanie: – A co będzie, kiedy zaczniemy przekraczać przewidziane w normie wymagania?

Najprostszym i w dodatku niezbyt droгим aparatem był i jest odłącznik. Zajęcie się odłącznikami, np. trwałością mechaniczną, to mógł być początek pracy.

Instytut był naukowy i pewnie chciał mieć rozwijającą się kadrę, więc po przedstawieniu wstępnego projektu, bez trudu znalazły się fundusze. Jakoś tak się złożyło, że właśnie to na mnie „wypadło” i wyznaczono mnie na odpowiedzialnego za przeprowadzenie takiego ówczesnego „grantu”. Miałem wybrać rodzaj aparatu, zaproponować metodę badania, sposoby oceny zużycia elementów... Mniej więcej wtedy zaczęto w moim otoczeniu mówić więcej o rachunku prawdopodobieństwa i odrobinę wspominać o niezawodności, a ja miałem o tym, jak mawiał prof. Hampel: – „ogólne pojęcie niezamącone znajomością rzeczy”. Stało przede mną spore wyzwanie. Okazało się jednak, że to nie brak „ogólnego pojęcia...” był największym zmartwieniem. Problemem było, jak mając pieniądze, zdobyć możliwie jednorodną partię obiektów do badań. Zaczęły się zabiegi jak zdobyć (zdobyć – nie kupić!), jeśli pamiętam, 24 odłączniki, ponieważ 24 to liczba w jakiś sposób, w założeniach uzasadniona, a na pewno na tyle duża, żeby z badań można było wyciągać ogólniejsze wnioski. Tylko skąd wziąć nagle 24 odłączniki, i to w dodatku nieumieszczone w jakimś ważnym planie gospodarczym. Zaczęły się schody. Udało się, przede wszystkim dzięki pomocy kolegów pracujących w ZWAR, czyli, jak zwykle w tamtym czasie, dzięki zwykłemu kumoterstwu. W ZWAR Lębork, na taśmie (!), produkowane były odłączniki, takie na 15 kV i na prąd 400 A, wraz z napędami. W starych notatkach znalazłem taki oto zapis dotyczący założeń do przyszłych badań: – „Przyjęto, że jeśli któreś z ograniczeń ze zbioru wymagań zdatności zostanie przekroczone, aparat zostanie zdyskwalifikowany i wycofany z dalszych prób. Tym samym przyjęto, że odłącznik jest jednokrotnego działania (nienaprawialny).” W Instytucie rygorystycznie, zgodnie z fabryczną instrukcją, do odłączników zostały zainstalowane napędy i... żaden z 24 odłączników nie dał się zamknąć (!). Złożyliśmy reklamację, a przemili koledzy z Lęborka odpowiedzieli: – „Dzięki Bogu, musimy ratować budowę dużej cukrowni. Przyjedziemy, zabierzemy”. Zabrali. Po jakimś czasie dowiedziałem się jak bardzo byłem niedouczony, bo nie wiedziałem co to „giętajza”, która była niezbędna jak coś do czegoś nie pasowało (np. jak styk nie trafia w styk). A „giętajza” to po prostu łom... Brzmi to dość humorystycznie, ale to nie żart, a opowieść żywcem z realnego socjalizmu. Była „kasa”, były chęci, były potrzeby, a kupić normalnie nie było gdzie. A jak się zdobyło to nie działało. Czy współczesna młodzież może to zrozumieć? Niedawno słyszałem jak mama gimnazjalistki opowiadała córce o kłopotach w socjalistycznym zaopatrzeniu: – „Wiesz, był czas kiedy w sklepach nie było niczego poza

octem”. Zdziwienie nastolatki było szczere: – „Jak to, w Carrefourze był tylko ocet?”.

Jeśli chodzi o badanie niezawodności odłączników to sprawa się rozmyła, zabrakło później i pieniędzy i chęci, a życie przyniosło inne problemy, z którymi przyszło się mierzyć. Pozostały tylko notatki i wspomnienia. I przybywało lat... Jest norma, są wymagania, jeśli jest coś zgodnie z normą, po co szukać kłopotów...

W kwietniu 1972 przeniosłem z Instytutu Elektrotechniki do Instytutu Energetyki. Wydawało mi się, że trzeba zmienić otoczenie, poznać innych ludzi, inną organizację. Trafiłem do Laboratorium Wielkoprądowego. Przestałem zajmować się aparatami, ale ciągle byłem „w branży”. Koło mnie „przepływały” teraz kiloampery. Sprawdzaliśmy w Laboratorium nagrzewanie różnych elementów sieci elektroenergetycznej, mierzyliśmy siły elektrodynamiczne, sprawdzaliśmy osprzęt linii kablowych itd.

W tzw. „międzyczasie” zmieniło się wszystko. Byłem z ramienia Solidarności w komisji wyborczej w wyborach czwartego czerwca 1989. Zakończyliśmy liczenie głosów około jedenastej następnego dnia. Wiem, co to za robota. A wówczas była jeszcze presja, była nieufność, był Pan, co mu kolba wystawała z pod marynarki, zgasło światło... Było bardzo trudno. Wygraliśmy wybory, ale nikt nam nie zarzucał fałszerstwa, choć tamte wyniki zmieniły nie tylko Nasz Kraj, ale i pół Europy! Jak teraz słyszę głosy, że teraz ktoś sfałszował jakieś nasze wybory to mnie język świerzbii (a czasem i ręka) ... Nagle między Odrą a Bugiem wykreowano fałszerzy!

Od 1989 r. nastąpiła zmiana wielka i ciężka. Już można było wszystko kupić. Kusiała nowa aparatura laboratoryjna (np. rejestratory Hioki). Kusily komputery Sinclair, bo zaczynała się era komputerów. Wszystko było na wyciągnięcie ręki, ale ręki dewizowej. Wyraźnie było widać jak bardzo Świat poszedł do przodu...

Na PW, na ostatnim zaliczeniu z miernictwa kazano mi omówić działanie prostownika opartego na triodzie (dla młodzieży – trójelektrodowa lampa). Dlaczego zapamiętałem, że asystent maglował mnie o niedoceniany wpływ napięcia żarzenia na charakterystykę lampy, to nie wiem? Pamiętam jednak, że zaraz po zaliczeniu poszedłem z kolegą do Centrali Harcerskiej na Marszałkowską, żeby kupić sobie radio do zlutowania, ponieważ w zestawie były tranzystory, które w ten sposób po raz pierwszy zobaczyłem i dotknąłem. Tak było gdzieś koło 1958 roku. Trochę później, już kiedy pracowałem, jeden z kolegów zaczął się entuzjasmować przerzutnikiem Shmitta. Takie tam: „jest – nie ma”. Po co – nie wiedziałem, ale się dowiedziałem. Na świecie zaczynała się właśnie ERA cyfryzacji... Trzeba było się znowu pilnie uczyć, bo tuż po dyplomie pokazały się braki w wykształceniu, czyli normalka. Uczyc to mało powiedziane. Jeszcze

później, chyba, gdzieś w latach osiemdziesiątych, w pracowni, w której działałem, pojawił się jeden komputer Sinclaira. Były kolejki, żeby popробować nowości. A jedna z wysoko postawionych osób z dyrekcji skradała się do pracowni i wkraczała z okrzykiem: – „Znów gracie!”. Trzeba było się uczyć i przekonywać przełożonych, że to co robimy to nie zabawa, że zastąpienie suwaka logarytmicznego czterodziałaniowym kalkulatorem, to zbyt mało. Kilka dni temu rozmawiałem z młodym studentem, kończącym Wydział Elektryczny. Był świeżo po egzaminie z teorii zwarć (chyba to jeszcze tak się nazywa). Pokazałem mu mój zabytkowy suwak logarytmiczny. Nie wiedział, co to za чудо. Było szczere zdumienie: To na tym da się liczyć?

Ale wróćmy do wspomnień. Minęło kilka lat po 1989 r. i znów okazało się, że mam duże braki, bo np. do tej pory nikt mnie nie pytał ile kosztuje moja praca i praca Laboratorium. A teraz nagle, zleceniodawcy, których w dodatku trzeba było szukać, pytają o cenę, a cena niekiedy stawiała się ważniejsza od jakości ekspertyz. Przyszło Nowe. Nowe było trudne, ale w Carrefourze był nie tylko ocet.

Niedawno przejrzałem swoją bibliotekę fachową, którą tworzyłem zbierając, jeszcze w czasie studiów, książki z różnych dziedzin elektrotechniki. No cóż, widać, że wówczas autorzy nie mieli Internetu ani możliwości liczenia, jakie daje choćby poczciwy Excele ... Bywam też czasem w Księgarni Technicznej na Świętokrzyskiej. Z elektrotechniki niewiele jeśli nie nic... Signum temporis? Wszystko już opisano?

I jeszcze taka sobie refleksja. Z dyplomami w kieszeniach zaczęliśmy pracować w różnych miejscach, ale zawsze w jakichś zespołach. Mnie bardzo brakowało podstawowej wiedzy z zarządzania, a może nawet z zakresu socjologii. Ile to niepotrzebnych kłopotów można było uniknąć reagując inaczej na reakcje innych. Tego mnie Politechnika nie nauczyła. Nie nauczyła mnie też pracy z „papierami”. Przecież nie ma działalności bez tworzenia jakiejś dokumentacji czy sprawozdań. Ja przynajmniej byłem w tym względzie „biała kartą” i dopiero metodą prób i niepotrzebnych błędów jakoś sobie radziłem. Pewnie teraz jest inaczej.

To tyle. Szybko, spontanicznie i zapewne niezbyt wyczerpująco o czasach, które minęły i choć było ciężko, to jednak byliśmy młodzi, a to wartość sama w sobie. Hej!

„Stypendystą” ZUS zostałem w 2002 r., ale mimo tego stanowiska utrzymuję stałą łączność z Koleżankami i Kolegami rocznika zaczynającego w 1953r. studia na Wydziale Elektrycznym PW. A stało się tak, ponieważ nasz kolega, Władek Torbicz zorganizował w 1998 r. „spotkanie po latach” rocznika zaczynającego studia na Wydziale Elektrycznym w 1953 r. A oto widok kilku „weteranów” na tym spotkaniu. od lewej: Witek Proga, Andrzej

Gadaliński, Zosia Cmoluch. W głębi siedzą Edek Jasiński, Kazio Korcz, Robert Włodarczyk.

Biorąc udział w naszych kolejnych spotkaniach, stałem się stałym uczestnikiem spotkań w San Antonio, organizowanych przez Wojtkę Śliwińskiego i „Spółkę.” W początkowej części moich „Okruchów” wykorzystałem tekst napisany w 1998 r. na prośbę organizatorów i odnaleziony w zachowanych zapiskach, którego wtedy nie wysłałem. Więc teraz poszło mi łatwiej.

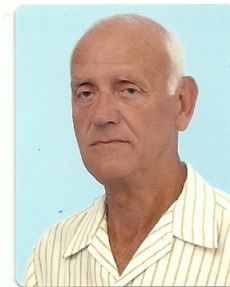


Spotkanie koleżeńskie w 1998 r. Od lewej: Witek Proga, Andrzej Gadaliński, Zosia Cmoluch. W głębi siedzą Edek Jasiński, Kazio Korcz, Robert Włodarczyk i inni



Spotkanie koleżeńskie w 1998 r. Osobą siedzącą najbliżej Władka jest Prof. Maciej Nałęcz, ...przemawia organizator spotkania

Kazimierz Ilkowski



Okruchy wspomnień

Zaczynam *ab ovo* - a więc dlaczego i jak trafiłem w 1953r. na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej.

Dawniej, a dla mnie znaczy to przed wojną (oczywiście tą z 1939 r.), młodzież często wybierała sobie zawód na wzór członków rodziny lub bliskich znajomych, albo była wręcz nakłaniana przez rodziców do określonego wyboru. W moim przypadku, po wielkiej zawierusze wojennej, która rozbiła moją rodzinę jak wiele polskich rodzin - te dawne wzorce były całkowicie nieaktualne.

Kiedy w 1949 r. zdałem małą maturę (ukończyłem 4 klasy gimnazjum) powstał problem - co dalej? Mogłem pójść do dwuletniego liceum ogólnokształcącego - ale na dalsze studia wyższe szans nie miałem, ze względu na t. zw. haki personalne. Wprawdzie nie pochodziłem z arystokracji ani ziemiaństwa ani plutokracji ale w ankietach w rubryce „poch. społ.” pisałem „int. prac.” co już było dla władz podejrzane, a dalsze szczegóły nie kwalifikowały mnie na inteligenta nowego, socjalistycznego typu. Trzeba więc było wybrać jakąś szkołę techniczną, która dałaby mi możliwość pracy. Polecono mi Państwowe Liceum Komunikacyjne (3-letnie) o dobrych tradycjach jeszcze XIX-wiecznych, kształcące techników dla potrzeb kolejnictwa. Z kilku kierunków tego liceum wybrałem Wydział Elektryczny, co miało pewien związek z moją wcześniejszą nauką. W 2 lub 3 klasie gimnazjum miałem t. zw. zajęcia praktyczne prowadzone przez montera elektryka, który uczył nas jak naprawiać przepalane „korki”, jak wykonać instalację w rurkach bergmanowskich, naprawiać zepsute kuchenki i żelazka oraz dużo innych mądrości elektrycznych. Byłem więc już trochę elektrykiem. Wprawdzie w 4 klasie gimnazjum uczono nas na zajęciach praktycznych stolarki, ale wykonany przeze mnie stółek nie był w stanie osiągnąć czterech nóg równej długości - co całkowicie zniechęciło mnie do zawodu stolarza.

W 1952 r. zdałem maturę i uzyskałem dyplom Technika Elektryka. W latach powojennych, wobec wielkich strat polskich kadr zawodowych, była to już znacząca pozycja. Technicy mieli obowiązek zarejestrowania się

w Naczelnej Organizacji Technicznej ale też obowiązek przyjęcia nakazu pracy. Ponieważ maturę zdałem z bardzo dobrym wynikiem, podjąłem starania o zwolnienie z nakazu pracy i zezwolenie na dalsze studia. Wydeptałem ścieżkę do Ministerstwa Komunikacji i po kilku wizytach samow. wiceminister powiedział mi: „jesteście młodzi - popracujecie trochę - a później możecie iść na studia” - uznałem to za zupełnie logiczne i bez specjalnych oporów dostosowałem się do sugestii tow. ministra.

Pracę podjąłem przy elektryfikacji linii kolejowej między Żyrardowem a Koluszkami. Ten rok pracy dał mi bardzo dużo doświadczeń życiowych. Jako technik budowy uczyłem się kierować ludźmi, pilnować kasy, usuwać konflikty, a co najważniejsze nie dać się rozpić. Na budowach panowało powszechne pijaństwo i trzeba było, nie udając abstynenta, utrzymać umiar w konsumpcji.

Mając w perspektywie starania o studia wstąpiłem do ZMP (do którego dotąd nie należałem - co było wielkim mankamentem). Uzyskawszy dobre opinie z miejsca pracy i od organizacji ZMP, złożyłem w 1953 r. papiery na Politechnikę. Była nerwówka - przyjmą czy odrzucą - ale przyjęli.

Z egzaminem wstępnym nie miałem większych problemów. Poziom mojego liceum w matematyce i fizyce był dobry, a nawet lepszy niż w liceach ogólnokształcących. Jeżeli dobrze pamiętam to egzamin pisemny był chyba w dużej auli gmachu głównego. Ale inne szczegóły egzaminów wstępnych uleciały z pamięci. Natomiast dobrze pamiętam tłok w hallu gmachu głównego, gdzie były wywieszane listy przyjętych na rozmaite wydziały Politechniki. Tłok w komunikacji miejskiej był wówczas zjawiskiem normalnym, a dziś niewyobrażalnym, ale widok cieszących się z przyjęcia i smutnych, odchodzących z kwitkiem, taki zwyczajny nie był. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach ci co nie dostali się na studia mieli często perspektywę służby wojskowej, która lekka nie była.

Po przydługim wstępie jestem więc na studiach - i jakie są okruchy mych wspomnień - wspomnień po sześćdziesięciu latach. Będą to rzeczywiście tylko okruszynki, gdyż ciasnota mieszkaniowa zmuszała mnie do pozbywania się starych notatek i innych papierów, które mogłyby odświeżać pamięć. Cennym dokumentem byłby indeks, który jednak trzeba było oddać za dyplom, a kserografów i skanerów wówczas nie było.

Uroczysty wykład inauguracyjny roku akademickiego 1953/54 wygłosił prof. Berler - kierownik Katedry Marksizmu i Leninizmu. Wiele z tego wykładu do nas nie dotarło bo byliśmy na ogół już osłuchani z tego rodzaju przemówieniami. Ale Katedra Marksizmu i Leninizmu przez wiele lat dbała o nasze ideowe wychowanie. Pamiętam liczne ćwiczenia z „marlenu”, na których był analizowany Krótki Kurs Historii WKPb (dla współczesnego czytelnika objaśnienie: Wszechzwiązkowej Komunistycznej

Partii bolszewików). Nigdy nie mogłem opanować chociaż cząstki głębokiej wiedzy o postanowieniach kolejnych zjazdów tej partii i tylko z trudem czasami zabierałem głos na ćwiczeniach z „marlenu”, co było warunkiem zaliczenia takowych. Nie chodziło wcale o wypowiedzi jako tako sensowne, tylko o manifestację uczestnictwa. Muszę przyznać, że egzaminy z marksizmu i leninizmu były prowadzone raczej łagodnie i na ogół nie stanowiły problemu. Innym wspomnieniem związanym z „marlenem” jest t. zw. Gabinet Marksizmu i Leninizmu. Mieścił się on w małej auli gmachu głównego i był jak na owe czasy bardzo elegancko urządzonej. Pod ścianami były szafy i regały z pięknie oprawionymi kompletami dzieł Lenina, Stalina, Marksa i jeszcze jakimiś innymi. Nie wiem jakimi bo nigdy nie sięgałem po nie, natomiast często bywałem w tym gabinecie bo były tam wygodne stoły i krzesła dla czytelników, a porządku i ciszy pilnował zawsze dyżurny pracownik katedry, gotów do wszelkiego rodzaju konsultacji. Mając jakieś okienka w zajęciach można było w dobrych warunkach pouczyć się czegoś - uczenie się w tym gabinecie przedmiotów nie związanych z „marlenem” - nie było karane.

Drugim ważnym przedmiotem naszych studiów było Studium Wojskowe. O tym studium można opowiadać wiele rzeczy wesołych albo całkowicie niewesołych - postaram się wspomnieć je zwięźle. Studium mieściło się w gmachu Nowej Kreślarni, do którego główne i reprezentacyjne wejście od ul. Noakowskiego było zamknięte na amen. Wchodziło się tam z wewnętrznych terenów Politechniki przez plac ziemny (dawniej trawnik) wydeptany wieloma zbiórkami i przemarszami naszego „wojska”. Studium obsługiwało wszystkie wydziały Politechniki, a więc przewijało się przez nie dosłownie tysiące studentów (na naszym pierwszym roku było ich ponad trzy setki). Zajęcia (tylko dla chłopaków - jak zazdrościliśmy koleżankom!) odbywały się co drugi tydzień ale za to od rana do późnego wieczora. Ceremoniał zaczynał się od przebrania nas w „mundury” czyli mocno sfatygowane kombinezony. Pachnące raczej nie lawendą, często wilgotne od użytkowania poprzedniego dnia przy kiepskiej pogodzie. Obdarowany takim łańcem musiał zadbać aby guziki były wszystkie i aby nie było dziur. Do tej pielęgnacji naszych strojów bardzo przydatne były kawałki drutu. Zresztą przyszłym inżynierom nie brakło pomysłowości w ukrywaniu wszelkich defektów garderoby przed wzrokiem przełożonych. Buty każdy miał własne - oczywiście nie te najlepsze. Elegancko wystrojeni udawaliśmy się na wspomniane już klepisko, gdzie były rozmaite zbiórki i przeformowania oddziałów - a w końcu następowała defilada przed Komendantem Studium lub równie ważną personą. Oddziały defilujące maszerowały wokół skwerku z fontanną - na drogach w tych czasach nie parkowały żadne samochody (może z wyjątkiem gruchota DKW p. mgra Dajkowskiego z Laboratorium Maszyn Elektrycznych,

mieszczącego się w gmachu Fizyki) - niesamowite ale prawdziwe. Przyjmujący defiladę stał na schodkach gmachu Mechaniki i wnikliwie oceniał stan swojej armii. Dalsze zajęcia to wykłady w salach studium albo ćwiczenia na Polu Mokotowskim. Pole Mokotowskie w tych czasach to nie dzisiejszy ładny i wypielęgnowany park ale obszar rozmaitych wertepów, krzaczorów itp. - dobrze imitujący prawdziwe pole walki lub poligon. O treści naszej nauki wojskowej trudno dziś mówić. Była ona dostosowana do ówczesnej techniki wojennej i chociaż mało atrakcyjna ale rozumiała dla nas mających doświadczenia niedawnej wojny. Bez szczególnego entuzjazmu, ale ze zrozumieniem potrzeb, poddawaliśmy się szkoleniom wojskowym. W dniu szkolenia była przerwa obiadowa. Część kolegów biegła do swoich stołówek akademickich, a pozostali włączyli się po gmachu głównym w swych pięknych strojach. Przy złej pogodzie można było zobaczyć „wojaków” leżących na podłodze dużej auli lub gnieźdzących się w rozmaitych zakamarkach gmachu głównego. Pewną atrakcją był pobyt w świetlicy, gdzie jeden z naszych kolegów (niestety nie pamiętam jego nazwiska) świetnie grał na fortepianie rozmaite jazzowe przeboje, których Polskie Radio wówczas nie nadawało.

Jedną z niewielu zalet studium wojskowego były liczne okazje bliższego poznawania kolegów z całego naszego roku, a nie tylko z własnej grupy lub później sekcji. Jako przykład nie zawsze dobrej znajomości kolegów podam takie zdarzenie. W trakcie egzaminu ustnego, chyba z matematyki u prof. Hampla, siedzimy przed „gabinetem”, z którego profesor wywołuje po nazwisku kolejnego studenta zapisanego na egzamin w tym dniu. Pada nazwisko Czarnecki i udaje się na egzamin kolega Zenek, którego znam ze studium wojskowego pod innym nazwiskiem. AFERA !! - czy to przykład t. zw. murzyna ? Ale przecież Zenek za orła nie uchodził - kto chciałby wynająć takiego murzyna. Okazało się, że Zenek zmienił nazwisko na ładniejsze - o czym ja nie wiedziałem.

Na pierwszych dwóch latach studiów byliśmy podzieleni na grupy, w których były prowadzone ćwiczenia. Grupy powstały drogą podziału alfabetycznej listy studentów na odpowiednie kawałki. Ja należałem do grupy II obejmującej kolegów o nazwiskach od G do J. Na trzecim roku podzieleni byliśmy na sekcje według specjalności, którą się wybrało lub do której było się zmuszonym, gdyż na niektórych specjalnościach był nadmiar chętnych i ci ze słabszymi wynikami byli kierowani do tych mniej atrakcyjnych sekcji. Oczywiście jak to w życiu, wspomniane zasady były zakłócanie przez przenoszenie się studentów zarówno między grupami jak i sekcjami powodowane rozmaitymi okolicznościami.

Początek naszych studiów to osvajanie się z tym, że prawie każdy wykład był w innym audytorium i często w rozmaitych gmachach. Również ćwiczenia bywały w rozmaitych salach. Trzeba było dokładnie śledzić plany

zajęć wywieszane przy dziekanacie i ogłoszenia o zmianach. Dla niedawnych licealistów, przyzwyczajonych do stałych klas - było to nowe doświadczenie. Starania władz o zaszczepienie społeczeństwu socjalistycznej dyscypliny, dla studentów oznaczały obowiązek uczestniczenia we wszystkich zajęciach. Obowiązek udziału w ćwiczeniach był łatwy do egzekwowania w małych grupach. Na wykładach, prowadzonych dla całego roku, na ogół nie sprawdzano obecności, z wyjątkiem Fizyki gdzie prof. Leibler często kazała któremuś starszemu członkowi grupy odczytywać listę, a studenci potwierdzali obecność wstając - taka reminiscencja szkoły średniej. Na wykłady się chodziło bo skryptów nie było a podręczniki były trudno dostępne, zwłaszcza z fizyki.

Pierwszy rok studiów to przedmioty teoretyczne: matematyka, fizyka, elektrotechnika teoretyczna, mechanika teoretyczna. Matematykę (tak w skrócie nazywam Analizę Matematyczną i Geometrię Analityczną) wykładał prof. Hampel. Wykład był dobry ale często bardzo szybki i trudno było nowicjuszom nadążyć. Ratowały nas dobre podręczniki Pogorzelskiego i ćwiczenia. W mojej grupie prowadził je wówczas mgr Zbigniew Ciok. Jego cierpliwe i rzeczowe objaśnienia na praktycznych przykładach powodowały, że przedmiot ten, choć niełatwy, nie budził obaw. Przez kolokwia przechodziłem niezłe a egzamin semestralny też jakoś wyszedł. Nigdy bym wówczas nie przypuszczał, że ze Zbigniewem Ciokiem zwiąże mnie wiele lat współpracy w Instytucie Energetyki, w krajowej normalizacji, w działalności CIGRE.

Fizykę wykładała prof. Leibler. Wykład był rzeczowy, uporządkowany i nawet łatwy do notowania ale nie był porywający. Ćwiczenia w mojej grupie prowadził mgr Prokopiuk a rozwiązywanie rozmaitych zadań, dla mnie nie było specjalnie trudne, gdyż ostrą szkołę w tej dziedzinie przeszedłem w liceum.

Elektrotechnika Teoretyczna wykładana przez prof. Kotowskiego, ze względu na formę wykładu, nie należała do ulubionych przedmiotów. Kto prowadził ćwiczenia w mojej grupie - nie pamiętam - ale pamiętam niektórych asystentów tej katedry, którzy później zrobili ładne kariery naukowe, że wymienię: pp. Bolkowskiego, Kaczorka, Matusiaka. Natomiast Mechanikę Teoretyczną wykładał z wielką swadą prof. Kazimierz Zarankiewicz, elegancki w formie wypowiedzi i w sposobie bycia - wyraźnie odcinał się na tle ówczesnej szarej rzeczywistości.

Podstawowym problemem pierwszego semestru był swoisty wyścig szczurów, gdyż władze uczelni przyjęły na pierwszy rok znaczną liczbę studentów zakładając ich szybki i duży odsiew. Uprzedzono nas, że niedostateczne wyniki sprawdzianów, już nawet za pierwszy półsemestr, będą podstawą do skreśleń z listy studentów. Tak się też stało - kilku kolegów skreślono po półsemestrze, a większa rzeź niewiniątek nastąpiła po

pierwszym semestrze. Ci co zostali byli już doświadczonymi w boju studentami, co nie wykluczało licznych dalszych większych lub mniejszych kłopotów.

Wykładów i ćwiczeń mieliśmy mnóstwo. Oprócz ewidentnie elektrycznych przedmiotów były przedmioty tylko pośrednio związane z elektrotechniką. Była Wytrzymałość Materiałów (wykłady prof. Mayzla), Maszynoznawstwo (wykłady chyba prof. Janke), Chemia (wykłady prof. Eugeniusza Kwiatkowskiego), Geometria Wykreślna i Rysunek Techniczny (prof. Wocjan - znany malarz, twórca grupy Zachęta i organizator wielkich wystaw w dużej auli).

W następnych semestrach poznawaliśmy wielu profesorów i ich asystentów z różnych dziedzin elektrotechniki, gdyż chyba słusznym zamierzeniem było dać nam możliwie wszechstronny obraz tej dziedziny. Gdybym zaczął wymieniać nazwiska tych wszystkich naszych nauczycieli, mój tekst i tak niezbyt atrakcyjny, stałby się niemożliwy do czytania. Ogólnie powiem, że jestem dumny z poznania wielu wybitnych fachowców, a ich sylwetki tkwią w mojej pamięci.

Tradycyjnie życie studenckie składa się nie tylko z zajęć uczelnianych ale również z innych atrakcji, które są później mile wspomniane. Trudne czasy powojenne bardzo ograniczały nam te studenckie atrakcje. Dla mnie życie towarzysko-rozrywkowe praktycznie nie istniało. Wprawdzie były organizowane t. zw. wieczorki taneczne w świetlicy przy adapterze, ale nie były one zbyt atrakcyjne. Były też organizowane, chyba przez ZMP, jakieś zajęcia świetlicowe, z których pamiętam naukę śpiewania hymnu na cześć Kim Ir Sena - prowadzoną przez kolegów Koreańczyków oraz naukę pieśni rewolucjonistów hiszpańskich - prowadzoną przez Antonio Marti. W pochodach 1-majowych udziału raczej nie brałem z jednym wyjątkiem, kiedy AZS (do którego sekcji pływackiej należałem) ubrał nas w bardzo eleganckie białe stroje i maszerowaliśmy jako kolumna sportowa, bez transparentów propagandowych i byliśmy oklaskiwani z sympatią. Z prac społecznych pamiętam udział w budowie Stadionu Dziesięciolecia. Garstka studentów z łopatomy na olbrzymim wysypisku ziemi oczywiście nie miała żadnego znaczenia praktycznego, ale mnie osobiście przywiązała ta praca do tego stadionu, który zawsze uważałem za bardzo ładny, a któremu Stadion Narodowy pod względem urbanistycznym - moim zdaniem nie dorasta do pięt. Były chyba jeszcze jakieś prace przy wykopkach na wsi ale ja ich nie zapamiętałem. Z pierwszych letnich praktyk studenckich t. zw. robotniczych byłem zwolniony jako były technik budowy.

Po dwóch latach studiów wybieraliśmy specjalizację. Ja wybrałem Aparaty Elektryczne. W moim przypadku było to potwierdzeniem starej zasady: „czym skorupka za młodu...”. Mianowicie jeszcze w liceum

zawodowym miałem wykładowcę, który bardzo ciekawie wykladał ten przedmiot. Trafiłem więc pod opiekę Katedry Aparatów Elektrycznych kierowanej przez prof. Jerzego Kryńskiego. I tym razem szczęście mi sprzyjało. Zespół pracowników katedry był wyjątkowo sympatyczny. Kierownik katedry i wykładowcy (Kazimierz Auleytner oraz Jakub Elbaum) oraz asystenci (Andrzej Au, Zbigniew Ciok, Jan Maksymiuk) byli bardzo życzliwie nastawieni do studentów, nawet tych najsłabszych. Zespół studentów- z jedną koleżanką Zosią Tyburską - był sympatyczny i bardzo koleżeński. Wszyscy pomagali sobie wzajemnie, w razie potrzeby pożyczali notatki itp. Z wieloma kolegami z naszej sekcji w późniejszych latach razem pracowałem lub spotykałem się w działalności zawodowej.

Oprócz wykładów i ćwiczeń, które musieliśmy zaliczyć w formie kolokwium oraz egzaminów, były jeszcze wakacyjne praktyki studenckie. Pamiętam dwie takie praktyki: w fabryce Apena (A-8) w Bielsku - Białej oraz w ZWAR (A-10) w Międzyzylesiu. W tamtych czasach praktyki takie były dużym kłopotem dla kierownictwa zakładu, które nie miało koncepcji wykorzystania tej taniej siły roboczej. Pewnie dlatego, że siła robocza była tania a kosztami i tak nikt się nie przejmował - ważne było tylko wykonanie planu. Studentów puszczano się na ogół samopas i najlepiej było jak oni gdzieś znikali. Ale sprawa nie była taka prosta. Do fabryki wchodziło się stemplując kartę zegarową i podobnie się wychodziło. Teren fabryki był zamknięty i dobrze strzeżony. W fabryce Apena był taki opiekun stażystów, który umożliwiał wyjście na zewnątrz specjalnymi drzwiami zamkniętymi na cztery spusty. Dalej to już była kolejka na Szyndzielnię i „...w góry miły bracie..”. Do obowiązku kolegów pozostających w fabryce należało odbicie kart nieobecnych, co przy wychodzeniu było łatwiejsze. Ja często chodziłem na długie wycieczki po górach, które w latach pięćdziesiątych wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiaj. Niestety wtedy nie było mnie stać na zabawę w fotografię i wspominać mogę tylko w wyobraźni. Z fabryki w Międzyzylesiu wyjść nielegalnie było bardzo trudno. Część dnia stażysty polegała na przyglądaniu się jak pracują zawodowcy, nie było to jednak zbyt ciekawe i po pewnym czasie odczuwaliśmy potrzebę znalezienia jakiejś zacisznej meliny. Okazało się to dosyć łatwe. Fabryka, zgodnie z planem produkowała duże ilości wyłączników pełnoolejowych, na które już wtedy brak było chętnych. Połowa wielkiej hali produkcyjnej była zastawiona tymi olejakami, a wśród nich szybko powstały zupełnie wygodne stanowiska do gry w brydża. Tak więc i tu praktyka studencka nie była zbyt uciążliwa.

Ze względów materialnych studia zakończyłem na kursie inżynierskim i po uzyskaniu absolutorium podjąłem pracę w ZWAR (A-10) w Międzyzylesiu. Po 4 latach Edek Jasiński namówił mnie (za co zawsze byłem mu wdzięczny) do przejścia do Instytutu Energetyki. Praca

w Instytucie nie była ani lekka ani dobrze płatna ale bardzo ciekawa. Tu pracowali koledzy z naszego roku studiów: Andrzej Iwanowski, Edek Jasiński, Andrzej Kmieć, Marek Kumanowski, Janusz Książkowski, Andrzej Merle, później jeszcze doszli: Jurek Dąbrowski, Zosia Tyburska i Sławek Jędrzejczyk.

Kończąc i podsumowując te okrucy wspomnień muszę stwierdzić, że miałem wyjątkowe szczęście w wyborze zawodu, uczelni i miejsc pracy. Pracę miałem bardzo ciekawą i różnorodną. Uczestniczyłem w rozmaitych badaniach w laboratoriach i w sieciach energetycznych. Brałem udział w budowie wielkich laboratoriów, zwiedziłem wiele znanych laboratoriów na świecie, zwiedziłem znane fabryki urządzeń wysokonapięciowych, uczestniczyłem w wielkich międzynarodowych konferencjach itd., itp. A co najważniejsze poznałem i miałem zaszczyt pracować z wieloma wybitnymi specjalistami i bardzo mądrymi i ciekawymi ludźmi. To chyba jest bardzo dużo jak na skromnego elektryka.

Warszawa, 30 listopada 2014 r.

Jacek Tadeusz Kaniewski



Moje życie z atomami w tle



Jak sięgam pamięcią, zwykle kierowałem moje myśli w stronę przyszłości, zaś bardzo rzadko w kierunku przeciwnym. Mam taką ulubioną kartkę z Francji przedstawiającą strusia, który pochyliwszy głowę na długiej szyi patrzy pomiędzy niemięcej długimi nogami do tyłu. A podpis brzmi: „nie ma sensu patrzeć do tyłu”. Ale ... jest to jednak struś, znany z tego, że chowa głowę w piasek. Więc może jednak spróbuję spojrzeć teraz nieco wstecz.

Na wybór kierunku studiów zdecydowałem się już w dziesiątej klasie, wówczas tzw. „jedenastolatki”, mając 15 lat. Pozostałem konsekwentny i mając lat 16 i pół, po zdaniu matury w szkole noszącej nazwę Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Piastowie, rozpocząłem moją przygodę na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Dostałem się na studia bez zdawania egzaminów wstępnych, bowiem los mnie obdarzył dyplomem przodownika nauki i pracy społecznej nadanym przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Warszawie. Był on opatrzony numerem 7, a że dzień moich narodzin miał numer 13, moje dalsze życie raczej obaliło przesady dotyczące feralności tych liczb. Oprócz mnie studia na Wydziale Elektrycznym rozpoczynał także mój kolega z tej samej klasy co ja, Tadeusz Stencki, który także został wyposażony w podobny dyplom. Tadek jednak przeniósł się po pierwszym roku na Wydział Łączności.

Wylądowałem w grupie II. Dość szybko zacząłem się przyjaźnić z Andrzejem Gadalińskim z Grodziska Mazowieckiego, który podobnie jak ja dojeżdżał pociągiem. Dojazdy pociągami linii średnicowej były w owych czasach zawsze przygodą. A to jeden pociąg wypadł z rozkładu i na peronie było czarno od tłumów, a to koledze obsunęła się noga na dźwignię hamulca podczas jazdy na półeczce między wagonami w pociągu z elektrowozem, a to w pociągu elektrycznym z automatycznymi drzwiami już nie było gdzie stopy postawić, więc jechało się na zewnątrz trzymając w środku jedynie lewą stopę i rękę.

Bliższej znajomości z Andrzejem Gadalińskim zawdzięczam pierwsze próby fotografowania (pożyczał mi aparat) oraz wybawienie z niewątpliwych trudności, kiedy już na III roku studiów na Balu Elektryków rzuciłem nieopatrznie wyzwanie chyba samemu Bachusowi, lub jak kto woli - Dionizosowi. Grupkę bliższych sobie osób, wśród których dobrze się czułem, znakomicie uzupełniali Sławek Jędrzejczyk i Jurek Jaszczuk. Bywało, że również razem się uczyliśmy. Andrzej, przejawiający dużo inicjatywy, zaproponował raz w końcu maja byśmy się we trzech spotkali gdzieś na peryferiach Grodziska Mazowieckiego wśród łąnów kwitnącego żyta, by sobie razem poprzypominać to i owo z programu Studium Wojskowego przed zbliżającym się terminem egzaminu. Nigdy tego nie zapomnę, ponieważ bardzo cierpiałem na katar sienny.

W późniejszym okresie studiów, wybór specjalizacji stworzył okazję do bliższego poznania nowych kolegów i znalezienia z nimi wspólnych zainteresowań. Byli nimi zwłaszcza Zygmunt Maciejewski, Zygmunt Warsza i Ignasz Zawicki, wszyscy z Sekcji Miernictwa Elektrycznego. Krąg bliższych znajomych był jednak znacznie większy, także na zasadzie, że „przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi”.

Wspólne wyjazdy wakacyjne nie były na ogół moim udziałem, ale latem 1955 r. wybrałem się na kajaki na jeziora Augustowskie z Januszem Migdalskim. Drugą załogą było małżeństwo - Kazik Dobrowolski i jego żona Dobrochna. W dwa kajaki opłynęliśmy kilka jezior prawie nikogo nie spotykając. Janusz miał zabawną przygodę, bo któregoś dnia po rozbiciu namiotu i otwarciu swojej skórzanej raportówki, aby wyjąć przywiezioną z rodzinnych stron kiełbasę, znalazł wśród jej zwojów także zwiniętego w kłębek znacznych rozmiarów zaskrońca. Nie zacytuję tu jego okrzyku, ale mogę zapewnić, że był adekwatnie do odkrycia dosadny.

Nie należałem do osób, które miały większe szanse „załapać się” na wczasy studenckie, a tym bardziej wyjechać za granicę. Jednak dwa razy byłem na wczasach zimowych w kraju. Za pierwszym razem, w styczniu 1956 r., był to wyjazd na narty do Przesieki k. Jeleniej Góry. Zaczynała się akurat bardzo mroźna zima. Żeby zjechać na nartach, trzeba było najpierw parę godzin podchodzić, a niesienie nart na ramieniu wymagało odpowiedniego uniesienia ręki, co powodowało zmniejszenie dopływu do niej krwi. Było – 28 C⁰. Nie zauważyłem, kiedy podmrażałem palce, czego przykre następstwa pozostały na zawsze. Niezapomniana była także nocna podróż z powrotem do Warszawy. Wtedy komfort polegał na ułożeniu się do spania na drewnianej półce bagażowej. Gdy się obudziłem nie mogłem ruszyć nogą, bo gruba wełniana skarpeta, która zaabsorbowała wilgoć z przedziału, przymarzła do wewnętrznej strony ściany wagonu. A pociąg jechał z Jeleniej Góry do Warszawy jedenaście godzin. W Przesiece byli na

wczasach z naszego roku oprócz mnie także inni koledzy, z których zapamiętałem Jurka Busłowicza i Janka Danielewskiego.

Wspomnę jeszcze o wyjeździe z Jankiem na narty do Wisły. Pamiętam piękną pogodę i śnieg oraz podejścia i zjazdy z Baraniej Góry, a także towarzystwo studentów spędzających całe dnie w zadymionej atmosferze domu wypoczynkowego, grających do upadłego w brydża. Gdzieś po tygodniu udało się nam namówić ich na wyjście by przynajmniej zobaczyli Baranią. Co kilka minut pojawiały się błagania by zatrzymać się na papierosa.

Janek Danielewski był człowiekiem zawsze zadowolonym, uśmiechniętym i otwartym. Nic dziwnego, że na narty do Przesieki pojechał sam a wrócił z sympatią. Na Politechnikę dojeżdżał z Żyrardowa, był studentem niezwykle obowiązkowym, chodzącym na wszystkie wykłady i robiącym skrupulatne notatki, które mu wystarczały do przygotowania się do kolokwium i egzaminów, więc nie trwonił pieniędzy na jakies podręczniki. Jego pracowitość przejawiała się także w tym, że udzielał sporo korepetycji, z których zaspokajał nie tylko swoje potrzeby, ale także pomagał siostrze. Chyba jeszcze przed zrobieniem dyplomu został nauczycielem fizyki w Technikum Chemicznym w moim rodzinnym Piastowie. W tym też czasie także się ożenił i zamieszkał w Piastowie ze swoją wybranką w maleńkim wynajętym pokoiku. A ja przeniósłem się z Piastowa do Warszawy w czerwcu 1962 r.

Z grona naszych wykładowców i asystentów zapamiętałem szczególnie kilka osób. Moim ulubionym przedmiotem, zarówno w szkole jak i na studiach, była fizyka. Dzięki temu znosiłem nawet monotony głos wykładowcy pani dr Karoliny Leibler, za co byłem nagradzany piątkami z egzaminów. Bardzo lubiłem ćwiczenia z fizyki z Tadeuszem Prokopiukiem oraz laboratorium fizyczne (w II semestrze), prowadzone przez wymagającą, ale przyjazną dr Saturninę Woszczerowicz. Wiele lat później, gdy już rozstała się z tym światem, poznałem Jej piękny życiorys.

Dr Woszczerowicz była absolwentką przedwojennego Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Warszawskiego. Urodzona w 1910 r. w Siedlcach, wychowywała się w rodzinie o silnych tradycjach patriotycznych. We wrześniu 1939 r. brała udział w cywilnej obronie Warszawy. W okresie okupacji niemieckiej angażowała się w nauczanie na tajnych kompletach. Pracowniczką Politechniki Warszawskiej została w 1950 r., gdzie po uzyskaniu stopnia doktora, jako adiunkt objęła funkcję kierownika laboratorium w Katedrze Fizyki. Należała niewątpliwie do tych osób, które swoją pracę zwykli traktować jako posłannictwo.

Lubiłem wykłady z matematyki prowadzone jak z karabinu maszynowego przez prof. Romana Hampla, który pomiędzy seriami z matematyki strzelał także wiedzą na temat historii (opowiadał np. o bitwie

nad Kałką). Kiedyś, niewątpliwie na skutek zafascynowania tempem wykładu, siedzący wysoko w audytorium Tadek Niepokulczycki wykrzyknął: - Romciu, tylko się nie sztachnij, co miało zapewne znaczyć nie pomył się. Adresat chyba jednak nie usłyszał, bo seria jeszcze jakiś czas była kontynuowana. Wyprzedzając tok narracji muszę wspomnieć, jak już na VIII semestrze umawiałem się na ostatni na tych studiach egzamin z matematyki. Otóż spotkałem któregoś dnia prof. Hampla przypadkowo na ulicy Nowowiejskiej, więc go zapytałem, czy mógłbym się zgłosić na egzamin. Odpowiedź była natychmiastowa: to niech pan przyjdzie do mnie do katedry w piątek o szóstej rano. Byłem punktualnie, On też, w indeksie znalazła się wprawdzie tylko czwórka, ale w końcu wybitnym talentem matematycznym nie grzeszyłem.

Dużym autorytetem cieszył się prof. Kazimierz Zarankiewicz, który wykładał mechanikę. W naszych oczach był On przykładem prawdziwego przedwojennego profesora. Wykładał doskonale, czasami wplatając jakiś niewinny żarcik. Jednym z jego asystentów był pan Dyląg, którym straszono, że jest okropnie wymagający. Jakoś tego sam nie zauważyłem, za to wzbudził moją sympatię opowiadaniem z Powstania Warszawskiego.

Podstawy elektrotechniki, wykładane przez prof. Witolda Kotowskiego na II i III semestrze, wprowadziły mnie gładko w ten podstawowy dla naszego wydziału temat, pogłębiony na VIII semestrze przez prof. Tadeusza Cholewickiego i asystentów – Ryszarda Matusiaka i Tadeusza Kaczorka, którzy z biegiem lat także zostali profesorami. Były to przedmioty podstawowe, niemające wiele wspólnego z techniką. Ta pojawiała się wprawdzie już w drugim semestrze w kreśleniach technicznych, ale naprawdę dopiero w semestrze trzecim w wykładach z wytrzymałości materiałów (prof. Bolesław Mayzel), z części maszyn oraz z technologii i obróbki materiałów (E. Gutkowski), a także z miernictwa elektrycznego (doc. Stefan Lebson) – nareszcie coś elektrycznego.

Byłem chłopakiem po liceum ogólnokształcącym, który wcześniej z techniką nie miał w ogóle do czynienia, a jeżeli – to na poziomie wymiany koła lub dętki w rowerze. Kreślenia techniczne, choć nie leżały w głównym nurcie studiów na Wydziale Elektrycznym, zainteresowały mnie i okazałem się w tym niezły. Zdobyte umiejętności przydały się wkrótce, pozwalając zarobić parę groszy w czasie wakacji.

Ciekawa była sama postać naszego wykładowcy rysunku technicznego i geometrii wykreślnej – prof. mgr Stanisława Wocjana. Był to człowiek cichy, niewielkiej postury, który zajmował się także, jeżeli nie przede wszystkim, malarstwem. Przekonał się o tym nieco później, gdy w auli Gmachu Głównego PW została zorganizowana wystawa Jego prac. Stało się to wówczas, gdy zaprzestano zwalczania przeciwników socrealizmu w sztuce, a do takich zaliczał się nasz profesor. W owym czasie

Jego obrazy nie przypadły mi do gustu, uznałem to malarstwo za ponure. Dzisiaj miałbym na to inne spojrzenie.

Wykładów doc. Lebsona słuchałem w ciągu wielu semestrów, z ostatnim włącznie – wybrałem bowiem specjalizację miernictwo elektryczne, a kontakty z Nim miałem dłużej. Interesującym przedmiotem były dla mnie także maszyny elektryczne, wykładane przez prof. Władysława Latka na V i VI semestrze. W VI semestrze pojawiły się także wykłady na temat urządzeń elektrycznych, prowadzone przez prof. Czesława Mejro, doświadczonego inżyniera elektryka o silnej osobowości, który odznaczał się także wielkim poczuciem humoru. Tego ostatniego trudno odmówić także i niektórym innym naszym wykładowcom, w tym chyba przede wszystkim doc. Lebsonowi, który robił na mnie także wrażenie erudyty w różnych obszarach kultury.

Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć o pewnej mocnej wypowiedzi prof. Mejro, którą szereg lat później miałem okazję usłyszeć podczas narady na temat energetyki jądrowej w Biurze Pełnomocnika Rządu ds. Pokojowego Wykorzystania Energii Atomowej. W polemice z pewnym profesorem z Gdańska (nazwisko dyskretnie pominę) wypowiedział mniej więcej te słowa: - panie profesorze, jest tak jak mówię ja a nie pan, ponieważ ja to wiem, bo dużo czytam, w przeciwieństwie do pana, który tylko pisze. Prof. Mejro ciekawie wspominał także wydarzenia ze swojej pracy tuż po zakończeniu wojny. Raz na peronie dworca Warszawa-Zachodnia, gdy prowadził nas na wycieczkę do podstacji w Morach, opowiedział o telefonicznej rozmowie z komendantem sowieckim, którego żołnierze kradli przewody. Na jego uwagę, że włączenie napięcia może spowodować śmierć któregoś z wycinaczy drutów, miał usłyszeć: - da wkljuczajtie napriażenje, u nas ljudiej mnogo.

Wracając do przedstawiania wykładowców, którzy bardziej zapadli mi w pamięć, muszę wymienić także prof. Pawła Jana Nowackiego, prof. Szczepana Szczeniowskiego, prof. Macieja Nałęcza (wtedy adiunkta), Wiesława Kłossowskiego (wtedy docenta), Edmunda Lipińskiego (wtedy adiunkta) i Halinę Michalczewską (wówczas chyba st. asystenta).

Prof. Nowacki był przez krótki okres czasu szefem Katedry Miernictwa Elektrycznego (po zmarłym prof. Jabłońskim), którą przekazał doc. Lebsonowi obejmując nowoutworzoną Katedrę Energetyki Jądrowej. W tamtym czasie został On również dyrektorem Instytutu Badań Jądrowych, założonego przez prof. Sołtana, który właśnie zmarł. Był On znany z tego, że znał się na wszystkim. Prowadził bowiem u nas następujące wykłady lub zajęcia: laboratoria miernictwa elektrycznego i układów pomiarowych, elektronikę, pomiary radioaktywności i zasady automatyki. Przebywając w czasie wojny w Anglii zajmował się radarami, a jak wspominałem wyżej – właśnie zaangażował się w atomistykę. Dzisiaj

nie wydaje mi się to czymś niezwykłym, ale jako student podziwiałem Jego szeroki zakres zainteresowań i wiedzy. Przede wszystkim byłem jednak pod wrażeniem Jego dobrych wykładów.

Prof. Szцениowski wykładał nam fizykę jądrową na kursie magisterskim. Tym przedmiotem bardzo się interesowałem, chociaż dość złożone równania dyfuzji neutronów nie były, z mojego obecnego punktu widzenia, czymś, co na wydziale elektrycznym musiało być wykładane. Wydawane wówczas ciekawe książeczki popularno-naukowe wzbudziły we mnie duże zainteresowanie tą dziedziną nauki. Zaczątki mojej wiedzy w tym zakresie uzupełniały też wykłady popularno-naukowe prowadzone w Zakładzie Fizyki U.W. na Hożej.

Profesora Macieja Nałęcza wspominam najpierw, jako wykładowcę przedmiotów: pomiary magnetyczne, wybrane działy z układów pomiarowych, a także jako późniejszego współlokatora, gdy byłem już asystentem w Katedrze Miernictwa Elektrycznego. Kiedy mnie jeszcze egzaminował na kursie magisterskim dziwił się przyjaźnie, że nie może mnie z niczego „zagiąć”.

Doc. Wiesław Kłossowski dzielił się z nami wiedzą dotyczącą głównie przekładników oraz pomiarów zdalnych. Epatował ogromną ilością książek rozłożonych na wielkim stole. Większość z nich była w języku rosyjskim, bo były to czasy taniej książki z Kraju Rad. Sam też wówczas trochę się w nie zaopatrzyłem - były one dla nas podręcznikami z różnych dziedzin.

Pozwolę tu sobie na dygresję, bowiem najbardziej zapadła mi w pamięć książka na temat wytrzymałości materiałów – przedmiotu, jak już wspominałem, wykładanego przez prof. Mayzla. Pamiętam doskonale tę wielką „cegłę” zatytułowaną „Soprotivlenje matieriałow”, ale jej zawartość wywietrzała mi z głowy dość szybko po zdaniu egzaminu, do którego uczyłem się intensywnie, ale bardzo krótko. Po tym doświadczeniu, zresztą z dobrą oceną z egzaminu, nikomu nie polecałbym tej metody. Główny egzamin z tego przedmiotu był pisemny, a jego zdanie wymagało rozwiązania zadań z przeprowadzeniem niezbędnych do tego obliczeń. Tematy tych zadań otrzymywało się na drodze losowania, ale powtarzały się one co roku, może z niewielkimi zmianami. Niektórzy koledzy na ten egzamin w jakiś sobie tylko znany sposób zaopatrzyli się w gotowe rozwiązania - trzeba było tylko je znaleźć w grubym na 5 cm pliku kartek. Dwóch kolegów w ten sposób wyposażonych postanowiło zająć miejsca w audytorium po obu moich stronach, proponując mi także, bym skorzystał z ich skarbu. Po zapoznaniu się z rozwiązaniem jednego zadania uznałem, że lepiej zdać się na własną pamięć oraz pomysłu. Okazało się to dobrym wyborem, a samo zapoznanie się z jakością tych ściągawek

spowodowało moją ingerencję w to co zamierzali napisać moi koledzy. W efekcie zdaliśmy wszyscy trzej i to z całkiem niezłymi notami.

Doc. Kłossowski również należał do osób z poczuciem humoru. Raz mi się zdarzyło, że podczas jego wykładu w małej salce, tylko dla studentów naszej Sekcji Miernictwa Elektrycznego, czytałem książkę, od której nie mogłem się oderwać. Zauważył to i zapytał: - co pan czyta? Na moją odpowiedź, że to „Zły” Tyrmanda zdziwił się tylko – dopiero teraz?

Prof. Edmund Lipiński, wówczas adiunkt, prowadził na IX semestrze zajęcia z projektowania układów pomiarowych oraz z laboratorium przyrządów pomiarowych. Później, pracując już w Katedrze Miernictwa Elektrycznego, podziwiałem Go za Jego zdolności w konstruowaniu różnych przyrządów, które były następnie wytwarzane przez działające przy katedrze tzw. gospodarstwo pomocnicze. Zakładzik ten był dla różnych odbiorców z przemysłu (i nie tylko) cennym dostarczycielem potrzebnej aparatury kontrolno-pomiarowej, a dla pracowników katedry – niezłym źródłem uzupełnienia skromnych wynagrodzeń pracowników dydaktyczno-naukowych.

Mgr inż. Halina Michalczewska zapisała się w mojej pamięci jako wykładowca niewielkiego przedmiotu liczniki elektryczne, z którego nawet nie zdawaliśmy egzaminu, oraz jako miła i pełna humoru osoba, chyba tylko o kilka lat od nas starsza. Gdy pracowałem już w Katedrze opowiedziała kiedyś jak zajęła się pewnym profesorem, który przyjechał z wizytą z innego miasta w Polsce. Zaproponowała mu, że pokaże nocne życie Warszawy i zaprowadziła... do fotoplastykonu w Al. Jerozolimskich. Żeby choć tematyka oglądanych tam wtedy zdjęć miała coś wspólnego z choćby najbardziej niewinnymi aspektami nocnego życia miasta!

Nieodłączną częścią naszych studiów były praktyki wakacyjne, na które dojeżdżałem z domu w Piastowie, w przeciwieństwie do kolegów z akademika, którzy wybierali zakłady w różnych częściach kraju. Pierwszą praktykę odbywałem w Zakładach Mechanicznych Ursus, gdzie przydzielono mnie do pewnego technika, który kładł przewody w nowej wielkiej hali tego zakładu. Miałem wtedy 17 lat i grzecznie robiłem co kazano. Na całe życie pozostała mi wielka umiejętność w zakresie kucia dziur w ścianie. Umiejętność ta okazała się przydatna dopiero w moim domu ćwierć wieku później. Druga praktyka miała już charakter bardziej intelektualny, bo odbywała się w pomieszczeniu należącym do Instytutu Elektrotechniki w suterenie pewnego domu przy ul. Emilii Plater. Zdarzało się, że zabawiałem tam sympatycznych pracowników opowiadaniem kawałów. W owym czasie miałem do nich niezłą pamięć. Z praktyki tej pamiętam wspomnienia pracowników o ich koleżance, Helence Ehrlich, która nieco wcześniej wyjechała do Izraela, skąd przysłała kolegom skrzynię pomarańcz, zapewne z Jaffy.

Z praktyki odbywanej w Instytucie Elektrotechniki w Międzyzlesiu pamiętam, że mieliśmy sporządzić schemat elektryczny stojącej na uboczu drążarki elektroiskrowej. Nie pamiętam jaki był mój wkład w realizację tego zadania, gdyż bardziej interesujący okazał się lasek otaczający budynki Instytutu i spacer z koleżanką z naszego roku. Któregoś dnia przyjechał ktoś z naszej uczelni z zadaniem dokonania inspekcji czy prawidłowo wywiązujemy się z przydzielonych nam zadań. Nie zastał mnie na miejscu z wyżej podanego powodu, ale nie było żadnych następstw tej inspekcji, więc chyba moje sprawowanie się, jak również miłej koleżanki, zostało uznane za stosowne.

Program naszych studiów na pierwszych latach był obciążony także przedmiotami z innego rodzaju inżynierii niż elektrotechnika, a mianowicie eksportowanej przez Kraj Rad „inżynierii dusz ludzkich”. Były to wykłady z podstaw marksizmu-leninizmu w wykonaniu towarzyszy Szuberta, Katza i na końcu samego Berlera, szefa katedry, w połączeniu z obszerną lekturą obowiązkową typu Historia WKP(b) i inne. Później pojawił się przedmiot ekonomia polityczna, którego wykładowcą był niejaki Pomerski. Jak wiadomo, każdy rzeczownik, któremu w owym czasie towarzyszył przymiotnik, nie miał nic wspólnego z tym jakie według leksykonu byłoby tego rzeczownika znaczenie. Taka to też była i ta ekonomia.

Szubert wykładał o historii ruchów robotniczo-chłopskich w Polsce przedwojennej. Najlepiej z tego zapamiętałem jak mówił o trudnej roli chłopca: - i cóż ten biedny chłop mógł w mieście za te swoje jaja dostać? Po sekundzie pełne audytorium ryknęło śmiechem. Wykładowcę na moment zamurowało, po czym odezwał się ze swoim charakterystycznym zaciąganiem: - no wiecie, no dziwi mnie, że macie takie skojarzenia.

Kiedy rozpoczynaliśmy studia mijało właśnie pół roku od śmierci Stalina. W miarę upływu lat klimat polityczny nieco łagodniał, aż przyszedł rok 1956. Można już było otwierać usta na niektóre tematy, choć czerwcowe tzw. „wydarzenia” w Poznaniu (jak to wówczas oficjalnie nazywano), czyli krwawa rozprawa z demonstrującymi robotnikami była ostrzeżeniem, że wentyl można otwierać tylko w sposób kontrolowany. Na Politechnice Warszawskiej zorganizowany został wielki wiec studentów, na którym mowę wygłosił, w łagodnym jak na niego tonie, sam Berler. Znalazły się w niej zdania na temat moralności komunistycznej, co mnie sprowokowało do wypowiedzi, że jeżeli się mówi o moralności to dla mnie jest ona tylko jedna. Miałem na myśli, choć tego nie wyraziłem *explicite*, moralność wpajaną mi od dziecka w domu. Zostałem wtedy uświadomiony, że moralności są rozmaite, a jako przykład Berler wymienił moralność kanibali. Ciekawe to jako paralela do moralności komunistycznej. Zdarzenie powyższe zostało potem odnotowane w gazetce Politechnik, że pewien

student nawet kwestionował istnienie moralności komunistycznej. Żadnych negatywnych konsekwencji jednak to dla mnie nie miało.

Wspomnienie „odwilży” przypomniało mi o wyjeździe na miesięczny obóz wojskowy do Morąga latem 1957 r. Było to po IV roku. Normalnie wysyłano studentów najpierw po II roku i potem drugi raz, ale nam ten pierwszy raz się „upiekł” z powodu Światowego Festiwalu Młodzieży w 1955 r. Wyjazd zorganizowano z dworca na Pradze, pociągiem towarowym, na szczęście w wagonach krytych. Kazano się stawić w późnych godzinach popołudniowych, a pociąg ruszył dobrze po zapadnięciu zmroku i jechał długo. Na miejscu w Morągu traktowano nas jednak przyzwoicie, a ciekawym doświadczeniem były rozmowy z niektórymi oficerami. Pamiętam jak jeden major opowiadał nam o doświadczeniach, jakie było ich udziałem, gdy mieli na karku oficerów sowieckich do czasu ich odesłania do Kraju Rad po październiku 1956 r.

W koszarach w Morągu spaliliśmy w ogromnych salach. Dzień kończył się capstrzykiem (jak to wojacy wymawiali – capsztykiem) po czym szliśmy spać. Któryś ze starszych kolegów wpadł na pomysł, by każdy miniony dzień specjalnie uczcić. Więc otwierało się okna na oścież i jeden wołał np. „dziesiąty dzień wojska minął”, na co chór kilkudziesięciu studentów w mundurach szeregowców odpowiadał na całe gardło „ch... z nim”.

Na początku studiów bardzo mi brakowało pieniędzy. Dom rodzicielski, utrzymywany jedynie przez „głowę rodziny”, czyli mocno zaawansowanego wiekiem Ojca (rocznik 1895), zapewniał mi wprawdzie mieszkanie i tzw. wikt i opierunek, ale dorastający młody człowiek potrzebuje także trochę środków na swoje wydatki, te zaś musiałem już zdobyć sam. Pierwsze złotówki zarobiłem jeszcze latem po I roku studiów, zatrudniony w kreślarni Wydawnictw Technicznych na Mazowieckiej przy robieniu rysunków układów elektronicznych do jakiejś książki. Jak wspominałem na początku, w kreśleniach byłem dobry. Udzielałem w tym czasie także nieco korepetycji z fizyki. Moje dochody z tego tytułu jednak były przysłowiową kroplą w morzu, bowiem korepetycji tych było niewiele. Korepetytorem w wielkiej skali był na naszym wydziale Janek Danielewski. Możliwości zarobienia trochę pieniędzy pojawiły się dopiero gdy zaczęła się specjalizacja.

Zapisałem się do sekcji Miernictwo Elektryczne, początkowo bez przekonania, a namówił mnie do tego doc. Kłossowski. Chciałem się dostać do Sekcji Zabezpieczeń Elektroenergetycznych, gdyż w owym czasie sądziłem, że ma ona związek z najnowocześniejszą techniką, z przekaźnikami i pewnym udziałem automatyki. Doc. Kłossowski oznajmił mi, że w ramach Sekcji Miernictwa jest nie tylko budowa przyrządów i układów pomiarowych, ale także konstrukcja przekaźników. Dałem się

przekonać i nie żałuję, choć przekąźnikami nigdy się potem nie zajmowałem. Będąc jeszcze studentem, z początkiem lutego 1957 r. zostałem zatrudniony przez pół roku w charakterze technika konstruktora w gospodarstwie pomocniczym przy Katedrze Miernictwa Elektrycznego. W tym samym czasie doc. Lebson przygotowywał skrypty z miernictwa dla studentów i oceniwszy, że mam pewne predyspozycje jeśli chodzi o pisanie, zlecił mi także ich korekty i przygotowanie do druku.

W listopadzie 1957 r., dzięki poleceniu doc. Kłossowskiego, dostałem zlecenie na zaprojektowanie i wykonanie dla Zakładu Aparatury Naukowej PAN transduktora regulacyjnego (wzmacniacza magnetycznego) do płynnej regulacji temperatury suszarki o mocy 3 kW. Do wykonania tego urządzenia potrzebne były także odpowiednie blachy transformatorowe. Dostałem je z Zakładów A1 na Kałuszyńskiej dzięki pomocy doc. Lebsona, który napisał list do ich dyrektora, by mi to ułatwił. Uzwojenia wykonał mały prywatny zakładzik na ul. Polnej.

W maju 1958 r. spotkała mnie nieoczekiwanie wielka przyjemność - otrzymałem na trzy miesiące stypendium naukowe im. Włodzimierza Krukowskiego. Było ono przyznawane, jako wyróżnienie, za dobre wyniki w nauce w ciągu ostatnich czterech semestrów. Warto w tym miejscu przypomnieć, że patron tego stypendium był wybitnym polskim inżynierem i uczonym elektrykiem. W latach 1928 – 1939 prowadził wykłady z liczników elektrycznych na Politechnice Warszawskiej, a w 1930 r. objął katedrę pomiarów elektrycznych na Politechnice Lwowskiej. Prof. Krukowski zginął z rąk hitlerowców nocą z 3 na 4 lipca 1941 r., rozstrzelany wraz z wielu innymi lwowskimi uczonymi.

W sierpniu 1958 r., z inicjatywy doc. Lebsona, rozpocząłem pracę w Zakładzie Automatyki PAN, który mieścił się w Pałacu Staszica (zakład ten, wspólnie z Zakładem Elektrotechniki PAN, został później włączony do nowopowstałego Instytutu Automatyki PAN). Jesienią 1958 r. roku dostałem od doc. Lebsona propozycję napisania wspólnie podręcznika dla techników „Pomiary elektryczne”. Umowa z Państwowymi Wydawnictwami Szkolnictwa Zawodowego (PWSZ) została zawarta w listopadzie 1958 r., kiedy jeszcze wykonywałem moją pracę magisterską. Podręcznik ten, który ukazał się chyba w 1961 r., miał pięć wydań, a w 1969r. został zastąpiony przez zmieniony i uzupełniony o pomiary wielkości nieelektrycznych nasz nowy podręcznik pt. „Miernictwo elektryczne dla techników”. Miał on cztery wydania do roku 1973. Z książek tych korzystali chętnie także studenci.

Tytuł mojej pracy magisterskiej brzmiał „Przekładnik napięciowy prądu stałego na napięcie 1000 V”. Był to odpowiednio zaprojektowany transduktor, a jak już wspominałem wyżej, wcześniej wykonałem już transduktor regulacyjny na zlecenie dla PAN. W Katedrze Miernictwa

Elektrycznego panował taki zwyczaj, że prace dyplomowe musiały się kończyć wykonaniem działającej aparatury, a ta była następnie wykorzystywana w laboratorium miernictwa elektrycznego.

Po uzyskaniu dyplomu, z inicjatywy doc. Lebsona, od lutego 1959 r. do końca semestru letniego 1961 r. prowadziłem zajęcia na II roku Wydziału Elektrycznego Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. W październiku 1959 r. zostałem asystentem w Katedrze Miernictwa Elektrycznego, co skłoniło mnie do rozstania się pół roku później z Zakładem Automatyki PAN. W tamtych latach zaglądałem także na seminaria do katedry Automatyki na Wydziale Łączności. Fascynowała mnie automatyka i sam szef katedry – prof. Władysław Findeisen. Moje zagłądanie tam nie miało jednak większych konsekwencji poza przetłumaczeniem z angielskiego jakichś materiałów dotyczących modułowego systemu regulacji.

W moim dyplomie magisterskim z lutego 1959 r. (a z pewnością nie tylko moim) znajduje się podpis naszego ówczesnego dziekana, prof. Jana Podoskiego. Wspominam tu o Nim, choć nie byłem słuchaczem Jego wykładów, gdyż dowiedziałem się wiele o Jego życiu z książki pt. „Zbyt ciekawe czasy” wydanej w 1991 r., którą pożyczył mi kiedyś Zygmunt Warsza. Była to autobiografia ukazująca dramatyczne przejścia wojenne i powojenne Autora, napisana jednak z wielkim humorem.

Profesor Podoski wrócił w 1947 r., do Polski z Anglii, gdzie podczas wojny pracował w Sztabie Naczelnego Wodza. Podjął pracę na Wydziale Elektrycznym PW i kilka lat później, w 1951 r. został aresztowany „za szpiegostwo i zamiar obalenia ustroju” oraz skazany na 8 lat więzienia. Wyrok odsiadywał w słynnych Wronkach. W 1954 r. zwolniono Go po długich zabiegach matki na „urlop bezterminowy”, a po „odwilży” 1956 roku został objęty amnestią. Powrócił na stanowisko profesora, a następnie został dziekanem Wydziału Elektrycznego. To był akurat czas, kiedy my kończyliśmy studia. Rehabilitacji prof. Podoski doczekał się dopiero w 1989 r.

Moja działalność w atomistyce

Dzień 1 kwietnia 1961 r. zmienił w moim życiu bardzo wiele, bowiem zaczęło się trwające do chwili obecnej moje zaangażowanie w atomistycę.

Pracę w Instytucie Badań Jądrowych (IBJ) w Świerku w Pracowni Automatyki Reaktorowej (należącej do Zakładu Inżynierii Reaktorowej) podjąłem dzięki namowom i z polecenia dr Mariana Kiełkiewicza, który wówczas pracował w Instytucie, ale postanowił poświęcić się bardziej pracy w Katedrze Energetyki Jądrowej PW. Wspomniana pracownia niebawem przekształciła się w samodzielny Zakład Automatyki Reaktorowej. W IBJ

zostałem zatrudniony na stanowisku inżynierjno-technicznym, później zostałem starszym asystentem, adiunktem i kierownikiem pracowni (1972). Na Politechnice Warszawskiej byłem zatrudniony jeszcze do końca września 1962 r.

We wrześniu 1962 r. ożeniłem się z poznaną na nartach pół roku wcześniej chemiczką Kasią, która po pewnym czasie za moja namową także podjęła pracę w IBJ.

Zatrudniając się w IBJ miałem nadzieję, że będę coś ciekawego projektował i konstruował, że oczekuje mnie prawdziwa przygoda zawodowa. Marzyło mi się, że będę autorem rozwiązań technicznych w zupełnie nowej dziedzinie. Początkowo miałem zająć się opracowaniem wzmacniaczy magnetycznych do sterowania napędem prętów regulacyjnych projektowanego właśnie polskiego reaktora doświadczalnego MARIA. Wybór tego typu wzmacniaczy miał na celu zapewnienie wysokiej niezawodności układu sterowania.

Jak wspominałem wcześniej, tematyką dotyczącą wzmacniaczy magnetycznych interesowałem się już pod koniec studiów, ponieważ pociągały mnie nowinki, a osoby znające się na tym w Polsce można było policzyć na palcach. Parę lat później (1965) została wydana w PWN przetłumaczona przeze mnie z rosyjskiego książka M.A. Rozenblata „Wzmacniacze magnetyczne”, o której wspomina Władek Torbicz. Jakiś czas później autor gościł w Warszawie (o czym także wspomina Władek) i skontaktował się ze mną. Pamiętam jak zadzwonił i zażenowany poinformował mnie, że ma mieszkać w Domu Chłopa (był taki hotel przy obecnym Placu Powstańców). Zażenowanie jego pochodziło stąd, że w Moskwie był także dobrze znany przybytek o nazwie Kriestianskij Dom, będący raczej prymitywnym miejscem noclegowym dla ludzi znajdujących się nisko w hierarchii socjalistycznego dobrobytu.

Pierwszy kwietnia to jednak, jak wiadomo, *prima aprilis*. Z biegiem czasu miałem okazję przekonać się, że coś w tym jest. Na początek - wzmacniaczy magnetycznych nawet nie zacząłem projektować, bo uznano, że napęd prętów regulacyjnych zostanie wykonany tak jak w Związku Radzieckim. Reaktor MARIA - wielkie polskie osiągnięcie - został uruchomiony dopiero w 1975 r. i już bez mojego udziału. Natomiast elektrowni jądrowych nie ma w Polsce do dzisiaj, a początek ich uruchamiania zapowiada się dopiero za dziesięć lat.

W IBJ udało mi się jednak coś zrobić dla MARII i nie tylko dla niej. Mój dorobek w tym instytucie stanowiła przede wszystkim półprzewodnikowa aparatura elektroniczna będąca częścią układu sterowania reaktora: włączania, rozruchu, utrzymania stałej mocy i wyłączania. Potrzebny był do tego pomiar gęstości neutronów biorących udział w kolejnych rozszczepieniach podlegających temu procesowi jąder

izotopów (głównie uranu 235), zawartych w paliwie reaktora. Warto sobie tu uświadomić, że gęstość neutronów wzrasta w takim reaktorze od poziomu stanu wyłączonego do poziomu mocy nominalnej ponad dziesięć milionów razy. Aparatura mojej konstrukcji mierzyła sygnał prądowy z komory jonizacyjnej począwszy od 10^{-9} A i służyła do kontroli i stabilizacji mocy reaktora w zakresie czterech dekad możliwych poziomów eksploatacyjnych mocy reaktora. Wykonano ją najpierw dla zestawów krytycznych AGATA w Świerku oraz ŚR-0 w Czechosłowacji.

Moją pierwszą w życiu służbową podróż za granicę odbyłem do Moskwy w czerwcu 1963r. Miały to być konsultacje we Wszechzwiązkowym Instytucie Budowy Przyrządów, ale muszę uczciwie przyznać, że wraz z innym gościem z Polski, najwięcej czasu poświęciliśmy na zwiedzanie miasta. Z wyjazdem tym związane są dwa wydarzenia warte wspomnienia. Pierwsze to zwiedzanie Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej ZSRR, gdzie natknąłem się na dwóch starszych panów z Leningradu. Zainteresowali się moją osobą, a gdy się dowiedzieli, że jestem inżynierem i przyjechałem z Warszawy, zaczęli rozmawiać z dużą otwartością. Dali mi do zrozumienia, że poziom kultury obywateli Leningradu jest wyższy niż w Moskwie. Drugie zdarzenie jest związane z powszechną w owym czasie praktyką przydzielania pokoju hotelowego kilku nieznanym się gościom. W tym przypadku był to hotel Warszawa, w którym dzieliłem łóżko małżeńskie z pewnym profesorem z Poznania. Którejś nocy zbudził mnie straszny hałas, a po chwili solidny wstrząs na tapczanie. Rano po wytrzeźwieniu mój „łóżkowy partner” sumitował się strasznie z powodu nocnego wydarzenia. Było to, jak mi wytłumaczył, następstwem oblewania doktoratu młodego Rosjanina, którego był promotorem.

Później, w latach 1966-67 wyjeżdżałem m.in. do Czechosłowacji, biorąc udział, wraz z kolegą z IBJ Andrzejem Ostrowskim, w uruchamianiu naszej aparatury oraz w pierwszym reaktorowym eksperymencie krytycznym. Był to czas, gdy dobrze poznałem przyjemność picia pilzneńskiego piwa i jego następstwa. Teatrem zdarzeń była piwnica browaru pilzneńskiego z dużym okrągłym stołem i siedzeniami w postaci odpowiednio przystosowanych beczek. Czescy gospodarze byli bardzo gościnni, a barmani zastępowali natychmiast każdy pusty kufel nowym i pełnym. Dość powiedzieć, że póki jest się w stanie rozmawiać, to tej podmiany kufli się nie zauważa... Ale ostatecznie opuściłem ten lokal świadomie i o własnych siłach.

W końcu listopada 1968 r. rozpocząłem roczny staż we francuskim Ośrodku Badań Jądrowych w Cadarache, położonym w pięknej Prowansji, który został sfinansowany przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (MAEA). Pracowałem tam w zespole specjalistów

EURATOM'u z Francji, Belgii, Niemiec Zachodnich (RFN) i Holandii, zajmujących się projektowaniem budowanego pierwszego w tym kraju reaktora energetycznego na neutronach prędkich o nazwie PHENIX, o mocy 300 MWe. Modelowałem, głównie na maszynie analogowej, dynamikę układów chłodzenia tego reaktora. Przed wyjazdem na ten staż zdążyłem przetłumaczyć z angielskiego na polski książkę C.C. Scott'a pt. „Oprzysiężenie i sterowanie reaktorów prędkich”. Została ona wydana przez Ośrodek Informacji o Energii Jądrowej w 1969 r. W owym czasie wśród atomowych specjalistów panowało przekonanie, że przyszłość takich reaktorów jest bliska, bo około 2000 r. zacznie brakować na świecie uranu. Kto pamięta konkluzje słynnego „Klubu Rzymskiego” z 1970 r., ten wie, o co chodzi (rozwój świata miał szybko doprowadzić do wyczerpania zasobów surowcowych). Należy tu dodać, że reaktory prędkie wykorzystują uran ok. 60 razy efektywniej, niż stosowane powszechnie reaktory na neutronach termicznych, są to jednak obiekty bardziej od nich kosztowne. Prognozy te okazały się zupełnie chybione - energetyka jądrowa rosła w tempie znacznie wolniejszym niż to przewidywano w owym czasie, a same tylko konwencjonalne rozpoznane zasoby uranu według szacunków dzisiejszych i przy obecnym poziomie zużycia mogą jeszcze wystarczyć na około 100 lat.

Wyjazd do Francji był dla mnie pierwszym zetknięciem się z Zachodem. Jak jeden z moich francuskich kolegów zauważył – byłem „*ébloui*” (ośniony). Ośniony byłem przede wszystkim przepiękną Prowansją, którą dość dobrze poznałem. W ośrodku Cadarache byłem pierwszym Polakiem zza żelaznej kurtyny i budziłem spore zainteresowanie.

Udało mi się dostać bardzo tanie noclegi w barakach, położonych tuż za płotem chroniącym ośrodek jądrowy od intruzów. Były one przeznaczone przede wszystkim dla francuskich stażystów uniwersyteckich. Ich towarzystwo i niekończące się rozmowy pomogły mi dobrze opanować ich język wraz z bezcennymi zwrotami w popularnym żargonie *argot*. Z nimi także zwiedzałem Prowansję, oraz maleńką, normalnie dla turystów niedostępną wyspę Riu na Morzu Śródziemnym. Mój pobyt na południu Francji wykorzystałem także na wyjazdy na narty w Alpy francuskie zimą 1969 roku. Było to moje pierwsze i niezapomniane doświadczenie z Alpami, z dobrze zorganizowanym systemem wyciągów i wspinałymi długimi zjazdami. Niezapomniany był wyjazd do parku narodowego Vanoise z noclegiem w schronisku alpejskim na wysokości 2 600 m. Stamtąd wyruszało się przed świtem na podejście na lodowiec 3 200 m, z którego był tylko jeden zjazd. O świcie szczyty zaczynały różowieć – wrażenie do zapamiętania na całe życie.

Niezwykłą przygodą w Cadarache było dla mnie spotkanie z moim wujem – ciotecznym bratem mojej Mamy. Było to kilka tygodni po moim przyjeździe do Francji, po spędzeniu w samotności Świąt Bożego Narodzenia, gdy przy wymianie książek w bibliotece zauważyłem, że pan stojący przede mną nosi polskie nazwisko. Zwróciłem się do niego po francusku. Odpowiedział mi, że nie jest Polakiem, ale w jego zakładzie pracuje mój krajan i wymienił jego nazwisko. Okazało się, że to był mój wuj, o którym wiedziałem, że jakiś czas wcześniej pracował w ośrodku jądrowym w Saclay pod Paryżem. Z wujem, który ostatni raz widział mnie, gdy miałem dwa lata, bo wyjechał latem 1939 r. na wycieczkę do USA polskim statkiem M.S. „Piłsudski” i już nie mógł powrócić, szybko przeszliśmy na „ty” i się zaprzyjaźniliśmy. Później podczas mojego stażu bywałem w domu wujostwa wielokrotnie, a oni w tamtym czasie, na skutek mojej namowy, odwiedzili Polskę pierwszy raz po wojnie. Wuj był zasłużonym weteranem francuskiego ruchu oporu podczas II Wojny Światowej, miał uroczą żonę poznaną w tymże ruchu i mieszkał razem z nią i z 8-letnią córeczką w Aix-en-Provence. Miał on dwie pasje: fotografowanie i szybką jazdę samochodem. Ta druga pasja niestety skończyła się tragicznie. Trzy miesiące po moim powrocie do Polski dostałem wiadomość, że zginął wracając z pracy drogą, którą znał w najdrobniejszych szczegółach. Tego dnia naprawiano asfalt na jednym z zakrętów, a następnie posypano go piaskiem.

Uruchomiony kilka lat po moim powrocie z Francji reaktor PHENIX pracował jeszcze do niedawna, ale używany był już tylko do celów eksperymentalnych – „wypalania”, czyli transmutacji wysokoaktywnych i długożyciowych izotopów zawartych w wyeksploatowanym paliwie jądrowym. Jest to jeden z możliwych sposobów radzenia sobie w przyszłości z problemem wypalonego paliwa.

Korzyści ze stażu we Francji mogę skwitować stwierdzeniem, że wracając mówiłem po francusku nie gorzej niż po polsku. Bardzo mi się to przydało, ale dopiero kilka lat później, ponieważ w Polsce powróciłem do dawnych zadań. Moja nabyta we Francji wiedza nie znajdowała u nas zapotrzebowania. W pamięci pozostało za to wiele z tego, co udało mi się we Francji zwiedzić i przeżyć, oraz z rozmów z ludźmi. Przez wiele lat utrzymywałem potem kontakt listowy z niektórymi kolegami z Cadarache.

Ciekawym wydarzeniem był dla mnie krótki wyjazd na początku lat 70. do elektrowni jądrowej w ZSRS. Szczególnie utkwiała mi w pamięci jazda z Moskwy na południe koedukacyjnym (sic!) wagonem sypialnym oraz przejazd świeżo pomalowanymi od frontu ulicami Nowo-Woroneża, bo miał się pojawić z wizytą Fidel Castro. Było nas tam paru kolegów z IBJ, a naszym zadaniem było podłączenie opracowanego w naszym instytucie systemu do pomiaru strumienia neutronów w wyłączonym reaktorze i we

wczesnej fazie jego rozruchu. Układ sterowania i kontroli tych reaktorów nie był wtedy wyposażony w taką aparaturę. Na koniec pobytu odbyło się oczywiście godne, choć nieoficjalne, pożegnanie. Przyszło do nas kilku pracowników ze strony gospodarzy oraz ich szef, który wyciągnął z kieszeni spodni zawiniętą w gazetę butelkę. My mieliśmy podobną, bo w owych czasach najlepiej zaopatrzeni w spirytus byli aptekarze i elektrycy. Ci ostatni, tj. my, używaliśmy go do przemywania styków. Po degustacji obu spirytusów szef ze strony rosyjskiej powiedział nam komplement: - Wasz spirit mjaęcze. No krjepcze!

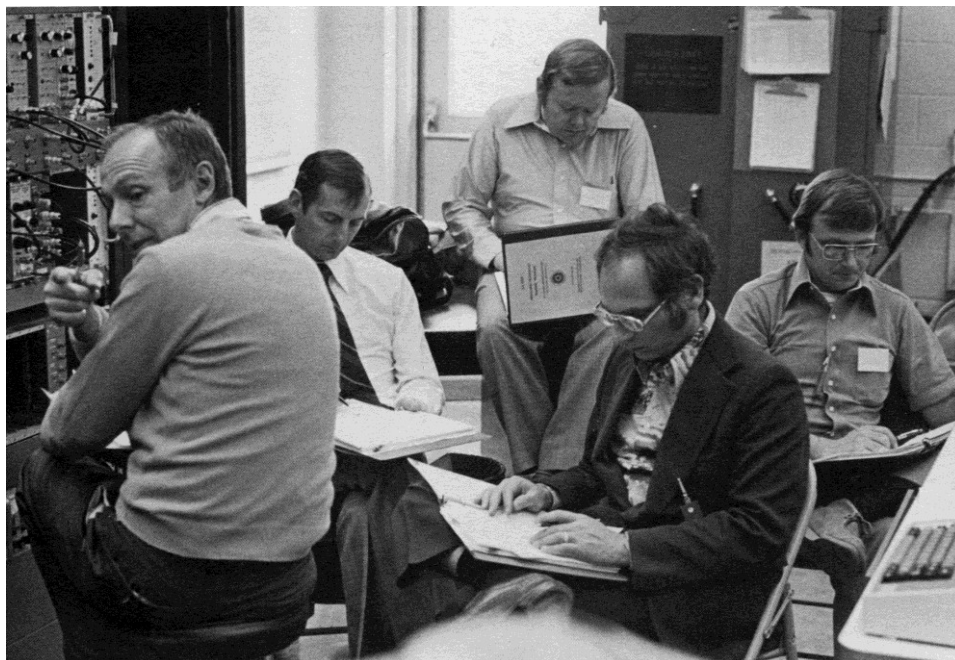
Opracowana przeze mnie i moich kolegów z IBJ aparatura była wykorzystywana do sterowania reaktora MARIA przez ponad 20 lat. Skonstruowałem także inną aparaturę, tzw. zabezpieczenie mocy maksymalnej typu *fail safe* (tj. zgodnie z zasadą bezpiecznego uszkodzenia), służące do automatycznego wyłączenia reaktora za pomocą sygnałów z komór jonizacyjnych, w przypadku gdy z jakichś względów jego moc wzrosłaby powyżej poziomu dopuszczalnego. Został w niej zastosowany wzmacniacz magnetyczny drugiej harmonicznej sterowany prądem z tej samej komory jonizacyjnej, co aparatura, o której pisałem wcześniej. Na urządzenie to otrzymałem patent w 1969 r. Był on jednym z trzech patentów uzyskanych w trakcie mojej pracy w IBJ.

W marcu 1975 r. wyjechałem do pracy w tzw. Sekretariacie MAEA. Organizacja ta, należąca do systemu ONZ, ale w znacznym stopniu niezależna, miała (i ma nadal) profil przede wszystkim techniczny. Jej utworzenie było pokłosiem słynnej konferencji genewskiej zorganizowanej z inicjatywy USA w 1954 r., znanej pod nazwą „Atoms for Peace”. Na wyjazd ten zostałem wytypowany przez nasz Urząd Energii Atomowej w związku z rozbudową Departamentu Zabezpieczeń MAEA, niezbędną do wdrażania postanowień Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT). Układ ten wszedł w życie w 1970 r., po jego ratyfikacji w 1969 r. m.in. przez Polskę. Możliwość tego wyjazdu na dwuletni kontrakt, z perspektywą przedłużenia o kolejne 2 lata, spadła na mnie nieoczekiwanie. Niedługo potem dołączyła żona z synami w wieku 10 i 5 lat. Byliśmy wtedy mocno zadłużeni po przeprowadzeniu się latem 1974 r. do spółdzielczego mieszkania na Stegnach, a praca w MAEA stwarzała szansę by stanąć finansowo na nogach.

Moje nowe zadania potraktowałem poważnie, co zostało zauważone. Ponieważ władze polskie normalnie nie godziły się na zatrudnianie swoich obywateli za granicą dłużej niż przez 4 lata, mój kontrakt w MAEA był przedłużany z rosnącymi trudnościami. O zgodę Rządu PRL na przedłużenie mojego zatrudnienia w MAEA prosił podczas swojej oficjalnej wizyty w Warszawie ówczesny Dyrektor Generalny MAEA prof. Siegvard Eklund ze Szwecji. W znacznej mierze właśnie jemu zawdzięczam

możliwość wielu lat pracy w tej organizacji. Sprzyjającą mi okolicznością było to, że w 1976 r., po długo trwających negocjacjach, Europejska Wspólnota Energii Atomowej (EURATOM), włączona dziś w koncept Unii Europejskiej, oraz poszczególne kraje do niej należące, zawarły odpowiednie wymagane przez NPT umowy trójstronne z MAEA. Zaczynał się etap wdrażania ich w życie, polegający na negocjacjach szczegółów wykonawczych i pierwszych inspekcjach. Mojemu udziałowi w tych działaniach, rozpoczętemu po odbyciu w ciągu pierwszych dwóch lat pracy siedmiu inspekcji w Kanadzie i kilku szkoleniowych wizyt w USA, zawdzięczam także mój dwukrotny awans w strukturze personalnej MAEA. Począwszy od wiosny 1977 r. w zakres moich obowiązków weszły częste wizyty w biurze EURATOM'u w Luksemburgu oraz wizyty i inspekcje w obiektach jądrowych w Belgii, Holandii, Niemczech, Francji i we Włoszech. Z moim ostatnim awansem w MAEA połączone było przejście w 1981 r. do Sekcji Studiów Systemów, w której zajmowałem się głównie (oprócz sporadycznych inspekcji) pracą koncepcyjną związaną z funkcjonowaniem systemu zabezpieczeń MAEA.

Jednym z pierwszych ciekawych doświadczeń z pracy w MAEA były moje szkolenia odbyte w USA listopadzie 1976 r. i w maju 1977 r. w Los Alamos Scientific Laboratory w stanie nowy Meksyk. Dotyczyły one wykorzystania metod badań nieniszczących, opartych na spektroskopii promieniowania gamma, do kontroli materiałów jądrowych.



Autor (drugi od lewej) w trakcie szkolenia
w Los Alamos Scientific Laboratory w maju 1977 r.

Wyjazd w listopadzie omal mnie nie ominął, bowiem wizę USA otrzymałem w przeddzień, późno wieczorem. Tegoż dnia, a był to piątek po pracy, odbywało się w Agencji jakieś party podczas którego zagadnął mnie pracujący w MAEA starszy rangą Amerykanin polskiego pochodzenia, mówiąc „to jutro lecisz do Los Alamos?” Odpowiedziałem, że nie, bo choć mam bilet na samolot, to dotąd nie nadeszła wiza. Kazał mi nie wychodzić i poszedł gdzieś telefonować. Po jakimś czasie wrócił i powiedział, że mam pojechać z paszportem do ambasady amerykańskiej o godzinie 22:00. Tak zrobiłem, ambasada była zamknięta, ale był pracownik, który mnie wpuścił i załatwił sprawę. Byłem prawie w szoku, że udało się to w taki sposób załatwić, ale skoro polskim brzmieniem nazwiska mojego rozmówcy było Waligóra... W sobotę rano poleciałem, a już na miejscu w Los Alamos sekretarka szefa oddziału Laboratorium zwróciła się do mnie słowami: - przepraszam, że pytam, ale pan pochodzi z bloku komunistycznego więc musimy zanotować jaką trasę pan do nas dojechał. Odpowiedziałem, że przyjechałem z Wiednia do Albuquerque, gdzie wynająłem samochód i przyjechałem szosą numer taki i taki. I to było wszystko. Muszę dodać, że Los Alamos Scientific Laboratory jest miejscem, w którym w czasie II Wojny Światowej zbudowano bombę atomową i w którym nadal były prowadzone prace o charakterze tajnym.

W Los Alamos poznałem wówczas Polaka, nota bene w pewien sposób spowinowaconego z moją rodziną, który był współwłaścicielem małego samolotu typu Cessna. Zaproponował mi, że będzie właśnie leciał do Albuquerque i chętnie mnie zabierze przed moim wylotem powrotnym do Europy. Zabrałem więc jeszcze moją koleżkę Japończyka i poleciliśmy podziwiając po drodze niezwykle krajobrazy z głębokim na 300 metrów kanionem Rio Grande, nad którym leży Los Alamos. Duże wrażenie zrobiło na mnie także lądowanie tym maleństwem na normalnym lotnisku, na którym stały wielkie odrzutowce.

Pobyty w Wiedniu pozwolił mi, a także mojej rodzinie, uniknąć bezpośredniego doświadczenia dramatu stanu wojennego wprowadzonego w Polsce 13 grudnia 1981 r. Tutaj codziennie towarzyszył nam jednak niepokój o losy naszego kraju i ludzi. Będąc w Wiedniu odczuwałem tylko upokorzenie, gdy polskie władze zabrały nam, pracownikom organizacji międzynarodowych, polskie paszporty. Przez pewien czas przed każdym wyjazdem służbowym z ramienia MAEA, a było ich dużo, musiałem pobierać mój polski paszport z ambasady ... przez płot. Austriacki policjant z budki przed ambasadą miał uciechę obserwując tę procedurę. Tak się wtedy obawiano, że ktoś niepowołany może się do ambasady wdrzeć. No, ale przynajmniej był to przykład równego traktowania wszystkich polskich obywateli, bez względu na ich status.

Moje zatrudnienie w MAEA trwało do końca czerwca 1984r., kiedy wróciliśmy całą rodziną do Polski. W latach 1985 – 1991 wyjeżdżałem często do MAEA, zarówno na jej zaproszenia w charakterze konsultanta lub eksperta, w tym także przewodniczącego (w maju 1991 r.), na różne spotkania grup konsultacyjnych i komitetów doradczych MAEA, jak też i w ramach moich zadań służbowych w Polsce. Po kilku latach znów tam wróciłem do pracy.

W grudniu 1991 r., dzięki sugestii mojego ówczesnego szefa prof. Romana Żelaznego, Prezesa Państwowej Agencji Atomistyki, ponownie wyjechałem do pracy w Sekretariacie MAEA. Także i tym razem żona dołączyła do mnie nieco później. Zostałem kierownikiem zespołu inspektorów w Sekcji Euratomu i sam brałem udział w inspekcjach w Niemczech, Belgii, Holandii, Hiszpanii, Włoszech, Portugalii, Szwecji i Irlandii. Wyjątkiem był półtoraroczny okres w latach 1994 -1996, kiedy to pełniłem taką samą funkcję w Sekcji Europy Wschodniej zajmując się przygotowaniem do rozpoczęcia kontroli MAEA na Białorusi i w Kazachstanie oraz biorąc udział w pierwszych inspekcjach w tych krajach. Było to dla mnie nowe doświadczenie jeśli chodzi o warunki pracy i podróży, oraz kontakty z miejscowymi ludźmi.

Pod koniec zatrudnienia w MAEA, na początku lutego 1998 r. zostałem przeniesiony do pracy dotyczącej analiz całokształtu działalności jądrowej określonych państw. Niezwykle ciekawym obiektem moich badań był ponownie Kazachstan. W latach 1992 - 1997 pełniłem także, z ramienia Dyrektora Generalnego MAEA, społeczną funkcję zastępcy członka zespołu, który zajmował się rozpatrywaniem różnych skarg pracowników lub byłych pracowników Sekretariatu MAEA.

Po zakończeniu w 1999 r. pracy w MAEA na etacie, powracałem jeszcze do niej dwukrotnie, do końca listopada 2000 r., w charakterze konsultanta w ramach kontraktów specjalnych. Miało to związek z prowadzoną w Kazachstanie operacją zabezpieczenia wypalonego paliwa w reaktorze na neutronach prędkich BN-350 w Aktau (dawniej Szewczenko) nad Morzem Kaspijskim. Głównym inicjatorem tych działań, a także stroną je finansującą, były Stany Zjednoczone obawiające się, że niewielka odległość do granicy Iranu drogą morską mogłaby na jakimś etapie spowodować, że paliwo wyładowane z tego reaktora trafi w niepowołane ręce. Troska ta wynikała z faktu, że skład izotopowy wytworzonego w nim plutonu kwalifikuje go jako materiał rozszczepialny do jądrowych ładunków wybuchowych.

W latach 2001 – 2002, będąc już w Polsce, byłem jeszcze zapraszany, jako wykładowca tej Agencji w Rumunii (szkolenie kadry menedżerskiej w problematyce dotyczącej zabezpieczeń), oraz jako szef delegacji MAEA na rozmowy na szczeblu kierowniczym dotyczące oceny działania i potrzeb

krajowych systemów zabezpieczeń materiałów jądrowych na Ukrainie, a następnie w Kazachstanie.

Moja przygoda z Kazachstanem zasługuje na kilka komentarzy. Jest to kraj, który jak wiemy, uzyskał niepodległość po rozpadzie ZSRS. Następstwem tego były wielkie zmiany w jego profilu jądrowym. W 1991 r. Rosja oddała Kazachom poligon jądrowy Semipalatyńsk o powierzchni około 18,5 tys. km², na którym wykonano ponad 500 próbnich eksplozji jądrowych, z czego 113 w powietrzu – do czasu wejścia w życie w 1963 r. porozumienia o zakazie prób jądrowych w atmosferze. Podczas jednej z moich wizyt w tym kraju w 1995 r. miałem okazję znaleźć się w punkcie eksplozji pierwszej sowieckiej bomby atomowej, która miała miejsce w 1949 r., z także – jako pierwszy z lewej - na załączonej fotografii przy rozbitym żelbetonowym schronie.



Autor (pierwszy po lewej stronie) na tle rozbitego bunkra na poligonie atomowym Semipalatyńska z inspektorami MAEA i dyrektorem departamentu w Agencji Energii Atomowej Kazachstanu, 1995 r.

Z ust jednego z ówczesnych dyrektorów departamentu Agencji Energii Atomowej Kazachstanu wysłuchałem wówczas dramatycznych informacji o losach ludności jednej z nieewakuowanych wiosek. Rodziło się tam potem wiele dzieci, których zniekształcone ciała stały się eksponatami medycznymi. Traf chciał, że dziesięć lat później, będąc służbowo w Luksemburgu wiosną 2006 r., czyli w XX rocznicę katastrofy w Czarnobylu, zobaczyłem na głównej ulicy miasta przypominające o niej wielkie plakaty Greenpeace. Na plakatach tych pokazano zniekształcone

plody z Semipalatyńska. Podobno cel uświęca środki, lecz i z samym celem – straszaniem elektrowniami jądrowymi - się nie zgadzam. Nota bene, teren elektrowni jądrowej w Czarnobylu, a także wyludnione i zarastające chwastami pobliskie miasto Pripjat', miałem okazję odwiedzić dwa lata po katastrofie towarzysząc latem 1988 r. Prezesowi Państwowej Agencji Atomistyki. Widok był opłakany, co nie uzasadnia jednak wykorzystywania tej katastrofy do zwalczania budowy elektrowni jądrowych stosujących bezpieczne reaktory.

Na ściśle chronionym w czasach ZSRS terytorium poligonu jądrowego w Kazachstanie znajdował się też, niegdyś tajny, oddział instytutu zlokalizowanego w Semipalatyńsku, jednego z miast oznaczanych dawniej jedynie numerem pocztowym („pocztowyj jaszczik”). W samym miasteczku można było podziwiać m.in. dawną willę Laurentija Berii, który osobiście na miejscu pilnował tworzenia i testowania sowieckiej broni jądrowej. Odwiedzając podczas któregoś z pobytów w tym kraju księgarnie natrafiłem na książkę rosyjskiego fizyka Stanisława Piestowa pt. „Bomba. Sekrety i pasje atomowego piekła” (w dosłownym tłumaczeniu na jęz. polski). Autor przedstawił w niej obszernie proces i okoliczności, które doprowadziły do zbudowania sowieckiej bomby atomowej, oraz doniosły wkład w to osiągnięcie wywiadu ZSRS w USA i Anglii. Po udanej próbie na poligonie w Semipalatyńsku miano się zapytać Berii, kogo i w jakiej kolejności należy w związku z tym sukcesem nagrodzić. Odpowiedź miała brzmieć: - zobaczcie kto był na liście do rozstrzelania w przypadku próby nieudanej. Jeden z moich rosyjskich kolegów w Wiedniu, któremu dałem tę książkę do przeczytania, był nią wyraźnie zdegustowany. Chcąc mi dać, jego zdaniem, prawdziwy obraz sprawy, pożyczył mi książkę na ten sam temat napisaną przez, jak się później dowiedziałem, ówczesnego generała NKWD. Niedawno przeczytałem, że tenże generał przygotowywał z polecenia Stalina likwidację prof. Kapicy, słynnego uczonego, który nie chciał się włączyć w prace nad budową bomby. Plany tej zbrodni zostały jednak zaniechane.

Oprócz obiektów na terenie niedawnego poligonu jądrowego, były w Kazachstanie także inne obiekty jądrowe: zakład w Ust-Kamenogorsku nad rzeką Irtysz, wytwarzający pastylki paliwowe do reaktorów energetycznych rosyjskiej konstrukcji, energetyczny reaktor na neutronach prędkich BN-350 w Aktau, o którym wspomniałem wcześniej, oraz Instytut Badań Jądrowych w pobliżu ówczesnej stolicy Alma-Ata (obecnie stolicą jest Astana). W pierwszych dwóch obiektach przyszło mi spędzić wiele czasu i ... zamordować nocami wiele komarów, zwłaszcza w Ust-Kamenogorsku. Jak wyczytałem w miejscowej gazecie, komary spełniają pozytywną rolę bowiem użyźniają step.

Warunki pracy w Kazachstanie były dalekie od komfortowych, ale ludzie na ogół byli bardzo przyjaźni. Wyższe stanowiska w obiektach jądrowych zajmowali w większości Rosjanie, którzy postanowili nie wyjeżdżać do Rosji. Jeden z nich, z którym we trzech, z moim japońskim szefem z MAEA opowiadaliśmy sobie pewnego wieczoru w knajpie kawały, został w 2014 r. wicepremierem, a do niedawna był szefem Kazatomprom'u, koncernu, który w tym samym roku dostarczył na rynek ponad jedną trzecią światowej produkcji uranu. Nigdy nie zapomnę gościnności, z którą się w Kazachstanie spotkałem, ale tej gościnności oficjalnej. Będąc w Aktau z oficjalną wizytą w kombinacie energetycznym, do którego należał reaktor BN-350, jako szef delegacji MAEA musiałem sprostać panującym obyczajom przy oficjalnej kolacji. Przy długim stole zasiadło około 25 osób z członkami dyrekcji kombinatu włącznie, a odstęp czasowy między kolejnymi toastami był parominutowy. Tylko na zakąszenie. Po każdym toaście ze strony dyrekcji oczy obecnych kierowały się w moją stronę i nie można było zbytnio zwlekać z kolejnym toastem. Udało się to jakoś przeżyć, ale było to jedno z najtrudniejszych wyzwań w czasie całej mojej pracy w MAEA.

Osobliwe wspomnienia dotyczą lokalnych warunków podróży w Kazachstanie. Długie oczekiwanie na odprawy paszportowe i celne po przylocie w środku nocy, mimo posiadanego paszportu dyplomatycznego i ONZ, w okresie moich podróży w latach 1995 – 96, oraz przeloty lokalne samolotami niebudzącymi zaufania. Pewnego razu przeczytałem na pierwszej stronie rozdawanej w samolocie rosyjskojęzycznej gazety o nazwie, nomen omen, „Karawan”, o posiedzeniu rządu w sprawie katastrofalnego stanu bezpieczeństwa w lotnictwie cywilnym. Potem podczas jednego z lotów samolotem Tu-154 z Alma-Aty do Aktau (odległość 2 800 km) dziwiłem się, że lecimy dziwnie nisko i wolno. W końcu posadzono nas bez słowa na lotnisku w Szymkencie, po pokonaniu mniej niż jednej trzeciej trasy. Okazało się, że samolot miał rozszczerzone luki bagażowe, a ponadto istniała obawa, że zabraknie paliwa. Z tym drugim była trudna sprawa: załoga była przygotowana na zapłacenie za paliwo czekami, a na ziemi żądano gotówki. Po jakimś czasie, jak już pasażerowie dobrze zmarzli w nieogrzewanym budynku lotniska, jakoś udało się to paliwo dostać i poleciliśmy dalej. Podczas lotów z Almaty do Aktau podziwiałem skutki „wielkich dzieł” minionej epoki w postaci wysychającego Morza Aralskiego i rdzewiejących szkieletów statków opuszczonych pośród piasków byłego dna morskiego. Moi kazachscy koledzy opowiedzieli mi też o niesamowitym projekcie, który swojego czasu narodził się w uczonych głowach w Moskwie, jak przywrócić to morze życiu. Był to pomysł stopienia wielkiego lodowca

w górach Tien-Szan za pomocą ładunku nuklearnego i skierowania wód na północny zachód.

Moje wyjazdy służbowe w obu okresach zatrudnienia w MAEA dotyczyły przede wszystkim inspekcji w obiektach jądrowych. Raz jednak trafił mi się wyjazd nietypowy. Zaproponowano mi współprzewodniczenie jednej z sekcji konferencji organizowanej w Albuquerque w stanie Nowy Meksyk (USA) we wrześniu 1998 r., której współorganizatorami były amerykański Institute for Nuclear Materials Management oraz europejska European Safeguards Research & Development Association (ESARDA). W ramach tej sesji były prezentowane referaty dotyczące komputerowych sposobów selekcji użytecznych informacji z pośród wielkiej ilości informacji dostępnych. Obrady toczyły się w Hotelu Marriott, w którym temperatura nie przekraczała 16 st. C, podczas gdy na zewnątrz był 30-stopniowy upał. Pamiętam jak mój kolega z Finlandii na początku swojego wystąpienia w części plenarnej porównał w związku z tym swój kraj z USA mówiąc, że w Finlandii jest odwrotnie bowiem zimno jest na zewnątrz.

Rzadko w moich podróżach służbowych z ramienia MAEA towarzyszyła mi żona, ale wizyta w Albuquerque była wyjątkową okazją i poleciliśmy razem. Po chyba trzech dniach konferencji, łącząc wyjazd służbowy z urlopem, wynająłem samochód i pojechaliśmy w daleką, tygodniową podróż przez trzy stany – Nowy Meksyk, Arizonę i Utah. Zwiedziliśmy m.in. Grand Canyon, Zion Canyon i Bryce Canyon, oraz sporo innych ciekawych miejsc, tylko z rzadka spotykając po drodze jakieś samochody na liczącej około 3 500 km trasie naszego przejazdu.



Podziwiając zalany słońcem Grand Canyon we wrześniu 1998 r.

Pracując w Sekretariacie MAEA mogłem się przekonać, że była to oaza dobrej współpracy między wieloma państwami, pomimo różnic ideologicznych i doświadczeń historycznych. Miałem także okazję poznania i zaprzyjaźnienia się z ludźmi wielu narodowości. Dotyczyło to także krajów, które służbowo odwiedzałem, a szczególnie Belgii, do której często latałem. Nie sposób o wszystkich opowiedzieć, ale wspomnę o jednym koledze. W 1997 r. w czasie jednej z takich podróży towarzyszyła mi żona, z którą zwiedziliśmy Antwerpię z jej Muzeum Sztuk Pięknych, gdzie podziwialiśmy m.in. nieznane nam wcześniej dzieła belgijskich impresjonistów. Wspomniałem o tym pracownikowi belgijskiemu, z którym się kontaktowałem odwiedzając w Dessel zakład wytwarzający paliwo reaktorowe. Jakiś czas później przyjechał on służbowo do Wiednia i odwiedził mnie przynosząc ważący 3,5 kg album malarstwa belgijskiego, który zabrał w podróż samolotem. Pozostawałem z nim dłuższy czas w kontakcie korespondencyjnym już po powrocie do Polski, gdzie po kilku latach odwiedził nas z żoną. Zachwycali się wtedy oboje czystością Warszawy. Do wizyty przygotowali się starannie jeszcze w Belgii, gdzie kupili obszerny przewodnik. Jednym z pierwszych miejsc, które chcieli odwiedzić, był teren dawnego getta i pomnik jego obrońców. O Powstaniu Warszawskim 1944 r. nic jeszcze nie wiedzieli. Oboje byli ludźmi wierzącymi, o poważnym stosunku do życia. Mając jedno dziecko, zaadoptowali drugie – murzyńskie dziecko z Konga. Mój znajomy w młodości pracował kilka lat w ówczesnym Kongo Belgijskim, widział jak lokalna ludność była wykorzystywana i postanowił na miarę swoich możliwości spłacić dług.

Lata spędzone w Austrii znacznie ułatwiły mojej żonie i mnie poznanie przede wszystkim Europy Zachodniej z jej zabytkami i atrakcjami turystycznymi. Jednak najwięcej wolnego czasu spędziliśmy na wędrownkach po górach i jeździe na nartach. Sama Austria jest pod tym względem miejscem wymarzonym, ale niedaleko jest także rejon Górnej Adygi we Włoszech ze słynnymi Dolomitami. Byliśmy tam, z inicjatywy naszych amerykańskich przyjaciół, po raz pierwszy na nartach zimą 1998 r. w rejonie masywu Sella i słynnej Passo Gardena. Wielką atrakcją tego masywu jest, dzięki odpowiedniemu usytuowaniu wyciągów, możliwość objechania go na nartach dookoła w obie strony. W każdym kierunku około 30 km zjazdów. Już po ostatecznym powrocie do Polski z końcem 2000 r. regularnie wracaliśmy latem i zimą w Alpy. Ale jazda na nartach skończyła się w 2006 r., gdy już po raz drugi moja żona została najechna przez kiepskiego narciarza i to nawet ze skutkami szpitalnymi. Kontynuowaliśmy jednak wrześniowe wyprawy w Dolomity.



We włoskich Dolomitach, w pobliżu Corvary, we wrześniu 2008 r.

Czas jednak opowiedzieć więcej o mojej pracy w Polsce. Po powrocie z Wiednia w 1984 r. nie było już po co wracać do pracy w Świerku. W październiku 1984 r. zostałem zatrudniony w niedawno utworzonej Państwowej Agencji Atomistyki, jako główny specjalista w Zespole Nauki i Bezpieczeństwa Jądrowego. Miałem wtedy okazję po raz pierwszy pojawić się w Sejmie, ponieważ dyskutowane było pierwsze w Polsce Prawo atomowe. Moja praca dotyczyła początkowo całokształtu spraw związanych z funkcjonowaniem krajowego systemu ewidencji i kontroli materiałów jądrowych oraz ochrony fizycznej tych materiałów. Od 1985 r. realizowałem odpowiedzialne zadania dotyczące współpracy Polski z MAEA. W latach 1985 i 1990 brałem udział, jako członek delegacji polskiej, w dwóch konferencjach w Genewie dotyczących Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Przez okres około 1,5 roku pełniłem w PAA obowiązki dyrektora Departamentu Współpracy z Zagranicą, ale poznawszy bliżej różne aspekty działania na tym stanowisku w sierpniu 1988 r. złożyłem rezygnację, wyrażając zgodę na objęcie stanowiska Doradcy Prezesa. Nigdy nie zapomnę dobrej rady mojego starszego kolegi, dra Tadeusza Wójcika, wówczas szefa Biura Dyrektora generalnego MAEA, który w związku z moim powrotem w 1984 r. do pracy w Polsce, posłużył się w tym celu starym chińskim przysłowiem: „mądrość jest jak woda – wybiera niskie miejsca”.



Autor (pierwszy po lewej stronie) obecny przy podpisywaniu w siedzibie MAEA w Wiedniu porozumienia z USA o współpracy w dziedzinie atomowej, 1991 r.

W październiku 1989 r. nastąpiła zmiana na stanowisku szefa Państwowej Agencji Atomistyki. Nowym jej Prezesem został prof. Roman Żelazny z Instytutu w Świerku.

Moja współpraca z nim, jako jego doradcy, układała się doskonale. W latach 1990 – 1991 pełniłem funkcję zastępcy Przedstawiciela Polski w Radzie Zarządzających MAEA. W tym okresie przygotowałem też Umowę polsko-amerykańską o współpracy w dziedzinie atomowej, podpisaną w 1991r. w mojej obecności przez Prezesa i przez Ambasadora USA przy organizacjach międzynarodowych w Wiedniu. Fakt ten ukazuje załączone zdjęcie.

Inicjowałem i wykonywałem także działania mające na celu uzupełnienie niektórych luk prawnych i organizacyjnych dotyczących szczebla państwowego. W tym celu w 1990-91r. przygotowałem specjalne opracowanie pt. „Uregulowania w kwestii importu i eksportu jądrowego”, które zostało skierowane do odpowiednich ministrów. Wyjaśniało ono przede wszystkim międzynarodowe zobowiązania Polski w tym zakresie. Spowodowało to włączenie Państwowej Agencji Atomistyki, oraz wydelegowanie mnie jako jej przedstawiciela, do prac w Międzyresortowej Komisji ds. licencjonowania eksportu i importu towarów i technologii podlegających międzynarodowej kontroli, powołanej przy ówczesnym Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą.

Prof. Żelazny był Prezesem PAA w okresie, gdy ważyły się losy budowanej elektrowni jądrowej Żarnowiec, co skłoniło go do podjęcia aktywnych działań z nadzieją, że uda mu się powstrzymać groźbę zaniechania tej budowy. Jako jego doradca także ja brałem w tym czynny udział. Dotyczyło to m.in. rozmów prowadzonych w 1998 r. na szczeblach rządowych, a także w Komisji Europejskiej w Brukseli. Różne środowiska wywierały jednak tak silną presję w kierunku wymuszenia rezygnacji z tej inwestycji, że działania te nie mogły przynieść efektu i decyzja o zaprzestaniu budowy została podjęta. Za paradoks można tu uznać fakt, że rozpowszechniano różne argumenty podważając bezpieczeństwo pracy przyszłej elektrowni, podczas gdy rzeczywistym problemem był brak pieniędzy i nieprzystosowanie państwa do możliwości zaciągania odpowiednich kredytów z niezbędnymi dla ewentualnego kredytodawcy gwarancjami. Na dodatek w tym czasie spadło znacznie zapotrzebowanie przemysłu na energię elektryczną. Ale przysłowiowym gwoździem do trumny była opinia belgijskiej firmy TRACTABEL, która analizowała (do dziś nie wiem na czyje zaproszenie) bezpieczeństwo budowanego reaktora WWER-440.

Po zakończeniu mojego drugiego okresu zatrudnienia w MAEA powróciłem z początkiem stycznia 2001r. do pracy w Państwowej Agencji Atomistyki (PAA), która przetrwała mimo wycofania się Rządu z budowy EJ w Żarnowcu. Zaproponowałem Prezesowi, którym był wówczas prof. Jerzy Niewodniczański, że mogę się zająć sprawami dotyczącymi przygotowań resortu atomistyki niezbędnych do wejścia Polski do Unii Europejskiej. Zostałem więc Radcą Prezesa ds. integracji europejskiej i koordynatorem przygotowań prowadzonych, w zakresie należącym do kompetencji PAA, w ramach Narodowego Programu Przygotowania Członkostwa (NPPC). Funkcję koordynatora ds. integracji europejskiej pełniłem do wiosny 2004 r. W tym czasie reprezentowałem PAA w kontaktach głównie z Ministerstwem Gospodarki oraz z Urzędem Komitetu Integracji Europejskiej i Ministerstwem Środowiska. Opiniowałem wiele oficjalnych dokumentów oraz przygotowywałem projekty stanowiska polskiego w różnych sprawach dotyczących atomistyki, a także współtworzyłem polskie prawo atomowe. Z tego powodu brałem także udział w posiedzeniach odpowiednich komisji sejmowych.

W ramach mojej pracy musiałem także angażować się w organizowanie tłumaczeń z angielskiego na polski lub odwrotnie znacznej liczby unijnych i polskich aktów prawnych z dziedziny atomowej, a nawet osobiście korygowałem tłumaczenia niektórych dokumentów.

Po przystąpieniu Polski do UE kontynuowałem pracę, jako Radca Prezesa już wyłącznie w charakterze eksperta, w tym jako przedstawiciel w Grupie Roboczej ds. Problemów Atomowych Rady Unii Europejskiej.

Grupa ta stanowi forum, na którym uzgadnia się nowe akty prawa unijnego w dziedzinie atomowej. Byłem także członkiem Komitetu Doradczego Agencji Dostaw Euratomu, kontynuując to członkostwo do 2011 r.

Po przejściu na emeryturę w 2006 r. zająłem się poszerzaniem mojej wiedzy w obszernej problematyce jądrowego cyklu paliwowego, z którą miałem okazję zetknąć się jeszcze w trakcie mojej pracy w MAEA. Miało to pewien związek z moim członkostwem we wspomnianym wyżej Komitecie Doradczym. Zagadnienia te nie tylko bardzo mnie interesowały, ale również byłem świadomy, że moja wiedza w tej dziedzinie może okazać się przydatna, przynajmniej w pierwszych latach przygotowań do uruchomienia w Polsce programu budowy energetyki jądrowej. Tak się też stało.

Zająłem się działalnością informacyjną, popularyzatorską i szkoleniową. Jej tematyka dotyczyła początkowo głównie regulacji prawnych na poziomie Unii Europejskiej, a następnie zagadnień dotyczących jądrowego cyklu paliwowego oraz światowych zasobów surowcowych niezbędnych do wytwarzania paliwa jądrowego. Efektem tej pracy były artykuły popularno-naukowe i kilka wystąpień publicznych. Na mój artykuł, opublikowany w 2007 r. w kwartalniku Postępy Techniki Jądrowej zatytułowany „Bezpieczeństwo dostaw paliwa jądrowego dla elektrowni jądrowych w Unii Europejskiej”, powołano się w Programie Polskiej Energetyki Jądrowej, który został przyjęty przez Rząd RP w styczniu 2014 r.

W 2009 r. zostałem mianowany przez wiceprezesa Rady Ministrów – Ministra Gospodarki członkiem 10-osobowego Społecznego Zespołu Doradców przy Pełnomocniku Rządu ds. Polskiej Energetyki Jądrowej. W ramach tego zespołu do czerwca 2011 r. opiniowałem różne dokumenty, m.in. założenia do projektu ustawy o energetyce jądrowej, oraz działałem jako ekspert przy zespole opracowującym Krajowy Plan Postępowania z Odpadami Promieniotwórczymi i Wypalonym Paliwem Jądrowym. W latach 2011 – 2012 prowadziłem także kilkakrotnie wykłady na temat jądrowego cyklu paliwowego na kursach zorganizowanych przez Narodowe Centrum Badań Jądrowych (NCBJ) w Świerku dla pracowników Polskiej Grupy Energetycznej.

W 2010 r. prof. Andrzej Chmielewski, dyrektor Instytutu Chemii i Techniki Jądrowej (IChTJ) na Żeraniu, zaproponował mi włączenie się do wspólnej pracy w ramach tzw. sieciowego programu badawczego. W efekcie, w okresie 2011-2014 realizowałem usługę naukowo-badawczą nt. „Śledzenie i analiza sytuacji na światowym rynku uranu i usług jądrowego cyklu paliwowego z punktu widzenia ich podaży, cen i dostępności dla potrzeb polskiej energetyki jądrowej”. Stanowiła ona część zadania badawczego dotyczącego kwestii zabezpieczenia potrzeb paliwowych polskiej energetyki jądrowej i realizowanego w ramach

strategicznego programu badawczego finansowanego przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Kończąc relacje związane z moją działalnością zawodową nie mogę nie wspomnieć o miłym gościu Prezesa PAA, prof. Jerzego Niewodniczańskiego, który podziękował mi za moją pracę i wręczył piękne pismo zawierające wyrazy uznania z powodu „nieocenionego wkładu” oraz ciepłe życzenia, które zaczynało się słowami „w związku z decyzją Pana o zakończeniu pracy zawodowej...”. No cóż, zakończyłem pracę zawodową, ale tylko tę na państwowym etacie.

Muszę jeszcze wspomnieć o jednym zdarzeniu. Począwszy od 2003 r., zaczęto mówić na świecie o „renesansie energetyki jądrowej” i pojawiło się w niektórych wyższych uczelniach w Polsce zainteresowanie otwarciem nowych kierunków studiów. W listopadzie 2006 roku, na prośbę rektora Prywatnej Wyższej Szkoły Biznesu i Administracji w Warszawie, który zamierzał włączyć tematykę jądrową do programu uczelni, przygotowałem grzecznościowo propozycje programu seminariów, które miały zapoznać z nią jej senat. Po pierwszym wykładzie p.t. „Dlaczego Polsce potrzebne będą elektrownie jądrowe?”, wygłoszonym przez zaproponowanego przeze mnie eksperta, nie miałem już więcej kontaktu z tą uczelnią.

Ogląd przeszłości dzisiaj

Próbując podsumować moją 56-letnią działalność zawodową muszę stwierdzić, że idąc na studia, a nawet wtedy, gdy je już kończyłem, byłem życiowo bardzo niedoświadczony, ale za to ambitny. Ciągnęło mnie do pracy, która była jakimś wyzwaniem, ale która także mogła być obiecująca pod względem materialnym. W rezultacie zajmowałem się w życiu różnorodną tematyką, nawet praktycznie zmieniając zawód. Najbardziej odpowiadała mi rola eksperta.

Patrząc z perspektywy dzisiejszych czasów i trudności napotykanych przez wielu w poszukiwaniu godziwej pracy, również przez tych posiadających wysokie kwalifikacje, muszę przyznać, że życie oszczędziło mi sporo problemów. Oczywiście były inne, jak to w życiu bywa. Podobnie jak inne były czasy naszej młodości i warunki życia we wcześniejszych latach.

W całym życiu przyszło mi współpracować z wieloma osobami, z których większość należała do różnych narodowości. Było to dobrą lekcją współżycia z ludźmi o innych poglądach i przyzwyczajeniach i pozbywania się uprzedzeń, chociaż takich raczej wcześniej wiele nie miałem. Co ciekawe, z reguły z bardzo dobrym stosunkiem do mnie spotykałem się ze strony moich kolegów niemieckich, najpierw w czasie stażu w Cadarache we Francji, a potem w pracy w MAEA oraz podczas moich inspekcji na

terenie Niemiec. Dotyczyło to jednak także kolegów innych narodowości, szczególnie Amerykanów, Anglików, Belgów, Francuzów, Japończyków czy Rosjan. Pracy w MAEA poświęciłem w sumie 18 lat mojej działalności zawodowej. Przez te wszystkie lata zapisałem ogromną ilość papieru lub pamięci komputerowej, głównie po polsku i po angielsku. Spora część tego są to oczywiście dokumenty anonimowe.

Moje podsumowanie byłoby niepełne, gdybym nie wspomniał o wielkiej liczbie odbytych podróży służbowych po świecie. Poruszałem się głównie po Europie, a przeloty na większe dystanse dotyczyły Kanady, USA, Kuby i Kazachstanu. Oceniam, że poczynawszy od 1975 roku ponad 600 razy leciałem samolotem. Tyle szczęśliwych startów i lądowań. Za to przygód związanych z lataniem nie brakowało, a parę z nich budziło nawet moje obawy o bezpieczeństwo. Oprócz samolotu moim środkiem transportu był prawie zawsze samochód wypożyczony na lotnisku by dotrzeć do celu. Jednym z osobliwych doświadczeń w moich podróżach w charakterze inspektora MAEA była inspekcja w październiku 1977 r., wraz z kolegą Kanadyjczykiem, we włoskim zakładzie wytwarzającym paliwo reaktorowe w Bosco Marengo koło Aleksandrii (obecnie od dawna niedziałającym). Pierwszego dnia pojechaliśmy z zakładu na obiad do restauracji, przejeżdżając przez mostek nad wąskim strumyczkiem w wyłobieniu o około dwumetrowej głębokości. Gdy po godzinie wracaliśmy, wyłobienie było pełne wody. Nazajutrz droga, którą poprzedniego dnia przyjechaliśmy do zakładu, była zamknięta przez policję, więc zdecydowaliśmy się pojechać inną. Szybko okazało się, że jest to droga donikąd, bowiem woda z zalanych pól dosięgła skraju szosy i groziła jej całkowitym zalaniem. Trzeba było uciekać tam, skąd przyjechaliśmy, zanim powrót stałby się niemożliwy. Była to, jak się okazało, wielka powódź po obfitych opadach deszczu w Alpach, z których masy wody spływały rzeką Pad. Jechaliśmy potem autostradą do Turynu, na której po drodze pozamykano z powodu powodzi liczne zjazdy. Nigdy przedtem nie wyobrażałem sobie, że wielka powódź może pojawić się tak nagle, tak daleko od gór.

W mojej działalności zawodowej nie było wiele miejsca na udział w pracach stowarzyszeń zawodowych i naukowych. We wczesnym okresie należałem do Stowarzyszenia Elektryków Polskich, ale członkiem byłem raczej formalnie i na pewnym etapie to się skończyło. Podobnie było z Polskim Towarzystwem Nukleonycznym, do którego wstąpiłem w 1995 r., pracując w MAEA w Wiedniu. Obecnie, od 2011 r. jestem członkiem założonej kilka lat temu polskiej sekcji organizacji Stowarzyszenie Ekologów na Rzecz Energetyki Nuklearnej (SEREN), której w różnych sprawach służę moimi opiniami.



Wspomnienia i myśli nie całkiem uporządkowane

W Kraju

Wiele osób i ja wśród nich ma pewien kłopot, gdy chce coś napisać. Od czego zacząć? Mówi się, że najlepiej od początku, czasem lepiej od końca. Ale gdzie ten początek a końca też jeszcze nie widać. Zaczę więc od środka, gdyż dopiero wtedy moje życie - tak naprawdę - nabrało rozpędu. Miałem czterdzieści pięć lat i dość ustabilizowane życie. Zarabiałem średnio jako kierownik Zakładu Eksploatacji Systemu w Instytucie Energetyki, w którym piąłem się mozolnie po szczeblach drabiny naukowej poczynając od młodszego asystenta do docenta. W 74 roku udało mi się uzyskać doktorat, a więc miałem szansę wspiąć się wyżej do habilitacji i tytułu profesora tym bardziej, że mój dorobek naukowy wyglądał wcale nie najgorzej. Miałem już kilka patentów, około czterdziestu publikacji oraz paręset wewnętrznych opracowań instytutu.

Jednak moje losy potoczyły się inaczej. Po dziesięciu latach małżeństwa z drugą żoną Ireną okazało się, że nie bardzo pasujemy do siebie i właściwie nastąpił tzw. całkowity rozkład małżeństwa i najlepszym rozwiązaniem byłby tylko rozwód. Mój dobry kolega, Janusz Księżpolski, z którym razem uczylimy się w Technikum Elektrycznym w Lublinie, razem studiowaliśmy na Politechnice Warszawskiej, a potem razem podjęliśmy pracę w Instytucie Energetyki, wyjechał za pośrednictwem Polservice do Iraku i pracował w Bagdadzie. Namawiał mnie abym załatwił papiery i dołączył do niego. Ze względu na moich dwóch wspaniałych synów, Krzysia (10) i Pawła (6), postanowiłem poczekać z rozwodem aż synowie dorosną i skorzystać z propozycji Janusza. I tak, mając 46 lat, po 25 latach pracy w instytucie, 1 maja, 82 roku wyruszyłem samochodem w podróż do Bagdadu – w nieznaną. To był początek mojego drugiego życia.

Irak

W pochmurny poranek 30 kwietnia – chyba to była niedziela – wyruszyłem z Warszawy swoim nowym fiatem 125 w podróż do Bagdadu.

Samochód był nieco przeładowany gdyż, jak się potem okazało, niepotrzebnie zabrałem sporo książek technicznych, z którymi miałem tylko same kłopoty przy przekraczaniu kolejnych granic. Były one skrupulatnie sprawdzane po kątem treści propagandowych. Janusz doradził mi przyjechać do Iraku samochodem. Z własnego doświadczenia wiedział, że samochód jest tam niezbędny. Posłuchałem rady, wziąłem kredyt w NBP pod zastaw przyszłych zarobków irackich. Sama pani Gronkiewicz-Waltz, która wówczas była kierowniczką działu kredytów, ostatecznie swoim podpisem, zatwierdziła pozytywnie moje podanie. Kosztowało mnie to wtedy 2,8 tys. dolarów rozłożonych na 10 rat. Za mną w kolejce do Pani Gronkiewicz, czekał Daniel Pasant. Też załatwił jakiś kredyt. Później, po latach, spotkałem go w samolocie z Pyrzowic do Frankfurtu. Próbował poderwać fajną dziewczynę, reporterkę radia Rzeszów, która akurat siedziała obok mnie.

Fiata 125 odbierałem wraz z kolegą z parkingu Polmozbytu na Pradze. Były tylko dwa bardzo zakurzone pojazdy. Kolega doradził mi egzemplarz, pod którym była, co prawda, duża kałuża wyciekającego oleju ale, jak twierdził sprzedawca, posiadał podrasowany silnik mirafiori. Kolega miał dobre wyczucie gdyż, jak się potem okazało, po wymianie uszczelki, silnik samochodu spisywał się znakomicie przez wiele lat.

Irena była obrażona i nie miała ochoty pożegnać mnie przed podróżą, więc wsiadłem i pojechałem. Pierwszym etapem podróży, której plan starannie przygotowałem wcześniej, był Cieszyn. Po drodze wstąpiłem do Siemianowic, żeby odwiedzić Beatkę – moją obecną, trzecią już żonę. Beatkę znałem od lat jeszcze przed jej ślubem. Nie miałem jednak wtedy żadnych szans. Ona młoda atrakcyjna studentka a ja podstarzały tatuś. Utrzymywaliśmy jednak przyjacielskie kontakty. Zostałem przyjęty bardzo serdecznie. Beatka, ślicznie ubrana wiosennie z małą półroczną Anią na rękę, znów mnie zauroczyła, tak, że aż trudno się było rozstać. Zatrzymałem się na noc w Cieszynie.

Rano 1 maja 1982 r. przekroczyłem granicę Czech i od razu natknąłem się na pochody pierwszomajowe, zatłoczone ulice miasteczek, wszędzie objazdy, wszędzie zakazy i stopy. Przepchałem się jakoś przez te świętujące tłumy, dotarłem do Bratysławy, potem do Budapesztu. Byłem bardzo podekscytowany. Sama podróż zapowiadała się jako jedna wielka przygoda. Następnego dnia, Belgrad, Sofia i granica turecka w Edirne. Tam celnicy i straż graniczna witali mnie owacyjnie słowami: solidarity i Walesa. Potem Istambuł, most wiszący nad Bosforem i azjatycka część Turcji. Kraj piękny, bardzo rozległy, ale im dalej od Istambułu tym bardziej dziki i groźny, miejscami kostropate wysokie góry. Miejscami krajobraz pustynny z charakterystycznymi wzgórzami o szpiczastych wierzchołkach. Tureckie wojsko pod Wiedniem nosiło tego kształtu kołpaki na głowach.

Z Ankary wybrałem drogę do Adany potem przez Gaziantep do przejścia granicznego z Irakiem w Zakhu. Źle się jednak obliczyłem, gdyż zapadł już wieczór i musiałem przenocować tuż blisko granicy w małym miasteczku Cizre. Był tam w samym centrum, chyba jedyny hotel, czy raczej coś, co nazywało się hotelem, ale nie miałem innego wyjścia i musiałem się tam zatrzymać. Jedynym pokojem do wynajęcia był namiot, ustawiony na podwórku, z łóżkiem w środku i wiszącą na drucie żarówką. W innych pomieszczeniach panował mrok. Były tam tylko kaganki oliwne, które dawały mało światła, ale wystarczająco, żeby zobaczyć wielu podejrzanym zarośniętym i brudnym mężczyznom. którzy, popijając turecką herbatę, siedzieli pod ścianami i samym swym widokiem budzili strach. Z duszą na ramieniu i z moją harcerską finką pod poduszką położyłem się na łóżku, ale bałem się zasnąć. Następnego dnia, z ulgą opuściłem ten hotel, zadowolony, że jednak udało mi się przeżyć i nikt w nocy nie obrabował mojego samochodu.

Na granicy irackiej musiałem zmienić tablice samochodu na tymczasowe irackie z wężykami napisów. Zostałem też zobowiązany do załatwienia karty pobytowej w irackim urzędzie imigracyjnym oraz zarejestrowania samochodu w przeciągu określonego czasu po przyjeździe do Bagdadu. Ruszyłem więc w ostatni etap podróży przez Mosul, Bayji, Tikrit, Samarę do stolicy Iraku. Po obu stronach pustynia ani żywego ducha. Wystarczyło jednak zatrzymać się na chwilę, żeby natychmiast pojawili się jacyś ludzie i żebrzące o bakszysz dzieci. Trzeba było zamknąć szyby w samochodzie, żeby uniknąć rozgrabienia tego co było pod ręką. Samochód Pani Gronkiewicz spisywał się znakomicie, ale niestety nie miał klimatyzacji. Przy zamkniętych oknach temperatura w środku sięgała zenitu przy 45 stopniach na zewnątrz. Był to dziesiąty dzień podróży, gdy dojechałem do Bagdadu. Janusz czekał na mnie, gdyż znał mój plan podróży. Rozmawiałem z nim przez telefon jeszcze przed wyjazdem z Warszawy. Wtedy nie było telefonów komórkowych ani I-padów czy laptopów. Tak więc przez całą podróż nie mieliśmy możliwości kontaktu. Ucieszył się bardzo z faktu, że szczęśliwie dotarłem do celu. Przyjął mnie na współlokatora w wynajmowanym trzypokojowym mieszkaniu, w budynku nad Tygrysem położonym w ekskluzywnej dzielnicy ambasad i konsulatów. Niedaleko znajdowała się też Polska ambasada oraz piękny park z pawiami.

Janusz, już wcześniej załatwił dla mnie pracę w irackiej dyspozycji mocy, więc następnego dnia pojechał ze mną do dyrekcji i tak rozpocząłem swoją działalność w Bagdadzie. Praca nie była dla mnie trudną, gdyż miałem doświadczenia z Instytutu Energetyki w opracowywaniu danych dla polskiej dyspozycji mocy. Moim głównym zadaniem było opracowywanie tygodniowych i miesięcznych raportów o pracy systemu energetycznego.

Nawet udało mi się to zgrabnie pokazać na 2 stronach A4. Mój szef, Hassan, był bardzo zadowolony gdyż chwała przypadała głównie jemu. Ja też byłem zadowolony, bo moje miesięczne wynagrodzenie było ok. 50 razy większe niż moja pensja w Polsce. Jednak po dwóch miesiącach przyjeżdżam rano do pracy a Hassan mi mówi, że nie mogę nadal pracować w dyspozycji mocy, gdyż wyższa władza nakazuje mu mnie zwolnić. Okazało się, że w moich raportach znalazła się informacja o ilości niedostarczonej konsumentom energii. Było to w tym czasie, kiedy Sadam Husain, prężąc muskuły, chciał pokazać Irakijczykom i zagranicznym korespondentom swoją militarną potęgę i nakazywał przemarsz wojsk od Mosulu do Basry i z powrotem. Wtedy, co dwa tygodnie, 200 czołgów przejeżdżało główną drogą Iraku blokując na wiele godzin ruch. Żeby umożliwić przejazd kolumny czołgów, wiele linii energetycznych musiało być wyłączanych. Sam nie wiem, dlaczego byłem taki głupi i podałem te prawdziwe przyczyny ograniczenia dostaw energii w swoich raportach. Sadam podobno się wściekł. Stwierdził, że obcokrajowiec nie może mieć dostępu do tajnych danych energetyki i kazał mnie zwolnić.

Znalazłem się w mało komfortowej sytuacji. Bez pracy, środków do życia i z długiem za samochód u Pani Gronkiewicz. Przez dwa tygodnie próbowałem się zahaczyć w jakiejś zagranicznej firmie, ale w rezultacie moje próby spełzały na niczym. Myślałem i o tym, żeby wrócić do Polski. Miałem jednak trochę fartu. Hosny Al Kadmi, kolega szefa Janusza, wice szef wydziału w irackim Centralnym Biurze Projektów Energetyki, dowiedziawszy się od kolegi o facecie poszukującym pracy, zaprosił mnie na interview. O umówionej porze zjawiłem się w jego gabinecie. Był również jego szef Gassan. Mój stopień Ph.D. zrobił wrażenie. Gassan był bardzo zainteresowany gdyż akurat pisał pracę doktorską na temat oddziaływań pola elektromagnetycznego na organizmy ludzkie i jak się dowiedział o mojej znajomości tego tematu, to natychmiast zaakceptował przyjęcie mnie do pracy. Zostałem więc przyjęty na eksperta do biura projektów. Potem dla Gassana przygotowywałem przegląd literatury na temat jego pracy oraz opracowałem program badań i pomiarów pola elektromagnetycznego na stacjach wokół Bagdadu. Odwiedzaliśmy te stacje z kolegą z przyrządami i zbieraliśmy dane do pracy Gassana. Opiniowałem też różne projekty rozbudowy istniejących i budowy nowych stacji energetycznych. Głównymi inwestycjami były między innymi dwie duże stacje 400 kV, jedna pod Mosulem a druga koło Basry na południu Iraku. Obiekty te były budowane przez znaną na świecie w branży energetycznej szwajcarską firmę Brown Boveri, wraz z podwykonawcą części budowlanej, południowo-koreańską firmą Jung- Woo. Brałem więc udział w naradach z udziałem przedstawicielami firmy Brown Boveri. Podczas kolejnego spotkania była dyskutowana kwestia trasy linii energetycznej łączącej stację

Mosul z systemem. Zgodnie z projektem linia prowadzona z północy miała przechodzić nad dachem budynku stacji i być podłączona do bramki stacyjnej. W budynku stacji miało się znajdować centrum komputerowe regionalnej dyspozycji mocy oraz systemy sterowania samą stacją. Miałem przedstawić swoją opinię na ten temat. Powiedziałem wtedy, że albo budynek stacji będzie całkowicie ekranowany albo firma musi przeprojektować trasę linii, obejść z linią dookoła i wprowadzić ją do stacji od południa. Gassan, świadomy konsekwencji przewodów wysokiego napięcia nad dachem budynku, bo przecież pisał na ten temat pracę doktorską, podjął błyskawiczną decyzję – trasa linii wejściowej do stacji musi być przeprojektowana. Dla szefa projektu BBC był to szok, gdyż trzy słupy linii były już postawione. Ale Gassan był nieugięty i BBC musiało spełnić żądanie klienta. Trasa została przeprojektowana, słupy zdemontowane i postawione nowe, okrążające stację. Kosztowało to firmę kilka milionów dolarów, a Paul Flumann, który był głównym kierownikiem projektu ze strony BBC pamięta o tym do dzisiaj. Po jakimś czasie zaproponował mi pracę w BBC i głównie dzięki niemu zostałem później zatrudniony w tej firmie. A po 30-tu latach spotkałem go na grillu koleżeńskim u Hansa Hugglera (ówczesnego kierownika budowy stacji Mosulu) w Portland w Oregonie i powiedział mi, że ta moja opinia wtedy w Bagdadzie, która była oczywiście mocno dyskutowana w Zurychu i spotkała się z akceptacją najlepszych specjalistów firmy, była głównym argumentem na rzecz zaoferowania mi pracy w firmie.

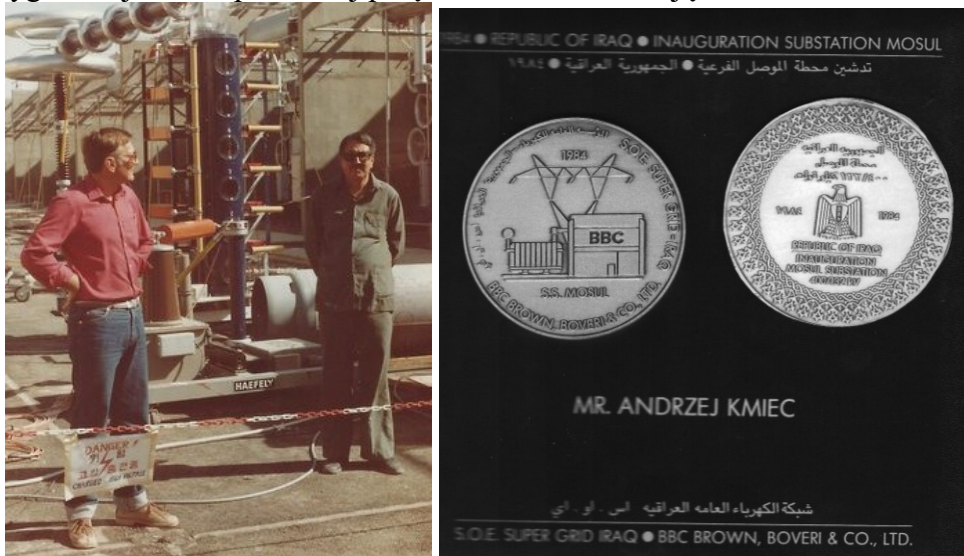
Mieszkaliśmy na drugim piętrze w trzypiętrowym budynku nad Tygrysem. Nasze okna wychodziły na rzekę. Po drugiej stronie rzeki znajdował się ośrodek badań nuklearnych – duma Sadama Husajna, a trochę dalej elektrownia bagdacka. Cały ośrodek był otoczony wałem ziemi o wysokości 10-ciu pięter. Wokół na płaskim rozległym terenie znajdowały się usypane z ziemi liczne kopce, na których ustawiono działa przeciwlotnicze. Któregoś dnia o świcie obudził nas huk strzelających dział. Istne piekło. Przerażeni wyglądamy przez okna i widzimy trzy izraelskie myśliwce F-16 nadlatujące nad ośrodek Sadama. Wszystkie działa strzelają na oślep, ale nie celnie. Samoloty wystrzeliły sterowane rakiety, które trafiły w cel i odleciały, a działa strzelały nadal. Uciekliśmy z Januszem na klatkę schodową, obawiając się, że pociski trafią w nasze okna. Potem okazało się, że ośrodek został poważnie zrujnowany, a przy okazji również część elektrowni.

Po paru miesiącach pracy u Gassana, zaproponował mi on nadzór budowy stacji w Mosulu, wiązało się to z wyjazdem do Mosulu i zamieszkaniem na ternie budowy. Zgodziłem się chętnie i pewnego dnia o poranku wyruszyłem moim fiatem do Mosulu. Padał deszcz i droga była śliska. O mało nie doszło do wypadku, gdy zjechałem na pobocze, a duży

truck za mną gwałtownie zaczął hamować, ale na szczęście zdążył się zatrzymać. Mój samochód na poboczu zaczął grzęznąć w rozmięklej ziemi i prawie się już przewracał na bok. Kierowca trucka miał linę i wyciągnął mnie z opresji. Dojechałem do stacji w Mosulu i rozpocząłem swoją działalność jak inspektor nadzoru ze strony inwestora. Prace budowlane nie były jeszcze ukończone, ale ich postęp był zdumiewający. Koreańska firma budowlana zatrudniała ok. 200 osób skoszarowanych jak wojsko w barakach i jak wojsko karnych. Pracowali od świtu do 11:00, potem była przerwa na lunch i upały, a następnie dalej od 16:00 do późnego wieczora. Korzystałem z kantyny Koreańczyków i bardzo sobie chwaliłem ich kuchnię. Na pracach budowlanych nie bardzo się znałem, ale sporo się nauczyłem. Dopiero po zakończeniu budowy, gdy zaczęto montować urządzenia elektryczne, poczułem się o wiele pewniej.

Po kilku miesiącach montażu urządzeń przysłała pora na testy. W tym byłem biegły, z dużym doświadczeniem pracy w Instytucie Energetyki. Miały być przeprowadzone próby wysokonapięciowe różnych elementów zainstalowanych w stacji. Wysokie napięcie było doprowadzone do hali, w której mieściła się rozdzielnia GPS 400 kV (gas insulated switchgear), za pomocą przepustów izolujących obwody wysokiego napięcia od ściany hali która miała potencjał ziemi. Te przepusty, zgodnie z kontraktem, miały być testowane zgodnie z normami. Firma przysłała na budowę wiele skrzyń z przenośnymi urządzeniami do testów. Był to generator impulsów wysokiego napięcia, transformator do prób napięciem przemiennym, oraz inne urządzenia niezbędne przy tego rodzaju próbach. Przyjechał też z Zurichu specjalista, który miał przeprowadzić te próby. Był to młody inżynier, Węgier, który na samym wstępie nie zrobił dobrego wrażenia. Był to facet typu „nosol”. Nosol to takie spolszczenie wyrazów „knows all”. Taki wszystko wiedzący i bardzo zarozumiały. Nadzorował rozpakowywanie i montaż tych urządzeń i po paru dniach wszystko było gotowe do przeprowadzenia prób. Ale w dniu, w którym próby miały być wykonane, zwróciłem uwagę, że Węgier jakoś kręci się nerwowo wokół urządzeń i spostrzegłem, że ma jakiś problem. Taktownie nie stałem mu za plecami, ale zauważyłem, że coś jest nie tak. Węgier słyszał, że ja mam pewne doświadczenie i wieczorem przyszedł do mojego domku, ze łzami w oczach pytając czy nie mógłbym mu pomóc. Następnego dnia, razem sprawdziliśmy wszystkie połączenia i okazało się, że wszystko jest w porządku. Cały problem polegał na tym, że nie było widać na oscyloskopie kształtu impulsu, którym miał być testowany przepust. Normy wymagały, żeby ten impuls miał wymagane parametry przed dokonaniem próby. Węgier nie widział tego impulsu na ekranie oscyloskopu. Przez dwa dni nie mogłem dociec, na czym polega problem. Wtedy byłem o wiele bardziej spostrzegawczy niż jestem teraz i zauważyłem, że przełącznik

sygnału wejściowego oscyloskopu jest ustawiony w pozycji zero. Były tam jeszcze dwie pozycje: plus i minus. Znałem te oscyloskopy firmy Tekroinx, bo takie same mieliśmy w Instytucie Energetyki. Przełączyłem pokrętło na plus i natychmiast pokazał się na ekranie kształt impulsu. Perfidnie zrobiłem to tak, że Węgier tego nie zauważył. Był tak uradowany, że myślałem, iż mnie ozłoci. Próby przepustu zakończyły się pomyślnie. Ale pozostały jeszcze dwa przepusty. Następnego dnia, Węgier znów ma ten sam problem. Oscyloskop nie pokazuje mu kształtu impulsu. Znów przychodzi i prosi o pomoc. I znów ta sama historia. Widzę, że znów przełącznik oscyloskopu ustawiony jest na zero. Drugi raz dyskretnie przełączam na plus i wszystko działa jak trzeba. Podczas próby trzeciego przepustu, gdy powiedziałem Węgrowi o przełączniku oscyloskopu to się za głowę złapał. Został moim dozgonnym przyjacielem i wiele mi pomógł podczas moich późniejszych wizyt w Zurychu. Był tam też Hans Ruegg, resident BBC w Bagdadzie, który nadzorował budowę stacji w Mosulu. Często przyjeżdżał na budowę i on też był mi ogromnie wdzięczny za pomyślne przeprowadzenie prób. Bardzo się zaprzyjaźniłem z Hansem. Wiele razy udostępniał mi swój apartament w Effretikon pod Zurychem, gdy przyjeżdżałem do Szwajcarii na wakacje. Z Hansem wiąże się też wspomnienie wspólnych odwiedzin cygańskiej wioski położonej parę kilometrów za stacją.



Budowa stacji rozdzielczej w Mosulu i medal BBC w uznaniu za tę budowę (1983-1984)

Po kilku miesiącach stacja była gotowa i uruchomiona. Oficjalne uruchomienie było wielką fetą. Przyjazd zapowiedział sam Sadam Husain. Od rana teren stacji został okrążony dywizjami wojska. Około południa przyjechał Sadam ze swoją świtą. Uroczystość otwarcia stacji trwała około godziny, w czasie której wręczono mi medal w dowód uznania za moją

pracę. Oczywiście nie obyło się bez rytualnego zarzynania owiec i innych lokalnych tradycji. Na zakończenie wizyty, Sadam Husain uściskał dłonie ustawionych w szeregu tych, co wybudowali stację – między innymi i moją – i odjechał ze swoją świtą.

Po zakończeniu budowy w Mosulu, Gassan zaproponował mi nadzór budowy bliźniaczej stacji w Qurnej koło Basry. Jednak wtedy wojna iracko-irańska nabierała rozpędu i było wiadomo, że w Qurnej może być niebezpiecznie. Zgodziłem się na propozycje Gassana, ale pod warunkiem złatwienia ubezpieczenia na życie w wysokości 100 tys. dolarów. Po negocjacjach, Gassan w końcu zgodził się na moje warunki i załatwił ubezpieczenie. Zapakowałem więc moje rzeczy do fiata i wyruszyłem do Qurnej – małego miasteczka położonego o 80 km przed Basrą, w miejscu gdzie łączy się Eufrat z Tygrysem i dalej płyną te rzeki już jako Shatt Al Arab wpadający potem do zatoki Perskiej. W miejsce połączenia rzek kiedyś podobno znajdował się biblijny raj, gdzie Adam z Ewą zerwali jabłko z zakazanego drzewa. Stanowi to wielką atrakcję turystyczną. Był tam wtedy okazały budynek hotelu wraz z restauracją i barami. W oszklonej gablocie na skraju znajdował się pień jabłoni Adama i Ewy. Turyści wydłubywali scyzorykami kawałki drewna na pamiątkę i po pewnym czasie pień był wymieniany na nowy eukaliptusowy gdyż takich drzew jak jabłonie to tam nie widziałem.

Firma Yang-Woo, ta sama co w Mosulu, prowadziła prace budowlane. Gdy przyjechałem były już one bardzo zaawansowane. Poważną trudność stanowiło usytuowanie stacji. Około 1km od głównej drogi z Bagdadu do Basry, ale na terenie bagnistym, w tej okolicy pokrytym może trzymetrową warstwą ziemi z wielkim trzęsawiskiem pod spodem. Budynki stacji oraz słupy linii musiały być posadowione na licznych betonowych palach wbijanych kafarem do ziemi. Obok stacji było już wybudowane osiedle domków mieszkalnych przeznaczonych dla personelu stacji. Zamieszkałem w jednym z nich. Tak jak w Mosulu, w Qurnej też korzystałem z kantyny Yang-Woo równie świetnej. Później korzystałem też z kantyny szwajcarskiej, która została uruchomiona przed przyjazdem ekipy do montażu urządzeń.

Prace przebiegały zgodnie z planem, ale odgłosy wojny zbliżały się coraz bardziej do budowy. Wieczorami z dachu budynku hali głównej rozdzielni obserwowaliśmy świetliste smugi pocisków wystrzeliwanych z katusz irackich. Przypomni mi się rok 1944, kiedy Niemcy się wycofywali i wkraczała Armia Czerwona. Pamiętam, że uciekliśmy wszyscy do lasu i pamiętam takie same świetliste smugi na niebie od pocisków katusz rosyjskich. Po powrocie do domu okazało się, że dom został spalony. W Qurnej, wokół stacji, było jednak nadal spokojnie. Pewnego dnia iracka armia ustawiła swoją artylerię jakieś 100 metrów za

ogrodzeniem stacji. Przez następny tydzień nic się nie działo, ale potem te armaty zaczęły strzelać. Każdy wystrzał powodował falowanie skorupy ziemi na bagnie, razem ze wszystkim, co się znajdowało na powierzchni. W dalszym ciągu było w miarę bezpiecznie aż do dnia, kiedy irańska artyleria rozpoczęła kontratak. Była pora lunchu. Siedzimy przy stołach i nagle widzimy, że zaczynają wybuchać pociski przy głównej drodze do Basry. Pod ostrzałem znalazły się domki mieszkalne Qurnej. Za chwilę widzimy jak z tych domków w panice zaczynają uciekać ludzie. Czarna fala kilkuset kobiet ruszyła w kierunku naszej budowy. Nieliczni mężczyźni pędzą samochodami na oślep w naszą stronę przez wykroty stepu. Wielu ugrzęzło w nierównym terenie. Uciekinierzy znaleźli schronienie w obszernym betonowym schronie wybudowanym na stacji. Od tamtego dnia zaczęło być bardzo niebezpiecznie. Artyleria irańska nasilała ataki. W czasie nocnych ataków chowałem się pod betonowymi schodami domu przerażony hukiem rozrywających się wokół pocisków. Codziennie rano zbierałem w ogródku kilogramy szrapneli i oglądałem w pobliżu leje po pociskach. Kilka razy była zarządzana ewakuacja, ale potem, gdy aktywność obu armii słabła, wracaliśmy na budowę, aby kontynuować prace. Po około roku, stacja została uruchomiona. Irańska artyleria świadomie nie chciała jej zburzyć. Prawdopodobnie Chomeini liczył się z tym, że zdobędzie te tereny i będzie mógł ze stacji korzystać.

Ostatni dzień mojego pobytu w Qurnej, chociaż minęło już 30 lat, będę pamiętał jeszcze długo. Aktywność artylerii irańskiej znów się bardzo nasiliła. Wszyscy uciekli ze stacji poprzedniego dnia wieczorem. Zostałem sam. Następnego dnia jestem w głównym pomieszczeniu sterowania stacją i widzę przez okna skierowane na wschód rozbłyśki wystrzeliwanych w moją stronę pocisków. Za kilka chwil, huk wystrzałów i przenikliwe gwizdy pocisków nad dachem budynku, które wybuchały kilkanaście metrów za budynkiem. Postanowiłem uciekać. Problemem było jednak przedostanie się do głównej drogi, która była pod artyleryjskim ostrzałem. Irańczycy strzelali salwami po dziesięć wystrzałów, co 10 sekund. Mój Fiat był przygotowany do startu spod bramy stacji. Oczekałem trochę i obliczyłem, że po każdej salwie jest cisza około pięciu minut, może dziesięciu na przeładowanie dział. Gdy wybuchły pierwsze pociski kolejnej salwy, ruszyłem w kierunku drogi, przejechałem most na Eufracie i wtedy za moimi plecami usłyszałem wybuchy pocisków następnej salwy. Ale byłem już bezpieczny. Za mostem zjechałem z głównej drogi na drogę po groblach przez bagna do Nasyrii, około 150 km. Te groble były przejezdne tylko

w czasie, gdy nie padały deszcze. Po obu stronach grobli, zarośnięte trzcina, zalane wodą rozległe tereny z małymi wysepkami, na których ludzie wraz z dobytkiem mieszkali w trzciniowych szałasach. Od czasu do czasu trafiały

się większe wyspy z meczetami również wyplecionymi z trzciny. Środkiem komunikacji są tam łódki. Na pozór biednie ci ludzie tam żyją, ale na każdym domu widziałem anteny telewizyjne, a na groblach sporo zaparkowanych samochodów. Na ostatnim odcinku drogi krajobraz się zmienił na piaszczystą pustynię. Tam spotykałem stada wielbłądów i pojedyncze budynki meczetów. Szczęśliwie dojechałem do Nasyriji gdzie mój kolega Andrzej Kizler nadzorował pracę elektrowni. Zatrzymałem się u niego przez parę dni, żeby zregenerować siły i wróciłem przez Najav i Kerbalę do Bagdadu. Okazało się, że w Bagdadzie też już nie było za wesoło. Chomeini wysyłał na miasto sterowane pociski średniego zasięgu, które powodowały duże zniszczenia. Widziałem te miejsca gdzie one eksplodowały. Całkowicie zrujnowane kwartały domów jednorodzinnych, stumetrowy zdewastowany odcinek estakady na autostradzie. Jeden z pocisków o mały włos trafiłby w pałac Husaina.

Wyjechałem z Iraku po trzech latach pracy na urlop zostawiając na granicy irackie tablice rejestracyjne samochodu, ale w planach miałem podróż do Szwajcarii i podjęcie pracy w BBC. Nigdy już do Iraku nie wróciłem.

Iran

I znów przez Turcję, Bułgarię, Jugosławię potem Słowenię i Austrię dojechałem moim dzielnym fiatem do Zurychu. Zatrzymałem się u Paula Fluhmanna w Effretikonie w jego obszernym domu, w którym mieszkał wraz z żoną i małym synkiem. Żonę Paula, Krystynę, bardzo miłą i sympatyczną osobę, poznałem jeszcze w Mosulu. Po ślubie, Paul przywiózł ją do Mosulu, chyba tak jakby w podróż poślubną. Wtedy Hans Huggler (kierownik budowy Mosulu) przywiózł również swoją świeżo poślubioną żonę Ednę. Na drugi dzień pojechaliśmy z Paulem do Oerlikon na spotkanie z szefem Paula też Paulem, ale Rueggem. Poznałem go wcześniej w Iraku, gdy wizytował kilka razy budowy. On też bardzo popierał moje starania o pracę w firmie. Wszystko wyglądało pomyślnie, ale jeszcze moje podanie musiało być zatwierdzone przez jednego z dyrektorów firmy w Baden. Na umówione interview pojechał ze mną Fluhmann. Spotkanie zakończyło się akceptacją dyrekcji, a moim pierwszym zadaniem miał być wyjazd do Iranu gdzie BBC uruchamiało pięć stacji 230 kV wokół Teheranu. Trochę mnie przerażała perspektywa wyjazdu do kraju, gdzie toczyła się wciąż wojna. Ledwo uszedłem z życiem z Iraku, a tu znów mam tam wracać i pracować po „drugiej stronie barykady”. Jednak pięciokrotnie wyższe zarobki i do tego dodatkowo wysoka dieta za każdy dzień pracy w Iranie, były przekonującym argumentem, żeby nie wybrzydzać.

I tak zostałem pracownikiem BBC. Był tylko taki problem, że mój paszport miał wstemplowaną wizę iracką, a ja teraz potrzebuję irańskiej.

Pojechałem do Berna do polskiego konsulatu, przedstawiłem konsulowi sytuację i on mi pomógł. Wkleił do mojego paszportu harmonijkę nowych stron (co było praktykowane gdy już w paszporcie nie było wolnego miejsca) i moja wiza iracka została zaklejona wkładką. Zaraz potem z listem polecającym firmy, udałem się do ambasady irańskiej i otrzymałem bez problemu potrzebną wizę. Jak widać nie wszyscy urzędnicy konsularni PRL byli wredni, bo ten w Bernie bardzo mi pomógł. Wróciłem do Polski na miesięczny urlop. Zostawiłem samochód i po miesiącu już samolotem przyleciałem znów do Zurychu, a potem przez Bandar-e Abbas do Teheranu, ale już jako pracownik BBC, jak panisko, leciałem pierwszą klasą. Paul Rueg miał do mnie pretensję, gdy pojechałem kiedyś do Genewy pociągiem w drugiej klasie. Powiedział mi wtedy, że inżynierowie firmy jeżdżą tylko klasą pierwszą i nocują w najlepszych hotelach. Taki był wtedy standard firmy. Po latach bardzo się to zmieniło.

W Bandar-e Abbas wszyscy pasażerowie przesiedli się do irańskiego samolotu i ze zdziwieniem zauważyłem, że wszystkie kobiety zmieniły stroje na muzułmańskie czadory. W Teheranie czekał na mnie kierowca BBC, który zawiózł mnie do Hamadan gdzie mieściło się jedno z biur firmy, a w drugiej części domu kilka sypialni oraz przestronna kuchnia z jadalnią. Był tam już John Lloyd, Brytyjczyk pracujący dla BBC, potem przez wiele lat wspólnej pracy moja „prawa ręka”, oraz paru innych pracowników w tym trzech pomocników irańskich. Jeden z nich, Josef, był takim gospodarzem domu. Robił zakupy i gotował dla wszystkich. Dwaj pozostali, Hosny i Anash byli pomocnikami na budowie. Zostałem poczęstowany bezalkoholowym piwem irańskim, które na początku wydało mi się okropne, ale potem, z braku laku, się przyzwyczailem. Mieliśmy do uruchomienia kilka pól na stacjach w Araku, Koramabadzie i w samym Hamadanie. Dwie nowe stacje w Bahtaranie i Eslamabadzie, najbliższe granicy irackiej, były w trakcie budowy.

Iran to był już inny kraj. Po rewolucji Chomeiniego zapanowały rządy ajatolachów- fanatycznych wyznawców religii. Do tego ta bezsensowna wojna z Irakiem. Panował więc rygor wojenny. Ustawione posterunki Gwardii Chomeiniego sprawdzały samochody przy wjeździe i wyjeździe z miast. Był zakaz pokazywania się publicznie kobiet bez chusty na głowie. Te kobiety, które tego nie przestrzegały były narażone na oblanie kwasem solnym. W parkach chodziły patrole Gwardii i sprawdzały czy młode pary mają dokument ślubu. Młodzi ludzie mogli się spotykać tylko na uroczystościach rodzinnych.

Całkowity zakaz sprzedaży alkoholu powodował, że w różnych miejscach pędzono bimber, a lepsze trunki można było kupić na czarnym rynku, ale po wysokich cenach. Na przykład szkocka whisky kosztowała 50 dolarów. Podobno pochodziła od żołnierzy irackich, do których strzelano

w ciągu dnia, a wieczorem przy ognisku i pieczeniu z jagnięcia handlowano trefnym towarem. Nasz kucharz Josef wiedział gdzie można się było zaopatrzyć w alkohole tak, że zawsze były one dostępne w naszym barku. Raz się Josefowi „powinęła noga”, gdy patrol Chomeiniego znalazł w jego bagażniku dwa galony bimbru, a do tego nie miał też ważnego prawa jazdy. Miał duże kłopoty. Gdy stanął się przed mułłą w sądzie usłyszał wyrok: albo dwa tygodnie więzienia albo 60 batów na rynku miasta w obecności gawiedzi. Josef, ze względu na obowiązki w pracy, wybrał baty. Nie były one zbyt bolesne gdyż, jak potem opowiadał, kat wymierzał mu baty z Koranem pod pachą. Takie było prawo. Potem nadal jeździł do sekretnych źródeł po bimber, ale był już o wiele bardziej ostrożny.

Prace na stacjach przebiegały zgodnie z harmonogramem. Były jednak pewne kłopoty podczas testów urządzeń, w których uczestniczyli inżynierowie irańscy. Mieli oni obowiązek akceptować swoim podpisem wszystkie protokoły testów. Byli to ludzie bardzo sympatyczni, ale też niezwykle skrupulatni. Bali się popełnić jakiś błąd gdyż groził im za to wyjazd na front. Tak byli przewrażliwieni, że nawet pierwiastek z trzech, normalnie w obliczeniach przyjmowany jako 1,73, nie był akceptowany.

W stacji Arak sprawdzaliśmy zabezpieczenia nowej linii, która niebawem miała być włączona do systemu. Były tam przekaźniki indukcyjne podobne do liczników energii elektrycznej, z tarczą obracającą się na osi. Do sprawdzenia tych przekaźników mieliśmy, powszechnie używane w świecie, szwedzkie testery SVERKER. Były to urządzenia małej mocy, które nie służyły do kalibracji a jedynie do sprawdzenia czy przekaźniki nie zostały uszkodzone podczas transportu do stacji. Ze względu na niewielką moc testera, przekaźnik podczas próby, był ok. 10% wolniejszy niż gdyby był badany urządzeniem większej mocy, jak podczas kalibracji w fabryce. Wobec tego, czasy działania przekaźnika były nieco dłuższe niż podawał katalog. Inżynier irański, pomimo moich wyjaśnień, nie zaakceptował prób. Uznał, że przekaźniki są wadliwe i należy je wymienić albo przekalibrować. Stwierdził, że brał udział w testach tych samych przekaźników z tym samym testerem, które wykonywał mój poprzednik - Anglik, i on przekalibrował ok. 200-cie tych przekaźników na wszystkich stacjach BBC w Iranie. Anglik spowodował po pijaku wypadek samochodowy i groziło mu więzienie. Uciekł z Iranu przez zieloną granicę do Turcji, a potem wrócił do Anglii. Ja przyjechałem na jego miejsce. Włosy stanęły mi na głowie jak wyszła na jaw ta sprawa. Wysłałem raport do szefa w Zurychu, który zdecydował wymianę przekalibrowanych przekaźników ale ja i tak miałem duży problem, żeby przekonać Irańczyków co do ich jakości. Ta sprawa ciągnęła się miesiącami aż do odbioru ostatniej stacji w Eslamabadzie i była głównym tematem narady z udziałem chyba pięćdziesięciu osób, która trwała dwa dni i dwie noce.

Ostatecznie strona irańska dała się przekonać, kiedy zademonstrowałem próby przekątnika zasilając go testerem większej mocy, specjalnie w tym celu sprowadzonym na stację. Okazało się, że wyniki prób idealnie zgadzały się z danymi katalogu.

Nie był to jedyny problem. Irańczycy zakwestionowali dokładność ok. 250 przyrządów pomiarowych na stacji w Hamadanie. Tu mieli trochę racji, gdyż przyrządy rzeczywiście nie były wysokiej jakości, ale za to tanie. Zdemontowaliśmy wszystkie przyrządy i przez dwa tygodnie wieczorami zajmowałem się ich kalibracją. Mieliśmy w biurze wysokiej precyzji kalibrator oraz zestawy odpowiednich oporników, niewrażliwych na temperaturę, które całkowicie wystarczyły do wykonania tego zadania. Przyrządy zostały ponownie zainstalowane na stacji i po ponownych próbach zaakceptowane przez naszego klienta.

Na kilka dni pojechaliśmy z Johnem do Teheranu. Zatrzymaliśmy się w hotelu Sheraton o nazwie Homa Hotel. Tam w recepcji wisiał olbrzymi baner z napisem „Będziemy walczyć z Amerykanami aż do ostatniej kropli krwi”. Trochę zrobiło się nam nieswojo, gdyż wydało się nam, że nie tylko z Amerykanami, ale również z całym cywilizowanym światem. Teheran to miasto, w którym w 1943 roku nastąpił podział stref wpływów w Europie i na świecie. W Teheranie nie odczuwało się skutków prowadzonej z Irakiem wojny. Może tylko zwracała uwagę przewaga liczebna kobiet, też poubieranych na czarno, ale można też było spotkać panie w strojach europejskich. Ze względu na malejącą liczebność mężczyzn, Chomeini ustanowił nowe prawo, zezwalające kobietom zawieranie związków kontraktowych na określony czas. Każdy mężczyzna mógł zawrzeć parę takich związków, o ile stać go było na utrzymanie żon kontraktowych. Warunkiem było pozostawienie potomstwa tych związków przy matce. Dwóch znajomych Włochów miało takie żony, oprócz własnych pozostawionych we Włoszech. Zwiedziliśmy pałac Reziego Pahlawi, znajdujące się w ogromnym parku na zboczach gór okalających Teheran. Wśród nich pałac Soraji, pełen przepychu i złota. W sali balowej ogromny dywan perski utkany z jedwabiu przez tysiące młodych dziewcząt, które pracowały przy nim przez wiele miesięcy. Oprócz pałacu Soraji było tam jeszcze kilkanaście innych. Nie było czasu, żeby odwiedzić wszystkie.

Podczas weekendu, na zaproszenie Anasha, pojechaliśmy nad morze Kaspijskie do Bandar-e Anzali, gdzie Anash spędzał swój urlop na łonie rodziny. Była piękna słoneczna pogoda, gdy wyruszyliśmy z rana w podróż. Przed nami ok. trzysta kilometrów do przebycia, ale też wysokie góry o szczytach ponad 5 tys. metrów. Gdy byliśmy już na wysokości ok. 3 tys. metrów, zaczął padać śnieg. Im wyżej tym gorzej. Zamieć śnieżna, zaspasy na drodze, widoczność zerowa. Po obu stronach drogi pełno samochodów unieruchomionych w zaspach. Nasz chevrolet, z napędem na cztery koła,

z trudem przedzierał się przez zaspy. Ja prowadziłem. Miałem trochę doświadczenia z Polski w jeździe po śniegu i udało mi się dotrzeć do przełęczy – chyba na wysokości ok. 4 tys. i następnie w dół już bez większych problemów. Pogoda zaczęła się poprawiać. Przestał padać śnieg. Potem już nie było po nim śladu na drodze. Gdy wyjechaliśmy z gór znów świeciło słońce. Wokół na wzgórzach, plantacje herbaty. Pełno kwitnących drzew i krzewów. Idealna temperatura, około 25 stopni, zachęcała nas do kontynuowania dalszej podróży.

Anash wraz z rodziną, przyjęli nas bardzo serdecznie. Z tej okazji zorganizowali wspaniałe party z udziałem bliższych i dalszych krewnych oraz sąsiadów. Na rozstawionych stołach w ogrodzie znalazły się rozmaite przysmaki. Przede wszystkim kilka rodzajów kawiorów, ale również ryby, kraby, skalopy i małże. Wszystko świeże, prosto z morza. Były też chyba jakieś alkohole, bo tam fanatyzm religijny jeszcze w pełni nie dotarł, chociaż plaże nad morzem były już osobne dla kobiet i dla mężczyzn. Zatrzymaliśmy się w hotelu na dwie noce. W restauracji hotelowej byli na ogół turyści, ale też i miejscowi wyglądający bardziej po europejsku. Były nawet dziewczęta, które chętnie wspominały czasy szacha. Na wzgórzu za miastem znajdowali się jego okazały pałac, do którego szach przyjeżdżał, gdy chciał zaczerpnąć morskiego powietrza. Spędziliśmy wspaniałe dwa dni, kąpiąc się w morzu, zbierając co piękniejsze muszle na plaży i delektując się wciąż wspaniałymi owocami morza. Wróciliśmy do Teheranu, ale inną drogą, pamiętając o śnieżycy w górach.

Nad morzem Kaspijskim byłem wiele lat wcześniej, ale od strony Turkmenii. Wówczas, Instytut Energetyki prowadził wspólne badania z moskiewskim Wszech Nauczno Isledowatielskim Instytutem po Energetyce, które w programie miały próby w systemach energetycznych. Próby te były organizowane raz w Polsce raz w Związku Radzieckim. I tak, kiedyś pojechaliśmy z Andrzejem Iwanowskim, dobrym moim kolegą jeszcze z czasów studiów, do Turkmenii. Na skraju pustyni Kara-Kum była elektrownia gazowa. Była tam rura w piasku, która doprowadzała gaz do turbiny. Wokół zasieki przeciw piaskowe, ale i tak piasek wdzierał się wszędzie za byle podmuchem wiatru. Ruchome wydmy wciąż zasypywały zasieki. Na drodze dojazdowej tworzyły się piaskowe zaspy jak ze śniegu, które trzeba było przekopywać, żeby przejechać. Kira Kuźmiczewa, szef ekipy moskiewskiej, zorganizowała wycieczkę nad morze Kaspijskie. Pojechaliśmy do jednego z kurortów nad morzem. Tam czekały na nas obficie zastawione stoły z różnymi przysmakami morza oraz mocnymi napojami, ale clou programu okazał się dwumetrowej długości jesiotr, który wylądował na stole prosto z grilla ku uciesze wszystkich gości. Smak jesiotra pamiętam do dziś. Był wspaniały. Samo morze Kaspijskie, w tym

miejscu było płytkie i bardzo zasolone. Po kąpeli, włosy miałem jak druty, a sól na całym ciele.

Prace na stacjach postępowały szybko i w krótkim czasie uruchomiliśmy Bahtarn. Czasem zdarzały się naloty myśliwców irackich, ale nasz dom w Bahtaran (gdzie przeprowadziliśmy się z Hamadanu) nie ucierpiał. Nam też nie stała się żadna krzywda. Ostatnią stacją był Eslamabad, położony blisko linii frontu na granicy irackiej. Tam też doskwierały nam naloty irackie, ale prace na stacji przebiegały zgodnie z planem i wkrótce stacja została uruchomiona.

W tym czasie, mój szef wydziału projektów zagranicznych w Oerlikon, Paul Ruegg, przeszedł na emeryturę i na jego miejsce szefem wydziału został Paul Fluhmann. Zaproponował mi on pracę w Turcji na stanowisku głównego szefa uruchomienia elektrowni wodnej i stacji przyelektrownianej w Karakaji nad Eufratem. Zgodziłem się bez wahania na propozycję i wkrótce wyjechałem z Iranu. Po tygodniu dowiedziałem się, że irackie myśliwce zniszczyły stację w Arak, na której akurat pracowali moi koledzy. Był tam John Lloyd, Anash i Hosny. Syreny alarmowe włączyły się za późno. Samoloty były już blisko stacji. John położył się przy betonowej ścianie osłony transformatora a Anasz z Hosnym zaczęli uciekać w stronę schronu, który znajdował się koło bramy wjazdowej tuż przy budynku sterowania stacją. Byli 10 metrów od schronu, gdy wybuchły irackie rakiety. Anash i Hosny nie mieli żadnych szans. Zostali rozerwani na strzępy. Przez długi czas nie mogłem się pogodzić z ich śmiercią.

Turcja - Karakaja

Po dwóch tygodniach urlopu w Polsce przyleciałem znów do Zurichu. Miałem 51 lat, gdy stanąłem przed swoim życiowym wyzwaniem uruchomienia dużej elektrowni wodnej. Jak to zrobić? Od czego zacząć? Miałem pewne doświadczenia z pracy w Instytucie Energetyki. Wraz z kolegami: Markiem Kumanowskim, Andrzejem Iwanowskim, Andrzejem Merle i innymi, uruchamialiśmy pierwszą w Polsce linię przesyłową 400 kV z Turoszowa do Częstochowy. Później byłem koordynatorem prac nad projektem pierwszej linii 750 kV z Rzeszowa do Mukaczewa na Ukrainie. Te doświadczenia bardzo mi się przydały. Mieszkałem w domu u Fluhmanna w Effretikonie i razem, przez dwa miesiące jeździliśmy do pracy w Oerlikon. Moim zadaniem było opracowanie generalnego harmonogramu uruchomienia stacji 400 kV i elektrowni. Po miesiącu, program był gotowy i poddany analizie innych. Zaczynał się od daty 0 i zawierał testy wszystkich urządzeń w stacji i elektrowni oraz tak zwane „słupy milowe” – takie jak datę uruchomienia stacji, czy daty synchronizacji poszczególnych generatorów z systemem tureckim.

Harmonogram został zaakceptowany bez zastrzeżeń. W drugim etapie pracy, do poszczególnych zadań harmonogramu byli dobierani ludzie, z którymi później odbywały się spotkania i bardziej szczegółowe dyskusje. Byli to specjaliści od turbin, generatorów, transformatorów, urządzeń rozdzielczych, elektronicznych systemów sterowania, urządzeń telekomunikacji i inni. Na podstawie mojego harmonogramu opracowany został grafik przyjazdu poszczególnych ekip do Karakaji. Na tym moja praca w Zurychu została zakończona. W połowie sierpnia wyjechałem do Karakaji. Na moje życzenie, przyjechał też John Lloyd z Iranu. Rozpoczęliśmy testowanie urządzeń stacji. Zgodnie z głównym harmonogramem układałem harmonogramy tygodniowe, z zadaniami do wykonania na każdy dzień dla wszystkich członków ekipy rozruchu, z dokładnością co do godziny. Te harmonogramy na tydzień wcześniej były przekazywane przedstawicielom tureckiego inwestora, który, zgodnie z kontraktem, chciał być na bieżąco informowany o przebiegu prac i kierować swoich inżynierów- obserwatorów- do uczestnictwa w próbach. Sam też osobiście z pomocnikiem brałem udział w pracach. Przede wszystkim uruchamiałem baterie akumulatorów i transformator tak zwanych potrzeb własnych. Podczas budowy energia elektryczna była dostarczana z zewnątrz za pomocą prowizorycznej linii niskiego napięcia oraz agregatów prądotwórczych. Testy urządzeń stacji wymagały zasilania prądem stałym z baterii, oraz bardziej stabilnego źródła zasilania prądem przemiennym. Z Johnem testowaliśmy baterie akumulatorów. Jedna z prób wymagała całkowitego rozładowania baterii w ciągu 10-ciu godzin i mierzeniu co godzinę jej parametrów. Do rozładowania baterii potrzebny był opornik dużej mocy. W tym celu, z 200-tu litrowej beczki zrobiliśmy opornik wodny o regulowanej oporności zależnej od głębokości zanurzenia miedzianych elektrod. Prace na stacji przebiegały bez specjalnych problemów. W tym czasie, w elektrowni, rozpoczęto montaż pierwszej turbiny oraz stojana i wirnika pierwszego generatora. Około 100 osób rozpoczęło układanie blach stojana i wirnika. Były to cienkie płyty blachy żelaznej o odpowiednim kształcie, z których układano czterometrowej wysokości rdzenie stojana, a w tym samym czasie, inna ekipa montowała rdzenie wirnika. Bardzo żmudna i czasochłonna praca. Budowa jednego generatora miała trwać 3 miesiące.

W połowie października stacja była gotowa do uruchomienia i została włączona do systemu dokładnie w dniu wyznaczonym w harmonogramie. Rozpoczęliśmy więc testowanie urządzeń w elektrowni. Potężna tama wysoka na prawie 100 metrów – jak Hoover Dam koło Las Vegas w Kalifornii- była gotowa, z wyjątkiem wind, które były montowane z opóźnieniem, gdyż okazało się, że szyby wind były dla nich za ciasne o kilka centymetrów, więc trwały żmudne prace nad ich poszerzeniem. Była

to dla nas wielka niedogodność. Musieliśmy pokonywać setki schodów, żeby wydostać się do urządzeń znajdujących się na koronie tamy. Nasze prace postępowały nadal bez zakłóceń i pod koniec listopada byliśmy gotowi do uruchomienia pierwszego generatora, którego montaż też był na ukończeniu. Duże emocje towarzyszyły nam, gdy gotowy wirnik generatora, o wadze ok. 600 ton, był transportowany potężną suwnicą z miejsca montażu na swoje miejsce w stojanie. Ta operacja wymagała wielkiej precyzji gdyż szczelina pomiędzy ściankami wirnika i stojana wynosiła kilka milimetrów. Następne olbrzymie emocje wywołały próby napięciowe izolacji generatora, która musiała przez minutę wytrzymać trzykrotnie wyższe napięcie niż nominalne. Przeprowadzałem tę próbę w asyście ok. 150 osób: całej brygady montażu generatora, przedstawicieli DSJ (dyrekcji elektrowni tureckich) i innych zaproszonych gości. Specjalne urządzenia do przeprowadzenia próby były dostarczone ze Szwajcarii i przygotowane do próby. Światła hali zostały wygaszone. Pozostały tylko nikielne światła awaryjne. Panował półmrok. Podświetlone dwa główne przyrządy pomiarowe na pulpicie testera: woltomierz i zegar, skupiały uwagę obserwatorów. Nacisnąłem przycisk startu i wskazówka woltomierza automatycznie zaczęła piąć się w górę z szybkością jednego kilowolta na sekundę – wymaganą przez normy. Znamionowe napięcie generatora, 18 kV miało być przekroczone trzykrotnie, czyli do 54 kV. Przy napięciu 25 kV, tarcza pokrywy generatora o średnicy ok. 30 metrów, zaczęła najpierw świecić a potem coraz bardziej trzeszczeć. Przy napięciu 54 kV, świeciła już tak intensywnie, że rozświetliła całą halę. Wtedy włączył się zegar, który zaczął odmierzać sekundy. Każda z nich trwała wieki. Napięcie psychiczne obserwatorów sięgnęło też zenitu. Wszyscy wpatrzni w sekundnik zegara, który leniwie okrążał tarczę i bardzo powoli zbliżał się do 60-ciu. Generator jednak, chociaż jarzył się jak latarnia i trzeszczał w szwach, nie poddawał się tej drakońskiej próbie. I wreszcie, sekundnik przesunął się na 60-tą kreskę i dokładnie w tym momencie nacisnąłem przycisk stopu. Czuję, że gdybym przedłużył próbę o chociaż jedną czy dwie sekundy i w tym czasie nastąpiłoby przebicie izolacji, to ci ludzie by mnie zabili. Na moje szczęście generator przeszedł próbę pomyślnie i uratował mi życie. Wszyscy byli szczęśliwi i składali sobie gratulacje. Wieczorem, dnia poprzedniego przed przyłączeniem generatora do systemu, był siarczysty mróz. Byliśmy na stacji żeby sprawdzić jeszcze raz zgodność faz linii generatora i podłączyć ją ostatecznie do zacisków stacji. Wszystko było gotowe. Następnego dnia, dokładnie zgodnie z harmonogramem, generator został włączony do pracy. Jak się okazało trzy miesiące przed kontraktowym terminem. Firma otrzymała z tego powodu kilkumilionowy bonus.

Po kolejnych trzech miesiącach, drugi generator był gotowy do synchronizacji z systemem. Przyjechał wówczas sam minister energetyki

tureckiej. Był bardzo mi wdzięczny gdyż zaproponowałem mu, żeby własnoręcznie nacisnął przycisk włączający generator do sieci. Odbyło się to w stacji i tam przed synchronoskopem, pokazałem mu, w którym momencie ma nacisnąć przycisk sterujący wyłącznikiem generatora. I obaj widzimy jak wskazówka synchronoskopu powoli zwalnia i wreszcie powoli wędruje na północ w stronę zgodności faz. Za pięć dwunasta mówię „now”. On naciska przycisk, zamyka się wyłącznik stacji i generator płynnie zaczyna pracę z systemem. Dla mnie był to już „chleb powszedni”, a dla niego duże przeżycie.

Po uruchomieniu trzeciego generatora, wyjechałem na kilkudniowy urlop do Istambułu. W tym czasie wydarzył się w Karakaji tragiczny wypadek. Trzy generatory były już przekazane do ruchu i w gestii tureckich operatorów. Turecki inżynier nadzoru weryfikował dane urządzeń i sprawdzał je z danymi na tabliczkach znamionowych tych urządzeń, chociaż były one dostępne w dokumentacji. Były tam szafki z przekładnikami do pomiaru napięcia generatora na jego głównych zaciskach. Te szafki miały blokady, a dostęp do nich był możliwy tylko, gdy generator był wyłączony z ruchu. Ale ten inżynier postanowił obejść blokady i odczytać dane z tabliczek. Było tam ciemno, więc chciał poświecić sobie latarką i wtedy stała się straszna rzecz. Dotknął ręką do zacisku pod napięciem i spowodował zwarcie 300-tu MW – ego generatora wprost na jego zaciskach. To co się potem tam działo słyszałem tylko z opowiadań, ale też mogę to sobie wyobrazić. To musiało być piekło i było, Ten nieszczęśnik i jego pomocnik stojący za nim po prostu wyparowali. Potężne miedziane szyny generatora, stopione rozprysły się po ścianach. Turbina jeszcze przez kilka minut napędzała generator aż zamknęły się zawory doprowadzające wodę. Generator został doszczętnie zniszczony. BBC odbudowała potem wszystkie urządzenia i nie wpłynęło to na termin zakończenia inwestycji, gdyż ten zniszczony generator i tak był uruchomiony trzy miesiące przed czasem.

Były też dwa inne tragiczne wypadki. Pierwszy wydarzył się, gdy jeden z robotników budowy zapory spadł z korony. Okazało się, że zjechał po kładce upustu wody z górnego rezerwuaru zapory i już nie było co zbierać. Ta kładka ma profil podobny do skoczni narciarskiej, tylko jest bardziej stroma, znajduje się z boku każdej zapory wodnej i służy do obniżenia poziomu wody w zbiorniku, gdy jest on za wysoki. Widziałem niejednokrotnie jak wygląda taki upust w Karakaji. Pierwszy raz jak przyjechałem do elektrowni, to zobaczyłem najpierw chmurę rozpylonej wody i tęgę. Właśnie była spuszczana woda ze zbiornika. Gdy zbliżyłem się bardziej, usłyszałem huk tej wody spadającej poniżej zapory do rzeki. To była masa wody spływająca po kładce z wielką prędkością, wyrzucana potem do góry na 30 metrów a następnie spadająca z hukiem do rzeki. Ten

słup wody działał jak ogromnej mocy świder, który drażył dno rzeki i była obawa, że zbocza zaczną się powoli obsuwać. Szczyty gór i sama zapora były obstawione sensorami, które rejestrowały najmniejsze przesunięcia.



Elektrownia wodna w Karakaji, 1989

Dla bezpieczeństwa, zaczęto umacniać skaliste zbocz gór po obu stronach zapory. Wiercono dziesiątki otworów w skałach, do których potem wstrzykiwano beton uzbrojony w stalowe pręty. I wtedy wydarzył się drugi tragiczny wypadek. Jeden z robotników obsługujących świdry miał rozpiętą kurtkę, która pechowo wkręciła mu się do świdra a on razem z nią. Makabra, która przygnębiła wszystkich, ale jednocześnie skłoniła do większej ostrożności.

W Karakaji spotkałem wielu wspaniałych ludzi. Moi pracownicy w ekipie rozruchu- czasem nawet 60 osób- byli bardzo zdyscyplinowani. Robili to co ja zaplanowałem. Mieli do mnie szacunek i respekt głównie z tego powodu, że ja na równi z nimi pracowałem fizycznie przy uruchamianiu urządzeń. Często napotykali rozmaite problemy. Zwracali się do mnie o radę i pomoc i zawsze mogli na nią liczyć. To byli wspaniali ludzie. Bardzo pracowici i zdyscyplinowani. Byli tam Szwajcarzy, Niemcy, Anglicy, Włosi, Francuzi, Jugosłowianie, jeden Szkot, jeden Chorwat i ja, jedyny Polak. Razem mieszkaliśmy w osiedlu Karakaja, gdzie znajdowały się trzy wielopiętrowe bloki mieszkalne dla pracowników oraz inne budynki z pomieszczeniami socjalnymi, salami konferencyjnymi oraz hotelem dla gości. W sumie mieszkało tam ponad 300 osób. Z osiedla do elektrowni było jednak za daleko (ok. 20km. po górskiej krętej drodze), żeby przyjeżdżać na lunch do stołówki osiedlowej. Była więc druga kantyna blisko elektrowni świetnie prowadzona przez Włochów. Duży wybór smacznych dań, zup, przystawek oraz dobrej jakości wina, tureckie piwo

Efez i inne napoje do wyboru do koloru. Pamiętam, że Włosi i Francuzi zawsze wypijali po butelce wina. My z Johnem, czasem jakieś piwo. W dni wolne od pracy, organizowane były pikniki na jeziorze powyżej tamy. Tam znajdowała się przystań na pontonach, były kajaki, żaglówki, rowery wodne i inne atrakcje. Świetne miejsce na pikniki. Tam przywożono grille wykonane z przepołowionych beczek stalowych i przysmażano jagnięcia, kiełbaski i inne hamburgery, balując potem do późnych godzin.

Po dwóch i pół latach pracy w Karakaji, Paul Fluhman zaproponował mi wyjazd na trzy miesiące do Kalifornii. Firma BBC rozbudowywała wtedy stacje konwertytorowe przesyłu energii pomiędzy Kalifornią i Oregonem. Odległość pomiędzy stacjami krańcowymi, Sylmar w Kalifornii i Celilo w Oregonie wynosi ok. 1300 km. System ten działał w obie strony. Latem energia jest przesyłana do Kalifornii (głównie na klimatyzację) a zimą do Oregonu (głównie na ogrzewanie). Istniejący od 1972 roku system umożliwiał przesył 2100 MW. BBC rozbudowywał ten system o dodatkowe dwa konwertytory na każdym krańcu linii, zwiększające moc przesyłu do 3200 MW. To jest moc większa od elektrowni Turów w Polsce. Miałem sprawdzić system zabezpieczeń, obliczyć nastawienia i przetestować działanie przekaźników nowych konwertytorów w stacji Sylmar oraz przeszkolić inżynierów klienta w zakresie eksploatacji tego systemu zabezpieczeń. Chętnie się zgodziłem, gdyż zabezpieczenia to była moja specjalizacja, wyuczona na Wydziale Elektrycznym, Politechniki Warszawskiej u prof. Żydanowicza. Wkrótce więc miałem opuścić Karakaję.

Na moje pożegnanie odbyło się wielkie przyjęcie z udziałem kilkuset osób. Były przemówienia, podziękowania, gratulacje i prezenty. Ja też dziękowałem, przede wszystkim swoim ludziom z rozruchu, ale również innym za owocną współpracę itd. Było mi miło, że doceniono moją pracę.

Kalifornia

Po krótkim pobycie w Polsce przyleciałem do Zurychu. Musiałem załatwić wizę amerykańską. Miałem pewne wątpliwości jak mnie potraktują Amerykanie. Okazało się jednak, że z listem polecającym firmy uzyskałem wizę pracowniczą L1 bez żadnych problemów, chociaż, jako obywatela z kraju komunistycznego, traktowali mnie trochę nieufnie. Za parę dni poleciałem do Los Angeles. Był wieczór, gdy samolot zniżał się do lądowania. Bezkresne światła miasta zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Na lotnisku, czekał na mnie Peter, mój pracownik z Karakaji. Był tam specjalistą od nowych, cyfrowych systemów sterowania opartych na mikroprocesorach programowalnych, które już w Karakaji były zastosowane w niektórych podsystemach, a w Sylmar stały się podstawą

głównego systemu sterowania stacją. Peter zawiózł mnie do hotelu w pobliżu stacji Sylmar i na drugi dzień pojechaliśmy razem na stację.

Nowa praca, nowi ludzie. Wszystko trzeba będzie zaczynać od początku. Po paru dniach oswoiłem się trochę z nową sytuacją i stopniowo zaczynałem organizować swoją nową działalność. Przygotowałem harmonogram swoich poczynań, obliczenia nastawień przekładników i rozpocząłem testy, z udziałem inżynierów inwestora, DWP (Department of Water and Power-takie kalifornijskie ministerstwo energetyki). Potem okazało się, że zakres mojej pracy został bardzo rozszerzony, o testy wszystkich urządzeń na stacji, z wyjątkiem samych konwerterów. Konwertory to takie urządzenia, które przekształcają prąd przemienny na stały – działają wtedy jak prostowniki – oraz, zależnie od sygnałów sterujących, prąd stały na przemienny – działają wtedy jak falowniki. Miałem dobre przygotowanie teoretyczne i praktyczne, gdyż pracując w IEN odbyłem półroczny staż ONZ w University of Manchester i tam zajmowałem się techniką przesyłu energii prądem stałym. Po powrocie, w laboratorium instytutu zbudowałem model stacji konwertorowej, który w ciągu nocy ładował akumulatory stacji a w dzień oddawał ich energię do sieci. Ten model był wykorzystywany do ćwiczeń dla studentów czwartego roku Wydziału Elektrycznego PW, gdzie, przez dwa lata, prowadziłem wykłady z systemów energetycznych.

Przystąpiłem więc do testów innych urządzeń. Najpierw, prób transformatorów łączących konwertory z siecią prądu przemiennego. Konwertory znajdowały się w hali budynku przedzielonej korytarzem na dwie części, północną i południową. W każdej z nich znajdowały się trzy kolumny konwerterów, podwieszane na izolatorach do potężnej stalowej konstrukcji stropu. Po trzy transformatory ustawione na zewnątrz hali zasilają każdy konwerter za pomocą przepustów wprowadzonych do wnętrza hali. Próby, między innymi obejmowały sprawdzenie połączeń uzwojeń transformatorów. Po analizie wyników pomiaru, okazało się, że projektanci BBC popełnili błąd. System sterowania konwertora został zaprojektowany dla konwertora południowego i potem skopiowany dla konwertora północnego. Tymczasem, po moich pomiarach, okazało się, że konwerter północny wraz z transformatorami zasilającymi jest lustrzanym odbiciem konwertora południowego i posiada inną niż on grupę połączeń uzwojeń transformatorów wymagającą gruntownej modyfikacji systemu sterowania. Mój raport w tej sprawie wywołał dużą konsternację w Zurychu, ale był jeszcze czas, aby przeprojektować sterowanie konwerterem północnym i tak się stało. Sprawa stała się głośną, a moja reputacja bardzo się umocniła.

Fluhmann zaproponował mi stałą pracę w Zurychu, albo przedłużenie kontraktu w Kalifornii o następne kilka lat. Po uruchomieniu

konwertorów w Sylmar miałem nadzorować pracę stacji przez następne pięć lat. Wybrałem pracę w Kalifornii. Postanowiłem więc sprowadzić moją żonę i chłopców do Kalifornii. Z Ireną w dalszym ciągu nie bardzo zgadzaliśmy się, ale ze względu na Krzysia i Pawła uznałem za swój obowiązek ojca, dania im szansy lepszego, życiowego startu. Krzysztof miał wtedy 17 lat a Paweł 13. Zapisałem ich do szkół w Valencji i na tej podstawie otrzymali studenckie wizy amerykańskie w Polsce, a Irena, jako moja żona, otrzymała wizę L2. Pod koniec sierpnia moja rodzina przyjechała do Los Angeles. Zamieszkaliśmy w wynajmowanym przeze mnie kondominium w Valencji, ok. 10-ciu mil od stacji w Sylmar. Obok, w Newhall były szkoły William Hart High School i Junior High School. Tam moich chłopców zapisałem na kolejny rok szkolny. Z Krzyśkiem nie było żadnego kłopotu, gdyż dobrze znał angielski. Uczył się angielskiego w Polsce a potem, jeszcze będąc w Turcji, załatwiłem mu miesięczny kurs języka w Anglii. Jak przyszliśmy pierwszy raz do szkoły, został zakwalifikowany do klasy jak inni amerykańscy uczniowie. Z Pawłem był jednak kłopot. On nie chciał się uczyć angielskiego w Polsce i przyjechał do Stanów kompletnie nieprzygotowany językowo. Nie znał ani słowa po angielsku. Gdy pojechałem z nim pierwszy raz do szkoły to płakał. Rozpoczął klasę dla uczniów nieznających języka. Paweł jednak był bardzo ambitny. Uczył się wieczorami i chodził na dodatkowe lekcje. Po roku mówił już biegle po angielsku i zdobył dyplom najlepszego ucznia klasy, jako ten, który tak szybko opanował znajomość języka. Byłem zaskoczony, gdy na zakończenie roku, na sali w obecności ok 500-ciuset osób, Paweł został wywołany na podium i wręczono mu ten dyplom. Nauczył się języka w ciągu roku i mówi nim do dzisiaj bez akcentu. Chłopcy rozpoczęli naukę w szkołach. Na początku woziłem ich tam samochodem. Potem jeździli na rowerach. Po jakimś czasie kupiliśmy ładny dom w Valencji. Były tam trzy sypialnie, duży living room z aneksem jadalnym, dobrze wyposażona kuchnia z małą spiżarnią, pomieszczeniem na pralkę i suszarkę oraz garaż na dwa samochody. Z tyłu za domem znajdowało się patio i mały ogródek z ładnie utrzymaną trawą i krzewami kwitnących kwiatów. Chłopcy byli zachwyceni, gdyż mogli zapraszać swoich kolegów, którzy na ogół też mieszkali we własnych domach. Po roku Krzysiek ukończył szkołę i starał się dostać do prestiżowego MIT (Massachusetts Institut of Technology). Do domu przyjechał przedstawiciel MIT i przeprowadził wstępny wywiad z Krzyśkiem. Potem, za jakiś czas przyjechał inny kontynuować interview. Ostatecznie Krzysiek nie został zakwalifikowany przez MIT, ale zaakceptowali jego podania w paru innych uniwersytetach. Wybrał uczelnie w Worcester koło Bostonu. Po czterech latach pojechaliśmy na jego „graduation”. Studiował informatykę i po uzyskaniu dyplomu zaraz znalazł pracę w New Hampshire. Odwiedzałem go tam wiele razy, gdyż tak się

złożyło, że ja tam też wtedy pracowałem przy uruchomieniu filtrów harmonicznych zainstalowanych przez ABB na trasie kolei Amtrak z Nowego Yorku do Bostonu.

W tym czasie Paweł kończył High School i starał się o przyjęcie na uniwersytet. Złożył podania do trzech w Kalifornii: UCSB (Santa Barbara), UCLA (Los Angeles) i USC (Southern California). Został zaakceptowany przez wszystkie, ale wybrał Santa Barbarę. Po pięciu latach ukończył studia jako magister informatyki. Niestety nie zaprosił mnie na swoją uroczystość wręczenia dyplomu. Ja wówczas byłem już po rozwodzie z Ireną, a chłopcy uznali, że nie tylko opuściłem żonę, ale również i ich. Zerwali wtedy wszelkie kontakty ze mną i tak jest do dziś. Obaj mają teraz swoje rodziny. Paweł ożenił się z Irlandką, Peggy. Mieszkają we własnym, domu w Portland, Oregon. Mają dwie śliczne córeczki. Paweł ma świetną pracę.

Krzysztof też się ożenił. Mieszka w pięknym domu na zboczach gór Oakland, w pobliżu Berkeley University, ze wspaniałym widokiem na zatokę San Francisco. Mają dwóch wspaniałych synów, których jednak jeszcze nie miałem okazji zobaczyć, ale mam taki zamiar.



1. Moi synowie i ja (1992). 2. Amelia, moja wnuczka, idzie do przedszkola. Jest teraz z rodzicami w Polsce i powiedziała "I love Poland". Taka mała, a wie co ładne.

Pracowałem ponad 20-cia lat w zespole Christera Erikssona. Utworzył on grupę wybitnych specjalistów, do której miałem zaszczyt dołączyć. Jego biuro znajdowało się w The Dalles, nad piękną rzeką

Columbia river, ok. 120 km. od Portland w Oregonie. Tam znajdowała się duża elektrownia wodna na rzece, a w pobliżu, stacja Celilio o napięciu 500 kV z konwertyrami takimi jak w Sylmar. Tam właśnie była przyłączona linia prądu stałego łącząca Kalifornię z Oregonem. Gunter Bergner, Austriak, który pracował z Chrysterem od lat – tak jak ja w Sylmar, on w Celilio – przez pięć lat miał nadzorować pracę konwertyrów. Mieszkał niedaleko stacji z żoną Reginą i dwojgiem dzieci. Gdy był na urlopie, ja go zastępowałem w Celilio. Nasz zespół, liczący 12 osób (do którego potem dołączył również Hans Huggler z Mosulu), oprócz nadzoru nad stacjami w Sylmar i Celilio, zajmował się instalowaniem i uruchamianiem urządzeń służących do stabilizacji poziomu napięcia, ale nie tylko. Te urządzenia to sterowane tyrystorami dławiki, które wraz z bateriami kondensatorów umożliwiają płynną regulację mocy biernej w razie nagłych wahań napięcia – tzw. SVC. Setki tych urządzeń pracuje na stacjach wszystkich stanów. Miałem więc okazję dobrze poznać Stany. Byłem kilka razy na Alasce, na Hawajach, ale również uczestniczyłem w projektach w Meksyku, Kanadzie w Chile, Peru i w Panamie.

Przy jednej ze śluz Kanału Panamskiego uruchamiałem niewielkiej mocy urządzenie stabilizujące napięcie. Przez śluzy były przeciągane olbrzymie statki, często wyładowane kontenerami, ale również statki wycieczkowe pełne turystów. Te statki ledwo się mieściły w kanale śluzy. Kilkucentymetrowe odstępstwa od burt do ścian śluzy, wymagały bardzo dużej precyzji przeciągania linami statku. Po obu stronach ciągnęły go po trzy zsynchronizowane ze sobą lokomotywy elektryczne. Niezwykle ważne było stabilne napięcie zasilające te lokomotywy. Stabilizator ABB, świetnie się sprawdził. Myślę, że do dziś spełnia tam swoją rolę.

Innym ciekawym projektem było urządzenie, które umożliwiało start dużego silnika (o mocy 6 MW) w jednej z fabryk chemicznych, produkującej granulaty do wyrobu plastikowych przedmiotów. Problem polegał na tym, że linia zasilająca fabrykę była słabej mocy i rozruch silnika powodował obniżenie się napięcia o 20%. ABB zaprojektowało i zainstalowało urządzenie, które w chwili startu silnika włączało kilkustopniową baterię kondensatorów. Potem, sterowany tyrystorami dławik, płynnie kompensował udar prądu rozruchu silnika aż do momentu, gdy wszystkie stopnie kondensatorów zostały wyłączone. Gdy pierwszy raz uruchamiałem ten silnik, to sam nie mogłem uwierzyć w skuteczność tego urządzenia. Silnik ruszył i w ciągu paru sekund osiągnął obroty znamionowe. Przez szczeliny w obudowie wydostała się tylko chmura kurzu. W czasie rozruchu napięcie obniżyło się tylko o 0,5%.

W Chile, u podnóża Cordilierów, uruchamiałem nową stację 230 kV przy elektrowni wodnej niedaleko miasta Colbun (ok. 200km od Santiago). Miała ona być połączona linią ze stacją Majpo, ale linia nie była jeszcze

gotowa. Przekonałem chilijskiego inwestora, żeby uruchomić jeden generator w elektrowni i w ten sposób udało się dokonać uruchomienia stacji, sprawdzenia działania wszystkich łączników oraz włączenia szyn zbiorczych i transformatorów pod napięcie. Po 24 godzinach stacja została wyłączona spod napięcia i przekazana inwestorowi. Potem uruchamiałem stacje w Majpo, blisko Santiago. Tam po drugiej stronie ogrodzenia stacji były winnice Santa Rita. Stamtąd pochodzi świetne chilijskie wino, które jest dostępne w sklepach Kaliforni i które do dziś bardzo lubimy.

Nasze biuro w Los Angeles mieściło się najpierw w Newhall a potem w Granada Hills. Tam przez wiele lat, biurko w biurko, pracowałem z Rolandem Wyllerem-guru od systemów sterowania. Roland jest Szwajcarem. Bardzo uzdolniony i przyjazny dla ludzi człowiek. Spotkało go wielkie nieszczęście, gdyż niedawno zmarła mu żona Iliana, też wspaniała kobieta. Była to bardzo kochająca się para. W pogrzebie uczestniczyło ok. 500 osób. Ja z Beatką i innymi żegnaliśmy Ilianę z wielkim żalem.

Po kilku latach, zaproponowano mi znów wyjazd do Turcji. Miałem być szefem rozruchu drugiej elektrowni wodnej na Eufracie, w Ataturk, jakieś 150 km. poniżej Karakaji. Zgodziłem się na propozycję i znów znalazłem się w Zurychu. Na stacji w Sylmar w moim zastępstwie pozostał Wolfgang Brown wraz z kierownikiem biura ABB Ivarsem Vancerem. Tak jak poprzednio, przez dwa miesiące opracowywałem generalny program uruchomienia i tak jak poprzednio odbyły się spotkania ze specjalistami ekipy rozruchu. Wyleciałem do Turcji, ale po drodze wstąpiłem na parę dni do Monachium i samochodem pojechałem do Oberstdorfu. Tam Beata pracowała w czasie wakacji, u zamożnych Bawarczyków. To były trzy upojne dni spędzone z Beatką w Oberstdorfie. Z żalem ją żegnałem, bo moje uczucia do niej znów odżyły. Po drodze, dzwoniłem do niej z lotniska w Ankarze. Przyleciałem do Diarbakir, gdzie czekał na mnie samochód ABB, który przywiózł mnie do osiedla pracowników firmy. To była oaza zieleni. Teren wydzielony na pustyni, odgrodzony płotem i szlabanami od świata. Około 50-ciu domków mieszkalnych dla rodzin pracowników, duży budynek hotelu dla singli wraz z włoską restauracją, piękny duży basen, korty tenisowe, stadnina koni, szkoła dla dzieci pracowników. Wszystko utrzymane idealnie. Ogrodnicy całymi dniami strzygli trawę i przycinali krzewy. Po prostu raj na ziemi. Zamieszkałem w apartamencie hotelowym, ale od razu miałem możliwość wprowadzenia się do jednego z domków. Nie było jednak takiej potrzeby. Restauracja hotelowa, prowadzona przez Vito i jego żonę, serwowała mnóstwo rozmaitych dań. W jednej części znajdował się bar, gdzie po pracy piliśmy świetne piwo tureckie Efez oraz, jeśli ktoś chciał, to i mocniejsze trunki. Na drugi dzień pojechałem, otrzymanym do mojej dyspozycji samochodem służbowym, do elektrowni. Byłem tam

osiem lat wcześniej, gdy rozpoczęto budowę zapory. Wtedy wywrotki o kołach dwumetrowej średnicy, jedna za drugą, wozily ziemię i gruz i tak przez osiem lat. Teraz zapora była gotowa. Miała 2,5 km. długości i chyba ok. 60 metrów wysokości. Zbiornik powyżej zapory stopniowo zaczął się napełniać, ale miało to potrwać jeszcze wiele miesięcy. W budynku elektrowni trwał montaż turbin i innych urządzeń. Rozpoczęto też budowę pierwszego generatora. Pierwszym jednak moim zadaniem było uruchomienie rozległej stacji 400 kV. odległej od elektrowni o jakieś 10 km. Gdy pojawiłem się na stacji, zostałem powitany przez kierownika budowy z wielką rezerwą. Znałem go jeszcze z Karakaji, ale wówczas nie piastował żadnego kierowniczego stanowiska. Uznał, że mój przyjazd jest przedwczesny o dwa miesiące. Tymczasem, po zapoznaniu się z dokumentacją, okazało się, że projektanci popełnili błąd. Stacja z potrójnym systemem szyn, była bardzo rozległa (ok. 3-ech kilometrów długości i pół kilometra szerokości). Składała się z dwóch części, które stanowiły swoje lustrzane odbicia, ale były połączone ze sobą za pomocą tzw. wyłączników sprzęgłowych. System blokad działania odłączników i wyłączników był poprawnie zaprojektowany dla jednej z połówek i potem skopiowany dla drugiej. I na tym polegał błąd projektantów. Lustrzane odbicie jednej z części powodowało zmianę logiki blokad. W ciągu kilku dni przeprojektowałem ten system i okazało się, że brakuje ok. 20 kilometrów kabli. Wysłałem raport do Fluhmanna. W Zurychu szybko się zorientowali, że mam rację i załatwili expressową dostawę brakujących kabli. Po tygodniu kable dotarły do stacji, zostały rozciągnięte i podłączone według mojego projektu i mogliśmy kontynuować dalsze testy urządzeń. Stacja została uruchomiona dokładnie tego dnia, w którym miała być zgodnie z moim harmonogramem.

Moja ekipa rozruchu przeniosła się do elektrowni. Przyjechała też „moja prawa ręka” z Karakaji i Iranu, John Lloyd. Razem z Johnem znów rozpoczęliśmy od uruchamiania i testów baterii akumulatorów. Znów zostały przysposobione stalowe beczki na oporniki wodne. Na zmianę z Johnem, przeprowadzaliśmy wielogodzinne testy rozładowywania baterii, bo były one niezbędne do dalszych prób innych urządzeń. I tak, dzień po dniu, zgodnie z planowanymi grafikami na każdy tydzień i na każdy dzień, realizowaliśmy główny program uruchomienia elektrowni.

Namawiałem Beatkę, żeby przyjechała do Ataturka. I się zgodziła. Pojechałem po nią do Istambułu. Moja radość sięgnęła zenitu, gdy zobaczyłem Beatkę na lotnisku w Istambule. Miałem wtedy zarezerwowany pokój w pięciogwiazdkowym hotelu Zurich w Istambule. W barze hotelu słuchaliśmy pianisty Clandermanna, popijając drinki gin & tonic. Potem poleciliśmy do Diarbakir i kierowca ABB przywiózł nas do osiedla

w Ataturk. Po drodze pustynia i stepy. Beatka pytała: gdzie ty mnie wiesz?



Zapora wodna elektrowni w Ataturk

Gdy przyjechaliśmy do osiedla w Ataturk, była zachwycona tą oazą zieleni i świetnie zorganizowaną wioską dla pracowników firmy. Gdy pokazała się pierwszy raz w restauracji hotelowej, to pamiętam jak Vito oniemiał. Potem, chociaż żonę miał wciąż za plecami, adorował Beatkę i we fraku z muszką pod szyją przynosił jej drinki, gdy opalała się nad basenem.

W Ataturk były organizowane różne imprezy, pikniki i prywatne party. Oprócz Johna był jeszcze drugi Brytyjczyk, niezwykle aktywny w organizowaniu tych imprez towarzyskich. Tam spotkaliśmy znów Alberto Ribula Alfier z jego nową żoną Katinką i urodzoną z tego związku małą Amilką. To była trzecia żona Alberto. Pierwsza zginęła tragicznie w wypadku samochodowym. Zostawiła mu dwóch synów. W Karakaji mieszkał w tym samym bloku co ja, tylko na parterze, wraz z drugą żoną oraz czwórką ich dzieci. Wybuchł skandal obyczajowy, gdyż żona Alberta zadała się z Peterem, kierownikiem budowy. Peter został wycofany z budowy, a Alberto po rozwodzie ożenił się po raz trzeci z bardzo sympatyczną węgierką Katinką. Gdy przyjechałem do Ataturka, to Alberto z nową żoną i małą dwuletnią córeczką mieszkali już tam w jednym z domów osiedla. Wiele razy zapraszali mnie i Beatkę, która przyjechała mnie odwiedzić, na wspaniałe czterokolorowe spaghetti Alberta z kilkoma rodzajami sosów, a już szczytem jego kulinarnych umiejętności była polędwica macerowana w koniaku. Takiej polędwicy nie jadłem nigdy przedtem i nigdy potem.

Po uruchomieniu dwóch pierwszych generatorów w Ataturk, które zostały włączone do systemu tureckiego pozostawiłem uruchamianie następnych generatorów Johnowi Lloydowi, który był już bardzo

doświadczony w tej pracy. Znow, na moje pożegnanie była wielka feta z udziałem tureckiego ministra energetyki. Były przemowy, gratulacje i pamiątkowe prezenty. W sali restauracji zgromadziło się około stu osób. Vito przygotował wspaniałe przyjęcie.

Wróciłem do Kalifornii kontynuować pracę w stacji Sylmar, w Los Angeles. I wtedy wydarzył się ten kataklizm. Wybuchł pożar w części południowej konwertorów. Zostały one wyłączone spod napięcia, ale w hali wszystko się paliło. Przyjechało wiele wozów strażackich. Gdy zostały sforsowane główne drzwi hali to tam w środku było piekło, Wszystkie trzy stopy konwertorów spadły na posadzkę hali. Wszystko się wciąż paliło a żar był nie do wytrzymania. Strażacy, po paru godzinach ugasili ten żar i potem podjęte zostały prace nad uporządkowaniem hali. Trwało dochodzenie. Ja, jako nadzorca pracy stacji, byłem wielokrotnie przesłuchiwany, ale ostatecznie zostało stwierdzone, że główną przyczyną pożaru były łatwopalne osłony plastikowe na stopniach konwertora, które miały chronić zainstalowane zespoły tyrystorów przed ewentualnym wyciekami wody chłodzącej, doprowadzanej rurkami do wszystkich pięter stosu tyrystorowego. Jak się okazało, te osłony zostały zainstalowane na życzenie przedstawicieli DWP, jednakże okazały się łatwopalne i pewnego dnia, pod wpływem iskrzenia na jednym ze stopni konwertora, zaczęły się palić. Operatorzy stacji nie zauważyli ognia na ekranach monitorów, chociaż hala była monitorowana przez kamery telewizyjne. Przez trzy lata trwało dochodzenie i negocjacje między adwokatami ABB i DWP. Ja byłem wielokrotnie przesłuchiwany, ale ostatecznie całkowicie oczyszczony ze wszelkich zarzutów zaniedbania moich obowiązków służbowych. W końcu sprawa zakończyła się polubownie, przed skierowaniem jej do sądu. ABB miało odbudować zniszczony konwerter. Drugi konwerter przez cały czas pracował z systemem, ale tylko z połową nominalnej mocy stacji.

Niedługo potem, wydarzył się następny kataklizm. Miałem właśnie wstawać o piątej rano, gdyż wybierałem się tego dnia w podróż służbową do innego stanu. Nagle, coś jakby zagrzmiało i dom zaczął się kiwać jak statek na wzburzonej fali. Wszystko się trzęsło. Telewizor i monitor komputera pofrunęły na drugi koniec sypialni. W kuchni pootwierały się szafki, z których wysypały się talerze szklanki i inne przedmioty. W spiżarni, z półek, pospadały butelki i słoiki rozsypując się na podłodze. Barometr na ścianie, kiwając się na gwoździu, zarysował pół okręgu na ścianie. Po pierwszym wstrząsie, który trwał około minuty, zaległa cisza. Przerażeni uciekliśmy z domu na ulicę. Za chwilę, znow się wszystko trzęsie. Tych wtórnych wstrząsów było w ciągu kolejnych miesięcy, kilkaset. Zniszczenia okazały się ogromne. Pozawały się wiadukty i mosty na autostradach. Parę pechowych osób straciło życie. Na jednym z mostów zawaliły się dwa skrajne przęsła a na środkowej części pozostały uwięzione samochody.

Przez trzy lata trwała odbudowa zniszczonych fragmentów autostrady, bardzo utrudniająca dojazd do Los Angeles. Konwertory w stacji Sylmar nie uległy uszkodzeniom dzięki zastosowanym rozwiązaniom podwieszenia ich do konstrukcji stropu hali.



Sylmar Konwerter Station w Kalifornii po trzęsieniu ziemi w 1994 r.

Moje osobiste sprawy nie układały się pomyślnie. W końcu doszło do rozwodu z Ireną. Moi synowie zostali wykształceni zgodnie ze swymi zainteresowaniami. Starszy ukończył informatykę i już podjął pracę, a młodszy ukończył kurs magisterski, też jako informatyk, na uniwersytecie Santa Barbara. W ten sposób spłaciłem swój dług zaciągnięty kiedyś u moich rodziców na swoje wykształcenie. Teraz przyjdzie kolej na synów, którzy będą mieli obowiązek wykształcić swoje dzieci i spłacić dług zaciągnięty kiedyś u mnie. Taka jest kolej rzeczy i tak się dzieje od pokoleń. Czasem tylko się zdarza, że cwani i pazerni rodzice, chociaż zostali wykształceni przez swoich rodziców, chcąc zaoszczędzić, obligują swoje dzieci do zaciągania pożyczek na konto przyszłych zarobków i opłacenia sobie studiów. To jest takie jakby oszustwo wobec własnego potomstwa.

Po rozwodzie, wyprowadziłem się z domu w Valencji i zamieszkałem w małym apartamencie w Santa Monika. Przyjechała Beatka. Akurat Gunter Bergner miał wtedy urlop i ja miałem go zastępować w stacji Celilio. Pojechalismy więc do The Dalles nad rzeką Colombią, przegrodzoną tamą i elektrownią, ze stacją mieszczącą się na okolicznych wzgórzach. To był jeden z najwspanialszych miesięcy mojego życia. Piękna rzeka, szeroka jak Wołga. Raj dla żeglarzy, którzy zjeżdżali się tam z całego świata, ze względu na bardzo korzystne wiatry. Po drugiej stronie rzeki stan Washington pokryty pięknymi lasami. Atrakcją turystyczną jest tam wulkan Świętej Heleny, który rok wcześniej spustoszył całą okolicę. Pojechalismy

zobaczyć wypalone przez lawę zbocza wulkanu i okoliczne lasy. Bardzo to przykry widok.

Pod koniec roku, pojechaliśmy do Las Vegas i tam odbył się nasz ślub. Nie było gości weselnych. Świadkami byli fotograf i recepcjonistka. Tuż przed Bożym Narodzeniem, przyleciała z Polski córka Beaty, 15-toletnia Ania. Zamieszkaliśmy razem w większym apartamencie, w którym, już teraz bez Ani, mieszkamy do dziś. Na początku było Ani trudno, gdyż słabo znała język. Była jednak i jest do dzisiaj bardzo ambitna i pracowita. Ukończyła z dobrymi ocenami High School, potem rok w Santa Monica College i University of Northridge. Potem Ania poznała Roberta, który urodził się w Kalifornii, ale w polskiej rodzinie. Po jakimś czasie, odbył się przepiękny ich ślub, w Panewnikach koło Katowic i huczne wesele z udziałem wielu gości w Siemianowicach Śląskich. Ania z Robertem mieszkają pod Sacramento, we własnym domu, wraz ze śliczną córeczką, Amelią, naszym kochanym „oczkiem w głowie”. Za parę dni będziemy obchodzili jej trzecie urodziny.

Mając 76 lat, po wielu latach pracy przeszedłem na emeryturę. Nadal jeszcze czasem uczestniczę w różnych projektach, ale zdarza się to coraz rzadziej. Dużo czasu spędzam na balkonie. Często biegnę myślami do mojej ukochanej wnusi Amelii, a także do Polski, z którą dawno się rozstałem, lecz czasami tam zaglądałem.



U Havelki w Krakowie, w oczekiwaniu na słynny schaboszczak

Lubię obserwować kolibry, które licznie oblegają poidła ustawione po obu stronach balkonu. Codziennie gotuje im syrop z cukru i dbam o to by poidła nie były puste. Czasem jak zapomnę, to one się obrażają i omijają balkon szerokim łukiem. Na balkonie mamy również kilka drzewek. Jest pomarańcza, cytryna, awokado, figa i parę krzewów ozdobnych. Oprócz tego, śliczne orchidee, dumę Beatki, które co i raz rozkwitają na nowo. Owoce z naszych balkonowych drzewek są niezwykle aromatyczne i bardzo smaczne. W sklepie takich nie ma. Na balkonie można również zapalić papierosa oraz obserwować młode dziewczęta biegające dla sportu albo inne wyprowadzające pieski na spacer. W Kalifornii jest mnóstwo psów. Są one traktowane jak członkowie rodziny. Często jak własne dzieci. Niektórzy płacą czasem setki dolarów za opiekę weterynaryjną nad nimi. Są liczne kliniki i psie domy opieki. Codziennie dziesiątki osób wyprowadza czworonogi na spacer. Wszyscy chodzą z plastikowymi torebkami i natychmiast zbierają odchody swoich ulubieńców. Chodniki są więc czyste. Bardzo rzadko się zdarzy, żeby ktoś nie dopełnił tego obowiązku. Pamiętam jak w Polsce, gdy na wiosnę stopniały śniegi, to na chodnikach wokół domu nie było gdzie postawić stopy. Przypuszczam, że od tamtych czasów wiele się też i pod tym względem w Polsce zmieniło.

Nie jestem pewien, czy moje wspomnienia kogoś zainteresują. Napisałem je jednak głównie dla siebie. Świadomie przytaczam imiona i nazwiska ludzi, które jeszcze pamiętam. W miarę upływu czasu zacierają się one w pamięci i może za parę następnych lat nie będę ich już pamiętał. Wtedy sam przeczytam te wspomnienia, aby z przyjemnością powrócić do dawnych lat.

Kazimierz Korcz



**Przedsięwzięcia licencyjne
w polskim przemyśle podzespołów elektronicznych**

Szkoła

Wojna pozostawiła w moim życiu tragiczny ślad w postaci śmierci mojego Ojca w obozie koncentracyjnym w Mauthausen dokąd został wywieziony przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego. Dzięki Matce, w ciężkich warunkach powojennych, ukończyliśmy wraz z młodszym bratem szkołę średnią, a następnie studia na Politechnice Warszawskiej. Do szkoły średniej uczęszczałem we Włochach (teraz Warszawa –Włochy) – miejscu mojego zamieszkania - i zdałem maturę w czerwcu 1953 roku, to jest kilka miesięcy po śmierci Stalina. Z dużą wdzięcznością wspominam przedwojennych nauczycieli, którzy do pracy w szkole dojeżdżali ze zburzonej Warszawy. Historię wykładała bardzo miła starsza Pani Wernerowa, zwana przez uczniów Mahabharatą. W tajniki łaciny wprowadzała nas bardzo kulturalna Pani Szpachta, która wybijała ręką na ławce takt przy skandowaniu starożytnej poezji i wdrażała pamięciową naukę wersetów łacińskich (Aurea prima satas etas, que vindice nullo ...). Polskiego uczył były krytyk literacki Pan Marian Albiński, a fizyki – bardzo dobry propagator tego przedmiotu Pan Romuald Gieysztoft. W klasie maturalnej profesor Albiński zorganizował swoim uczniom jednodniową wizytę u swego przyjaciela poety Juliana Tuwima, który w tamtym czasie zajmował willę w Aninie (willę tę po śmierci poety przejął premier rządu Piotr Jaroszewicz). Profesor Albiński przewidywał, że jeden z kolegów naszej klasy maturalnej, a mianowicie Marek Nowakowski będzie w przyszłości pisarzem, podczas gdy w szkole Marek był czołowym aktywistą politycznym i prelegentem na młodzieżowych masówkach. Profesor Gieysztoft zainteresował młodzież fizyką dzięki obowiązkowemu pisaniu referatów na temat zakończonego w przerabianym programie działu fizyki. Referaty te były przez niego w 100% sprawdzane i zaliczane. Wielu absolwentów z naszej szkoły dostawało się na Politechnikę Warszawską bez egzaminów wstępnych lub po wymienieniu

nazwiska profesora Gieysztofta jako nauczyciela fizyki, egzaminatorzy bez dalszych pytań zaliczano im egzamin. Z naszej klasy maturalnej w roku 1953 na pierwszy rok studiów na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, bez zdawania egzaminu wstępnego, oprócz mnie, został przyjęty Andrzej Zakrent. On do grupy VI, a ja do trzeciej III.

Czasy studenckie

Na pierwszym i drugim roku studiów inżynierskich obowiązkowa była nauka języka rosyjskiego. W grupie trzeciej ćwiczenia prowadziła Pani Hildebrand. Ćwiczenia te nie wzbudzały większego zainteresowania wśród studentów. Wyróżniał się w tym szczególnie Jacek Kurzela, który obracał się na krześle i ciągle rozmawiał z kolegami. W końcu Pani Hildebrand nie wytrzymała nerwowo i zadała mu pytanie: -Panie Kurzela, czy na innych zajęciach pan też tak dużo gada? - Na inne zajęcia to ja w ogóle nie chodzę – odpowiedział grzecznie Jacek.

Na drugim roku studiów dołączyło do trzeciej grupy dwóch reprezentantów Polski w siatkówce, byłych zawodników CWKS Legia, a mianowicie Wojciech Skoczylas i Roman Mazurek. Można więc było zgłosić reprezentację II roku Wydziału Elektrycznego do mistrzostw Politechniki Warszawskiej w siatkówce. Oprócz ww. zawodników w drużynie występowali: Jacek Kurzela, grający w tamtym czasie w AZS Politechnika Warszawska, oraz amatorzy Sylwek Miler i ja. Niestety, przegraliśmy mecz z silniejszą i lepiej zgraną drużyną z Budownictwa Lądowego i odpadliśmy z rozgrywek o mistrzostwo Politechniki Warszawskiej. Koledzy Wojtek Skoczylas, Roman Mazurek i Jacek Kurzela wytrwali na studiach i uzyskali tytuły inżyniera elektryka.

Wczesnym popołudniem w maju 1957 roku w Sali Audytoryjnej na II piętrze Gmachu Głównego PW odbywał się wykład Profesora Tadeusza Cholewickiego z Elektrotechniki Teoretycznej dla studentów I semestru magisterskiego naszego Wydziału. Znany z pedanterii profesor jak zwykle bardzo głośno i wyraźnie prezentował teorie obwodów elektrycznych, tak aby każdy student czuł ich ważność i przyjmował je z pełnym zrozumieniem i aprobatą. W tamtym okresie bardzo popularny był kolarski Wyścig Pokoju. Akurat w czasie wykładu radio transmitowało końcowe fragmenty kolejnego etapu tego Wyścigu, w którym Polacy mieli szansę na zwycięstwo. W ostatnich rzędach sali część kolegów skupiała swoją uwagę na tej transmisji z ukrytej Szarotki. Ponieważ głos wykładowcy skutecznie zagłuszał nadawaną transmisję, niektórzy kibice kolarstwa zaczęli się domagać wyższego nastawienia odbiornika okrzykami: głośniej, głośniej, głośniej. Okrzyki te dotarły do profesora Cholewickiego, który bardzo donośnym głosem oznajmił: -Kto chciałby lepiej mnie słyszeć, niech przejdzie do pierwszego rzędu – są wolne miejsca. Wywołało to krótki

urwany śmiech słuchaczy, nikt się nie ruszył z miejsca, transmisja została wyłączona i wykład był kontynuowany.

Moje zainteresowania sportowe nie ograniczały się tylko do siatkówki. Po drugim roku studiów Władek Lach i Jurek Żmigrodzki zorganizowali spływ kajakowy z jeziora Wigry przez Czarną Hańczę i dalej aż do Pisu. Poza Władkiem i Jurkiem uczestniczyli w spływie Wiesiek Adamczyk, Stefan Anusik, Gienek Korejwo i ja. Oprócz pięknych widoków jeziora Wigry i Czarnej Hańczy utkwilo mi w pamięci przenoszenie kajaków na własnych barkach ze stacji kolejowej do brzegu jeziora. W następnym spływie kajakowym na Wielkich Jeziorach Mazurskich, podczas wakacji po ukończeniu trzeciego roku studiów, z noclegami pod namiotami wzięli udział: Janusz Księżpolski z przyszłą żoną Danutą, Kazik Ilkowski i ja. Mimo, że nie było pięknej pogody i często lał deszcz, a więc wszędzie było pełno wody, nie tylko w jeziorach, ale i wokół namiotów, to dzięki naszej młodości humory nam dopisywały.

Po ukończeniu czwartego roku studiów wybraliśmy się w Bieszczady w składzie Władek Torbic, Ignacy Zawicki i ja na pieszą wędrowkę czerwonym szlakiem z Komańczy, przez Połoniny Wetlińską i Caryńską do Ustrzyk Górnych. Dźwigaliśmy na plecach trójosobowy namiot, produkty żywnościowe i wodę – sklepy w Bieszczadach były wtedy rzadkością. Namiot rozkładaliśmy codziennie na stokach górskich. Często w nocy budziliśmy z nogami poza namiotem, gdyż trudno było nie zsuwać się przy dużej pochyłości stoków, czasami podtapianych obfitymi deszczami. Wrażen było mnóstwo – piękne widoki połonin bieszczadzkich i burze z błyskawicami w ciemne noce.

Na zakończenie studiów została zorganizowana, przez kolegów z naszego roku, wymiana turystyczna z Wydziałem Elektrycznym Politechniki z Zagrzebia na zasadzie wzajemnych umów personalnych o pokryciu kosztów kilkunastodniowego pobytu Polaków w Jugosławii i Jugosłowian w Polsce. Za trud zorganizowania tej obfitej we wrażenia wyprawy składam podziękowania inicjatorom tego przedsięwzięcia: Władkowi Lachowi, Jurkowi Żmigrodzkiemu, Bożenie Skowrońskiej i innym. Pamiętam, że moim kolegą z Jugosławii, z którym nawiązałem bliższy kontakt był Josip Maltar. W prezencie zawiozłem mu radioodbiornik turystyczny Szarotka, a on podarował mi płaszcz skórzany. Ale mówiąc poważnie, była to dla wielu pierwsza podróż zagraniczna i fantastyczna, niezapomniana wycieczka połączona ze zwiedzaniem Budapesztu, pobytem jednodniowym nad Balatonem, zwiedzaniem budynku Zjednoczenia Elektrycznego Zagrzebia, jaskini w Postojnej Jamie, podstacji elektrycznej w Rijece, przejazdka statkiem po Adriatyku do Splitu i Dubrownika, a następnie przejazd pociągiem do Sarajewa i Belgradu. Byliśmy wtedy

młodzi i pełni optymizmu. Radość z serdecznego przyjęcia nas przez Jugosłowian trwa do dzisiaj.

Na czwartym roku studiów wybrałem specjalizację energoelektryczną związaną z zabezpieczeniami i automatyczną ochroną linii i obiektów elektroenergetycznych. Kształcenie w zakresie tej specjalizacji było w programie Sekcji Zabezpieczeń i Automatyki pod kierunkiem Profesora Józefa Żydanowicza. Po zdaniu egzaminów z poszczególnych przedmiotów podjęliśmy się z Januszem Księżpolskim wykonać pracę dyplomową pod kierunkiem mgr. inż. Janusza Rakowskiego na temat: Badanie własności układów mostkowych – projekt, wykonanie i przeprowadzenie badań laboratoryjnych mostkowego przekaźnika oporowego. Pracę wykonaliśmy w ciągu pół roku. Została ona przyjęta z wynikiem bardzo dobrym. Egzamin dyplomowy zdałem 16/02,1959 roku.

Praca zawodowa

Pierwszą swoją pracę podjąłem 14/01/1959 w Zakładzie Urządzeń Rozdzielczych i Zabezpieczeń Instytutu Elektrotechniki w Międzylesiu. Pracowałem tutaj przez cztery lata pod kierunkiem doc. Mariana Namiotkiewicza i dr Stanisława Dominki. Zajmowałem się badaniami homologacyjnymi przekaźników produkowanych przez Zakłady REFA w Świebodzicach oraz konstruowaniem wyposażenia do tych badań m.in. regulowanego źródła prądu przemiennego 0-4000A.

W lipcu 1963 roku rozpocząłem pracę w Biurze Urządzeń Techniki Jądrowej na wydziale konstrukcyjnym aparatury pomiarowej. Przez 8 lat zajmowałem się projektowaniem, konstrukcją, wdrażaniem do produkcji i nadzorem nad produkcją precyzyjnych stabilizowanych zasilaczy prądu stałego na niskie i wysokie napięcia, regulowane i nastawialne w zakresie do 4 kV. Były one stosowane do zasilania urządzeń wykorzystywanych w technice jądrowej. Ze względu na ciągły rozwój technologii elektronicznych, najpierw były to przyrządy oparte na podzespołach lampowych, a później na podzespołach półprzewodnikowych.

Na początku lat siedemdziesiątych powstał rządowy plan inwestycji (tzw. Kompleksy Gospodarcze) mający na celu modernizację przemysłu elektronicznego przy wykorzystaniu zagranicznych, zachodnich technologii i urządzeń do produkcji podzespołów stosowanych w sprzęcie elektronicznym. Plan ten był realizowany w instytutach i zakładach przemysłowych Zjednoczenia Przemysłu Elektronicznego UNITRA, przy udziale powstałego w tym celu Biura Licencji i Maszyn w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego UNITRA. Polska była jedynym państwem w obozie socjalistycznym silnie zaangażowanym w tamtym okresie w przedsięwzięcia licencyjne, w ramach kredytów finansowych z krajów zachodnich.

Postanowiłem włączyć się do tych działań. Od grudnia 1970 roku pracowałem w Biurze Licencji PHZ UNITRA, gdzie zajmowałem się przygotowaniem, negocjacjami i realizacją kontraktów na przedsięwzięcia licencyjne w zakładach produkujących elektroniczne podzespoły czynne i sprzęt elektroniczny, które były zrzeszone w Zjednoczeniu UNITRA. Początkowo dotyczyło to licencji na diody mocy i tyrystory oraz na kineskopy i szkło kolorowe, a od roku 1976 do końca roku 1981 kontynuowałem tę pracę w całym zakresie inwestycyjnych przedsięwzięć importowych, jako Zastępca Dyrektora Biura ds. Licencji i Maszyn.

W celu zilustrowania obszaru tematycznego zakupów licencyjnych, w tabeli przedstawiam wykaz instytucji, z Polski i z zagranicy, dla których w Biurze Licencji były prowadzone negocjacje dotyczące zakupu konkretnych licencji. Na podstawie wniosków importowych zakładów produkcyjnych, PHZ UNITRA zawarła w latach siedemdziesiątych około 40 kontraktów na zakup linii produkcyjnych i urządzeń, w tym 14 kontraktów na licencje technologiczne, z krajów zachodnich, zapewniających produkcję określonych urządzeń w Zakładach UNITRA

Firma polska	Licencja	Firma zagraniczna	Kraj
POLKOLOR	Kineskopy kolorowe	RCA	USA
POLKOLOR	Elementy szklane do Kineskopów kolorowych	Corning	USA
LAMINA	Diody mocy i tyrystory	Westinghouse	USA
CEMI	Tranzystory i układy scalone	Thomson CSF	Francja
TONSIL	Głośniki	Pioneer	Japonia
ELWA	Kondensatory elektrolityczne	Nichicon	Japonia
CERAD	Kondensatory ceramiczne	Thomson CSF	Francja
MIFLEX	Kondensatory foliowe	Plessey	Włochy
DIORA	Układ redukcji szumów	Dolby	USA
KASPRZAK	Magnetofony	Grundig	Niemcy

Dla większości przedsięwzięć przewidywano uruchomienie produkcji licencyjnych podzespołów w istniejących już zakładach przemysłowych co wymagało jednak dodatkowych środków na przystosowanie istniejącego obiektu do montażu maszyn i spełnienia

wymaganych warunków technicznych infrastruktury jak np. czystości powietrza przy produkcji półprzewodników (clean room).



Wiosenne Święto Kwitnącej Wiśni w parku przed Pałacem Cesarskim w Tokio 1978r.

Szczególnie złożoną inwestycją było kompleksowe uruchomienie produkcji kineskopów kolorowych w Piasecznie. W listopadzie 1975 roku, po podpisaniu kontraktów licencyjnych z amerykańskimi firmami, dyrekcje RCA i Corning Glass pojechały razem z polskimi oficjalami na miejsce uruchomienia przyszłej produkcji. W jesienne popołudnie dyrektor techniczny Zjednoczenia Unitra stanął przed kierownictwem licencjodawców i na pustym polu zatoczył w powietrzu krąg ręką wskazując obszar na którym miał być zbudowany w ciągu 3 lat zakład produkcyjny kineskopów kolorowych z hutą szkła, o wydajności 600 000 sztuk rocznie. Wymagało to wielkiej mobilizacji sił po stronie polskiej dla dotrzymania terminów kontraktowych. Amerykanie jednak okazali się bardzo pomocni w realizacji tego przedsięwzięcia i przysłali do Polski na kilkuletni pobyt właściwych specjalistów, którzy na bieżąco koordynowali swoje dostawy i egzekwowali ustalone terminy przygotowania powierzchni do montażu urządzeń. Dla systematycznego monitorowania postępu prac wprowadzili comiesięczne spotkania przedstawicieli wszystkich jednostek biorących udział w przedsięwzięciu, a ustalone do wykonania zadania były zapisywane i rozliczane w protokole ze spotkania (Monthly Progress Review Meeting). Jako przedstawiciel PHZ Unitra brałem udział w tych spotkaniach przez cały okres trwania inwestycji aż do odbioru końcowego

przedsięwzięcia licencyjnego w utworzonej polskiej firmie POLKOLOR.

Z perspektywy ponad 30 lat chciałbym przedstawić swoje uwagi i wnioski dotyczące transferu zaawansowanych technologii, z konkurujących między sobą firm kapitalistycznych do polskiej socjalistycznej gospodarki o planowej strukturze monopolistycznej. Głównym celem importowanych przedsięwzięć licencyjnych było unowocześnienie sprzętu elektronicznego na rynku krajowym, przy zbilansowaniu potrzebnych do tego celu wydatków dewizowych eksportem gotowych urządzeń na rynki zachodnie.

Wytwarzanie licencyjnych podzespołów umożliwiło uruchomienie w Polsce produkcji stosunkowo nowoczesnego elektronicznego sprzętu powszechnego użytku na rynek krajowy i na eksport do krajów kapitalistycznych, a szczególnie do Niemiec, Francji i Anglii, w celu uzyskania dewiz na wsad materiałowy niezbędny do produkcji tych podzespołów.

Dużym powodzeniem cieszyły się na polskim rynku produkowane w Polsce magnetofony z Kasprzaka, wieże Hi-Fi z Diory z kolumnami głośnikowymi z Tonsilu, jak również telewizory kolorowe z WZT i Unimoru, które wyparły ze sprzedaży ciężkie „samozapalające się” radzieckie Rubiny. Dodatkową korzyścią wynikającą z zakupów nowych technologii na zachodzie było przeszkolenie polskich inżynierów do wprowadzenia w naszych zakładach nowoczesnych metod produkcji i organizacji sprzedaży produkowanych wyrobów na konkurującym z innymi firmami tej branży rynku zachodnim.

Jednocześnie wyjazdy przedstawicieli polskich zakładów przemysłowych i central handlu zagranicznego doprowadziły do zasadniczych pozytywnych zmian poglądów na gospodarkę w krajach kapitalistycznych. Można było się zapoznać z wysokim poziomem techniki i organizacji produkcji wyrobów elektronicznych oraz przy okazji zobaczyć kraje licencjodawców.

Większość odwiedzanych przez nas firm zachodnich, np. Philips w Eindhoven, Corning Glass w Corning - USA, Toshiba w Yokohamie, miały własne ośrodki rozwojowe, w których znajdowało się własne muzeum techniki, połączone z aktualnymi wystawami promocyjnymi i aplikacyjnymi. Poza tym, firmy zatrudniały u siebie naukowców, np. firma RCA – Profesorów z Princeton, pracujących nad zagadnieniami teoretycznymi związanymi z zastosowaniem wyłącznie w wyrobach danej firmy. Powiedziano nam w firmie Philips, że wynalazca z wydziału rozwojowego firmy, który opracował compact disc do cyfrowego odtwarzania dźwięku, w okresie dwóch lat nadzorował opracowanie technologii masowej produkcji tego wyrobu, a następnie miał prawo powrotu do działu rozwojowego na tych samych warunkach, co poprzednio.



Widok na Empire State Building w Nowym Yorku z tarasu Biura RCA na 30-tym piętrze budynku przy Rockefeller Plaza - 1975 r.

W trakcie realizacji przedsięwzięć licencyjnych można było zauważyć, że firmy zachodnie dostarczały nam technologie opanowane technicznie w chwili sprzedaży, natomiast same wprowadzały u siebie innowacje wymagające zmian maszyn w liniach produkcyjnych, na zakup, których nie było u nas funduszy, co ograniczało rozwój technologii. Wyroby licencyjne produkowane u nas monopolistycznie, miały przez wiele lat zapewniony zbyt w kraju, co nie zmuszało producentów do wprowadzania usprawnień.

Wadą zawieranych kontraktów był brak możliwości odsprzedaży licencjodawcom produkowanych przez nas podzespołów. Firmy zachodnie najczęściej nie zgadzały się na wprowadzanie do kontraktów klauzul odsprzedaży (buy-back) lub w przypadku wynegocjowania takich klauzul, po wejściu kontraktu w życie od razu płaciły kary umowne i likwidowały swoje zobowiązania. Przykładem wykorzystania klauzul <buy back> w kontraktach licencyjnych były Chiny, gdzie dzięki warunkującemu podpisaniem kontraktu wprowadzaniu i egzekwowaniu klauzul odsprzedaży rozwinęto własny przemysł i eksport wyrobów licencyjnych na cały świat.

Następnym etapem rozwoju lokalnego przemysłu było przenoszenie kompletnych linii produkcyjnych, wraz z nadzorem technicznym oryginalnych producentów, z krajów zachodnich do Azji, a szczególnie do Chin, gdzie była tania i zdyscyplinowana siła robocza.

Niestety w Polsce nie nastąpił rozwój technologii zakupionych

w latach siedemdziesiątych i po kilku latach technologie te zestarzały się pod względem technicznym i konkurencyjnym, a na początku lat dziewięćdziesiątych, po zmianie ustroju politycznego i wprowadzeniu wymienności złotego na dewizy nastąpiło załamanie się produkcji i bankructwa zakładów podzespołów elektronicznych. Służewiec Przemysłowy, na którym zlokalizowane były zakłady CEMI, CERADU i ELWY, zaczął się przekształcać w Służewiec Biznesowy i Finansowy z przedstawicielstwami handlowymi i bankami firm zachodnich, we wznoszonych nowoczesnych biurach.

Chlubnym wyjątkiem pozostały zakłady produkcji kineskopów kolorowych POLKOLOR w Piasecznie, przejęte na początku lat dziewięćdziesiątych i rozwinięte przez francuski koncern Thomson, który wcześniej odkupił od naszego licencjodawcy RCA zakład produkujący kineskopy w Lancaster USA i został jednym z największych producentów kineskopów kolorowych na świecie. THOMSON POLKOLOR przez około 10 lat zatrudniał kilka tysięcy polskich pracowników, lecz w końcu musiał upaść, gdy na początku nowego stulecia powstała i rozwinęła się produkcja nowoczesnych płaskich ekranów telewizyjnych.

Drugim wyjątkiem pozytywnego wykorzystania zakupionej w 1973 roku linii produkcyjnej wraz z technologią (know-how) wytwarzania diod i tyrystorów mocy jest inwestycja ulokowana w Laminie (Piaseczno). W 2015 roku minęło 40 lat od uruchomienia produkcji tych półprzewodnikowych podzespołów, które są w dalszym ciągu wytwarzane i montowane w prostownikach trakcyjnych i prostych napędach elektrycznych w kraju, oraz eksportowane w znacznych ilościach do amerykańskiego licencjodawcy POWEREXA (następcy Westinghouse), mimo tego, że nowocześniejsze moduły mocy, zwane IGBT, są od wielu lat powszechnie wytwarzane na całym świecie i stosowane w sterowanych napędach. Ponadto LAMINA na początku lat osiemdziesiątych dokonała odsprzedaży technologii licencyjnej oraz skompletowała importowane urządzenia do linii produkcyjnej, a następnie uruchomiła produkcję diod i tyrystorów mocy w Chinach, przy czym uniknęła „buy-backu” wytwarzanych tam wyrobów.

Specjaliści w krajach zachodnich zdawali sobie sprawę z tego, że sprzedaż technologii linii produkcyjnych do krajów rozwijających jest bardzo trudna i złożona, ze względu na utrzymanie własnej produkcji na maksymalnym poziomie, obawy związków zawodowych przed redukcją załogi oraz gwarancje jakościowe na rynku światowym dla wyrobów własnej marki. Znalazło to potwierdzenie na Międzynarodowym Seminarium Promocji Sprzedaży Technologii i know-how organizowanym przez Centrum Edukacyjne dla Międzynarodowego Kierownictwa (Center for Education in International Management), w którym brałem udział

w listopadzie 1979 roku.

W tygodniowym seminarium prowadzonym przez Hindusa – eksperta od spraw licencji - wzięło udział 26 uczestników z całego świata, przedstawiciele dostawców takich jak British Petroleum (BP), GTE International (USA), Volvo (Szwecja), Thyssen AG (Niemcy, Telemecanique (Francja) i potencjalnych odbiorców oraz menadżerów organizacji handlowych z Indii, Ameryki Łacińskiej, krajów skandynawskich, Arabii Saudyjskiej, Tunezji, Jugosławii i Polski. Prelegent prowadzący wykład dotyczący procedur sprzedaży licencji zakończył swoje wystąpienie radą dla sprzedających, by, po dostawie zakontraktowanej technologii FLY WITH MONEY (uciekali z pieniędzmi) – jak najszybciej, aby uniknąć kłopotów z trudnym wdrażaniem. Na ćwiczeniach warsztatowych analizowałem z szefem handlowym VOLVO przedsięwzięcie licencyjne produkcji małego Fiata 126p w Polsce. Biorąc pod uwagę wielkość produkcji, cenę i bardzo duży popyt na ten samochód przedstawiciel Volvo uznał wdrożenie tej produkcji w Polsce za optymalne dla masowego odbiorcy.

Na jednym ze wspólnych obiadów uczestnicy opowiadali sobie dowcipy, więc ja, składając ukłon w kierunku szwajcarskich gospodarzy, opowiedziałem standardowy dowcip-zagadkę, prezentowany często przez Prof. W. Barwicza - specjalistę wyróżniającego się w takich okolicznościach ze strony polskiej:

Pytanie: What is a difference between Swiss admiral and vacuum cleaner?

Odpowiedź: Vacuum cleaner sucks, sucks and never fails.

Swiss admiral fucks, fucks and never sails.

Pytanie: Why?

Odpowiedź: Because there is no sea in Switzerland.

Wywołało to dużą wesołość wśród uczestników seminarium, mniejszą wśród gospodarzy.

Począwszy od 1986 roku do 1992 roku pracowałem w angielsko-polskiej firmie importowej urządzeń i podzespołów elektronicznych OMC (Overseas Marketing Corporation), jako przedstawiciel techniczno-handlowy firm zachodnich, gdzie miałem okazję zapoznania się z produkcją i zastosowaniem hallotronowych czujników prądowych wytwarzanych przez szwajcarski koncern LEM. Przez 25 lat współpracowałem z firmą LEM, w tym ostatnie szesnaście lat w polskiej firmie DACPOL w Piasecznie - zajmującej się działalnością handlową, produkcyjną, doradczą i usługową w zakresie kompleksowych dostaw podzespołów do energoelektroniki, elektroniki, automatyki i elektrotechniki. Przyczyniliśmy się do uruchomienia produkcji nowoczesnej aparatury pomiarowo-sterującej w wielu polskich zakładach przemysłowych. Można tu w szczególności

wymienić następujące zakłady: MEDCOM z siedzibą w Warszawie, NEWAG z Nowego Sącza i PESA (Pojazdy Szynowe Bydgoszcz), w których wykorzystywane są czujniki prądowe LEM służące do sterowania napędów w pojazdach trakcyjnych. Wysoko prądowe precyzyjne czujniki zostały również zastosowane do pomiaru prądu w elektrolizie miedzi do rozliczeń masy miedzi wytwarzanej przez KGHM Głogów.



Przy stanowisku LEMa na VI Konferencji Modernizacja Taboru Szynowego, Bydgoszcz, 15-17.04.2009

Firma LEM co dwa lata organizuje w krajach produkujących czujniki seminaria dla swoich dystrybutorów z całego świata. Ostatni raz byłem na takim seminarium w Pekinie.

Wychodząc naprzeciw intencjom ustawy rządowej o przedłużeniu wieku emerytalnego do 67 wykonałem ją opacznie kończąc pracę zawodową w wieku 76 lat, to jest 31 Stycznia 2012 roku. Obecnie spędzam mój bezterminowy urlop dzieląc czas pomiędzy czytanie Time'a, sprzątanie działki – wraz z domem letniskowym - w lesie koło Popowa, a także coroczne wyjazdy na wczasy zagraniczne do północnej Afryki lub Turcji.



Pekin - Zakazane Miasto – 2011 r.

Maria Łacka



Wsiąść do pociągu byle jakiego



A więc Politechnika.

Nic innego nie wchodzi w grę, a dlaczego to zaraz powiem.

Jest rok 1939, maj. Niedawno skończyłam trzy lata i właśnie podskakuję na brzuchu mojego Taty i robię „patataj”.

A mój Tata ma 39 lat, jest wziętym adwokatem, ma swoją kancelarię i jest działaczem społecznym Narodowej Demokracji i właścicielem majątku ziemskiego w okolicy Płocka.

A ja, jego ukochana córeczka, gadam jak nakręcona, umiem kilka wierszyków i jestem obiektem jego wielkich planów.

- Poślemy ją na prawo na Uniwersytet a potem obejmie moją kancelarię – mówi Tata. Za mąż ją wydamy za chłopca z sąsiedniego majątku – planuje Tata.

Moja 25 letnia Mama przytakuje mu we wszystkim.

- Wojny nie będzie. Niemcy się nie odważą, nie odważą się – podkreśla Tata.

A ja podskakuję radośnie i nic mnie nie obchodzi co tam zaplanowali.

Jest 14 lat później.

Zdaję maturę. Mój Tata, ranny podczas wojny, przedarł się na Zachód i nie wrócił do Polski Ludowej. Nie miał po co. Nieraz oskarżał w sądzie komunistów. To jeszcze jeden powód, żebym była jednostką nietolerowaną w PRL. Pierwsze ostrzeżenie przychodzi po maturze. Jestem najlepszą uczennicą w klasie, ale nie dostaję dyplomu „przodownika nauki i pracy społecznej”. Z tym dyplomem można iść na każde studia. Ja nie mogę iść na każde studia, prawo jest w ogóle wykluczone.

Najbardziej w szkole lubię matematykę. Ona wydaje mi się królową nauk i porządkuje mi świat. Rozwiązuję z przyjemnością zadania z matematyki i fizyki. Nauczyciele radzą mi iść na Politechnikę. Polska w budowie i inżynierów bardzo potrzeba.

Zdaję egzamin na Wydział Elektryczny. Siedzi przede mną młody, ładny chłopak w czerwonym krawacie.

– No, no – mówi. Ma pani piątkę z egzaminu z matematyki i piątkę z fizyki, a ciekawe czy pani zna historię WKPB.

– Znam, mówię bez stresu, proszę mnie przepytać.

Odpowiadam na wszystkie pytania. Widzę, że nie wie co zrobić. Jak mi postawi dwóję to koniec, ale widzę po jego oczach, że mu się podoba ta 17-letnia pewna siebie smarkata.

– No tak – mówi po chwili, to ja postawię pani czwórkę.

Wielka nadzieja wlewa się w moje serce. I rzeczywiście jestem na liście przyjętych.

Matematyka, fizyka nie sprawia mi żadnych trudności. Na sprawdzianach rozwiązuję szybko zadania dla swojego rzędu i zadania z sąsiedniego rzędu. Posyłam kolegom ściągę, a oni odwzajemniają mi się później. Podstawy elektrotechniki, mechanika, nic nie sprawia mi trudności. Aż nadchodzą kreślenia techniczne. Rysuję na kalce, robię kleksy z tuszu. Wycieram, skrobię w arkuszu robi się dziura. Biorę drugą kalkę. Siedzę całą noc i dumna z siebie zanoszę rysunek. Ale co to? Dostajemy swoje arkusze. Mój pokreślony na czerwono, a na nim wielka, czerwona dwójka. Oczom własnym nie wierzę. Zamykam się na przerwie w damskiej łazience i wybucham przeraźliwym płaczem. Płaczę rozpaczliwie i głośno, bo pierwsza dwójka jaką dostałam w życiu wydaje mi się straszną niesprawiedliwością.

Jakaś starsza studentka usiłuje mnie wyciągnąć z toalety.

– Dziewczyno, co tobie, jak ty wyglądasz, co się stało?

– Dostałam dwóję – pochlipuję, a ona wybucha gromkim śmiechem.

– To jeszcze niejedną dostaniesz – mówi – i niestety ma rację.

Jest tylko coraz gorzej. Z pomocą przychodzi koleżdy z grupy.

– Co ty robisz – denerwują się. Tu ma być rzut boczny, czy Ty tego nie widzisz?

Niestety, mimo moich wysiłków nic z tego nie wychodzi.

Ale najgorsze jest przede mną. Geometria wykreślna i przenikanie brył. W walec wchodzi ostrosłup. Rzut poziomy i boczny. Czy ja coś widzę? Nic nie widzę i nic nie wiem, jak to w ogóle rysować. Chodzi po sali asystent inż. Ropelewski. Pokazuje mi palcem:

– To tak, a to tak.

A ja dalej nic nie wiem. Sadyta jest ten Ropelewski, prawda panno Marianno – śmieje się. A panna Marianna spocona ze strachu rysuje wszystko źle.

– Inżynier każdy powinien widzieć przestrzennie - poucza nas profesor Wocjan.

No to niestety nie ja. Ja nic nie widzę przestrzennie. Wyrzuca mnie z tej Politechniki mimo piątek z matematyki i fizyki i innych przedmiotów. Wpadam w rozpacz. Na szczęście dostajemy do wykonania arkusze z geometrii do domu. Moi koledzy z grupy rysują za mnie i wreszcie mam tróję. Jeszcze dwa arkusze do wykonania w domu. Moja Mama prosi znajomego architekta. Rysuje za mnie i dostajemy 3+. Na koniec roku słaba trójka, ale jest. No i dalej to już nie ma dla mnie przeszkód.

Zaczyna się laboratorium z maszyn i silników elektrycznych. Stoimy trójkami przy swoich stanowiskach. A mnie się bardzo podoba asystent. Ciągłe patrzę się na drzwi do sali, kiedy przyjdzie. Trzymam w ręku dwa przewody, coś łączę, ale ciągle zerkam na drzwi. Potworny ryk rozbieganego silnika przywraca mnie do rzeczywistości. Huk, trzask i wyrzucają wszystkie bezpieczniki. Wchodzi asystent i po chwili w fartuchu laboratoryjnym przynosi do naszego stanowiska dwa bezpieczniki ze stopioną od gorąca porcelaną. Mam chęć zapaść się pod ziemię. Koledzy patrzą na mnie z dezaprobatą.

Wybieramy sobie, gdzie mamy studiować ostatnie dwa lata. Elektrownie, Sieci, Trakcja Elektryczna, Wysokie Napięcia, Silniki Elektryczne. O nie, nie to wszystko nie dla mnie. Coś spokojnego i bardziej damskiego. Albo miernictwo, albo oświetlenie.

W końcu wybieram oświetlenie. A tam raj na ziemi. Kochany profesor Oleszyński oprócz tego, że nas uczy, zachęca nas do żeglarstwa. Zapisujemy się do klubu PTTK „Rejsy” i pływamy z Jurkiem Dąbrowskim i Ryśkiem Malewskim. Pływamy żaglówką po Wiśle, szalupą u Jurka po Bugu. Pływamy na Mazurach, pływamy po morzu. Robimy stopnie żeglarskie po kolei. Oni dochodzą do stopnia kapitana, ja zostaję na stopniu sternika morskiego.

Bez zakłóceń bieżą nasze studia. Robimy dyplomy i do pracy.

Jest rok 1959. Łąduję w Głównym Urzędzie Miar i Wag. Olbrzymie laboratorium fotometryczne i jesteśmy tam ze cztery dziewczyny i nasz kierownik, mocno starszy pan po sześćdziesiątce. Legalizujemy luksomierze, robimy wzorcowe żarówki do innych laboratoriów. Po każdym drugim śniadaniu tłumaczymy naszemu kierownikowi, że powinien się na chwilę położyć. Jest na antresoli w tym przepastnym laboratorium mała kozetka. On korzysta z tego skwapliwie, a my włączamy lampy soluks i opalamy się w kostiumach kąpielowych. Nasz kierownik bardzo nas lubi. Mierzmy wszystko dokładnie i sprawnie. Najstarsza z nas pracuje tu już parę lat. Ona pisze sprawozdania.

Po roku pracy wyjeżdżam na parę miesięcy prywatnie do Anglii.

Po powrocie, 1 listopada 1960 r. rozpoczynam pracę na Politechnice Warszawskiej w Gospodarstwie Pomocniczym Zakładu Radiotechniki na stanowisku konstruktora, gdzie wykonuję pomiary spektrograficzne

potrzebne do badań lamp elektronowych. Pracując na Politechnice spotykam swojego asystenta, a później profesora pana Zycha, który mnie gorąco namawia, abym przyszła do Katedry Fizyki jako asystent. Odmawiam, bo dobrze pamiętam jak studenci na Politechnice nie lubią fizyki i praca dydaktyczna wcale mi nie pasuje.

Od 1 maja 1962 roku zaczynam pracować w Centralnym Ośrodku Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa w Zakładzie Zabezpieczenia Ruchu Kolejowego na stanowisku pracownika inżynierji technicznego, organizując laboratorium oświetleniowe pracujące dla celów PKP.

W 1962 roku przeszłam na stanowisko naukowo-badawcze asystenta, a w 1966 r. zostałam powołana na stanowisko adiunkta naukowo-badawczego i otrzymałam trzecią grupę dystynkcji kolejowych (pułkownik).

A teraz trochę wspomnień, jak wyglądała moja praca.

Instytucja nasza w czasach PRL-u była całkowicie podporządkowana Ministerstwu Komunikacji. Wszystkie katastrofy kolejowe, przejechanie semafora czy rozjazdu na zwrotnicy były kierowane do nas z prośbą o ekspertyzę. Mój odpowiednik w Ministerstwie, starszy pan wysokiej rangą od razu zaczął ze mną współpracę.

- Pani magister, znowu maszynista przejechał rozjazd. Coś źle jest z tą latarnią zwrotnicową.
- Dobrze – mówię – prosimy o zlecenie.

Idę po śniegu do rozjazdu. Latarnia wygląda dobrze. Nawet szkło jest czyste. Świeci się prawidłowo. Ale co to, na urządzeniach grzejnych zwrotnicy robotnicy torowi grzeją sobie kaszankę. Tłuszcz spływa na styki i rozjazd źle działa. Wysoki rangą urzędnik Ministerstwa jest oburzony.

- To ja proszę panią o opinię o latarni zwrotnicowej, a pani o kaszance.
- Bo to kaszanka jest przyczyną złego działania urządzeń, a latarnia zwrotnicowa jest w porządku. I tak napiszę w opinii.
- Pani magister, w opinii tylko o latarni bardzo proszę, a ja już tym łobuzom pokażę, gdzie raki zimują.

Za parę dni znowu awantura. Maszynista pociągu towarowego przejechał dwie stacje i zatrzymał się na trzeciej, jak zawiadowca stacji obrzucił lokomotywę kamieniami. Sprawa jest jasna jak słońce na niebie. Spał, leżąc ramionami na przycisku samoczynnego hamowania.

- Pani magister, maszynista i zawiadowca stacji zeznają, że nie było widać semafora.
- Akurat – mówię. Spał, to jest pewne.
- Prosimy o opinię. Niech pani tam pojedzie.
- Dobrze – mówię. A może pan pojedzie ze mną?
- Co – wysokiej rangą urzędnik jest zaskoczony – ja taki starszy pan

będę w nocy jeździł, a pani magister taka młodziutka. Więc młodziutka pani magister wsiada do pociągu i jedzie z maszynistą, żeby stwierdzić, że semafor widać prawidłowo.

I znowu.

- Pani magister, pociąg towarowy zostawił trzy ostatnie wagony na trasie. Zawiadowca stacji zeznaje, że wydawało mu się, że cały pociąg przejechał. Te sygnały końca pociągu są źle widoczne.

To ostatnie to prawda, ale jakby zawiadowca wyszedł z budynku i spojrzął za pociągiem to w nocy na pewno by zobaczył czerwone światelka końca pociągu, albo ich brak. Oboje jednak ustaliśmy, że światła końca pociągu są ledwo widoczne i że trzeba coś z tym zrobić.

- To może zerknąć co mają nasi wschodni sąsiedzi – entuzjazmuje się mój odpowiednik z ministerstwa. Niech pani magister to zbada.
- A nasi wschodni sąsiedzi na końcu pociągu towarowego mają miotłę umocowaną na kij, wiechą do góry – jestem zachwycona i melduję o tym mojemu odpowiednikowi.
- Pani żartuje sobie ze mnie, prawda? - słyszę w słuchawce.
- Nie, skąd, tak jest naprawdę i to wcale nie jest głupie. Naczelnik stacji wcale nie musi nigdzie wychodzić, żeby zobaczyć sterczącą miotłę na tle nieba albo śniegu. Wiecha na kij jest stosowana w nawigacji na rzekach do oznakowania farwatoru.

To ostatnie załamuje zupełnie wysokiego urzędnika z Ministerstwa.

- Pani magister, o miotle nie ma mowy, my przecież należymy też do UJC (Międzynarodowa Unia Kolejowa).
- No to już lepiej. W UJC mają latarnie z prawdziwego zdarzenia i spróbujemy pokombinować z naszymi

I znowu wypadek i maszynista zeznaje, że widział semafor pomarańczowy. Jadę tam i faktycznie. Właściwie to jest czerwony, ale jakby jaśniejszy. W normie nie mieści się na pewno. Zawiadowca wyjmuję czerwoną soczewkę i mówi, że to z ostatniej partii soczewek. Oglądam je i już na oko widzę, że nie mieszczą się w normie. Pomiar barwy to potwierdza, a maszynista w sprawie dochodzeniowej ma duży plus na swoją korzyść. Jadę do Jasła, gdzie produkuje się szkło barwne na potrzeby kolei. A tu oglądam jak odbywają się odbiory komisaryczne szkieł płaskich kolorowych i soczewek. Nikt tu barwy nie mierzy. To tu, w Jasle powinno być laboratorium fotometryczne i tu od razu powinno się mierzyć barwę soczewek i szkieł dla kolei. Wracam do Warszawy i przy pomocy mojego wspólnika z Ministerstwa Komunikacji urządzam ogromną awanturę. Nie minie wiele czasu, jak w Jasle powstaje laboratorium i młody fizyk z Krakowa, dokładny i zaangażowany znakomicie zdejmuje mi z głowy część kłopotów.

Ale są i inne problemy.

- Pani magister, maszynista przejechał semafor i twierdzi, że był zielony. No mówię, on zawsze tak twierdzi.

Ale inni maszyniści to potwierdzają, tam coś jest nie tak.

Więc znowu jadę i usiłuję wypatrzeć semafor czerwony, ale mi się zdaje, że widzę zielony. Co to jest u licha? To lampa rtęciowa na przejeździe świeci się wśród zielonych liści drzewa. Maszynista, z którym jadę usiłuje mnie naprowadzić i pokazuje, że semafor czerwony świeci się poniżej, ale ja niestety mam wrażenie, że zielony dominuje.

Musimy się wziąć za oświetlenie przejazdów. Jadę na przejazd kolejowy na południe Polski. Wsiadam na stacji i idę 3 km przez las do przejazdu. Przy przejeździe budka dróżnika. Pukam do drzwi. Kiedy drzwi się otwierają stoję jak wmurowana z wrażenia. Przede mną stoi piękna dziewczyna. Pantofle czarne od munduru, króciutka spódniczka też od munduru, biała bluzeczka z koronkami, perełki i perłowe klipsy w uszach. Przepyszna masa jasnych włosów spięta w kok na karku. To tak wygląda dróżnik w Zadupiu Dolnym. Po prostu mnie zatkało.

Ona odzywa się pierwsza.

- To pani jest ten inżynier z Warszawy – w głosie nuta zawodu.
- No tak – wreszcie przytomnieję. To jasne, nie na mnie przecież czekała.

Ale po chwili zaprzyjaźniamy się i rozmawiamy jak stare znajome. Kiedy robi się ciemno, ona pomaga mi robić pomiary natężenia oświetlenia na przejeździe i na barierze zaporowej.

- Czy pani się nie boi siedzieć w tym lesie tak daleko od stacji – pytam.
- Nie – mówi – ja jestem „zwyczajna” A pani pójdzie sama te 3 km do stacji – pyta się z kolei ona.
- Pójdę – mówię – ja też jestem „zwyczajna”.

Idę po torach pod ogromną kopułą nieba i co chwilę stoję, żeby lepiej zobaczyć wszystkie gwiazdozbiory i gwiazdy, które pokazywały kierunek w nawigacji na morzu.

Zdejmujemy z przejazdów wszystkie lampy rtęciowe. Zastępujemy je sodowymi. Nawet jak maszynista pomyli lampę sodową z semaforem pomarańczowym, to na pewno nie widzi nic zielonego.

Zgłoszenie z Kutna. Są problemy z oświetleniem na Stacji Rozrządowej. Biegam po torach rozrządowych z luksomierzem, a za mną Zawiadowca Stacji.

- Panie zawiadowco – mówię – ja mogę mierzyć sama.
- Pani magister, ja się denerwuję. Pani skacze po tych torach jak sarenka, wagony cicho z góry się toczą. Człowiek lata całe tu pracuje i niejedno widział.

I rzeczywiście, bezpiecznie nie jest. Ciemno okropnie, wagony zjawiają się cicho jak duchy. Płozowi hamują je podkładając rękami drewnianą płozę pod koła. Praca tragicznie niebezpieczna, ale do zastosowania hamulców na górcie jest jeszcze trochę czasu. Źle są tu ustawione latarnie oświetlające teren. Piszę opracowanie na temat wytycznych oświetlenia Stacji Rozrządowych.

A teraz trochę jak pracujemy.

Nasz Zakład Sterowania i Telekomunikacji mieści się na Hożej. Jest to idealna lokalizacja. Miejsce strategiczne do robienia zakupów. W pobliżu jest Hala na Koszykach i tam ze dwa razy na tydzień pojawia się mięso. Więc polujemy na nie wystawiając codziennie o godzinie dziesiątej dyżurnego na Koszyki. Oprócz tego mamy wszyscy dobry dojazd do pracy w okropnie zatłoczonych tramwajach. Dalekie echa dochodzące do nas o budowie naszego Instytutu na Olszynie Grochowskiej wydają nam się realne.

W 1962 roku nasz Centralny Ośrodek nabywa praw Instytutu. Przechodzę na stanowisko naukowo-badawcze asystenta i zaczynam przygotowywać się do stanowiska adiunkta. I teraz właśnie jest najlepszy czas na robienie doktoratu. Mam jedno dziecko, babcię w domu, dobrą pracę, wspaniałego Kierownika Zakładu. Ale mnie się wydaje, że mam jeszcze mnóstwo czasu, życie przede mną i wszystko zdążyć. I to jest błąd, bo potem już będzie trudniej.

W 1966 roku zostaję powołana na stanowisko adiunkta naukowo-badawczego i przeszeregowana na trzecią grupę dystynkcji kolejowych. Mam mundur pułkownika, który robi piorunujące wrażenie na terenowych pracownikach PKP. Odkąd w Sochaczewie, na stacji, na widok mnie i maszynisty w kabinie jednostki elektrycznej, jakaś przerażona babina z dwoma koszami jajek przeżegnała się krzyżem świętym i nie wsiadła do pociągu, noszę mundur.

Mundur uzasadnia moją obecność w kabinie maszynisty, na torach, na stacjach rozrządowych i na peronach. W mundurze, kiedy nocuję w noclegowni dla maszynistów nikt nawet do mnie nie podejdzie. Jestem bezpieczna i zaopiekowana.

Jest rok 1970, styczeń. Moja dziewięcioletnia córka pisze w zeszycie w trzy linie swoje pierwsze wypracowanie pt. „Moja Mama”. Pięć krótkich, ale jakże wiele mówiących zdań:

„Moja Mama ciągle pierze i gotuje. Moja Mama prasuje i sprząta. Moja Mama szyje mi ładne sukienki. Moja Mama opiekuje się moją malutką siostrzyczką. Oprócz tego pracuje w COBiRTK.”

Wypracowanie wprowadza mnie w ponure zamyślenie. Więc to tak widzi moją pracę moja córka. Ja pracuję „oprócz tego”, czyli oprócz czego, oprócz

tego co mam w domu. A w domu mam dwumiesięczną rozwrzeszczaną Kiciunię.

Dzwoni do domu mój wysoki urzędnik z Ministerstwa.

Pani magister, czy pani oszalała? W pracy pani nie ma i mówią, że pani jest na urlopie macierzyńskim. W pani wieku to skandal!

W jakim wieku, denerwuję się, mam 33 lata i dopiero drugie dziecko.

- No to dobrze, że ja idę na emeryturę – dodaje. Ile ma pani tego urlopu?
- Trzy miesiące – mówię. Listopad, grudzień, styczeń i w lutym będę w pracy.

Ale co ja zrobię z Kiciunią to nie wiem. Moja sytuacja życiowa uległa zmianie, ale dam radę, na pewno. Znajomi mi polecają pomoc do dziecka. Dziewczyna ze wsi pod Warszawą. Nie umie gotować, nie sprząta, chodzi z wózkiem na spacer. A ja dwoję się i troję. Pracuję teraz przez rok tylko siedem godzin dziennie.

Jest zła widoczność semaforów w dzień. Słońce zagląda do komory i źle widać jaki semafor się świeci. Pracujemy nad wydłużeniem daszka ochronnego. Udaje się nam zaprojektować zupełnie dobry daszek osłaniający, który zostanie wprowadzony na PKP za parę lat. Na razie zostaje opatentowany w Urzędzie Patentowym.

A na Hożej u nas w Zakładzie zostaje wzmoczona dyscyplina pracy. Nasza sekretarka stoi przy liście obecności i punkt ósma rano zabiera ją. Biegniemy za nią po schodach, błagając, żeby dała nam się podpisać. Ale nie. I wszyscy mają pisać wyjaśnienia i z nimi stawić się u Kierownika Zakładu.

- Łącka znowu się spóźniła 6 minut – melduje głosem pełnym satysfakcji.

Jestem wściekła. Staję przed Kierownikiem Zakładu, zmęczona i niewyspana i mówię mu, że kiedyś pobiję tą służbistkę.

- A fe, pani Marysiu – kierownik rozładowuje moją frustrację – niech pani tak nie mówi. Ona nie ma dzieci i nie wie jak to jest, a ja przecież wiem, że pani nie może wyjść z domu dopóki ta dziewczyna do dziecka nie przyjdzie.

Chwilowo się uspokajam.

A na PKP następne zagadnienie. Czy można w warunkach nocnych przyciemnić, przez zmianę napięcia, żarówkę w komorze sygnalizacyjnej i jak to wpłynie na barwę sygnału i na jego widoczność. Z barwą zieloną nie będzie kłopotu, a czerwona będzie miała jeszcze głębszą czerwień, ale czy widoczność semafora będzie prawidłowa? Robię pomiary barwy i rozpisuję dla maszynistów ankietę w sprawie widoczności.

Mija rok i dostajemy wielkie zlecenie z Departamentu Wojskowego Ministerstwa Komunikacji pt. „Przyciemnianie terenów kolejowych,

budynków stacyjnych i sygnalizatorów świetlnych stosowanych na PKP podczas warunków specjalnych”, czyli mówiąc po ludzku podczas wojny. Projektujemy długi daszek z przesłoną. Podana jest wysokość najniższego pułapu samolotów, więc obliczenie przesłony nie stwarza problemów. Robimy przesłony w kształcie plastra miodu na latarnie i świetlne znaki przytorowe. I wreszcie próba terenowa, którą ja organizuję. W lasach celestynowskich ma być wyłączony prąd w miastach i wsiach w promieniu 30 km. Semafor i świetlne wskaźniki są zasilane i zaopatrzone w przesłony. Nad lasem ma latać samolot i wysoka komisja z Ministerstwa ma nas nie widzieć. Dyrektor naszej instytucji jest poddenerwowany.

- Pani Marysiu, Minister chce lecieć w tym samolocie. Czy pani jest pewna, że wszystko będzie w porządku?
- Tak – mówię – będzie na pewno.

Jadę na stację. Przyjeżdżają zawiadowcy okolicznych stacji i monterzy. Rozchodzą się, żeby założyć przesłony i daszki. Ja zostaję na miejscu i po chwili rozglądam się po nastawni. I widzę, że z każdej porzuconej przez nich torby i teczki wystają butelki. W szafie na ubrania też stoją trzy butelki. Wyjmuję te wszystkie butelki i zamykam na klucz w swojej szafce pięć litrów wódki z czerwoną kartką. Wracają wieczorem, żeby zjeść kanapki na kolację i rozglądają się nerwowo. W końcu jeden się odważa:

- Pani magister, bo my tu coś mieliśmy do kolacji.
- Wszystko jest schowane i pod kontrolą – mówię. Po próbie dostaniecie z powrotem, a teraz proszę sobie ugotować herbatę. Miny im się wydłużają, ale ja ani myślę ryzykować, że w tych ciemnościach ktoś mi wpadnie pod pociąg.

Wreszcie godzina „W”. Gaśnie wszystko. Leci samolot i zniża się. Tory w nocy widać w poświacie księżyca. Leci wzdłuż torów raz, drugi i trzeci. Próba skończona, a teraz, kiedy zapalą się światła na stacjach trzeba to wszystko zdjąć, żeby pociągi mogły normalnie jeździć. Kończymy o drugiej w nocy. O drugiej trzydzieści przyjeżdża po mnie technik z Olszynki i wpada w sam środek wielkiej, radosnej libacji, ale jemu nie pozwalam wypić ani pół kieliszka. Do nyski, którą przyjechał ładujemy potrzebne do próby rzeczy i zawiadowcę jednej ze stacji, który jest już zupełnie na leżąco. Mam obiekcje, czy można przewozić ludzi „na budzie”, ale technik mnie upewnia, że o tej porze o milicji nie ma mowy. Jedziemy przez las wąską leśną drogą i nagle jakieś światła. Co jest, do cholery, niepokoję się. Samochód się zbliża i staje przed nami w tych krzakach.

- Pani Marysiu, milicja – mówi przerażony technik.

Wysiadam z kabiny i zaczynam pierwsza.

- Nazywam się tak i tak, prowadzę próbę zaciemnienia sygnałów świetlnych, proszę, to moja delegacja. A panowie co tu robią?

- Chcieliśmy zobaczyć, dlaczego włączono światło i co tu się dzieje. Kto jest kierowcą – pyta milicjant.
- Kierowcą jest technik z naszego instytutu z Olszynki Grochowskiej.
- Proszę o papiery wozu. Wszystko w porządku.

Wyjmują alkomat. O Boże, ale byłam przewidująca.

- A na budzie co macie – pytają się.
- Przyrządy pomiarowe, proszę niech pan sam zajrzy – mówię swobodnie, myśląc, że nie będzie się przez krzaki przeciskał.

- E, nie będę zaglądał, to jedźcie spokojnie, dobranoc.

Ruszamy. Chwila ciszy. Mój technik zaniemówił. A za chwilę:

- Pani Marysiu, z panią można konie kraść. Ja zawsze po panią pojedę wszędzie, gdzie pani będzie robiła pomiary.

Na stacji za ręce i nogi wytaszczamy przy pomocy dróżnika z przejazdu pana zawiadowcę i układamy go na peronie. Jest ciepło, nic mu nie będzie. Rano się obudzi.

O czwartej rano jestem w domu. Spać, spać i tylko spać. Zасыpiam jak kłoda. Ale co to, ktoś mi radośnie podskakuje i palcem otwiera oczy. To Kiciunia o piątej trzydzieści zawsze wstaje radosna i pełna życia. O spaniu nie ma mowy. Wstaję i zaczynam dzień jak co dzień. Przychodzi moja pomoc. Proszę ją żeby pobawiła się z Kiciunią, a jak wszyscy wyjdą już z domu to się prześpię. Wychodzą, więc zamykam się w pokoju i kładę. Ale nie z Kiciunią takie numery.

- Do Mamy, do Mamy – drze się przeraźliwie i zanosząc się żalonym płaczem bije rączkami w zamknięte drzwi. Wstaję więc, może prześpię się później.

Czy takie powroty zdarzają się raz na parę lat? Ależ skąd, pomiary oświetleniowe robi się na ogół w nocy, a wstaje się z pierwszym blaskiem słońca.

Dyrektor COBiRTK zachwycony:

- Pani Marysiu, bardzo dziękuję. Minister dzwonił bardzo zadowolony i twierdzi, że sygnałów nie było z góry widać. Te daszki i przesłony są bardzo dobre.

Wracamy do normalnych problemów kolejowych. Wojny chyba na razie nie będzie. Trzeba coś zrobić z latarnią końca pociągu. Te ciekące akumulatory są zmorem dla maszynistów. Soczewka czerwona gruba bardzo, przepuszcza mało światła. Zamiast soczewki szkło płaskie czerwone, a w środku mały reflektorek i umieszczona w nim w ognisku żaróweczka. I jeszcze na płycie czołowej cztery trójkąty. Dwa białe i dwa czerwone. Ogniwo zasilające żarówkę suche. Rysują to wszystko moi koledzy z Działu Mechanicznego i robią prototyp. W Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego wznawiają produkcję. Kiedy nadejdzie era folii odbłaskowych, trójkąty nakleja się folią. Ale na razie nowa latarnia jest lepsza i lżejsza od

poprzedniej. Czy będzie widać istniejące sygnały przy szybkości pociągów powyżej 140 km/godz.? Robię obliczenia i badania terenowe. Maszyniści wypełniają ankietę.

Czas biegnie, dzieci rosną, ale czy kłopotów mniej?

Wracam z pracy. W drzwiach list (mam go do dziś). Na wierzchu kartki napisane: „Tylko do Mamy”, no więc czytam: „Pani kazała Ci przyjść jutro do szkoły”. Aha, moje młodsze, energiczne i żywiołowe dziecko znowu coś zbroiło. Wieczorem w ciszy i spokoju usiłuję się czegoś dowiedzieć. Zeznania ośmioletniego malucha wprawiają mnie w osłupienie.

– Mamo, wzięłam klucz od piwnicy i otworzyłam i wyniosłam rower. Własnym uszom nie wierzę, bo do piwnicy są kręcone schody i jest piętro niżej.

- I potem pojechałam.
- Gdzie na miłość boską – jestem przerażona.
- Po osiedlu, bo na tą dużą ulicę mówiłaś, żeby nie jeździć.

Oddycham z ulgą.

– I potem chciałam go wstawić, ale nie mogłam, więc jeździłam dalej, bo jakbym go zostawiła na dworze to by go ukradli. I w szkole zrobiła się przerwa i dziewczyny wybiegły na boisko i mnie zobaczyły i powiedziały Pani.

- To ty nie byłaś w szkole?
- Tak. Pani powiedziała, że byłam na czymś.
- Byłaś na wagarach, o Boże – w głowie mi się kręci od tych zwierzeń.
- Słuchaj – mówię spokojnie – czy Ty obiecujesz Mamie, że nigdy już tak nie zrobisz?
- Obiecuję.
- No to jutro pójdziemy razem do szkoły i przeprosisz Panią.
- Nie.
- No to powiesz Pani to co mnie i że już nigdy tak nie zrobisz.
- Nie.
- A dlaczego nie?

Mrużę oczy i patrząc się na mnie z ukosa cichutko prze zęby szepce:

- Bo Pani jest głupia.

Na drugi dzień zwalniam się z pracy i idziemy do szkoły. Pani wychowawczyni nie zostawia na mnie suchej nitki. Krzyczy głośno o matkach, co robią karierę zawodową, a dzieci z kluczem na szyi pętają się po podwórkach.

- Zobacz pani, co ona robi, jak będzie miała szesnaście lat. Teraz ma osiem i już są kłopoty.

Zdołowana dokładnie wracam do pracy. Zamykam się w ciemni i mierzę szkła płaskie kolorowe. Czy ja powinnam pracować? Moje drugie dziecko jest trudne. Co robić, co robić?

Cichutko mruży monochromator. Zasypiam i kiedy po godzinie się budzę już wiem. Zapiszę tą smarkatą do harcerstwa.

Zima 1978/1979 jest ciężka i śnieżna. Dzwoni dyrektor z Olszynki.

– Pani Marysiu, Minister był w Moskwie i przywiózł lampę ksenonową. Oni tam oświetlają nią górki i stacje rozrządowe. Pani ją włączy u nas, prawda?

No tego jeszcze brakowało.

- Proszę, żeby pani jutro o trzynastej była u mnie w gabinecie, bo minister będzie dzwonił.
- To może ja pójde tu do Ministerstwa, to jest dwa kroki.
- Nie, nie. Ja chcę porozmawiać z ministrem, a później pani już tak fachowo.

A jutro śnieg wali jak zwariowany. Minus dwadzieścia stopni i śnieżyca. Cała komunikacja staje. Więc dzwonię, że nic nie jeździ, ale dyrektor koniecznie, ale to koniecznie chce, żebym „jakoś” przyjechała. Więc ubieram kozuch i ciepłe buty i idę na piechotę. Na moście Poniatowskiego cisza, spokój, biało i ślicznie. Szkoda, że nie wzięłam nart biegowych. Byłoby szybciej. Idę trzy godziny i jestem na czas. Dyrektor zadowolony bardzo, ale kiedy dowiaduje się, że przyszłam na piechotę ma dziwną minę. Dzwoni minister. Dyrektor w lansadach rozmawia z nim i zgadza się na wszystko.

- No, a teraz niech Minister porozmawia z fachowcem.

Więc fachowiec panu ministrowi klaruje, że żeby lampę powiesić to trzeba na Olszynie zrobić rusztowanie, bo ona waży ok. 15 kg. Poza tym jest wrażliwa na wahania napięcia, a u nas na górkach rozrządowych są spadki 20%. Lampa zgaśnie i nie będzie się chciała tak szybko zapalić.

Minister słucha moich wywodów, ale dalej się upiera, żeby lampę wypróbować na Olszynie, a potem powiesić ją w terenie. Dyrektor zgadza się na wszystko i obiecuje zrobić próbę. Może już przetarli tę ulicę. Odwiozę panią moim samochodem – mówi.

Wszystko zaczyna się kręcić wokół tej cholernej lampy. W końcu wysyłają nas do Moskwy, żeby bliżej zbadać temat. Jedziemy we trójkę. Ja i mój kolega z działu mechanicznego oraz sekretarz partii całej naszej instytucji. Lądujemy popołudniu i od razu wychodzimy na miasto. Po powrocie wielka kartka papieru przytwierdzona na szafie z pięcioma podpisami Komisji informuje nas, że zarekwirowano naszą grzałkę, przy pomocy której moglibyśmy sobie ugotować herbatę. No to trudno. Idziemy spać, a rano kupimy sobie wodę mineralną albo jakiś sok. Rano wybiegam po zakupy i wracam z chlebem, śmietaną i szampanem. Kolega sekretarz

kończył studia w Moskwie, więc nie okazuje zdziwienia, natomiast mój drugi kolega urządza wielką awanturę.

– Czyś ty oszalała – krzyczy. To my na śniadanie będziemy pić szampana? A po co ta śmietana?

– Śmietaną posmarujemy chleb, a szampanem popijemy – mówię.

Wieczorem mają być w sklepie śledzie. Na razie w sklepie jest jeszcze ocet i musztarda. Wychodzimy na miasto. Piękna panorama bitwy pod Borodino, galeria Trietiakowska. Jestem zachwycona. Biegamy we dwoje, bo kolega sekretarz ma inne zajęcia. Gdzie my zjemy obiad? Może mają w restauracji chociaż kapustę z ziemniakami – rozmarzam się. Idziemy do bardzo dobrej restauracji. Kapusty nie mają, ale mają przepiórki. Po godzinie oczekiwania podają nam talerze. Mój kolega znowu w stresie.

– Słuchaj – mówi – to jest wróbel, a nie przepiórka. My tu zdechniemy z głodu.

Wieczorem jemy śledzia z cebulą i chlebem, popijamy czystą wódką, a na deser konfiety czyli cukierki czekoladowe z szampanem. Rozmarzony nasz sekretarz śpiewa głośno „Lulajże Jezuniu”, wszak za dwa tygodnie będzie Boże Narodzenie. Pękamy ze śmiechu.

– Słuchaj – mówię – co ty wyprawiasz? Tu na pewno są podsłuchy.

Milknie przestraszony.

Na drugi dzień wieczorem idziemy we dwójkę do teatru Bolszoi. Kiedy się ubieram wyłączają światło i dopiero w kryształowym lustrze w teatrze stwierdzam, że srebrny, ażurowy sweterek mam włożony na lewą stronę. Prędko się przebieram w łazience. Na przerwie zwiedzamy teatr i ze zdziwieniem odkrywamy, że w bufecie stoi wielka kolejka. Sprzedają pokrojony w plasterki schab i bułki. Koniecznie, ale to koniecznie chcę taki kawałek schabu. Stajemy w kolejce i równo z dzwonkiem kończącym przerwę udaje nam się kupić. Wciśnięta w pluszowy fotel, zatopiona w falach cudownej muzyki Czajkowskiego pogryzam bułkę ze schabem i jestem najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Jedziemy zwiedzać stację rozrządową oświetloną lampą ksenonową. Dwóch ogromnych Gruzinów nam towarzyszy. Gruzini odróżniają się tu w Moskwie na plus. Ciemne, ogorzałe, inteligentne twarze. Śmieją się i żartują. Na górze rozrządowej rzeczywiście widno jak w dzień. Pracownicy wymieniają same zalety takiego oświetlenia. Na drugi dzień przyjęcie na naszą cześć. Wielki półmisek z kawiozem, wódka, a dla mnie pudełko konfietów i wino z rodzynków słodkie. Odsuwam to od siebie i mówię, że nie lubię słodczy. Wolę już jeść to co wszyscy.

– Skąd wy macie tyle kawioru – interesuje się mój kolega.

– Z Kamczatki – odpowiadają.

– No tak – wzdycham – u nas nie ma kawioru i nie ma Kamczatki.

– I całe szczęście Was Polaków, że u Was nie ma Kamczatki – śmieją

się na głos Gruzini. Oni nie boją się robić politycznych aluzji.

Jeszcze narada w Ministerstwie Komunikacji ZSRR. Nasz sekretarz zapomina rosyjskiego z wrażenia. Nic nie szkodzi, bo dajemy sobie świetnie radę. W końcu uczyliśmy się tego języka w szkole parę lat. Oni chcą nam takie lampy sprzedawać. My omawiamy ich wady i zalety oświetleniowe i eksploatacyjne. A decyzje podejmie nasze ministerstwo. W ostatniej chwili wpadamy do samolotu. Nie chcieli nas wypuścić z hotelu dopóki nie zebrała się pięcioosobowa Komisja i nie oddała nam grzałki. Chcieliśmy ją zostawić, ale nie było można, bo potem moglibyśmy ich oskarżyć o kradzież.

Lecimy do Polski, co za szczęście. Na kolanach trzymam wielką lalkę z bujnymi włosami. To było do kupienia. Każde dziecko radzieckie ma możliwość posiadania takiej lali.

Wieszamy naszą lampę w terenie i słuchamy skarg na jej eksploatację. Po jakimś czasie temat umiera śmiercią naturalną. Mija dwa lata i jest rok 1978. Wzywa mnie nasz dyrektor.

– Pani Marysiu, ja mam dla pani propozycję. Jakby pani zapisała się do PZPR to ja bym widział panią jako jednego z moich zastępców. Daje sobie pani radę z ludźmi, lubią panią i słuchają się – dodaje. Niestety, odmawiam kategorycznie.

W 1980 roku wybucha Solidarność. Jestem w swoim żywiole. Organizuję wiece, wygłaszam przemowy. Lubię bardzo stać na mównicy i mówić do pełnej sali. Nie mam tremy i nic nie muszę czytać z kartki. Powstaje Komisja Zakładowa. Dwóch młodych matematyków staje na jej czele. Ja zajmuję się sprawami kulturalno-oświatowymi. Organizuję dla dzieci Choinkę, bale sylwestrowe w naszej wielkiej sali na Olszynie, bilety do teatru i do Opery. A czy oprócz tego pracuję? No oczywiście też, ale praca społeczna zajmuje mi trochę czasu. Produkuje się coraz to nowsze źródła światła. Jak w ich świetle wyglądają malowane znaki przytorowe? Robimy badania terenowe i rozpisujemy dla maszynistów ankietę. PKP się modernizuje, ale na głupotę ludzką nie ma mocnych.

Jadę z maszynistą w pociągu z Przemyśla. Dojeżdżamy do stacji. Semafor wjazdowy się nie świeci. Maszynista przez radiotelefon mówi:

– Panie zawiadowco, nie ma pan semafora wjazdowego.

A zawiadowca:

– Wiem, wiem, od dwóch godzin mi to mówią.

Szlag mnie trafia i mówię:

– W tej chwili pan pośle montera, żeby zmienił żarówkę.

Zawiadowca zdziwiony do maszynisty:

– Panie mechaniku, co jest grane?

– Ty durniu, jest kontrola z Ministerstwa Komunikacji – mówi maszynista.

- O rety, już lecę – jęczy w słuchawkę zawiadowca.

Albo przejeżdżamy pod mostkiem. Za mostkiem chłop na kiju ma czerwoną szmatę i macha nią zawzięcie. Stajemy daleko za mostkiem. Po paru minutach chłop przylatuje do nas.

- Co jest – pyta maszynista.
- Ubytek szyny 20 cm.
- Gdzie?
- No właśnie na nim stoi pociąg – mówi zerkając na mnie niespokojnie.
- To ty dumniu nie wiesz, ile metrów trzeba stać od niebezpiecznego miejsca, żeby pociąg się zatrzymał – pieni się maszynista.
- Ale tam było słońce to ja do cienia poszedłem – tłumaczy się przerażony.

Jedziemy wolniutko dalej.

- No widzi pani, coś mnie tknęło i zwolniłem przed tym mostkiem. Gdybym tak wjechał z pełną szybkością mogłoby być nieciekawie – mówi do mnie maszynista.

A w domu nowy problem. Dzwoni telefon z Bydgoszczy. Mój teść dostał wylewu i trzeba go wziąć na rekonwalescencję. Jadę tam, a z drugiego końca Polski, ze Szczecina przyjeżdża brat męża.

- Tato – mówi – ja Tatę zabieram. Marysia ciągle jeździ w delegacje, ma dwoje dzieci, mieszkają na czwartym piętrze bez windy, a u nas jest luźno, duże mieszkanie, jedno dziecko, winda.

Starszy pan zaczyna płakać.

- Tato – mówię – niech Tata powie, jak Tata chce, to my tak zrobimy.

Mówi cichutko:

- Do Ciebie Marysiu.

No to karetka i jedziemy. Jest u nas przez rok i jest cudownie. Dziewczyny pędzą ze szkoły, żeby zajmować się dziadkiem. Tata namawia mnie na zrobienie doktoratu. Więc zaczynam się namyślać jaki wybrać temat.

Tata wyjeżdża i już mamy teściową po zawale. Z mamą jest trudniej, bo ma silną demencję, ale dajemy radę.

W semaforze w ognisku układu optycznego umieszczona jest żarówka główna. Za nią umieszczona jest żarówka pomocnicza. Kiedy żarówka główna się przepali, świeci się żarówka pomocnicza. Ponieważ jej żarnik jest daleko od ogniska układu, semafora praktycznie nie widać. Trzeba tą żarówkę główną zrobić dwuwłóknową. Wchodzimy w kooperację z Biurem Rozwojowym fabryki lamp im. Róży Luksemburg. Kombinujemy, jak ustawić te włókna. Czy jedno za drugim, czy na krzyż, czy na skos. Początki są trudne. Kiedy przepala się włókno główne to drugie też pęka. Ale po wielu próbach z gazem, który wypełnia bańkę i z zamocowaniem

włókna, osiągamy dobry rezultat. Jest już prototyp żarówki sygnałowej dwuwłóknowej.

Wybuchła stan wojenny. Nasi matematycy z Komisji siedzą w więzieniu w Białoleścu, a potem w Jaworzu. My z koleżanką skarbnikiem z Komisji dwoimy się i troimy. Opiekujemy się ich rodzinami, przewozimy prasę nielegalną, organizujemy kulturalne spotkania.

Rok 1984. Moja młodsza, piętnastoletnia córka, drużynowa harcerskiej drużyny szkolnej idzie z apteczką i opaską z czerwonym krzyżem na pogrzeb księdza Popieluszki. Czy będą strzelać, czy jej się coś nie stanie? Strach po prostu ściska mnie za gardło, ale nic nie mówię.

Co z tego wszystkiego będzie, trudno przewidzieć. Na razie z działalności wytrącają mnie sprawy domowe.

Kończy studia moja starsza córka, zdaje maturę młodsza i wydawałoby się, że w domu już wszystko poukładane, ale nie. Dzwoni telefon ze Szczecina. Bratanek męża wpadł w narkomanię i właśnie wrócił ze szpitala, gdzie był na kuracji odwykowej. Jest kompletnie zagubiony i w kółko powtarza „Do cioci Marysi”. Czy ja go wezmę? Trudna decyzja, ale może się uda mu pomóc. Przywożą go samochodem. Jest naszpikowany lekarami i półprzytomny. Więc najpierw powoli odstawiam te leki i zaczynamy rozmawiać. Słucham okropnych rzeczy, oglądam pokłute zastrzykami ręce. Na szczęście nie ma AIDS. Powoli wraca do normalności. Pomagają w tym moje dziewczyny, wciągając go w obowiązki domowe. Przyjechał we wrześniu, a już w listopadzie zaczyna pracować u naszej kuzynki, która ma małą firmę produkującą lampy oświetleniowe z drzewa. Skręca tam małe abażurki z taśmy drzewnej. Cały czas jest w ten sposób pod kontrolą. W normalnym domu, z daleka od kolegów z liceum powoli staje się takim samym fajnym chłopakiem jak dawniej, kiedy na każde święta przyjeżdżał do nas. W styczniu jedzie z moimi dziewczynami na narty. W lutym mówi: „Ciociu, ja chcę się uczyć”. Kupujemy książki do biologii. Na szczęście ma maturę. Chce zdawać do Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie. Nikt nie wierzy, że to się uda. Przepytyuję go z tej biologii i widzę, że coś tam umie. Drżymy pod drzwiami kiedy zdaje. Dostaje się na studia. Przez ten rok, kiedy był u nas paczka kolegów narkomanów się rozpadła. Jeden zmarł, drugi pojechał na leczenie za granicę. Na studiach ma już innych kolegów. Poznaje świetną dziewczynę. Jest jego żoną i mają dwoje dzieci.

A ja mam „Technologię Ewangelii” ks. Włodzimierza Sedlaka z dedykacją „Marysi z błogosławieństwem Bożym” i podpisy rodziny ze Szczecina.

I wreszcie Okrągły Stół i wolność. Załapaliśmy się my, starsi na te 25 lat wolności.

Jest już gotowa dokumentacja techniczna żarówki sygnałowej dwuwłóknowej 2x24W/12V. Teraz trzeba znaleźć fabrykę, która będzie te żarówki produkować. Jeżdżę po Polsce. Może Helios w Katowicach, może w Pabianicach. W końcu produkcję żarówek wznawia fabryka w dalekiej Wychowej. Jeżdżę tam co jakiś czas i biorę losowo próbki żarówek do kontroli trwałości.

W 1988 roku Centralny Ośrodek Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa zostaje przemianowany na Centrum Naukowo Techniczne Kolejnictwa. W styczniu 1990 roku otrzymuję dyplom I stopnia specjalizacji zawodowej inżyniera w dziedzinie Transportu.

Zaczynają się rodzić moje wnuki. W 1991 roku mam ich już troje. Co za radość. Postanawiam iść na emeryturę w wieku 55 lat, co na PKP jest możliwe i zostać w pracy na pół etatu. Zaczyna się teraz najpiękniejszy okres mojego życia. Pracuję trzy dni w tygodniu, mam czas, mam emeryturę, prace zlecane i pół etatu, a więc mam stosunkowo dużo pieniędzy i mam piątkę uroczych maluchów. Jeżdżę z nimi na wakacje, uczę ich jeździć na rowerze, pływać, grać w piłkę. Jestem szczęśliwa. Zaczynam dużo podróżować.

A na PKP wchodzą folie odblaskowe. Wyklejamy nimi znaki przytorowe i wskaźniki. Znowu próby widoczności w terenie. Fabryka w Gostyninie produkuje dla nas oprawy oświetleniowe. Robimy badanie tych opraw. Ciężkie żeliwne głowice sygnałów świetlnych zostają zastąpione głowicami z tworzywa sztucznego. Kolej się modernizuje.

W 1999 roku wielka radość. Moja starsza córka Ania Malewska-Szałygin obroniła doktorat.

– Gratuluję pani – mówi rektor Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. A to co, czyje to dzieci?

– Moje – mówi Ania, obejmując całą trójeczkę.

– No, no – mówi rektor.

– A ja jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie zrobiłam doktoratu. Zrobiła za to Ania, bardziej pracowita i wytrwała ode mnie.

Przestaję pracować w wieku 70 lat i dalej podróżuję.

Teraz Ania jest profesorem na Uniwersytecie Warszawskim, młodsza córka jest jednym z redaktorów Kwartalnika Geologicznego, który jest na Liście Filadelfijskiej. Moje wnuki kończą studia i bez trudności wchodzą na rynek pracy.

A ja, jak w tej piosence:

*Wsiąść do pociągu byle jakiego
Nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet
Ściskając w ręku kamyk zielony*

Patrzeć jak wszystko zostaje w tyle

W tyle zostaje kolorowa i ciekawa wstążeczka mojego życia. Lubiłam swoją pracę bardzo. Miałam świetnych kolegów w Zakładzie. Do tej pory spotykamy się raz na dwa miesiące całym Zakładem Sterowania i Telekomunikacji na Olszynie Grochowskiej przy kawie i ciastkach w restauracji zrobionej w naszej dawnej stołówce i opowiadamy sobie co nowego na kolei i co nowego u naszych dzieci i wnuków.

Tadeusz Majewski



A prowadził mnie palec Boży

Patrząc wstecz na moje życie trudno mi się oprzeć wrażeniu, że mogę w nim dostrzec opiekę i sprawstwo kierownicze Pana Boga. A jak się działo opowiem.

Cielące lata

Częstochowa rok 1953, rozdanie świadectw maturalnych, podchodzi do mnie mniej mi znany prof. Wędrychowski i mówi: „jesteś najuczciwszym człowiekiem w tej szkole, idź tak dalej przez życie”. Podziękowałem, ale byłem zaskoczony – skąd takie stwierdzenie? Okazało się później, że za moimi plecami toczyła się nieuczciwa batalia o tytuł „przodownika pracy”, który dawał prawo wstępu na dowolną uczelnię bez egzaminu. Jak do mnie doszły później słuchy, ojciec mojej koleżanki oparł sprawę o bufet, a może i o coś więcej z moim profesorem wychowawcą Żelechowskim, który był trunkowy, a ten poobniżał mi stopnie, nawet z przedmiotów, których nie było w klasie maturalnej, jak np. astronomia, aby koleżanka wyszła na pierwsze miejsce. Na szczęście o sprawie dowiedziało się kuratorium i postanowiło nie przydzielać tego wyróżnienia. Takie było moje pierwsze zetknięcie z brudami życia. Koleżanka zresztą zdała egzamin na Akademię Medyczną w Krakowie.

Ja od początku zresztą nie liczyłem na żaden uśmiech losu, tym bardziej, że w marcu, w szatni dość lekceważąco wyraziłem się o śmierci Stalina, o czym nie omieszkał donieść kolega, który pretendował do wyróżnienia z dalszego miejsca. Skończyło się to na szczęście tylko samokrytyką przed aktywnym ZMP, ale losy moje mogły się potoczyć inaczej. Od początku byłem zdecydowany zdawać egzamin na Wydział Elektryczny PW.

Byłem urzeczony atmosferą egzaminów jeszcze w pociągu, w którym jechało dużo maturzystów starających się dostać na studia w Warszawie. Później „wysiadka” na dworcu Warszawa Główna, potem jakiś student wskazał mi drogę do Akademika na Pl. Narutowicza i nawet życzliwie zaproponował obiad w stołówce. W ogóle było fajnie. Wreszcie

egzaminy. Z matematyką poszło mi bardzo dobrze – pracę oddałem jako jeden z pierwszych, później egzamin z fizyki u pani Woszczerowicz – też zdałem niezłe, w końcu egzamin z Polski Współczesnej, chyba tak się to nazywało, u jedenonogiego Józefowicza, który był też studentem na starszym roku, ale mocnym partyjniakiem, a może jeszcze kimś więcej. Po różnych dyrdymałkach pada pytanie: czy chodzicie do kościoła? Wychowany na Quo Vadis nie mogłem powiedzieć nie, więc wracałem do domu trochę z duszą na ramieniu. Jaka była moja radość, gdy znalazłem się na liście przyjętych wraz z przydzielonym akademikiem i stypendium.

Zamieszkałem w akademiku przy Pl. Narutowicza wraz z Chan Fil-Junem i Chan Cho-Dżinem oraz Zdzisławem Pyziem, którego, przypuszczam, dodano dla równowagi ideologicznej jako, że był działaczem ZMP i synem komendanta milicji i „utrwalacza”, czym się bardzo chwalił. Pyż często znikał, a po pierwszym semestrze zmył się kompletnie. Chan Fil-Jun miał powodzenie u dziewczyn i zachowywał się dość zarozumiale, Jak się dowiedziałem po latach, zginął wpadając do pieca z roztopionym metalem. Chan Cho-Dżin był bardziej przyjazny, ładnie śpiewał i opowiadał różne szczegóły o wojnie koreańskiej, w której brał udział jako oficer, a nawet był postrzelony w tyłek, jak uciekał z okrążenia, kiedy gen. McArthur wysadził desant pod Seulem.

Po pewnym czasie nastąpiły zmiany w zakwaterowaniu, ja wraz z Cho-Dżinem zamieszkaliśmy razem z Władkiem Torbiczem. Mieszkało się nam dobrze, ale na 2 semestrze chcieliśmy pomóc naszemu koledze Henrykowi Sobusiowi, który powrócił z Kazachstanu, gdzie był wywieziony z rodzicami z Kresów i waletował nie mając akademika. Ja z Władkiem na zmianę dzieliliśmy z nim przez pewien czas łóżce, aż pewnego dnia Cho-Dżin powiedział mi, że ich organizacja nie zgadza się na dalsze waletowanie Sobusia. Ja na to powiedziałem mu, że ich organizacja nie ma tu nic do gadania, ponieważ to my we dwóch ponosimy niewygodę a on ma łóżko dla siebie. Zaraz po tym zjawili się Andrzej Zadora oraz Robert Włodarczyk i ten ostatni powiedział mi: „kolego, nie dorośliście do tego, aby mieszkać z Koreańczykiem”. I w ten sposób wylądowałem w pokoju „apostolskim”, zamieniając łóżka z Jurkiem Sidorowiczem.

W dwunastce było wesoło. Prym w wymyślaniu różnych zabaw (w tracza, dmuchanie balonika, boks) i dowcipów wiódł Janusz Adamczyk. Wszyscy zaliczyliśmy pierwszy rok i żeby to uczcić, każdy kupił butelkę wina popularnego sikacza. Po opróżnieniu znacznej zawartości butelki wpadłem w trans powtarzając wielokrotnie: „kolezdy proszę o głos”, a po dościsniu do głosu wygłaszałem: „życie studenckie jest piękne”.

Nazajutrz z lekkim bólem głowy udaliśmy się na praktykę na elektryfikację wsi Kosiny Bartosowe w pobliżu Mławy. Zamieszkaliśmy u chłopów. Ponieważ po przeczytaniu Trylogii byłem zafascynowany jazdą

na koniu, a nie miałem okazji aby tego spróbować wcześniej, więc poprosiłem mojego gospodarza, żeby mi pozwolił przed zajęciami i po zajęciach odprowadzać konia na pastwisko i z powrotem – na co on się zgodził.

Szkapa była dość chuda, a ja jeździłem na oklep i stępa, więc po paru dniach miałem tyłek skatowany, ale wytrzymałem do końca. Ogrywaliśmy również w piłkę nożną miejscowych i monterów, w czym brylował Michał Świechowski. Akurat były rozgrywane Mistrzostwa Świata w Piłkę Nożną w Szwajcarii, więc piłka nożna była „na czasie”.



Prace społeczne na 1-szym roku – od lewej: Leszek Woźniak, Janusz Sawicki i autor

Mieliśmy charyzmatycznych profesorów przedwojennej daty. Wspomnę tu Prof. Zarankiewicza oraz jego dykteryjki, m.in. o krzywej balistycznej, i jego asystenta Dyląga, który miał pono przedstawiać się „jestem Dyląg pies, a studenci nazywają mnie sk...synem, ale ja was mechaniki nauczę”; Prof. Mejrę – „szumiecie jak morze ale na morzu są też bałwany”; Prof. Kotowskiego – „czy organizacja ZMP mogłaby uchwalić otwarcie okien” oraz wielu innych, jak Kwiatkowski, Lebson i później Kończykowski, który prowadził wykład u siebie w mieszkaniu przy Filtrowej, gdy był chory. Zaliczaliśmy kolejne lata studiów, w tym praktyki w Międzylesiu w zakładach ZWAR i w elektrowni „Ołowianka” w Gdańsku, a także obóz wojskowy w Morągu (kapral Kawałko na dobranoc – „tylko mi buty inteligentnie ustawić”), gdzie, podobnie jak na Studium Wojskowym robiliśmy balony z oficerów wykładowców. Np. jeden z wykładowców wołał do Kmicia: „ej wy Kmicie z Krzyżaków”.

Wiele spraw, mniej i bardziej ważnych, zdarzyło się w okresie studiów. Do tych, które najbardziej utkwiły mi w głowie były wydarzenia poznańskie 1956, o których dowiedzieliśmy w pociągu, jadąc na sływ

kajakowy z Giżycka do Zakroczymia z Władkiem Torbiczem, Jurkiem Żukowskim i Stanisławem Woronowiczem. W czasie spływu doświadczyliśmy żeglowania po jeziorze Piskim katamaranem, wówczas chyba nieznanym, utworzonym przez spięcie dwóch kajaków i zawieszenie koców na maszcie z kija.

Innym pomnym wydarzeniem był marsz braci studenckiej z akademika przy placu Narutowicza – my mieszkaliśmy wtedy przy Grójeckiej – Filtrową i Nowowiejską do auli Politechniki, w celu poparcia Gomułki i przemian, na które liczyliśmy, czyli na „komunizm z ludzką twarzą”. Jaka to była ludzka twarz doświadczyłem ja i inni później.



Akademik przy Grójeckiej 39 - widok współczesny

Po zaliczeniu kolejnych semestrów i akademików na Madalińskiego, Grójeckiej, Elekcyjnej i Księcia Janusza dobiłem 18 lutego 1959 roku do obrony pracy dyplomowej z pozytywnym skutkiem. I tak zakończył się etap błęgiego życia i wkroczenia w wiek męski.

Praca w kraju

Po dyplomie wróciłem do rodziców do Częstochowy i zacząłem się rozglądać za pracą. Tak jak i później w życiu kierowały mną przesłanki irracjonalne, które później okazywały się dobrze trafione i „ustawiały” moje życie. Otóż, jako kibic krakowskich drużyn Wisły i Cracovii chciałem osiąść w pobliżu Krakowa, więc zgodnie ze specjalizacją wybrałem się do elektrowni Skawina. Tam powiedziano mi, że mają stanowiska obsadzone, ale być może mógłbym dostać pracę w Przedsiębiorstwie Montażu Elektrycznego „Elektrobudowa” w Katowicach, które u nich wykonywało montaż elektryczny. Udałem się więc do Katowic na ul. Sokolską, gdzie

sekretarka powiedziała mi zachęcająco, że dyrektor poszukuje „młodo kadra”, więc złożyłem podanie o pracę i udałem się do Częstochowy. Po pewnym czasie wezwano mnie na rozmowy i od 1.04 1959 r. zostałem zatrudniony na stanowisku „pomiarowca”, i wylądowałem na budowie elektrowni ECII w Łodzi. Praca była bardzo interesująca i edukacyjna – szczególnie dla młodego inżyniera. Uczyła logiki w wynajdywaniu i usuwaniu błędów w obwodach sterowniczych, pomiarowych i zabezpieczeń oraz usuwania usterek w aparaturze sterowniczej, która była marnej jakości, wyznaczania charakterystyk przekładników prądowych, próby wysokonapięciowe (kenetronowanie) aparatury wysokiego napięcia i kabli, a także uruchamiania pól w rozdzielniach 6kV i 110kV, jak również prostych napędów urządzeń pomocniczych elektrowni. Na budowie spotkałem Włodka Stasiaka, który nadzorował montaż elektryczny.

Po pewnym czasie, kierownik Elektrobudowy na ECII zapytał mnie, czy mam jakiegoś kolegę, który chciałby pracować tutaj w nadzorze montażu. Dałem więc cynk Jankowi Bielcowi, którego ta propozycja zainteresowała, i po rozmowie z panem Plutą, z której wyszedł z trochę kwaśną miną i po moich perswazjach został zatrudniony w Elektrobudowie aż do emerytury, zajmując kolejne kierownicze stanowiska, na różnych budowach, również za granicą w Turcji. Mieszkaliśmy wszyscy trzej w hotelu Polonia na rogu Kilińskiego i Narutowicza i czas upływał nam w towarzystwie miłych pań recepcjonistek i wypadach do „Malinowej” w niedzielę na obiad oraz od czasu do czasu na imprezy w innych knajpach. W ECII spotkałem Austriaka z firmy ELIN UNION z Weiz, który uruchamiał transformator. Ani mi przez myśl nie przeszło, że za parę lat będę pracował w tej firmie w Weiz, a informację uzyskaną od niego dotyczącą poprawy izolacji transformatora wykorzystam później w Australii. Po roku pracy w Łodzi ruszyłem dalej na budowę elektrociepłowni w Bielsku-Białej, gdzie miałem możliwość poznać Beskid Żywiecki, wędrując w niedziele aż po Rajcę, Baranią Górę, Skrzyczne i po innych trasach. Następnie była modernizacja w elektrociepłowni w Gdyni, gdzie zetknąłem się z przekąźnikami firmy szwedzkiej ASEA, montowanymi na cokołach, oraz z turbiną Ljungstroema firmy Laval. Nie przypuszczałem, że kiedyś będę prowadził interesy tych firm w Polsce. Kolejne budowy to modernizacja elektrociepłowni w Azotach w Mościcach koło Tarnowa, gdzie podziwiałem przedwojenną nastawnię z oryginalnymi przekąźnikami, którą właśnie bezlitośnie demontowano, później uruchomienie rozdzielni w Krapkowicach i w Gorzowie Wlkp. i wypadki na uruchomienia lub naprawy pomniejszych obiektów. W końcu, będąc w Gorzowie, zacząłem się zastanawiać nad przyszłością.

Ciągłe wędrowki po hotelach, knajpy i panie różnej konduity nie prorokowały nic dobrego, więc gdy przeczytałem w gazecie anons biura

projektów Elektroprojekt z Warszawy, o poszukiwaniu inżyniera elektryka, szybko się zdecydowałem i po rozmowach zostałem przyjęty w czerwcu 1961 do Działu Studiów kierowanego przez prof. Słomińskiego. Warunkiem było zameldowanie na pobyt stały w Warszawie lub okolicach, co uzyskałem wynajmując pokój w Ursusie. W Warszawie podjąłem dwie decyzje, które zaważyły w moim życiu, Mianowicie, zapisałem się do Szkoły Języka Angielskiego Metodystów i na kurs tenisa ziemnego, który prowadził trener Zbigniew Bełdowski w klubie Spójnia. Praca w Dziale Studiów nie dawała mi pełnej satysfakcji – były to dość wyimaginowane projekty: wykonanie rozdzielni niskiego napięcia z płyt październowych, zastosowanie żywicy epoksydowej do izolacji szyn wysokiego napięcia czy opracowanie filtra składowej zerowej. Dlatego po dwóch latach poprosiłem o przeniesienie do pracowni projektowej. Zgodzono się pod warunkiem, że przez rok będę na tzw. nadzorze autorskim w Cementowni Działoszyn w budowie. Elektroprojekt wykonywał projekt całej instalacji elektrycznej, lecz, niestety z dość licznymi błędami. Było więc dużo ostrej dyskusji z nadzorem inwestorskim, który często starał się własne niedociągnięcia zwalić na biuro projektowe. Po roku cotygodniowego jeżdżenia do Działoszyna zwróciłem się do dyr. Kazubskiego przypominając mu, że chciałbym zakończyć pracę w Działoszynie i podjąć pracę w pracowni projektowej, jak to było obiecane, i kontynuować naukę języka angielskiego, na co on mi zarzucił, że uczyć się języka angielskiego, gdyż chcę wyjechać za granicę, i zagroził, że jeżeli odmówię dalszej pracy w Działoszynie, to on mnie zwolni. Uratowało mnie to, że byłem członkiem Rady Zakładowej Związków Zawodowych i nie mogłem być zwolniony, ale miejsca w pracowni projektowej dla mnie nie było – wyłądownołem więc znów w Dziale Studiów. W dziale tym pracował również inż. Stefan Wyporek, człowiek o gołębim sercu, pochodzący z Galicji, którego matką była Austriaczka, stąd miał rodzinę w Austrii w Grazu, gdzie się wychowywał. Widząc moje perypetie, zaproponował mi, że załatwi mi zaproszenie do Austrii od swojej rodziny. Tak też uczynił.

Tymczasem zostałem „wypożyczony” do Elektromontażu, który wykonywał instalację elektryczną w walcowni zimnej taśmy w Hucie Warszawa, do której napędy dostarczał English Electric, i potrzebowano kogoś ze znajomością języka angielskiego do współpracy z Anglikami przy ich uruchamianiu. To była ciekawa praca, w której zdobyłem doświadczenie w zakresie napędów o regulowanej prędkości przy zastosowaniu wzmacniaczy magnetycznych w obwodach wzbudzenia silników i prądnic prądu stałego. Co prawda ich żywot technologiczny okazał się krótki, gdyż zostały wkrótce wyparte przez tyrystory. Niemniej mogłem to doświadczenie wykorzystać później w Australii. Poznałem również Anglika, który napisał mi opinię z zakresu mojej pracy. Jak się później

okazało, pracował on w Anglii z jednym z Australijczyków, z którym pracowałem później w English Electric w Sydney, a opinia okazała się przydatna przy staraniu o pracę w tej firmie. W tym czasie moje sprawy paszportowe zostały pozytywnie załatwione i 1 września 1965 roku z 100 dolarami z przydziału i ukrytymi 10 funtami kupionymi od Anglika udałem się pociągiem do Wiednia na podbój świata.

Praca za granicą – Austria

Rano znalazłem się w Wiedniu na dworcu Sued Bahnhof, gdzie czekała mnie przesiadka do Grazu. Wyszedłem na zewnątrz i zobaczyłem kolorowy świat. W pobliżu był park, a w oddali Belweder. Nie oddalałem się jednak zbyt daleko, żeby się nie zgubić. Do Grazu dojechałem koło południa, podziwiając po drodze piękne krajobrazy Semmeringu. Na stacji w Grazu wsiadłem do tramwaju nr1, którym dojechałem do końca, jak mi to podał Pan Stefan Wyporek, i tak znalazłem się w Mariatrost u państwa Pflueger powinowatych Pana Stefana. Jakoś się z nimi dogadałem pomimo, że znałem tylko kilka słów po niemiecku. Mariatrost (Maria Pocieszycielka) wzięło nazwę od dużego kościoła odpustowego, który znajdował się opodal na wzgórzu naprzeciwko domu państwa Pflueger. Później spotkałem tam polskiego księdza, który swego czasu spowiadał żołnierzy Wehrmachtu na Śląsku. Początek był jak na wakacjach. Zwiedzałem okolicę, zabrano mnie Volkswagenem do St. Radegund na pływalnię, gdzie spotkałem Polkę z dzieckiem, ale kiedy zwróciłem się do niej po polsku to tylko obrzuciła mnie wzrokiem. Zagrałem również parę razy w tenisa w Grazerparkklub, gdzie nie miałem problemów ze znalezieniem partnerów. Chcąc trochę zarobić, podjąłem dorywczą pracę u miejscowego elektryka. Pewnego razu pracowałem ze starszym Austriakiem przy pracach ziemnych. Gdy zacząłem za bardzo „wirywać” powiedział do mnie szeptem: „Tadeus powoli”. Musiał widać nadzorować polskich robotników w czasie wojny. Państwo Pflueger mieli sklep i dużo klientów w okolicy, m.in. pana Shirer’a, jednego z dyrektorów zakładów ELIN w Weiz, położonego ok. 30 km od Grazu. Zapytali go, w porozumieniu ze mną, czy byłaby możliwość zatrudnienia mnie w zakładach. Pojechałem na rozmowę z szefem biura konstrukcyjnego transformatorów dużej mocy Dipl. Eng. A. Schmied’em, oraz Dyr. Personalnym i od 1.10.1965 zostałem zatrudniony na stanowisku konstruktora z miesięczną pensją 4000 szylingów.

Dojeżdżałem do Weiz autobusem zakładowym z Mariatrost, gdzie u Państwa Pflueger wynajmowałem pokój. Jak mi później wyznał mój szef w pierwszych dniach moja praca zawisała na włosku, gdyż zgłosił się do pracy Austriak z doświadczeniem (pracował u Siemens przy konstrukcji transformatorów) i miano go zatrudnić zamiast mnie. Jednak szef

dowiedział się, że dobrze gram w tenisa i postanowił zatrudnić nas obu. Jak tu nie wierzyć w palec Boży.

Praca moja obejmowała wykonywanie rysunków uzwojeń, ich zamocowania na rdzeniu magnetycznym oraz wyprowadzania połączeń do izolatorów transformatorów o mocy 100MW i napięciu 110-220 kV.



Przy biurku w biurze konstrukcyjnym
Na wycieczce w górach kolegami z biura

W biurze panowały miłe stosunki koleżeńskie – były różne imprezy, takie jak zawody zjazdowe na sankach, mecze piłki nożnej, pieczenie kukurydzy, wycieczki w góry, czy to piesze czy narciarskie, nie mówiąc o zbiorowych poczęstunkach z okazji świąt. Aktywnie też uczestniczyłem w miejscowym klubie tenisowym zdobywając raz mistrzostwo klubu w deblu.



Z partnerem deblowym z którym zdobyłem mistrzostwo klubu. Na nartach z kolegami z biura

Kilka razy grałem też z szefem i jego synami, po czym jechaliśmy wraz z jego żoną, uroczą Bośniaczką na wspaniałe świeże pstrągi do restauracji w pobliskich górach. Tę tradycję szef kontynuował nawet później, kiedy już pracowałem w Polsce i przyjeżdżałem do Austrii na urlop, w czasie którego uczyłem gry w tenisa.

Po roku przenieśliśmy się z Mariatrost do Weizm, do hotelu Elina. Pozwoliło mi to jeszcze bardziej żyć się ze środowiskiem, uczestniczyć w życiu tenisowym i narciarskim. Elin miał chatę i wyciąg narciarski na pobliskiej górze Eibisberg, więc zimą spędzałem tam całe weekendy. Oprócz tego robiłem wypady narciarskie do Kitzbuehel, St. Anton w Alberg, Praebich I, koło Eisenertz, Radstaeter Tawern – sam lub w towarzystwie. Latem 1969 roku wybrałem się z biurem turystycznym z Wiednia na wycieczkę objazdową do Włoch. Trasa wiodła przez przełęcz Brennera, północnym brzegiem jeziora Garda. Zaliczyłem tam kąpiel w miejscowości Riva podczas krótkiego postoju, dalej: Mediolan ze wspaniałą katedrą, Genua, uroczę Portofino, Piza, gdzie, wszedłem na krzywą wieżę, (wówczas

było jeszcze można), Rzym ze wszystkimi zabytkami, Neapol, Pompeje, Sorrento, Capri aż po Amalii. W drodze powrotnej zwiedziliśmy, oczywiście, Monte Cassino, chociaż może wielu Niemcom i Austriakom, którzy byli w wieku poborowym w okresie, wojny mogło to być nie w smak. Następnie dojechaliśmy do Ankony, później do Asyżu i Wenecji, która zrobiła na mnie duże wrażenie – podobnie jak całe Włochy. Zatrzymawszy się na chwilę na via Apia można się było poczuć przeniesionym w odległe wieki. Wtedy kończyła mi się ważność paszportu. Wystąpiłem więc do ambasady polskiej w Wiedniu o jego przedłużenie. Ku mojemu zaskoczeniu przedłużono mi paszport o kolejny rok – prawdopodobnie miał na to wpływ fakt, że Elin współpracował z Eltą w Łodzi, która kupiła od niego licencję.

Mimo tej ustabilizowanej pracy i dobrych stosunków towarzyskich, ciągle odczuwałem potrzebę poznania świata, więc, gdy przypadkowo wpadło mi w ręce ogłoszenie werbunkowe na wyjazd do Australii, jako entuzjasta tenisa, a Australia była wówczas potęgą w tym sporcie – że wspomnę R. Lavera, T. Rocha, J. Newcomba czy K. Roswella – postanowiłem zaryzykować. I znów irracjonalne przesłanki lub palec Boży odegrały rolę w moim życiu. Pojechałem więc do biura werbunkowego w Grazu. Tam przeszedłem testy medyczne i inne, i uzyskałem akceptację. Jako że kończyła mi się ważność paszportu, wystąpiłem ponownie o jej przedłużenie i rozszerzenie ważności na wszystkie kraje świata. Niestety, tym razem spotkałem się z odmową. Postanowiłem nie rezygnować i otrzymaawszy od władz austriackich dokument identyfikacyjny, potwierdziłem chęć wyjazdu, po czym otrzymałem z biura werbunkowego dokumenty, bilety i informację, że wyjazd nastąpi w dniu 3 stycznia 1968 roku koleją z Sued Bahnhof w Wiedniu do Genui, a stamtąd statkiem Marconi do Melbourne. Pożegnawszy się z koleżankami i kolegami, udałem się koleją do Wiednia. Tam po obejrzeniu opery La Boheme, następnego dnia wsiadłem do pociągu, który powiózł mnie w nieznaną przyszłość.

Dziennik z podróży do Australii

04.01.g.12.25. Sued Bahnhof odjazd do Genui wraz z innymi emigrantami – para austriacka, która wraca po 2 latach do Australii oraz młody Jugosłowianin, który ucieka przed wojskiem, z towarzyszącą panią.

05.01. Przyjazd do Genui śniadanie w hotelu Torinese, spacer po mieście, lunch i o g.13 zaokrętowanie na statek, Otrzymuję kabinę 2-osobową, ale bez drugiego pasażera; dużo łez na pożegnanie, tylko moje oczy pozostają suche. Kolacja na statku w międzynarodowym towarzystwie, tańce.

06.01. Przybijamy do Neapolu, schodzę na ląd, żeby obejrzeć miasto, zaliczam kościół Św. Lorenzo i katedrę Św. Genaro, i zdążam na statek 10 min. przed odbiciem. Wieczorem, mijając Capri, dobijamy do Messyny,

spacer pośród białych domków, wypijamy cappuccino i wracamy na statek o 1-ej.

07.01. Tłok przy śniadaniu, w Messynie zaokrętowało się mnóstwo głodnych Włochów, którzy rzucają się na jedzenie, płyniemy dalej, jest wiatr i trochę buja, a Włosi, którzy się obżerali, oddają teraz daninę Neptunowi, ja trzymam się dzielnie.

08-09.01 Płyniemy przez Morze Śródziemne, w jadalni pustawo, więc mogę korzystać dowoli z jedzenia. O 23 mijamy Cieśninę Gibraltarską, z prawej majaczą światła Gibraltaru, a z lewej – Tangeru.

10.01. W nocy przybijamy do Las Palmas. Wczesnie rano biorę taxi i robię krótką przejażdżkę po mieście, o 8-ej ruszamy dalej, widać pustynne zarysy wyspy i bezkresny ocean.

13.01. Przekraczamy równik, wyrzucam do Oceanu Atlantyckiego książeczkę z poezjami mojego kolegi z sąsiedniego biurka i reissbretu Hellmutha Wanzenboeck, jak sobie życzył, a później biorę udział w ceremonii chrztu w charakterze ofiary, której usuwają wielką kość, uciskając mnie w czułym miejscu, więc się wiję jak na mękach, a potem, po wrzuceniu do basenu, otrzymuję, zgodnie ze zwyczajem, oczywiście certyfikat chrztu. Wieczorem gala i tańce.



Chrzest przy przekraczaniu równika, przechodzę operację na łożu

14.01. Zostaję sędzią głównym turnieju pin-ponga, sam też biorę udział i wygrywam 1-szy mecz. Również pływam na basenie, ale jest dość krótki, więc przyjemności nie za wiele.

- 15.01. Nic szczególnego
- 16.01. Makabryczna noc, strzykanie w uchu – to chyba skutki pływania i wiatru..Minęliśmy zwrotnik Koziorożca, jest chłodnawo.
- 17.01. Nadal jestem przeziębiony i boli mnie głowa.
- 18.01.W oddali widać kontury Gór Stołowych, mijamy Cape Town i Przylądek Dobrej Nadziei.
- 19.01. Zawijamy do Durbanu o g.11, o g. 12 schodzę na ląd, idę do biura turystycznego, mam ochotę wybrać się do wioski Zulusów, ale jest to dość ryzykowne, gdyż mogę nie zdążyć na statek. Zamiast tego biorę mapę i zwiedzam atrakcje Durbanu: pawilon z węzami, których nagromadzono tu sporą ilość, potem olbrzymie akwarium z rekinami, olbrzymimi żółwiami i innymi stworami morskimi, które można oglądać przez szybę, na koniec plażę. Przy okazji robię zdjęcie za parę centów Zulusowi w paradnym stroju oraz młodym Murzynkom, które obiecują im przysłać z Australii. Niestety, otrzymałem później zwrot – prawdopodobnie zadziałał apartheid. Jest mnóstwo Murzynów na ulicach niektórzy nawet leżą, ale jeżeli przechodzi biały, natychmiast się rozstępują.
- 21.30. Odpływamy.
- 20.01. Rano kołyszą mnie już fale Oceanu Indyjskiego, płyniemy bardziej na południe w stronę bieguna południowego, a nie wzdłuż równoleżnika, żeby wykorzystując kulistość Ziemi i skrócić drogę.
- 21.01. Niedziela, idę na mszę odprawianą przez włoskiego kapłana, dzień smętny, pada i jest zimno, więc pętam się po statku. Przesuwamy czas o godzinę.
- 22-25.01. Zimno i ponuro, podróż zaczyna się dłużyć.
- 26.01. Przed zawinięciem do Fremantle odbył się Gala Dinner oraz Bal Kapitański, na którym pełniłem niepoślednią rolę, bowiem u boku kapitana rozdawałem nagrody i gratulacje zdobyte w różnych konkursach. Otrzymałem również breloczek z lampką oraz kilka całusów od panienek w podziękowaniu za nagrody.
- 27.01. Po południu zawijamy do Fremantle, formalności wjazdowe i o 18 można wyjść coś zobaczyć, gdyż odbijamy o 23.45. Kupuję bilet kolejowy do Perth ,przechadzam się po ulicach, robię parę zdjęć i powracam, nie przypuszczając, że powrócę tu za parę miesięcy. Przypadkowo spotykam starszą panią, Australijkę polskiego pochodzenia, która wyemigrowała do Australii przed 35 laty i teraz powraca z wycieczki do Polski. Mówi jeszcze wcale niezłe po polsku.
- 28.01. Płyniemy wzdłuż południowych wybrzeży Australii, w oddali widać zarysy lądu porośniętego krzakami i łysiny piasku. Po południu widzę wieloryba pływającego jakieś 500 m od nas.
- 29.01. Płyniemy i płyniemy.

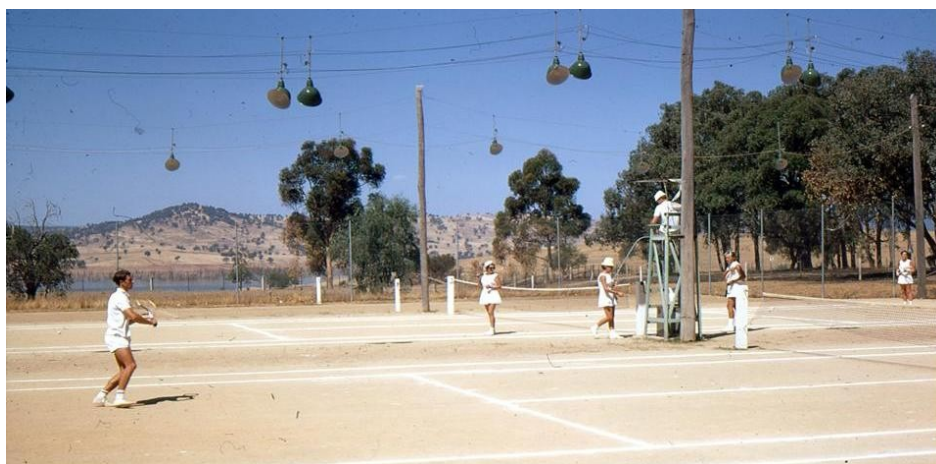
30.01. Przybijamy do Adelaide, stajemy w porcie o 12. Miasto jest oddalone od portu o ok.15 mil. Mam 3 godziny, więc, zapoznawszy się wcześniej z mapką miasta, ruszam pociągiem w towarzystwie współbiedniaka Włocha, na zwiedzanie. Rozkład jazdy pociągów jest korzystny – pozwala na 1 godzinę pobytu w city. Oglądamy pomnik pułkownika Light'a, założyciela miasta, następnie ulicą Curie dochodzimy do King Wiliam i dalej North Terrace do Ogrodu Botanicznego. Brak czasu nie pozwala na dłuższy pobyt, więc łapiemy autobus i przybywamy na dworzec – na czas. Temperatura w Adelaide wynosi 107 F, w pociągu powietrze jak z dmuchawy ciepłej. Dochodząc do statku słyszymy: „La nave di parvecca”, uff zdążyliśmy – Franko jest skonany.

31.01. Wpływamy do Melbourne o 15-ej, temperatura 106F, tłumy emigrantów, sądny dzień.

Ok.19-ej przechodzę kontrolę celną bez kłopotów, celnik życzy mi „have a nice stay in Australia” i tak oto znalazłem się w Australii. O 21.30 przybywa autobus, który zabiera nas do Bonegilla koło Albury w stanie Wiktorja, do byłego obozu wojskowego z okresu II Wojny Światowej, dokąd docieramy o 3 nad ranem. Otrzymujemy trochę jedzenia i picie. Już pierwszy rzut oka przekonuje mnie, że nie trafiłem do raj. Następnego dnia to przekonanie jeszcze się pogłębia.

W australijskim buszu nastawiano dziesiątki prymitywnych baraków, w których gnieźdzą się setki ludzi oczekujących na relokację i ewentualne skierowanie do pracy, Nie jest to inteligencja – przeważnie materiał do kopania rowów. Ja dzielę kabinę z Francuzem, który nazywa się Ogórek i mówi po polsku. Okazuje się, że jest synem Polaka, górnika i komunisty, który po wojnie reemigrował do Polski, żeby fedrować w Wałbrzychu. Tam też przyszedł na świat mały Ogórek. Po kilkunastu latach ojciec zobaczył jak dalece komunizm w praktyce różni się od teorii i postanowił wrócić do Francji. Na szczęście miał żonę Francuzkę, więc mu się udało. Przestał też interesować się polityką, został całkowicie wyleczony z komunizmu, w gazetach czytał tylko komiksy. Ogórek junior miał dużą walizkę. Raz udało mi się tam zajrzeć, gdy uchylił wieka. W walizce znajdowała się gruba jesionka i gruba księga Zaratrusta – dość oryginalny zestaw jak na Australię. Panuje upał, jakiego jeszcze nie spotkałem – temperatura 117 F (ok.47 C) w tych barakach bez klimatyzacji, jest tak gorąco, że poręcze od łóżek parzą, a ściany baraków polewane są na noc wodą. Dzień spędzam na zmianę pod prysznicem i w cieniu drzewa. W pobliżu jest też duży zalew, gdzie można się schłodzić pływając. Posiłki są też bardzo prymitywne. Trzeba się ustawić z tacą, 2 talerzami, kubkiem i sztućcami w kolejce wśród much, pyskujących Jugosłowian i Francuzów, żeby otrzymać jakąś zupkę, trochę ziemniaków, sos, podejrzanie pachnący ochłap mięsa i trochę herbaty. Muszę się stąd wyrwać,. Pytam w biurze

o możliwości zatrudnienia, ale każą czekać aż przyjdą moje dokumenty. Przeglądam też gazety i znajduję ogłoszenie firmy PWA Electric Industries w Sydney, poszukującej „electrical design draughtsman”, na które postanawiam odpowiedzieć. Lepiej już jakakolwiek praca w Sydney, niż tu wśród zawodzących tureckie pieśni Jugosłowian. Rozglądam się za kortami i znajduję 2 asfaltowe. Później spotykam jednego z Francuzów, który gra w tenisa i ma raketę, więc rozgrywam 1-go seta na australijskiej ziemi (asfalcie), wygrywając 6:4.



Jeden z moich pojedynków tenisowych na kortach w Bonegilla

Później odkrywam miejscowy klub tenisowy z oświetlonymi kortami ziemnymi, więc można grać wieczorem zamiast wcześniej rano. Spotykam grupę Niemców, którzy tam grają. Jeden z nich bardzo zarozumiały wyzywa mnie na pojedynek, ale przegrywa, czym sprawiam satysfakcję grupie Polaków, którzy mieli z nim na pieńku. W drodze do zalewu podwozi mnie przypadkowo Polak z Woodonga Józef Rogalski, który jechał na polowanie. Żali się, że chciał, aby matka zamieszkała u niego, ale, niestety, pobyła pół roku i wróciła do Polski mówiąc: „a co mi mają kangury na grób srać”. Po ok. 3 tygodniach zostaję przeniesiony do hostelu w Matraville na południu Sydney, gdzie dzielę pokój z Berlińczykiem. Zaczynam uczęszczać też na kurs angielskiego dla emigrantów, ale jest to poziom podstawowy, więc wyróżniam się korzystnie w tym gronie.

Praca za granicą – Australia

Po kilkunastu dniach przychodzi zawiadomienie z PWA, że są zainteresowani moją ofertą pracy i wzywają na rozmowy. Jadę więc do Redfern niedaleko city, gdzie się mieści firma i po rozmowach zostaję zatrudniony od 11.03.1968. na stanowisku design draughtsman z tygodniową pensją 78,40 dolarów australijskich. Tygodniowa pensja (wage) w Australii ma tę zaletę, że pracodawca musi płacić za każdą

nadgodzinę i nienormalny czas pracy, podczas gdy od pracownika z pensją miesięczną (salary) wymaga się pracy w święta i piątek bez dodatkowej zapłaty. Praca moja w PWA polegała na wykonywaniu rysunków schematów obwodów zabezpieczeń i pomiarów oraz rysunków konstrukcyjnych uzwojeń transformatorów dystrybucyjnych o napięciu 6-15 kV i mocy kilku MW, a więc była podobna do tej, jaką wykonywałem w Elinien, tylko jednostki były dużo mniejsze. Pewnego dnia, kiedy mieliśmy dyżur przy próbach transformatora, przychodzi nieco zmartwiony szef i mówi, że transformator ma niski poziom izolacji. Radzę mu, żeby przetarł izolatory olejem transformatorowym – informacja jaką kiedyś uzyskałem od Austriaka w ECII w Łodzi. Po chwili wraca zadowolony, że izolacja jest O.K. – nie ma jak praktyka w zawodzie inżynierskim.

Po uzyskaniu stałych dochodów wynajmowałem pokój w Kensington przy Villiers St. 25 i zacząłem cywilizowane życie. Miałem zapewniony byt, więc mogłem spokojnie rozglądać się za bardziej satysfakcjonującą pracą, tym bardziej, że 15.03.68. otrzymałem z The Institution of Engineers Australia potwierdzenie uznania dyplomu bez egzaminów. Odpowiadam więc na anonsy jakie ukazują się w Sydney Morning Herald i czekam na odpowiedzi. Grywam na różnych kortach w tenisa i zawsze znajduję chętnych do gry. Zapraszają mnie nawet do gry w drużynie Woollahra w rozgrywkach mikstowych.



W White City na kortach trawiastych – z mistrzem juniorów z Pakistanu

W końcu natknąłem się na duży klub White City w Rushcuttersbay z 40 kortami trawiastymi i za poręczeniem mojego szefa z PWA zostałem jego członkiem. Clif Sproule, sekretarz klubu, który mnie przyjmował, a który grywał w turniejach w Europie, zapytał mnie, czy znam pana „Tloczyński”. O to samo zapytał mnie później Jack Crawford, wielokrotny zdobywca pucharu wielkiego szlema, który miał mały sklepik przy York Street i u którego kupiłem rakietę. Widocznie nasz czołowy tenisista przedwojenny miał u nich dobrą markę.

W klubie dostałem się do drużyny, z którą uczestniczyłem w rozgrywkach deblowych na White City i innych kortach trawiastych w Sydney. Uczestniczyłem też w deblowych grach towarzyskich w klubie, grając nieraz obok takich sław jak Ken Roswell, Tony Roche, John Newcomb, Rod Lever, Fred Stolle i inni. Raz nawet miałem okazję rozmawiać z Pancho Gonzalesem, który już kończył karierę, ale jeszcze zagrał w Australia Open, który wyjątkowo był rozgrywany w Sydney na White City.



W międzynarodowym gronie: Niemiec, dwaj Australijczycy, autor, Włoch i Amerykanin

Będąc członkiem klubu, miałem wolny wstęp, więc mogłem naogłądać się całej plejady ówczesnych gwiazd tenisa. Sam zresztą wziąłem udział w turnieju mniejszej rangi, przegrywając z późniejszym mistrzem Japonii Toshiro Sakai 6:0, 6:1. W klubie poznałem też graczy, z którymi

wyjeżdżaliśmy na turnieje poza Sydney, np. do Cowra czy Nowra. Z niektórymi utrzymuję kontakt do dziś, a niektórzy odwiedzili mnie później w Polsce. Żeby być bliżej klubu, wynajmuję pokój w Potts Point przy Woomerah Av.3. Otrzymałem parę propozycji zatrudnienia na podobnym stanowisku m. in. w Darwin, ale nie chciałem porzucać Sydney. W końcu w czerwcu 1968 r. otrzymałem pismo od GEC-AEI Engineering Pty. Ltd. z Auburn, proponujące rozmowę w sprawie zatrudnienia. Niezwłocznie udałem się tam i, po rozmowie z dyrektorem Szkotem Andy Turnbull'em, zostałem zatrudniony od 01.07.68. na stanowisku asystenta inżyniera kontraktowego z pensją miesięczną (salary) 375 dolarów australijskich. Pierwsze tygodnie upływały mi na sporządzaniu schematów sterowniczych pomp oraz przygotowaniu list części zamiennych do układów sterowniczych napędów dźwigów kontenerowych. We wrześniu wyjechałem na 2 miesiące do Perth do Zachodniej Australii, aby tam, wraz z grupą kolegów, wziąć udział w uruchamianiu urządzeń elektrycznych spiekacza rudy w hucie AIS w Kwikana, a później napędów dźwigów kontenerowych w porcie we Fremantle. Zamieszkaliśmy w hotelu Manning w Perth – jedynym spośród wielu, w których mieszkałem, gdzie rano podawano do łóżka gorącą kawę i gazetę. W pracy przydało mi się doświadczenie wyniesione z Elektrobudowy, gdyż zarówno dokumentacja jak i okablowanie zawierało wiele błędów, co było nie w smak Australijczykom, kiedy musieli poprawiać dokumentację. Niemcom od Schenka, którzy dostarczali wagi dozujące, zaimponowałem, kiedy szybko ustawiłem wyłączniki krańcowe na zsympie ruchomym. Pracowaliśmy świątek piątek, czasem do północy, ale koledzy byli mili, obowiązkowo wyskakiwaliśmy na lunch i późną kolację do pobliskiego pubu, a czasem w niedzielę do restauracji w Perth, kupując wcześniej wino, bo nie wszystkie restauracje miały licencje na alkohol. W restauracjach królowały steki wołowe, często wystawiane surowe za szybą, więc można było wskazać, który mają usmażyć, a sałatek i dodatków można było brać ile dusza apragnie. Raz wybraliśmy się do lokalu, gdzie były tańce z fordancerkami. Wykupiłem abonament na 10 tańców z miłą dziewczyną mieszanego pochodzenia z Makaku i miło spędziłem czas bez uganiania się za partnerkami – spodobała mi się ta instytucja. Udało mi się też wyrwać parę razy w niedzielę na tenisa do przepięknie położonych kortów trawiastych King's Park na wzgórzu królującym nad Swan River – była to pora zimowa, więc korty były pokryte soczystą zielenią i otoczone girlandami kwiatów zwisających z ogrodzenia. Zostałem ciepło przyjęty i mogłem zagrać miksty z miejscowymi paniami a później wychylić parę piw i porozmawiać w klubie. Spotkałem też Polaka, który tam grywał oraz zagrałem z Australijczykiem, który kiedyś grał w Wimbledonie ale z nim byłem bez szans. Po zakończeniu prac w AIS zostałem skierowany do

uruchamiania napędów dźwigu kontenerowego w porcie Fremantle. Była to olbrzymia konstrukcja ok. 20 m wysokości, poruszająca się wzdłuż nadbrzeża na szynach i przeładowująca kontenery z i na statek. W tym właśnie okresie zaczęła się konteneryzacja frachtów i porty na gwałt zaopatrywały się w tego typu urządzenia i infrastrukturę. Wszystkie napędy były zasilane prądem stałym z prądnicy pracującej w układzie Leonarda-Warda, gdzie napięcie, a zatem i prędkość były regulowane tyrystorami w obwodzie wzbudzenia prądnicy i, dodatkowo, silnik wciągarki miał osłabiane wzbudzenie też za pomocą tyrystorów, żeby zwiększyć prędkość przy pustym haku. Był to kolejny krok w rozwoju napędów o regulowanej prędkości po wzmacniaczach magnetycznych – idea regulacji pozostała ta sama, nie miałem więc trudności z przyswojeniem sobie tej techniki po doświadczeniu w Hucie Warszawa, jakkolwiek głównym prowadzącym uruchomienie był inżynier angielski.

Następnie skierowano mnie, najpierw do nadzorowania prac modyfikacyjnych, a następnie już do samodzielnego uruchamiania napędów dźwigów kontenerowych przy nadbrzeżu White Bay z codziennym widokiem na słynny Harbour Bridge w Sydney. Były to jeden dźwig nadbrzeżny i dwie suwnice układające kontenery w hali według specjalnego programu. Wynająłem pokój w Bellevue Hill przy Fairweather St. 37 i odnowiłem kontakty z ludźmi z klubu tenisowego White City.



Z Australijczykiem na dźwigu kontenerowym

Tymczasem firma połączyła się z English Electric i przyjęła nazwę General Electric Company of Australia Ltd. i przeniosła swoją siedzibę do

city na ulicę Sussex St. Po zakończeniu pracy przy dźwigach wróciłem do biura i zająłem się przygotowaniem ofert na napędy o regulowanej prędkości głównie dla dźwigów, ale nie tylko.

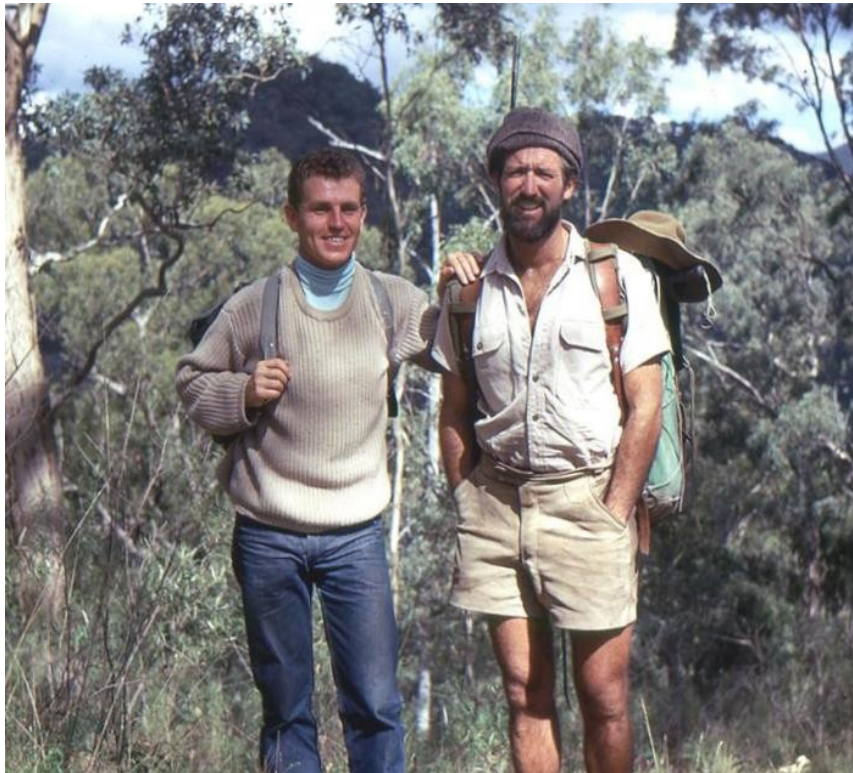
Jedną z ostatnich moich prac była oferta na napęd pieca przechylnego do wytapiania stali metodą lancy tlenowej dla huty AIS w Wollongong. Tu w ciągu dwóch lat nastąpił postęp i mogłem już oferować napędy zasilane z przekształtników tyrystorowych prądu stałego o regulowanym napięciu.



Przy biurku w GEC Sydney

Oprócz tenisa starałem się wykorzystać wolny czas w różny sposób: byłem na nartach w Snowy Mountains w Thredbo w pobliżu góry Kościuszki oraz w Smiggins Hole, zaproszono mnie na rejs żaglówką poprzez zatokę Port Jackson wokół North Head na Pacyfik, do Broken Bay, ujścia Hawkesbury River i z powrotem do Rushcutters Bay.

Kolega, którego poznałem podczas gry tenisowej, zabrał mnie z grupą innych na biwak w Blue Mountains oraz parę razy na wędrowki piesze po buszu, a raz wybraliśmy się na zwiedzanie dość długiej jaskini z kominami.



Z przyjacielem w buszu



Biwak w buszu

Kilka razy uczestniczyłem w różnych party. W Australii jest to dość luźna impreza. Nawet nie trzeba znać gospodarza, wystarczy, że kolega go

zna, zabiera się kilka piw i jest się jak u siebie, stroje są też dowolne. O ile w biurze trzeba być zawsze pod krawatem, na party krawatu nie uświadczysz. Byłem też parę razy w Domu Polskim w Ashfield, ale towarzystwo tam było podzielone, jeden obawiał się drugiego, czy aby nie doniesie – w przeciwieństwie do starej emigracji, która trzymała się razem. Najlepiej było to widać podczas ANZAK Day, 26 kwietnia w rocznicę bitwy pod Gallipoli, kiedy to byli lotnicy z RAF i byli żołnierze, maszerowali dzielnie wzbudzając podziw tłumów.

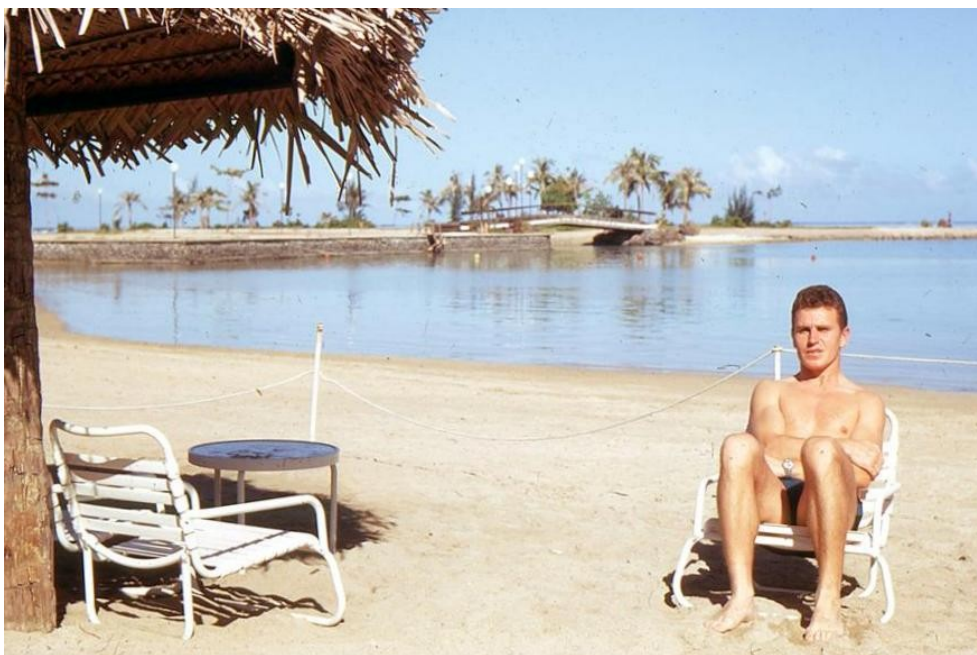
Na plaży Bondi Beach poznałem młodą Brazylijkę o niecodziennym zawodzie jak na dziewczynę – była maklerem giełdowym. Proponowała mi żebyśmy zamieszkali razem, ale ja nie chciałem się wiązać, mając w perspektywie powrót do kraju i związek z jakąś polską dziewczyną. Niestety, w tej sprawie spotkało mnie rozczarowanie.

Mimo atrakcyjnej wtedy pracy w Australii, chyba najlepszej, jaką kiedykolwiek miałem, coraz bardziej ogarniała mnie nostalgia za krajem, za rodzicami, którzy byli już w podeszłym wieku. Chciałem spożytkować nabyte doświadczenie i znajomość języków dla dobra kraju. Niestety przez lata pobytu zagranicą opresyjność systemu komunistycznego została w mojej świadomości spłaszczona, myślałem, że jeżeli rzeczy nie ułożą się po mojej myśli w kraju, to będę mógł po krótkim pobycie wrócić na Zachód, zwłaszcza, że moi szefowie w Austrii i Australii proponowali mi na odchodnym, w razie czego, ponowne zatrudnienie, czego później dowiedli. Rozważałem też możliwość wystąpienia o paszport australijski i bez wątpienia bym go otrzymał, ponieważ warunkiem był 3-letni pobyt i znajomość języka angielskiego, co spełniałem. Jednak po namyśle, bojąc się, że mógłbym nie otrzymać wizen, oraz stwierdziwszy, że nie mogę zerwać z tym, w czym się wychowałem, postanowiłem wystąpić o tzw. paszport konsularny, który dawałby mi możliwość ponownego wyjazdu. Udałem się więc do polskiego konsulatu w Vaucluse. Wicekonsul, na moje oświadczenie, że chcę wracać do kraju, zapytał, czy mam pracę, a potem spojrział na mnie jak na wariata, powiedział żebym się zastanowił, starał się mnie zniechęcić, coś mruknął, że pana już nie wypuszczą (później doszły mi słuchy, że wicekonsul wybrał wolność, kiedy skończyła się mu kadencja). Mimo wszystko złożyłem podanie, na które przyszła odpowiedź, że mogą mi wydać tylko tzw. paszport blankietowy, umożliwiający powrót do kraju na pobyt stały.

Powrót do kraju

Podjąłem paszport, wymówiłem pracę, koledzy mnie uroczystie pożegnali i odprowadzili na lotnisko Kingsfort, z którego wyruszyłem 02.07.1970 r. wieczorem, aby kontynuować moją podróż dookoła świata. Lecąc nocą, w dole czasem widziałem połyskujące światła wysepek Polinezji, i w końcu rano tego samego dnia przekroczyliśmy po drodze 180

południk, i wylądowaliśmy na Tahiti. Na lotnisku spotkało mnie rozczarowanie. Kiedyś oglądałem film na którym pokazywano, że przybywających na Tahiti witają tubylcze panny, zakładając im wianek z kwiatów na szyję jako narzeczone. Niestety nic takiego się nie wydarzyło. Dopisało mi jednak szczęście, gdyż na skutek prób atomowych na atolu Bikini porobiły się dziury powietrzne i musiałem odczekać dwa dni przed dalszym lotem. Zostałem zakwaterowany w luksusowym hotelu na koszt przewoźnika i, mając trochę czasu, wykupiłem wycieczkę samochodem dookoła wyspy. Droga wiodła tuż przy plażach więc mogłem podziwiać z jednej strony piękne plaże, ocean i w dali mające wyspy, a z drugiej strony bujną przyrodę. Wybrałem się też do stolicy Papete, gdzie wyróżniał się prostotą budowy gmach miejscowego parlamentu. Wieczorem przy kolacji pod gwiazdzistym niebem miałem okazję podziwiać miejscowy zespół folklorystyczny w strojach ludowych – spódnice z traw i góra przystrojona kwiatami – śpiewający bardzo melodyjne pieśni, które do dziś dźwięczą mi w uszach. Był to czarujący wieczór.



Na plaży na Tahiti

Następnego dnia, po zakosztowaniu kąpieli w oceanie wyruszyłem dalej w kierunku Wyspy Wielkanocnej. Po wylądowaniu na czymś, co przypominało wyleńską łąkę, mieliśmy parę godzin do następnego lotu, więc zafundowano nam wycieczkę krajoznawczą po wyspie



Tahiti parlament

Krajobraz raczej księżycowy, ziemia skalista, wulkaniczna z bardzo ubogą roślinnością. Zobaczyłem słynny krater, który van Denniken uważa za ślad startu rakiety kosmicznej, jaskinie na obrzeżu krateru gdzie tuczono panny przed zamążpójściem, skalistą wysepkę do której odbywają się zawody pływackie, kamieniołomy, a w nich niedokończony posąg i grupę posągów obok przysypanych ziemią, wreszcie rząd olbrzymich posągów na nadbrzeżu w tym jeden z olbrzymią rudą czapą. Wszystko to zrobiło na mnie duże wrażenie; myślałem o tej cywilizacji i przyczynach jej zaginięcia. Po południu wystartowaliśmy dalej, żegnani przez sporą grupę biednych ludzi, dla których przylot samolotu jest jedyną atrakcją. W Santiago de Chile wylądowaliśmy po południu następnego dnia, autobusem dojechałem do miasta i wynająłem pokój w hotelu. Rano rozejrzałem się po mieście, ale to, co ujrzałem, nie napawało optymizmem, zwłaszcza, że wyobrażałem sobie Chile jako kraj romantyczny, jak cała Ameryka Południowa, i snułem niejasne plany o zakotwiczeniu się tam na dłużej. Niestety, nad miastem wisiała czapa smogu ze zdezelowanych samochodów, które jeździły po ulicach – dym samochodowy czuło się wszędzie, nawet ubranie nim nasiąkało, widać było biedę, dzieci proszące o monety i rozgardiasz. Były to czasy prezydenta Salvatore Allende, więc i porządki były komunistyczne. Szybko porzuciłem myśli o pozostaniu tu na dłużej i zająłem się zwiedzaniem miasta, w czym pomagała mi sympatyczna Marica, która znała trochę angielski, a ja miałem rozmówki hiszpańsko-angielskie, więc jakoś mogliśmy się porozumiewać. Zaprowadziła mnie raz pod swój dom i byłem dumny, gdy sąsiadki tytułowały mnie „cabalero”.



1. Kamienny posąg na Wyspach Wielkanocnych; 2. Pomnik Pedro de Valdivia w Santiago de Chile; konkwistatora Chile – autor z Maricą; 3. Stacja narciarska Portillo

Jako, że jednym z celów mojej podróży było zobaczenie Rio de Janeiro. Wystąpiłem do ambasady brazylijskiej o wizę. Kazali mi poczekać kilka dni, więc wybrałem się do Portillo na narty, jest ono oddalone ok. 160 km od Santiago i parę lat przed moim przybyciem odbyły się tam mistrzostwa świata w narciarstwie alpejskim. Pojechałem autobusem po słynnych serpentynach a po drodze mogłem zobaczyć najwyższy szczyt Andów, Aconcaguę. Zatrzymałem się w hotelu, dzieląc pokój z Amerykaninem, z którym przez długi okres utrzymywałem kontakt. Jeździliśmy nawet razem na Kasprowym. Warunki śniegowe były dobre, więc wypożyczyłem narty i buty, pojeździłem z Kenem przez dwa dni i wróciłem do Santiago. Niestety, wizy jeszcze nie było i w ambasadzie wymigiwali się jakoś od konkretnej odpowiedzi. W Brazylii były wówczas rządy „czarnych pułkowników”, więc domyśliłem się, mając podejrzany paszport komunistycznego państwa, że nie ma sensu dalej czekać i zabukowałem się na samolot do Londynu. Po drodze na lotnisku Rio de Janeiro zacząłem udawać chorego, mając nadzieję, że będę mógł pozostać w Rio na parę dni, ale na podanym termometrze wystukałem tylko 37stopni i zdecydowano, że mogę kontynuować lot. Obejrzałem więc Rio z lotu ptaka. Moje marzenie spełniło się dopiero kilkadziesiąt lat później. Poleciałem dalej Iberią do Madrytu, a tam, po krótkim postoju, zmieniłem samolot na British Airways, którym doleciałem do Londynu. Z lotniska wziąłem taxi, która zawiozła mnie do domu pani B. Kojder, Polki, która wydostała się z armią gen. Andersa z Sybiru, a potem, przez Bliski Wschód

skierowano ją do Kenii i po wojnie osiedliła się w Anglii. Lokum to polecił mi Władek Torbicz, który u niej jakiś czas zamieszkiwał podczas stażu w Anglii.

W następane dni rozejrzałem się po okolicy, nawiązałem kontakt z miejscowym klubem tenisowym z kortami trawiastymi, gdzie uzyskałem status „honorary member”, co pozwalało mi na gry deblowe w weekendy, łącznie z nieodzowną herbatką i ciachem za kilkanaście szylingów. Odwiedziłem też Wimbledon, który był odległy o kilka przystanków kolejki. Wprawdzie było już po turnieju, ale klub był otwarty, więc mogłem zwiedzić korty, na których grali najśłynniejsi tenisisci świata. Później przyszła kolej na zwiedzanie słynnych budowli i miejsc, jak Tower, Big Ben i parlament Westminster, Buckingham Palace, Hyde Park i wiele innych, w tym słynne British Museum. Zrobiłem także trochę zakupów, w czym dominował Marx&Spencer, ale też i inne domy towarowe. Odwiedziłem również salon samochodowy, w którym zamówiłem i wpłaciłem zaliczkę jeszcze w Australii na Fiata 124, jednakże, kiedy zobaczyłem stojący czerwony kabriolet Fiat Sport Spider, straciłem dla niego głowę, zmieniłem dyspozycję i z niecierpliwością oczekiwałem na jego dostawę. Wreszcie go odebrałem.

Był to mój pierwszy samochód, byłem nim zachwycony, kształt karoserii był projektowany przez słynnego włoskiego architekta samochodów Bertone, projektanta m.in. Ferrari. Nawet kierowca piętusa powiedział mi kiedy staliśmy pod światłami: „nice body”. Wybrałem się nim na przejażdżkę, odwiedziłem Eton-miasto college’ów dla dobrze urodzonych, zamek Windsor, Statford upon Avon – miejsce urodzin Shakespeare’a i Oxford. szczególnie tym ostatnim byłem urzeczony, stare budynki college’ów w girlandach zieleni, wijąca się rzeczka i dostojny spokój, tak sobie wyobrażałem starą Anglię.

Czas było wracać, spakowałem więc zakupy do samochodziku i udałem się do Dover, a stamtąd promem do Boulogne. Tu zetknąłem się po raz pierwszy od ukończenia kursu samochodowego z ruchem prawostronnym. Nie sprawiło mi to jednak większych kłopotów i po noclegu w przygodnym hoteliku dotarłem do Paryża. Jadąc przez równiny północnej Francji z porozrzucanymi gospodarstwami i przydrożnymi drzewami poczułem się bardzo swojsko. Krajobraz przypominał mi Polskę. Po paroletnim pobycie w Australii, gdzie poza miastami są tereny dzikie, porośnięte buszem, Europa sprawiała wrażenie dobrze uprawianego ogrodu. W Paryżu zatrzymałem się w hoteliku De France na Montmartre, poniżej Sacré Coeur. Poświęciłem parę dni na zwiedzanie słynnych zabytków, po czym udałem się na południe, zatrzymując się na parę godzin w Fontainebleau i Aix-en-Provence. Prowansja wywarła na mnie duże wrażenie. Wyglądała rzeczywiście jak na obrazach Van Gogh’a. Dalej

minąłem Toulon i zaczęła się jazda wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Zatrzymywałem się po kilka godzin na kąpiel, bądź oglądanie ekskluzywnych jachtów i hoteli w słynnych kurortach jak St-Tropez, Cannes, Nicea i Monte Carlo. Była to pełnia sezonu i wszędzie panował tłok, nawet na kempingach, niemniej wspaniałe budynki, przyroda i błękitne morze sprawiały, że wszystko chłonęło się oczami. Z Monte Carlo obrałem kierunek na Grenoble, gdzie obejrzałem w okolicy miejsca, na których odbyła się olimpiada zimowa, i dalej dojechałem do Miluzy, gdzie przekroczyłem granicę z RFN. Przenocowałem we Freiburgu i kontynuowałem moją podróż wzdłuż północnego brzegu jeziora Bodeńskiego, zatrzymując się w Oberamergau z domkami ozdobionymi pięknymi malowidłami i mnóstwem brodaczy na ulicach. Prawdopodobnie wtedy przypadał termin odgrywania 5 ostatnich dni męki Pana Jezusa, którą mieszkańcy tego miasteczka organizują co 10 lat od wieków, a która ściąga tysiące turystów. Następnie odwiedziłem słynny olimpijski kurort Garmisch-Partenkirchen z widokiem na najwyższy szczyt niemieckich Alp, Zugspitze, i wreszcie przekroczyłem granicę austriacką, a następnie przez Innsbruck i Salzburg dojechałem do Weiz. Zatrzymałem się w hotelu Elin'a, tam gdzie kiedyś mieszkałem. Odwiedziłem kolegów z biura konstrukcyjnego, którzy mnie bardzo serdecznie powitali. Mój były szef zaproponował mi pracę, ale ja parłem dalej. Urządziliśmy jeszcze kolację i pokaz moich slajdów z Australii, i pożegnawszy się, następnego dnia ruszyłem w drogę. Minąłem Wiedeń i przekroczyłem granicę czeską w Mikułowie. Jadąc w stronę Brna dość wąską drogą z grubymi drzewami i rowem po obu stronach za wlokącą się Octavią, postanowiłem ją wyprzedzić mimo, że droga wiodła pod górę. Nagle zobaczyłem jadący z przeciwka samochód, zacząłem ostro hamować ale mimo, że droga była sucha samochód nagle skręcił w prawo. Na szczęście trafiłem w miejsce, gdzie była dłuższa przerwa między drzewami i rów był zasypany. Wyjechałem na łąkę i wyhamowałem bez najdrobniejszej rysy na samochodzie, lecz ja byłem cały roztrzęsiony. Uważam, że to cudowne ocalenie zawdzięczam modlitwom mojej mamy. Po uspokojeniu się, już bez przeszkód dojechałem do granicy polskiej, którą przekroczyłem 1 września 1970 r., dokładnie 5 lat po moim wyjeździe.

Tutaj zaczęły się kłopoty. W Polsce wprowadzono wysokie opłaty celne za samochody. Ja argumentowałem, że zaliczka na samochód została wpłacona wcześniej, więc należy mnie oclić według poprzednich stawek. W końcu zezwolono mi na wjazd pod warunkiem, że ostateczna odprawa celna nastąpi w Warszawie. Mogłem więc, wolno kołyszając się w resorach, jak to wymarzyłem sobie przed laty jako mały chłopiec, wprowadzić nie Cadillakiem, ale moim równie efektownym kabrioletem, podjechać do rodzinnego domu na przedmieściu Częstochowy. Syn sąsiadów, widząc

mnie jadącego czerwonym kabrioletem ze złożonym dachem wyraził swój podziw wołając: „Tadek, ty cholero”. Nareszcie padłem w objęcia rodziny, za którą się bardzo stęskniłem przez te 5 lat. Na szczęście wszystko w domu było w miarę dobrze, więc po spędzeniu paru dni na opowieściach o moich podróżach i wypoczynku ruszyłem do Warszawy.

Praca w kraju po powrocie z zagranicy

Przez kilka dni zamieszkałem u Michała Świechowskiego na Sadybie, po czym odebrałem klucz ze spółdzielni mieszkaniowej „Starówka” i wprowadziłem się do nowego, pustego M2 na Muranowie. Na mieszkanie to zapisałem się pracując jeszcze w Elektroprojekcie. Sprawa biegła cały czas kiedy byłem za granicą i opiekował się nią nieoceniony Michał, który wybrał w porozumieniu ze mną lokalizację i na podstawie mojego pełnomocnictwa ustalał inne szczegóły. Myślę, że termin odbioru mieszkania wpłynął również w pewnym stopniu na moją decyzję o powrocie. W wieku 35 lat, po latach tułaczki po różnych kątach, miałem więc ciasne ale własne mieszkanie. Sypiając na dmuchanym materacu zacząłem je stopniowo meblować i urządzać.

Rozpocząłem też starania o pracę myśląc, że znając dobrze niemiecki i angielski, i mając doświadczenie z pracy w wielkich firmach elektrotechnicznych będę atrakcyjnym pracownikiem. Ale tu spotkało mnie rozczarowanie. Z racji znajomości języków skierowałem się do central handlu zagranicznego – najpierw Elektrimu, gdzie uzgodniłem warunki pracy z dyrektorem technicznym. Przyjęcie miało być potwierdzone za kilka dni przez zastępcę dyrektora d.s. personalnych, jednak gdy się zgłosiłem, otrzymałem odpowiedź, że sprawa jest nieaktualna. Na zapytanie, czy jest jakiś komentarz? Powiedziano – nie. Identyczny przebieg miały moje starania w Metalexporcie i Polimex-Cekopie. Dopiero Jurek Żukowski, dowiedziawszy się o moich perypetiach, porozmawiał z dyrektorem Biura Handlu Zagranicznego ZWAR w Międzyzlesiu i ten zgodził się przyjąć mnie do pracy od 1 listopada 1970. Tu na wstępie przeżyłem szok. Kiedy, wchodząc zauważyłem portierów smażących sobie kiełbaski na grzejniku, uzmysłowiłem sobie, jaką drogę przebyłem i gdzie się znalazłem. Później stopniowo, stawałem się niewrażliwy na wiele rzeczy. Niewesoło też było z moim samochodem. Po kilku dniach użytkowania zgłosiłem się do Urzędu Celnego, który nie uznał moich argumentów, że zaliczka została wpłacona przed zmianą taryfy celnej i żądał wysokiego cła. Ponieważ nie chciałem się na to zgodzić, samochód został odstawiony na parking i zaplombowany na kilka miesięcy. W końcu różnymi drogami udało mi się uzyskać zgodę na zapłatę cła według starych stawek i na wiosnę mogłem się znów rozkoszować jazdą kabrioletem ze złożonym dachem, zwracając powszechną uwagę. Po kilku miesiącach otrzymałem wezwanie do UB do Pałacu Mostowskich. Kazano mi opowiedzieć o moim pobycie za granicą,

co też uczyniłem, nie podając żadnych nazwisk, tylko gdzie byłem i co robiłem. Później w mojej teczce w IPJ znalazłem materiały pokazujące jak dokładnie mnie prześwietlano. Nawet kiedy zamieściłem ogłoszenie w gazecie, chcąc sprzedać samochód, gdy był przetrzymywany przez Urząd Celny, zbadano moich niedoszłych kontrahentów, którzy odpowiedzieli na moje ogłoszenie, czy nie są to agenci z którymi poszukuję kontaktu.



Z Januszem Migdalskim na Mazurach przy odzyskanym kabrioletcie

Praca w ZWAR nie dawała mi jednak pełnej satysfakcji. Wykorzystanie mojej znajomości języków i wiedzy technicznej było znikome, więc na wiosnę 1972 roku zrobiłem drugie podejście do Elektrimu, sądząc, że już zostałem sprawdzony. I rzeczywiście, uzgodniłem pensję i termin rozpoczęcia pracy. Wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze, więc wymówiłem pracę w ZWAR. Jednakże, kiedy udałem się do Elektrimu, żeby dopełnić jakiejś formalności, okazało się, że praca znów jest dla mnie nieaktualna. Zostałem, więc na lodzie. Aby mieć jakieś środki do życia, chwyciłem się pracy w Spółdzielni „Tłumacz”, tłumacząc teksty z i na język angielski i niemiecki i pędząc życie wagarowca. W tej desperacji zwróciłem się do firmy Elin z prośbą o zatrudnienie. Firma przysłała mi angaż. Jednakże otrzymałem odmowę wydania paszportu i z wyjazdu wyszły nici. Pograżałem się coraz głębiej w swoim rozgoryczeniu. Przywiozłem z Australii projekt napędu tyrystorowego, nawet rozmawiałem o tym z dr. inż Tunią, ale widząc co się dzieje rzuciłem to w ką.

We wrześniu 1971 roku, po grze w tenisa, kolega powiedział mi przypadkowo, że widział ogłoszenie w gazecie, iż jakaś firma zagraniczna poszukuje inżyniera elektryka ze znajomością języka angielskiego i niemieckiego. Pojechaliśmy więc do jego domu. Gazety jeszcze nie

wyrzucił, więc złożyłem szybko podanie i oczekiwałem z nadzieją na odpowiedź, czy znów jakiś przypadek ma zadecydować o moim losie. Okazało się, że firmą poszukującą pracownika jest Przedstawicielstwo ASEA w Polsce – szwedzkiej firmy, która, z tytułu pomocy Armii Krajowej w czasie okupacji, jako chyba jedyna w Polsce, uzyskała status niezależnego przedstawicielstwa, niezwiązanego z żadną centralą handlu zagranicznego. W listopadzie przeprowadzono ze mną wywiad w obecności dyrektora biura oraz osób ze Szwecji odpowiedzialnych za rynek polski, sprawdzając znajomość języków obcych oraz wiedzę techniczną i dotychczasową praktykę zawodową. Następnie było długie oczekiwanie i w marcu otrzymałem wezwanie na rozmowę, która zakończyła się sukcesem. Zaproponowano mi pracę od 15 maja 1972 roku. I tu znów sprawdziło się, że człowiek nie jest w stanie z góry przewidzieć, co jest w jego życiu dobre a co złe. Jak się później dowiedziałem o tę pracę ubiegało się ok. 40 osób – przeważnie z central handlu zagranicznego.

Rozpocząłem jednak pracę bez przeszkód, możliwość rozmów w językach obcych, zachodni styl pracy, solidność, bezpośrednie kontakty z ciekawymi ludźmi, wysoki standard socjalny, samochody, hotele sprawiły, że poczułem się wreszcie, że jestem we właściwym miejscu. Nad głową moją jednak znów zawisły ciemne chmury. Otóż jeszcze przed rozpoczęciem pracy na początku maja wezwano mnie ponownie do UB w Pałacu Mostowskich. Oficer, który mnie przesłuchiwał ppor., Babraj otrzymał informację o moim zatrudnieniu i usiłował mnie zwerbować jako tajnego współpracownika.

przekonan nie zfiame. Na podstawie obawy jego zachowania się i przekazanej relacji związanej z jego kontaktem dotyczącym "ASEA" należy stwierdzić, że wymieniony jest negatywnie ustosunkowany do okoliczności związanych z przekazywaniem informacji i obecnie nie ma żadnych możliwości na pozyskanie wymienionego do współpracy z naszymi organami. Ponadto, ze względu na znajomość przez wymienionego naszego przemysłu elektrotechnicznego oraz możliwość pozostania za granicą podczas wyjazdu delegacyjnego, uważam, że nie jest wskazane aby Majewski był zatrudniony w przedstawicielstwie szwedzkim firmy "ASEA", tym bardziej, że nie posiadamy tam żadnego źródła informacji co mogłoby nam pozwolić na jego kontrolę operacyjną w miejscu pracy.

P R Z E D S I E W Z I E C I A

1. Wnoszę o spowodowanie zwolnienia wymienionego z przedstawicielstwa szwedzkiego firmy "ASEA" z uwagi na niekorzystną dla nas sytuację operacyjną.
2. Z uwagi na możliwość wyjazdów za granicą oraz pozostania tam na stałe wnoszę o wyrażenie zgody na zastrzeżenie jego wyjazdów z terenu PRL do krajów kapitalistycznych i Jugosławii.

Fragment raportu ppor. Babraja z mojego przesłuchania w UB w Pałacu Mostowskich

Wobec mojej zdecydowanej odmowy zagroził mi zwolnieniem z pracy, zakazem wyjazdów za granicę oraz stałą kontrolą. Mimo to, nie ugiąłem się i opuściłem Pałac Mostowskich z podniesioną głową, ale zgaszony.

Perspektywa pracy w znanej firmie zaczęła się oddalać, tym bardziej, że jednym z warunków zatrudnienia było otrzymanie paszportu na wyjazd do Szwecji. Po pewnym czasie otrzymałem fikcyjne zaproszenie z firmy na wyjazd na szkolenie do Szwecji, mające sprawdzić, czy mogę otrzymać paszport. Złożyłem podanie i z niepokojem oczekiwałem na odpowiedź.

8 9 2

WARSZAWA
-31273 9

1 XII 1973

KOMENDA STOŁECZNA
MILICJI OBYWATELSKIEJ
W WARSZAWIE

Ob. Majewski Tadeusz

ul. Nrobia 80^A w 121
01-015 - WARSZAWA

Eawa- 76455
skr. poczt. P-20
00-950 Warszawa

P

Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej w Warszawie zawiadamia, że na podstawie art. 4 ust. 2 pkt 4 ustawy o paszportach z dnia 17 czerwca 1959 r. /Dz.U. z 1967 r. nr 17 poz. 81/ podanie Obywatela/ki/ o wydanie paszportu na wyjazd do Szwecji załatwione zostało odmownie.

Od decyzji niniejszej może Obywatel/ka/ wnieść odwołanie do Biura Paszportów i Dowodów Osobistych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych powołując się w nim na numer niniejszego pisma. Odwołanie należy złożyć w terminie dni 14 od daty doręczenia niniejszej decyzji, za pośrednictwem Wydziału Paszportów i Dowodów Osobistych Komendy Stołecznej MO w Warszawie.

Do odwołania należy dołączyć znaczki opłaty paszportowej w wysokości 20 zł.

3
Naczelnik Wydziału
Paszportów i Dowodów Osobistych
K-dy Stołecznej MO w Warszawie

Odmowa wydania paszportu

O dziwo, odpowiedź była pozytywna – widocznie UB było poinformowane, że to fikcja, bo już następne moje starania o paszport, aż do roku 1980 były załatwiane odmownie. Dziwiło mnie tylko, dlaczego pierwsza odpowiedź była pozytywna, jakby komuś zależało żebym pozostał w pracy.

Firma jakoś zaakceptowała późniejsze odmowy, więc mogłem pozostać w pracy, czerpiąc wiedzę o produktach firmy z katalogów i informacji technicznych oraz z rozmów z pracownikami firmy ze Szwecji podczas ich wizyt w Polsce. Była to trudna droga, ale doświadczenie zdobyte w poprzednich firmach ułatwiało mi zadanie. Również traciłem na tym

finansowo, gdyż każdy wyjazd za granicę, a przeciętnie mogłem wyjeżdżać 3-4 w roku, to był spory dodatek do pensji, z uwagi na to, że diety były wypłacane w dewizach, a koszty złotówkowe można było również rozliczać w dewizach po oficjalnym kursie. Takie to były koszty ucziwości, których niektórzy ludzie nie chcieli ponieść w tamtych czasach. W mojej teczce w IPN znalazłem cały plik kopii odmów wydania paszportu w odpowiedzi na moje podania i odwołania – ppor. Babraj działał skutecznie. Dopiero po nieoficjalnych rozmowach kierownictwa naszego biura w Szwecji z pracownikami wyższego szczebla central handlu zagranicznego zgodzono się w roku 1978 na wydanie mi paszportu na wyjazd do Szwecji. Moje pierwsze zetknięcie się ze Szwecją po 10 latach nieobecności na Zachodzie było oszałamiające. Schludne domki pomalowane na ciemny brąz. Ani śladu jakichś ruder, wszystko uporządkowane, dobre drogi, mnóstwo zieleni i lasy, ludzie grzeczni, aczkolwiek niełatwi do nawiązywania znajomości. Również w firmie widziało się solidność w pracy i wysoką jakość produktów. W firmie przyjęto mnie bardzo dobrze.



W biurze ASEA przy Nowym Świecie

Szwedzi, z którymi pracowałem w Polsce i którzy wiedzieli o moich kłopotach paszportowych odstawili swoją szwedzką powściągliwość i starali się okazać trochę serdeczności. Poznałem również zakłady produkcyjne, gdzie produkowano urządzenia, którymi się zajmowałem. Dzięki temu uzyskałem sporo informacji na ich temat. W mojej pracy zajmowałem się głównie napędami maszyn papierniczych i automatyką okrętową, ale również całą gamą produktów elektrotechnicznych, takich jak

silniki prądu stałego i przemiennego, turbiny Ljungstroema z generatorami przeciwbieżnymi, wagi przemysłowe z czujnikami magneto-elastycznymi, a nawet prasy hydrostatyczne. Gdy rozpoczynałem pracę w biurze ASEA przy Nowym Świecie dyrektorem był S. Biese, Fin szwedzkiego pochodzenia. Mieszkał o na górnym piętrze z żoną i trzema uroczymi córeczkami, które w białych szatach, z wiankami i z zapalonymi świeczkami na głowie przychodziły do biura w dzień św. Łucji 13 grudnia, który jest w Szwecji celebrowany jako dzień ognia. Był też glog – gorące wino z korzeniami – i kruche ciasteczka. Co roku zapraszał on nas do siebie na kolację wigilijną – wprawdzie bez opłatka, ale stwarzało to w biurze rodzinną atmosferę.

Po paru latach schedę po nim objął Szwed W. Hoegstroem, z którym w 1975 roku świętowaliśmy 50 lecie Przedstawicielstwa ASEA w Polsce. Na tę uroczystość, oprócz innych oficjeli, przyjechał pan Norman, wówczas ponad 90-letni założyciel biura, któremu w czasie okupacji groziło aresztowanie przez gestapo za pomoc dla AK.



Rocznica 50- lecia ASEA w Polsce (1975), pan Norman – drugi z prawej,
autor - drugi z lewej

Kolejnym dyrektorem biura był R. Gruenbaum, bardzo przyjazny i kulturalny człowiek, niepodobny swym zachowaniem do niektórych przedstawicieli swej nacji, który jednak, gdy zobaczył czołg stojący naprzeciw naszego biura na rondzie Nowy Świat – Aleje Jerozolimskie, zwinął manatki i wyjechał do Szwecji. Potem aż do momentu połączenia ASEA z BBC w roku 1989 byliśmy zarządzani zdalnie ze Szwecji.

Odblokowanie paszportu otworzyło przede mną nowe perspektywy wyjazdów za granicę, nie tylko służbowych, ale również prywatnych.

W latach 1979-1980 wziąłem udział w mistrzostwach ASEA w tenisie w Szwecji w Westeras, zdobywając odpowiednio pierwsze miejsce w klasie 3 i drugie miejsce w klasie 2. Później przez kilkanaście lat wyjeżdżałem na urlop w lecie do Austrii, do miejscowości Stubenberg am See, gdzie nauczałem gry w tenisa, a przy okazji mogłem się spotkać ze znajomymi i wybrać się z moim byłym szefem na pstrąga w górach.

Po połączeniu firmy ASEA z Brown Boveri Company (BBC), do połączonego biura przyszli nowi ludzie z przedstawicielstwa BBC, które dotychczas było prowadzone przez centralę handlu zagranicznego Poliglob. Połączenie firm zbiegło się w czasie z okresem transformacji w Polsce. Nowa firma, teraz pod nazwą ABB, dość szybko włączyła się w proces prywatyzacji w kraju. Jej łupem padały stopniowo takie zakłady jak: Zamech, Dolmel, Elta, ZWAR i Pafawag. Nie wszystkim tym zakładom wyszło to na zdrowie. Zakłady, które poprzednio pracowały na dobrze wdrożonych licencjach BBC, jak Zamech i częściowo Dolmel oraz Elta, która produkowała transformatory na licencji Elin, przetrwały. Inne, których produkcja była konkurencyjna dla produktów ABB jak ZWAR i część Dolmelu, produkująca silniki, musiały paść z braku dostępu do nowoczesnej technologii, i zajęły się serwisem. Nastąpiły również przeobrażenia w naszym biurze. Została utworzona firma ABB Marketing and Sales, która zajmowała się marketingiem na dotychczasowych zasadach, i w której ja się znalazłem wraz z moimi kontrahentami. W dniu 5 listopada 1991 roku znów zadziałała Opatrzność Boża, mianowicie, kiedy jechałem do Gdańska Oplem Omegą na gwarancji, w siąpiącym deszczu i przy prędkości ok. 100 km/h, nagle przed moim samochodem pojawił się koń stojący w poprzek drogi. Zacząłem raptownie hamować wierząc, że ABS nie doprowadzi do poślizgu. Niestety, na skutek jakiegoś błędu koła zostały zablokowane, wykręciłem bączka i wpadłem do głębokiego rowu, lecz ani mnie, ani jadącemu ze mną Szwedowi nic się nie stało, tylko samochód miał powyginaną blachę. Był to prawdziwy cud Boski, że nie trafiliśmy w konia lub w jedno z drzew, które rosły na poboczu.

Stopniowo część moich zadań zaczęły przejmować nowe firmy, które powstały w ramach ABB i w końcu znalazłem się w nowo powstałej firmie ABB Industry, okrojony ze swoich zadań do oferowania i realizacji napędów o regulowanych obrotach, przede wszystkim napędów maszyn papierniczych, w czym miałem długą tradycję. Przez moje ręce przez prawie 30 lat pracy w ASEA i ABB przewinęło się kilka generacji rozwoju technologicznego tych napędów, począwszy od sterowanych analogowo sekcyjnych napędów tyrystorowych prądu stałego, dostarczonych w latach siedemdziesiątych do papierni w Myszkowie, aż do rozproszonego systemu cyfrowego dla napędów sekcyjnych prądu przemiennego dostarczonego do papierni w Ostrołęce pod koniec lat dziewięćdziesiątych. W ramach swoich

obowiązków współpracowałem ściśle z ABB w Finlandii biorąc udział w sympoziach organizowanych w Finlandii i innych krajach, z udziałem pracowników ABB zajmujących się napędami maszyn papierniczych z całego świata.



Sympozjum w Parku Krugera w Afryce Pd.; autor – w pierwszym rzędzie, pierwszy od prawej

W końcu czerwca 2001 przeszedłem na emeryturę, przeznaczając swój czas na podróże, narty i tenis.



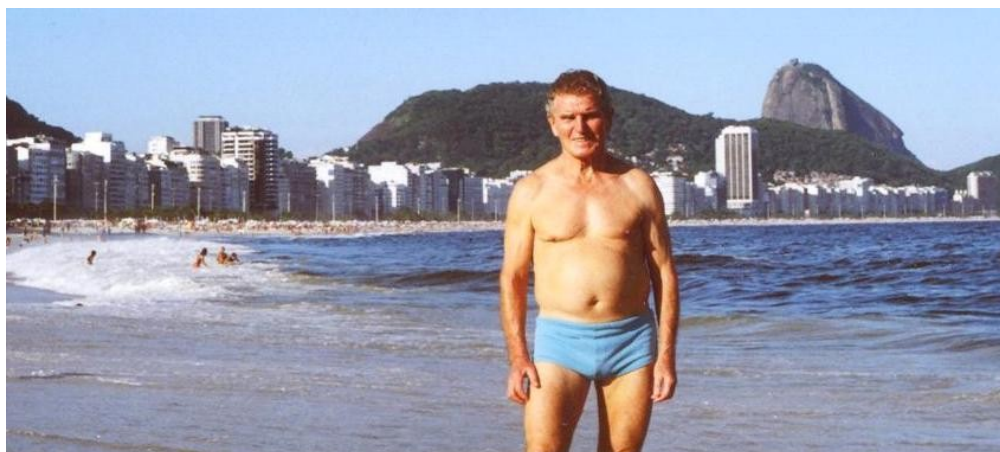
Na własnym korcie pod Nadarzynem w miłym otoczeniu

Na początku lat osiemdziesiątych, za namową kolegów, podobnych fanatyków tenisowych jak ja, kupiłem częściowo zalesioną działkę rekreacyjną pod Nadarzynem, na której wybudowaliśmy wspólnie kort

tenisowy, który dostarcza mi zajęć na świeżym powietrzu, zarówno podczas towarzyskich deblu, jak również przy pracy nad jego utrzymaniem.

Zaliczyłem również podróże do: Australii – gdzie odwiedziłem, kolegów sprzed lat, którzy również rewizytowali mnie w Polsce; Meksyku – gdzie wizytowałem mego partnera deblowego, a także zwiedziłem znane zabytki i miejscowości, w tym stolicę Meksyk i pobliski Teotihuakan, a dalej Acapulco, Puerto Escondido, przemierzyłem samotnie Sierra Madre del Sur, żeby dotrzeć do Oaxaca, a stamtąd do Monte Alban i Mitla. Wybrałem się też do Egiptu zwiedzając wszystko, co po drodze od Kairu po Abu Simbel. Ukoronowaniem jednak moich podróży była podróż do Południowej Ameryki i poprzez Buenos Aires, Pampasy, Iguacu mogłem wreszcie spełnić moje marzenie sprzed lat i stanąć na Copacabana w Rio de Janeiro.

Jeżeli chodzi o narty to zaliczyłem większość znanych kurortów w Austrii, Włoszech i, w ostatnich latach, we Francji, gdzie starsi panowie są należycie traktowani, gdyż nie muszą płacić za ski pass'y



Marzenie spełnione po latach wreszcie na Copacabana

No cóż, nie ma jak życie emeryta, który większość swojego zawodowo aktywnego czasu spędził pracując w firmach zagranicznych.

Kazimierz Malanowski



Od elektrotechniki do matematyki



Moja PRL-owska klaustrofobia

Chyba każdy z naszego pokolenia, w mniejszym lub większym stopniu, cierpiał na klaustrofobię. Spędzaliśmy młodość w baraku, może w najweselszym i najmniej pilnie strzeżonym, ale jednak w zamkniętym obozie. Podejrzewam, że moje poczucie uwięzienia mogło być nieco silniejsze niż przeciętne, a to z dwóch względów. Po pierwsze składał się na nie kompleks prowincjusza, który do szkoły uczęszczał w maleńkim Sandomierzu i niewiele podróżował nawet po Polsce, a po drugie wyniosłem z domu silne zainteresowania sztukami plastycznymi, szczególnie malarstwem, i szybko zdałem sobie sprawę z tego, że na terenie kraju trudno mi będzie zapoznać się z wielką sztuką. Los okazał się dla mnie łaskawy pod tym względem i udało mi się obejrzeć większość wielkich muzeów i galerii europejskich i amerykańskich, ale swojego kompleksu nie zdołałem się pozbyć całkowicie do tej pory i ilekroć zdarza mi się wyjechać za granicę, zawsze staram się obejrzeć maksymalnie dużo - często zbyt dużo - z czającym się w podświadomości ostrzeżeniem, że to już może ostatnia okazja w życiu ...

Znaczna większość moich wyjazdów zagranicznych związana była z pracą zawodową, której przebieg był dosyć nietypowy, jak na absolwenta Wydziału Elektrycznego. Ukończyłem sekcję zabezpieczeń, jednak moja pierwsza i jedyna praca w energetyce trwała niewiele ponad pół roku, gdyż stwierdziłem, że jest ona bezproduktywnym marnowaniem czasu. Dzięki pomocy Zygmunta Warszy przenieśliem się do Instytutu Elektrotechniki, w którym przepracowałem trzy i pół roku, zajmując się wzmacniaczami magnetycznymi dla potrzeb automatyki. Na tym skończyła się cała moja działalność inżynierska. Tym razem przenieśliem się do Instytutu Automatyki PAN, który potem kilkakrotnie był reorganizowany i zmieniał nazwy, a w końcu został podzielony na dwa instytuty. W jednym z nich – Instytucie Badań Systemowych PAN - przepracowałem aż do ostatecznego przejścia na emeryturę, w końcu roku 2009.

W owym czasie, na początku lat 60-tych, w związku z zastosowaniami militarnymi, nastąpił gwałtowny rozwój teorii sterowania optymalnego, jako nowej dziedziny matematyki, związanej z równaniami różniczkowymi i klasycznym rachunkiem wariacyjnym, uwzględniającej jednak możliwość niegładkości rozwiązań, co wprowadzało nową jakość. Sterowaniem optymalnym zajęło się wielu wybitnych matematyków, uzyskując głębokie wyniki teoretyczne, a sztandarowym rezultatem stała się tzw. zasada maksimum, udowodniona przez Pontriagina i jego współpracowników.

W Instytucie Automatyki rozpoczęła pracę mała grupa młodych ludzi, głównie absolwentów kierunku automatyki z Wydziału Łączności, która zabrała się do studiowania tej nowej dziedziny. Dołączyłem do nich. Byliśmy do tego żałośnie słabo przygotowani. Pomocny okazał się udział matematyków, którzy sami wgłębiali się w nową dziedzinę, ale, w przeciwieństwie do nas, mieli dobre podstawy ogólne. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu lat, jakie minęły od tego czasu, teoria sterowania optymalnego dojrzała i przywiodła. Większość ważnych wyników została uzyskana, ale jej stymulujący wpływ na inne działy matematyki okazał się dość mizerny. Przestała przyciągać wybitniejsze indywidualności. W dużej mierze zaczęła się ograniczać do drobnych przyczynków. Mnie to jednak nie przeszkadzało – moje prace miały zawsze taki przyczynkarski charakter – i pozostałem wierny teorii sterowania aż do emerytury. Muszę przyznać, że do końca odczuwałem brak matematycznej kindersztuby. Moje lenistwo powodowało, że ograniczałem się do uzupełniania swoich wiadomości tylko na tyle, na ile było to konieczne do rozwiązywania bieżących problemów. Jak teraz oceniam, było to wielkim błędem, prowadzącym do dyletantyzmu.

Po tym przydługim wstępie, wracam do sprawy moich podróży zagranicznych, od których zacząłem. Już w latach 60-tych wytworzyła się dosyć zamknięta i współpracująca ze sobą międzynarodowa społeczność osób zajmujących się matematyczną teorią sterowania. Ułatwiało to znacznie wyjazdy.

Pierwszy mój dłuższy pobyt za granicą nie był bezpośrednio związany z pracą zawodową. Na początku 1967 roku zostałem wysłany do Moskwy na miesięczny kurs języka rosyjskiego dla pracowników PAN-u. Umożliwiło mi to zapoznanie się ze zbiorami malarstwa europejskiego nie tylko w moskiewskim Muzeum Puszkina, ale także w Ermitażu, gdyż w ramach kursu spędziliśmy kilka dni w Leningradzie. Jednakże prawdziwym odkryciem i olśnieniem była dla mnie sztuka cerkiewna, której wiernym miłośnikiem pozostaję do tej pory. Wiele czasu spędziłem w soborach Moskiewskiego Kremla i Zagorska oraz w Galerii Tretiakowskiej. Podziwiałem znanych malarzy ikon działających w Moskwie w okresie od końca XIV do początku XVI wieku, takich jak

Teofan Grek, Andrej Rublow, Danił Cziornyj czy Dionizy, ale także zachwyciłem się twórcami z innych szkół „ikonopisania”. Do moich ulubionych należy niewielka ikona przedstawiająca św. Kiryła Biełozierskiego, autorstwa Dionizego Głuszyckiego. Postać świętego przedstawiona na złotym tle, jest prawie monochromatyczna, utrzymana w różnych odcieniach brązu; pełna powagi, a jednocześnie pogody. Szczególnie trafiły mi do serca małe sceny z życia różnych świętych, obrzeżające przedstawiające ich ikony. Dużo w nich delikatności i liryzmu, a kolorystyka jest zachwycająca.

Bardzo ciekawą, nie tylko z punktu widzenia czysto estetycznego, była dla nas wizyta w Andronikowym Monasterze, w którym niegdyś mnichem był Andrej Rublow. Klasztor pełnił swoje funkcje religijne aż do Rewolucji Październikowej, po której został przejęty przez Czekę i urządzono w nim jeden z pierwszych obozów koncentracyjnych dla „wrogów ludu”. Potem był wykorzystywany jako hotel robotniczy zakładów produkcyjnych „Sierp i Młot”. Przy okazji zniszczono m.in. stary cmentarz, na którym pochowany był Rublow. W 1947 roku, w ramach obchodów 800-lecia Moskwy, Stalin podpisał dekret uznający klasztor za obiekt podlegający ochronie, jako najstarszy budynek w Moskwie. W 1960 roku założono tu Muzeum Sztuki Staroruskiej im. Andreja Rublowa. O tej historii, jak i o bieżącej sytuacji muzeum dowiedzieliśmy się od jego pracowników - młodych i pełnych entuzjazmu. Opowiadali nam o swoich trudnościach, poczynając od braku funduszy, a kończąc na kłopotach z pozbyciem się innych, niszczycielskich użytkowników obiektu. W roku poprzedzającym nasze odwiedziny niespodziewanie dopisało im szczęście. Ówczesny premier brytyjski Harold Wilson wyraził życzenie zwiedzenia Muzeum Rublowa podczas swojej oficjalnej wizyty w Moskwie. Wywołało to panikę wśród odpowiednich władz i natychmiast znalazły się pieniądze na pośpieszny remont obiektu. Młodzi ludzie mówili o tym, że miesiące letnie spędzają objeżdżając ciężarówką zapadłe wioski, gdzie w opuszczonych cerkwiach lub w prywatnych chatkach poszukują niszczących zabytkowych ikon. Nastąpiło przy tym komiczne, lecz bardzo symptomatyczne *qui pro quo*. Kiedy powiedzieli nam, że ostatnio angażują do tej akcji uczniów szkół średnich, jeden z moich kolegów zapytał czy nie jest to niebezpieczne, mając na myśli niebezpieczeństwo uszkodzenia ikon przez niewyszkoloną młodzież. Jedna z naszych lektorek, przysłuchująca się rozmowie, wtrąciła szybko: „przy naszym wysokim poziomie propagandy ateistycznej nie ma żadnego niebezpieczeństwa”. Z trudem udało się nam powstrzymać śmiech.

Po przeszło czterdziestu latach, w roku 2009 odwiedziłem ponownie Andronikowyj Monastyr. Wyglądał zupełnie inaczej: sobór został zwrócony Cerkwi Prawosławnej, a Muzeum Rublowa utrzymane wzorowo. Byłem

jednym z nielicznych zwiedzających i, zapewne widząc moje zainteresowanie, nawiązała ze mną rozmowę jedna z dyżurnych. Była to dobrze starsza „babuszka” – emerytka, robiła wrażenie osoby bardzo prostej. Powiedziała mi, że każdego ranka, rozpoczynając pracę, przeżywa od nowa radość oglądając wszystkie zgromadzone tam cuda. Byłem naprawdę wzruszony.

Śmieszne nieporozumienie w muzeum Rublowa, wynikające z różnego sposobu myślenia, nie było zresztą jedynym. Rosyjscy organizatorzy kursu czynili naprawdę wielkie wysiłki, by pokazać nam jak najwięcej ciekawych rzeczy. Byliśmy im za to bardzo wdzięczni, nie wszystko jednak ocenialiśmy tak samo jak oni. Zostaliśmy zaprowadzeni do mieszkania Lenina na Kremlu, niedostępnego publiczności, gdyż znajdowało się w budynku zajęтым wówczas przez jakieś ministerstwo. Wizytę tę traktowano jako wielkie wyróżnienie i nasze lektorki wykorzystwały okazję by przyprowadzić ze sobą całe rodziny. Oprowadzająca nas przewodniczka, ze łzami w oczach, rozplątywała się nad skromnością i anielskim charakterem Wodza Rewolucji a o krześle, na którym siadywał przy biurku mówiła: „samaja drogocennaja relikwia”. Innych wizyt tego typu udało mi się uniknąć, ale koledzy opowiadali mi o żartach, jakie sobie stroili przy ich okazji. Kiedy okazało się, że w przewidzianym dniu mauzoleum Lenina było zamknięte, jeden z nich skwitował to stwierdzeniem „znacit siewodnia pocziotnyj trup nie rabotajet”. Innym razem podczas wycieczki do podmoskiewskiego dworu, w którym Lenin przebywał na rehabilitacji przed śmiercią, pokazano im jego podobizną z alabastru, podświetlaną żarówką od środka. Kiedy po chwili modlitewnego nastroju, przewodniczka zapytała: „posmotrieli?” i chciała zgasić światło, jeden ze zwiedzających, z kamiennym wyrazem twarzy, zaprotestował „jeszczo niet” i minuta skupienia została przedłużona.

Chcę teraz opowiedzieć nieco dokładniej o zupełnie innym stażu zagranicznym, który, pod różnymi względami, wywarł na mnie duży wpływ.

W 1967 roku, na konferencji w Pradze, nawiązałem kontakt z Profesorem A. V. Balakrishnanem, z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles (UCLA), który był jednym ze znanych amerykańskich badaczy w dziedzinie teorii sterowania optymalnego. W następnym roku dostałem od niego zaproszenie na roczny pobyt w jego uniwersytecie, w charakterze tzw. „postdoc’a”, a więc na zaawansowane studia, płatne z jego grantu. W owym czasie była to rzadka okazja, więc oczywiście ją zaakceptowałem, a co ważniejsze zaakceptowali ją moi zwierzchnicy w Instytucie.

Wyruszyłem w połowie roku, z biletem lotniczym zakupionym przez Instytut, za który miałem potem zwrócić pieniądze, oraz z dwunastoma dolarami w kieszeni, bo na tyle dostałem pozwolenie wywozu. Na lotnisku

w Los Angeles miał na mnie czekać ktoś z personelu uniwersyteckiego, jednak pech chciał, że w Nowym Jorku, przez który leciałem, trwał strajk włoski personelu lotniczego. W rezultacie mój samolot opóźnił się o 6 godzin i wylądował na miejscu o drugiej w nocy. Nikt na mnie nie czekał. Moje 12 dolarów wystarczyło jednak na taksówkę do zarezerwowanego dla mnie hoteliku, tuż obok kampusu. Dolar był wtedy jeszcze dużo więcej wart niż teraz. Po tym dosyć deprymującym początku wszystko ułożyło mi się dobrze. Profesor Balakrishnan pożyczył mi pieniędzy z własnej kieszeni i bardzo szybko znalazłem wygodne stałe lokum w spacerowej odległości od uniwersytetu.

Liczyłem na pracę zespołową, tymczasem, wbrew moim oczekiwaniom, pozostawiono mi całkowicie wolną rękę w wykorzystaniu czasu, czym bynajmniej nie byłem zachwycony. Obok mnie, w grupie Profesora Balakrishnana, kilku profesorów spędzało tu swój *sabbatical* (urlop naukowy), a poza nimi było kilku doktorantów i „*postdoców*”, część z nich spoza Stanów. Uczestniczyliśmy we wspólnym seminarium, na które przyjeżdżali również profesorowie z innych uczelni. Poza tym wybrałem sobie kilka wykładów, a także chodziłem systematycznie na zajęcia z angielskiego dla studentów zagranicznych.

Uderzyła mnie ogromna różnica w systemie studiów u nas i w Ameryce. Dopiero tu zdałem sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywa fakt, że uczelnie amerykańskie są prawdziwymi uniwersytetami, a nie wąsko wyspecjalizowanymi uczelniami zawodowymi, jak nasza politechnika, gdzie cała dydaktyka ograniczała się do ram jednego wydziału, a możliwości indywidualnego wyboru praktycznie nie było. Tymczasem w Ameryce studenci School of Engineering and Applied Science, z którą byłem formalnie związany, mogli wybrać sobie wykłady nie tylko na wydziałach pokrewnych nauk ścisłych – matematyki czy fizyki – ale także nauk społecznych czy nawet humanistycznych. Niewątpliwie poziom tych wykładów był znacznie wyższy niż mogliby to zapewnić wykładowcy z macierzystego wydziału. Ponadto, prawie co tydzień, odbywały się wykłady popularno-naukowe prowadzone gościnnie przez zaproszonych z zewnątrz wybitnych specjalistów z różnych dziedzin. Ich tematyka była najrozmaitsza, od archeologii Olmeków, do psychiki zbrodniarzy hitlerowskich, o której mówił psycholog badający podsądnych w Procesie Norymberskim. Pamiętam tylko jeden referat poświęcony tematyce polskiej: o autorach pochodzenia żydowskiego w naszej literaturze, interesująco przedstawiony przez Marię Kuncewiczową.

Z zainteresowaniem śledziłem wiadomości o wydarzeniach na świecie, a nie można było narzekać na nudę. Podczas mojego pobytu odbyły się wybory prezydenckie w Stanach (wygrał je Nixon), pierwszy człowiek wylądował na księżycu, a ruchy „*Black Panthers*” i hipisów przeżywały

swoje apogeum. W samym UCLA demonstracje studenckie miały spokojny charakter, nie tak jak w Berkeley. W UC Davis wykładał neomarksistowski filozof Herbert Marcuse, krótkotrwały idol zbuntowanej młodzieży. Na jego wykład w UCLA ściągnęły tłumy.

Dla mnie najbardziej dramatyczne były oczywiście wiadomości o „pomocy” okazanej Czechosłowacji przez armię bratnich krajów socjalistycznych. Słuchałem ich ze ściśniętym sercem, wraz z zaprzyjaźnionym Czechem. Ze smutkiem stwierdzaliśmy, że Amerykanie przyjmują je aż nazbyt spokojnie.

Pamiętam, że pod koniec mojego pobytu zaprzyjaźniony Amerykanin zapytał, co w Stanach Zjednoczonych zrobiło na mnie największe wrażenie. Odpowiedziałem, że przyroda i ludzie. Muzea na Zachodnim Wybrzeżu nie dadzą się porównać z tymi w Nowym Jorku i Waszyngtonie, które obejrzałem dopiero w drodze powrotnej. Za to byłem zafascynowany tak dla mnie egzotyczną przyrodą, zarówno martwą, jak i ożywioną. Wyjeżdżając miałem niewielkie pojęcie o amerykańskich parkach narodowych. Słyszałem oczywiście o Wielkim Kanionie, a w dzieciństwie przeczytałem książkę dla młodzieży, o dwóch chłopcach, którzy przemierzyli kontynent ze wschodu na zachód, zwiedzając takie parki. Pozostało mi z niej wspomnienie o gejzerach, wodospadach i niedźwiedziach w Yellowstone, ale nigdy nie przypuszczałem, że ujrzę je na własne oczy. Zachodnie partie Stanów Zjednoczonych dają pod tym względem ogromne możliwości, które starałem się wykorzystać.

Największe wrażenie zrobił na mnie chyba Yosemite National Park. Sama Yosemite Valley to głęboki kanion, o prawie prostopadłych ścianach, wyłobiony przez rzekę, w szaro-białych skałach Sierry. Wejście do doliny otwiera się pomiędzy dwoma granitowymi pylonami ponad kilometrowej wysokości. Drzewa na ich szczycie wyglądają z dołu jak mech. Jedną z największych atrakcji Yosemite to woda, ale żeby ją ocenić trzeba park oglądać na wiosnę, kiedy topniejące śniegi zasilają rzeki i strumienie. Po prawej stronie wejścia do doliny spada blisko 200 metrowy wodospad – Bridalveil, ale to i tak niewiele wobec Yosemite Fall, który w trzech kaskadach pokonuje wysokość ponad 700 metrów. Woda rozprasza się w nim na mglisty welon, który rozrzedza się i zagęszcza w spadające w dół lawiny. Już w odległości kilkuset metrów czuć w powietrzu rozpylone krople, a bliżej wydaje się, że pada gwałtowny deszcz. Woda spod innego wodospadu - Vernal Fall - tworzy kipiący strumień, który opływa kilka wysepek, noszących nazwę Happy Isles. Byłyby zapewne rzeczywiście szczęśliwe, gdyby nie tłumy turystów.

Na terenie parku, ale już poza doliną, znajduje się Mariposa Grove, rezerwat gigantycznych sekwoi, największych drzew na świecie. Średnica pni niektórych z tych olbrzymów przekracza 7 metrów, a wysokość 70.

Liczą sobie dwa do trzech tysięcy lat. Przy samej ziemi wężłą się potężne korzenie, a dalej pień jest prawie jednakowej średnicy na całej wysokości i dopiero przy samym szczycie zwęża się stożkowato. Jak na takiego olbrzyma korona jest stosunkowo słabo rozbudowana. W drugiej połowie XIX wieku, w pniu jednego z tych czerwobrunatnych gigantów wycięto bramę, przez którą przeprowadzono drogę. Gdy w jesieni 1968 roku byłem tam po raz pierwszy, zgodnie z amerykańską tradycją sfotografowałem się w samochodzie, przejeżdżając przez tę bramę. Nie wiedziałem, że to ostatnia taka okazja. Podczas najbliższej zimy opady były wyjątkowo obfite i drzewo, osłabione wyciętą w nim bramą, nie wytrzymało ciężaru dziesięciometrowej pokrywy śnieżnej; na wiosnę, gdy roztopy pozwoliły na dotarcie do niego, leżało obalone na ziemi – ofiara ludzkiego barbarzyństwa.

Całkowitym zaskoczeniem była dla mnie różnorodność i malowniczość pustyni. W Death Valley pustynia jest brunatna i kamienista, a miejscami pokryta wykrystalizowanymi pozostałościami dawno wyschniętego słonego jeziora. Jednakże wzgórza naokoło zabarwione są minerałami o jaskrawych kolorach. Pustynne obszary Arizony porastają kaktusy *seguaro*, wyglądające jak ogromne maczugi, lub - jeśli mają dodatkowe odrośle - przypominające z daleka zamyśloną postać ludzką, z założonymi rękoma. W Joshua Tree National Monument, obok obłych głazów koloru beżowego, w krajobrazie dominują dosyć upiorne sylwetki drzew Jozuego. Znaczna część pustyni Kalifornii pokryta jest specyficzną roślinnością. Kaktusy *cholla* robią wrażenie puszystych: są pokryte białymi cienkimi kolcami, bardzo złośliwymi, bo z malutkimi haczykami na końcu, które utrudniają wyjęcie, gdy kolce wbijają się w ciało. *Smoky trees*, wydają się być nakryte zwiewnym zielonkawym welonem, ale to ich cienkie, lecz twarde gałązki. Krzak *ocotillo* z daleka wygląda jak kilka dosyć grubych suchych patyków powtykanych w jedno miejsce. Jednak wzdłuż tych patyków układają się rzędy drobniutkich zielonych listków, a na ich końcach wyrastają dwie kitki pokryte czerwonymi kwiatuskami. Na wiosnę cała pustynia na krótko rozkwita. Wielkie jej połacie pokrywa pomarańczowy dywan maczków kalifornijskich, a od czasu do czasu wystrzela wysoko biały świecznik juki.

Ze zwierząt najsympatyczniejsze wydały mi się nie niedźwiedzie brunatne, żerujące często przy śmietnikach w parkach narodowych, lecz chipmunki – małe, zwinne wiewiórki ziemne, płowego koloru z brązowymi pręgami wzdłuż grzbietu i pyszczka. Są bardzo przyjacielskie, ale ostrzegano mnie przed zbytnim spoufalaniem się z nimi, gdyż mogą przenosić wściekliznę. Najbardziej egzotycznie i groźnie wyglądają krowy morskie. Całe setki tych brunatnych obłych stworzeń, o długości paru metrów, wygrzewają się na skałach w pobliżu Monterey. Młode bawią się

komicznie, a stare samce walczą często ze sobą, wydając odgłosy podobne do ryku krowy. Niektóre krwawią i mają mocno pokiereszowaną skórę na grzbietach.

Moje spotkania z ludźmi były ze wszech miar pouczające. Środowisko uniwersyteckie miało skład bardzo różnorodny. W szczególności było wielu Azjatów, a ponadto nawet wśród rdzennych Amerykanów pamięć o emigracji w poprzednich pokoleniach pozostaje żywa, co wpływa na ich życzliwość, oraz gotowość niesienia pomocy świeżym przybyszom, takim jakim ja byłem. Doznałem dużo objawów tej życzliwości. Dwie grupy narodowościowe, z którymi zbliżyłem się szczególnie to Czesi i Żydzi. Obiegowy stosunek Polaków do obu tych narodowości jest, oględnie mówiąc, daleki od entuzjazmu, a w dodatku zabarwiony pewnym poczuciem wyższości, które zaiste nie posiada żadnego racjonalnego uzasadnienia. Moje osobiste doświadczenia pokazywały jak fałszywą jest ta obiegowa ocena.

Jesteśmy słusznie dumni z tego, że potrafilśmy zachować naszą tożsamość i kulturę narodową pomimo stu dwudziestu lat niewoli, a zapominamy o tym, że w XIX wieku Czesi zdołali odbudowywać od podstaw swoją tradycję, niszczoną tendencyjnie po bitwie pod Białą Górą, a co może jeszcze trudniejsze, zachować jej tożsamość i oryginalność, pomimo znacznie silniejszego niż u nas nacisku kultury niemieckiej.

Moim dwóm czeskim przyjaciółom z Los Angeles udało się opuścić kraj w fali emigracji, która ogarnęła Czechosłowację po inwazji armii ościennych, gdy granice nie zostały jeszcze zamknięte. Jiri był synem mechanika samochodowego, który w warunkach komunistycznych z najwyższym trudem utrzymywał swój prywatny jednoosobowy warsztat pod Pragą. Ojciec Jana był pastorem Kościoła Czeskiego, aktywnym pod względem społecznym i politycznym. Po puczu komunistycznym musiał się ukrywać przed aresztowaniem i pracował na wsi jako drwal. Jego dzieci miały wielkie trudności z dostaniem się na studia.

Społeczność żydowska w Los Angeles była liczna. Polacy nie cieszyli się wśród niej dobrą opinią, do czego w owym czasie przyczyniły się dodatkowo antysemityczne posunięcia władz PRL-u. Tym niemniej, nigdy nie miało to najmniejszego wpływu na stosunek do mnie licznych Żydów, z którymi się stykałem. Doznawałem z ich strony tylko sympatii i pomocy.

Należała do nich, przede wszystkim, gospodyni, u której mieszkalem. Była to pani ponad osiemdziesięcioletnia, pochodząca z zamożnej rodziny z Brunszwiku. Po dojściu Hitlera do władzy, jej mąż – chemik - zorientował się dostatecznie wcześniej, że w Niemczech nie ma na co czekać, pozostawił swój dobytek na miejscu i wyjechał wraz z rodziną za granicę, gdy taka możliwość jeszcze istniała. Zmarł przed wybuchem wojny, a ją samą, wraz z dorastającą córką, ściągnęła do Kalifornii jej

przyjaciółka - marszandka malarzy z grupy *Die Blaue Vier*. Tak jak wielu emigrantów, po osiedleniu w Stanach, przyjęła nowe nazwisko – Valeska - łatwiejsze do wymówienia dla Amerykanów, które wybrała na pamiątkę hrabiny Marii Walewskiej. Zarabiała na życie jako fotograf, a dzięki kontaktom swojej przyjaciółki znalazła klientelę wśród aktorów hollywoodzkich. Po przejściu na emeryturę, zamieszkała samotnie w małym domku z ogrodem w Westwood Village, w pobliżu UCLA i zajęła się amatorsko, najpierw malarstwem, a potem rzeźbą w glinie, zdradzając niewątpliwy talent. Wynajmowała jeden pokój studentom, aby w razie czego miał jej kto udzielić pomocy.

Miałem wielkie szczęście, że akurat zwolniło się u niej miejsce. Traktowała mnie zupełnie jak swojego wnuka, otaczając opieką i troskliwością. Ja również nazywałem ją grand-mother. Po moim wyjeździe, przez dobre kilka lat utrzymywaliśmy ze sobą kontakt listowny, aż do momentu, gdy jej córka napisała do mnie, że Matka ma już zaawansowaną sklerozę i straciła pamięć.

Luciena poznałem na konferencji naukowej. Należał do wybitnych naukowców amerykańskich z dziedziny teorii sterowania optymalnego. Był profesorem na USC (University of Southern California), jednakże mieszkał blisko UCLA. Jakoś trafiliśmy sobie do gustu, często spotykaliśmy się i prowadzili długie rozmowy. Był jednym z nielicznych znanych mi Amerykanów, który autentycznie interesował się sytuacją panującą w Europie Centralnej i rozumiał nasze problemy. Zabierał mnie na wspólne wycieczki poza Los Angeles.

Jego ojciec był lekarzem w Berlinie i szczęśliwie udało mu się wyemigrować do Stanów wraz z rodziną, w połowie lat trzydziestych. Lucien miał wybitne zdolności językowe, mówił biegle kilkoma językami obcymi, między innymi po rosyjsku. Zmarł niestety kilka lat później na białaczkę w wieku 44 lat.

Jego żona – Helmi -z pochodzenia Estonka, hodowała w domu aligatora, a poza tym przepadała za fotografowaniem. Każdego ze swoich gości fotografowała z aligatorem na kolanach. Ja też mam taką fotografię. Aligator nie był już wcale taki mały; miał około 130 cm długości i na zdjęciu widać, że odnoszę się do niego z wyraźnym respektem, żeby nie powiedzieć obawą.

Z zamiłowaniem Helmi do fotografowania wiąże się pewna zabawna historyjka. Otóż jednym z czołowych radzieckich uczonych w dziedzinie teorii sterowania optymalnego był Profesor Nikołaj Nikołajewicz Krasowski z Oddziału Uralskiego Akademii Nauk ZSRR w Swierdłowsku, który po 1991 roku powrócił do swojej przedrewolucyjnej nazwy Jekatierinburga. Nikołaj Nikołajewicz był przedstawicielem starej rosyjskiej inteligencji, co dało się łatwo wyczuwać po jego zachowaniu. Publikował wiele i dobrych

artykułów, lecz nigdy nie pokazywał się na żadnej konferencji międzynarodowej, nawet na terenie ZSRR i żaden cudzoziemiec nie widział go na oczy. Jego ścisła izolacja wynikała z faktu, że Oddział Uralski Akademii był silnie zaangażowany w badania związane ze sterowaniem rakiet balistycznych. W rezultacie, stał się niejako mityczną postacią: podejrzewano nawet, że jest rosyjskim Nicolas Bourbaki (takiego zbiorowego pseudonimu używała grupa wybitnych XX-wiecznych matematyków francuskich, którzy usiłowali aksjomatyzować całą matematykę). W drugiej połowie 1969 roku, kiedy byłem już z powrotem w Polsce, Lucien został zaproszony na konferencję w Moskwie i zabrał ze sobą Helmi. Ku zaskoczeniu wszystkich na konferencji zjawiał się Profesor Krasovski – najwyraźniej narzucony mu zakaz kontaktów został wreszcie cofnięty. Helmi skorzystała z okazji i zrobiła jego fotografię. Po konferencji oboje zatrzymali się w Warszawie i pierwsze słowa Luciena po powitaniu były: „Mamy dowód istnienia Profesora Krasovskiego”. Nawiasem mówiąc w 1979 roku udało się nam ściągnąć Nikołaja Nikołajewicza do Warszawy, na konferencję IFIP-u. Był to jego pierwszy wyjazd za granicę i potem bardzo miło go wspominał.



Z aligatorem w Los Angeles

Robert był synem sąsiadów Pani Valeski, parę lat młodszym ode mnie. Urodził się podczas wojny na Filipinach, gdzie jego ojciec wyjechał w pierwszej połowie lat trzydziestych, jako przedstawiciel niemieckiej firmy. Posiadał niemiecki paszport, co prawda ze wstemplowaną literą „J”, więc po zajęciu Filipin, Japończycy traktowali go jako sprzymierzeńca

i poczuł się bardzo niezręcznie, gdy miejscowy dowódca wojskowy złożył mu kurtuazyjną wizytę. Oględnie wyjaśnił mu sytuację i taktowny Japończyk nie odwiedzał go więcej, jak również nie poczynił żadnych nieprzyjaznych kroków.

Robert był w trakcie pisania doktoratu z historii, a w następnych latach zajmował się edycją listów Einsteina. Odbywaliśmy długie rozmowy na interesujące nas tematy. Przygotował dla mnie listę książek historycznych, dotyczących głównie średniowiecza, które zakupiłem na miejscu. Wszystkie te, o których sądziłem, że nie wzbudzą podejrzeń cenzury, wysłałem pocztą, a „nieprawomyślne” zabrałem ze sobą wracając do Polski. Te ostatnie przewiozłem szczęśliwie, gdyż celnik nie sprawdzał dokładnie mojego bagażu, natomiast spośród wysłanych skonfiskowano mi dwie: „The Revolt of the Masses” – Ortegi y Gassetta oraz „One Dimensional Man” – Herberta Marcuse. Jedna prawicowego, a druga lewicowego filozofa. Jak widać podejrzane było wszystko, co nie zgadzało się ze ścisłą ortodoksją.

Mój roczny pobyt w Los Angeles unaoczniał mi, jak fałszywe i powierzchowne są obiegowe opinie o ludziach różnych kultur, religii i tradycji, a także o ile więcej łączy ich ze sobą niż dzieli.

Jeden tylko miałem taki okres w życiu

Zacznę od przytoczenia krótkiej relacji naszego zmarłego Kolegi Ś.P. Czesia Resiaka z burzliwych lat 1956-7.

Przy końcu naszych studiów na Politechnice nastąpiły dwa Październiki – 1956 i 1957. Pierwszy był ogólnopolski. Po powrocie z wakacji, 1 października 1956 r., wyczuwało się w prasie nadchodzące zmiany w KC PZPR. Wkrótce nastąpiły słynne na całą Polskę wiece w auli Politechniki Warszawskiej. Ja byłem na każdym z nich. Jak dobrze pamiętam, były tam przedstawiane żądania wolności prasy oraz wiele innych postulatów dotyczących m.in. natychmiastowego zwolnienia ks. Kardynała Wyszyńskiego. Po upływie 3 dni Kardynał Wyszyński został uwolniony i niezwłocznie powitał młodzież akademicką w kościele Św. Jakuba przy Placu Narutowicza w Warszawie.

Po wydarzeniach październikowych 1956 przestały działać organizacje polityczne. Naczelną reprezentacją młodzieży na Politechnice Warszawskiej stało się Zrzeszenie Studentów Polskich. W 1956 r. odbyły się wybory do Rady Uczelnianej ZSP. Z każdego wydziału wytypowano po

6 delegatów. W wyborach tych zdecydowane zwycięstwo odniósł Wydział Elektryczny. Przewodniczącym Rady Uczelnianej został Edward Krzemiński, a jego zastępcą Jan Lelito. Sprawy kulturalno-oświatowe spoczęły w rękach Władysława Lacha, któremu pomagałem osobiście, będąc reprezentantem ds. bytowych Wydziału Elektrycznego. Cała Rada

Uczelniana ZSP była w rękach Wydziału Elektrycznego, poza nielicznymi przedstawicielami innych wydziałów.

Nadszedł rok 1957. Po rozpoczęciu nauki, 1 października Włodzimierz Winiarski, z którym mieszkałem w akademiku przy ul. Grójeckiej 39, przeczytał w „Polityce”, że „Po prostu” się nie ukaże, gdyż zostało zawieszane. W poprzednim numerze tego czasopisma zamieszczono notatkę zawiadamiającą o otwarciu wystawy rysunków i malarstwa pracowników i współpracowników „Po prostu”. Wystawa miała się odbyć przy ul. Foksal. Ja i Włodek Winiarski wybraliśmy się na tę wystawę. Na wystawie był redaktor „Po prostu” Lasota i chyba redaktor Olszewski. Tam dowiedzieliśmy się, że „Po prostu” zostało skonfiskowane, maszyny zaplombowane, a papier do druku wywieziony.

Natychmiast udaliśmy się do Rektora Politechniki Warszawskiej. Przyjął nas Rektor Profesor Bukowski, którego powiadomiliśmy o konfiskacie jedyne go studenckiego czasopisma. Poprosiliśmy o wyrażenie zgody na zorganizowanie wiecu w auli Politechniki Warszawskiej. Rektor taką zgodę wyraził i wiec się odbył, lecz uczestników było niewielu, gdyż nie zostali poinformowani na czas.



Patio od strony ul. Grójeckiej wyznaczone Akademikami Mochnackiego 8, Grójecką 39 i Pl. Narutowicza 5

Cały ciężar Października 1957 przeniósł się na Plac Narutowicza, a dokładnie na patio pomiędzy skrzydłem akademika od strony ul. Grójeckiej a skrzydłem od strony Placu Narutowicza, gdzie odbył się wiec z udziałem studentów Politechniki Warszawskiej i innych uczelni. Patio

było szczelnie wypełnione, a pośrodku został ustawiony stół, na którym stojąc, przemawiał pełnomocnik Ministra Szkolnictwa Wyższego ds. Młodzieży – tow. Werblan. W sposób partyjny uzasadnił konfiskatę czasopisma „Po prostu”, co rozwścieczyło studentów, którzy wywrócili stół razem z towarzyszem. Tow. Werblan podniósł się, otrzepał się z kurzu i przez przejści, powstałe na wzór ścieżki zdrowia, wśród gwizdów i krzyków opuścił wiec. Po 2 godzinach na ul. Akademickiej pojawiły się ciężkie wozy i wysypała się z nich masa milicji szturmowej, ubranej w wатовane kurtki i stalowe hełmy. Rozpoczął się szturm na akademik, gdzie na 4 piętrze od strony Placu Narutowicza wisiał olbrzymi transparent – „Żądamy wolności prasy” – a następnie bezlitosne palowanie tych, którzy stali pod murami akademika. Studenci zaczęli się chronić przed palami w akademiku. Prawdopodobnie oddziały szturmowe MO otrzymały rozkaz zerwania transparentu, ale to im się nie udało, gdyż zbliżając się do głównego wejścia, zostały obrzucone karafkami i butelkami z wodą oraz fragmentami mebli wyrzucanymi z 4 piętra.



Patio od strony ul. Grójeckiej wyznaczone Akademikami Mochneckiego 8,
Grójecką 39 i Pl. Narutowicza 5

I w ten sposób walka o wolność prasy została przegrana – „Po prostu” już się nie ukazywało, ale ziarno wolności zostało posiane, aby wykiełkować wiele lat później.

Czesław Resiak 1 stycznia 1999 r.

Chociaż sam nie uczestniczyłem w protestach przeciwko zlikwidowaniu „Po prostu” przez ekipę Gomułki – nie mieszkałem już wówczas w akademiku – to sądzę, że ostatnie zdanie Czesia stanowi dobre wprowadzenie do mojego dalszego tekstu.

Kiedy w sierpniu 1980 roku strajki zaczęły się rozprzestrzeniać na cały kraj, a w moim Instytucie panował jeszcze marazm, byłem absolutnie przekonany, że obowiązkiem nas wszystkich jest włączenie się do tego ruchu. Nigdy nie miałem jednak ani zdolności, ani zapału przywódczego, wobec czego zacząłem się rozglądać wśród kolegów, za kimś kto mógłby u nas objąć rolę inicjującą. Upatrzyłem sobie jednego z pracowników Instytutu i odbyłem z nim na ten temat rozmowę. Mój wybór okazał się całkowitym nieporozumieniem, gdyż mój kandydat nie tylko odmówił, ale należał później do tych, którzy nie zaangażowali się w najmniejszym stopniu.

Zorientowałem się, że kilku młodszych kolegów szykuje się, by zaapelować do pracowników Instytutu o włączenie się do ruchu ogólnopolskiego. Bez namysłu przyłączyłem się do nich. Nasz apel spotkał się z gorącym przyjęciem większości i na ogólnym zebraniu uchwaliliśmy utworzenie instytutowej komórki niezależnych związków zawodowych. Ku swojemu szczeremu zaskoczeniu zostałem wybrany przewodniczącym komisji zakładowej, jak sądzę dlatego, że byłem jedynym profesorem, który należał do grupy inicjatywnej. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie jestem właściwym człowiekiem na tym stanowisku, które wymagało twardości i nieustępliwości, jakiej mi brakowało. Z drugiej strony jednak sytuacja była w tym czasie na tyle niepewna, że nie było jasne, jakimi konsekwencjami może grozić zaangażowanie, wobec tego uznałem, że nieprzyjęcie wyboru byłoby tchórzostwem.

Było to jeszcze przed podpisaniem porozumień w Stoczni Gdańskiej i z wielkim zapałem, ale po omacku usiłowaliśmy znaleźć właściwe miejsce dla siebie. Z początku próbowaliśmy stworzyć samodzielny i niezależny związek zawodowy pracowników naukowych. W nieskończoność ciągnęły się zebrania dyskusyjne i wyborcze. Mało kto z nas miał doświadczenie organizacyjne i dobre rozeznanie w środowisku. W rezultacie czasami dochodzili do głosu ludzie zupełnie niewłaściwi, a może nawet szkodliwi. Gdy ukonstytuowała się Solidarność, cały związek zgłosił do niej swój akces.

Wszyscy pamiętają atmosferę zachłyśnięcia się wolnością, ale także napięcie, które narastało lub łagodniało, lecz nigdy nie ustępowało w ciągu 81 roku. Było oczywiste, że niezależne i samorządne związki zawodowe mają spełniać rolę nie tylko społeczną, ale i polityczną, sądzę jednak, iż niewielu z nas wierzyło wówczas, że doprowadzą do upadku komunizmu. Na pewno sam nie należałem do tych, którzy wierzyli, uważałem jednak za

konieczne naciskać możliwie najsilniej, by wymusić jak najwięcej ustępstw na właścicielach PRL-u, nie doprowadzając jednak do interwencji Wielkiego Brata. Funkcja przewodniczącego komisji zakładowej zabierała mi bardzo wiele czasu. Ciągłe trzeba było uczestniczyć w jakiś zebraniach na różnym szczeblu. Rzutowało to negatywnie na moją pracę zawodową. Na naszym małym podwórku instytutowym należało w miarę możliwości ukrócić wpływy POP, która miała tendencje do wtrącania się w zarządzanie Instytutem. Tak się złożyło, że na wiosnę 1980 roku skończyłem trzyletnią kadencję na stanowisku dyrektora do spraw naukowych. Co więcej przez dwa spośród tych trzech lat musiałem zastępować dyrektora Instytutu, który przebywał za granicą. Znałem więc przypadki niedopuszczalnych ingerencji tego gremium. Teraz mogłem o nich mówić głośno na zebraniach wszystkich pracowników. Nie zyskało mi to na pewno sympatii ze strony towarzyszy partyjnych, ale w tym czasie woleli siedzieć cicho.

Jeszcze przed strajkiem w stoczni otrzymałem zaproszenie z Uniwersytetu w Würzburgu do spędzenia tam zimowego semestru 1981/82, jako *visiting professor*. Nie chciałem rezygnować z tego zaproszenia i dlatego już przed wakacjami zrzekłem się funkcji przewodniczącego KZ. Liczyłem na to, że podczas wakacji będę miał nieco czasu, by przygotować się do wykładów w Niemczech. Tymczasem w sierpniu dostałem niespodziewanie pozytywną odpowiedź ze spółdzielni mieszkaniowej, na moje, znacznie wcześniej złożone, podanie o przydział większego mieszkania. Oferowano mi teraz mieszkanie 85 m. kw. w oddawanym do użytku bloku na Ursynowie. Jak się okazało blok ten był przeznaczony dla pracowników wojska, a może nawet jeszcze przyjemniejszej instytucji, która jednak go nie zaakceptowała, ze względu na fatalne wykonanie. Była to oczywiście wielka płyta, a blok wznosiła firma budownictwa przemysłowego z Łodzi, jako pierwszy budynek mieszkalny w swojej historii. Wykończenie było rzeczywiście straszne, ściany i podłogi krzywe; te ostatnie pokryte odklejającymi się płytkami PCV. W dodatku Ursynów w tym czasie wyglądał jak prawdziwy plac budowy socjalistycznej, błoto rozjechane ciężarówkami i ponure szare bunkry bloków mieszkalnych, bez ani jednego drzewka. Całkowity brak infrastruktury. Pomimo to mieszkanie było o tyle większe od poprzedniego, że oboje z żoną zdecydowaliśmy się na zamianę. Żona wraz z dwojgiem małych dzieci (7 i 2 lata) miała zostać na miejscu, więc usiłowałem zrobić wszystko, co było w mej mocy, by mogli zamieszkać przed październikiem, kiedy czekał mnie wyjazd do Niemiec. Graniczyło to dosłownie z kwadraturą koła. Nie można było dostać zupełnie nic. Ostatecznie, poza największym pokojem, mieszkanie zostało doprowadzone do jakiego takiego stanu używalności. Dotąd w nim mieszkamy i dotąd odzywają się echa tamtej prowizorki.

Wyjechałem jednak zgodnie z terminem. Miałem w kieszeni powrotny bilet lotniczy na 18 grudnia. Liczyłem na to, że spędzę przerwę świąteczną w domu ... Ponieważ nie znałem niemieckiego (wykłady prowadziłem po angielsku), więc byłem w dużym stopniu odcięty od informacji. Co prawda chodziłem codziennie do czytelni uniwersyteckiej, gdzie mieli bieżący numer New York Herald Tribune, ale informacje o sytuacji w Polsce nie były tam zbyt szczegółowe. Poza tym podczas weekendu czytelnia była zamknięta. W rezultacie, o wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się na uniwersytecie, w poniedziałek 14 grudnia. Oczywiście o wyjeździe 18-tego nie było mowy. Wszelkie kontakty z Polską zostały przerwane. W prasie i w radiu podawano niesprawdzone wiadomości, jak się potem okazało często bardzo przesadzone. Przeżyłem wówczas okres wielkiego niepokoju o bliskich, który jednak nie trwał długo. Po kilku dniach zadzwonił do mnie Francuz, którego nazwiska już nie pamiętam. Okazało się, że był na konferencji w Warszawie i moi koledzy z Instytutu poprosili go, żeby skontaktował się ze mną i powiadomił mnie, iż moja rodzina oraz współpracownicy w niczym nie ucierpieli. Doznałem wielkiej ulgi, ale na listy z domu musiałem czekać jeszcze kilka tygodni.

Grono profesorskie z Würzburga otoczyło mnie wyjątkowo serdeczną opieką. Podczas przerwy świątecznej i noworocznej codziennie byłem zapraszany do kogoś do domu. Mój kontrakt na uniwersytecie kończył się w marcu, ale natychmiast zaproponowano mi jego przedłużenie. Odezwali się również inni znajomi z ofertami pomocy. Profesor Balakrishnan, z własnej inicjatywy załatwił mi stanowisko profesorskie na uniwersytecie w Nashville, a córka Pani Valeski proponowała, że zwróci się o pomoc dla mnie do zaprzyjaźnionego znakomitego matematyka z Instytutu Couranta. Byłem naprawdę wzruszony solidarnością, którą mi okazywano. Wszyscy w Niemczech odradzali mi powrót, a ja biłem się z myślami. Przypuszczałem, że jeśli skorzystam z propozycji pracy w Stanach, to prędzej czy później zdołam ściągnąć żonę i dzieci do siebie. Pozostawała jednak dalsza rodzina, której mogłem nigdy nie zobaczyć. Wstyd powiedzieć, ale na mojej decyzji zaważyło ostatecznie zwykłe tchórzostwo. Po prostu bałem się, że nie dam sobie rady pod względem zawodowym i wróciłem do Warszawy 30 marca.

W Instytucie funkcjonowała nadal komórka oficjalnie zawieszona „Solidarności”, do której należało kilkadziesiąt osób. Teraz jednak ta działalność miała charakter nielegalny. Ograniczała się głównie do zbierania składek przekazywanych wyżej na potrzeby związkowe, oraz do systematycznego kolportowania prasy i wydawnictw podziemnych. Tymczasem druga strona znacznie się uaktywniła, głównie dzięki działalności sekretarza POP, reprezentującego partyjny beton. W rezultacie

sytuacja była gorsza niż w większości innych instytutów PAN-owskich, w szczególności wywierano silne naciski na zapisywanie się do reżimowych związków zawodowych, kusząc różnymi przywilejami. Niestety naciski te przynosiły pewne rezultaty.

Do konfrontacji doszło w maju, gdy władze podziemnej „Solidarności” wezwały do 15-minutowego ogólnopolskiego strajku ostrzegawczego. Przy naszym papierkowym charakterze pracy mogło to oznaczać tylko demonstracyjne wyjście z pokojów na korytarz. Taką też podjęliśmy decyzję. Z drugiej strony sekretarz POP-u przygotowywał się również. Na każdym korytarzu wyznaczeni zostali dyżurni, którzy mieli donosić o „nielegalnych zgromadzeniach”. Tuż przed wyznaczoną godziną strajku, była to bodajże 11, sekretarz przysłał po mnie sekretarkę, by, jak to później powiedział, uniemożliwić mi wzięcie w nim udziału. Przeczulem to jednak, wcześniej zamknąłem się na klucz w pokoju i wyszedłem dopiero o 11, wraz z dużą grupą kolegów. Sekretarz wypadł z wściekłością ze swojego gabinetu i uważając mnie za prowodyra rzucił się ku mnie, żądając powrotu do pokoju. Odpowiedziałem, że owszem powrócę, ale za 15 minut. W tej sytuacji biegał z furią po korytarzu, usiłując, na ogół bezskutecznie, zmusić innych do powrotu do pracy. Stanowiło to nieco komiczny spektakl.

W ramach represji za niesubordynację czterem osobom, uznanym za prowodyrów, udzielono nagany z wpisaniem do akt, a mnie pozbawiono kierownictwa pracowni. Ponieważ, jako profesor, byłem zatrudniany nie przez Instytut, lecz przez władze Akademii, skierowano wniosek do sekretarza PAN o udzielenie mi nagany, jednakże komisja dyscyplinarna Akademii wniosek odrzuciła.

Kara, która mnie dotknęła absolutnie nie była bolesną. Nic nie zależało mi na formalnym kierowaniu pracownią, a kontakt naukowy z kolegami utrzymywałem nadal. Bardziej dotkliwe było pozbawienie mnie funkcji redaktora czasopisma „Control and Cybernetics”, wydawanego przez Instytut, które redagowałem przez kilka lat, wkładając w to sporo wysiłku. Obawiałem się, że nowa redakcja zniszczy dotychczasowy dorobek czasopisma. Na szczęście moje obawy okazały się nieuzasadnione. Nowy redaktor – tenże sekretarz POP – nie zajmował się, na szczęście, zupełnie sprawami wydawniczymi, a inni członkowie redakcji prowadzili je bardzo dobrze.

Sprawa strajku zaogniła bardzo stosunki w Instytucie. Osobiście starałem się wykorzystać swój udział w posiedzeniach Rady Naukowej, by piętnować ekscesy ze strony władz partyjnych i dyrekcji. Stwarzało to dla nich niewątpliwie kłopotliwą sytuację, gdyż podrywało ich reputację wobec profesorów spoza Instytutu, wchodzących w skład Rady Naukowej. W ramach odwetu odmawiano mi systematycznie zgody na wyjazdy na konferencje zagraniczne. Znowu nie było to bardzo dotkliwe, ale uznałem,

że nie powinienem sprawy pozostawić bez echa i pisałem kolejne listy z zażaleniami do władz Akademii, które nie przynosiły żadnego rezultatu. Zgodę na wyjazd otrzymałem dopiero w 1986 roku, w ramach lekkiej odwilży, która wówczas nastąpiła.

Ważną formą działalności związkowej, którą wypracowaliśmy w Instytucie, były spotkania z przywódcami opozycji i związanymi z nią intelektualistami, organizowane w naszych prywatnych mieszkaniach. Z jednej strony pozwalały one na zapoznanie się z oceną sytuacji przez kompetentne osoby, a z drugiej - integrowały nasze środowisko. Zapraszaliśmy naszych gości na zasadzie łańcuszka powiązań osobistych. Znalazły się wśród nich osoby, które potem odgrywały istotną rolę w życiu publicznym, reprezentując różne orientacje polityczne, takie jak Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Andrzej Celiński, Wiesław Chrzanowski, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Władysław Siła-Nowicki, Stanisław Stomma, Edward Wende, Henryk Wujec. Inną grupę stanowili literaci i publicyści: Włodzimierz Bolecki, Stefan Bratkowski, Tomasz Burek, Andrzej Drawicz, Michał Głowiński, Jan Józef Lipski, Hanna Krall, Marcin Król, Leszek Szaruga, Wiktor Woroszyński, oraz profesorowie Krystyna Kersten, Jadwiga Staniszkis, Jan Strzelecki, Witold Trzeciakowski. W ciągu trzech lat odbyło się ponad 50 spotkań. Potem zainteresowanie nimi osłabło. Oglądaliśmy również wspólnie „zakazane” filmy, a nawet kilka domowych przedstawień teatralnych, w tym jednoaktówkę Wacława Havla.

Nic wspólnego z Instytutem nie miały inne moje kontakty solidarnościowe. Nawiązałem je, w związku z dystrybucją darów napływających z zagranicy, z grupą działaczy z zagłębia miedziowego w Lubinie. Przyjeżdżali oni systematycznie do Warszawy, by uczestniczyć w mszach za ojczyznę Księdza Popiełuszki i zatrzymywali się na noc w naszym mieszkaniu. Kontakty te utrzymały się również po zamordowaniu Księdza. Wymienialiśmy się wzajemnie informacjami i publikacjami z drugiego obiegu.

W 1989 r. przeżywaliśmy wspólnie emocje związane z Okrągłym Stołem, a następnie ogromną radość z wyniku wyborów i powołania pierwszego niekomunistycznego rządu. Potem jedność zaczęła się kruszyć. Dla mnie osobiście epopeja solidarnościowa zakończyła się ostatecznie wypisaniem się ze związku, po tym jak Lech Wałęsa odebrał logo „Solidarności” Gazecie Wyborczej.

Ryszard Malewski



**Elektrotechnika widziana
z Polski i z Kanady**



Studia na Wydziale Elektrycznym 1953-1958

Z perspektywy czasu muszę przyznać, że mieliśmy szczęście, bo większość naszych profesorów była wykształcona przed wojną na Politechnice Warszawskiej, Lwowskiej albo w Zurychu, Berlinie, Grazu a także w Akwizgranie. Mieli oni za sobą tradycyjną szkołę matematyki, fizyki, elektrotechniki, a co więcej, wielu pracowało w przemyśle w Niemczech, w Szwajcarii, w Szwecji i w przedwojennej Polsce. Wynikało to po trosze z ówczesnej polityki kadrowej, która nie pozwalała tak niepewnym politycznie fachowcom na pełnienie odpowiedzialnych funkcji w socjalistycznych zakładach pracy, ale nie zamykała przed nimi drzwi do szkolnictwa na poziomie uniwersyteckim.

Koledzy

Wśród moich kolegów znakomitą większość stanowili zdolni i pracowici studenci mieszkający w domu akademickim. Jednakże niejaki Zadora na spotkaniu świeżo upieczonych studentów oznajmił „*będę waszym partorgiem*”. Nie wiedziałem, co to jest partorg, ale objaśniono mi, że jest to organizator komórki partyjnej na naszym roku. Kolokwia z matematyki były znakomitym probierzem oddzielającym rzeczywistych studentów od osób wyznających hasło PRL „*nie matura lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera*”. Z przyjętych na pierwszy rok około 300 studentów, na drugim roku było już tylko 180.

Pamiętam nader aktywnego działacza ZMP, który chciał się przenieść z Wydziału Elektrycznego na Wydział Łączności, słusznie rozumując, że jest to bardziej obiecująca dziedzina w nadchodzących czasach. Aby zademonstrować swoją gorliwość, jako przewodniczący ZMP wzywał nas po kolei i pytał o numer legitymacji ZMP, który jego zdaniem trzeba było znać na pamięć. Organizował czyny społeczne i za zasługi uzyskał to upragnione przeniesienie na „*lepszy*” wydział.

Mieliśmy także kolegów z Północnej Korei, którzy za zasługi na froncie podczas wojny byli wysłani na studia do bratnich krajów obozu. Na początku nie bardzo umieliśmy ich odróżnić, bo na pozór wyglądali jednakowo. Jednak okazali się bardzo zróżnicowani, pomimo tego, że większość Koreańczyków nosi nazwisko Kim, Park albo Lee i ważne było zapamiętanie imion a nie nazwisk. Pamiętam Czung i Jang (chyba tak się wymawia te imiona). Pierwszy z nim pochodził z biednej rodziny, jego ojciec był drwalem i powalone w górach drzewa spławiał do tartaku, a syn znał kilka języków: japoński, niemiecki i rosyjski – ten ostatni lepiej od nas.

Szybko nauczył się polskiego i bez problemu radził sobie z wykładami i egzaminami. Miał dobry słuch i nieźle śpiewał. Jang pochodził z rodziny mieszczańskiej, miał dobre maniery i czasem przychodził do mnie do domu na obiad. Potrafił prowadzić towarzyską rozmowę i miał dość rozległą wiedzę o historii i geografii Europy, interesował się europejską literaturą. Kiedyś poprosił mnie o wywołanie filmu 35 mm, który miał w aparacie stanowiącym jego zdobycz wojenną. Po amatorsku zajmowałem się fotografią i miałem „korex” do wywoływania filmów, więc wyciągnęłem z aparatu rolkę filmu i po wywołaniu ze zdumieniem zobaczyłem serię zdjęć czarnoskórych żołnierzy amerykańskiej piechoty na froncie, a w dalszej części filmu zdjęcia Koreańczyków, dziewcząt i dorosłych ludzi w mieście. Na pytanie, czemu nie dał do wywołania tego filmu w Korei albo u fotografa w Warszawie odpowiedź była wymijająca, ale wynikało z niej, że wołał, aby niepowołane oczy nie widziały zwłaszcza zdjęć jego rodaków. Komisarzem politycznym tej grupy był Kim, który starał się kontrolować myśli i czyny swoich kolegów, a po polskim Październiku 1956 uznał, że w Polsce wzięły górę elementy kontrrewolucyjne i starał się ograniczać kontakty z polskimi studentami.

Jako anegdotę wspominam ćwiczenia w laboratorium maszyn elektrycznych w dawnej auli Gmachu Fizyki, które odrabialiśmy w trójosobowych grupach mierząc charakterystyki obciążenia prądnic i momenty silników przy zastosowaniu regulowanych oporników wodnych. Taki opornik składał się ze stalowej beczki wypełnionej wodą, do której zanurzało się stopniowo dwie elektrody regulując w ten sposób rezystancję między nimi. Wśród Koreańskich kolegów, którzy w większości opanowali polski język i byli dobrymi studentami, była jedna dziewczyna Gum-Sok, która miała duże kłopoty w porozumiewaniu się. Asystent prowadzący laboratorium przydzielił ją „na czwartego” do naszej trójki. Charakterystyka obciążeniowa silników znacznie wykraczała poza jej wiedzę i nie było sposobu wyjaśnienia w krótkim czasie ćwiczeń, co należy robić, więc poleciłem Gum-Sok, aby mieszała wodę w oporniku. Trzeba przyznać, że mieszała wodę starannie i cieszyłem się, że skończymy ćwiczenie o czasie, ale galerią wokół auli przechodził Profesor Władysław Latek, kierownik

Katedry Maszyn Elektrycznych, człowiek o wielkiej wiedzy i doświadczeniu, znakomity wykładowca tego przedmiotu. Jego uwagę przyciągnęła Koreanka mieszkająca wodę w oporniku, bo czegoś takiego nie widział w swojej zawodowej karierze. Nie muszę dodawać, że finał tego wydarzenia nie był dla mnie przyjemny i musiałem wysłuchać pouczeń o obowiązku pomagania słabszym studentom, aczkolwiek wysłuchując pokornie reprimendy widziałem nieznaczny uśmiech na twarzy Pana Profesora.

Bliższe kontakty nawiązałem z kilkoma kolegami, wśród nich Jurek Dąbrowski dzielił moją pasję do żeglarstwa, Kazik Małanowski imponował mi znakomitą znajomością wyższej matematyki i miał zbliżone do moich poglądy na otaczającą nas rzeczywistość. Niezwykłą postacią był Georges Borenstein, który po wojnie przyjechał do Polski z Francji, z domu opieki nad osieroconymi w czasie wojny dziećmi z żydowskich rodzin. W domu i w gimnazjum uczyłem się języka francuskiego i korzystałem z okazji francuskiej konwersacji z „Żorżem”, bo tak spolszczano jego imię. Poza tym Żorż miał niewyczerpany zasób „złoty^{ch} myśli” na każdą okazję. Wiele z nich mogło konkurować z popularnymi w tamtym okresie „Mądrościami Żydowskimi” dostępnymi w księgarniach. Zapamiętane przeze mnie przykłady jego wypowiedzi to: *„jak ta praca nie jest trzy razy sprzedana to ona nie jest zrobiona”*, *„jak ja mam płacić to ja wolę nie płacić”*, *„jeden gram handlu to lepsze niż tona pracy”*, *„w handlu nie ma gniewu, w handlu jest ryzyko”*, *„Rysiek, trzeba się kręcić”*. Zachwycało mnie także dialektyczne podejście Żorża do wykładów prowadzonych przez Berlera szefa katedry marksizmu-leninizmu, który lubił na egzaminie zapytać przerażonego studenta *„wy jesteście mieńszewikiem a ja bolszewikiem i brońcie swoich racji”*, a poza tym przyczynił się do dyscyplinarnego usunięcia z uczelni kilku studentów, podsłuchując rozmowy, w których nieostrożnie wyrażali swoje polityczne poglądy. Żorż uznał, że skoro Berlerowi dobrze płacą, to czemu on nie ma być bolszewikiem. Po dojściu do władzy Gomułki, na Politechnice zlikwidowano Katedrę marksizmu-leninizmu, a tłum studentów podnieconych Październikową atmosferą wolności zorganizował wiec w Dużej Auli i wyciągnięto Berlera na podium. Atmosfera była napięta, rozlegały się głosy *„teraz mu dołożymy”* i groził mu lynch. Wtedy Berler poprosił o głos, tłum przycichł, a on powiedział *„ja was bardzo przepraszam, bo nieprawdą jest, że przed wojną organizowałem robotnicze strajki w Zagłębiu. Przed wojną miałem rybny sklep przy ulicy Gęsiej w Warszawie”*. Był to majstersztyk doświadczonego mówcy, bo wiara ryknęła śmiechem i kopniakami wyrzucono go z Auli. Wkrótce po tym Berler wypowiadał się na temat Polskiego Października w rozgłośni „Głosu Ameryki” już, jako ekspert do spraw wschodu przy University of California. Żorż, z uśmiechem na ustach, krotko skomentował to zdarzenie:

„a nie mówilem, że to świetny dialektyk”. Był to krótki okres, kiedy nie egzekwowano zaliczenia marksizmu-leninizmu w studenckim indeksie i można było w toalecie zwodować ZMPowską legitymację, co kilku z nas uczyniło grupowo.

Nasi profesorowie

Należy pamiętać o naszym głównym zajęciu, studiowaniu świetnie wykładanych przez profesora Kotowskiego podstaw elektrotechniki, który uczył nas twierdzenia Gaussa- *Ostrogradskiego* i tłumaczył sens wektora *Umowa-Poyntinga*, mrużąc oko przy nazwiskach rosyjskich uczonych, którym przypisywano autorstwo podstawowych twierdzeń i pojęć elektrotechniki. Niemniej, jako podręcznik służyła nam znakomita książka rosyjskiego profesora Karola Kruga, w polskim przekładzie. Podręcznik matematyki autorstwa profesora Pogorzelskiego, pięknie wydany po polsku w szwedzkim wydawnictwie, jako dar dla zniszczonych wojną wyższych uczelni, służył nam przed egzaminami u profesora Hampla, który był nienajlepszym dydaktykiem, ale świetnym i zamiłowanym znawcą matematyki. Fascynujące naszą wyobraźnię były wykłady profesora Zarankiewicza, twórcy Polskiego Stowarzyszenia Astronautycznego, który przy tablicy obliczał prędkość rakiety wymaganą do opuszczenia sfery przyciągania ziemskiego. Wprowadzał nas w pojęcia Mechaniki Teoretycznej takie jak: więzy, naprężenia i reakcja dodając „*ale nie czarna*”. Elektrotechnikę teoretyczną wykladał profesor Cholewicki, tłumacząc studentom pojęcia pola elektrycznego: gradientu, dywergencji i rotacji, które były trudne do ogarnięcia w przypadku formalnego zapisu kilku kolejnych takich operatorów. Po dziś dzień pamiętam wykłady o przekształceniu Laplace’a, wzór Haeviside’a i obliczanie residuów funkcji przenoszenia na płaszczyźnie zmiennej zespolonej.

Na kursie magisterskim profesor Kryński uczył nas o przerywaniu łuku elektrycznego w komorze gaszącej wyłącznika, profesor Latek o maszynach wirujących i transformatorach, profesor Podoski o rtęciowych prostownikach do zasilania trakcji elektrycznej, profesor Kolbiński o materiałach izolacyjnych i kablach, profesor Jakubowski o piorunach, przepięciach i koordynacji izolacji wysoko-napięciowej, profesor Oleszyński o oświetleniu elektrycznym, fizjologii widzenia, postrzeganiu kolorów i wyładowczych oraz żarowych źródłach światła. Wykłady z fizyki profesora Szczeniowskiego obejmowały obliczanie stosu atomowego, takiego jak Fermi zbudował na uniwersytecie w Chicago, gdzie po raz pierwszy uzyskano kontrolowaną reakcję łańcuchową i na egzaminie musieliśmy rozwiązywać równanie dyfuzji we współrzędnych sferycznych. Nie jestem w stanie wyliczyć tych znakomych profesorów, którzy

przekazali nam solidną wiedzę, tak potrzebną w zawodowej karierze i którym tak wiele zawdzięczamy.

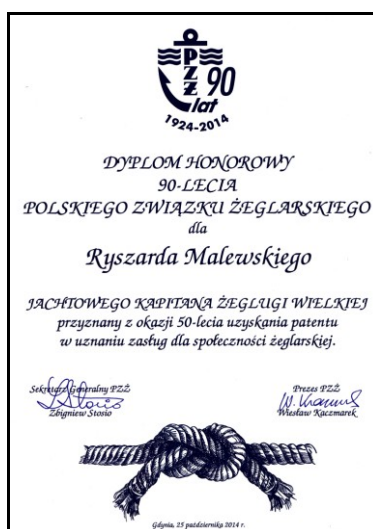
Asystentura w Katedrze Wysokich Napięć

W czasie studiów pasjonowałem się żeglarstwem, które w latach 1948 do 1956 roku było ograniczone do pływania po Jeziorach Mazurskich, Zalewie Wiślanym i rzekach, bo wyjście na morze z basenu jachtowego w Gdyni zamykał łańcuch opuszczany przez uzbrojonego żołnierza, na wzór średniowiecznego portu w Bizancjum.

Jedynym sposobem żeglowania po morzu było nieco paramilitarne szkolenie w LPŻ na jachcie *General Zaruski* przemianowanym wówczas na „*Młoda Gwardia*”, co pozwoliło mi na uzyskanie morskiego stażu pod żaglami w latach 1953-1955.



Młoda Gwardia, Bałtyk 1955, Skierka, Zalew Wiślany 1956",



Patent Kapitański 1958

Po Październiku 1956 roku zniesiono ograniczenia i łańcuch znikł. Perspektywa odwiedzenia portowych miast Skandynawii i dalszych wypraw na Morze Północne stała się realna, jednakże niewiele jachtów morskich i niewielu kapitanów przetrwało wojnę i powojenne lata. Aby uzyskać uprawnienia do prowadzenia morskich rejsów trzeba było zebrać odpowiednią ilość mil morskich przepływanych pod żaglami i zdać egzamin przed Komisją Polskiego Związku Żeglarskiego w Gdyni lub Szczecinie. Wymagana była wówczas znajomość astronawigacji, łocji, budowy jachtu, prawa morskiego wykładanych w Szkole Morskiej. Przygotowując się do egzaminu poznałem pana Henryka Ryżko, który był zastępcą profesora J.L. Jakubowskiego w Katedrze Wysokich Napięć i razem ćwiczyliśmy obliczanie trójkąta paralaktycznego i wyznaczanie pozycji na morzu z gwiazd. Wkrótce po pomyślnym wyniku egzaminu i uzyskaniu patentu jachtowego kapitana żeglugi wielkiej zdawałem egzamin dyplomowy na Wydziale Elektrycznym, który po pięciu latach studiów wydał mi się znacznie łatwiejszy od manewrowania dwumasztowym jachtem pod żaglami i pisania protestu morskiego w „*zachodnim języku*” w Szczecinie. Po dyplomie pan Henryk Ryżko zaproponował mi asystenturę w Katedrze Wysokich Napięć, która pozwalała na doksztalcanie się w tym przedmiocie, a także zostawiała sporo wolnego czasu na żeglarstwo. Widząc potrzebę rozszerzenia wiadomości nabytych podczas studiów na Wydziale Elektrycznym, chodziłem na wykłady profesora Smolińskiego z Zakładu Podstaw Telekomunikacji na Wydziale Łączności i odrabiałem tam ćwiczenia ze wzmacniaczy impulsowych a także falowodów w laboratorium mikrofalowym prowadzonym przez zaprzyjaźnionych asystentów.

Uposażenie asystentów nie wystarczało na utrzymanie i trzeba było wykonywać prace zlecane Katedrze Wysokich Napięć przez różne przedsiębiorstwa i instytucje. Dochód z takich prac nie mógł przekraczać niewielkiego limitu i często „*pożyczano*” sobie limit niewykorzystany przez kolegów. Na początku większość zleceń dotyczyła instalacji piorunochronnych, bo była to specjalność profesora J.L. Jakubowskiego. Zapamiętałem zlecenie na pomiar rezystancji uziomu instalacji piorunochronnej na wysokim kominie mleczarni w miejscowości Mordy. Z kolegą asystentem pojechaliśmy tam pociągiem wyposażeni w odpowiednie przyrządy: mostek, przewody i elektrody. Pomiarzy wykonaliśmy w dwie godziny, ale powrotny pociąg był dopiero po kilku godzinach, więc poszliśmy obejrzeć słynny przed wojną dwór miejscowych ziemian. Dwór był zdewastowany przez różnych użytkowników: szkołę, punkt skupu i jakieś magazyny, a park z wyrąbanymi drzewami tworzył żalospny obraz niegdyś pięknej rezydencji Ciecierskich.

Z braku innych obiektów postanowiliśmy zajrzeć do kościoła, w którego ściany były wmurowane kamienie nagrobne – epitafia

miejscowej szlachty. Wielu z nich służyło w armii Napoleona. Podszedł do nas ksiądz zaniepokojony obecnością nieznanymi ludźmi. Po wyjaśnieniu naszej misji w Mordach, ksiądz zapytał czy moglibyśmy sprawdzić instalację piorunochronną na kościelnej wieży. Nie nastęczało to trudności i wynik pomiaru był zadowalający, a ksiądz chciał nam zapłacić za usługę. Odpowiedzieliśmy, że wystarczy „*Bóg zapłać*”. Zostaliśmy zaproszeni do plebanii na kolację, która po dłuższym korzystaniu z obiadów w stołówce Politechniki wydała nam się ucztą Lukullusa, a znakomite nalewki na owocach z księżowskiego sadu spowodowały, że przespaliśmy noc na plebani i nazajutrz ledwo zdążyliśmy na powrotny pociąg. Inne pamiętne zlecenie nadeszło od najwyższych władz i po zastrzeżeniu tajemnicy państwowej zażądano od Katedry rozwiązania problemu z protokołem dyplomatycznym. Otóż podczas oficjalnych wizyt w Belwederze w czasie spotkań w sali przyjęć, przy podawaniu ręki przeskakiwała iskra pomiędzy wyciągniętymi dłońmi dyplomatów. Powodowało to nieoczekiwane reakcje tych dostojników i zakłócało program wizyty. Podłogę sali przyjęć pokrywał puszysty dywan ze sztucznego materiału i chodzenie po nim powodowało gromadzenie ładunków elektrostatycznych, co było dla mnie oczywistym źródłem problemu, który rozwiązałem przy współpracy ze sprzątaczką. Problem znikł po zainstalowaniu ceramicznych zbiorników na wodę, tzw. kamionek na kaloryferach i surowym przykazaniu sprzątacze, aby co dzień napełniała je wodą. Jednakże starsi, bardziej doświadczeni koledzy poradzili mi, aby nie traktować lekko zlecenia od tak wysoko postawionych władz i wykonać pomiary potencjału od ładunków statycznych przy różnej wilgotności powietrza, przed i po zainstalowaniu kamionek. Niestety, takich przyrządów nie było w kraju, więc postanowiłem opracować własny prototypowy przyrząd z lampą elektrometryczną, oparty na danych z artykułu opublikowanym w niemieckim ETZ. Przyrząd ten służył nam później w Katedrze do wielu prac nad elektrycznością statyczną występującą przy szlifowaniu płyt spilśnionych i jego opis stał się moją pierwszą publikacją w Przeglądzie Elektrotechnicznym. Przypomniało mi to pierwszą zasadę Żorża Borensteina o pracy, która nie jest zrobiona, jeśli jej nie sprzedano trzy razy.

Prace zlecone oprócz wspomagania domowego budżetu stanowiły doskonałą praktykę inżynierską, bo później większość zleceń polegała na badaniu stanu izolacji transformatorów i kabli, sprawdzaniu nastawień zabezpieczeń pierwotnych i wtórnych w podstacjach zakładów przemysłowych w Warszawie.

Profesor J.L. Jakubowski był przed wojną asystentem i doktoryzował się u profesora Kazimierza Drewnowskiego, twórcy Laboratorium Wysokich Napięć, przylegającego do Gmachu Elektrycznego Politechniki. Profesor Jakubowski w czasie okupacji ukrywał się na

mazowieckiej wsi i w styczniu 1945 r. zgłosił się do nowych władz w Lublinie, uzyskując pełnomocnictwo na zorganizowanie Głównego Instytutu Elektrotechniki, a także Katedry Wysokich Napięć na Politechnice w zburzonej wówczas Warszawie. Jako działacz partyjny, a później zastępca członka KC PZPR miał poparcie władz, które wykorzystał do zebrania zespołu fachowców mocno przetrzebionego przez wojnę do utworzenia szkoły akademickiej Wysokich Napięć, kształcącej inżynierów dla odbudowującego się przemysłu. Profesor był pierwszym dyrektorem Instytutu Elektrotechniki, członkiem Polskiej Akademii Nauk, brał udział w międzynarodowym stowarzyszeniu CIGRE odwiedzał ośrodki naukowe na całym świecie, a poza tym uprawiał nurkowanie w ciepłych morzach, czego bardzo mu zazdrościli asystenci. Napisał książkę pod dość optymistycznym tytułem „*Piorun ujarzmiony*” i miał doskonale wycucie tego, co obecnie nazywamy „*Public relations*”. Co tydzień na zebraniu Katedry, które wówczas prowadził pan Henryk Ryżko, asystenci musieli prezentować wybrany artykuł z fachowych pism zagranicznych, po angielsku, francusku lub niemiecku. Ja zwykle wybierałem publikacje z francuskiej wersji szwajcarskiego biuletynu SEV, albo z IEEE Transactions, które profesor prenumerował dla biblioteki Katedry, a moi koledzy często prezentowali prace opublikowane w ETZ. Kiedyś jeden z asystentów zapytał czy dopuszczalny jest język słowiański, na co zwierzchność odpowiedziała twierdząco, jeśli to będzie czeski, bo pismo Elektryczeski Obzor czasem drukowało ciekawe prace. Pomimo krytycznych uwag profesorów prowadzących zebranie o naszej umiejętności publicznych wystąpień w obcych językach, wiele skorzystaliśmy z prezentowania tych streszczeń zagranicznych artykułów przed audytorium Katedry. Na te zebrania zapraszano także pracowników naukowych z Instytutu Elektrotechniki i Energetyki oraz z dawnej fabryki Szpotańskiego w Międzyzlesiu i na Grochowie. Takie referaty pokazywały problemy związane z konstrukcją i technologią produkcji przekładników WN, kondensatorów energetycznych, wyłączników mało-olejowych, styczników i odgromników. Co pewien czas profesor Jakubowski zapraszał zagranicznych naukowców: Prof. Kostenko Leningradu, Prof. Meek z Liverpoolu, Prof. Avramescu z Bukaresztu. Kiedyś, po powrocie z konferencji CIGRE profesor Jakubowski prezentował tematy poruszane w czasie obrad, a po tym własne przezrocza z Paryża. Przezrocza były wyświetlane w zaciemnionej sali wykładowej i przedstawiając panoramę miasta z wieży paryskiej katedry Notre Dame powiedział, że obok widocznej na zdjęciu rzeźby maskarona stoi jego małżonka, a jakiś źle wychowany, anonimowy słuchacz dodał teatralnym szeptem „z lewej”. Trzeba oddać Profesorowi, że zamiast wszczać dochodzenie: "kto to powiedział" wybuchnął śmiechem.

Wyprawa dookoła świata pod żaglami

Przy Zarządzie Głównym PTTK powstał Klub Morski i kapitan Kazimierz Klimaszewski, który przed wojną żeglował pod Generałem Zaruskim na harcerskim jachcie *Zawisza Czarny*, uzyskał poparcie władz państwowych dla organizowania żeglarskiej wyprawy dookoła świata. Miała to być promocja polskiej bandery za oceanem z okazji tysiąclecia Polski i podjęto budowę jachtu *Polonia* w szczecińskiej stoczni na Dąbiu. Załoga miała się składać z pięciu żeglarzy wyłonionych po rejsie próbnym do Anglii i Francji z dziesięciu kandydatów. Byłem jednym z nich i przypadło mi zadanie nadzorowania w stoczni budowy jachtu, która rozpoczęła się w końcu kwietnia 1959 roku. Moją grupę studencką połączyłem z grupą prowadzoną przez zaprzyjaźnionego asystenta, przekazując mu mój limit prac zleconych do wykorzystania i pojechałem do Szczecina. Aby zakwalifikować nowy jacht do oceanicznej żeglugi Polski Rejestr Statków wyznaczył inspektora w osobie kapitana Konstantego Maciejewicza, legendarnej postaci w kręgach ludzi morza. Kapitan Maciejewicz zaczynał karierę w carskiej flocie, po pierwszej wojnie prowadził *Dar Pomorza* z uczniami Szkoły Morskiej w rejsie dookoła świata i miał za sobą ogromną praktykę morską nabytą w rejsach po wielu morzach i oceanach. Zaglądał regularnie do stoczni i sprawdzał plany jachtu skonstruowanego przez inżyniera Tumiłowicza, eks-właściciela stoczni jachtowej w Gdyni, która przed wojną zbudowała, między innymi, serię świetnych jachtów *Konik Morski* według jego konstrukcji. Osiemdziesięcioletni kapitan Maciejewicz starannie sprawdzał pracę stoczniowych szkutników i starałem się być mu przydatny do pomocy przy różnych codziennych zadaniach, a on lubił w wolnych chwilach opowiadać o swoich morskich rejsach. Ponadto udzielał mi przyjacielskich porad jako przyszłemu uczestnikowi oceanicznego rejsu pod żaglami, jedna z wielu rad, która zapadła mi w pamięci brzmiała tak „*jak ci ktoś mówi że się zarazisz, to się nie zrażaj, to marynarska rzecz, patrz tylko żeby była grzechu warta*”.

Nie miejsce tu, aby snuć opowieść o rejsie do Londynu, Dover, Le Havre, Tyborone, ale po powrocie do Szczecina pod koniec listopada 1959 roku, rozglądałem się, gdzie by tu przetrzymać zimę przed w następnym sezonem żeglarskim. Spotkałem kolegę, który po odbyciu służby w Marynarce Wojennej zaokrętował się na holownik portowy w Gdyni i powiedział mi o wakującej koi na tym holowniku po odejściu jednego członka załogi. Ponoć szypier nie chciał brać nieznanego mu marynarza z listy kandydatów z działu załogowego Zarządu Portu, ale jak się zgłoszę to on mnie poleci szyprowi i mam szansę dostać to miejsce w kubryku. Propozycja była ciekawa, bo nie ma lepszej marynarskiej praktyki od służby na holowniku, a ciepłe miejsce w kubryku i nie

wychodzenie daleko poza port było w zimie dogodnym rozwiązaniem. Niemniej czułem, że powinienem pójść do Katedry, gdzie z pewnością zostałem zwolniony z pracy po dłuższej nieobecności. Pamiętam, że trochę czając się zajrzałem do sekretariatu, cichcem wyjąłem z szuflady mój suwak logarytmiczny i niespodziewanie natknąłem się na profesora J.L. Jakubowskiego. Patrząc na moją ogorzałą twarz zapytał *ja pana skądś znam?* Nie było rady musiałem przyznać się do moich niecnych poczynań i opowiedzieć prawdę. Ta zaintrygowała profesora, który za młodu interesował się żeglarstwem, zabrał mnie do swojego gabinetu i musiałem szczegółowo opowiedzieć gdzie kotwiliśmy, gdzie straciliśmy kliwra w sztormie, jak wchodziliśmy w Tamizę, jakie były problemy z wejściem do Dover przy sześciometrowym syzygijnym pływie. Na zakończenie Profesor powiedział: *no ale pan się spóźnił na zajęcia, pańska grupa studencka czeka na pana, proszę prędko odrobić z nimi dwa zaległe ćwiczenia w laboratorium.* W ten sposób moja przyszłość zawodowa zmieniła się z potencjalnej kariery w marynarce handlowej na działalność naukową w dziedzinie Techniki Wysokich Napięć.

Rejs dookoła świata nie doszedł do skutku, ponieważ w 1960 roku władze zmieniły decyzję w tej sprawie i piękny, nowy jacht *Polonia* przekazano do użytkowania przez żeglarzy w czasie letnich rejsów po Bałtyku i Morzu Północnym. Mój pierwszy samodzielny rejs na wycarterowanym jachcie *Krzyż Południa* skończył się pechowo, gdyż powyżej północnego cypla Olandii złamał się główny maszt i jacht z piętnasto-osobową załogą dryfował na skały. Przechodzący frachtowiec podał nam hol i wciągnął do najbliższego portu Västervik. Niestety miejscowa stocznia była zamknięta w lipcu, kiedy wszystkie przedsiębiorstwa w Szwecji mają wakacje i wywieszają napis *Semester stängt*. Większość załogi *Krzyża Południa* wróciła do Szczecina polskim statkiem a ja z trzema żeglarzami musiałem czekać sześć tygodni na nowy maszt. Mieszkańcy ożywającego w lecie Västerviku, miasteczka podobnego do Władysławowa, byli bardzo życzliwi i zapraszali załogę do swoich domów gdzie razem śpiewano żeglarskie piosenki, a zarządzający portem kapitan Jeppson pomagał mi w załatwianiu tysiącznych spraw związanych z ubezpieczeniem jachtu w firmie Warta. Spędzałem długie godziny w biurze telefonów gdzie czekałem na rozmowy z klubem w Warszawie. W biurze pracowała miła dziewczyna May, która mówiła po angielsku, pomagała mi załatwiać rozmowy na koszt rozmówcy w Polsce, zainteresowała się naszym jachtem i odwiedzała nas tam ze swoim pieskiem Pia. Pia dostała od mojej załogi ksywkę *Ferrydog*, bo miała mordkę zasłoniętą grzywką i trudno było od razu powiedzieć gdzie jest łepok a gdzie ogon, tak jak na morskim promie dziób i rufa wyglądają jednakowo. Z May nawiązała się sympatia, która polegała na odwiedzinach Västerviku

podczas żeglarskich rejsów i trwa do dziś ale sprowadza się do wymiany pocztówek.

Zakład Wysokich Napięć Instytutu Elektrotechniki

W Katedrze Wysokich Napięć nastąpiły zmiany, kiedy profesor J.L. Jakubowski wyjechał na dłuższy czas do Paryża, a następnie do Algierii, gdzie nauczał na miejscowym uniwersytecie; pan Henryk Ryżko wyjechał na stypendium do Sztokholmu do *Kungliga Techniska Hogskolan*, gdzie się doktoryzował, potem ożenił się i osiedlił w domu nad *Malaren*.

Wówczas zaczął zarządzać Katedrą dr Maksiejewski, syn współwłaściciela przedwojennej fabryki przekładników *Maksiejewski i Starczakow* w Łodzi. Nie mogłem się dostosować do jego sposobu zarządzania i skorzystałem z oferty pracy w Instytucie Elektrotechniki (IEI), w Zakładzie Wysokich Napięć (ZWN), mieszczącym się w skrzydle Gmachu Elektrycznego, zaoferowanej mi przez pana Jerzego Gzylewskiego, później doktora i profesora w tym Instytucie. Znowu miałem szczęście, bo pan Gzylewski, który walczył w Powstaniu, był znakomitym inżynierem i jego pasją było wprowadzanie nowych technologii do polskiego przemysłu. Współpracował z Gliwicką Wytwórnią Tworzyw Sztucznych, gdzie wprowadził do produkcji przepusty transformatorowe na napięcie 220 kV, dotychczas importowane ze Szwajcarii, opracował i wdrożył technologię wysokonapięciowych kondensatorów impulsowych w zakładzie A-1 w dawnej fabryce Szpotańskiego na Pradze.

Pomiar stromych prądów udarowych

W Instytucie Elektrotechniki brałem udział w pracy nad budową maszyny do dynamicznego rozdrabniania karborundu falą uderzeniową w wodzie, a później maszyny do magnetycznego tłoczenia kruchych metali. Karborund był stosowany do produkcji odgromników zaworowych wysokiego napięcia przez fabrykę A1. Jednakże, przy rozdrabnianiu w młynie kulowym twarde karborund powodował ścieranie powierzchni kul i drobne cząstki metalu zanieczyszczały ziarna karborundu, co znacząco pogarszało charakterystykę stosu zmiennie-oporowych płytek w odgromniku. Było to ambitne i nadzwyczaj ciekawe przedsięwzięcie, wymagające wytwarzania impulsów wielkopięciowych o bardzo stromym narastaniu czoła. W latach 1950 i 1960-tych takie impulsy były także stosowane w Stanach Zjednoczonych do symulowania impulsu elektromagnetycznego EMP (*Electro-Magnetic Pulse*) towarzyszącego eksplozji broni jądrowej. Podobne prace, objęte tajemnicą wojskową, prowadzono również w Rosji ale jedynym źródłem informacji były wzmianki w amerykańskich publikacjach dotyczących konstrukcji

generatorów takich impulsów oraz różnych urządzeń pomiarowych. W systemie łączności radiowej EMP indukują napięcie niszczące obwody wejściowe odbiorników radiowych. Aby zapewnić łączność pomiędzy stanowiskami dowodzenia a samolotami, pojazdami i okrętami po wybuchu broni jądrowej, należy odpowiednio chronić wszystkie nadajniki i odbiorniki sygnałów łączności przez ekranowanie i szybkie ograniczniki przepięć. Jednakże sprawdzenie skuteczności takiej ochrony wymagałoby narażenia chronionych urządzeń na wybuch broni jądrowej. Poza rzadkimi eksperymentami na poligonach, takie próby prowadzono stosując symulatory wytwarzające odpowiedniki impulsowego pola elektromagnetycznego wywołanego przez wybuch broni jądrowej. Symulator składa się z generatora krótkich impulsów wysokiego napięcia i wielkiego prądu oraz anteny, pod którą umieszczano badany obiekt. Konstrukcja takiego generatora jest zbliżona do generatora udarów używanego w Laboratorium Wysokich Napięć do prób napięciem udarowym sprzętu energetycznego: transformatorów, kabli, wyłączników, izolatorów. Jednakże czas narastania impulsu EMP jest krótszy o rzędy wielkości od czasu czoła udaru stosowanego do prób aparatów energetycznych. Problem stanowi konstrukcja przyrządów do pomiaru składowej elektrycznej i magnetycznej tak wytworzonego pola elektromagnetycznego oraz rejestracja krótkotrwałych, niepowtarzalnych impulsów.

Pracownia pana Gzylewskiego nie zajmowała się ochroną urządzeń łączności przed EMP, lecz tylko zastosowaniem w przemyśle udarów wielkoprądowych o krótkim czasie narastania. Niemniej konstrukcja generatora takich udarów była zbliżona do stosowanych w symulatorach EMP i ocierała się o objęte tajemnicą urządzenia budowane do celów obronnych. Podobne konstrukcje generatorów impulsów wielkoprądowych były stosowane do badań nad plazmą. W Wojskowej Akademii Technicznej (WAT) na Bemowie budowano wówczas ogromny generator impulsów mega-amperowych do badań nad emisją neutronów podczas wyładowań w deuterze w projekcie *plasma focus*.

W Laboratorium Wysokich Napięć ZWN IEl działał generator udarowy produkcji firmy Philips zaopatrzony w pewną ilość części zamiennych, a wśród nich były wysokonapięciowe kondensatory nadające się do budowy pierwszego prototypu generatora impulsów prądu o stromym czole. Problem sprowadzał się do uzyskania jak najwyższej mocy chwilowej przez wyładowanie baterii kondensatorów w obwodzie o możliwie małej indukcji. Obciążenie stanowił krótki odcinek cienkiego drutu umieszczony w zbiorniku z wodą. Impuls prądu powodował dynamiczne odparowanie, a właściwie eksplozję tego drutu a średnica kanału wyładowania wzrastała w bardzo krótkim czasie wywołując falę

uderzeniową w wodzie. Kawałki karborundu w zbiorniku kruszyły się pod działaniem fali uderzeniowej a rozdrobnione ziarna były wolne od zanieczyszczenia cząsteczkami metalu.

Realizacja tego projektu wymagała wiedzy o procesie eksplozji drutu pod działaniem krótkiego impulsu wielkoprądowego oraz sprzętu do pomiaru mocy wydzielonej podczas wyładowania. W tym celu należało zarejestrować sub-mikrosekundowy przebieg prądu i składowej czynnej spadku napięcia na impedancji kanału wyładowania w wodzie. Mnie przypadło w udziale opracowanie konstrukcji rurowego bocznika do pomiaru prądu i dzielnika mierzącego składową czynną spadku napięcia. Przeprowadzona przeze mnie analiza wykazała, że taki bocznik zniekształca przebieg mierzonego impulsu prądu, ponieważ naskórkowość spowalnia wnikanie prądu w głąb ścianki rury i odpowiedź bocznika rurowego na prostokątny impuls ma powolnie, stopniowo narastające czoło. W szwedzkim piśmie *Eltechnik* znalazłem opis bocznika rurowego o zmniejszonym czasie odpowiedzi autorstwa Hansa Witta z firmy ASEA. Korzystając z tego opisu zaprojektowałem bocznik rurowy z wzdłużnymi nacięciami ścianki rury, które miały zmniejszyć czas odpowiedzi, a wykonał go znakomity mechanik pan Kuczkowski. Aby sprawdzić własności pomiarowe należało zarejestrować odpowiedź tego bocznika na prostokątny impuls prądu. ZWN nie dysponował takim układem pomiarowym, ale pomogły mi wcześniejsze ćwiczenia ze wzmacniaczy impulsowych w laboratorium Zakładu Podstaw Telekomunikacji, gdzie używałem generatora impulsów prostokątnych o nanosekundowym czasie narastania, zawierającego przekaźnik firmy *Clare* z Chicago oraz oscylografu o szerokim paśmie przenoszenia zbudowanego przez asystentów profesora Smolińskiego. Z pomocą tych kolegów zarejestrowałem odpowiedź mojej repliki bocznika Hansa Witta i byłem zaskoczony jej przebiegiem. Zamiast oczekiwanego kształtu odpowiedzi pokazanego w szwedzkim piśmie zobaczyłem na początku ogromne przepięcie – rodzaj smukłej igły – a następnie powolny wzrost typowy dla konwencjonalnego bocznika rurowego. Po zastanowieniu stwierdziłem, że to początkowe przepięcie ma kształt pochodnej prostokątnego impulsu prądu mierzonego przez bocznik, gdyż pole magnetyczne w powietrzu ma taki sam przebieg czasowy jak mierzony prąd. Sygnał zaindukowany w obwodzie pomiarowym bocznika przez pole przenikające przez nacięcia w ścianie bocznika do wnętrza rury ma kształt pochodnej prostokątnego impulsu tego prądu (*funkcji Diraca*). Doszedłem do wniosku, że Hans Witt się pomylił usiłując skompensować powolne przenikanie pola magnetycznego do w głąb ścianki metalowej rury przez pole magnetyczne w powietrzu, które ma zupełnie inny przebieg. Jednak w szwedzkiej publikacji odpowiedź skompensowanego bocznika wyglądała poprawnie.

Po nieprzespanej nocy znalazłem wytłumaczenie tego błędu. Otóż Hans Witt nie dysponował generatorem prądowych impulsów prostokątnych, w którym czas narastania impulsu jest krótszy od jednej nanosekundy. Aby sprawdzić odpowiedź swojego bocznika wytwarzał wzorcowy impuls prądu przez rozładowanie kondensatora za pomocą iskiernika w powietrzu. Skutkiem tego, jego impuls wzorcowy miał powolny czas narastania, a zaindukowane w obwodzie pomiarowym bocznika napięcie miało kształt pochodnej tego impulsu.

Dobierając doświadczalnie szerokość nacięć w ściance rury bocznika Hans Witt dopasował wielkość tego napięcia tak aby skompensować powolny czas narastania odpowiedzi bocznika rurowego. Taka kompensacja działała tylko w przypadku rejestracji wzorcowego impulsu Hansa Witta, ale nie korygowała błędu pomiaru przy każdym innym przebiegu rejestrowanego impulsu prądu. Nie trzeba dodawać, że miałem poczucie podobne do astronoma, który odkrył nową planetę.

Zakomunikowałem tę wiadomość mojemu szefowi, który skierował mnie do profesora Zygmunta Hastermana dyrektora ZWN IEl. Profesor powiedział mi, że firma ASEA istnieje od niemal pięćdziesięciu lat i jest mało prawdopodobne, aby ich pracownik działu badawczego publikował artykuły z błędami. Poradził mi jeszcze raz wykonać pomiary odpowiedzi tego bocznika, a jeśli nadal będę utrzymywał, że jest on oparty na błędnej konstrukcji to mam opracować własny system kompensacji błędu pomiarowego bocznika rurowego i przedstawić go za dwa tygodnie.

Pod ogromnym stresem, aby zaprezentować się korzystnie w nowym zakładzie pracy, spędzałem wieczory nad własną koncepcją, która z grubsza polegała na wprowadzeniu cienkiego przewodu pomiarowego do ścianki rury na pośredniej grubości tej ścianki. Obliczyłem wymiary pośredniej grubości ścianki rury na której należy wprowadzić przewód pomiarowy, żeby skompensować błąd pomiarowy bocznika rurowego spowodowany naskórkowością. Pan Kuczkowski poradził mi jak wykonać „w metalu” model takiego bocznika i po wielu poprawkach udało mi się potwierdzić doświadczalnie obliczone przebiegi gęstości prądu na różnych średnicach wewnątrz ścianki rury. Nadużywając uprzejmości kolegów z Zakładu Podstaw Telekomunikacji chodziłem z kolejnymi modelami do ich laboratorium i wieczorami rejestrowałem odpowiedź moich modeli bocznika na impuls prostokątny.

Praca doktorska

Profesor Hasterman zainteresował się tym pomysłem i choć otwarcie przyznał, że ten szczególny problem wykracza poza jego specjalność to podjął się prowadzenia mojej pracy doktorskiej na temat pomiaru wielko-prądowych impulsów o stromym czasie narastania. Postawił jednak

warunek, aby po przetłumaczeniu na angielski i wysłaniu do oceny przez ABB (dawniej ASEA) w Szwecji moja praca uzyskała aprobatę szefa laboratorium Wysokich Napięć pana Nilsa Hylten-Cavaliusa, którego znałem ze spotkań na kongresie CIGRE. Stopniowo chciałem się uniezależnić od gościny w Zakładzie Podstaw Telekomunikacji i zbudować układ do rejestracji odpowiedzi na prostokątny impuls prądu w Zakładzie Wysokich Napięć IEl. Dzięki poparciu profesora Hastermana, ZWN IEl zamówił w Zakładzie Podstaw Telekomunikacji synchronoskop nanosekundowy wykonywany tam, jako pojedyncze egzemplarze do specjalnych zastosowań. Pozostał tylko problem zakupu przekaźnika firmy Claire z Chicago, który był objęty surowym embargiem z uwagi na jego zastosowanie do sterowania napędem rakiet balistycznych. Jedyne w Polsce egzemplarze w laboratorium Zakładu Podstaw Telekomunikacji udało się kupić przed kilku laty, ponieważ w specyfikacji tego przekaźnika podano częstość powtarzania jego zadziałań wynoszącą 60 Hz, a nie podano czasu narastania wytwarzanego impulsu. Niezbyt kompetentny amerykański urzędnik zezwalający na sprzedaż za „żelazną kurtynę” uznał, że nie ma ograniczeń na sprzęt pracujący na częstotliwości sieci, ale udało się to tylko raz, bo odpowiednie władze szybko zmieniły jego decyzję.

Po dłuższych poszukiwaniach dowiedziałem się, że w Amsterdamie przy Pelikanstrasse, gdzie są liczne zakłady szlifierzy diamentów, jest także człowiek, który sprzedaje różne, objęte embargiem amerykańskie podzespoły elektroniczne i co więcej nieźle mówi po polsku. W żeglarskim Klubie *Rejsy* zapowiedziałem, że tego roku popłynę na jachcie *Jarl* do Amsterdamu i dalej kanałami przez Holandię do Rotterdamu.

W Amsterdamie z załogą *Jarla* oglądaliśmy galerię obrazów Rembrandta i Vermeera, a ja z kilkoma dolarami w kieszeni poszedłem na Pelikanstrasse ubrany w kurtkę *bosmankę*, której krój rękawów pozwalał na włożenie w każdy z nich butelki śliwownicy paschalnej, z oficjalną pieczęcią rabina miasta Wrocławia, potwierdzającą koszerny charakter tego trunku. Nie wchodząc w szczegóły transakcji stałem się posiadaczem przekaźnika firmy Claire, co otwierało drogę do uzyskania stopnia naukowego doktora nauk technicznych.

Zbudowany w Zakładzie Wysokich Napięć układ do badania odpowiedzi bocznych prądowych i dzielników napięcia na impuls prostokątny stał się znakomitym narzędziem, które wykorzystałem do pracy doktorskiej, a później do konstruowania takich przyrządów pomiarowych dla Instytutu Energetyki na Morach, Politechniki Warszawskiej

i Poznańskiej, sprawdzania wyrobów Zakładu A1, który produkował wyposażenie laboratoriów probierczych fabryki ELTA w Łodzi, a także eksportował aparaturę probierczą WN do Jugosławii. W tych pracach brali udział moi koledzy z pracowni pana Gzylewskiego, mój przyjaciel Jurek

Dąbrowski, pan Tadeusz Łaś i mechanik pan Kuczkowski. Zgodnie z poleceniem dyrektora ZWN, a mojego promotora profesora Hastermana, musiałem przetłumaczyć moją rozprawę doktorską na angielski, którego to języka uczyłem się intensywnie.

W naszym Zakładzie pracował Jan książę Radziwiłł, który biegle znał angielski i pomagał mi w przekładzie specjalistycznego tekstu, a kolega Jerzy Wierzbicki prezes związku artystów fotografików opracował tabele oscylogramów odpowiedzi badanych modeli bocznika, zarejestrowanych

w skali nanosekund. Angielska wersja rozprawy została oficjalnie wysłana przez IEl do oceny przez pana Hylten Cavaliusa. Jego recenzja zawierała wprawdzie obronę krytykowanej przez mnie koncepcji Hansa Witta, ale wyrażała uznanie dla konstrukcji opracowanej w ZWN. Pracę recenzowali przychylnie profesor J.L. Jakubowski i profesor Lech, co zdecydowało o pomyślnej obronie doktoratu, jako jednego z pierwszych w ZWN.

Głównym problemem pracy nad kruszeniem karborundu falą uderzeniową w wodzie było dobranie parametrów eksplodującego w wodzie drutu do generatora impulsów wielko prądowych i mój kierownik pracowni pan Gzylewski specjalizował się w konstrukcji kondensatorów impulsowych, które są produkowane przez firmę Maxwell w Kalifornii jednakże nie były dostępne w Polsce. Jego praca doktorska o uzyskaniu najwyższej mocy chwilowej przez eksplozję drutu podczas wyładowania baterii takich kondensatorów skłoniła go do zorganizowania w Warszawie międzynarodowej konferencji na ten aktualny wówczas temat. Wśród zaproszonych naukowców z NRD, Czechosłowacji, Węgier i Bułgarii znalazł się pan William Chase ze Stanów Zjednoczonych. Był on autorem zbioru referatów prezentowanych na kolejnych konferencjach na temat eksplozji drutu w Stanach i zaciekało go, co się w tej dziedzinie dzieje w krajach zależnych od ZSSR. Mój referat o bocznikach prądowych i kompensowaniu błędu odpowiedzi wzbudził jego zainteresowanie i po obejrzeniu naszego laboratorium wyraził zdziwienie, że korzystamy ze sprzętu pomiarowego, który jest objęty embargo. Niemniej zaproponował opublikowanie mojej konstrukcji bocznika w amerykańskim piśmie, co więcej, zaoferował pomoc przy kontaktach z redakcją, jeśli przyślę mu rękopis. Mając za sobą angielski przekład mojej rozprawy doktorskiej, zrobiłem stosowne streszczenie i kolejnym rejsem pod żaglami wysłałem z Malmo ten artykuł do pana Chase.

Artykuł powinienem był zgłosić za pośrednictwem dyrekcji IEl, ale niedawno zmarł dyrektor Lando, który zbudował Instytut w Międzyzlesiu. Wkładał On swoje serce w dobór kadry naukowej, zakup sprzętu za granicą i kierownictwo licznymi zakładami na terenie Międzyzleskiego parku. Następnym dyrektorem był mianowany przez PZPR, miał tytuł profesora ze

Szczecina, był mało znany w kręgach naukowych, natomiast wyróżniał się gorliwością w kontaktach z lokalną egzekutywą. Złośliwi mówili o nim, że wydał jedyną w życiu publikację, która jest bardzo często konsultowana i każdy instytutowy naukowiec ma na biurku swój egzemplarz. Była to nowa książka telefoniczna Instytutu, a na początku był wymieniony z tytułami tenże dyrektor Masalski. Wśród znajomych mówiono o nim familiarnie *mój Hasalski*.

W tej sytuacji decyzja o zezwoleniu na publikowanie artykułów w amerykańskim piśmie zapadłaby na zebraniu egzekutywy PZPR i można było przewidzieć ich stanowisko.

Pan Chase odpowiedział listem na blankiecie *United States Air Force, Maryland Proving Ground* na adres ZWN, że po edytorskich poprawkach mój artykuł zakwalifikowano do druku. Profesor Hasterman, do którego trafiło to pismo wezwał mnie i powiedział, że to się źle skończy, jeśli odpowiednie władze natrafią na trop sprawy i przykazał nie chwalić się tym zawodowym sukcesem. Kilka miesięcy później pani z biblioteki IEL poinformowała mnie, że przyszedł do biblioteki zaadresowany na moje nazwisko autorski egzemplarz *Review of Scientific Instruments* z moim artykułem. Jak mówi porzekadło *mleko się rozlało* i zostałem wezwany przed oblicze naczelnego dyrektora. Pan Masalski udzielił mi nagany z wpisaniem do akt i powiedział, że skoro bez wiedzy i zgody władz publikuję w pismach wrogiego mocarstwa artykuły o urządzeniach służących do realizacji projektów o strategicznym znaczeniu dla obronności państwa, to mogę oczekiwać dalszego postępowania właściwych organów.

Tak się złożyło, że w IEL był doroczny konkurs Zakładów Instytutu o najlepsze osiągnięcia naukowe. Komisja oceniała działalność naukową Zakładów według ustalonego klucza i największą liczbę punktów przynosiły publikacje w prestiżowych wydawnictwach. W tym roku moja publikacja w *Review of Scientific Instruments* przeważała szalę i wygrał Zakład Wysokich Napięć. Wręczając mi nagrodę na uroczystym zebraniu kierownictwa Instytutu dyrektor Masalski z kwaśną miną gratulował sukcesu, a ja patrząc mu w oczy odpowiedziałem cichutko *i tobie też*, zgodnie dowcipem usłyszonym na studium wojskowym.

Pamiętając o korzystnej opinii pana Hylten-Cavalius'a o mojej pracy doktorskiej napisałem do niego list z zapytaniem czy mógłby mnie przyjąć na *post doctoral* staż w swoim laboratorium i wysłałem na adres firmy ASEA. Po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź z przedstawicielstwa firmy ASEA na Nowym Świecie na moje zapytanie o staż w laboratorium Wysokich Napięć. Poinformowano mnie, że pan Hylten Cavalius nie jest już pracownikiem ASEA, bo wyjechał do Montrealu, gdzie został zatrudniony przez Instytut Badawczy Hydro-Québec'u i kieruje projektowaniem największego na świecie Laboratorium Wysokich Napięć.

Poza tym firma ASEA ceni sobie kontakty handlowe z PRL i rozpatruje wystąpienia o staż w ich laboratoriach, jeśli są nadsyłane przez polskie Ministerstwo Energetyki i Górnictwa.

Doświadczenia zagraniczne

Uznałem, że nadarza mi się życiowa szansa poznania nowoczesnej Techniki Wysokich Napięć i wysłałem kolejne zapytanie o staż na adres pana Hylten-Cavalliusa w IREQ (*Institut de Recherche d'Hydro-Québec*) w Montrealu, z prośbą, aby odpowiedź skierował do mojej znajomej z żeglarskich rejsów pani May w Vastervik'u.

Wymiana korespondencji z zagranicą w tamtych czasach nastęrczała trudności, ale w końcu dostałem uprzejmą odpowiedź, że mogę liczyć na zatrudnienie w IREQ pod warunkiem przejścia przez *employment interview*. Pan Hylten-Cavallius będzie odwiedzał swojego ojca w Kopenhadze w końcu lipca i mam się tam zgłosić na rozmowę.

Moja przyszła żona Wanda działała w żeglarskich kręgach i krótkim czasie znalazła załogę jachtu *Bolko*, która organizowała rejs do Danii i poszukiwała kapitana. Rejs miał wyjść ze Świnoujścia w terminie, który spokojnie pozwalał na spotkanie z panem Hylten-Cavalliušem w Kopenhadze. Niestety nastąpiło kilkudniowe opóźnienie i wyszliśmy w morze na dwa dni przed datą mojego *employment interview*. Na domiar złego trafił się sztormowy wiatr z NW, ale chcąc zdążyć na termin spotkania postawiłem żagle i na wysokiej fali załoga srodze cierpiała na chorobę morską. Na wołanie o litość opowiadałem im o patentowanym sposobie zapobiegania takim dolegliwościom, który polegał na położeniu się na wznak pod rozłożystym dębem.

W umówionym hotelu w Kopenhadze spotkałem pana Hylten-Cavalliusa, który mnie znał tylko pośrednio z pracy nadesłanej mu do recenzji. Oczekiwałem pytań o rozwiązywanie równania dyfuzji we współrzędnych walcowych, ale on usiłował tylko sprawdzić czy stojący przed nim człowiek jest autorem przesłanej mu pracy. Ku mojemu przerażeniu pan Hylten-Cavallius postanowił odwiedzić nasz jacht przycumowany w Basenie Królewskim nieopodal słynnej Syrenki przy Langelinie. Z doświadczenia wiedziałem, że w załodze jachtu w rejsie zagranicznym jest zazwyczaj TW, czyli tajny współpracownik Urzędu Bezpieczeństwa, którego z pewnością zainteresuje taka wizyta. Poza tym jacht cuchnął po ciężkich przeżyciach załogi na rozkołysanym morzu i nie bardzo nadawał się do przyjmowania gości. Udało się wysłać załogę do Tivoli przed przyjściem mojego gościa i Wanda dokonywała cudów w doprowadzaniu jachtu do w miarę normalnego stanu, ja szykowałem przyjęcie z polskimi trunkami eksportowymi, które zawsze cieszyły się uznaniem wśród Skandynawów. Pan Hylten-Cavallius przyszedł ze swoją

doroślą córką, która uprawiała żeglarstwo i chętnie opowiadała o rejsach wzdłuż szwedzkiego wybrzeża. Zaciekawiała ją moja znajomość szkierów przy wejściu do Vasterviku i rozmowa potoczyła się o żeglarstwie. Żubrówka, a także jarzębiak spotkały się z wysoką oceną i pan Hylten-Cavalius oświadczył, że przyjmuje mnie do pracy i może założyć środki na zakup biletu SAS z Kopenhagi do Montrealu, trzeba tylko załatwić w Kopenhadze kanadyjską wizę.

Wśród jachtowych kapitanów panował zwyczaj, że kapitan nie schodzi z pokładu w obcym porcie. Przestrzegaliśmy tego starannie, bo władze na ogół nie odmawiały nam paszportu na żeglarskie rejsy i należało utrzymać ten stan niepisanej umowy. Ku zdziwieniu mojego gościa odpowiedziałem, że muszę odprowadzić jacht do Polski, a potem spróbuję załatwić sobie turystyczny wyjazd za granicę i za jakiś czas zgłoszę się do IREQ'u w Montrealu. Załoga wróciła z Tivoli i odprawiliśmy naszych gości pod dobrą datą. Na pytanie, co to za ludzie odpowiedzieliśmy, że to przygodni szwedzcy żeglarze, którzy chcieli pogadać i napić się polskiej wódki. Ich stan potwierdzał moją opowieść, więc nie było dalszych dochodzeń.

Po powrocie do Warszawy zastanawiałem się jakby tu dostać paszport na prywatny wyjazd za granicę nie mieszając do tego żeglarskich koneksji. Wujek w Londynie nie był dobrą opcją, bo został tam po wojnie nie chcąc dostać się w ręce władz PRL. Jediną rozsądną możliwość stanowiło zaproszenie imienne na krótki pobyt od rodowitego Szweda, w podtekście na zbiór owoców z sadzie, czyli na zarobek. Zwróciłem się w tej sprawie do poznanej w Vasterviku May. Zapewne była zdziwiona, ale wysłała mi takie formalne zaproszenie, z którym wystąpiłem o paszport. Najpierw była odmowa, ale znajomi zbierający jabłka czy truskawki na plantacji w Szwecji poradzili mi abym złożył odwołanie, a jak zaproszą do Pałacu Mostowskich na rozmowę to starał się przekonać urzędnika, aby wyraził zgodę. Posłuchałem dobrej rady i z paszportem w garści wykupiłem bilet na prom Świnoujście-Ystad. Nabyłem także składany rower z ogromnym pokrowcem-torbą, do której załadowałem zimowe ubrania, słownik angielsko polski wydany przez oficynę Kościuszko w Stanach oraz większą ilość puszek z wieprzowiną.

Dotarłem do Vasterviku, gdzie serdecznie podziękowałem May za to niezbędne zaproszenie i pojechałem do Sztokholmu, gdzie zgłosiłem się do Konsulatu Kanady z prośbą o wizę wjazdową. Konsul oglądał pismo o zatrudnieniu w IREQ i powiedział, że sprawa jest trudna z powodów politycznych. Gdybym zamierzał pojechać do Manitoba i pracować na farmie, albo ścinać drzewa w Kolumbii Brytyjskiej to po sprawdzeniu stanu zdrowia wydałby mi wizę bezzwłocznie. Ale ja chcę pracować

w nowoutworzonym instytucie naukowym w Québecu, w Prowincji mającej silną i nader aktywną partię polityczną usiłującą oderwać Québec od Kanadyjskiej Federacji. Istnieje domniemanie, że taki nowy twór państwowy może mieć kłopoty gospodarcze i zechce skorzystać z pomocy ZSSR, podobnie jak na przykład Kuba. Konsul powiedział: *Pan pochodzi z kraju w sferze wpływów ZSSR, ma pan doktorat z inżynierii i obiecują panu stanowisko w nowym Québeckim instytucie badawczym. Ta sprawa wykracza poza moje kompetencje, ale za dwa tygodnie będzie tu urzędnik z federalnej stolicy w Ottawa, który odbędzie z panem rozmowę i zadecyduje o dalszym biegu sprawy.* Zrobiłem smutną minę, bo moja szwedzka wiza upływa za dwa tygodnie, nie mówiąc o braku środków do życia. Konsul poradził zwrócić się do szwedzkiej policji o przedłużenie wizy z powołaniem na naszą rozmowę. Szwedzki komisarz policji orzekł, że skoro staram się o wizę do Kanady to mogę przebywać w Szwecji tak długo jak tego będzie wymagało załatwianie formalności i przedłuży mi wizę pod warunkiem, że nie podejmę tu pracy zarobkowej. Po dwóch tygodniach spotkałem urzędnika z Ottawy, który pytał mnie o to, czym zajmowałem się w Polsce, w jaki sposób mogłem żeglować jachtem do Skandynawii i dlaczego chce mnie zatrudnić IREQ w Montrealu. Poza tym zadawał dość dziwne pytania typu: Czy zna pan np. Kowalskiego albo Wiśniewskiego? Jeśli tak to gdzie się panowie poznali? Czy rzeczony np. Kowalski mówił o swoich sprawach? Nie bardzo rozumiałem, o co tu chodzi, ale odpowiadałem zgodnie z prawdą. Na koniec zapowiedziano mi, że oczekiwanie na wizę do Kanady może zająć do sześciu miesięcy, bo zwrócą się do amerykańskich władz o pomoc przy zbieraniu danych o mnie, więc muszę sam sobie jakoś radzić w Szwecji. W ciągu tych sześciu miesięcy skutecznie straciłem nadwagę, bo pod koniec ważyłem około pięćdziesięciu kilogramów. Rower oddawał mi nieocenione usługi, bo nie musiałem płacić za komunikację miejską. W pewnej chwili zaprzyjaźnione małżeństwo polsko-szwedzkie zaproponowało mi pobyt w letnim domku nad jeziorem i opiekę nad dwójką dzieci: pięcioletnim Busse i siedmioletnią Marią, w zamian za wikt i gościnny pokój. Oboje rodzice pracowali i mieli tylko krótkie wakacje, a chcieli, aby dzieci spędziły letnie wakacje na jeziorem. Takie warunki nie naruszały mojej umowy ze szwedzką policją, dzieci mnie polubiły i zaczęły uczyć szwedzkiego języka na poziomie przedszkola. Kilka lat później, kiedy jeździłem do Szwecji w sprawach zawodowych i usiłowałem coś powiedzieć w lokalnym języku, miejscowi inżynierowie wybuchali śmiechem słysząc z moich ust słowa i zwroty używane przez małe dzieci.

W Sztokholmie jest elegancka restauracja, która zapełnia się wieczorami w piątek i sobotę. Właściciel nie chciał utrzymywać stałego personelu w kuchni przez cały tydzień i zatrudniał na te dwa wieczory

pomocników do odbierania z windy talerzy i sztuców zebranych ze stołów przez kelnerów. Należało te talerze i sztuce posegregować, włożyć do zmywarki i suszarki a po tym poukładać w szufladach. Za tą dorywczą pracę nie płacono, ale właściciel zapraszał na obfity posiłek ze znakomitym wyborem dań. Po takiej uczcie można było przeżyć pozostałe dni tygodnia przy niewielkich uzupełnieniach. Nader ciekawe postaci korzystały z tej okazji, spotykałem tam astronoma z Brazylii, historyka z Północnej Afryki, był także Estończyk doktor matematyki.

Przez pewien czas mieszkalem w domu akademickim, gdzie niedrogo wynajmowano pokoje w lecie podczas studenckich wakacji. Ten osiemnastopiętrowy wieżowiec otaczał małe podwóreczko, gdzie każdego dnia o świcie młody muzułmanin klęcząc na owczej skórze zanosił głośne modły do Allacha. Echo odbijało te zawodzące dźwięki w studni utworzonej przez ściany domu wokół podwóreczka i obudzeni bladym świtem lokatorzy z górnych pięter ciskali w niego butami. Tonacja zawodzenia zmieniała się, kiedy rzut był celny, co spotykało się z głośnym aplauzem uczestników tej zabawy.

Kończył mi się urlop z IEL, więc zwróciłem się listownie do dyrekcji z podaniem o udzielenie bezpłatnego urlopu, z uwagi na wyjątkową okazję pracy przy projektowaniu i budowie największego na świecie laboratorium Wysokich Napięć w Montrealu, ponieważ zebrane tam doświadczenie zamierzam wykorzystać przy projektowaniu i budowie nowego laboratorium Wysokich Napięć w IEn na Morach. Na moje podanie dyrektor Masalski odpowiedział oficjalnym pismem, że dyscyplinarnie zwalnia mnie z pracy powołując się na paragraf dla bumelantów i pijaków. Odpisałem mu, że ten paragraf się do mnie nie stosuje, bo nigdy nie byłem bumelantem.

Kanada

W końcu władze kanadyjskie przyznały mi wizę, pożyczły pieniądze na bilet i 10 września 1970 roku wylądowałem na lotnisku Dorval w Montrealu. Aby nie przekroczyć dopuszczalnej wagi bagażu nałożyłem na siebie zimowy płaszcz podbity kożuchem, futrzaną czapkę i włożyłem do kieszeni płaszcz ciężkie słowniki. Na lotnisku w Montrealu panował upał 30°C i 95% wilgotności powietrza, a przy biurku z napisem *Immigration* siedziały dziewczyny w mokrych od potu podkoszulkach. Widząc mnie krzyknęły *Reds are coming*, co było zawołaniem z filmu o hipotetycznej inwazji ZSSR na Amerykę. Po wstępnym okresie załatwiania spraw zostałem zatrudniony w IREQ'u w Zakładzie Wielkich Mocy, którego szefem był Andre Dupont, miły młody człowiek o żywym usposobieniu, sypiący dowcipami. Wydawało mi się, że nieźle znam język francuski, który jest oficjalnym językiem w Prowincji Québec i oczywiście w IREQ'u.

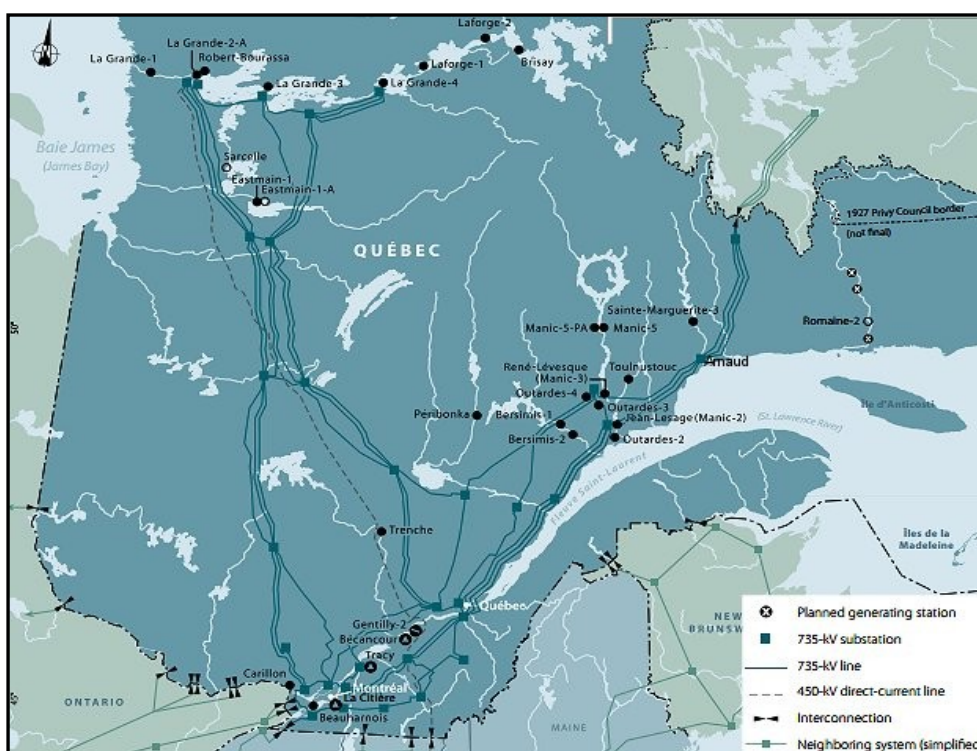
Jednak po trzystu latach separacji od macierzystej Francji język używany w Québec'u znacząco odbiega od uczonego w Polsce francuskiego i nie bardzo rozumiałem, co mówią ludzie na ulicy i robotnicy w laboratorium. Inżynierowie i sekretarki z reguły znają angielski, ale niechętnie się nim, posługują. W Zakładzie Wielkich Mocy, za wyjątkiem profesora Vladislava Zajica ze zwarciowni w Bechowicach koło Pragi i Vojislava Narancica z Rade Konczar w Jugosławii, wszyscy pracownicy byli urodzonymi *Canadiens Francais* i starałem się szybko opanować lokalny dialekt. Kontrasty pomiędzy życiem w Warszawie i w Montrealu w roku 1970 pokazuje moja przygoda związana z zakupem papieru toaletowego. W wynajętym mieszkaniu skończyła się rolka, a w ogromnym supermarkecie chodziłem zagubiony i nie mogłem znaleźć poszukiwanego papieru, aż w końcu skierowano mnie tam, gdzie były rolki papierowego ręcznika używanego w kuchni. Nieco zdziwiony, że w Montrealu tak jak w Warszawie są przejściowe trudności z papierem toaletowym, kupiłem ten szeroki papierowy ręcznik. Nazajutrz zapytałem Guy Saint-Jean kolegę, z którym dzieliłem biuro, czemu w Kanadzie do celów toaletowych używany jest tak szeroki papier. Po dłuższej indagacji Guy pojął o co mi chodzi i odpowiedział: *you know, this is a big country*.

Decyzja o utworzeniu IREQ została podjęta przez przedsiębiorstwo energetyczne Hydro-Québec, które zaopatruje lokalną ludność i przemysł w energię elektryczną wytwarzaną w 95% w elektrowniach wodnych oraz eksportuje w lecie znaczne nadwyżki tej energii do Nowego Jorku i Bostonu. Pod koniec lat 1960 Premier Québec'u podjął decyzję o wykorzystaniu zasobów wodnych w północnej części Prowincji w dorzeczu rzeki La Grande, co oznaczało poważne prace ziemne obejmujące przekierowanie dopływów tej rzeki, budowę kilku zapór i elektrowni wodnych o łącznej mocy zainstalowanej 12 GVA. Dla porównania moc zainstalowana w Polsce wynosi około 30 GVA, przy zaludnieniu pięciokrotnie większym od Québec. W zasadzie elektrownia wodna może wytwarzać energię w ciągu całego roku, ale w Québec'u szczytowy pobór mocy występuje w zimie, na potrzeby elektrycznego ogrzewania domów, biur i fabryk. W lecie zapotrzebowanie na energię w Québec'u nie przekracza 13% mocy zainstalowanej, natomiast w Stanach Zjednoczonych szczytowe zapotrzebowanie występuje w miesiącach letnich, kiedy niezbędna jest klimatyzacja pomieszczeń. Stwarza to korzystną sytuację do sprzedaży nadwyżek energii, jednakże występuje problem niezawodnego przesyłu mocy na odległość ~3000 km, od wodnych elektrowni nad Zatoką Hudsona, a właściwie nad jej południowym skrajem James Bay, do aglomeracji Nowego Jorku.

W Québec'u istniały od kilku lat linie przesyłowe o najwyższym napięciu 735 kV, którymi przesyłana jest energia z elektrowni wodnych

w północno-wschodniej części Płaskowyżu Kanadyjskiego (*Canadian Shield*) do Montréalu.

Kompleks elektrowni nad James Bay na rzece La Grande i jej dopływach miał podwoić dotychczasową moc zainstalowaną, ale odległość między nowymi elektrowniami i odbiorcami energii w Nowym Jorku jest znacząco większa od dotychczasowych linii. W tej sytuacji rozważano zastosowanie wyższego napięcia przesyłowego, dotychczas nieistniejącego na świecie. Obliczono, że całą energię wytwarzaną w elektrowniach James Bay można przesłać jedną linią o dwukrotnie wyższym napięciu 1500 kV, aczkolwiek dotychczas nie istnieją wyłączniki, transformatory, dławiki, odłączniki i przekładniki na tak wysokie napięcie. Aby potwierdzić techniczną możliwość zbudowania takiego osprzętu stacji, a także wyznaczyć rozmiary wież linii przesyłowej, należy wykonać próby w laboratorium Wysokich Napięć zaprojektowanym na napięcie probiercze wyższe od znamionowego napięcia sieci przesyłowej. W konsekwencji została podjęta decyzja o stworzeniu IREQ'u i budowie największego na świecie laboratorium Wysokich Napięć i Wielkich Mocy.



Mapa sieci przesyłowej 735 kV oraz linii ± 450 kV prądu stałego Hydro-Québec'u.

Zakład Wielkich Mocy

Moim pierwszym projektem w Zakładzie Wielkich Mocy było opracowanie prototypu przekładnika prądowego wykorzystującego efekt Faradaya w szkle, to znaczy skręcanie płaszczyzny polaryzacji wiązki światła przepuszczonego przez szkło flintowe pod działaniem pola magnetycznego. W Warszawie zajmowałem się tym zagadnieniem i zbudowałem prototypowy rejestrator wielkich prądów impulsowych płynących w obwodzie pod wysokim napięciem, dla potrzeb generatora impulsów mega-amperowych autorstwa inż. Jerzykiewicza z IBJ, dla projektu *plasma focus* WAT na Bemowie. Opis tego przyrządu opublikowałem podczas pobytu w Szwecji i przedstawiłem w Zakładzie Wielkich Mocy IREQ'u, na poparcie proponowanego projektu magneto-optycznego przekładnika prądowego. Uzyskałem aprobatę i zaprojektowałem przekładnik na 735 kV, mając na widoku zastosowanie w istniejącej sieci Hydro-Québec'u.

Po wstępnych próbach prototypu, dyrekcja IREQ postanowiła przekazać ten projekt do realizacji firmie *Cegelec* w Montréalu do wspólnego rozwiązywania problemów technologicznych i w perspektywie do produkcji i sprzedaży magneto-optycznego przekładnika prądowego 735 kV, jako wyposażenie stacji Hydro-Québec'u. Wtedy okazało się, że *Cegelec* podający się za kanadyjską firmę jest w rzeczywistości spółką-córką francuskiego koncernu *Alsthom*, który właśnie opracowuje swoją konstrukcję przekładnika magneto-optycznego na 400 kV i stanowczo zabrania pracownikom *Cegelec* współpracy z IREQ w tym zakresie. W Québecu nie było innej firmy, która mogłaby podjąć się produkcji takich przekładników, a współpraca z koncernem *Alsthom* we Francji sprowadzałaby się do kupowania ich wyrobów, więc dyrekcja IREQ postanowiła zamknąć ten projekt z uwagi na brak możliwości wdrożenia prototypu do produkcji w Québec'u.

W końcu lat 1960 Hydro-Québec uruchomił system przesyłu energii na napięciu 735 kV z elektrowni wodnej o mocy 5 GVA na wodospadach Churchill Falls na Labradorze oraz systemu wodnych elektrowni o łącznej mocy 10 GMVA na rzekach Outardes i Manicouagan w północno-wschodniej części Prowincji. W IREQ'u grupa kolegów zajmująca się obliczaniem przepięć, prądu zwarcia i przepływem mocy w 735 kV sieci korzystając z programu EMTP (*Electro Magnetic Transient Program*) do symulacji sieci wystąpiła o przeprowadzenie rejestracji prądu zwarcia w sieci, aby zweryfikować obliczone parametry, a także działanie pneumatycznego wyłącznika o mocy wyłączalnej 25 GVA. Jako miejsce pomiarów wybrano węzłową stację Arnaud gdzie zwarcie jest zasilane przez linie z trzech elektrowni o łącznej mocy zainstalowanej 13 MVA. Nikt dotychczas nie robił pomiarów napięcia i prądu podczas celowo

dokonanego (*staged fault*) zwarcia do ziemi w tak potężnym systemie przesyłu energii. Rejestracja takich przebiegów nastrocza poważne problemy, ale w zespole pracującym nad tym projektem zostałem wyznaczony do opracowania układu pomiarowego. Moje doświadczenie z pomiarami wysokich napięć i prądów udarowych było ograniczone do laboratorium ZWN IEL, gdzie panują nieporównanie lepsze warunki z uwagi na starannie zaprojektowany system uzemień i ekranowanie kabli pomiarowych i rejestratorów udoskonalane przez lata pracy. Miałem tremę w chwili pierwszego zamknięcia pneumatycznego wyłącznika 735 kV na doziemne zwarcie, a huk spowodowany jego działaniem przypominał odpalenie ciężkiego działa na poligonie.

Sukces tego projektu zachęcił mnie do przedstawienia wyników pomiaru i symulacji na spotkaniu *IEEE Power Engineering Society* w Anaheim, Kalifornia. Podczas obowiązkowej osobistej prezentacji artykułu trzeba „stawić czoła” audytorium złożonym z ponad stu doświadczonych amerykańskich inżynierów, specjalistów z przedsiębiorstw energetycznych i odpowiedzieć na zadawane pytania, często stanowiące rodzaj pułapki (*loaded questions*). Autor ma przywilej zamknięcia dyskusji, ale zarówno pytania, jak i odpowiedzi są wydrukowane razem z artykułem i życiorysem autora w *IEEE Transactions*. W przeciwieństwie do stanowiska dyrektora IEL, dyrektor IREQ'u poparł publikację tego artykułu uważając to za rodzaj reklamy świadczącej o wysokich kwalifikacjach kadry naukowej i technicznej przedsiębiorstwa.

W tym samym czasie postępowała budowa największej na świecie hali probierczej Laboratorium Wysokich Napięć o wymiarach podłogi 82 na 76 metrów i wysokości 55 m. Zaprzyjaźniłem się wtedy z kolegami z Zakładu Wysokich Napięć, gdzie kadra była złożona z samych cudzoziemców, był tam George Karady z Budapesztu, Christos Menemenlis z Aten, David Train ze Szkocji, Sarma Maruvada z Indii, Giao Trinh z Wietnamu no i dyrektor Nils Hylten-Cavallius ze Szwecji.

Przy projektowaniu laboratorium, wyborze sprzętu probierczego i licznych problemów związanych z uzziemieniem, ekranowaniem, tłumieniem echa a także ogrzewaniem wielkiej Hali Wysokich Napięć pojawiały się tysiączne problemy i byłem potrzebny do rozwiązywania wielu bieżących zadań. To zadecydowało o moim przeniesieniu z Zakładu Wielkich Mocy do Wysokich Napięć, a właściwie do nowego Laboratorium, gdzie po niesłychanie szybkim zakończeniu prac budowlanych rozpoczęto instalowanie aparatury probierczej i pomiarowej.

Byłem zaskoczony zaufaniem, jakim dyrekcja IREQ'u darzyła pracowników naukowych, bo miałem prawo podpisywania zamówień na sprzęt i materiały do bardzo wysokiej kwoty, podpis dyrektora był wymagany przy wielkich kontraktach. Kontrastowało to z praktyką IEL

gdzie zakup najdrobniejszych potrzebnych do pracy przedmiotów wymagał wypełnienia druczka RW i uzyskania aprobaty kierownika pracowni, dyrektora Zakładu oraz osoby zajmującej się planami i budżetem.

Istotną sprawą było długoterminowe porozumienie między dyrekcją IREQ'u a pobliską fabryką transformatorów firmy ASEA o zakontraktowaniu laboratorium do wykonywania prób odbiorczych transformatorów wyprodukowanych przez tą fabrykę. W ten sposób fabryka zaoszczędziła środki na budowę własnej stacji prób odbiorczych, a IREQ miał zapewniony portfel zamówień na badania transformatorów w nowym Laboratorium Wysokich Napięć. Należy tu podkreślić dalekowzroczość dyrektora pana Lionel Boulet, który zapewnił podstawę egzystencji tego laboratorium w późniejszych latach, kiedy kontrakty na prace badawcze uległy ograniczeniu.

Oprócz pana Hylten Cavalliusa byłem wtedy jedynym pracownikiem naukowym z doświadczeniem w zakresie badań izolacji zewnętrznej i wewnętrznej aparatów wysokiego napięcia oraz w technice pomiarów w laboratorium. Mój kolega David Train miał doświadczenie w projektowaniu transformatorów nabyte w fabryce English Electric, Sarma Maruvada specjalizował się w oddziaływaniu linii przesyłowych na środowisko, a także stratami ulotowymi, Giao Trinh w zakresie wytrzymałości oleju izolacyjnego i sześćciofluorku siarki. George Karady był pracownikiem naukowym na Politechnice w Budapeszcie, a Christos Menemenlis pracował w przedsiębiorstwie przesyłu energii elektrycznej. Moi koledzy byli zwerbowani przez pana Hylten-Cavalliusa, który był aktywnym członkiem CIGRE oraz IEC i poznał ich podczas spotkań grup roboczych tych organizacji. Zebranie takiego zespołu fachowców było jego zadaniem, a zarazem zasługą, bo Technika Wysokich Napięć została zarzucona w Ameryce od wielu lat jako przedmiot akademicki.

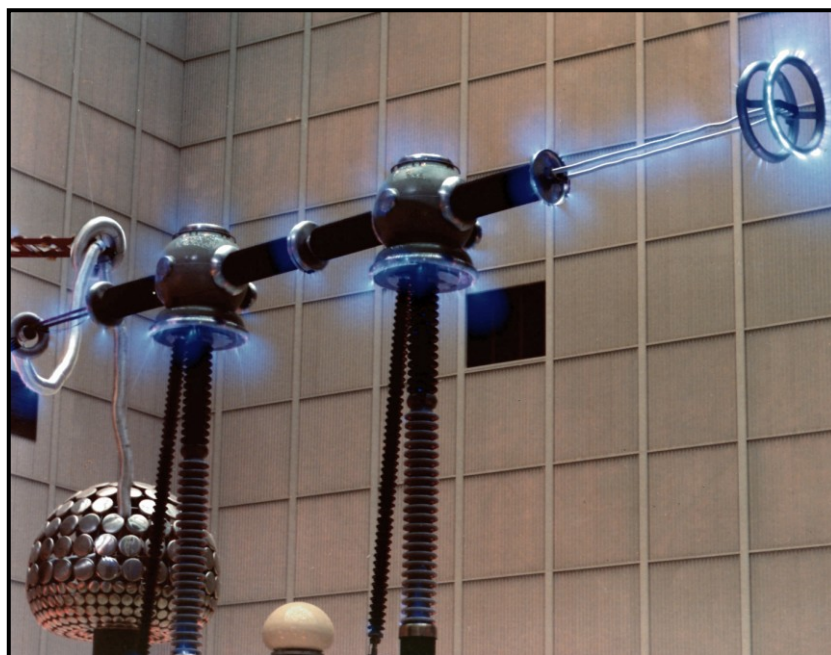
Jedynie na Rensseler University w Troy, Albany, wykładano symulację sieci przesyłowej programem EMTP, ale oprócz specjalistycznego szkolenia przez firmy General Electric i Westinghouse zorientowanego głównie na pracowników tych korporacji żaden uniwersytet nie prowadził wykładów w dziedzinie Techniki Wysokich Napięć.

W Hydro Québec'u zdawano sprawę z konieczności wykształcenia własnej kadry do dalszego rozwoju i eksploatacji sieci najwyższych napięć i podpisano umowę z École Polytechnique de Montréal o przyznaniu pracownikom naukowym IREQ'u statusu profesorów, jeśli zechcą jako dodatkowe zatrudnienie, podjąć się wieczorowych wykładów ze swojej specjalności oraz prowadzenia prac magisterskich i doktorskich. Wynagrodzenie za te dodatkowe zajęcia nie było znaczące, ale status profesora otwierał drogę do ubiegania się o stypendium z federalnej National Research Council. Takie stypendium umożliwiało zagraniczne

wyjazdy na spotkania grup roboczych IEEE i CIGRE, zakup komputerów i opłacanie studentów bądź pokrywanie ich wydatków na książki i wydatki związane z przygotowaniem rozprawy akademickiej. Ponadto studentom przygotowującym swoje dyplomowe prace umożliwiono korzystanie z laboratoriów IREQ'u.

Początkowo moja praca polegała na uruchomieniu laboratorium, szkoleniu techników obsługujących generatory, transformatory probiercze i przyrządy pomiarowe, co nie było banalnym przedsięwzięciem, bo większość tych urządzeń stanowiły prototypy zakupione w różnych specjalistycznych firmach w Szwajcarii, ABB w Szwecji, Messwandlerbau w Niemczech, Trench Electric w Toronto. W ten sposób nawiązałem kontakt ze specjalistami, którzy brali udział w uruchamianiu tych urządzeń. Te bezpośrednie kontakty przekształciły się z czasem we współpracę z firmami produkującymi wysokonapięciową aparaturę probierczą i pomiarową.

Pierwszym zadaniem laboratorium Wysokich Napięć były próby wytrzymałości dielektrycznej prototypowych odłączników, odgromników, przekładników na napięcie 1500 kV.



Ulot na wyłączniku podczas próby w Hali Wysokich Napięć IREQ'u

Rozmiary hali probierczej wynikały z wymiarów takiego odłącznika i niezbędnego odstepu od ścian i sufitu, aby uniknąć przypadkowych przeskoków do uziemionej struktury hali. Iskry o długości ponad 20 m robiły ogromne wrażenie na pracownikach, a jeszcze większe na

odwiedzających laboratorium osobistościach. W tamtym czasie IREQ był uważany za najbardziej zaawansowany naukowo i technicznie ośrodek badawczy nie tylko w Québec'u, ale w Ameryce, więc wiele osób zajmujących odpowiedzialne stanowiska w energetyce i w przemyśle na całym świecie zwiedzało laboratoria IREQ'u, a hala Wysokich Napięć była najbardziej ciekawym obiektem.

Dyrektor Instytutu pan Lionel Boulet był dumny ze swojego personelu i często dawał nam odczuć swoje uznanie przy okazji szczególnie trudnych prób, nagradzanych publikacji, patentów, wyróżnień za działalność w stowarzyszeniach naukowych i pełnienia w nich poczesnych funkcji. Wiązało się to z ambicjami władz, które rozważały uzyskanie samodzielnej państwowości Québec'u, zarządzały referendum o oddzieleniu się od Kanadyjskiej Federacji i usiłowały podkreślić odrębność etniczną tej mówiącej po francusku Prowincji od innych posługujących się językiem angielskim. Mnie i moim kolegom, którzy przyjechali z różnych krajów do pracy w IREQ'u te aspiracje niepodległościowe wydawały się nieuzasadnione, bo w całej Kanadzie obowiązują dwa oficjalne języki, Kościół Katolicki jest tu dominujący, prawo w Québec'u jest wzorowane na kodeksie Napoleona, i w wielu przypadkach znacząco różna od angielskiego prawa precedensu obowiązującego w innych Prowincjach, a służba zdrowia i szkolnictwo są w gestii rządu Prowincji. Tak na prawdę to tylko jest wspólna waluta, poczta, wojsko, sprawy zagraniczne i główne szosy. W naszym odczuciu Québec cieszy się autonomią i trudno mówić o jakimkolwiek ucisku przez rząd federalny, w którym zasiadają reprezentanci Québec'u. Jednakże odczucia rdzennych mieszkańców tej niegdyś francuskiej kolonii wynikają z zaszłości historycznych i trudno jest dyskutować na tak drażliwy temat. Pamiętam jak w szczerzej rozmowie z moim doktorantem usłyszałem, że Polska także chciałaby wyzwolić się z sowieckiej sfery wpływów potwierdzonej traktatami w Jałcie i Poczdamie. Nie byłem w stanie wytłumaczyć mu różnicy między tymi tak bardzo różnymi stopniami zależności.

Na spotkaniu z kadrą w sprawie przyszłości Instytutu dyrektor podkreślił, że naszym zadaniem jest rozpowszechnienie wiedzy o tak ważnym dokonaniu Québec'u, jakim jest utworzenie najbardziej zaawansowanego na świecie ośrodka badawczego w dziedzinie energii elektrycznej. Na jego zapytanie, jakie widzimy sposoby rozpowszechnienia renomy naszego Instytutu, koledzy proponowali publikacje w prestiżowych pismach naukowych, udział w międzynarodowych kongresach jednak nie spotkało się to z uznaniem, bo takie działania dyrekcja już popiera aktywnie, a krąg odbiorców tej informacji jest ograniczony do stosunkowo nielicznego grona specjalistów. W tym momencie miałem rzadki przeblysk intelektu i wspomniałem o „roku sabatycznym”, czyli płatnym urlopie

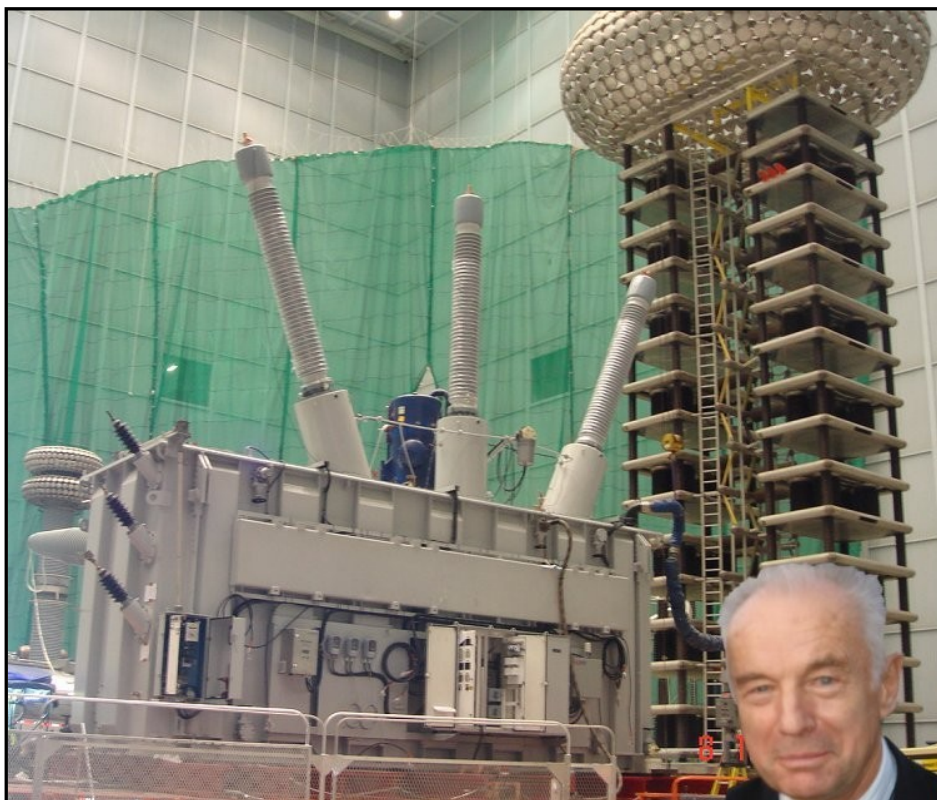
udzielanym profesorom szanujących się uniwersytetów na odbycie raz na siedem lat rocznego stażu w wiodącym w ich dziedzinie zagranicznym ośrodku naukowym. W ten sposób stażysta uaktualnia swoją wiedzę i po powrocie opowiada wszem wobec o tym ośrodku badawczym. Jego opinia jest niezależna, ponieważ nie pozostaje on w stosunku służbowym do dyrekcji odwiedzanego ośrodka i można powiedzieć, że staje się jego honorowym ambasadorem. Ta sugestia wydała się dyrektorowi rozsądna, ale zapytał mnie skąd wziąć takich stażystów, na co niezwłocznie przyrzekłem pomoc w rekrutowaniu kandydatów. Mając silne poparcie dyrektora spowodowałem oficjalną korespondencję pomiędzy IREQ'iem a Instytutem Energetyki i Instytutem Elektrotechniki w Warszawie. Po dość długim okresie podpisywania umów o współpracy i wzajemnej wymianie naukowców do IREQ'u zawitał mój przyjaciel Jurek Dąbrowski kierownik budowanego wówczas laboratorium Wysokich Napięć IEn na Morach. Po nim kolejno przyjechali dr inż. Jacek Goliński, dr inż. Andrzej Dzierżyński i dr inż. Bohdan Koch z IEl'u oraz dr inż. Kazimierz Ilkowski i prof. dr inż. Romuald Koszałuk z IEn. Jako ostatni przyjechał na krótki pobyt prof. dr Jan Maksymiuk z Instytutu Wielkich Mocy Politechniki Warszawskiej.

Dyrekcja była zadowolona z zapraszanych przez mnie stażystów, bo wielu z nich znało język francuski, otrzymywali atrakcyjne (jak na polskie warunki) uposażenie, które starali się zaoszczędzić a nie wydawać na różne dostępne w Montrealu uciechy, a co najważniejsze mieli możliwość pracy naukowej w nowoczesnym, dobrze wyposażonym laboratorium, której poświęcali cały czas nie licząc spędzonych w laboratorium godzin. Brali udział we wspólnych publikacjach w prestiżowym *IEEE Transactions* i współpracowali w realizacji ważnych projektów.

Jako przykład mogę opisać badanie wytrzymałości dielektrycznej linii przesyłowej 735 kV na łączeniowe przepięcia międzyfazowe. Zamknięcie trójfazowego wyłącznika powoduje przepięcie łączeniowe w każdej z trzech faz, jednakże moment załączenia w poszczególnych fazach jest różny na skutek rozrzuca działania pneumatycznego napędu biegunów wyłącznika. Załączenie napięcia w pierwszej z faz powoduje przepięcie, którego fala biegnie wzdłuż linii po przewodzie załączonej fazy i wywołuje ulot, to jest obszar silnie zjonizowanego powietrza w postaci walca wokół tego przewodu. Rozpraszanie jonów wpływa na zwiększanie się średnicy tego walca i zmniejszanie gęstości jonów na jego powierzchni. Załączenie napięcia w drugiej z kolei fazie następuje po kilku milisekundowej zwłoce i może spowodować przepięcie o przeciwnej biegunowości. Podobnie jak w pierwszej załączonej fazie występuje ulot i powstaje wokół przewodu walcowy obszar zjonizowanego powietrza. Zmniejsza się efektywny odstęp między powierzchnią chmury jonów na tych dwóch przewodach a zarazem napięcie przeskoku między fazami. Ze

względu na przypadkowe opóźnienie załączenia drugiej fazy takie zmniejszenie wytrzymałości izolacji międzyfazowej ma charakter stochastyczny i trzeba wykonać znaczną ilość pomiarów, aby wyznaczyć statystycznie znaczące najniższe wytrzymywane napięcie. Pomiarów wykonano w hali probierczej na modelu jednego przęsła sieci 735 kV w skali 1: 1, doprowadzając dodatni udar łączeniowy 1,4 MV z jednego generatora a ujemny z drugiego generatora z kontrolowanym opóźnieniem. Oprócz napięcia na obydwóch przewodach badanego przęsła linii rejestrowano pole elektryczne przy powierzchni przewodu, prąd wyładowania w powietrzu oraz wykonywano zdjęcie kanału wyładowania kamerą o wysokiej szybkości rejestracji.

W tym dosyć złożonym eksperymencie prof. dr Romuald Kosztaluk z IEn'u zaprojektował procedurę badawczą i opracował wyniki rejestracji. Mój udział polegał na opracowaniu czujników pomiarowych oraz zbudowaniu klatki Faradaya umieszczonej na wysokim potencjale przewodu fazowego i zawierającej oscylografię zasilane z akumulatorów oraz bardzo ograniczone miejsce dla obsługującego technika. Wyniki tej pracy zostały opublikowane w *IEEE Transactions*, a praktyczne wnioski zastosowane w sieci 735 kV Hydro-Québec'u.



Transformator przed próbą udarową w Hali Wysokich Napięć IREQ

W tym czasie Kanada, jako pierwszy kraj zachodni nawiązała stosunki dyplomatyczne z komunistycznymi Chinami. W ślad za wymianą ambasadorów podpisano umowy o współpracy naukowej. Strona Chińska zażądała przyjęcia na staż inżynierów i po negocjacjach do IREQ'u przyjechało kilkanaście osób, które po raz pierwszy w życiu były za granicami Chin. Wszyscy ci inżynierowie przeszli krótki kurs języka angielskiego. Mnie przydzielono 3 osoby. Zorientowałem się, że są to wysoko postawione osobistości w chińskich ośrodkach naukowych CEPRI w Beijing, XIARI w Xian i HV Central Laboratory w Wuhan. Trzeba przyznać, że szybko uczyli się angielskiego i byli zafascynowani próbami wysokonapięciowymi. a w szczególności badaniami wielkich transformatorów.

Po zakończeniu stażu inżynierowie ci wrócili do Chin i zgodnie z umową zostaliśmy wysłani z serią wykładów do CEPRI w Beijing. Byliśmy tam jednymi z pierwszych ludzi z krajów zachodnich, którzy oglądali Chiny odcięte od zewnętrznego świata przez co najmniej dwa pokolenia i dotknięte *rewolucją kulturalną*, która niszczyła ośrodki akademickie, dobra kulturalne gromadzone przez tysiąclecia, a przede wszystkim intelektualistów zsyłanych do przymusowej pracy w rolniczych komunach.

Pomimo ogromnych trudności z infrastrukturą władze przedsięwzięły niesłychany rozwój elektryfikacji kraju i zapewniły środki na prace projektowe i badawcze. Seria wykładów prowadzonych w Beijing przez moich kolegów i przez mnie wzbudziła zainteresowanie. Na zajęcia przyjeżdżali inżynierowie z odległych prowincji, bo wiele przedsiębiorstw, instytutów naukowych i uczelni zostało przeniesione z wielkich nadmorskich miast Szanghaju, Kantonu do Xianu przy granicy z Mongolią na polecenie Mao Tse-tunga, który obawiał się inwazji desantu amerykańskiej armii w portowych i nadmorskich miastach. Po służbowej delegacji do Chin, zostałem zaproszony na prywatny wyjazd do Beijing, Xian i Wuhan na dość niezwykłych warunkach. Wynagrodzenie za pracę było symboliczne, ale zaproszono na zwiedzanie turystycznych Chin moją żonę i 12 letnią córkę, które za mnie podjęły decyzję i wykorzystując urlop wybraliśmy się w kilkutygodniową podróż. Towarzyszył nam przewodnik, bo jeszcze nie uczono w Chinach angielskiego i nie było szans na porozumienie się z miejscowymi ludźmi. Opis podróży do cesarskiego "Zakazanego Miasta", Chińskiego Muru, podziemnych grobów cesarzy, Armii z Terrakoty, muzeum wioski z przed 5000 lat i wystawy stali w Xian, Politechniki w Wuchan oraz wycieczki statkiem przez malowniczy przełom rzeki Gui lin, wykracza poza ramy tego opracowania. W laboratoriach przemysłowych i instytutach badawczych widziałem wiele instalacji i osprzętu produkcji ZSSR, które w większości wypadków nie

zostały uruchomione przez rosyjskich inżynierów, których w nagłym trybie odwołano na skutek zaognienia stosunków politycznych między władzami ZSSR i ChRL pod koniec lat 1950. Ogromnym nakładem pracy, metodą prób i błędów, większość rosyjskich aparatów i sprzętu probierczego została uruchomiona, ale niedostosowana do nowo zakupionych amerykańskich i japońskich przyrządów. W tej sprawie jeździłem kilkakrotnie do Chin po 1990 roku, już jako niezależny konsultant.

Stopniowe zmniejszanie ilości prac badawczych zleczanych przez Hydro-Québec wypełniały zlecenia od zagranicznych instytucji. Pierwszym z nich było zapotrzebowanie na usługi konsultacyjne dla nowo utworzonego instytutu do badań nad energią elektryczną (*Instituto de Investigaciones de la Industria Electrica IIE*) w Meksyku. Rząd zdecydował, że taki instytut energetyki jest niezbędny dla dalszego rozwoju elektryfikacji i zobowiązał *Comision Federal del Eletricidad CFE* do stworzenia odpowiedniej struktury i obsady personalnej nowego instytutu. Po dłuższych sporach kompetencyjnych stwierdzono, że nikt w Meksyku nie chce się podjąć samodzielnie takiego zadania i należy znaleźć zagranicznych doradców. IREQ wydał się najlepszym kandydatem, bo zadawniona niechęć Meksykanów do obywateli Stanów Zjednoczonych eliminowała ich z tej konkurencji, a do Kanadyjczyków nie miano żadnych uraz. Nowy Instytut IIE miał już mianowanego dyrektora i radę naukową.

Miasto Meksyk leży w rozległej dolinie na wysokości około 2600 m otoczonej wysokimi górami. Siedziba Instytutu mieściła się po zewnętrznej stronie tych gór w pięknie położonej dolinie Quernavaca, która była słynna z panującego tam klimatu "wiecznej wiosny". Na zboczu jednej z gór, na wysokości 3000 m *Electricité de France* zbudowało stację Salazar do badań nad ulotem z przewodów linii 400 kV przy niskiej gęstości powietrza występującej na tej wysokości. Budynek stacji po zakończeniu projektu przeszedł na własność Instytutu, ale nie był użytkowany, ponieważ Meksykanie nie chcieli pracować w „miejscu wiecznej zimy”, gdzie temperatura nie przekracza 18°C. Moje zadanie polegało na wygłoszeniu serii wykładów oraz na zbudowaniu tam małego laboratorium wysokich napięć o dziesięciu stanowiskach do odrabiania ćwiczeń z prób i pomiarów przez młodych pracowników Instytutu. Mając asystenckie doświadczenie zdobyte w Katedrze profesora Jakubowskiego wiedziałem, co trzeba robić. Unowocześniłem nieco koncepcję laboratorium Politechniki Warszawskiej dodając stanowiska do badania przyrządów cyfrowych i z pomocą mojego technika Jean'a ściągniętego z IREQ'u, szkoliliśmy młodych i sympatycznych meksykańskich inżynierów.

Pewnego dnia pojawił się dyrektor administracyjny w otoczeniu delegacji UNESCO, która miała ocenić sposób wydawania środków z grantu. Nikt z tej licznej międzynarodowej delegacji nie był inżynierem,

a widok 30 kursantów odrabiających ćwiczenia pod okiem pracowników IREQ zrobił jak najlepsze wrażenie. Dyrektor był doświadczonym człowiekiem i wiedział, że delegacja urzędników UNESCO przyjechała do Meksyku głównie w celach turystycznych i na wieczór zaprosił uczestników oraz mnie i mojego technika do pięknej restauracji *Las Manianitas (wczesne poranki)*, w pobliżu Quernavaca. Częstym gościem bywał tam zdetronizowany szach Iranu, na emigracji w Meksyku. Restauracja jest położona na szczycie pagórka ze sztucznym jeziorkiem i wysepką, na której grała orkiestra w wielkich *sombrero* i czarnych strojach ze złocistą lamą *charros*. Na zewnątrz budynku były ustawione stoliki, a pomiędzy nimi stalowe kosze z żarzącym się koksem, aby goście, a zwłaszcza damy w wydekoltowanych sukniach nie czuły chłodu przy 20°C. Księżyc w pełni, rozgwieżdżone niebo i znakomite dania zapewniły korzystny raport z przebiegu inspekcji i otworzyły drogę do dalszych grantów UNESCO.

Zasadniczym problemem odwiedzających Meksyk Amerykanów i Europejczyków jest miejscowa woda zawierająca substancje bądź bakterie powodujące gwałtowną i długotrwałą biegunkę, często połączoną z bólami głowy i wysoką gorączką. Poinstruowany przez lekarza stroniłem od niegotowanych dań, owoców i chłodzących napoi z lodem. Pokusa była silna, bo za bezcen były tam dostępne różne pyszności. Mój technik, a z czasem przyjaciel, dał się skusić, no i nie nadawał się do pracy z uczestnikami kursu, która w całości spadła na mnie. Poskarżyłem się na mój los sekretarce Lolicie, która nazbierała jakichś ziół i napoiła go naparem z tych ziół. Po kilku godzinach Jean ożył i wziął się do pracy, a ja dziękowałem Lolicie i pytałem jak mógłbym się jej odwdzińczyć. Nieco się krygując powiedziała, że marzy o odwiedzeniu restauracji *Las Manianitas*, o której wiele słyszała.. Niezwłocznie zarezerwowałem tam stolik i zaprosiłem Lolitę na kolację. W restauracji pojawiła się w niezwyklej, olśniewającej kreacji, bardzo różniącej się od codziennego ubrania.

Kolejne zlecenie nadeszło od firmy EDELCA (*Electricidad del Caroni*) w Caracas, Wenezuela. Rzeka Caroni ma ogromny, częściowo tylko wykorzystany potencjał energetyczny, pozwalający na budowę szeregu elektrowni wodnych, a przy jej ujściu leży góra bogata w boksyt, z którego wytapia się aluminium, a z drugiej strony są wielkie złoża rudy żelaza. Niedawno EDELCA zbudowała kolejną zaporę *Guri Dam* i elektrownię wodną wyposażoną w dwanaście transformatorów blokowych, z których połowa pochodzi z Japonii a pozostałe z ABB w Szwecji. Od tej elektrowni zbudowano linię przesyłową 765 kV do zasilania wież wiertniczych pompujących ropę naftową, postawionych na wielkim, płytkim jeziorze *Macaraibo* w północno-zachodniej części kraju. Pod dnem jeziora są ogromne zasoby ropy naftowej eksploatowane przez zagraniczne koncerny. Wkrótce po uruchomieniu elektrowni *Guri Dam* sześć

transformatorów blokowych produkcji ABB uległo awarii, w krótkich odstępach czasu. Po niełatwych negocjacjach z ABB uszkodzone transformatory zostały wysłane z powrotem do fabryki w Ludvika w Szwecji, aby podczas rozbiórki wyjaśnić przyczynę tej kosztownej awarii i ustalić, kto będzie ponosił te niebagatelne koszty. EDELCA nie miała własnych specjalistów, którzy mogliby reprezentować jej interesy podczas rozbiórki i ewentualnej naprawy tych transformatorów i zwróciła się do General Electric w Pittsfield, Massachusetts oraz Hydro Québec'u o wydelegowanie ekspertów działających w imieniu wenezuelskiej energetyki. Razem z panem Bill Mc Nutt, byłym dyrektorem technicznym fabryki transformatorów w Pittsfield, poleciliśmy do Ludvika i towarzyszyli nam inżynierowie EDELCA. Znani mi z kontaktów z fabryką transformatorów ABB w Montrealu, szwedzcy inżynierowie witali nas z uśmiechem mówiąc "Wenezuelczycy nadchodzą", ale pomimo przyjaznych z nimi stosunków musieliśmy wraz z Bill'em stwierdzić, że transformatory nie zostały obliczone na temperaturę otoczenia w leżącej niedaleko równika Guri Dam i izolacja wewnętrzna uległa zwęgleniu na skutek przegrzania. Był to ewidentny błąd konstrukcyjny, więc ABB musiało ponieść koszty awarii. Dwutygodniowy pobyt w Ludvika, oprócz całodziennych prac w fabryce, pozwolił na zwiedzanie okolic, gdzie od późnego średniowiecza kopano i wypalano rudę żelaza, produkowano stalowe narzędzia i liny. Tam w końcu dziewiętnastego wieku powstawał przemysł budowy maszyn oraz pierwsze transformatory i generatory. Zwiedzaliśmy skansen zawierający urządzenia do napędu wyciągów górniczych z kołem wodnym takim jak w dawnych młynach wodnych, pierwsze prototypowe maszyny do wyrobu stalowych i miedzianych drutów, a także domy mieszkalne i ówczesne, trudne warunki życia ludzi zamieszkujących tę leżącą 300 km na północ od Sztokholmu nieurodzajną, ale bogatą w rudy żelaza krainę.

Dalszy ciąg tego zlecenia obejmował pobyt w Caracas, stolicy Wenezueli, gdzie EDELCA postanowiła zbudować zakład remontowy wielkich transformatorów i aparatów, wyposażony w laboratorium wysokich napięć do prób poremontowych. Projektowanie takiego zakładu remontowego i szkolenie personelu zajęło szereg tygodni, co pozwoliło na poznanie miejscowych warunków życia i postaw ludzi pracujących w firmie EDELCA. Młodzi inżynierowie, wysłania na studia do Stanów lub Kanady wracali do firmy, gdzie kierownictwo i wielu ludzi starszej generacji nie miało wykształcenia technicznego, ale miało wyższe uposażenie i stanowiska. Sfrustrowani młodzi inżynierowie szukali pracy w Stanach. Z drugiej strony dyrekcja firmy narzekała na amerykański *brain drain* – wyciąganie najbardziej wartościowych ludzi pokusą wyższych zarobków i lepszych warunków życia. Problem ten, nieobcy współczesnym Polakom,

nie znalazł jak dotąd rozwiązania, jeśli pominąć takie metody jak mur dzielący NRD od Zachodnich Niemiec, bądź biuro paszportów i skuteczne służby graniczne w krajach RWPG.

Bardzo ciekawe było święto narodowe Wenezueli ze wspaniałą paradą wojskową na czele z oficerami w mundurach kapiących od złota. Dostojnicy odbierający tę paradę wygłaszali płomienne przemówienia patriotyczne, podkreślając tradycję walk wyzwoleniczych od hiszpańskiej administracji kolonialnej prowadzonych pod wodzą Boliwara, bohatera narodowego państw Ameryki Południowej. Zaskakujący był komentarz moich wenezuelskich kolegów, że nobliwie wyglądający na trybunie honorowej prezydent kraju bywa wzywany "na dywanik" do konsulatu Stanów Zjednoczonych i musi wysłuchać reprimendy z ust niższej rangi urzędnika, jeśli firmy wydobywające ropę z jeziora Maracaibo, albo wytapiające aluminium z wenezuelskiego boksytu mają zastrzeżenia do pociągnięć miejscowej administracji.

Działalność w komitetach naukowych

W amerykańskim stowarzyszeniu inżynierów elektryków (*IEEE Institute of Electrical and Electronic Engineers*) działałem przez dwadzieścia lat w Komitecie „Pomiary i Przyrządy pomiarowe w Sieciach Energetycznych”. Najpierw pełniłem funkcję szefa podkomitetu „Techniki cyfrowe w zastosowaniu do Wysokich Napięć” i kolejno dwuletnie kadencje: sekretarza, wice przewodniczącego i na koniec dwukrotnie przewodniczącego Komitetu.

W IEEE istnieje hierarchia członków począwszy od *student member*, przez *member*, *senior member* do najwyższego statusu *fellow*. Nominacja na wyższy status jest oparta na takich kryteriach jak dorobek naukowy, osiągnięcia zawodowe, uznanie w środowisku, utworzenie ośrodka naukowego czy szkoły akademickiej. Kwalifikacja na najwyższy status *fellow*, oprócz solidnie udokumentowanego dorobku musi być poparta, przez co najmniej pięciu *IEEE Fellows*.

Mechanizm zdobywania uznania w środowisku polega na ocenie przez osoby, które uzyskały ten status. Taki system oceny wymusza życzliwy stosunek między ludźmi działającymi w kręgu swojej specjalizacji, gdyż każdy wie, że będzie podlegał ocenie przez swoich kolegów, rozsianych po świecie, ale bliskich w kategoriach działalności naukowej. Kontrastuje to z sytuacją w polskich uczelniach i instytutach badawczych, gdzie pracownik naukowy podejmujący temat, który jest także prowadzony w innym ośrodku jest postrzegany jako zagrożenie, ponieważ może konkurować o środki z grantów i kwestionować status wiodącego w kraju ośrodka.

Równolegle z amerykańskim stowarzyszeniem IEEE brałem aktywny udział w Grupie Roboczej Technika Prób i Pomiarów

Wysokonapięciowych (*High Voltage Test and Measuring Techniques*), należącej do Komitetu Koordynacji Izolacji będącej członkiem Międzynarodowej Rady Wielkich Sieci Elektrycznych (*Conseil International des Grands Réseaux Electriques CIGRE*). CIGRE zostało utworzone w 1921 roku z udziałem Polaka i stanowi najbardziej autorytatywne gremium specjalistów w dziedzinie wytwarzania i przesyłu energii elektrycznej. Po raz pierwszy brałem udział w tej grupie roboczej w 1978 roku. Miałem wtedy okazję nawiązania nieformalnych kontaktów ze słynnymi postaciami wysokonapięciowego świata.



Spotkanie CIGRE SC 33 "Koordynacja Izolacji" i trzech grup roboczych w Yokohama.

Praca w największym na świecie laboratorium Wysokich Napięć umożliwiła mi udział w pracach Grupy Roboczej, a później objęcia kierownictwa tej znakomitej grupy naukowców z całego świata, na kolejnym spotkaniu w 1989 roku. Wyniki takich wspólnych prac są przedstawiane na sesji plenarnej CIGRE organizowanej co dwa lata w Paryżu i są zazwyczaj publikowane w formie broszury tematycznej. Doroczne spotkania tej Grupy Roboczej były kolejno organizowane przez członków, którzy zapewniali salę obrad a także zwiedzanie laboratoriów, fabryki aparatów bądź stacji wysokiego napięcia w swoim kraju. Dzięki temu miałem okazję poznania obiektów normalnie nie udostępnianych cudzoziemcom.

Jedno z bardziej ceremonialnych spotkań odbyło się w Yokohamie, gdzie trzy Grupy Robocze były podejmowane przez Japoński Komitet Narodowy CIGRE na tradycyjnym przyjęciu. Trzej przewodniczący tych grup zostali ubrani w pelerynki, a następnie drewnianym młotem odbijali beczkę sake i napełniali drewniane czworokątne kubki członków swojej grupy tym znakomitym trunkiem.

Na własnym garnuszku

Po dwudziestoletniej pracy w Laboratorium Wysokich Napięć IREQ'u zdecydowałem się na "wcześniejszą emeryturę" i założyłem własną firmę konsultacyjną świadczącą usługi:

- **dla ośrodków badawczych** – IREQ, Uniwersytet Stanu Ohio, IIE-Mexico, CEPEL-Brazylia, KERI-Płd. Korea, XHARI-Xian i CEPRI-Beijing Chiny, Instytut Energetyki, Ministerstwo Ochrony Środowiska, Politechnika Poznańska;
- **dla energetyki** – Hydro-Québec, Labrador-New Fundland Power, Electricité de France, EDELCA-Venezuela, Polskie Sieci Elektroenergetyczne-Operator, Energoprojekt-EPC, Instytut Energetyki Laboratorium Wysokich Napięć;
- **dla przemysłu** – Maschinenfabrik Reinhausen, ABB-Varennnes, Haefely-Trench-Tettex, Syprotec-Montréal, Weidmann-St.Johnsbury i Rapperswil, IEM-Mexico, Hyosung Transformer Plant–S. Korea, South-West Electric Oklahoma, Turbocare-Lubliniec, ABB-Łódź, ZWAR-Przasnysz, Energo Complex-Piekary Śląskie, Bydgoska Fabryka Kabli, TELAB-Warszawa.

Praca konsultanta przypomina nieco magika cyrkowego, który na zawołanie wyciąga królika z cylindra. Dostając nowy problem do rozwiązania w Instytucie zawsze był czas na zajrzenie do biblioteki, porady ze strony kolegów specjalistów w różnych dziedzinach. Natomiast przylatując do Meksyku, Brazylii, Chin czy Korei trzeba szybko ogarnąć dziedzinę i znaleźć powód awarii, albo zaproponować rozbudowę sieci czy zastosowanie innych metod działania i nowego osprzętu. Na ogół nie ma czasu na zaznajamianie się z literaturą bądź uzyskanie porad od specjalistów, lecz trzeba się posiłkować własną wiedzą, zgromadzoną przez lata. Od konsultanta nie oczekuje się rozległych badań i studiów, ale szybkiego i skutecznego rozwiązania problemu na miejscu. Początkowo takie przedstawienie się z instytutowego trybu pracy na konsultanckie działania nastęrczało problemy. Jednakże, po około roku firma Malewski Electric Inc. okrzepla i nie narzekałem na brak kontraktów. Wymagało to częstego przemieszczania się po świecie, ale mogłem zwiedzać egzotyczne kraje nie z pozycji turysty mieszkającego w hotelu Hilton i oprowadzanego przez przewodnika po miejscowych osobliwościach, ale z punktu widzenia

człowieka pracującego w biurze energetyki, w fabryce transformatorów, w dziale rozwoju wielkiego przedsiębiorstwa. To zupełnie inna perspektywa i inny obraz kraju niż przedstawiany w przewodnikach biur podróży.

Sporo czasu spędzałem w Polsce, wykonując różne ekspertyzy i opracowania, ale również miałem zajęcia na kursie magisterskim na Politechnice Poznańskiej i pomogłem kierownictwu Katedry Wysokich Napięć w staraniach o europejski grant, który w roku 1992 był pierwszym w tej uczelni źródłem funduszy na zakup nowoczesnego sprzętu, a także w kontaktach z Politechniką w Stuttgarcie i Goteborgu.

Tytuł Profesora został mi nadany w 1996 roku przez Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Działając w Instytucie Elektrotechniki prowadziłem pracę doktorską inżyniera z fabryki przekładników w Przasnyszu, kilkakrotnie wygłaszałem wykłady dla studentów kursu magisterskiego w Instytucie Wielkich Mocy i Wysokich Napięć Politechniki Warszawskiej.

Pracowałem również w Instytucie Fizyki Plazmy Instytut Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy w Warszawie przy badaniach odporności na uderzenie pioruna w przewody odgromowe linii wysokiego napięcia z wbudowanymi światłowodami, a także przy modernizacji generatora impulsów mega-amperowych stosowanych do badań plazmy.

Na koniec tych wspomnień podaję kilka przykładów mojego zaangażowania w sprawy energetyki w Polsce. Brałem udział w projektowaniu i uruchomieniu Laboratorium Wysokich Napięć do prób kabli o napięciu znamionowym 400 kV w Bydgoskiej Fabryce Kabli; opracowaniu i wykonaniu osprzętu kablowego 220 kV i 400 kV dla tej fabryki przez firmę Energo-Complex z Piekar Śląskich; wprowadzeniu metody analizy odpowiedzi częstotliwościowej do diagnostyki transformatorów w eksploatacji; opracowaniu systemu oceny stanu technicznego transformatorów średniej mocy; wymianie pod-obciążeniowego przełącznika zaczepów w wielkim transformatorze sieciowym na stacji Gdańsk-Błonie. Na zamówienie Ministerstwa Ochrony Środowiska opracowałem raport dotyczący oceny stopnia oddziaływania linii wysokiego napięcia prądu stałego na organizm ludzki w pobliżu takiej linii, a dla Polskich Sieci Elektroenergetycznych Operator SA – projekt przesuwników fazy na stacjach granicznych z Niemcami. Współpracując z firmą Weidmann – szwajcarskim producentem izolacji transformatorów wysokiego napięcia – przyczyniłem się do wprowadzenia nowych rozwiązań konstrukcyjnych transformatorów produkowanych przez Energo-Serwis w Lublińcu, a współpraca z Maschinenfabrik Reinhausen, znaną wytwórnią pod-obciążeniowych przełączników zaczepów, zaowocowała zastosowaniem tych przełączników do współpracy z transformatorami w Polsce.



**„Zabawowa” młodość
i poważna dojrzałość elektryka.**

Zamiast męskości figa z makiem

Męskość ... każdy z nas w tamtych studenckich czasach o tym intensywnie myślał. Oczywiście nie cały czas, bo trzeba było również od czasu do czasu przygotować się na ćwiczenia z Bolkowskim czy na egzamin z Mejro, ale ponieważ większość z nas miała po te osiemnaście czy dziewiętnaście lat i zaczynała właśnie wówczas damsko – męskie życie to interesowało nas na czym ta męskość polega i jak ją najlepiej osiągnąć. Większość z nas była pod tym względem całkiem zielona, bo ani nie uczono nas tego w szkole, ani nasi ojcowie nie wiedzieli jak to ogłędnie nam powiedzieć i oczywiście nie było jeszcze wszechbogatego Internetu, który teraz uczy tego wszystkiego już chłopaków w przedszkolu.

Jako że żyliśmy również w bardzo wschodniej i słowiańskiej Europie to w pierwszym rzędzie wiedzieliśmy, że trzeba pić. Nie tylko dla śmiechu śpiewaliśmy więc: „pij, pij ,pij bracie pij, będzie ci stojał jak kij...” i często na tym kończyła się nasza a edukacja. Rzadko mogliśmy uczyć się czegoś nowego, więc opowiem Wam o moim w tej dziedzinie doświadczeniu związanym również z naszym studenckim życiem. Nie wiem czy pamiętacie, że po trzecim chyba roku zorganizowaliśmy to, co nazywało się wówczas dumnie „wymiana kulturalna”. W naszym przypadku była ona między nami a wydziałem elektrycznym z Politechniki w Zagrzebiu w ówczesnej Jugosławii. Na początku przyjechała do nas grupa opalonych chłopaków i dziewczyn znad Adriatyku, a potem gdzieś jesienią pojechaliśmy tam my. Nie pamiętam ilu nas tam pojechało i kto wówczas z nas tam był – pamiętam tylko Tadzia Orłowskiego z butlami do nurkowania i nieznanymi nam wówczas jeszcze ośmiornicami upolowanymi przez niego. Pamiętam słoneczne, beztrudne dni w Splicie, Dubrowniku czy Rijece i oczywiście moje osobiste doświadczenie, którego nie zapomnę do końca życia i które w zaskakujący sposób przydało mi się później przez lata w mojej

zawodowej pracy na całym świecie. A zaczęło się jak zwykle od dziewczyny. Na nasz przyjazd nasi jugosłowiańscy rówieśnicy zorganizowali pierwszego wieczoru powitalny bal. Był bardzo fajny nastrój, miła muzyka i tańce i jeszcze do tego piękne czarnookie i czarnowłose elektryczne dziewczyny. Natomiast nie pamiętam, dlaczego nie przywieźliśmy ze sobą tej tradycyjnej polskiej flaszki tak niezbędnej w tamtych czasach dla podtrzymania męskości. A ja tego wieczoru byłem właśnie w zaciętym współzawodnictwie ze Zładko o fawory czarnookiej Mileny. I w ferworze nastroju, jak głupi młodziak, niepewny o swoją męskość zwróciłem się do Zładko, w wydawało mi się całkiem obojętny sposób, z zapytaniem jak to Jugosłowianie podnoszą sobie tę wrażliwą męskość. I pamiętam jak on, piękny aktor, bez zmruczenia oka, bardzo konfidencjonalnym tonem powiedział mi na ucho, że najlepiej jest zjeść trzy dobrze dojrzałe figi. Pobiegnę więc dyskretnie, ale szybciej do bogato zastawionego stołu. Przed paterą z owocami pomyślałem sobie, że jak oni jedzą trzy, to ja zjem pięć takich większych, by być pewnym efektu i nie przynieść wstydu mojej ojczyźnie i jak zwykle zostawić dobre wspomnienie o jurności Polaków. Ale niestety, resztę wieczoru i pół nocy spędziłem wściekły w toalecie przeczyszczony na wylot zdradliwymi figowymi pesteczkami malutkimi jak mak. Byłem zupełnie bezsilny i tylko od czasu do czasu przez zażawione oczy widziałem jak Zładko i Milena tulili się do siebie w tańcu.

Tego wieczora nauczyłem się dobrze dwóch rzeczy: że nie trzeba być za chytrym, a po drugie, by nigdy nie wierzyć nawet najbardziej uczynnym konkurentom.

Egzamin na kacu

Powiecie, że to nic wyjątkowego, bo w odróżnieniu od dni dzisiejszych, wielu z nas wówczas piło zdrowo i nie zawsze w ferworze zabawy mogliśmy opamiętać się, by nie dopić jeszcze tego jednego, ostatniego, który powodował kaca, mimo, że rano mieliśmy egzamin. Ja przypomniałem sobie teraz śmieszne zdarzenie na ten temat, które miało miejsce już zupełnie pod koniec moich magisterskich studiów na aparaturze u Prof. Kryńskiego. Zaczęło się od tego, że któregoś dnia dostałem pismo z dziekanatu, że mam przedstawić im zaświadczenie o zdaniu egzaminu z angielskiego. Jako, że już wówczas myślałem o emigracji do Stanów i władałem tym językiem dosyć swobodnie, więc nie przywiązałem do tego większej wagi i nie pamiętałem dokładnie daty naznaczonej mi na ten egzamin przez angielski lektorat. I jak to często wówczas bywało, w którąś tam niedzielę, Tadzio Niepokulczycki, jako że jedyny w naszym gronie miał duży dom na Grochowie, więc zorganizował kolejną huczną „prywatkę” – tak to się wówczas mówiło. Jak

zwykle zaprosił naszą tradycyjną „pakę”: Jurka Wrzesińskiego, Tadka Orłowskiego, ale także innych znajomych z bliskiego mu grona. Jak zwykle bawiliśmy się pięknie i jak zwykle piliśmy zdrowo, i długo, a ja szczególnie serdecznie z Tadzia miłym sąsiadem Andrzejem i jego uroczą żoną Ewunią, która też nie wylewała za kołnierz. Już dobrze nad ranem Andrzej na dobrym rauszu nagle ocknął się i wymamrotał, że musi kończyć, bo o ósmej ma egzamin. To słowo egzamin jakoś też i do mnie dotarło, rzuciłem okiem na mój notatnik i zobaczyłem, że ja również mam o ósmej rano ten egzamin z angielskiego. Dopiliśmy więc tego ostatniego „w strzemionach”, właśnie tego co to powoduje kaca i ja pobiegłem szybko do domu. Jak było w tradycji wypiliśmy szklankę zsiadłego mleka, ogoliłem się, zmieniłem koszulę i pobiegłem na Polibudę by stawić się na egzamin. Punktualnie o ósmej otworzyłem drzwi do sali egzaminacyjnej i zaskoczony przecierałem długo oczy, gdy zobaczyłem, że przewodniczącym trzyosobowej komisji był mój towarzysz nocnej zabawy profesor Andrzej Czaja. Z głębokim wewnętrznym uśmiechem udaliśmy, że się nie znamy, zostawił swoim asystentom przyjemność pogadania ze mną długo o ostatnich wydarzeniach w pałacu Buckingham i po pół godzinie dobrze ubawiony wyszedłem trzymając pod pachą wymagane zaświadczenie. A z Andrzejkiem jesteśmy przyjaciółmi do dzisiaj.

Czterej muszkietierowie

Tak nas wielu znajomych nazywało. Choć tak naprawdę to z tymi prawdziwymi gwardzistami króla Ludwika XIII stworzonymi przez Aleksandra Dumas nie wiele nas łączyło. Większość średnio czytanych kolegów, mimo załazków sklerozy normalnej dla naszego wieku, pamięta, że sławni muszkietierowie byli w pierwszym rządzie wojskowymi zabijakami i ciągle się z kimś pojedynkowali. A przecież my czterej: Jurek, dwóch Tadziołów i ja, to poza koszarami i poligonem w Morągu, gdzie w ramach „przysposobienia wojskowego” byliśmy do tego zmuszeni przez kapitana Glizdę (!), to nigdyśmy do żadnej broni się nie dotykali. Fakt faktem, że tak jak d'Artagnan zostaliśmy wszyscy mianowani podporucznikami, ale to przecież o niczym nie świadczy, bo to nie było z naszej woli. Księdzem jezuitą też nikt z nas nie został, tak jak Aramis, nikt z nas również z wdową po prokuratorze się nie ożenił, tak jak Portos, więc nie bardzo wiemy dlaczego do nas ci muszkietierowie tak przyłgnęli. Może tylko dlatego, że oni zdrowo pili wino, choć tak naprawdę to z nas czterech też tylko ja tu na tułaczce we Francji nie miałem innego wyboru. Może jeszcze trochę Tadzio Orłowski, dopóki żył to mi dotrzymywał kroku, szczególnie, gdy był na stanowiskach radcy handlowego przez kilka lat w Egipcie i potem przez kilka lat w Libii, choć tam to musiał pić ukradkiem, albo tylko w nocy, bo mu przecież

miejskowa religia na to nie pozwalała. Jurek Wrześniński zwykle do picia się nie nadawał, bo mówił zawsze, że to przez te jego nerki, a Tadek Niepokulczycki to pił dużo, ale nigdy nie pił ani wody ani niczego słabego. A więc jak się dobrze zastanowić to widać, że jednak trzeba bardzo uważać, bo nie zawsze te etykiety nam przyklejane przez kogoś odpowiadają realiom.



Czterej muszkieterowie jako młodzieńcy – od lewej strony: Jurek Wrześniński, Tadek Orłowski, Tadek Niepokulczycki i autor oraz starsi panowie – od lewej: Tadek Niepokulczycki, Tadek Orłowski, Jurek Wrześniński i autor

Cudność niebiańska i elektryfikacja wsi

Nie było jeszcze wtedy podatków i skarbu państwa rządzącego krajem, więc wszyscy solidarnie budowali świetlaną przyszłość uczestnicząc czynnie i regularnie co roku, w różnego rodzaju „pracach społecznych”. W tamtym właśnie czasie mój ojciec jako prawnik pojechał ze swoim przedsiębiorstwem na „wykopki”, by ręcznie zbierać kartofle w PGR-ze, mama, jako bibliotekarka, pojechała ze swoją szkołą by w innym PGR-ze ustawiać snopki gnijącego siana, a nas kilku z Wydziału Elektrycznego w Włodkiem Szmidlem, Tadekiem Orłowskim i tymi, których zapomniałem nazwiska, pojechaliśmy jak przystało na przyszłych elektryków na bardzo wówczas modną „elektryfikację wsi”. Trafiliśmy do zabitej deskami wioski Wieżajny tuż przy granicy ze Związkiem. Miała ona wówczas tylko kilkanaście drewnianych chałup ledwo stojących po dwóch stronach błotnistej wybitej kocimi łbami drogi – drewnianych, ale schludnych – zamieszkałych przez dzielnych wieśniaków orających skrawki ubogiej ziemi podeszłymi wiekiem końmi. I oczywiście jak wszędzie, w środku wsi była tradycyjna gospoda ludowa, w której koncentrowało się całe towarzyskie, społeczno- polityczne i kulturalne życie wioski. Ta cześć towarzyska polegała w głównej mierze na siermiężnym piciu cienkiego piwa. Ot taki tam był wówczas zwyczaj, że po ciężkiej

całodziennej orce gospodarze siadali na ganku gospody, otwierali resztką zębów kapsel z butelki piwa i sączyli je po cichu, bez niepotrzebnych dyskusji. Głos zabierał praktycznie tylko sołtys, jedyny tam przedstawiciel ludowej władzy, by w tej części społeczno-politycznej poinformować towarzyszy, że na przykład do końca miesiąca trzeba odstawić taki to a taki kontyngent żywca i zboża do punktu skupu w Suwałkach, co bardzo niepokoiło słuchaczy, albo, że zakończyła się wojna w Korei, na co nikt nie zwracał już uwagi, bo to było niewspółmiernie daleko od ich codziennych kłopotów. A część kulturalna zaczynała się tradycyjnie, gdy Walenty Góla, patriarcha wsi zachryplym głosem zanucił: „szła dziewczeczka do laseczka, do zielonego” i kończyła się, gdy on wstawał i podtrzymywany przez swego wnuka, a naszego rówieśnika Janka, chwiejnym, ale tanecznym krokiem ruszał w kierunku swojej chałupy by paść i do rana spać snem sprawiedliwego na słomianym sienniku. W każdym bądź razie aktywne życie towarzyskie kończyło się wraz z zapadnięciem zmroku, bo poza lampami naftowymi nie było w Wieżajnach innego źródła światłości. Faktycznie nie było tam żadnej linii elektrycznej aż do naszego przyjazdu.

Pamiętam jak stawialiśmy trzydziesto-kilometrową linię średniego napięcia na drewnianych słupach od Suwałk, jak ciągnęliśmy aluminiowe przewody niskiego napięcia po drewnianych ścianach chałup tak, aby w każdej izbie na środku sufitu zawisała żarówka. Ale najbardziej wzruszającą dla mnie chwilą będzie zawsze ta właśnie uroczystość zapalenia się pierwszej elektrycznej lampy. Nam to nawet teraz ciężko wyobrazić sobie to zaskoczenie, to olśnienie i nieraz ten realny przestach, jak ci ludzie zobaczyli po raz pierwszy w ich życiu ten przedziwny blask pod sufitem. Jedni zasłaniaли sobie ze strachu oczy, drudzy, mimo obecności sołtysa, żegnali się znakiem krzyża, jak do pacierza, a ja nie zapomnę nigdy tego spontanicznego okrzyku Walentego Góli : „Oj, co za cudność niebiańska”.

A my elektrycy byliśmy dumni jak pawie, że wybudowaliśmy kawałek świetlistego socjalizmu. Pół wieku później, na początku dwudziestego pierwszego stulecia, zajechałem kiedyś śladami smętka do Wieżajn, ot tak, by zobaczyć jak świat się zmienił za naszego życia. Nie było już w Wieżajnach drewnianych chałup, ani kocich łbów, bo zaradny sołtys wybudował z Unijnego Funduszu piękną drogę, piękny nowy ośrodek kulturalno-oświatowy na miejscu starej gospody, na każdym domu dumnie stała antena telewizyjna łącząca ich z całym światem, a na wybrukowanych podwórkach stał jeśli nie Mercedes to co najmniej Passat kombi. A rodzina Góli jeszcze tu mieszka? - spytałem w sklepie delikatesowym przy okazji kupowania francuskiego sera. A tak, właśnie widzę, że Jędrrek wraca z nad jeziora, odpowiedziała ekspedientka

pokazując palcem przez wielką szybę wystawową idącego ulicą chłopca. Podszedłem szybko do czternastolatka – jak dwie krople wody podobnego do swego dziadka Janka.

Co, wracasz z ryb? - zapytałem. A nie, byłem na rakach. I co, nałapałeś ich trochę? - Oj nie, u nas tylko baby i dziewczyny łowią raki. -To po co więc ty tam chodziłeś? – spytałem naiwnie. A widzi pan, ja idę na brzeg w gęstą trzcinę, a tam, gdzie one wybierają te raki, to wody jest tylko po kolana, a one żeby nie zamoczyć spódnic to podkasują je na plecy, a że chodzą bez majtków to nieraz trafi się „oj taka cudność niebiańska”.

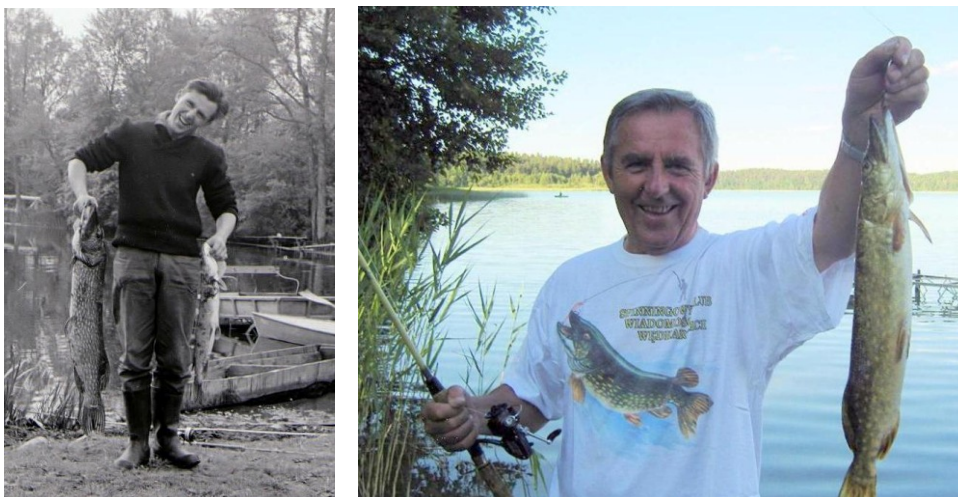
I tak z pokolenia na pokolenie każdy z nas czymś innym się zachwyca i czymś innym jest olśniony, ale jak zapewniają nas dobrze się na tym znający socjolodzy to piękne słownictwo i te tradycje oralne przechodzące z pokolenia na pokolenie nigdy nie zagina.

Wędkowanie i grube ryby

Pierwszym, który uczył nas łowienia ryb był świętej pamięci Tadzio Orłowski. Z nim, jak również z Tadkiem Niepokulczyckim i Jurkiem Wrześnińskim, jeździliśmy w naszych studenckich latach na wakacje na Mazury, by gdzieś tam nad jeziorem Mokre czy Śniardwami cieszyć się naszą młodością w obozowiskach pod namiotami. W obozowiskach mieliśmy wówczas, mówiąc w dużym skrócie, dobrze podzielone role: dziewczyny nam gotowały czy smażyły ryby i zabraniały abyśmy dużo pili, a myśmy te ryby cały czas łowili i cały czas dużo pili. I jak przystało na dumnych potomków Robinzona Cruzoe prześcigaliśmy się w wymyślaniu jak by najmądrzej je łowić. Na początku łowiliśmy je z brzegu koło obozowiska, ale nie wystarczało ich na zaspokojenie naszych młodych apetytów. A więc następnie wypożyczyliśmy bardzo starą łódź u Mazura w Krutyni, którą uszczelniliśmy, bo przeciekała, i do niej dorobiliśmy śmieszny żagiel z prześcieradła, by móc bez wiosłowania podpłynąć na lepsze łowiska. Potem ze znalezionych starych pali i desek zbudowaliśmy długi na 10 metrów pomost, do którego mogliśmy przycumować naszą łódkę i przymocować pod wodą wymyślną skrzynkę, w której mogliśmy bezpiecznie przetrzymywać przez kilka burzowych czy deszczowych dni nadmiar złowionych szczupaków czy okoni. A było tego nieraz po kilkadziesiąt sztuk, tak naprawdę, bez przysłowiowej wędkarskiej przesady, bo jedliśmy tylko złowione własnymi rękoma ryby trzy razy dziennie przez cały czas naszego tam pobytu i do tego jeszcze byliśmy prawdziwie szczęśliwi.

Z tamtych czasów wyniosłem niewątpliwie dwie korzyści: nieustającą przez całe moje życie radość w łowieniu, i tych małych i tych grubych ryb, w najprzeróżniejszych jeziorach i morzach całego świata, jak również

szanse by przez te wszystkie lata uskładać w swoich komórkach mózgowych taki zapas fosforu, by jeszcze dziś w moim podeszłym wieku pamiętać te wszystkie wydarzenia i do tego mieć jeszcze ochotę by o nich pisać.



Autor ze szczupakiem 10 kg złowionym w jeziorze Mokre (1954) i szczupakiem mającym tylko 3 kg (2002)

Z tamtych czasów wyniosłem niewątpliwie dwie korzyści: nieustającą przez całe moje życie radość w łowieniu, i tych małych i tych grubych ryb, w najprzeróżniejszych jeziorach i morzach całego świata, jak również szanse by przez te wszystkie lata uskładać w swoich komórkach mózgowych taki zapas fosforu, by jeszcze dziś w moim podeszłym wieku pamiętać te wszystkie wydarzenia i do tego mieć jeszcze ochotę by o nich pisać.(powtórzony akapit z poprzedniej strony)

Tulaczka na obczyźnie

W naszym wieku już zwykle dobrze wszyscy wiemy, że w stosunkach międzyludzkich (nasza sprawa o których to myślicie) najtrudniejszy zawsze jest początek. Potem to już idzie dużo łatwiej, a potem to już w ogóle człowiek się do nich tak przyzwyczaja, że stają się one zwykłą codziennością. No może trochę przesadziłem z tą codziennością, ... choć, choć różnie to bywało. Zauważcie, że dziś skromnie podkreśliłem to słowo „bywało”. I tak trwa aż do momentu, gdy człowiekowi już jest wszystko jedno czy one są czy ich w ogóle nie ma. I podobnie jest z emigracją. Na początku każdemu najtrudniej jest pogodzić się z myślą, że będzie musiał porzucić coś co kocha, co lubi, co szanuje, czego nie zna czy z kim żartuje, parafrazując ludową wyliczankę. U jednych to dotyczy rodziny i bliskich, u innych dominują płaczące

wierzby i łany złocistego zboża, u innych zamyka się to w strachu przed nowym, przed niepewnością. Myślę że w każdym przypadku jest to decyzja trudna dla każdego, a tym bardziej dla tych, którzy z braku informacji, albo nasycenia ideologiczną propagandą nie wiedzieli co mogą zyskać podejmując taką decyzję. Dla mnie też wszystko wówczas było trudne. Trudno mi było zostawić rodzinę szczególnie w tamtych czasach na pastwę nieodłącznych represji, porzucić ciekawo zaczynającą się karierę naukową w dynamicznym Instytucie Energetyki i trudno mi było rozstać się z wierzbami i tym górale, któremu było żal. I tak naprawdę, gdyby nie to, że tuż po moim niespodziewanym i smutnym wówczas rozwodzie w Warszawie spotkałem wyjątkowo uroczą żabojadkę, to pewnie nigdy bym się na tę tułaczkę nie zdecydował. I tu chyba potwierdza się teoria, że statystycznie biorąc to chyba najwięcej głupstw popełniamy przez te urocze istoty, bez których większość nas nie może jakoś żyć.

I tak z pięcioma dolarami w kieszeni (bo tyle nam było wówczas wolno mieć przy wyjeździe!), szczołeczką do zębów i nową koszulą z Wólczanki w plecaku znalazłem się nagle pod jakże symboliczną dla wielowiekowej polskiej imigracji Wieżą Eiffla. I obok niej już do dzisiaj zostałem. Szczęśliwie dla mnie, że w tamtych czasach ówczesny mały procent imigrantów nie drażnił jeszcze sytej lokalnej większości, bo każdemu łatwo było znaleźć ciekawą i nieźle płatną pracę. Faktem jest, że na początku to moje wynagrodzenie nie było takie wysokie w porównaniu z rodowitymi Francuzami, ale łatwo mi było się pocieszyć, bo jak wszyscy wiemy nie było wówczas skali porównawczej między tamtejszymi zarobkami, a naszymi nawet wysokimi pensjami w Instytucie. A jeśli jeszcze miało się chęć do przebicia i trochę szczęścia, to można było nawet szybko znaleźć ciekawe kierownicze stanowisko w największej francuskiej firmie elektrotechnicznej mającej przeszło sto tysięcy pracowników we wszystkich krajach świata. I ta jedna firma przez moją całą karierę zawodową nie tylko dała mi zarobić na przysłowiowy kawałek chleba, ale pozwoliła mi również pracować na wielu stanowiskach, w wielu fantastycznych krajach, praktycznie na całym świecie. A jako, że dodatkowo w tak zwanym międzyczasie i system polityczny w naszym rodzinnym kraju zmienił się radykalnie, więc teraz również tak jak wszyscy mogę swobodnie położyć się pod płaczącą wierzbą i głośno zaśpiewać „góralu, nie jest mi żal?”

Wymarzona wieża i wyśniona zwarciownia

Dziś mogę powiedzieć, że kończąc studia nie domyślałem się nawet, iż moja zawodowa kariera będzie tak mocno związana z Francją, że będę mieszkał i pracował w Paryżu, bo przecież już od szkolnych lat uczyłem się angielskiego z myślą, że wyjadę do Michigan USA, gdzie usilnie zapraszała

mnie mieszkająca tam od czasów wojny moja ciotka. Ale los, a może raczej te urocze żabojadki spowodowały że stało się inaczej. A co do Wieży Eiffla to faktycznie w czasie mojego prawie piętnastoletniego pobytu w Paryżu wielokrotnie byłem świadkiem jak rodacy widzący po raz pierwszy ten niepodważalny symbol Paryża ocierali ukradkiem łzy wzruszenia. Teraz to stało się prawie banalne, by bywać w Paryżu, bo nawet dzieci jeżdżą tam na szkolne wycieczki, tak jak myśmy kiedyś jeździli do Sandomierza. Ale prawie pół wieku temu, kiedy dla większości nas granica z Zachodem była hermetycznie zamknięta, zobaczyć Wieżę było wielkim marzeniem. Tak naprawdę mało było takich, którzy widzieli ją na co dzień, a ci którzy mieszkali w pobliżu szybko zmieniali opinie o rozkoszach życia w jej sąsiedztwie. Myślę oczywiście o tych, którzy w Paryżu pracowali, bo wszyscy wiemy że całkiem inaczej widzi się świat, gdy jest się kilkudniowym turystą, i korzysta się z niezliczonych uroków tego wyjątkowego miasta, a kiedy spędza się kilka godzin dziennie w zatłoczonym i przepełnionym metrze czy w poruszającym się w żółtym tempie samochodzie na bezustannie zakorkowanych obwodnicach, a potem, gdy jeszcze trzeba pracować przez dziesięć godzin dziennie i wracać do małego mieszkanka, aby tak naprawdę tylko trochę przespać się, bo na nic innego nie zostawało czasu. Ja od początku miałem dużo szczęścia, bo zrobiłem dobry wybór, gdy postanowiłem postawić poprzeczek wysoko i za pierwszym skokiem wylądowałem w Centrum Badań EdF w Clamart, pod Paryżem, gdzie po trzech kwalifikacyjnych miesiącach znalazłem się na stanowisku kierownika sekcji badań i rozwoju w dziedzinie laboratoriów silnych prądów. Dla tych, którzy może nie znają wagi tych trzech liter " EdF " wyjaśnię, że we Francji jest tylko jedno monopolistyczne i państwowe przedsiębiorstwo, które zajmuje się całokształtem produkcji, przesyłu, rozdziału, i rozwoju energii elektrycznej od najniższych do najwyższych napięć. Jest to naprawdę wszechpotężny i przebogaty gigant. I ja, który zrobiłem moją pracę magisterską w malutkim dwupokojowym laboratorium zresztą genialnie zmagisterkowanym ze staroci przez Cioka, Au i Maksymiuka, znalazłem się nagle w pewnie najbogatszym wówczas centrum badań elektrycznych w całej Europie. I jeszcze do tego po znowu trzech próbnym miesiącach pracowałem już na dwóch stanowiskach: inżyniera odpowiedzialnego za badania zwarciove aparatury produkowanej dla potrzeb EdF przez francuskie firmy i członka siedmioosobowego zespołu, mającego za zadanie zaprojektowanie nowej zwarciowni w Renardieres pod Paryżem. Jedynym narzuconym nam kryterium było to by była ona najlepsza na świecie i nie ważne jakim kosztem.

Muszę tutaj skromnie przyznać, że moje doświadczenia ze zwarciowni Instytutu Energetyki na Morach, gdzie uprzednio pracowałem przez kilka lat na stanowisku adiunkta to było prawie to samo, co

doświadczenie kowala z PGR-u nagle zatrudnionego w zakładach ROLLS - ROYCE. Ale byliśmy lepsi od francuskich naukowców w wielu dziedzinach, bo mieliśmy: lepsze poczucie praktyczne, lepszą wyobraźnię i prawdziwy zapał do solidnej pracy. Tego nauczyliście mnie moi profesorowie i asystenci przez te kilka lat studiów i za to Wam dziś serdecznie dziękuję, bo to były najlepsze atuty mojego całego zawodowego życia. Technika w innych krajach była wówczas oczywiście inna i zmieniała się cały czas, ale największym skarbem, który nam przekazaliście było mądre do niej podejście.

Przyjaźń polsko - – węgierska

Jestem przekonany, że większość z Was myślała, że napiszę „przyjaźń polsko-francuska”. Ale nie, nie pomyliłem się, chociaż dopiero przed chwilą przyszło mi do głowy, że powinienem dodać do tego tytułu jeszcze jedno słowo, ale o tym potem. Teraz zacznę od tego fantastycznego centrum badań urządzeń elektrycznych, które po polsku nazywa się zwarciownia. Ta w Renardieres, którą udało nam się zbudować i uruchomić w niecałe trzy lata była naprawdę olbrzymia, wspaniale wyposażona, zautomatyzowana i nawet już wówczas skomputeryzowana. Było to prawdziwe marzenie dla tych, którzy prowadzili tam badania. Może jednak poza jednym punktem. Nie będę tu oczywiście wchodził w cyfry i techniczne detale, powiem tylko, że była ona zasilana przez dwa specjalnie wytrzymałe generatory, ale przy ich pełnym udziale wystarczało tej mocy jedynie, do wulgarnie powiedziawszy, aparaty średniego napięcia. Ale, gdy należało badać aparaturę najwyższych napięć, trzeba było dodatkowo pobrać część energii z ogólnopństwowej sieci 220 kV, do której zwarciownia była podłączona. I, żeby nie zakłócać funkcjonowania normalnych odbiorców, takie badania musiały odbywać się w nocy, gdy sieć była mniej obciążona. A więc, były to często długie godziny oczekiwania na zgodę dyspozytora mocy – godziny, gdzie zarówno personel zwarciowni jak i konstruktorzy musieli być cały czas w pogotowiu. Więc siedzieliśmy w wygodnych fotelach, piło mocna kawę i długo gadało się o wszystkim. I oczywiście po miesiącach wspólnej pracy znaliśmy się nieźle z większością konstruktorów. I tu mogę już powiedzieć o tej przyjaźni polsko-węgierskiej z jej konsekwencjami na moje życie. A jak to powiedziałem wcześniej, to może właśnie teraz jest dobry moment bym dodał to brakujące słowo o tej przyjaźni w sumie polsko-węgiersko-francuskiej, bo właśnie dzień wcześniej uzyskałem w pełni francuskie obywatelstwo.

Tej właśnie wyjątkowej nocy prowadziliśmy badania rewolucyjnej na tamte czasy aparatury łączeniowej z szesciofluorkiem siarki firmy MERLIN- GERIN. A szefem ekipy konstruktorów był wyjątkowo ciekawy

człowiek, członek wszystkich konferencji CIGRE, inżynier węgierskiego pochodzenia i dyrektor techniki i rozwoju tej wielkiej firmy – firmy równoważnej ABB, Siemens, czy General Electric z personelem przeszło 120 tysięcy ludzi rozsianych po całym świecie, z kolebką i kierownictwem w Grenoble, takim fajnym miasteczku na południowym wschodzie Francji. I tej właśnie nocy Ives , bo to właśnie o nim mówiłem, powiedział mi po cichu: „po co ty chłopie z twoją energią tracisz tu zdrowie nocami na gadaniu, chodź pracować ze mną jako kierownik badań, dam ci na zachętę dwa razy większe wynagrodzenie niż masz tutaj ". Z początku myślałem że się przesłyszałem, że to pewnie miało być o dwa franki więcej, ale tuż przed telefonem dyspozytora mocy dopuszczającego nas do badań Yves ponowił mi jasno propozycję i mocnym uściskiem dłoni przypieczętowaliśmy początek długiej i owocnej współpracy. Jak przysłowiowe dwa bratanki. Tyle tylko, że w naszym przypadku to powiedzenie nie było takie bardzo trafne, bo mówiło ono, że mamy być i do szabli i do szklanki, a jako, że Ives nigdy nie pił, a ja mam od czasów Powstania wstręt do jakiegokolwiek broni, to nasza wieloletnia przyjaźń oparta była szczególnie na solidnej pracy i na niezliczonych podróżach po wszystkich centrach badań na całym świecie. A jeśli chodzi o czas po pracy to raczej na koncertach raz Liszta oraz Chopina i niekończących się dyskusjach, który z nich był większym romantykiem i który miał większe powodzenie u Georges Sand. W mojej nowej firmie, mimo że zmieniała wielokrotnie nazwę z Distrelec na Merlin-Gerin i w końcu na Schneider Electric pozostałem wierny aż do odejścia na emeryturę w 2001 roku.

Jak już powiedziałem wcześniej i firmie, i aparaturze łączeniowej pozostałem wierny przez całe moje zawodowe życie aż do odejścia na emeryturę. Ale stanowiska i kierunki pracy zmieniałem tak jak większość tak zwanych rozwojowych inżynierów praktycznie co cztery lata , za każdym razem podnosząc się w hierarchii przedsiębiorstwa lekko do góry. A więc kolejno kierowałem działem techniczno-handlowym, potem działem handlowym w przeszło dwudziestu krajach świata, potem działem marketingu zakładając przedstawicielstwa naszej firmy w kilkunastu krajach. I na koniec, między innymi, dzięki swobodnemu władaniu czterema językami, przez pięć lat kierowałem trzystu-osobowym zespołem specjalistów z najprzezorniejszych dziedzin w europejskim programie współpracy z rosyjskim gigantem Gazpromem. Mieszkałem i pracowałem przez pięć pasjonujących, przełomowych lat w Rosji. z biurami w Moskwie, Kaliningradzie i Krasnodarze. I najciekawsze, że przeżyłem to wszystko bez marskości wątroby. Pewnie dlatego, że zawsze uważałem, by zakąski było dużo i by była ona dobrze tłusta. A teraz, kiedy już wszystko jest poza mną, to bez wahania mogę powiedzieć, że dzięki temu, czego nauczyłem się

w szkolnych i studenckich latach to pracowałem dużo i wytrwale, ale każdemu będę życzył tak ciekawej i bogatej kariery.

Od DKW do kabrioletu Mercedesa a może do Citroena Torpedo

Myślę, że większość z nas i to nie tylko chłopców lubi samochody. Oczywiście poza Kaziem Ilkowskim, który uważa że nie ma to jak rower i ciągle jeszcze przemierza nim niewiarygodne dystanse. Ja nie wstydzę się przyznać że chyba więcej godzin przesiedziałem w samochodach niż za biurkiem. I do tego pewnie jednak znaczną większość za kierownicą, chociaż miałem również długie okresy, gdy mnie wożono, bo nie wypadało inaczej ze względu na moje stanowiska. Ale kierownice zawsze lubiłem trzymać we własnych rekach i pozostało mi to do dzisiaj, ot chyba taki wrodzony instynkt i przyjemność w kierowaniu, choć zacząłem od samochodu, pod którym częściej leżałem niż siedziałem na siedzeniu. Była to „dekawka” starsza ode mnie o dziesięć lat, wykonana z drewna, dykty i brezentu poza, oczywiście, archaicznym trzy cylindrowym silnikiem i wielką korbą do jego uruchamiania. Odkryłem ją zupełnie przypadkiem ukrytą pod sianem w stodole na Mazurach, gdzie się skryła w czasie wojny przed obowiązkową rekwizycją wszystkiego co miało silnik. Kupiłem ją za ostatnie wyciągnięte ze skarbonki grosze przeznaczone na czarna godzinę. Ale co to była za frajda mieć w tamtych czasach, w wieku siedemnastu lat własny samochód! Co to była również za fantastyczna szkoła, nie tyle prowadzenia, co szczególnie mechaniki i dawania sobie rady w każdej sytuacji. Wówczas wystarczało mieć młotek, kombinerki, klucz „czternastkę”, kawałek drutu i oczywiście łątki do zaklejania ciągle dziurawych dętek, by jednak od czasu do czasu gnać bystro i radośnie na wymarzone Mazury.

A potem technika szła do przodu i nasze środki nabywcze też się poprawiały, więc przesiadłem się na Warszawę M20. Była ona co prawda z Instytutowego demobilu, po dwustu tysiącach kilometrów, ale nabyte na dekawce doświadczenie pozwalało nam nawet w zimie dojechać na zamrożone Śniardwy, by łowić ryby pod lodem nie wychodząc z samochodu! Mimo dwóch ton wagi radość była wielka. I dziewczyn można było również więcej nałapać, bo myślę że bardziej doceniały one komfort tylnej szerokiej kanapy niż brezentowych siedzeń w dekawce.



Furmanka jedzie a dekawka stoi (1953), Warszawa i autor
na środku jeziora Śniardwy (1962)



Autor w kolekcjonerskim Citroënie Torpedo (2002)

Teraz wydaje nam się to całkiem nie do wiary, ale to była naprawdę męską zabawą. Przeliczając na dzisiejsze czasy był to równoważnik posiadania kabrioletu Mercedesa. Tyle tylko, że nawet te wyśmienite maszyny nie wiem dlaczego nie mają już dziś takiej magicznej siły przyciągania. I z tym podrywaniem to już też nie zawsze wychodzi. Teraz to nawet ten piękny i prawie stuletni oryginalny żółty Citroën Torpedo z 1923 roku na korbę przyciąga jedynie pobłażliwe spojrzenia i może niekiedy tylko uśmiech podziwu. Ot widać, że czasy bardzo się zmieniły. Albo może i my też powoli się zmieniamy? Co?



Autor w kabrioletcie Mercedes przed domkiem Piotra (2012)

Chyba ten szkic moich przygód z samochodami, będący wyborem z posiadanych przeze mnie zbiorów, jest jednym z najkrótszych „dzieł historycznych” przedstawiających historię rozwoju motoryzacji.

Emerytura nie zawsze oznacza koniec pracy

Wcześniej już powiedziałem, że kolebka i całe kierownictwo firmy Merlin-Gerin znajdowało się zawsze w Grenoble, w tym ciekawym 300 tysięcznym miasteczku we francuskich Alpach, i oczywiście dla dobra firmy musiałem się tu w końcu przeprowadzić. Początkowo żałowałem Paryża, jego kulturalnego bogactwa, jego muzeów i teatrów, ale że i tak w tym okresie większość czasu spędzałem poza granicami, to zgodziłem się na przeprowadzkę tu w góry, by być bliżej przyrody i zimowych sportów i jak najdalej od tego zwariowanego życia, jakie pociąga za sobą mieszkanie i pracowanie w stolicy. I znów przypadek sprawił, że niedługo posiedziałem spokojnie w fotelu oglądając telewizję. A zaczęło się od tego, że kilka tygodni po moim odejściu na emeryturę przyleciał do mnie z wizyta mój dobry przyjaciel Piotrek, też wieloletni emigrant, tak jak ja, tyle tylko, że z Florydy, gdzie robił wówczas wspaniałą karierę, jako wzięty fotograf. I tak łącząc tu razem po pięknej okolicy, któregoś dnia Piotrek powiedział mi tak przelotem: „czy znalazłbyś mi kiedyś tutaj jakiś stary domek, bym miał coś dla przyjaciół i rodziny na wakacje?” I jeszcze raz czysty przypadek sprawił, że po kilkunastu dniach w witrynie sąsiedniej agencji od nieruchomości zobaczyłem ogłoszenie: „XII-to wieczna posiadłość do remontu sprzedam tanio”. Trochę żartem zadzwoniłem do Piotrka, ale przyleciał pierwszym samolotem i następnego dnia stał się właścicielem pięknie położonej w górach średniowiecznej sześciokondygnacyjnej,

obronnej wieży z dwu metrowej grubości ścianami z ciosanego granitu. A wychodząc od notariusza klepnął mnie po ramieniu i nie czekając nawet na odpowiedź powiedział: „jesteś na emeryturze i żeby się nie nudzić to pomożesz mi ją odnowić”.



Domek Piotra z lotu ptaka (2007)



70-te urodziny autora w domku Piotra (2006)

I tak przez pełne następne siedem lat, kierując przekształceniem tej średniowiecznej ruiny w nowoczesny „jednorodzinny domek” o powierzchni mieszkalnej przeszło tysiąca metrów kwadratowych, jak również rozległych odłogów, winnic i kwiecistych ogrodów, uczyłem się całkiem nowych zawodów: architekta, murarza, cieśli, dekarza, stolarza, artystycznego kowala, hydraulika, malarza czy ogrodnika. A wynik, mimo, że dzieło w 2007 r. było jeszcze niedokończone, wygląda wspaniale.

W tej średniowiecznej posiadłości świętowałem mój huczny jubileusz 70-lecia, na który zaprosiłem ponad 50 osób

Okazuje się więc, że uczyć można się przez cały czas, a jeśli jeszcze przy tym dobrze się bawić, to czego więcej można wymagać od życia?

Artystyczne kowalstwo i niezwykle podarunek

Powyżej napisałem, że zajmując się rekonstrukcją średniowiecznej wieży obronnej w Allevard musiałem nauczyć się różnych zawodów. Oczywiście wszystkie zawody były bardzo ciekawe, ale niewątpliwie najdłużej pozostanie mi w pamięci artystyczne kowalstwo. A wyniki moich prac kowalskich, jako jedyne, naprawdę bez żadnej przesady, pozostaną pewnie na wieki. Brzmi to może tak jakoś przesadnie w epoce, gdzie kupuje się najbardziej złożone przedmioty, by wyrzucić je już po kilku latach, ale myślę, że nie myślę się mówiąc o wiekach i zaraz Wam powiem dlaczego.

Zapiski o początkach tej wieży pochodzą z trzynastego wieku. Jest ona zrobiona z olbrzymich bloków ciosanego granitu i przez te przeszło osiemset lat przetrwała ona wszystkie wojny, wszystkie burze i wszystkie trzęsienia ziemi bez nawet najmniejszych zarysowań. Wiec myślę, że teraz gdy jest ona jeszcze wzmocniona żelbetonowymi stropami przetrwa co najmniej dwukrotnie dłużej.

Gdy pierwszy raz rozmawialiśmy z Piotrem zaczynając jej rekonstrukcję, stwierdziliśmy, że do tych starych kamieni niezbędne jest również jakieś stare kowalstwo. Ale o kupieniu czegoś gotowego oczywiście nie było mowy, bo gdzie by znaleźć tak wiekowe wrota. I jak to zwykle bywało Piotr przelotem powiedział: skocz do Polski, jest tam pełno kowali artystycznych i zrób u nich jakieś ładne wrota, i kraty, by pasowały do tej naszej średniowiecznej budowli. Tylko żeby nie było fuchy, ma to być prawdziwe kowalstwo by wszystko mogło przetrwać tak długo jak wieża. I faktycznie tydzień później byłem już w Polsce. Zacząłem oczywiście od Wojciechowa pod Lublinem, tej szeroko reklamowanej stolicy polskich kowali. I moim rozczarowaniem nie było końca, bo tam wszyscy tak zwani kowale robili albo malutkie lichtarzyki z cieniutkich powykręcanych na zimno płaskowników, albo jakieś płotki czy bramki z blaszanych profili – do tego wszystko spawane acetylenowymi palnikami. Żaden z tych artystów nie miał prawdziwej kuźni z paleniskiem, w którym

można by było rozgrzać do białości kawał prawdziwego żelaza. A mnie przecież potrzebna była brygada kowali, by ręcznie wykuć na gorąco z litego żelaza wielkie wrota 4x6 m, ważące przeszło tonę każde skrzydło i niezliczone kraty do drzwi, i okien. I do tego obowiązkowo musiało to być bez żadnego spawu! Tak jak to robili kowale osiemset lat temu. Z pełnych prętów oksydowanych w gorącym oleju, bez żadnej farby.



Autor w prymitywnej kuźni pod Kijowem (2003)

Na całe szczęście mój przyjaciel Wiesław, w tamtych czasach attache wojskowy w Kijowie, mimo że sam specjalnie nie znalazł się na kowalstwie, ale za to ze swoim doświadczeniem wywiadowczym szybko wynalazł mi prawdziwych kowali z nieprawdopodobnie prymitywną, ale za to wielką kuźnią i wyjątkowo pracowitą brygadą silnych ludzi. Bo oczywiście nie było tam mowy o jakichkolwiek mechanicznych podnośnikach, wszystko robiło się tam w pocie czoła i siłą własnych rąk. Prawda jest że nie zaczynali oni pracy bez wypicia butelki bimbrowa na głowę, ale potem jak walili młotem to nawet najgrubsze pręty gięły się jak wiklina.

Po roku przywiozłem do Francji specjalnym TIR-em siedem ton pięknie wykutych wyrobów i ten ważący, co prawda tylko osiemdziesiąt kilo, ale za to niezwykle podarek. Było to wielkie stare kowadło, które oczywiście stoi do dzisiaj w moim warsztacie na honorowym miejscu. A jest to dla kowala najcenniejszy przedmiot, z którym właściwie on nigdy się nie rozstaje, a ja go dostałem z wdzięczności, że w tamtych ciężkich dla

Ukraińców czasach mogli oni przez rok dostatnio wykarmić kilka swoich rodzin. A ja jestem dumny, że takich wrót i takich krat nie ma nigdzie indziej na świecie.



Autor i jego przyszłe kowadło (2004), Jedno z kowalskich dzieł w domku Piotra

Moje rozliczenie z przeszłością

Większość z nas chyba pamiętam, że w latach pięćdziesiątych nie wszystkim było łatwo dostać się na wyższe uczelnie. I to nie ze względu na trudności w zdaniu egzaminu wstępnego, ale myślę tutaj o krytycznym spojrzeniu niektórych członków komisji rekrutacyjnych na nasze pochodzenie i na brak entuzjazmu do ówczesnego życia politycznego. I niektórzy z nas wiedzą również jak trudno było mieć inne niż przewidziane konstytucją poglądy. Nie byłem więc wyjątkiem, że ci aktywni działacze związkowi wyżywali się na nas za to, że nasi ojcowie mieli wyższe wykształcenie czy też nie byli odpowiednio zaangażowani politycznie. Ot tak to było w tamtych czasach.

W zeszłym roku dostałem z IPN-u przeszło czterysta stronicowe dzieło, gdzie na potwierdzenie ówczesnych przypuszczeń znalazłem kilka „pisanek” naszych kolegów ze studiów na ten temat. W sumie to nic dziwnego, bo jak to w każdym ustroju bywa, niektórzy, aby utrzymać się bliżej żłobu są gotowi, by dowolnym kosztem przypodobać się swoim zwierzchnikom. Szczęściem natomiast dla nas wszystkich było, że kadra naukowa była prawie całkowicie apolityczna i pochodzenie nie miało dla nich znaczenia. Liczyła się tylko wiedza i wszyscy mamy dyplomy tylko dlatego, że byliśmy zdolni i ciężko pracowaliśmy, aby zdawać egzaminy.

A ci którzy byli zbyt zaangażowani niech się ewentualnie sami rozliczą ze swoim sumieniem. Ja miałem okazję by się rozliczyć z tą przeszłością nie tak dawno, bo kilka lat temu, gdy pojechaliliśmy z Tadiem Niepokulczyckim do Grodna, gdzie się urodziłem i do sąsiednich

Druskiennik, które to jako dawne dwa polskie miasta kolejną losów znalazły się w dwóch innych niż Polska krajach. Pod Druskiennikami trafiliśmy zupełnie przypadkowo na bardzo ciekawe, położone na 20-tu hektarach muzeum poświęcone komunizmowi. Nazywa się ono Gruto Parkas.



Tadzio Niepokulczycki „promuje” muzeum Gruto Parkas poświęcone historii komunizmu

Zostało ono w latach dziewięćdziesiątych założone przez ciekawego faceta, pana Malinowskiego, który za ostatnie grosze zarobione na sprzedaży grzybów kupował wszystkie wyrzucane na śmietnik przedmioty mające czerwoną gwiazdą czy sierp i młot.



Moje spotkanie po latach ze Stalinem w muzeum Gruto Parkas

Jest tam faktycznie dużo świetnych pamiątek po tej okropnej ideologii, przez którą zginęły czy ucierpiały miliony niewinnych ludzi. Znajdziecie tam bogactwo dokumentów, zdjęć, najprzeróżniejszych przedmiotów, aż do czterdziestotonowych pomników z brązu.

Można również z przymrużeniem oka w miejscowej restauracji zjeść cynkową łyżką przywiązaną na łańcuchu typowe dla tamtych czasów kotleciki mielone z buraczkami i gryczaną kasza, popić to szklaneczką bimbru a na deser zjeść kisiel i przypomnieć sobie jak wówczas on smakował. Jest tam świetna atmosfera począwszy od koszmaru syberyjskich łagrów, aż do popularnego, codziennego humoru. Na załączonym zdjęciu można zobaczyć, że właśnie tam rozliczyłem się trochę z przeszłością, że tam szczerze wypowiedziałem co mi tkwiło tyle lat na sercu i przy okazji pokazałem „batuszce” co o nim myślę. Polecam więc to miejsce, bo nigdy nie wiadomo, może jedni będą chcieli zrobić to samo co ja zrobiłem, a inni będą mieć okazję by jeszcze raz nisko przed nim się pokłonić.



**Trochę o latach młodzięcych
i późniejszych**

Studia

Zacznę okruchy wspomnień od lat młodzięcych – z okresu naszych studiów na Wydziale Elektrycznym PW, rozpoczętego w 1953 roku. Można powiedzieć, że pierwsze dwa lata studiów spędziliśmy we czwórce: Jurek Wrzesiński, Andrzej Merle, Tadek Orłowski i ja. Jurka znałem już przed studiami, ale Andrzeja i Tadka poznałem bliżej w połowie pierwszego semestru. Jurek i Tadek mieli wspólny temat znajomości, ponieważ Tadek miał motor Zindapp 500 a Jurek NSU 200. W owym czasie motocykl nie był rzeczą tak powszechną jak obecnie, toteż wykorzystywaliśmy je na różne wypadki i wycieczki.

Opis wspólnie spędzanego czasu rozpocznę od opisu zdarzenia, w którym uczestniczyła nasza czwórka. Andrzej mieszkał u swojego wujka w okolicach pl. Narutowicza – odwiedziliśmy go w południe i po godzinnym pobycie ruszyliśmy na zajęcia na Politechnikę. Po drodze – na ul. Filtrowej czekamy na tramwaj – dwóch facetów odmalowuje budkę z piwem. Malują ją żółtą farbą, a oni pracują pędzlami maczanymi w farbie. Jeden z nas mówi, że widział podobną sytuację. I tam dwóch przechodniów założyło się, że jeden drugiemu maźnie po pysku pędzlem z farbą. „Ja na to mówię, że to żaden cymes. Moi kumple pytają mnie: za ile dam sobie pomalować twarz. Ja mówię: że za pół litra. Oni mnie maźnęli pędzlem z farbą po twarzy. Malarze dali mi kawałek szmaty, abym się wytarł – ale pół litra było moje. Wracamy na Politechnikę (były chyba ćwiczenia z wytrzymałości), a prowadzący ćwiczenia mówi do mnie; panie Niepokulczycki, pan ma chyba żółtaczkę. Ja mówię, że to tylko farba.

Po drugim roku miał być obóz wojskowy, ale chyba z powodów politycznych (to był rok 1955) obozu nie było. Postanowiliśmy we czwórce pojechać na Mazury – właściwie namówił nas do tego Tadek O. Pojechaliśmy do Krutyni, bo Tadek już tam był i znał te strony. Pojechał z nami pies Tadka: Dżek – duże psisko rasy doberman. Załadowaliśmy się (z psem) do pociągu, a gdy ktoś ze stacji wchodził do naszego przedziału, to Dżek warczał. Ale jakoś dojechaliśmy do Rucianego, a stamtąd autobusem.

Wieźliśmy ze sobą worek kaszy do jedzenia – byliśmy biedne studenty. Na Mazurach żywiliśmy się kaszą i rybami złowionymi w jeziorze – Tadek nauczył nas wędkarstwa. Nikt z nas nie miał legitymacji wędkarskiej, ale to były czasy kiedy nikt tego nie wymagał. Mieszkaliśmy w namiotach wypożyczonych z PTTK w Warszawie. Namioty rozbiliśmy na leśnej drodze z Krutyńi do jeziora Mokre (nad jeziorem Krutyńskim ok. 1 km od śluzy do Mokrego). Droga była nieuczęszczana, mieszkaliśmy spokojnie.

Pewnego razu – podczas wyprawy do Krutyńi po chleb – zobaczyłem duże Pole, na którym rosło coś podobnego do buraków cukrowych. Namówiłem kumpli – podebraliśmy parę buraków i w obozie gotowaliśmy je (dla cukru do kaszy). Nic z tego nie wyszło. Okazało się, że to nie buraki cukrowe a brukiew. Za moją pomyłkę nacierpiałem się ciągłych docinków.



Na zdjęciu nasza czwórka w Morągu: Jurek, Tadek, ja, Andrzej

Po czwartym roku mieliśmy „wojsko” w miejscowości Morąg na mazurach. Mieszkaliśmy w poniemieckich koszarach, a ćwiczenia były w okolicy. Dowódca naszego plutonu, porucznik zwany przez nas „Glizda”,

zapowiedział, że biała naszywka na kołnierzyku munduru ma być codziennie czysta. Jak w warunkach polowych utrzymać czysty kołnierz w mundurze? Pewnego razu Glizda na porannej zbiórce sprawdza kołnierzyki. U Merlego nie ma nic białego na kołnierzyku. Pada pytanie od Glizdy do Merlego: gdzie jest wasz biały kołnierzyk? Merle wyciąga naszywkę, która była zawinięta do środka munduru. Na to Glizda mówi, że naszywka miała być biała. Merle odpowiada: naszywka jest biała, a nie było mowy, że ma być widoczna. Na to Glizda: za ta gadka pod ta siatka biegiem marsz.

Po studiach

W październiku 1969 r. Andrzej zaprosił nas na imieniny (andrzejki), zaznaczając, że odbędą się one u Kmiecia, który mieszka obok niego na Morach. Na imieninach już po kilku dobrych lufach zaczynają się śpiewy. W pewnym momencie Andrzej prosi kolegę Wojtusia: "Wojtek w Ołomuńcu". I ten zaczyna:

W Ołomuńcu na fisz placu
gdym na warcie k...a stał
gdym na warcie k...a stał
ludzie mi się k...a dziwowali
sam się cysorz k...a śmiał.

Dalej nie pamiętam, ale było tam kilka zwrotek.

W trakcie mojej pracy zawodowej przez pewien czas pracowałem w Zakładach T1 przy opracowywaniu radarów morskich. Często wysyłano nas do Gdyni, by obejrzeć radar morski produkcji zagranicznej. Raz jedziemy, znamy nazwę statku w Gdyni. Przychodzimy do kapitana, mówimy o co nam chodzi. Kapitan mówi: – proszę bardzo, trzeba się zgłosić do drugiego oficera, bo on ma pod opieką radar. Tylko proszę panów – mówi kapitan – proszę się nie dziwić, ale drugi oficer ma takie powiedzenie: "k...a super delux". Dobrze, idziemy do drugiego oficera, pukamy do kajuty – wchodzimy. Drugi oficer siedzi przy stole, a na stole duże zdjęcie (40X40 cm) ładnej kobiety. Pytamy oficera, kto to jest ta pani. A on odpowiada: to jest k...a super delux moja żona.

Ludzi z takimi powiedzonkami było we flocie więcej. W okresie międzywojennym taką znaną osobą był kapitan Mamert Stankiewicz, który miał powiedzenie: „znaczy”, więc nazywano go „Znaczy Kapitan”. Pod takim tytułem Karol Olgierd Burchard napisał książkę o przedwojennych polskich żaglowcach szkolnych "Lwów i "Dar Pomorza", no i o Stankiewiczu.

A oto inna historia związana z pracą w Zakładach T1, które skierowały mnie do pracy na statku jako inżyniera gwarancyjnego. Statek był rybacki, a połowy odbywały się u brzegów Nowej Funlandii (Kanada). Ponieważ statek miał awarię (był na gwarancji), więc mieliśmy miesięczny postój w porcie Nowej Funlandii – St. Johns. Pewnego razu wybraliśmy się na spacer w okolice. Idziemy polną drogą, a chce nas wyprzedzić samochód – robimy mu miejsce. A on zatrzymuje się i szofer pyta, czy nie trzeba nas podwieźć? My odpowiadamy: – „dziękujemy my idziemy na spacer”. Na to szofer: C „my też”.

Na statku – jak mnie zaokrętowano – poszedłem do jadalni – to była jadalnia oficerska. Była to pora drugiego śniadania. Dostałem chleb, ale smarowidło do chleba było własnego wyboru. Statek był zaopatrywany przez BALTONĘ. Ja lubię dżem, więc dorwałem się do niego (jakości był przedniej). Jak to zobaczyli pozostali uczestnicy śniadania dali mi na okres całego rejsu przydomek „inżynier dżemie”.

Moje następne miejsce pracy – Zakłady T12, gdzie zajmowałem się sprzęcie radiowym dla wojska też dostarczała wrażeń. Wiadomo, że jeżeli sprzęt wojskowy, to musiały być liczne kontakty z Rosjanami. Podczas pierwszego mojego wyjazdu do ZSRR Rosjanie zapytali: – „gdzie chcielibyśmy odbyć spotkanie powitalne, w restauracji czy na świeżym powietrzu”. Ponieważ był to koniec czerwca, więc odpowiedzieliśmy: – „na powietrzu”. O godzinie 17 jest zbiórka i prowadzą nas na łąkę koło lasu. A tam rozścielona plandeka nakryta białym obrusem, a na plandecce rozłożone wokoło talerze – dla każdego po jednym, a przy każdym talerzu dwie butelki – jedna z czystą wódką a druga z koniakiem. Na środku plandeki wszystko czego dusza zapagnie do zakąszania. Przyjęcie było udane.

Innym razem: jesteśmy w Moskwie, mieszkamy w hotelu, chcemy ugościć Rosjan, gdyż oni jakoś nas w Polsce nie odwiedzają. Ale mieliśmy nasze podróżne metalowe kieliszki. Po którejś kolejce Rosjanie pytają: - - „czy mamy sznurek?”, a my na to: – „nie mamy” i pytamy: – „a po co wam sznurek?” Odpowiedź: – „aby przywiązać kieliszki bo bardzo łatwo połknąć kieliszek – aluzju ponieśli?” Zamówiliśmy więc w recepcji szklanki – bo okazało się, że u nich wódka i koniak jest pity ze szklanki.

W T12 uruchamialiśmy produkcję elektronicznych zegarków. W związku tym delegowano mnie i dwóch konstruktorów do Japonii. Po 20 godzinach lotu z (z przesiadkami), o godz. 21 dojechaliśmy do Tokio. Tam nas odebrał znajomy Japończyk i zawiózł do hotelu oraz umówił się na następny dzień. My w hotelu postanawiamy strzelić po lufie (nie skończyło się na jednej), dla opicia pobytu w Japonii. Następnego dnia, przy powitaniu, Japończyk mówi, że wyglądamy na zmęczonych i, że powodem tego jest chyba długa podróż?

Na tym kończę te krótkie wspomnienia, natomiast opisu wspomnień z pracy zawodowej nie przedstawiam, a była to elektronika. Do pierwszej pracy na czwartym roku PW trafiłem do Zakładów Lamp Oscyloskopowych w Iwicznej, a poza tym już w liceum interesowałem się radiotechniką – dziś częścią elektroniki. Wierny elektronice pozostałem do emerytury.

Oprócz wierności do zawodu, pozostała trwała wierność do Przyjaciół z Politechniki oraz radość życia. Niestety, nasza Czwórka trochę się zmniejszyła. Lecz ten brak zastępuje bliski, towarzyski, choć geograficznie odległy kontakt z Andrzejem Merle oraz częste spotkania z wieloma Przyjaciółmi w San Antonio.



Miłe spotkanie autora z Andrzejem w Paryżu



Piję Wasze zdrowie moi Przyjaciele



**Pracowita młodość
i urozmaicone życie zawodowe elektryka**

Przed studiami i studia

Maturę zdałem w 1948 roku u „Rejtana” i podjąłem nieudaną próbę studiów na Wydziale Chemicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Po rezygnacji ze studiowania chemii, w połowie 1950 roku poszedłem do pracy jako kreślarz w Biurze Studiów i Projektów Typowych Budownictwa Przemysłowego. Los, a właściwie znajomości mego Wujka, sprawiły, że trafiłem do pracowni elektrycznej. Po kilku latach pomyślałem o studiach, ale tym razem na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Pierwsze podejście do egzaminu wstępnego w roku 1952 skończyło się kompletną klapą. Dlatego też cały następny rok poświęciłem solidnym przygotowaniom. Zaopatrzyłem się w skrypty zawierające zestawy zadań z matematyki i z fizyki z lat ubiegłych i zabrałem się do ich rozwiązywania. W tym okresie byłem zapalonym, choć miernym pływakiem. Należałem do sekcji pływackiej Zrzeszenia „BUDOWLANI”. Ciekawostką było to, że próbowałem pływania zawodniczego dopiero w wieku 19 lat, a nauczyłem się pływać 3 lata wcześniej. Ponieważ pracowałem od godziny 6 do 14, całą drugą część dnia miałem wolną, co sprzyjało także przygotowywaniu się do egzaminu. Samokrytycznie trzeba przyznać, że w szkole nie przykładałem się zbyt do nauki, więc miałem spore braki. Zadania rozwiązywałem nawet na basenie w oczekiwaniu na trening. W Warszawie był wtedy jeden letni basen 50 metrowy na Legii oraz 25 metrowy kryty w budynku zabranym YMCE przy ul. Konopnickiej. Od wiosny do jesieni treningi odbywaliśmy na Legii, ale dopiero wieczorem po zamknięciu basenu dla publiczności. Pilność została nagrodzona, a skutek był zadowalający, otrzymałem trzy czwórki (z matematyki i z fizyki nie musiałem zdawać egzaminów ustnych), co zapewniło bezproblemowe znalezienie się na liście przyszłych studentów w 1953 roku.

Dostałem się na studia dzienne. Powstał więc problem połączenia ich z pracą zawodową. Pomogli mi dobrzy ludzie i ich znajomości. Mój bezpośredni kierownik pan inż. Jerzy Śledziński poszedł ze mną do

Dziekana (niestety nie pamiętam nazwiska) i przekonał go, aby udzielił mi zgody na łączenie studiów dziennych z pracą. Pamiętać należy, że były to czasy dyscypliny studiów, a na pierwszych latach starosta sprawdzał listę na każdych zajęciach. Ja na podstawie decyzji Dziekana, byłem z tej dyscypliny zwolniony. Pomimo zwolnienia pozostał problem uczestniczenia przynajmniej w ćwiczeniach i pracowniach oraz bieżącego zdawania kolokwii. Na szczęście wiele tych zajęć odbywało się po południu. Moja niefrasobliwość sprawiła, że na koniec pierwszego semestru miałem dwójkę u Profesora Hampla. Zamiast uczyć się przykładowo do poprawki w przerwie semestralnej pojechałem z kolegami do Krynicy na narty. Co prawda, w założeniu było uczenie się po południu, ale południami uczyłem się grać w brydża (byłem tym czwartym). Z nauki gry nic nie wyszło, podobnie jak z przygotowań z matematyki, ale za to spędziłem miło czas i pojeździłem na nartach.

Powrót do rzeczywistości był przykry. Poprawki nie zdałem. Przede mną stanęła wizja egzaminu komisyjnego. Nie było rady trzeba się było wziąć do roboty. W efekcie zdałem egzamin komisyjny z matmy na 3 i ½, co jak sądzę nie było złym wynikiem. Te zdarzenia nauczyły mnie dyscypliny. W efekcie do końca studiów nie miałem poprawek. Wyjątek stanowił egzamin specjalistyczny z opraw oświetleniowych (techniki świetlnej) na koniec kursu magisterskiego u św. pamięci Profesora Tadeusza Oleszyńskiego. Profesor założył, że mam zdać na piątkę, więc z tego powodu jeździłem do Instytutu w Międzyzlesiu, gdzie Pan Profesor był Kierownikiem Zakładu Techniki Świetlnej, do skutku, czyli trzykrotnie. Ponieważ w trakcie wszystkich lat studiów z reguły nie byłem obecny na wykładach, korzystałem z pomocy wielu koleżanek i kolegów, którzy udostępniali mi swoje notatki. W pamięci utkwilo mi przygotowywanie do egzaminu z BHP na kursie magisterskim. Odbywało się to wiosną, przy fontannie. Mało kto chodził na te zajęcia i dobre notatki były na wagę złota. Egzamin był ustny i wchodziło się dowolnie dobranymi piątkami. Zostałem przyjęty do grupki czterech osób, w której notatki miała Marysia wówczas Kwasięborska. Należało wykuć na pamięć setki bezsensownych cyfr zawartych w przepisach, np., jakim napięciem sprawdza się kalosze do prac w rozdzielniach. Po dwu godzinach uznaliśmy, że wszystko wiemy i przy braku chętnych poszliśmy na pierwszy ogień. Ku naszej radości odpowiedzieliśmy na wszystkie pytania i każdy wyszedł z piątką w indeksie. Oczywiście następnego dnia nic już nie pamiętaliśmy.

Ze swej strony starałem się odwdzięczać i pomagałem w nagłych potrzebach wykańczać rysunki modeli. Moje doświadczenie kreślarskie bardzo ułatwiało mi wykonywanie rysunków także „w ołówku” lub „w tuszu”. Z wykonywaniem rysunków modeli wiąże się zabawne wspomnienie. Nas poinformowano, że modeli nie wolno było zabierać

z kreślarni. Tym niemniej, z Januszem Uchańskim postanowiliśmy zrobić kawał Bożenie Skowrońskiej. Bożena nosiła zawsze bardzo wypchaną wielką podłużną torbę. Któregoś razu włożyliśmy jej do tej torby spory model o wadze ok. 2 kg. Bożena nosiła go przez cały tydzień nic o nim nie wiedząc. Na następnych zajęciach powiadomiliśmy ją o tym, że dopuściła się złamania zasad i wyniosła model do domu. Właśnie m.in. Bożenie wykańczałem „od ręki” rysunek izolatora – pamiętacie pewnie tę ilość łuczków. W pracy dysponowałem prawem do zwolnienia 14 godzin w tygodniu, z tego niestety 6 zabierało odbywające się w soboty Studium Wojskowe. W praktyce te 14 godzin często przekraczałem. W biurze projektów był akord. Każdy rozliczany był z wykonanej pracy i jej wartości, a nie z przesiedzianych godzin. Tutaj także pomogła przychylność przełożonych i życzliwość kolegów z zespołu. Aby było ciekawiej w lipcu 1955 roku ożeniłem się, a w sierpniu 1956 roku zostałem ojcem. Drugie dziecko przyszło na świat w październiku 1957 roku. Dzielenie czasu pomiędzy pracę, uczelnię i dom sprawiło, że na zajęcia wpadałem jak po ogień i nie miałem czasu na „życie studenckie”, a szkoda. Po latach patrząc wstecz jednak nie zmieniłbym nic z moich ówczesnych decyzji. To stara prawda, że im człowiek ma więcej zajęć i obowiązków tym ma więcej czasu.

Jestem urodzonym Warszawiakiem, więc nie mam wspomnień związanych z życiem w akademikach i z pewną nutką zazdrości czytam jakże ciekawe wspomnienia na ten temat.

Trochę wspomnień z pracy

Prawie trzydzieści lat przepracowałem w Centralnym Ośrodku Badawczo-Projektowym Budownictwa Przemysłowego BISTYP. Początkowo byłem projektantem, potem starszym projektantem, a w końcu zostałem kierownikiem pracowni elektrycznej.

W początkowych latach 80-tych, w ramach swego rodzaju „odwilży” przedsiębiorstwa mogły ubiegać się o licencje na prowadzenie handlu zagranicznego. Trzeba pamiętać, że były to czasy, w których istniał monopol central handlu zagranicznego takich jak „Polservice”, „Polimex” czy „Budimex”. Spijały one całą śmietankę zatrzymując dewizy i płacąc złotówkami za „czarną robotę” wykonywaną przez podwykonawców, czyli biura projektów i przedsiębiorstwa budowlano – instalacyjne oraz fabryki wytwarzające urządzenia. Uzyskanie licencji przez podwykonawcę dawało szansę na zdobycie własnych dewiz, niezbędnych do zakupu np. w przypadku BISTYP-u dobrej jakości narzędzi kreślarskich, tuszu oraz kalki i papieru światłoczułego, nie wspominając o pierwszych komputerach. BISTYP także uzyskał taką licencję obwarowaną zastrzeżeniem, że w ramach firmy jako wydzielona komórka powstanie Biuro Handlu Zagranicznego

(BHZ) z dyrektorem na czele, a kandydat na to stanowisko zostanie uzgodniony z Ministerstwem Handlu Zagranicznego. No i wtedy zaczęły się problemy kadrowe. Ogłoszony konkurs wygrała pani aktualnie zatrudniona w jednej z central handlu zagranicznego, ale chciała od razu na wstępie utworzyć komórkę z co najmniej 20 pracownikami.



Stanowisko pracy kierownika pracowni elektrycznej w BISTYP-ie
(sterty papierów uprzątnięte przed zrobieniem zdjęcia) (1975)

Wiązało by się to z poniesieniem dużych nakładów przy jednoczesnym braku gwarancji powodzenia całej akcji. W związku z tym, dyrekcja BISTYP-u postanowiła zorganizować BHZ siłami własnymi.

W tym czasie ja, niczego nie przeczuwając, przebywałem na miesięcznej delegacji w Lagos (ówczesnej stolicy Nigerii) na budowie polskiej ambasady. Po powrocie zostałem wezwany przez dyrektora BISTYP-u, który zaproponował mi abym to ja zostałem dyrektorem BHZ i zorganizował tę komórkę, opierając się głównie na kadrze BISTYP-u, przy minimalizowaniu początkowych kosztów. Na moje wątpliwości, że moja kandydatura bezpartyjnego osobnika nie zostanie zaakceptowana usłyszałem, że to nie moje zmartwienie. Poprosiłem o trochę czasu do namysłu i zająłem się bieżącymi sprawami pracowni, ponieważ po miesięcznej nieobecności było ich sporo. Naradzałem się także z żoną. Propozycja była atrakcyjna, ale zawierała sporą dozę ryzyka. Z handlem zagranicznym wielu pracowników BISTYP-u, w tym i ja, miało do czynienia pośrednio, jako podwykonawcy w kontraktach central handlowych. Ale jak to robić samodzielnie, to było wyzwanie. Ponieważ zawsze lubiłem nowości, naciskany przez dyrektora, wyraziłem zgodę.



Za chwilę z rąk Dyrektora Bistyp-u otrzymam Złotą odznakę
za zasługi dla budownictwa (1977).

Po dwu tygodniach ku mojemu zdziwieniu dyrektor poinformował
mnie, że wszystkie formalne zgody załatwił i wręczył mi nową umowę.



Jako Dyrektor BHZ BISTYP-u goszczę delegację
chińskich przemysłowców (1982)

Ponadto zapowiedział, że ponieważ w najbliższym czasie odchodzi jego zastępca do spraw technicznych i eksportu ja będę sprawować i tę funkcję. W ten sposób jako zastępca dyrektora naczelnego ds. technicznych i eksportu zajmowałem się nie tylko BHZ-tem, ale również dużą częścią działania firmy w tym jako podwykonawcy central eksportowych.

Uczenie się nowego zawodu praktycznie i w teorii (skończyłem studium podyplomowe na wydziale handlu zagranicznego ówczesnego SGPiS-u), połączone z pozyskiwaniem i zawieraniem kontraktów i ich realizacją, dało nadspodziewanie dobre wyniki. BISTYP zorganizował własną składnicę paszportów, co zapewniało elastyczność przy delegowaniu pracowników. Wkrótce uzyskał własne konto dewizowe we Frankfurcie nad Menem (RFN), na którym były gromadzone środki służące do obsługi zawartych kontraktów. Zyski były przeznaczone na zakup deficytowych w kraju materiałów, niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania przedsiębiorstwa zatrudniającego 600 pracowników. Należy pamiętać, że prowadzenie takiego konta w banku w Polsce nie pozwalało na swobodne dysponowanie dewizami. Praktycznie była to „czarna dziura”, w którą wpadała każda wpłata. Po 6 latach rezerwa własna BISTYP-u w banku we Frankfurcie wynosiła ponad 100000 dolarów, co w owym czasie dla tego typu firmy było kwotą znaczącą. Z tamtego okresu warto wymienić dwa bardzo dziwne zdarzenia, związane z ówczesną bankowością obowiązującą w PRL. BISTYP w Polsce miał od początku istnienia konto złotówkowe w PKO, a dewizy skąpo wydzielane dostawał czasami na jakieś potrzeby z Ministerstwa Budownictwa. Po otrzymaniu licencji zostało założone odrębne konto dewizowe w Banku PKO BH (tym walutowym) przy ul. Czackiego. Niezależnie, jak wspomniałem, zadbałem o utworzenie odrębnego konta BISTYP-u w banku we Frankfurcie nad Menem (w ówczesnym RFN). Po naradzie dyrekcyjnej uznaliśmy, że prowadzenie dwóch odrębnych kont w dwu bankach w Polsce nie ma sensu, więc wybrałem się razem z Głównym Księgowym do Dyrektora banku PKO SA i zaproponowaliśmy, że przeniesiemy do nich również złotowe konto BISTYP-u. Ku naszemu zdumieniu Bank odmówił. Druga sprawa dotyczyła trudności z wpłaceniem na własne konto BISTYP-u, w tymże banku PKO BH, szylingów austriackich przywiezionych przeze mnie z Wiednia. Normalnie rozliczenia z naszymi partnerami zagranicznymi odbywały się bezgotówkowo poprzez nasze konto w RFN, ale w tym przypadku, w czasie mojej wizyty u partnera w Wiedniu, otrzymałem czek do zrealizowania w wiedeńskim banku. W efekcie przywiozłem do Polski w kieszeni 30000 szylingów. Zgodnie z przepisami zgłosiłem na lotnisku w Warszawie ten fakt, wypełniłem stosowny druk i otrzymałem potwierdzenie wwozu wartości walutowych. Przywiezione pieniądze wraz z zaświadczeniem wwozu przekazałem w księgowości. I zaczęło się. Przez pół roku (a po tym

okresie zaświadczenie z granicy traciło ważność) Główny Księgowy BISTYP-u usiłował przekazać bankowi te nieszczęsne szylingi. Na szczęście udało się w ostatniej chwili. Do dziś nie rozumiem oporów banku i nie wiem jak wreszcie udało się to załatwić. Nie mam także pojęcia, co byśmy zrobili z pieniędzmi, jeżeli bank by ostatecznie ich nie przyjął. Oczywiście, nigdy więcej nie godziłem się na takie załatwienie płatności. W roku 1987 zakończyłem moją działalność „handlową”. Dotychczasowy sensowny dyrektor naczelny odszedł z BISTYP-u, a na jego miejsce nastąpił człowiek idący na pasku „przewodnej siły”. W wyniku dostałem propozycję „nie do odrzucenia”: przekazania funkcji dyrektora BHZ członkowi partii. Jednocześnie, zajmowane przeze mnie równolegle stanowisko naczelnego inżyniera objął inny pracownik BISTYP-u. Na otarcie łez zaproponowano mi wyjazd na Ukrainę (ówczesny ZSRR) i objęcie funkcji Kierownika Biura Nadzoru Autorskiego BISTYP-u nad budowę 12 chłodni do przechowywania warzyw. Ale to już inna historia. Po dwuletnim pobycie i powrocie z Ukrainy rozstałem się z BISTYP-em, ponieważ po dwu latach działania nowego dyrektora naczelnego, BISTYP znalazł się na skraju upadku. Także działania mego następcy dyrektora BHZ doprowadziły do zaniku własnej działalności eksportowej, ponieważ nie zawarto nowych kontraktów, a stare wygasły. Wydano także zapasy dewizowe.

Po zakończeniu dyrektorowania powróciłem do mojego zawodu projektanta. Jako projektant elektryk byłem współautorem wielu obiektów, od bardzo małych do olbrzymich zakładów przemysłowych. Były wśród nich jednorodzinne budynki mieszkalne, domy towarowe, ambasady, zakłady włókiennicze, cukrownia, zakłady przetwórstwa rolniczego, chłodnie, a także całe serie wytwórni prefabrykatów (t. zw. fabryk domów) oraz ciepłowni miejskich, a także dwóch kościołów. Moja praca projektancka znalazła wielokrotnie uznanie resortu budownictwa. Zostałem m.in. uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Złotą Odznaką za Zasługi dla Budownictwa.

W 1986 r. zostałem powołany na kierownika Biura Nadzoru Autorskiego nad realizacją, zaprojektowanych przez BISTYP, 12 chłodzonych przechowalni warzyw i kapusty na terenie wchodzącej w skład ZSRR ówczesnej Ukraińskiej Republiki. Realizacja obiektów była rozrzucona w promieniu 500 km na terenie Donbasu – ukraińskiego odpowiednika naszego Górnego Śląska. Obejmuje on rejony Doniecki i Ługański (w owym czasie Woroszyłowgradzki), czyli te tereny gdzie obecnie rezyduje armia rosyjska, zwana ironicznie separatystami. O znane mi doskonale jedyne w tym regionie cywilne lotnisko w Doniecku toczyły się ciężkie walki. Przechowalnie były projektowane i budowane sukcesywnie, przy czym kontrakt był zawarty przez BUDIMEX, a jego

realizatorami, jako podwykonawcami, były: BISTYP w zakresie dokumentacji i nadzoru autorskiego oraz trzy przedsiębiorstwa budowlane z Rzeszowa i Bydgoszczy współpracujące z szeregiem firm specjalistycznych. Moim zadaniem było zorganizowanie nadzoru autorskiego i sporządzenia dokumentacji powykonawczej. Prace organizacyjne trwały kilka miesięcy. W pierwszym rzędzie zadbałem o przygotowanie egzemplarzy dokumentacji niezbędnych do nanoszenia zmian powstałych w trakcie budowy.

Dla dwunastu obiektów, była to dwujęzyczna dokumentacja złożona z dokumentacji technologicznej, chłodniczej, architektonicznej, konstrukcyjnej, instalacyjnej i elektrycznej oraz drogowej, zawierająca olbrzymią liczbę tomów opatrzonych odpowiednimi naklejkami i stronami tytułowymi. Następnie tomy te sukcesywnie przewieziono na Ukrainę, po czym należało skompletować zespół międzybranżowy, który mógłby podjąć działania na miejscu. Jednakże wystąpiły problemy. Jak wspomniałem, projekty dla pierwszych lokalizacji obiektów, powstawały sukcesywnie wraz z rozpoczęciem robót. Przez wiele miesięcy nie można było oderwać od prac projektowych specjalistów BISTYP-u i wysłać ich na Ukrainę, bo wtedy stanęłyby prace projektowe dla reszty lokalizacji. Jednocześnie na miejscu niezbędna była obecność przynajmniej kogoś z branży budowlanej, ponieważ jak na każdej innej budowie potrzebne były wyjaśnienia i dodatkowe szkice sporządzane „od ręki” i pomagające rozwiązywać pojawiające się problemy wykonawcze. Ostatecznie problem został rozwiązany przez zaangażowanie architekta i konstruktora spoza BISTYP-u.

W celu całościowego uregulowania spraw związanych z prowadzeniem wymienionych budów, dyrekcja BISTYP-u postanowiła wysłać mnie na Ukrainę na dwa lata. Moim warunkiem zgody był wyjazd łącznie z żoną. BISTYP prowadził w tej sprawie negocjacje z BUDIMEX-em. BUDIMEX, jak każda inna centrala handlu zagranicznego w tego typu kontraktach, był dysponentem nie tylko dewiz (w tym przypadku rubli), ale i kwater dla polskich pracowników oddelegowanych do pracy na budowach. Miejsc w hotelach robotniczych było sporo. Natomiast problemem były mieszkania dla kadry kierowniczej i administracyjnej. Dla mnie i mojej żony musieli wygospodarować odpowiedni lokal i dlatego nie bardzo mieli ochotę na moje warunki. Rokowania BISTYP-u zakończyły się sukcesem. Otrzymałem dwupokojowe umeblowane mieszkanie w nowym bloku w miejscowości Pierwomajsk, w której zlokalizowany był jeden z placów budowy. Innym problemem wymagającym rozwiązania była sprawa mojego poruszania się pomiędzy poszczególnymi budowlami. Nie mogłem być skazany na dobrą wolę przedsiębiorstw wykonawczych. Ostatecznie BISTYP otrzymał talon na Fiata 125P i dokonał zakupu przeznaczonego dla

mnie samochodu. Ja natomiast stanąłem przed problemem jego użytkowania. Wprawdzie od wielu lat miałem prawo jazdy, zarówno ma samochód jak i na motocykl, ale o ile kiedyś jeździłem trochę na motocyklu, to za kierownicą samochodu nie siedziałem od czasu zdania egzaminu. Nie należałem do grona osób mających dostęp do talonów, a ponadto z pieniędzmi na zakup było krucho. Aby choć trochę się przygotować, zakupiłem 10 lekcji jazdy właśnie dużym Fiatem, wyjaśniając pani instruktorce moją sytuację. Po zakończeniu ostatniej jazdy usłyszałem, że mogę jeździć, ale ostrożnie i powoli. Na Ukrainę początkowo wyjechałem sam bez żony, zabierając dwu kolegów z branży budowlanej, którzy utworzyli załączek biura nadzoru autorskiego (1986). Ze względów mieszkaniowych i organizacyjnych ich siedzibą był Donieck. W tym rejonie najpilniejsze były potrzeby sporządzania uzupełniających rysunków budowlanych. Ponieważ mój wyjazd nastąpił w październiku, miałem zagwarantowany przyjazd do domu na Święta. Jednak samochód miał być dostarczony dopiero po Nowym Roku, więc początkowo korzystałem z uprzejmości delegata Budimexu, który dysponował terenową Ładą z kierowcą (sam nie miał prawa jazdy), oraz innych osób z kierownictwa budowy, dysponujących samochodami. W początku stycznia 1987 przyleciałem już z żoną, a niebawem kierowca z BISTYP-u przyprowadził samochód. Zostałem z Felkiem, tak nazwaliśmy z żoną nasz pojazd, sam na sam. Ukraina ma jeszcze chyba bardziej zmienny klimat niż Polska. W dzień mocno grzeje słońce i topi nocny lód na jezdniach. Gdy nie było słońca, jezdnie zamieniały się w lodowiska. Właśnie na takiej nawierzchni ujawnił się mój brak doświadczenia i wprawy kierowcy. Wprowadziłem samochód w poślizg, otarłem się bokiem o latarnię, a następnie uderzyłem w bok ciężarówki. Urwałem zawieszenie przedniego koła i samochód musiał być, zgodnie z wymogiem ubezpieczyciela, jakim była WARTA, przewieziony do naprawy do Polski. Na szczęście oboje z żoną mieliśmy zapięte pasy i poza ich śladami na ciele nic nam się nie stało. Zdarzenie miało miejsce w niewielkiej miejscowości – parterowe drewniane domy z ogródkami. Spotkaliśmy się z wielką życzliwością zarówno milicji i zwykłych ludzi. Samochód „przenocował” na podwórku pierwszego z brzegu domu. W pobliskiej bazie magazynowej udostępniono nam telefon, dzięki czemu mogliśmy zawiadomić kierownictwo budowy. Przyjechała po nas nyska. Następnego dnia milicja zorganizowała dźwig oraz transport samochodu do bazy w Słowiańsku (prawda, że ta nazwa brzmi znajomo w aspekcie ostatnich wydarzeń na Ukrainie), skąd za kilka dni pojechał do Polski. Wrócił naprawiony i służył bardzo dobrze na dziurawych drogach Donbasu, a na dodatek wzbudzał sensację, bo różnił się od ład. Ja natomiast zdobywałem szlify lepszego kierowcy. Z używaniem samochodu wiązała się jeszcze sprawa paliwa. W ramach kontraktu BUDIMEX otrzymywał co

miesiąc przydział talonów, za które można było kupować paliwo. Dopiero zdecydowana interwencja dyrekcji BISTYP-u unormowała tę sprawę i już do końca pobytu otrzymywałem odpowiednią ilość talonów.

Pierwszy rok pod względem zawodowym był pełen spieć na linii BISTYP – firmy wykonawcze, ponieważ było sporo opóźnień i wręcz braków szczegółów rozwiązań. W tej sytuacji, ja spełniałem niezbyt miłą rolę „piorunochronu” tłumacząc firmę i kolegów projektantów w Warszawie, a będąc na miejscu i widząc kłopoty wykonawców, w duchu przyznawałem im rację. Była to bardzo niekomfortowa sytuacja i tylko dzięki wsparciu żony jakoś ten okres przeżyłem. Na szczęście stopniowo obsada placówki BISTYP-u powiększała się, co ułatwiało załatwianie reklamacji na bieżąco. Niezależnie od starć zawodowych stosunki międzyludzkie układały się zadowolająco, a w wielu przypadkach nawet przyjacielsko.



Donbas 1987 – wspólne zdjęcie projektantów i wykonawców na tle ściany budowanej przechowalni - ja (nieco zasłonięty) w jasnej kurtce

Również stosunki z przedstawicielami zamawiającego, w tym z pełnomocnikiem ds. spraw dokumentacji, układały się bez zarzutu. W ramach kontaktów technicznych przeżyłem chwile dumy z polskiej pracy. Pod koniec realizacji jednej z przechowalni, na budowę przyjechała grupa inżynierów, aby zapoznać się z obiektem. Kierownik budowy poprosił mnie, abym był ich przewodnikiem, sam niezbyt dobrze radził sobie z rosyjskim. Ja posługiwałem się mową Puszkina nieco lepiej, więc

podjąłem się tej roli. Przechowalnie były przystosowane do ruchu wózków widłowych, musiały więc mieć bardzo równe posadzki, pomimo osadzonych w nich gęsto krtek nawiewających schłodzone powietrze. Oprawdając grupę usłyszałem za sobą cicho wypowiedziane zdanie, które sprawiło mi wielką satysfakcję. W wolnym przekładzie brzmiało ono tak: „popatrz jakie posadzki, jak bajka, kiedy my będziemy tak potrafili budować?”. Mieli rację, bo budowane przez Polaków obiekty przewyższały o niebo istniejące przechowalnie o podobnym przeznaczeniu.

Ponieważ byliśmy jedynym małżeństwem i dysponowaliśmy dwupokojowym mieszkaniem, u nas skupiało się życie towarzyskie.



Donbas 1988 - spotkanie w naszym mieszkaniu, w głębi gospodyni czyli moja żona, na pierwszym planie kierownik budowy w Stachanowie

Odwiedzali nas członkowie kierownictwa budowy, korzystając z przygotowywanych przez moją żonę poczęstunków. Punktem kulminacyjnym była organizacja u nas wigilii w grudniu 1988 roku. Uczestniczyło w niej kilkanaście osób. Problemem było zdobycie karpia (inne ważniejsze produkty przywieźliśmy wcześniej z Warszawy). Na poszukiwania wyruszył rezydujący w Pierwomajsku zastępca pełnomocnika BUDIMEX-u. Wykorzystując swoje znajomości wśród miejscowych władz, zdobył wprawdzie nie karpie ale nieduże bardzo ładne sumy. Żona przyrządziła je wspaniale, zapiekając w dużej ilości cebuli i w doskonałej ukraińskiej śmietanie. Zachęceni tak miło spędzoną wigilią postanowiliśmy wybrać się w sześć par na Sylwestra do Ługańska. W mieście tym był całkiem porządny hotel, który organizował imprezę sylwestrową.

Zamówiliśmy więc pokoje oraz stół w restauracji hotelowej. Nie pamiętam kosztów, ale dla nas, otrzymujących bardzo wysokie jak na miejscowe stosunki płace, koszty nie stanowiły problemu. Problemem był transport. Felek miał tylko pięć miejsc. Dyrekcja budowy zaoferowała Nyskę, ale nikt z potencjalnych pasażerów nigdy czymś takim nie powoził. Na odwagę zdobył się Marek, kolega konstruktor, który był już na miejscu. Zawodowy kierowca tego pojazdu dał mu jedną lekcję i pojechaliśmy. Wieczorem jadąc do Ługańska mieliśmy deszcz. Następnego dnia pogoda zmieniła się raptownie i jezdnie pokryły się lodem. Jak Marek dowiózł nas szczęśliwie po tej ślizgawce do dziś nie wiem? Po drodze nie spotkaliśmy żadnego pojazdu. Nie działała także komunikacja autobusowa. Sama impreza sylwestrowa była zorganizowana doskonale. Na sali nie wolno było palić papierosów, więc nie była ona zadymiona, a zalanych uczestników dyskretnie usuwano. Słowem pełna kultura. Nowy Rok opijaliśmy dwukrotnie. Najpierw wg czasu miejscowego, a potem po dwu godzinach polskiego. Przy sąsiednim stoliku siedziało towarzystwo, w którym byli lekarze z miejscowego szpitala z którego usług korzystali także pracownicy budowy. Zjawili się z butelką szampana, aby złożyć nam życzenia o 12:00 wg czasu polskiego.



Nysa z polskimi numerami na ulicy w Jalcie (1999)

Pobyć w obcym kraju skłaniał do wypadów krajoznawczych. Dysponując samochodem w ramach wyjazdów na poszczególne tereny budów, można było zobaczyć także ciekawe miejsca. M.in. w Starobielsku widzieliśmy monaster, w którym byli więźni Polacy, zanim zostali

zamordowani w Katyniu. Którejś niedzieli natomiast wyprawiliśmy się Felkiem zupełnie wycieczkowo nad morze Azowskie. Wzięliśmy także udział w zbiorowej wycieczce w trzy Nysy na Krym.

Zwiedziliśmy m.in. Jałtę i Bakczyseraj, a także, jakimś dziwnym zrządzeniem losu, nasza nyska została wpuszczona do Sewastopola, pomimo że był to tzw. „zakrytyj gorod” i na wszystkich drogach prowadzących do niego, daleko przed miastem były punkty kontrolne obsadzone przez marynarzy. Widocznie trafiliśmy na dowódcę warty przyjaźnie usposobionego do Polaków. Z wysokiego wzgórza mogliśmy zobaczyć port wojenny, w którym głównie widać było zardzewiałe kadłuby okrętów. Samo miasto jest ładnie położone, ma piękny bulwar nadmorski. Przy nim stoi na podmorskiej skale w odległości paru metrów od brzegu pomnik „Zatopionych Okrętów”. Pomnik został postawiony w tym miejscu, żeby upamiętnić zatopienie okrętów przy wejściu do zatoki podczas Wojny Krymskiej. Uniemożliwiono w ten sposób atak floty nieprzyjaciela. Na Krym wybraliśmy się ponownie po jakimś czasie – już tylko we dwoje, wykorzystując kilka dni mojego urlopu. Wtedy poleciliśmy samolotem do Symferopola, a z lotniska – autobusem do Jałty, gdzie zamieszkaliśmy w prywatnej kwaterze. Była przepiękna, kolorowa ciepła jesień. Przy okazji poznaliśmy sympatyczne małżeństwo – on potomek krymskiej arystokracji tatarskiej, w owym czasie zastępca dyrektora ogrodu botanicznego, a ona Sybiraczka. Ciekawe jak sobie radzą w obecnej sytuacji?

Latem 1988 r. mój następca w BISTYP-ie, Naczelnny Inżynier, wizytował budowy na Ukrainie. Towarzyszyło mu jeszcze dwu projektantów. Korzystając z niedzieli i pięknej pogody wybraliśmy się Felkiem nad Morze Azowskie (z Doniecka, gdzie przyjezdni koledzy i ja ich obwożący właśnie nocowaliśmy w hotelu, było raptem 100 km). Dojechaliśmy do miasteczka o nazwie Bierdiańsk, ale zamiast na plażę trafiliśmy do rybackiego portu. W porcie odbywała się ciekawa impreza – wesele rybackie. Zgodnie z miejscowym zwyczajem cały orszak, oprócz Młodej Pary, wszedł w ubraniach do wody. Obecnych gapiów, wśród nich i nas, częstowano „samogończykiem”. Nie był to zwykły bimber znany z Polski, ale doskonałe „brandy” zrobione z winogron. Należy wyjaśnić, że wtedy nie ja byłem kierowcą, ponieważ wcześniej zastąpił mnie na własną prośbę jeden z kolegów. Mogłem więc w pełni rozkoszować się poczęstunkiem. Po takim aperitifie znaleźliśmy restaurację, w której zjedliśmy obiad i dalej szukaliśmy plaży. Wreszcie, korzystając z rady napotkanych ludzi, trafiliśmy na całkiem pustą szosę, biegnącą piaszczystym półwyspem. Po przejechaniu kilku kilometrów znaleźliśmy świetnie miejsce do kąpieli. Odświeżeni i bardzo zadowoleni wróciliśmy do Doniecka. Nazajutrz spotkaliśmy się z pełnomocnikiem inwestora i opowiedzieliśmy o naszej niedzielnej wycieczce. Ten biedny człowiek

zrobił się zielony na twarzy i poinformował nas, że byliśmy o krok od usytuowanej właśnie na tym pustym półwyspie „wojenno-morskiej bazy”, a wstęp na półwysep jest surowo zakazany. Przypuszczam, że jego reakcja wynikała z faktu, że gdyby nas tam złapano on sam mógłby zmienić miejsce pobytu.

Wspominając pobyt na Ukrainie nie sposób pominąć sprawy ubikacji. Nie wiem jak wygląda sytuacja teraz. Mam nadzieję, że znacznie się poprawiła, bo pierwsze zwiastuny pojawiły się pod koniec naszego pobytu, czyli w październiku 1989 roku. Otóż, bez względu na rangę urzędu czy instytucji lub zakładu produkcyjnego, standardem była albo ubikacja typu tureckiego, czyli z dziurą w podłodze bez miski klozetowej, albo normalny sedes, ale zwykle bez deski, a za to wyposażony w dwa podwyższenia (zwykle z cegieł) po bokach, na których stawiało się nogi. Miało to zapobiec stawianiu na samej misce klozetowej. Oczywiście, nie było mowy o normalnym siadaniu. W takich przybytkach nie było żadnego papieru. Oprócz takich nowoczesnych, ze spuszczaną wodą, ubikacji w powszechnym użyciu były normalne drewniane, znane i z Polski, „sławojki”, usytuowane w terenie np. obok budynku w którym produkowano garmażerię. Byłem kiedyś goszczony w takim obiekcie, więc z konieczności zapoznałem się także z domkiem z serduszkami. Poza centrami miast większość zabudowy stanowiły osiedla złożone z parterowej, często drewnianej, zabudowy. Każdy domek otoczony niewielkim ogródkiem, pomimo wyposażenia w instalację wodno-kanalizacyjną nie miał wewnątrz WC. Drewniany „domek” zwykle stał w oddaleniu pod płótem i nie był skanalizowany. Tłumaczono nam, że tak jest lepiej, bo nie śmierdzi. Nowe bloki budowane w miastach, często po brutalnym zlikwidowaniu takich parterowych osiedli, oczywiście wyposażano już w normalne instalacje, łazienki i ubikacje. Mieszkaliśmy w jednym z takich nowo zbudowanych bloków. Poza tym, zaczęły w miastach pojawiać się normalne szalety, czyste i pachnące, ale „komercyjne” płatne 15 kopiejek. Te stare były straszne, ale bezpłatne.

Aby nie kończyć relacji o Ukrainie takim niebyt miło pachnącym tematem warto wspomnieć o ukraińskiej śmietanie. Był (jest?) to rewelacyjny produkt bardzo gęsty i smaczny oraz, o dziwo, mimo spożywania w dużych ilościach niewywołujący żadnych przypadłości żołądkowych. Inną specjalnością były piękne olbrzymie torty, niestety jak wszystko inne pakowane w gazetę. Biały papier pakowy był prawie nieznan. Polacy nie byliby sobą, gdyby nie odkryli, że na specjalne okazje, np. na Dzień Górnika lub na Rocznicę Rewolucji, w pobliskiej fabryce czekolady były produkowane wspaniałe torty „szachtorskie” (czyli torty górnicze). Wielki prostokąt o wadze chyba 2 kg miał wierzch i środek wykonany z doskonałej czekolady. Był to produkt ściśle reglamentowany,

ale udało się kilka takich torcików kupić. I tym smakowitym tematem wypada zakończyć wspominki o Ukrainie.

10 lat dziania na rzecz ochrony środowiska

W 1990 roku zmieniłem wykonywany zawód elektryka i podjąłem pracę sekretarza Zarządu Fundacji „Czysta woda”, której celem działania była troska o czystość wody w rzekach i zbiornikach wodnych. Na stan wód wpływa szereg czynników m.in. takich jak: odprowadzanie nieoczyszczonych ścieków do zbiorników i cieków wodnych, szafowanie nawozami sztucznymi i środkami ochrony roślin czy przedostawanie się do gleby i wód szkodliwych substancji wypłukiwanych z „dzikich wysypisk” przez opady atmosferyczne. Należy pamiętać, że 25 lat temu, w chwili powstania Fundacji, świadomość ekologiczna w społeczeństwie była na bardzo niskim poziomie. Może o tym świadczyć np. budowa przez dwie sąsiadujące gminy dwu odrębnych wysypisk odpadów komunalnych. Dlatego głównym kierunkiem działania Fundacji było szerzenie wiedzy ekologicznej. W tym celu Fundacja nawiązała współpracę z wieloma partnerami. Zarząd Fundacji uznał za jedno z ważniejszych działań szerzenie wiedzy proekologicznej wśród dzieci i młodzieży. Dlatego nawiązano współpracę z wybranymi przedszkolami i szkołami, wspierając finansowo różne akcje informacyjne i ciekawe konkursy. Ponieważ szereg uczelni w Polsce kształci młodzież na kierunkach związanych z ekologią, Fundacja organizowała coroczne konkursy na najlepsze prace dyplomowe związane z ochroną środowiska. Innym ważnym partnerem fundacji był Związek Harcerstwa Polskiego.



Obszary działalności Fundacji „Czysta woda” oraz uroczyste spotkanie ze sponsorami z okazji 10-lecia działalności tej Fundacji.

W kłapie mam wpiętą Złotą Odznakę.

Fundacja wspierała materialnie szereg proekologicznych akcji harcerskich oraz fundowała nagrody w corocznym konkursie na „EKO-

OBÓZ”, a także finansowała przez kilka lat jedną z nagród (o tematyce związanej z ochroną środowiska) w Międzynarodowym Konkursie organizowanym przez Stowarzyszenie Wynalazców i Racjonalizatorów – byłem członkiem Sądu Konkursowego. Jednym z ważniejszych zadań zrealizowanych staraniem Fundacji było wyposażenie Ojcowskiego Parku Narodowego w trzy kontenerowe szalety z bieżącą wodą, kanalizacją i oświetleniem.

Po ukończeniu w 1995 r. 65. roku przeszedłem na emeryturę. W związku z tym ze względów formalnych musiałem zmniejszyć wymiar pracy w Fundacji, co nie oznaczało zmniejszenia mego zaangażowania w propagowanie proekologicznych działań w społeczeństwie. Z tego tytułu w roku 1995 otrzymałem Złotą Odznakę za zasługi dla ochrony środowiska i gospodarki wodnej.

Pracę zawodową starałem się łączyć z pracą społeczną. W czasach PRL-u, omijając szerokim łukiem „jedynie słuszną siłę przewodnią”, skupiłem się na działaniu w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich. Jestem członkiem SEP od 1958 roku. W trakcie pracy w Centralnym Ośrodku Badawczo Projektowym Budownictwa Przemysłowego „BISTYP” byłem inicjatorem zorganizowania zakładowego Koła SEP i pierwszym jego Przewodniczącym w latach 1962-64. W latach 1968 – 1980 działałem jako Sekretarz Centralnej Komisji Wynalazczości i Racjonalizacji przy ZG SEP.



Posiedzenie Centralnej Komisji wynalazczości SEP – pochylam się nad Przewodniczącym Komisji (w okularach)

W latach 1970 – 1980 z ramienia ZG SEP byłem członkiem Centralnego Sądu Konkursowego Turnieju Młodych Mistrzów Techniki. W roku 2006 współorganizowałem Walne Zgromadzenie Delegatów Oddziału Warszawskiego SEP. Byłem Sekretarzem Zarządu Koła 536 w kadencjach 1997-2001 i 2001-2005, a od roku 2006 jestem członkiem Komisji Rewizyjnej. W latach 2001 – 2006 byłem członkiem Kolegium Sekcji Instalacji i Urządzeń Elektrycznych przy Oddziale Warszawskim, a od 2006 roku jestem członkiem Centralnego Kolegium Sekcji Instalacji i Urządzeń Elektrycznych przy Zarządzie Głównym SEP. Od roku 1962 jestem członkiem Polskiego Komitetu Oświetleniowego SEP. W latach 1970-1976 byłem Przewodniczącym Komisji Oświetlenia Przemysłowego. Za swoją pracę w SEP-ie otrzymałem: Srebrną i Złotą Odznakę Honorową SEP, Srebrną i Złotą Odznakę Honorową NOT oraz w roku 2014 Diamentową Odznakę Honorową NOT.

Przelewanie słów na papier

Podczas prawie całej pracy zawodowej zajmowałem się publikowaniem poradników technicznych. W czasie pracy w BISTYP-ie były to "Poradniki projektanta przemysłowego". Niezależnie współpracowałem z wydawnictwem MURATOR i byłem współautorem szeregu poradników. Przy tej okazji zostałem laureatem szeregu wyróżnień, np.: Nagroda Ministra Budownictwa, Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej za opracowanie „Poradnika majstra budowlanego” – 1992; Wyróżnienie Ministra Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa za „Vademecum budowlane” – wyd.1994; Wyróżnienie Ministra Infrastruktury za „Vademecum budowlane – wyd. 2003”; Wyróżnienie Ministra Infrastruktury za „Nowy poradnik majstra budowlanego” – 2004.

W czasie pracy w Fundacji „Czysta woda” publikowałem moje teksty w miesięczniku "Eko problemy". Kontynuowałem również współpracę z szeregiem innych wydawnictw takich jak "Elektroinstalator", "Elektro-Info", "Budownictwo i prawo", "Administrator", "Dom i zagroda", "Ekspert budowlany", "Doradca energetyczny", "Energia i budynek", "Kalejdoskop budowlany", Dachy, "Forum budowlane", "Przegląd budowlany", "Instalacje elektryczne w praktyce", "Warunki techniczne wykonania i odbioru instalacji elektrycznych w praktyce", "Murator", "Ładny dom", "Domy jednorodzinne", "Moje mieszkanie". Z kilkoma z nich współpracuję do dziś.

W dorobku pisarskim mam także szereg publikacji książkowych. Ważniejsze z publikacji to: "Poradnik konserwatora urządzeń oświetleniowych", "Vademecum budowlane", "Poradnik kierownika budowy", "Poradnik majstra budowlanego", "Poradnik mistrza budownictwa wiejskiego", "Moje bezpieczne instalacje - Instalacje elektryczne w budynkach mieszkalnych", "Instalacje elektryczne

w budownictwie jednorodzinym", "Grzejnictwo elektryczne", "Bezpieczny dom rodzinny – Instalacje elektryczne" – tom I i II, "Alternatywne źródła – energia odnawialna", "Vademecum eksploatacji i konserwacji urządzeń oświetleniowych", "Warunki techniczne wykonania i odbioru instalacji elektrycznych w praktyce", "Vademecum – Elektryczność w budynkach"

Historia lubi zataczać kręgi

Przykładem może być historia naszego małżeństwa. Moją żonę poznałem w okresie w którym wyrzucona wraz z rodzicami przez komunistów z własnego warszawskiego mieszkania, mieszkała w wynajętym małym mieszkanku w Podkowie Leśnej. Nasz okres narzeczeński oraz pierwszy rok po ślubie wiąże się z tym Miastem-Ogrodem. W Podkowie Leśnej 5 lipca 1955 roku wzięliśmy ślub cywilny (kościelny odbył się 31 lipca 1955 r. w Kościele Akademickim pod wezwaniem Św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie). W 2015 roku nasze dzieci zrobiły nam wspaniałą niespodziankę urządzając uroczyste spotkanie z okazji naszego 60- lecia czyli Diamentowych Godów, a na miejsce spotkania rodzinnego wybrały restaurację w Podkowie Leśnej.



60 lat minęło jak my z naszymi dziećmi. Z lewej Monika, z prawej Beata, za nami od lewej Robert i Jacek oni także od lat mają swoje rodziny

Wojciech Śliwiński



**Moja przygoda
z elektrotechniką i nie tylko**

Życie w akademiku.

Przyjazd do Warszawy w roku 1953, aby rozpocząć studia na wymarzonej Politechnice Warszawskiej, otworzył, zapewne nie tylko u mnie, prawdziwie nowy rozdział życia. I nie chodzi o to, że była to sprawa przeniesienia się do stolicy, miasta wówczas już chyba prawie milionowego, bo pomiędzy Warszawą a moim rodzinnym Płockiem nie było różnicy cywilizacyjnej.

Płock, w którym ukończyłem szkołę podstawową i liceum, był wprawdzie wtedy miastem tylko 40–tysięcznym, ale miastem „z prawdziwego zdarzenia”, z prawie tysiącletnią historią, niegdyś także stolicą Polski. Jednakże Warszawa znacznie różniła się od mego miasta rozległością, dużym ruchem ulicznym oraz komunikacją tramwajową, autobusową i trolejbusową, której u nas nie było. Wprawdzie, jak pamiętam z dzieciństwa, podczas okupacji(!) w Płocku jeździł autobus, nawet czasami dwuczłonowy, łącząc przez most właściwe, prawobrzeżne miasto z lewobrzeżnym przedmieściem. Niestety po wyzwoleniu ten luksus został zlikwidowany.

Jeśli już wypowiedziałem słowo „most”, to nie od rzeczy będzie dodać, że otwarty tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej płocki most drogowo-kolejowy o długości prawie 700 metrów jest pierwszym w Polsce mostem pochyłym. Różnica wysokości pomiędzy jego końcami wynosi ok. 10 m. Każde z jego 7 przęseł jest inne. Gdy po wojnie przystąpiono do jego odbudowy po wysadzeniu trzech przęseł przez wycofujących się Niemców, zapomniano o tym istotnym fakcie i przysłano z hut śląskich jednakowe elementy tych przęseł. Oczywiście zostały one zwrócone na Śląsk, a odbudowa mostu niestety się przeciągnęła. Został on oddany do użytku dopiero w maju 1950 roku.

Rozpisałem się o Płocku, ale chyba to zrozumiałe w przypadku miasta swego dzieciństwa. Pora więc wrócić do Warszawy. Jak już wspomniałem, zostałem „wrzucony” w całkiem nowy żywioł ruchliwego miasta i w nowe otoczenie towarzyskie. Razem ze mną na Wydziale

Elektrycznym PW stawili się jeszcze czterej koledzy, z którymi razem zdałem maturę w Liceum im. Władysława Jagiełły (niestety w okresie mojej nauki aż do roku 1956 nosiło ono nazwę „11-letniej Ogólnokształcącej Szkoły TPD w Płocku”) powszechnie znanym w Płocku jako „Jagiellonka”. Byli to: Staszek Grefkowicz, Mirek Zajdel, Jurek Żukowski i Jurek Borensztajn, który pod koniec studiów zmienił nazwisko na Borecki. Na nasz rok trafiła także inna osoba z Płocka, ale z Liceum im. Marszałka Stanisława Małachowskiego (Małachowianki). Była to Basia Meller.

Nie mam jak inni koledzy żadnych wspomnień z egzaminu wstępnego, bowiem razem z maturą otrzymałem dyplom „Przodownika nauki i pracy społecznej”, uprawniający do wstępu na każdą uczelnię bez egzaminu. W takiej samej sytuacji byli Staszek Grefkowicz i Basia Meller.

Na początek otrzymałem od Uczelni stypendium, niestety tylko częściowe, oraz, co najważniejsze – miejsce w akademiku. Niektórzy moi znajomi i koledzy niespecjalnie zazdrościli mi tego sukcesu, bowiem miałem wprawdzie zamieszkać w „renomowanym” akademiku przy placu Narutowicza, ale w pokoju 12-osobowym na piątym piętrze. Był to pokój nr 509, nad którym był tylko taras. Mnie osobiście takie zagęszczenie w pomieszczeniu mieszkalnym niezbyt przeszkadzało. Takie warunki mieszkaniowe bardzo różniły się od sytuacji w moim domu rodzicielskim, ale jako były uczestnik obozów harcerskich, w których były naprawdę iście spartańskie warunki bytowania, mogłem z łatwością „z marszu ” przystosować się do tej sytuacji. Tak się szczęśliwie stało (do dziś nie wiem jak), że do tego samego pokoju dostał przydział także Staszek Grefkowicz, mój serdeczny przyjaciel z Jagiellonki, z którym poznaliśmy się jeszcze w roku 1949, gdy na dziedzińcu oczekiwaliśmy na wstępną rozmowę przed przyjęciem do tej szkoły. Nota bene, pamiętam, że rozmawiał ze mną dyrektor Liceum i spytał, czy znam „takiego pana z dużą brodą”. Oczywiście chodziło o Marksa, więc uradowany odpowiedziałem, że wiem, kto to jest.

Do dzisiaj pamiętam jakich mieliśmy współlokatorów. Otóż po prawej stronie pokoju były cztery łóżka pojedyncze, zajmowane kolejno, licząc od strony drzwi, przez Franka Dudkowskiego, Jurka Busłowicza, przeze mnie i Staszka. Po przeciwnej stronie stały łóżka piętrowe, a na nich spali, kolejno, licząc też od strony drzwi, na dole Fredek Bronicz, nad nim Wiesiek Adamczyk, dalej na dole Wacek Bartoszczuk, nad nim Józek Berczyński, następnie na dole Rysiek Gąska, a nad nim Tadek Majewski (doszedł do naszej kompanii nieco później) i ostatnia para to na dole Józek Klocek, a nad nim Jasio Bielec.



Mieszkańcy pokoju 509. Od dołu i od lewej: Tadek Twardowski (gość), Fredek Bronicz, autor, Wacek Bartoszczuk, Janek Bielec, Wiesiek Adamczyk, Staszek Grefkowicz, Józek Klocek, Jurek Sidorowicz, Tadek Pieczykolan, Jurek Busłowicz, Franek Dudkowski

Początkowo mieliśmy także innych lokatorów, na przykład Tadek Pieczykolan i niejaki Pyż, ale oni szybko wykruszyli się z szeregów studenckich. Mieszkał z nami także jakiś czas Jurek Sidorowicz, ale nie mam pojęcia, kiedy i do którego pokoju się przeprowadził. Warunki bytowania w naszym pokoju jak na dzisiejsze czasy były dość prymitywne. Mieliśmy tylko dwie umywalki, jedną szafę i jeden stół. Za to były dwa okna, jedno duże z widokiem na ulicę Mochnackiego, a drugie po prawej stronie obok umywalek – z widokiem na południowy duży taras akademika. Mieliśmy także dodatkowe drzwi po prawej stronie, wychodzące na mały taras, z którego można było zeskoczyć na dach sąsiadującego z nami akademika przy Mochnackiego 8.

Cały zbudowany przed wojną kompleks akademika przy placu Narutowicza, nadal funkcjonujący, był bardzo dobrze pomyślany. Dom przy ulicy Akademickiej 5 był wyposażony w dwie windy, jedną szybką osobową i drugą towarowo-osobową, jeżdżącą z taką prędkością, że idąc po schodach szybciej docierało się na ósme piętro niż ten „ekspres”. Na parterze mieliśmy sklep spożywczy, do którego bardzo często zachodziliśmy na rogalą i śmietankę w buteleczce 250 ml ze „złotym”

kapslem. Było to wspaniałe urozmaicenie w naszym codziennym jadłospisie, serwowanym przez stołówkę znajdującą się vis a' vis sklepu. Najważniejszym obiektem na parterze była sala gimnastyczna (dość duża), w której odbywały się zajęcia z wufu, mecze akademickich drużyn siatkówki i koszykówki. Ale dla nas znacznie ważniejsze były inne imprezy, odbywające się w tej sali. Były to niedzielne, chyba comiesięczne poranki muzyczne w wykonaniu Małej Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Warszawskiej, jeszcze wówczas nie Narodowej pod dyrekcją Stefana Marczyka. Z tych koncertów szczególnie zapadło mi w pamięci wykonanie pierwszy raz przeze mnie słyszanego „Piotrusia i wilka” Prokofiewa. W sali tej systematycznie były organizowane także wieczorki taneczne z „żywą” muzyką w wykonaniu różnych zespołów – bandów. Między innymi przyjeżdżał do nas dobrze znany wtedy polskim melomanom zespół Zabieglińskiego z Łodzi. Nie muszę dodawać, że na te wieczorki przychodziło dużo dziewcząt z okolicznych domów na Ochocie, a może i z innych dzielnic.

W podziemiach gmachu mieliśmy łaźnię z kilkunastu stanowiskami natryskowymi, do których oczywiście było zawsze, zwłaszcza w końcu tygodnia, wielu chętnych, bo mieszkańców całego kompleksu akademika było przecież co najmniej kilkuset. Był tam także basen, wprawdzie nie o wymiarach olimpijskich, bo miał chyba ok. 20 m, ale można było czasami w nim popływać, a to była dla nas niewątpliwa atrakcja. Nie od rzeczy wspomnieć przy tej okazji, że pod prysznicami można było spotkać w stroju adamowym cały przekrój roczników naszego Wydziału, w tym aktualnych asystentów (wtedy jeszcze studentów) i przyszłych profesorów. Na terenie kompleksu akademickiego funkcjonowała także pralnia i prasownia, o której istnieniu dowiedzieliśmy się trochę później, a z której wielu z nas chętnie korzystało.

Pora wrócić do pokoju 509. Aż dziw, że pomiędzy dwunastoma chłopakami pochodzącymi z różnych rejonów kraju i z różniących się środowisk, mieszkających przez wiele miesięcy na bardzo małej powierzchni (chyba około 1 metr kwadratowy na osobę), nigdy nie doszło do zatargów. Może i były czasami jakieś spięcia, sprzeczki, ale musiały to być bardzo drobne incydenty, bo nie mogę sobie ich przypomnieć. Największy kłopot sprawiał nam niedostatek przyzwoitych warunków do nauki. Można było tylko czytać notatki z wykładów i jakieś podręczniki, z którymi, zwłaszcza na początku naszych studiów, było bardzo krucho, leżąc lub siedząc na swych łóżkach. I to pod warunkiem, że była względna cisza, nikt wtedy nie opowiadał kawałów, czy też nie słuchał radia. Tak naprawdę radia u nas nie było (to był w tamtych czasach produkt luksusu i pożądanie w całym kraju), tylko głośnik zwany „kołchoźnikiem” podłączony do centralnego radiowęzła akademika. Właściwie ten głośnik był zazwyczaj

wyłączony, bardzo rzadko z jego „usług” korzystaliśmy. Pamiętam, że słuchaliśmy go ze szczególną uwagą w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w roku 1954, z których Polskie Radio przeprowadzało transmisje. Wszystkich nas interesowały przede wszystkim występy reprezentacji Węgier, która, zwłaszcza po wygranej jeszcze przed mistrzostwami „meczem stulecia” z Anglią w stosunku 6:3, była powszechnie uważana za najlepszą drużynę świata. I tak w trakcie tych mistrzostw było. Węgrzy szli jak burza, wygrywali po drodze ze wszystkimi rywalami jak chcieli. Także w fazie grupowej z Niemcami (to była reprezentacja RFN) łatwo wygrali w stosunku 8:3. Byliśmy rozczarowani i długo niepokieszeni, gdy w finale, w którym jak wszyscy sądzili zwycięstwo jest tylko formalnością, Węgrzy przegrali chyba po dogrywce. Było to wielkie zaskoczenie dla całego ówczesnego świata piłkarskiego. Ta przegrana reprezentacji jednego z „krajów demokracji ludowej” była także odczytana jako porażka całego naszego obozu. Naturalnie słuchaliśmy także często z rumieńcami na twarzy transmisji z etapów Wyścigu Pokoju w oczekiwaniu na sukcesy naszych kolarzy.

Najbardziej interesującą postacią w naszym pokojowym towarzystwie był niewątpliwie Wiesiek Adamczyk, a to z powodu swojej przeszłości wczesno-młodzieńczej. Poznaliśmy ją (może to za mocne określenie) po tym, jak złożył mu w akademiku wizytę sekretarz organizacji partyjnej na naszym Wydziale, tow. T. Okazało się, że o każdym z nas organizacja partyjna i zapewne ZMP-owska wiedziały wszystko z detalami. Gość wywołał Wiesia z pokoju i (według relacji Wiesia) „uświadamiał” go przekonując, jak paskudne było tuż po wojnie „zbrodnicze podziemie” i jakim wspaniałym ustrojem jest socjalizm, który właśnie budujemy, jakie wielkie są już nasze dokonania. Podobno powiedział m.in. – „Zobaczcie kolego, jak się Nowa Huta buduje”. To był argument, który z pewnością każdego by ustawił „w pionie”. Oczywiście wszyscy byliśmy zaintrygowani tą wizytą i zachęciliśmy Wiesia do wyjawienia jej powodu i opowiedzenia o swoich perypetiach życiowych przed wstąpieniem na Politechnikę. Nie do mnie należy przedstawienie ich w moich „Okrucach”, bo on sam prawdopodobnie zrobi to w swoich. W każdym razie okres jego życia spędzonego m.in. w Jaworznie i wydarzenia tam mu towarzyszące, opowiedziane w atrakcyjnej dla nas, którzyśmy tego sami nie doświadczyli, dalekiej od akcentów martyrologicznych, często bardzo dowcipnej formie, był tematem wielu naszych wieczornych rozmów.

Drugą spośród nas osobą, którą chciałbym w tym miejscu wspomnieć jest Jurek Sidorowicz. Przyszedł do nas spod Białegostoku ze wsi Bacieczki, która teraz jest częścią tego miasta. Opowiedział nam o swym zamiłowaniu do „majsterkowania”, które stało się w pewnym momencie przyczyną jego tragedii. Podobnie jak wielu nastoletnich

chłopców zbierał razem ze swymi rówieśnikami pozostałości po wydarzeniach bojowych zalegające tuż po wojnie, a także, niestety, jeszcze przez wiele lat na wielu polach naszego kraju. Któregoś dnia znaleźli oni pocisk artyleryjski, a może minę, i oczywiście chcieli zobaczyć, co jest w środku. Ta ciekawość skończyła się dla niego utratą lewej (?) stopy. Jurek od tej pory był skazany na korzystanie z protezy, którą posługiwał się bardzo sprawnie. Tylko wprawne oko mogło dostrzec, że nasz kolega lekko utyka. Jurek należał niewątpliwie do prekursorów energetyki wiatrowej. Jego wieś nie była jeszcze wtedy zelektryfikowana, więc zaprojektował elektrownię wiatrową. Śmigło drewniane (nie wiem, kto je „wystrugał”) umieszczone na sztycy wyższej od domu napędzało prądnicę samochodową (?), która ładowała baterię akumulatorów, a do tej podłączone było kilka żarówek, chociaż trochę rozjaśniających główne pomieszczenia zwłaszcza w długie wieczory zimowe. Z kolei w naszym pokoju popisał się „wynalazkiem”, który był przedmiotem podziwu komisji wizytującej pewnego dnia pokoje zamieszkałe przez studentów Wydziału Elektrycznego, w celu zapoznania się z ich warunkami bytowymi. Ponieważ w pokoju nie mieliśmy budzika, Jurek zbudował nam takowy w elektrycznej wersji. Wykorzystał do tego przywieziony ze swego domu miniaturowy nakręcany zegar ścienny, na którego tarczy umieścił kawałek miedzianego drutu przesuwanego w strefie kilku stopni, dołączonego do jednego bieguna płaskiej baterii. Do drugiego bieguna podłączył dzwonek i werk zegarka. Elektrycy już się domyślają, co się stało, gdy duża wskazówka zetknęła się z drucikiem na cyferblacie.

Jak już powiedziałem, warunki do nauki były u nas nieszczególne. Dlatego, aby w spokoju coś przeczytać czy też przygotować się do kolokwium lub egzaminu, najczęściej szliśmy do „PCN”-u lub do „GML”-u. Były to kryptonimy „pokoju cichej nauki”, takowy był na każdym(?) piętrze oraz „gabinet marksizmu-leninizmu” znajdujący się na pierwszym piętrze. W GML-u można było skorzystać z wyboru książek poświęconych wiadomej tematyce, ale nie widziałem, aby ktoś z tej możliwości korzystał. Natomiast obowiązywała tam cisza, która sprzyjała skupieniu się nad właściwą lekturą.

Wspólne mieszkanie w jednym pokoju tylu osób miało jednak w sprawie uczenia się wielką zaletę. Przecież nie wszystko, czego musieliśmy się nauczyć, było dla wszystkich jasne, wystarczająco zrozumiałe. W takich sytuacjach nasza wspólnota stanowiła prawdziwe gremium konsultacyjne. Zawsze był wśród nas ktoś, kto mógł pomóc w wyjaśnieniu zawiłych kwestii naukowych.

W okresie zamieszkiwania w pokoju 509 kilku z nas prawdziwie dowartościowało się kulturalnie. Wspólnie wybieraliśmy się do teatrów, których przecież w naszych rodzinnych miastach nie było. Płock mógł się

akurat poszczycić posiadaniem stałego teatru (występowała w nim między innymi Mira Zimińska, znana później zwłaszcza jako szefowa Mazowska), ale tylko do wybuchu wojny, w czasie której spłonął. Szczególnie ulubionymi naszymi wycieczkami teatralnymi były wypadki do Operetki Państwowej, mieszczącej się wtedy przy ulicy Puławskiej, niedaleko od ówczesnego kina Moskwa. Do dzisiaj pamiętam świetne przedstawienia operetek Offenbacha – „Piękna Helena”, i „Orfeusz w piekle” czy też „Domek trzech dziewcząt” – składankę opartą na melodiach Schuberta. Niezapomniane są dla nas występy na tej scenie prawdziwie pierwszej divy operetki polskiej Beaty Artemskiej oraz Elżbiety Zakrzewskiej. Ta druga łączyła karierę śpiewaczki z uprawianym równocześnie zawodem dentystki. Niekwestionowanym pierwszym amantem na tej scenie był Mieczysław Wojnicki, który produkował się także na estradach, jako wykonawca popularnych piosenek takich jak „Kaczuszka i mak” i „Jabłuszko pełne snów”.

W następnych latach (t.j. po pierwszym roku) mieszkałem i w innych pokojach - przy Akademickiej 5 i pod innymi adresami – Mochnackiego 8 i Grójecka 39 , a na koniec przy Księcia Janusza – ale najsilniejsze wspomnienia pozostały mi z okresu mieszkania w pokoju 509, czyli w „apostołce”. Z perspektywy tych kilkudziesięciu lat, jakie upłynęły od tamtych dni stwierdzam, że pobyt w akademikach był chyba najlepszym epizodem mego życia.

Zajęcia na studiach.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego nasz rok jako jedyny rozpoczął zajęcia 1. września, a nie jak inne roczniki 1. października. Mogę się tylko domyślać, że była to dodatkowa szansa dla rozpoczynających z nami naukę ośmiorga Koreańczyków, aby jeszcze bardziej oswoili się z językiem polskim. Ten dodatkowy w normalnym toku studiów miesiąc był chyba także korzystny dla kilku kolegów, którzy przyszli na nasz rok po ekspresowym zdaniu matury na tzw. Uniwersyteckim Studium Przygotowawczym. Była to instytucja powołana przez władzę ludową, przeznaczona dla wybijających się przodowników pracy, posiadających tylko wykształcenie podstawowe, aby mogli zdobyć wykształcenie wyższe. Trzeba powiedzieć, (mam nadzieję, że nikogo nie obrażę), że przygotowanie większości tych kolegów do studiowania na Politechnice odbiegało od poziomu wiedzy absolwentów liceum. Były jednak wśród nich jednostki bardzo zdolne, które nie potrzebowały dodatkowego czasu na „podciągnięcie się”. Jednym z nich był niewątpliwie mieszkający z nami Jasio Bielec, prawdziwa „matematyczna głowa”.

Pierwszym wydarzeniem po rozpoczęciu naszego roku akademickiego, które powinno chyba pozostać na zawsze zapamiętane, ale nie zostało, była immatrykulacja. Odbyła się ona w audytorium chyba

fizycznym. Możliwe, że uczestniczył w nim ówczesny Dziekan Wydziału profesor Czesław Mejro, ale też tego nie pamiętam. Natomiast bardzo dobrze pamiętam wystąpienie znacznie starszego od wielu z nas kolegi Andrzeja Zadory. Przedstawił się on jako „partorg” na naszym roku. Zapewne to określenie zostało już przez wielu z nas całkiem zapomniane, więc przypomnę, że oznaczało ono „partyjnego organizatora”. Było to przeniesienie terminologii i funkcji wprost ze Związku Radzieckiego. Otóż nasz „partorg” apelował, abyśmy przykładali się do nauki, którą umożliwia nam ludowe państwo. Dla podkreślenia wagi tej sprawy ostrzegł: „bumelantów będziemy stawiać na piedestał”.

Rocznik nasz liczący ponad 150 osób został podzielony na 6 grup. Ja razem ze Staszkiem Grefkowiczem, Władkiem Torbiczem, Januszem Strzyżewskim, Jurkiem Sidorowiczem, Zosią Tyburską, Wiesią Szustkiewicz, Władkiem Szmidlem, Andrzejem Ryszką, Tadzkiem Stenckim (po pierwszym roku przeszedł na Łączność) byliśmy w grupie piątej. Na czele (?) każdej grupy stał jej starosta – w naszej Andrzej Ryszka. Nie mam pojęcia, czym się kierowały władze Wydziału obdarzając właśnie te a nie inne osoby tą funkcją. Zadaniem podstawowym starosty, jeśli nie jedynym, było pilnowanie dyscypliny uczęszczania na zajęcia. Każdy z nich miał kajet, w którym odnotowywał obecność swych „podopiecznych”. Andrzej był fajnym chłopakiem i prawdopodobnie nie wszystko chciał widzieć, dzięki czemu chyba nikt z naszej grupy nie poniósł konsekwencji za nieobecność.

Wykaz przedmiotów wykładanych na I semestrze rozczarował mnie. Mieliśmy matematykę, moją ulubioną fizykę, mechanikę (teoretyczną), podstawy marksizmu-leninizmu (a jakże), rysunek techniczny, ale nie było niczego z wybranego przeze mnie kierunku, czyli z elektrotechniki. Takie zajęcia pojawiły się dopiero na II semestrze w postaci Podstaw Elektrotechniki.

Całkiem odrębnym przedmiotem, jeśli tak można powiedzieć, były zajęcia na Studium Wojskowym. Oczywiście dotyczyło to tylko męskiej części rocznika. Odbywały się one w soboty w godzinach od 7:30 do 20:00 w gmachu Starej Kreślarni. Nawet byłem zadowolony, że nas „wcielono do wojska”, bo jako były harcerz lubiłem nosić mundur, uczestniczyć w musztrze, defilować, brać udział w wycieczkach do lasu, w podchodach, stać na nocnej warcie na obozie w ciemnym lesie, w którym fruwały robaczki świętojańskie. Jednak od razu zostałem sprowadzony na ziemię. Zaczęło się od mundurów. Kazano nam założyć nie mundury wojskowe, lecz kombinezony, wprawdzie koloru khaki, ale z jednym felerem. Były one wyposażone w klapę zasłaniającą tylną część ciała, która często bez wiedzy „wojaka” odpinała się. Widok był prawdziwie zabawny, gdy podczas przerwy obiadowej biegliśmy z taką odpiętą klapą do tramwaju, aby jak

najszybciej dotrzeć do stołówki w akademiku przy Narutowicza. Poza tym od tych „mundurów” i kamaszy unosił się specyficzny wojskowy zapaszek, żeby nie powiedzieć smród. Sytuacja z naszym umundurowaniem poprawiła się na trzecim (chyba?) roku, gdy otrzymaliśmy już prawdziwe mundury polowe i pasy, a na okres zimowy normalne płaszcze sukienne.



Studium Wojskowe



Szkoła Oficerska

Zajęcia w salach prowadzili oficerowie rezerwiści. Nie pamiętam, aby był choć jeden oficer w służbie czynnej poza komendantem całego Studium w randze pułkownika. Nasi „wykładowcy” przeważnie nie błyszczeli inteligencją i często można było sobie robić z nimi (jak to się teraz mówi) jaja. Do legendy przeszedł specjalista od terenoznawstwa, który chcąc podkreślić wagę tego przedmiotu dał nam „przykład z ostatniej wojny”. Otóż żołnierz dostał zadanie bojowe i dzięki znajomości terenoznawstwa wykonał je. Taki przykład dosłownie nas powalił. Zajęcia popołudniowe – była to tzw. nauka własna, podczas której powinniśmy dobrze sobie przyswoić usłyszane wcześniej nauki. Oczywiście nikt tak tych godzin nie wykorzystywał. Dla zabicia czasu opowiadaliśmy sobie kawały, oczywiście jak to w męskim towarzystwie najczęściej bardzo pieprzne, graliśmy w karty lub w salonowca. Pamiętam, że gdy Janek Figura dostał „klapsa” wymierzonego przez mocnego Andrzeja Zadorę, to z „radości” obiegł całą salę. Oprócz zajęć w salach ćwiczyliśmy także na Polu Mokotowskim, na które szliśmy całą kompanią Alejami Niepodległości w szyku zwartym. Nasze dzieci, a zwłaszcza wnuki nie mogą chyba sobie wyobrazić takiej sytuacji.

Nasza studencka przygoda z wojskiem miała swój epilog na obozie w Morągu na Mazurach. Na ten obóz wyruszyliśmy ustawieni w czwórki spod Politechniki, maszerując ulicami Warszawy (taki duży ruch uliczny na to pozwolił) na drugą stronę Wisły do stacji Warszawa–Praga. Tam czekały na nas wagony towarowe z gołą podłogą, bez chociażby jakiejś ławki.

Podróż miała się odbyć nocą, aby więc można było jako tako wygodnie (duże słowo) spać zorganizowaliśmy sobie posłania w postaci słomianych mat. Nie mogę jednak przyznać się, skąd je wzięliśmy.

Obóz upłynął dość szybko, chociaż niektórym dni się dłużyły. Dla wielu z nas, inteligencików, był to trudny okres, gdy trzeba było skakać po polu jak zajęce w pełnym wyposażeniu. Mnie to jakoś ominęło, prawdopodobnie z powodu mej mikrej postury, ale kilku kolegów było naprawdę ciężko doświadczonymi, gdy musieli w trakcie tych biegów nieść główną część ckm-u, a zwłaszcza jego podwozie. Jak wszystko, co trudne w tym życiu, ma swój koniec.



Obóz w Morągu, 1957r. Drugi od prawej u góry autor

Obóz zakończył się egzaminami, w wyniku których otrzymaliśmy nominacje na stopnie podchorążych. Mogliśmy wrócić do domów na zasłużony odpoczynek.

Z wojskiem zetknąłem się jeszcze dwa razy, ale już w okresie pracy zawodowej. W roku 1964 zostałem powołany na doksztalcenie się w fachu wojskowym, aby można było awansować mnie na stopień oficerski. Dostałem przydział do Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Uczelnia ta wchodziła w skład Wojsk Lotniczych i dlatego mieliśmy mundury lotnicze stalowego koloru. Dziedziną, w której byliśmy szkoleni była ogólnie mówiąc radiolokacja. Z tą tematyką zetknąłem się po raz pierwszy. Wnętrze stacji (ruchomej) radiolokacyjnej prowadzącej śledzenie balonów meteorologicznych i odczyt pochodzących z nich danych na pierwszy rzut mego oka w ogóle nie przypominało urządzenia mającego coś wspólnego z elektrotechniką. Było ono wypełnione płataniną rur, jak w jakiejś stacji hydrologicznej. Uświadomiono mnie,

a także chyba większość mych kolegów podchorążych, że te rury to falowody.

Pobyt w Szkole Oficerskiej wspominam bardzo miło, a przecież przed wysłaniem do niej bardzo się broniłem. Wykładowcy nasi okazali się sympatycznymi, inteligentnymi gośćmi. Wyżywienie (a to w wojsku jest podstawa) było bardzo dobre, smaczne i zaspakajające nasze apetyty. W zasadzie z naszym statusem podchorążych mogliśmy korzystać ze stołówek razem z elewami Uczelni. Zaproponowano nam jednak, że za niewielką, wręcz symboliczną opłatą możemy się stołować w kasynie razem z całą kadrą oficerską. W niedzielę mogliśmy na przepustce wyruszać na wycieczki do pobliskich Cieplic Śląskich (dzisiaj jest to formalnie dzielnica Jeleniej Góry), do których dojeżdżało się tramwajem. Ten rodzaj transportu publicznego został wkrótce zastąpiony autobusami. Chodziliśmy oczywiście także w góry (Karkonosze) na Szrenicę i na Śnieżkę. Szkolenie zakończył egzamin państwowy, w przeddzień którego wydaliśmy bankiet w kasynie, zapraszając na tę imprezę cały zespół wykładowców. Rok po ukończeniu szkolenia zostałem zaproszony wraz z wieloma takimi jak ja delikwentami do ówczesnego kasyna oficerskiego garnizonu warszawskiego w Alejach Ujazdowskich, gdzie wręczono nam nominacje oficerskie. Dziś od wielu lat kasyno już jest nie takie i nie w tym miejscu.

Jeszcze raz powołano mnie do wojska, już jako oficera rezerwy na dwumiesięczne przeszkolenie w pułku lotniczym na Okęciu. Pułk ten obsługiwał podróże lotnicze rządu i bardzo ważnych w naszym państwie osób. Ale on też już nie istnieje. Dowództwo pułku zupełnie nie wiedziało, co ma robić z naszą grupą rezerwistów. Zatem po codziennym, porannym apelu zazwyczaj udawaliśmy się na mieszczące się po drugiej stronie ulicy Paluch ogródki działkowe i tam w domku naszego opiekuna (podpułkownika) „rznąliśmy” w karty krzepiąc się przy tej wyczerpującej działalności koniakiem bułgarskim w rodzaju Pliski lub Słonecznego Brzegu.

Oprócz zajęć na Studium Wojskowym mieliśmy oczywiście i inne przedmioty, podstawowe dla naszej przyszłości zawodowej. Wykładowcy nasi byli różnie przez nas oceniani. Matematykę wykładał dr Roman Hampel, którego rzecz jasna tytułowaliśmy profesorem. Nie był on błyskotliwym wykładowcą i przekazywany przez niego materiał musiał być dokładnie przetrawiony posługując się podręcznikiem do analizy matematycznej Pogorzelskiego.



Wykład profesora Romana Hampla w Audytorium 315

Osobiście podobał mi się sposób prowadzenia wykładów z fizyki przez panią Karolinę Leibler, która wtedy była chyba w trakcie robienia doktoratu. Niewiele osób już pamięta, że w tamtych latach wprowadzano radziecką nomenklaturę stopni naukowych. I tak nasz doktor został przemianowany na kandydata nauk, np. technicznych, radziecki doktor był odpowiednikiem naszego doktora habilitowanego.

Prawdziwym artystą jako wykładowca był profesor Kazimierz Zarankiewicz. Zawsze nienagannie ubrany, obowiązkowo w muszce, był prawdziwym, lubianym przez wszystkich profesorem „jak przed wojną”. W trakcie jego „występu” na katedrze nie było spokoju, wszystkie elementy mechaniki żyły, wektory wirowały w obie strony. Słuchanie tych wykładów było prawdziwą przyjemnością. Każdy wykład profesor kończył jakimś dowcipem, dykteryjką. Wkrótce okazało się, że te desery na koniec wykładów były powtarzane na każdym roczniku. Koledzy z poprzedzającego nas rocznika pytali się, czy już opowiedział nam taki to kawał. Mówiąc o wirowaniu wektorów zgodnie z ruchem wskazówek zegara uświadomił nas, w każdym razie mnie, że wskazówki nie wszystkich zegarów poruszają się w tę samą stronę. Dał tu przykład zegara z pałacu w Wilanowie i opowiedział, dlaczego jest on taki.

Podstawy Elektrotechniki prowadził Witold Kotowski, który wtedy chyba nie miał statusu profesorskiego. Prawdopodobnie był docentem, ale tak jak innych wykładowców tytułowaliśmy go profesorem. Swoje wykłady prowadził z pewnym „namaszczaniem”, każde słowo było wypowiedziane oddzielnie, bardzo wyraźnie. Miał jedną podziwianą przez nas umiejętność, a mianowicie kreślone przez niego na tablicy bez pomocy cyrkla koło miało prawie idealny kształt. Koledzy z wyższych roczników mówili, że prof. Kotowski był przez rektora, a może Radę Wydziału pozbawiony na jakiś czas prawa egzaminowania z powodu jakiegoś zajścia z egzaminowanym

delikwentem. W naszym okresie to prawo zostało mu przywrócone, ale nie egzaminował wszystkich czy też większości studentów, jak to robili inni wykładowcy, a tylko wybierał jedną osobę, tylko męską (?), którą potrafił „maglować” przez kilka godzin, czasem z przerwą na obiad. Tak długie egzaminowanie do dzisiaj mnie zadziwia, bo przecież materiał z podstaw elektrotechniki nie był tak obszerny, aby przez tyle godzin o nim mówić. Wiedząc, że taki proceder prof. Kotowski uprawia, każdy w dniu egzaminu starał się unikać z nim kontaktu, choćby wzrokowego. Należałem do tych szczęśliwców, którzy nie mieli zaszczytu być wybrańcami profesora. Egzaminy ze wszystkich trzech części podstaw zdawałem u ówczesnych asystentów panów Stanisława Bolkowskiego, Ryszarda Matusiaka i Tadeusza Kaczorka i nie mogę narzekać, by byli oni nastawieni na obcięcie mnie. Wręcz przeciwnie, egzaminy u nich wspominam miło. Szczególnie egzamin u Tadeusza Kaczorka był dla mnie pomyślny, bowiem ten egzaminator był naszym sąsiadem w akademiku. Gdy zacząłem odpowiadać na wylosowane pytania, po kilku dosłownie moich słowach powiedział: -Jeśli chcesz czwórkę, to możesz już sobie iść. Takie momenty wspomina się z przyjemnością.

W trakcie studiów odbywaliśmy wakacyjne praktyki zawodowe. Po pierwszym roku trafiłem razem z Wieśkiem Adamczykiem, Staszkiem Grefkowiczem, Zygmuntem Warszawą i Zosią Gochnio do warszawskiego Elektromontażu, który wykonywał instalację elektryczną w budowanym Browarze Warszawskim na terenie dawnego browaru Habermuscha. Dużo się tam nie nauczyliśmy, bo nasza działalność sprowadzała się do kucia dziur w ścianach, montowania na ścianach rurek tzw. „stal-pancernych” i przeciągania w nich przewodów. W dzienniczku z praktyki, jaki powinniśmy codziennie wypełniać, nie mieliśmy co pisać.

Po drugim roku byliśmy z kolei razem z Władkiem Torbiczem i Tadeuszem Majewskim na praktyce w Zakładach Wytwórczych Aparatury Rozdzielczej A-10 w Międzyzlesiu, które wówczas było już włączone do Warszawy. Ciekaw jestem, czy ktoś z moich Koleżanek i Kolegów wie, że przed tym włączeniem do Warszawy nosiło ono nazwę Kaczy Dół. Mieszkaliśmy wtedy w hotelu robotniczym przy Zakładach, a po „pracy” albo jeździliśmy pociągiem podmiejskim „do miasta”, tj. do Warszawy, albo graliśmy w brydża. Do tego musiało być nas czterech, a zupełnie nie pamiętam, kto jeszcze z nami był na tej praktyce. Na obiady wożono nas (tak było) do ZWAR A-1 mieszczącego się przy ul. Kałuszyńskiej (później adres zmieniono na ul. Goławską) na Grochowie. Obu tych zakładów A-1 i A-10 już od dobrych kilku lat nie ma. Ta praktyka była wyjątkowo mało kształcąca, ponieważ produkcja wyłączników i odłączników wysokonapięciowych to właściwie sama obróbka mechaniczna, która mało mnie wtedy interesowała. Dopiero po wielu latach, kierując zakładem

produkcyjnym, musiałem się nad takim procesem pochylić. Chyba tylko ze dwa/trzy razy dopuszczono nas do końcowych prób aparatów.

Z kolei po trzecim roku, na którym już kształciliśmy się w wybranej specjalności, byłem na praktykach przez dwa miesiące. Najpierw razem ze Stefanem Malonem i Czeskim Resiakiem byliśmy w Hucie im. Lenina, czyli w Nowej Hucie. Opiekował się nami Główny Automatyk, który co jakiś czas przesuwał nas na inny wydział Huty. I tak zapoznaliśmy się i z wielkimi piecami, z walcownią – zgniataczem, walcownią blachy na gorąco, nawet z koksochemią. To był z punktu widzenia mojej późniejszej pracy zawodowej bardzo korzystny okres. Pierwszy raz w życiu widziałem na żywo wielki piec, pracę zgniatacza i walcowni blach. Co najważniejsze, widziałem i konfrontowałem z udostępnioną dokumentacją „kulisy” działania tych wydziałów. Wtedy zobaczyłem prawdziwe, a nie tylko książkowe układy Leonarda o mocy ok. 2 MW (na zgniataczu) i sterownie wtedy stycznikowo-przełącznikowe tych napędów. Godziny popołudniowe poświęcaliśmy głównie na zwiedzanie Krakowa i zapoznawanie się z jego zabytkami, a także na korzystanie z basenu na terenie zakładów tytoniowych w pobliskich Czyżynach. Była to niewątpliwie dla mnie najbardziej owocna praktyka.

W sierpniu 1956 roku byliśmy z Mirkiem Zajdlem i Staszkiem Grefkowiczem na praktyce w Poznaniu w zakładach Hipolita Cegielskiego, które wtedy nosiły jeszcze nazwę ZiSPo, czyli Zakłady imienia Stalina Poznań. Do swej właściwej nazwy wróciły zaraz po Październiku. Trafiliśmy do Poznania dwa miesiące po krwawych wydarzeniach czerwcowych. Widzieliśmy jeszcze na murach ślady tych wydarzeń, ale nikt ze względów wtedy oczywistych o tym nie rozmawiał z nami. Zakłady Cegielskiego to było jedno z większych, jeśli nie największe przedsiębiorstwo polskiego przemysłu maszynowego. W ich skład wchodziły znajdujące się na wspólnym dużym terenie oddzielnie funkcjonujące fabryki: lokomotyw, wagonów, silników okrętowych i obrabiarek. Podobnie jak w Nowej Hucie tu też przeszliśmy przez te wszystkie fabryki. Po raz pierwszy mogłem zobaczyć, jak wygląda silnik okrętowy, który swym gabarytem zrobił na mnie wrażenie, chociaż ten, który widzieliśmy nie należał do szczególnie dużych i nie był przeznaczony dla dużego statku, np. dziesięcioletnika. Cegielski dopiero wtedy podejmował pierwsze kroki w produkcji tego rodzaju silników. Fabryki lokomotyw i wagonów nie były dla nas zbyt interesujące. Zaletą pobytu w tej drugiej była możliwość „zamelinowania” się w którymś prawie ukończonym wagonie, aby nie być na oczach personelu technicznego. Z racji wybranej specjalności, czyli napędu elektrycznego, miałem nadzieję, że fabryka obrabiarek będzie interesująca. Jednak doznałem małego rozczarowania, bo tam też produkowano głównie podzespoły konstrukcyjne

różnych typów obrabiarek. Prowadzono też montaż szaf sterownia napędami obrabiarki, ale to nie było zbyt ciekawe. Jeszcze to nie był czas produkcji obrabiarek sterowanych numerycznie, z którymi zetknąłem się znacznie później.

W Poznaniu mieliśmy okazję dowartościowania się kulturalnie. Za niewielkie pieniądze kupowaliśmy bilety na najwyższy balkon w Operze Poznańskiej, która w latach pięćdziesiątych uważana była za czołową polską scenę operową. Obejrzelśmy tam kilka świetnych spektakli. Pierwszy raz, później już mi się to nie zdarzyło, obejrzałem takie opery jak: Feliksa Nowowiejskiego „Legenda Bałtyku”, Karola Marii Webera „Wolny Strzelec” i Leo Delibes’a „Lakme”.

Generalnie mimo wielu krytycznych ocen przebiegu i organizacji praktyk uważam je za pożyteczne dla przyszłego inżyniera. Dały one możliwość zobaczenia z bliska zakładów przemysłowych, a także, co też ważne, nawiązanie kontaktu z bracią robotniczą. Wielka moim zdaniem szkoda, że obecnie Politechniki nie wysyłają swych studentów na praktyki przemysłowe.

Na trzecim roku wybieraliśmy specjalizację, w której mieliśmy nadzieję spełniać się w przyszłym życiu zawodowym. Wybrałem tak jak moi przyjaciele z płockiej Jagiellonki Staszek Grefkowicz i Mirek Zajdel napęd elektryczny. W składzie osobowym sekcji byli także Wiesiek Adamczyk, Jurek Busłowicz, Stasio Wojtanowski, Bożena Skowrońska, Leszek Woźniak, Włodek Szmidel, Rajmund Mońko, Stefan Malon, Czesiek Resiak, Włodek Winiarski. Sekcja nasza, wprawdzie poświęcona przede wszystkim napędowi elektrycznemu, miała nazwę Elektrotechnika Przemysłowa. Poza samym napędem i automatyką napędu, mieliśmy także wykłady z takich przedmiotów jak: oświetlenie elektryczne, grzejnictwo elektryczne, rozdzielnie przemysłowe i elektrownie przemysłowe. Poszerzały one niewątpliwie naszą wiedzę przydatną późniejszym inżynierom pracującym w przemyśle.

Po siódmym semestrze można było zakończyć studia na poziomie inżynierskim lub je kontynuować na kursie magisterskim. Część kolegów z naszego rocznika skorzystała z możliwości wcześniejszego pójścia do pracy z dyplomem inżyniera w kieszeni, ale zdecydowana większość, w tym gronie i ja, wybrała tę drugą możliwość. Studia magisterskie różniły się od kursu inżynierskiego innym poziomem wykładanych przedmiotów. Mieliśmy kontynuację matematyki z prof. Hamplem, a także nowe przedmioty jak elektrotechnika teoretyczna – z prof. Tadeuszem Cholewickim i fizyka jądrowa – z prof. Szczepanem Szczeniowskim, który przyjeżdżał do nas z Uniwersytetu Poznańskiego.

Fizyka jądrowa jeszcze do zaakceptowania przez przyszłych inżynierów elektryków przerodziła się później w wykłady z reaktorów

jądrowych. Po co nam to było? Profesor Szczeniowski niewątpliwie świetny naukowiec i jeden z tuzów polskiej fizyki, był, niestety, marnym wykładowcą. Nie wiem, może swój tekst przedstawiał jasno, ale zbyt cichym głosem, w dodatku trzymając twarz tuż przy tablicy z powodu swego znacznego krótkowidztwa.



Sekcja Napędów na wycieczce naukowej w Gdańsku. Od lewej: autor, Czesiek Resiak, Włodek Szmidel, Włodek Winiarski, Stasio Wojtanowski, Mirek Zajdel, Szymon Wieromiejczyk, Stefan Malon, Andrzej Syrczyński, Rajmund Mońko.

Efekt był taki, że na jego wykłady przychodziło bardzo mało osób, a stałymi słuchaczami byli Koreańczycy, siadający zawsze w pierwszym rzędzie audytorium, aby móc słyszeć, co profesor mówi. Byli więc dla profesora rozpoznawalni. Kiedy na egzamin najpierw z fizyki jądrowej, a później z reaktorów jądrowych już po kilku miesiącach od zakończenia wykładów zgłaszały się wciąż nowe osoby, profesor powiedział do jednej z nich: jest państwa tak dużo, a ja myślałem, że na waszym roku jest tylko kilkoro Koreańczyków. Ja też przystąpiłem do egzaminów z obu przedmiotów w kilka miesięcy po terminie. Z tego powodu moje studia na magisterskim, podobnie jak i zdecydowanej większości Koleżanek i Kolegów, znacznie się wydłużyły poza urzędowy termin 30 czerwca 1958 roku. W tym właściwym terminie egzamin dyplomowy zdały tylko dwie osoby: Zosia Cmoluch (w tym momencie już Majerowska), chcąca zdać z dyplomem przed bliskim porodem i Samuel Brojdo z naszej sekcji, który wkrótce, nic nikomu z nas nie mówiąc, wyjechał do Izraela. Po wyjeździe

słuch o nim zaginał. A na przykład Leon Turzyński, który także po uzyskaniu dyplomu wyjechał do Izraela, kontaktował się potem ze swoim zaprzyjaźnionymi kolegami z akademika.

Samuel przyszedł do nas już na magisterski jako repatriant ze Związku Radzieckiego. Studia politechniczne podjął w Wilnie, gdzie jego rodzina, obywatele II Rzeczypospolitej, mieszkali przed wojną. Bezpośrednio po przyjeździe do nas jego polszczyzna nie była najlepszej marki, ale bardzo szybko świetnie opanował język polski zarówno gramatykę jak i słownictwo. W zasadzie pozbył się także wschodniego akcentu. Był to naprawdę bardzo fajny kolega, wesoły, sypiący często dowcipami. Potrafił bardzo dobrze naśladować znanego wtedy w ZSRR komika Rajkina i z tego powodu nosił ksywę „Rajkin”. Zwrócił on nam uwagę na pewne „nielogiczności” naszego języka. Na przykład, dlaczego na zmarłego mówi się nieboszczyk a na wodny opad z nieba deszczyk, a przecież logika wskazuje, że powinno być odwrotnie. Samuel, który prosił, aby mówić do niego Sasza (Jak się do ciebie zwracać? Nu kak? Sasza!), miał tu w Polsce rodzinę, ale mieszkał z nami w akademiku. Jedną z jego krewnych była bardzo popularna w Polsce w tamtych latach piosenkarka Natasza Zylska. Ona też na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyjechała do Izraela. Kiedyś już po wielu latach oglądałem w telewizji wywiad z nią. Okazało się, że, w przeciwieństwie do naszego kolegi, utrzymywała żywy kontakt z Polską, a w Izraelu prowadziła nawet gazetę polskojęzyczną.

Jeszcze przed zdaniem ostatniego egzaminu u prof. Szczeniowskiego (z całkiem niezłym wynikiem) przydzielono mi w Katedrze Napędu Elektrycznego temat pracy dyplomowej. Był to „Napęd nawrotnej walcarki blachy z zastosowaniem wzmacniaczy magnetycznych”. Nie bardzo wiedziałem, jak się do niego zabrać, więc chwilę podjęcia wysiłków nad tym odkładałem, aby temat się, jak mówił poeta, „ucukrował i uleżał”. Jak wspominałem, zdecydowana większość naszego rocznika przedłużyła termin oddania pracy dyplomowej i przystąpienia do egzaminu wieńczącego cały okres studiów.

Trzeba przyznać, że dziekanat Wydziału podszedł do naszej sytuacji z pełnym zrozumieniem i mimo, że faktycznie byliśmy winni sami, uznał nas za nadal swoich studentów dając rejestrację na semestr „D”. Rejestrację taką przedłużono nam ponownie na następny semestr, aż do końca czerwca 1959 roku. To działanie „filantropijne” zostało jeszcze wzmocnione przyznaniem nam prawa do miejsca w akademiku. Dzięki temu mogłem zamieszkać od października 1958 roku aż do 30. czerwca następnego roku w akademiku na Kole przy Księżcu Janusza. Razem ze mną trafili tam także moi stali od początku studiów współlokatorzy, czyli Staszek Grefkowicz i Jurek Busłowicz. Mieszkał z nami także Władek Torbic, ale on

wyprowadził się dość wcześnie, bo egzamin dyplomowy zdał jeszcze pod koniec roku 1958.

Tutaj muszę zdradzić istotny (i to jak!) fakt dotyczący mojego życia, a związany z zamieszkaniem przy Księcia Janusza. Było to prawdziwe zrządzenie losu. Naprzeciwko akademika znajdowało się osiedle domków jedno- i dwurodzinnych. W jednym z nich mieszkała młoda dziewczyna, wtedy jeszcze 18-letnia Jolanta. Okna naszego pokoju wychodziły na wprost okien jej domku. Przez te okna „rozmawialiśmy” ze sobą pisząc na szybach i oczywiście umawialiśmy się na randki. Tak się zaczęło, aż doszliśmy do ołtarza w roku 1961. w kościele Św. Józefa na Kole.

Akademik był wspaniałą sprawą, ale, niestety, nie załatwił wszystkiego. Potrzebna była przecież kasa na pokrycie naszych potrzeb bytowych. Wprawdzie od czasu do czasu Uczelnia przydzielała nam niewielkie zapomogi, ale to nie były te kwoty. Nie mogliśmy liczyć na znaczące wsparcie finansowe od rodziców, o które nawet wstydziłbym się prosić. Szczęśliwie udało się zdobyć zatrudnienie na części etatu dające jakąś stabilność finansową. Staszek został asystentem u profesora Knabego, który wcześniej wykładał Elektrownie przemysłowe. Nie pamiętam, jak długo tam funkcjonował. My z Jurkiem podjęliśmy pracę w Katedrze Elektrotechniki Ogólnej prowadzącej zajęcia z elektrotechniki na wydziałach nie-elektrycznych. Konkretnie prowadziliśmy ćwiczenia ze studentami takich wydziałów w laboratorium na Narbutta. Tę pracę niezbyt wysokopłatną, ale jednak płatną, miałem jeszcze przez kilka lat już jako prawdziwy inżynier. W pierwszym roku tej działalności asystenckiej byłem bardzo młody i tak wyglądałem, dlatego studenci raczej nie kojarzyli mnie z „panem asystentem”. Gdy podczas prowadzenia kolokwium zaliczeniowego zdarzało mi się wyjść na korytarz, oczekujący pod drzwiami pytali mnie, jaki jest ten „skubaniec”, albo prosili o wyjaśnienie lub przypomnienie czegoś z materiału przerabianego w semestrze.

Dość długo zbierałem się do rozpoczęcia pisania pracy dyplomowej szukając literatury pomocnej w tym trudzie. Gdy prosiłem swego promotora o podanie miejsc, w których mogę coś znaleźć na opracowywany temat mówił: zaraz coś panu znajdę i szukał w bibliotece katedry. Gdy niczego stosownego nie znalazł, mówił: ale na ten temat to pan znajdzie wiele pozycji. Szperałem więc w różnych miejscach, między innymi w bibliotece WAT-u. Pojechałem także do miejsca mej praktyki w roku 1956, czyli do HiL. Moje starania w końcu przyniosły efekt i swoją pracę dyplomową zdażyłem oddać jeszcze przed pierwszym czerwca. Egzamin dyplomowy zdawaliśmy razem ze Staszkiem (a jakże) chyba 15. czerwca. Pełnego składu wysokiej komisji nie pamiętam, ale na pewno byli w niej zastępca kierownika Katedry Napędu Elektrycznego doc. Zdzisław Grunwald i prof. Witold Kotowski, z którym wreszcie spotkałem się „oko w oko”. Ten

ostatni był faktycznie moim zagrożeniem na ostatnim etapie przygody z Uczelnią. Spytał mnie on bowiem, jaka jest natura fizyczna (czy coś w tym stylu) przenikalności magnetycznej, bo przenikalność magnetyczna we wzmacniaczach magnetycznych jest podstawowym parametrem. Dość długo się wiłem opowiadając różne rzeczy, a profesor wciąż nie był usatysfakcjonowany. Wreszcie do naszej rozmowy wtrącił się doc. Grunwald, który powiedział: panie profesorze, moim zdaniem i pozostałych członków komisji pan Śliwiński w pełni odpowiedział na pańskie pytanie. I na tym zakończył się mój egzamin, po którym Komisja ogłosiła, że uzyskałem dyplom magistra inżyniera. Nie muszę dodawać, że tego samego dnia w akademiku w odpowiedni sposób uczciliśmy fakt zostania inżynierami.

Życie zawodowe.

Po zdaniu egzaminu dyplomowego bez żadnych planów na swą drogę zawodową wyjechałem do Płocka do rodziców, którzy też byli zadowoleni, że ich syn spełnił swoje marzenie zostania inżynierem. Namawiali mnie oni do podjęcia pracy zawodowej w Płocku, na przykład w Petrochemii. Nie byłem do tego pomysłu przekonany, bo jednak zasmakowałem w Warszawie. Po prawie miesiącu (chyba) nicnierobienia otrzymałem list od kierownika Laboratorium Napędu Elektrycznego pana mgr. inż. Andrzeja Horodeckiego (mego przyszłego szefa). Otóż ówczesny kierownik Katedry Napędu Elektrycznego prof. Jerzy Lando, który był jednocześnie dyrektorem Instytutu Elektrotechniki, polecił mi zaproponowanie mi, w związku z uzyskaniem przeze mnie na koniec studiów oceny bardzo dobrej, podjęcia pracy w Zespole Napędów Elektrycznych w Instytucie kierowanym właśnie przez niego. Była to dla mnie wtedy zaszczytna propozycja, więc listownie pięknie podziękowałem twierdząco. W Instytucie stawiłem się 1 września 1959 roku. Okazało się, że zatrudnienie mnie tak „z marszu” nie jest takie proste. Podobno były wtedy jakieś przepisy zabraniające zatrudniania w Warszawie absolwentów bezpośrednio po dyplomie. Tak przynajmniej mówiła szefowa kadr Instytutu, ważna figura nie tylko z racji pełnionej funkcji, ale także z powodu swego pochodzenia, wredna baba. Podejrzewam, iż chciała pokazać, że nie tylko dyrektor (wtedy mocna figura), ale i ona ma w Instytucie coś do powiedzenia. Jako całkiem zielony w tych sprawach oczywiście nie próbowałem interweniować u najwyższej instancji i zgodziłem się na wymyślone przez kadry rozwiązanie. Polegało ono na tym, że zatrudniono mnie nie, jako inżyniera, ale technika i to nie od 1 września lecz od 3 września. Po miesiącu doniosłem do kadr swój dyplom i zmieniono mój angaż na zgodny z wykształceniem.

Mój kierownik, wtedy jeszcze mgr inżynier, a po latach profesor Andrzej Horodecki polecił mi zająć się wspólnie z kolegą tematem zastosowania wzmacniaczy magnetycznych w układach sterownia prędkości napędów z silnikami prądu stałego. Tematyką stosowania wzmacniaczy magnetycznych w napędach elektrycznych najpierw prądu stałego, a następnie z silnikami klatkowymi zajmowaliśmy się w IElu przez kilka lat. Z dzisiejszej perspektywy uważam ten czas za stracony. Wprawdzie wzmacniacze magnetyczne były jeszcze w początkach lat sześćdziesiątych modnym tematem prac naukowych w kilku krajach, n.p. w Czechosłowacji i w ZSRR, u nas tematem prac doktorskich, ale widać było, że to nie jest przyszłość techniki napędowej. Już wtedy pojawiły się, także u nas znacznie bardziej nadające się do tego tyrystory.

W Zakładzie Napędów Elektrycznych IElu zajmowaliśmy się głównie nie tyle pracami stricte naukowymi, co opracowaniami urządzeń i całych systemów nadających się do zastosowania bezpośrednio w przemyśle. Myśmy nie tylko je wymyślali, ale także budowali. Mielśmy warsztaty mechaniczne i pomieszczenia montażu układów elektrycznych i elektronicznych. Taka działalność Instytutu uzasadniona wówczas potrzebą chwili, bo przemysł miał za zadanie przede wszystkim wykonanie planów produkcyjnych, najlepiej w ponad 100% i nie miał chęci zajmowania się jakimiś nowinkami technicznymi, była z punktu widzenia prawidłowego toku rozwoju techniki naszym socjalistycznym dziwactwem.

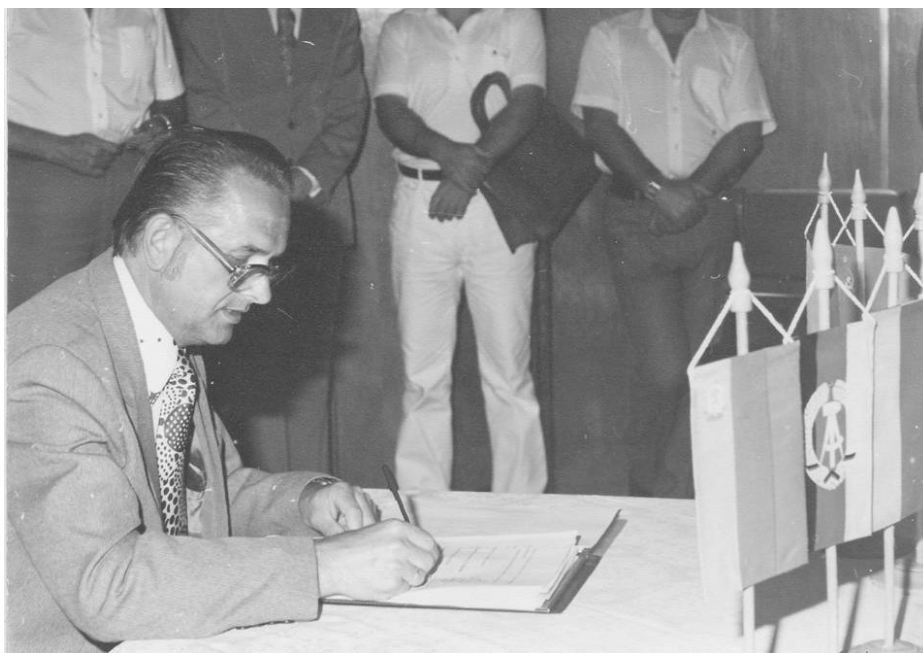
Przykładem takiej działalności, z której jesteśmy ja i moi ówczesni współpracownicy nadal dumni, jest opracowanie, wykonanie i uruchamianie wielosilnikowych napędów maszyn papierniczych. Na zamówienie, niestety już nieistniejącej, fabryki maszyn papierniczych FAMPA podjęliśmy się opracowania sześciu takich napędów 10-sekcyjnych maszyn przeznaczonych na eksport do ZSRR. Była do seria napędów „Pawłodar” od nazwy miejscowości, do której została dostarczona jedna z maszyn. Pierwsza jednak maszyna z naszym napędem pojechała do miejscowości Gordobań w Gruzji. Dostarczone przez „Fampę” maszyny były oczywiście uruchamiane przez polską grupę serwisową z udziałem kolegów z naszego instytutowego Zakładu odpowiedzialnych za prawidłowe działanie całego układu napędowego. Ale uruchomionych zostało tylko pięć maszyn. Wszystkie wykonane przez nas zespoły napędowe, piątego w kolejności wykonania, tzw. piątego „Pawłodaru” zostały bezpośrednio z wagonów zrzucone na ziemię obok toru kolejowego, bowiem papierni jeszcze nie zdążono wybudować. I tak leżały przez kilka lat na deszczu, śniegu, mrozie, w słońcu czekając na zbudowanie papierni. Gdy ta już powstała, strona radziecka zwróciła się do nas z prośbą o przeprowadzenie na miejscu inspekcji stanu tego wyposażenia napędowego, nadal leżącego obok toru kolejowego, i doprowadzenie do stanu użytkowania tego, co da się

wyremontować. Kolega, który pojechał dokonać takiego przeglądu, stwierdził, że pozostał tylko złom, ani jeden zespół nie nadawał się do remontu. Nic dziwnego, że przy takiej gospodarce ten system musiał się rozpaść. Oprócz napędów przeznaczonych dla ZSRR dostarczaliśmy takie napędy, jako wyposażenie maszyn z Fampy, także do NRD, Rumunii, Bułgarii, a nawet do Chin. Oczywiście nasze napędy trafiały również do licznych polskich papierni. Wszędzie tam uruchomienia były dokonywane przez nas.

Współpraca z polskim przemysłem papierniczym i niejednokrotnie przyjacielskie stosunki z personelem zakładów miały jeszcze jeden plus, dziś dla młodszego od nas pokolenia niezrozumiały. Otóż w tamtych latach papier toaletowy był towarem bardzo trudnym do zdobycia, prawdziwie drogocennym. Dzięki dobrym naszym „układom”, co jakiś czas udawało się nam pozyskać za darmo kilkanaście worków zawierających po 100 rolek tego pożądanego przez wszystkich „rarytasu”. Formalnie były to odrzuty produkcyjne. Przeznaczaliśmy je nie tylko dla pracowników naszego Zakładu, ale stanowiły niecodzienny prezent dla osób wyżej postawionych w hierarchii instytucyjnej, a także poza Instytutem. Warto dodać, że nasza działalność w ramach eksportu realizowanego przez Fampę przynosiła dodatkowe, wymierne korzyści. Część wynagrodzenia za dostawę i uruchomienie napędu wpływała na konto dewizowe Instytutu. Było to wprawdzie konto „S” (rublowe), a nie konto „A” (dolarowe), ale po odpowiednim przeliczeniu można było czerpać z niego na zakupy aparatury także na Zachodzie.

W roku 1974 nasz Zakład na polecenie Ministra Przemysłu Maszynowego został przekształcony w Zakład Elektrycznych Napędów Obrabiarkowych, na którego czele dyrektor Instytutu postawił mnie. Był to dla mnie całkiem nowy etap w mojej „karierze” zawodowej. Po etapie, na którym zajmowaliśmy się napędami o mocach od 10 do 500 kW, przeszliśmy do napędów serwomechanizmowych przeznaczonych dla mechanizmów posuwu obrabiarek sterowanych numerycznie. Współpracowaliśmy w tej dziedzinie bardzo ściśle z OBR-em, działającym przy fabryce APENA w Bielsku-Białej. Powstały tam Tyristorowe Napędy Posuwów typu TNP. Właściwie były to tyristorowe układy przeznaczone do sterowania prędkości obrotowej serwośliczków prądu stałego z magnesami trwałymi. Produkcja pierwszych w Polsce tego rodzaju silników została uruchomiona w Warszawskich Zakładach Maszyn Elektrycznych WAMEL na podstawie licencji amerykańskiej firmy Peerles Porter. Za opracowanie i podjęcie produkcji serwonapędów TNP została przyznana nagroda Ministra Przemysłu Maszynowego zespołowi, w którego skład włączono także moją skromną osobę.

Te tyrystorowe układy z Apeny z silnikami z Wawelu pierwotnie były przeznaczone dla polskich obrabiarek, dla których systemy sterowania numerycznego typu NUMS były wytwarzane w warszawskich zakładach WAREL. Dyrektorem technicznym Warelu był nasz kolega Tadzio Niepokulczycki, a pracował tam w dziale konstrukcyjnym także drugi kolega z naszego rocznika Zbyszek Wawer. Wkrótce okazało się, że głównym odbiorcą polskich serwonapędów jest Związek Radziecki. W państwie tym istniał wtedy potężny przemysł obrabiarkowy pracujący podstawowo na rzecz przemysłu zbrojeniowego. Radzieckie fabryki obrabiarkowe były prawdziwymi molochami wchłaniającymi wielkie ilości urządzeń elektrycznych i elektronicznych będących na poziomie technicznym niewiele odbiegającym od ówczesnego poziomu światowego. Dostawy z Polski były realizowane przez centralę handlową METAEXPORT. Natomiast uzgodnienia wymagań technicznych, warunków technicznych odbioru, nomenklatury technicznej prowadzone były w ramach INTRELEKTRO. Była to organizacja przemysłów elektromaszynowych krajów RWPG. Regularnie kilkakrotnie w ciągu roku odbywały się narady zazwyczaj kilkusobowych delegacji ekspertów z tych państw w celu dokonywania takich uzgodnień. Z racji mojej funkcji w Instytucie Elektrotechniki zazwyczaj przewodniczyłem polskiej delegacji. Przedmiotem dyskusji były przygotowane przez stronę radziecką i rzucone na stół narady wymagania techniczne na urządzenia będące przedmiotem wzajemnych dostaw. Te „wzajemne” dostawy były tylko w teorii, bo tak naprawdę jedynym odbiorcą napędów był Związek Radziecki. Przedstawiane nam wymagania techniczne były zawsze oparte na parametrach analogicznych urządzeń produkowanych na Zachodzie. Trzeba przyznać, że radzieccy inżynierowie mieli w tych sprawach bardzo dobrą, rozległą wiedzę. Oczywiście możliwości technologiczne krajów RWPG, zwłaszcza w dziedzinie elementów elektronicznych, były odległe od takowych na Zachodzie. Dlatego toczyliśmy z delegacją radziecką prawdziwe boje, aby zejść z wymaganiami do dostępnego dla nas poziomu. Negocjatorzy radzieccy byli świadomi naszych możliwości technologicznych, ale specjalnie ustawiali na początku poprzeczkę tak wysoko, aby każde obniżenie dowolnego parametru stanowiło podstawę do obniżenia cen na dostawy. W trakcie tych „bojów” nie zawsze mieliśmy to samo zdanie z „bratnimi” delegacjami, bo każdy chciał ugrać swoje. Na naszych naradach ustalane były także wielkości dostaw w poszczególnych latach i kwartałach. Ciekawostką było, że postulowane przez stronę radziecką wielkości rosły z roku na rok prawie jak te króliki w powieści Ehrenburga.



Podpisanie protokołu końcowego narady „Interielektro”

Spotkania odbywały się za każdym razem w innym kraju, dzięki czemu miałem możliwość odwiedzenia wszystkich „demoludów” ze Związkiem Radzieckim na czele. Spotykaliśmy się nie tylko w części europejskiej naszego obozu, ale także w republikach azjatyckich ZSRR. Miałem tam możliwość odwiedzenia Armenii i Uzbekistanu. Narady nie trwały codziennie od rana do nocy. Mieliśmy w niektóre dni, zazwyczaj po południu czas na samodzielne, ale z reguły w towarzystwie kogoś z organizatorów narady spacerować po mieście. Była to okazja do zapoznania się z folklorem danego regionu, ze sklepami i oferowanymi w nich towarami. To, co widzieliśmy w sklepach, przeważnie nie odbiegało od poziomu naszych placówek handlowych. Tylko w Czechosłowacji i w NRD mieliśmy powody do zazdrości. W Erewaniu byliśmy na początku roku 1981, gdy u nas trwał „festiwal” Solidarności. W pewnym sklepie sprzedawca dowiedziawszy się, że jesteśmy z Polski, zapoznał nas z filozofią życiową ludzi radzieckich: -po co się buntować, najważniejsze, aby był spokój i żołądek pełny. Narady były zwykle prawie tygodniowe – wyjazd z Warszawy w niedzielę lub w poniedziałek rano, powrót w sobotę wieczorem. Poza „ciężką pracą” mieliśmy także organizowane przez gospodarzy różnego rodzaju atrakcje. Na przykład pewnego razu w Moskwie przewodniczący (tylko, bo jakiś porządek musi być) delegacji zostali zaproszeni do sauny mieszczącej się na obrzeżach miasta, a normalnie użytkowanej tylko przez ważne figury. Była to pierwsza w moim życiu wizyta w saunie. Dla nadania specjalnego aromatu

atmosferze tego przybytku towarzyszący nam koledzy radzieccy polewali rozpalone kamienie piwem. Efekt faktycznie był świetny.

W Poiana Braşow (Karpaty) zawieziono nas kolejką linową na halę na wysokości ponad 2000 metrów i urządzono tam w szałasie juhasów (chyba tam się inaczej nazywają) piknik z grzejącą się w kociołku nad paleniskiem rakiją. Aromat był wspaniały. Na zakąskę była pieczona na różnie jagnięcina i sery owcze. Na Węgrzech byliśmy w miejscowości wypoczynkowej Boglarlele nad Balatonem, więc oczywistym było, że zorganizowano nam wycieczkę stateczkiem po tym akwenie. Z kolei organizatorzy w Taszkencie zawieźli nas na wycieczkę do sowchozu specjalizującego się w hodowli owiec, gdzie wysłuchaliśmy prelekcji profesora (!) od tych spraw, jak się hoduje karakuły. Ale odbyliśmy tam także niezapomnianą wycieczkę do Samarkandy ze zwiedzaniem meczetu i medresy (szkoły dla kandydatów na imamów). W Samarkandzie pierwszy raz, i jak dotąd jedyny, widziałem z bliska islamski kondukt żałobny – zrobił wrażenie. Zdarzyło się także być na plaży. Miało to miejsce podczas narady w Sliven (Bułgaria), gdzie godząc się na przesunięcie obrad na późne godziny wieczorne, „wygospodarowaliśmy” czas na wycieczkę do Słonecznego Brzegu. Cel takiej wycieczki mógł być tylko jeden – kąpiel słoneczna i morska. Podczas pobytu w Erewaniu organizatorzy zawieźli nas do Eczmiadzin – „stolicy” obrządku ormiańskiego. Można przy tej okazji przypomnieć, że Armenia była pierwszym państwem, w którym chrześcijaństwo zostało uznane za religię państwową. Po zakończeniu obrad i uroczystym, w świetle błysków fleszy podpisaniu przez przewodniczących delegacji protokołu zawierającego przyjęte ustalenia, wieczorem braliśmy udział w uroczystej kolacji. Odbywały się one w restauracji lub w reprezentacyjnej Sali w gmachu narady. Prawie zawsze towarzyszył nam zespół muzyczny grający czasem melodie krajów uczestniczących w naradzie, a także po prostu muzykę taneczną. Bo tańce też były. W organizowaniu tych kolacji mistrzami byli Rumuni. Stoły były zawsze pięknie ustrojone i oczywiście suto zastawione, a dodatkowo odbywały się występy zespołów folklorystycznych. Na tle innych krajów przyjęcia końcowe narad w Polsce wypadały ubogo, ale patrząc racjonalnie było to chyba słuszne.

Z moimi wizytami w Moskwie łączą się także zabawne wspomnienia. Gdy w ramach delegacji służbowej z Instytutu Elektrotechniki byliśmy wraz z kolegą na wystawie „Les – Drew – Masz”, chcieliśmy uzyskać na papierze delegacyjnym poświadczenie pobytu na wystawie. Udaliśmy się więc do biura informacyjnego wystawy z prośbą o postawienie pieczętki. Niestety odmówiono nam tej „przysługi”. Jakież było nasze zdziwienie, gdy usłyszeliśmy powód odmowy: „siewodnia sztamp nie rabotajet”. Była to sobota.

Zdarzyło się, że zostałem dość nagle wysłany przez Ministerstwo do Moskwy, aby dołączyć do polskiej delegacji uczestniczącej w toczącej się tam w gmachu RWPG naradzie dotyczącej uzgodnienia wymagań technicznych na jednolitą bazę elektroniczną, jakie miały obowiązywać w produkcji i w obrocie handlowym wszelkich urządzeń wykorzystujących przyrządy półprzewodnikowe. Ponieważ przyleciałem z Polski sam, na lotnisku miał mnie „odebrać” ktoś z organizatorów. Czekałem w kolejce do odprawy paszportowej, widziałem, że wśród osób witających podróżnych przechadza się jakiś jegomość. Gdy tylko odszedłem od kiosku pogranicznika, ten jegomość bez zastanowienia natychmiast podszedł do mnie mówiąc, że właśnie czeka na mnie i odwiezie mnie do gmachu RWPG. W tym momencie zrobiło mi się trochę nieswojo, bo tego faceta nigdy przedtem nie widziałem i on mnie chyba też. Najwyraźniej moje dossier od dłuższego czasu tam było.

Epizod z całkiem innej beczki miałem w Brnie podczas narady Interelektro. W wolnym czasie nasza przewodniczka (bardzo przystojna dziewczyna) zawiozła nas do centrum handlowego mówiąc, że mamy do dyspozycji dwie godziny, po których spotkamy się w tej okolicy. Powiedziałem do niej, że dobrze i będę jej tam szukał. Natychmiast otrzymałem następującą odpowiedź: „O ne, ne pane Sliwski, wy mne budecie jeno chleđać”.

Moja przygoda z Interelektro skończyła się po przemianach, jakie nastąpiły w Polsce jesienią roku 1989. Ostatnie spotkanie mieliśmy na wiosnę 1990 roku w Berlinie – jeszcze w NRD. Mogliśmy już wtedy przechodzić do Berlina Zachodniego, pokazując paszport policjantowi „ludowemu” stojącemu chyba tylko formalnie na przejściu pomiędzy obiema częściami miasta. Jak widzieliśmy, berlińczycy bez problemu korzystali z tej możliwości.

Moja praca w dziedzinie napędów przeznaczonych dla obrabiarek sterowanych numerycznie dała mi możliwość odbycia wspaniałej podróży do „Kraju Środka”. Ministerstwo Przemysłu Maszynowego widząc, że produkowane w kraju napędy mają zbyt i to wciąż rosnący w ZSRR, postanowiło zrobić rozeznanie, czy nie dałoby się ich eksportować także do Chin, które po ciemnym okresie „rewolucji kulturalnej” zaczynały się szybko rozwijać. Wysłano więc pod moim przewodnictwem delegację przedstawicieli zakładów, które mogłyby uczestniczyć w takim eksporcie. Było to w roku 1985. Datę tę pamiętam doskonale, bo czekając na lotnisku w Moskwie na następny etap podróży oglądaliśmy na telewizorach transmisję z parady wojskowej z okazji 40. rocznicy zakończenia wojny. Od razu po przylocie do Pekinu zostaliśmy uderzeni wielkością i wyposażeniem terminalu lotniczego tak znacznie różniącego się od naszego Okęcia. Wprawdzie nie był to port mogący się równać pod względem liczby

obsługiwanych pasażerów na przykład z Frankfurtem nad Menem, ale jego przestrzenie i ruchome chodniki robiły wrażenie. Sam przebieg naszego dziesięciodniowego pobytu w Chinach wspominam bardzo dobrze. Jako oficjalna delegacja polskiego przemysłu, byliśmy wręcz fetowani. Oprócz najważniejszych dla realizacji celu naszej podróży wizyt w fabrykach obrabiarek i rozmów z urzędnikami (?) z odpowiednika naszego ministerstwa organizowano nam zwiedzanie najciekawszych miejsc. Tak więc byliśmy m.in. na Wielkim Murze (mam certyfikat tego pobytu), a także w Zakazanym Mieście, czyli zimowej rezydencji cesarskiej. Mieszkaliśmy natomiast w letnim pałacu cesarskim. Tak naprawdę to nie jest jeden konkretny pałac w naszym rozumieniu, lecz kompleks fantastycznych pawilonów rozłożonych wokół jeziora (nie wiem, czy sztucznego) na terenie ogromnego parku. Był maj, piękna pogoda, byliśmy wręcz oczarowani. Nas zakwaterowano w jednym z tych pawilonów, który prawdopodobnie był przeznaczony dla służby dworu cesarskiego. Ale to nie umniejszało naszej frajdy.

Oczywiście mieliśmy przewodnika niezbędnego chociażby z powodów językowych. Był to inżynier świetnie władający językiem rosyjskim bez azjatyckiego akcentu. Skąd tak świetny rosyjski? Jak się nam „wyspowiadał” podczas urządzonej przez nas kolacji w naszej „pałacowej rezydencji”, urodził się w Moskwie i tam też spędził dzieciństwo, a także wczesną młodość. Jego rodzice byli chińskimi komunistami działającymi w Kominternie. Do Chin przyjechał wraz z rodzicami tuż po powstaniu Chińskiej Republiki Ludowej. Ta moskiewska przeszłość początkowo stanowiła dla młodzieńca wielki atut w nowej rzeczywistości chińskiej. „Schody” zaczęły się z początkiem „rewolucji kulturalnej”. Jako nierodowity Chińczyk stał się nagle elementem podejrzanym, obcym klasowo. Dlatego musiał zostać poddany reedukacji w wiejskiej komunie z dala od dużych skupisk miejskich. Mówił nam, że i tak mu się udało, bo wielu jego znajomych straciło w tamtym okresie nie tylko zdrowie, ale niejednokrotnie życie. A jakie było życie w tej komunie? Czym się żywiliście? Brodząc po kolana na polu ryżowym trzeba było co jakiś czas sięgać ręką aż na dno i wszystko co tam znalazłeś, to było twoje pożywienie.

Po powrocie do kraju złożyliśmy stosowny raport z naszego rekonesansu, wskazujący na znaczną wówczas różnicę w nowoczesności elektrycznego i elektronicznego wyposażenia obrabiarek chińskich i naszych. Sugerowaliśmy podjęcie działań promujących na rynku chińskim naszych napędów i układów sterowania. Z nieznanym mi powodów nic takiego się niestety nie zdarzyło.

Pięć lat później udało mi się jeszcze raz odbyć podróż do tego wielkiego kraju w składzie delegacji Instytutu Elektrotechniki na

zaproszenie naszego imiennika-Institutu Elektrotechniki w Harbinie, z którym mieliśmy formalną współpracę. Po przylocie do Pekinu uderzyły mnie (byłem jedyną osobą w składzie delegacji, która już wcześniej widziała Chiny na własne oczy) zmiany jakie tam nastąpiły w tak krótkim okresie. Jeśli przed pięciu laty co najmniej 99% ludzi, tak mężczyźni jak i kobiety było ubranych w „garniturki” drelchowe koloru khaki lub granatowe, to teraz taki stroje nosiło już nie więcej niż ok. 50% spotykanych osób. Pozostali mieli już na sobie ubrania europejskie. Poprzednio na szerokich arteriach Pekinu (takie już wtedy były) widziało się rzekę rowerzystów zajmującą 2/3 jezdni, a samochody zajmowały pozostałą 1/3, to teraz sytuacja była odwrotna, samochody dominowały. W sklepach było już bardzo dużo towarów zagranicznych, zwłaszcza japońskich.



Na Placu Tien An Men w Pekinie.

Obok autora dyr. IEL prof. Wiesław Seruga i prof. Tadeusz Śliwiński

Jak dużym i różnorodnym krajem są Chiny, mogliśmy się przekonać, gdy po kilkudniowym pobycie w wiosennym, ciepłym Szanghaju, w którym na ulicach widziało się już ludzi wyłącznie w letnich strojach (z krótkimi rękawami), poleciliśmy bezpośrednio do Harbina. Jakież było nasze niemiłe zaskoczenie, gdy po wylądowaniu na tamtejszym lotnisku doświadczyliśmy prawdziwej zimy. Okazało się, że temperatura wynosiła tam minus 21 stopni. Dobrze, że mieliśmy zimowe ubrania, bo przecież z Warszawy wyruszyliśmy w lutym. W Harbinie naszą delegacją

opiekowała się bardzo sympatyczna, kulturalna pani, która w tamtejszym Instytucie pełniła funkcję kierownika lektoratu języka rosyjskiego. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że w odróżnieniu od naszego nie był to Instytut wyłącznie naukowo-badawczy, ale pełnił także rolę uczelni – kształcił przyszłych inżynierów elektryków. Otóż ta pani opowiadała nam, że jej mąż, inżynier został delegowany do pracy na południu Chin w okolice Hongkongu. Odwiedzenie rodziny w Harbinie możliwe było tylko raz na dwa lata, ale była możliwa u niego wizyta żony. Będąc u męża spotkała się z Chińczykami mówiącymi niezrozumiałym dla niej językiem, znacznie różniącym się od oficjalnego języka używanego w centralnych Chinach. Było to dla niej ogromne zaskoczenie. Drugim „odkryciem”, jakiego dokonała na południu kraju (chyba dzięki telewizji nadawanej z pobliskiego Hongkongu) było to, że są ludzie, którzy wierzą w „jakiegoś Jezusa”. Mówiła nam to poważnie.

Niezależnie od tematyki obrabiarkowej, w kierowanym przeze mnie Zakładzie uprawialiśmy jednocześnie tematykę dotyczącą robotów. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych władze, widząc, jak wyglądają procesy produkcyjne na Zachodzie, podjęły zamiar pójścia taką samą drogą. Zdecydowano, że trzeba w stopniu dla nas możliwym unowocześnić nasz przemysł maszynowy. Miało się to odbywać początkowo przy korzystaniu z robotów przemysłowych. Pod egidą Ministerstwa Przemysłu Maszynowego powstały zespoły specjalistów zarówno z zakładów przemysłowych jak i z placówek badawczych, które miały wypracować sposób dojścia do tego celu. Jak wiadomo, każde zrobotyzowane gniazdo i linia produkcyjna potrzebują napędów, w tym serwomechanizmowych. Jako szef instytutowego Zakładu parającego się tymi zagadnieniami brałem udział w pracach tych zespołów. W celu zobaczenia na własne oczy, jak wyglądają takie zrobotyzowane instalacje, byliśmy wysyłani do Niemiec i do Włoch. Między innymi mieliśmy możliwość obejrzenia działających linii w BMW i w ALFA ROMEO. Podczas wizyty w tych drugich zakładach trafiliśmy na sytuację ocenianą wtedy przez nas jako zabawną. Gdy wkroczyliśmy na teren fabryki poinformowano nas, że musimy się uzbroić w cierpliwość na przeciąg około dwóch godzin, bowiem trwał tam akurat strajk na linii montażu końcowego, którym byliśmy zainteresowani. Na nasze pytanie, skąd wiadomo, że strajk się zakończy po takim czasie odpowiedziano, że takie jest ustalenie ze związkiem zawodowym. Powiedziano także, iż tego rodzaju przerwa produkcyjna nie jest czymś nadzwyczajnym i zdarza się nawet kilka razy w miesiącu. Faktycznie po dwóch godzinach do linii przystąpili pracownicy i roboty zaczęły działać. Zakłady Alfa Romeo były wtedy państwowe, a praktyka protestacyjnych przerw produkcyjnych została ukrócona po wejściu przedsiębiorstwa do koncernu FIATa.

Planowano, aby jak najszybciej podjąć krajową produkcję robotów. Miała ona być oparta na zakupionej w ówczesnej firmie ASEA (obecnie ABB) licencji na roboty IRb-6 o nośności 6 kg i IRb-60 o nośności 60 kg. Umowa licencyjna zawierała możliwość zastępowania oryginalnych zespołów odpowiednikami polskimi posiadającymi oczywiście nie gorsze parametry. Dlatego przystąpiliśmy w moim Zakładzie do opracowania polskich napędów dla wszystkich mechanizmów tych robotów. Wkrótce powstały napędy tranzystorowe typu TAR dla IRb-6 i typu MAK dla IRb-60. Producentem początkowo w skali jednostkowej został Zakład Doświadczalny I naszego Instytutu. Muszę dodać, że Zakład ten był faktycznie niedużą fabryką o typowej organizacji przemysłowej i zatrudniał blisko dwieście osób.

W Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów, który formalnie był licencjobiorcą szwedzkich robotów, przystąpiono do prac nad zastąpieniem szwedzkich elektronicznych systemów sterowania numerycznego polskimi rozwiązaniami. Ministerstwo wytypowało przyszłych producentów głównych zespołów tworzących roboty IRb przemianowane na IRp (p-polskie), a mianowicie: sterowanie numeryczne - Wareł, napędy – Zakład Doświadczalny IEI, kinematyka – WSK Kalisz. Kroki w tym kierunku zostały podjęte, ale wszystkie plany zostały zaniechane po roku 1989. Osobiście nad tym boleję, bo stracono kilka lat twórczej inżynierskiej pracy i oczywiście dużo pieniędzy. Z powodu głębokiego kryzysu, w jakim znalazł się wtedy nasz kraj, nikomu już nie przyszło do głowy podejmowanie polskiej produkcji robotów, które po kilku latach swą nowoczesnością odbiegały już niestety od poziomu robotów w krajach zachodnich.

W okresie naszej transformacji gospodarczej, czyli po roku 1989, zapotrzebowanie na prace Instytutu, a mego Zakładu w szczególności, znacznie zmalało. Współpracująca z nami Fabryka Maszyn Papierniczych Fampa została kupiona przez amerykański koncern Beloit, który miał oczywiście swoje placówki badawczo – rozwojowe i żaden polski instytut nie był mu potrzebny. Zresztą, po trzech latach ten polski oddział Beloit'a, czyli Fampa został zlikwidowany. Podobnie stało się z polskim przemysłem obrabiarkowym, który praktycznie już nie istnieje. O planach wytwarzania polskich robotów przemysłowych oczywiście nikt nawet nie pomyśli, bo i kto miałby je potem kupować.

Instytut nasz, podobnie jak i inne placówki naukowo-badawcze stracił zleceniodawców i swoje potrzeby finansowe łątał dotacjami z KBNu na działalność statutową, a także nielicznymi grantami. Oznaczało to, że nie realizujemy już zadań przydatnych bezpośrednio w przemyśle, a przede wszystkim poświęcamy swój czas na opracowania naukowe, które z pewnością były wartościowe, ale nie miały dalszego ciągu.

Z tego powodu, gdy pojawił się wakat na stanowisku dyrektora Zakładu Doświadczalnego – ZDI, zgłosiłem się do konkursu. Zakład ten objąłem z początkiem roku 1997. Jeszcze wtedy zatrudniał on ponad sto osób i produkował tachogeneratory, silniki komutatorowe i bezszczotkowe silniki z magnesami trwałymi, a także w niewielkich partiach napędy MAK i TAR. Niestety, już w chwili przejścia przeze mnie kierownictwa tego Zakładu jego sytuacja finansowa była kiepska. Nie udało mi się niestety zlikwidować zadłużenia i wyprowadzić finansów na prostą. Powodem były przede wszystkim zatory płatnicze, klienci kupowali nasze wyroby, ale za nie płacili z wielkimi opóźnieniami, albo wręcz w ogóle nie płacili. Gdy próbowałem interweniować u dyrektora pewnej kopalni w sprawie zapłaty za dostarczone dawno tachogeneratory, ten wręcz zrugął mnie. „Czego pan chce, czy nie widzi pan, jaka jest sytuacja finansowa kopalń”?

Nasz amerykański klient, kupujący u nas tachogeneratory (zresztą Polak, absolwent naszego Wydziału) zaproponował, abyśmy zajęli się produkcją skuterów elektrycznych przeznaczonych głównie dla osób niepełnosprawnych. Zapewniał, że będzie ich kupował kilkaset miesięcznie, bo ma wstępne zapytania od potencjalnych amerykańskich nabywców. Doprowadziliśmy więc do zamknięcia działalności ZDI i utworzyliśmy spółkę z o.o. pod nazwą ELCAR, w której wspólnicy ustanowili mnie prezesem zarządu. Dużym kosztem finansowym i w rezultacie intensywnych prac inżynierskich zaczęliśmy wytwarzać takie skutery własnej konstrukcji pod nazwą ATLAS, spełniające wymagania narzucone przez amerykańskiego inicjatora tego przedsięwzięcia. Wkrótce okazało się, że kalkulacje naszego partnera były niestety chybione. Wielkości zamówień były o rząd wielkości niższe od przewidywanych. W sumie do USA wysłaliśmy nieco ponad sto pojazdów. Potem pojawiły się nowe pomysły co do pojazdów, z którymi moglibyśmy wejść na ten rynek. Opracowaliśmy więc kolejno następujące „wózki”: skuter golfowy przeznaczony dla graczy, którzy męczą się chodząc po rozległym polu i nie mogą dźwigać swej torby z kijami ważącej czasami ponad 20 kg, pojazd dwuosobowy dla osoby niepełnosprawnej i jej towarzysza, golfowy rozkładany, mieszczący się w bagażniku samochodu gracza udającego się na pole. Ostatnim naszym produktem w tej dziedzinie był pojazd służący tylko do wożenia torby z kijami i podążający za idącym po polu graczem w odległości ok. 1,5m od niego – jakby „cień” golfisty – niezależnie od kierunku marszu tegoż. Taki pojazd prezentowałem nawet na Targach Poznańskich b. premierowi prof. Buzkowi, który był nim zachwycony. Pojazd ten był oczywiście sterowany drogą radiową za pomocą pilota zawieszzonego na pasku gracza.



Skuter elektryczny typu ATLAS i „Cień” golfisty, sterowany radiowo

Wszystkie te poczynania niestety nie przełożyły się na sukces handlowy. Naszemu partnerowi amerykańskiemu wydawało się, że jeśli przedstawi coś ciekawego pod względem technicznym i design’u, to wkrótce znajdą się klienci. Nie zdawał sobie sprawy, a my z nim, że wejście na amerykański rynek, na którym działa wiele firm tworzących prawdziwy przemysł golfowy (mogłem się o tym przekonać będąc na targach golfowych w Orlando na Florydzie) bez bardzo suto opłacanej kampanii reklamowej, jest niemożliwe. W związku z wynikającymi z tej sytuacji sporymi kłopotami finansowymi spółki zmuszony byłem zrezygnować z dalszej w niej działalności.



Przed „przewróconym” domem w Orlando podczas targów golfowych

Po zakończeniu epizodu „biznesowego” w spółce zostałem zaproszony do Zakładów Maszyn Elektrycznych WAMEL, gdzie pełniłem

funkcję pełnomocnika prezesa zarządu ds. systemu jakości, kierując równocześnie działem kontroli jakości.

Tę kolejną przygodę zawodową zakończyłem 31 grudnia 2007 roku i od tego dnia jestem wolnym (czy na pewno?) człowiekiem. Muszę przyznać, że gdy w styczniu 2008 roku nie musiałem wstawać o godzinie 5:00, aby zdążyć (po wyprowadzeniu na spacer psa) na godzinę 7:00 do pracy, było mi przez parę tygodni czegoś brak, czułem się nieswojo. Jednak wkrótce przyzwyczałem się do tego mojego nowego statusu, a nawet go polubiłem.

Odpoczynek duchowy

Gdy przestałem już być czynny zawodowo, włączyłem się do działań mających na celu podtrzymanie łączności między Koleżankami i Kolegami naszego rocznika 1953-1958. Z Mirkiem Zajdlem doszliśmy do wniosku, że organizowane co kilka lat zjazdy z okazji okrągłej rocznicy rozpoczęcia lub formalnej rocznicy ukończenia studiów nie są zbyt silnym impulsem dla integracji naszego środowiska.

Tak naprawdę idea częstszych spotkań wypłynęła od Stefana Wójcika, który jednakże jej realizację „zlecił” Mirkowi i mnie. I tak począwszy od 2009 r. spotykamy się wiosną i jesienią w gronie dwudziestu kilku, a nawet trzydziestu kilku osób w uroczej restauracji San Antonio na skraju Ogrodu Saskiego. Uczestnikami spotkań są siłą rzeczy mieszkający w Warszawie, chociaż dwukrotnie przybył także mieszkający na stałe we Francji Andrzej Merle.

W roku 2013 postanowiliśmy zorganizować zjazd Absolwentów z okazji okrągłej, bo 60-tej Rocznicy rozpoczęcia naszych studiów na Wydziale Elektrycznym PW. Utworzyliśmy więc samorzadny komitet organizacyjny, w skład którego weszli: Basia Bolkowska/ Meller, Janka Wisniewska/Czerniakowska, Władek Torbicz, Mirek Zajdel i ja. Wzorem poprzednich takich „imprez” to sześćdziesięciolecie obchodziliśmy w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej im. Prof. Macieja Nałęcz. Stało się to możliwe dzięki Władcowi Torbiczowi, który jest czynnym profesorem tego Instytutu, a jeszcze niedawno był jego Z-cą Dyrektora ds. Naukowych. Oprócz „Jubilatów” w zjeździe uczestniczyli zaproszeni przez nas nasi ówczesi, tj. sprzed 60 lat, asystenci, a obecnie Profesorowie: Stanisław Bolkowski, Ryszard Matusiak i Jerzy Bąk. W uroczystości naszej wzięli udział także: Dziekan Wydziału Elektrycznego prof. Lech Grzesiak oraz Dziekan Wydziału IV Nauk Technicznych Polskiej Akademii Nauk członek korespondent PAN Prof. Marian Piotr Kaźmierkowski.

Zjazd rozpoczął się, jak przystało na rozpoczynających rok akademicki wspólnym odśpiewaniem „Gaudeamus Igitur”.



1. Ignacy Zawicki, 2. Stanisław Abramczyk, 3. Michał Świechowski, 4. Kazimierz Ilkowski, 5. Zygmunt Łojaszczyk,
 6. Tadeusz Niepokulczycki, 7. Kazimierz Korcz, 8. Barbara Bolkowska (Meller), 9. Janusz Strzyzewski,
 10. Władysław Torbic, 11. Jerzy Bustowicz, 12. Jacek Kaniewski, 13. Leszek Wójcik, 14. Stefan Anusik,
 15. Maria Łącka (Kwasieberska), 16. Edward Jasiński, 17. Rajmund Mońko, 18. Stefan Wójcik, 19. Janusz Adamczyk,
 20. Mirosław Zajdel, 21. Zygmunt Warszawa, 22. Zofia Tyburska, 23. Tadeusz Majewski, 24. Włodzimierz Winiarski,
 25. Sławomir Jędrzejczyk, 26. Henryk Gładys, 27. Jerzy Dąbrowski, 28. Wojciech Sliwiński



Zjazd Koleżeński w 60-tą rocznicę rozpoczęcia studiów w IBIB PAN –
21.09.2013. Prof. Stanisław Bolkowski i autor.

Michał Świechowski



**Elektryk w służbie wynalazczości
i ochrony własności przemysłowej
w Polsce**

Szkoła i studia

Urodziłem się i wczesne dzieciństwo spędziłem w okolicach Solca nad Wisłą, w rodzinie nauczycieli wiejskich. Od 1947 roku jestem mieszkańcem Warszawy, toteż byłem świadkiem dźwigającej się z gruzów stolicy oraz odbudowujących się domów, a także powstających nowych obiektów. Szczególnie utkwił mi w pamięci widok zalegających wszędzie gruzów i sterczących żelaznych belek, a do domu, w którym mieszkałem, wchodziło się przez bramę po zwałowisku gruzów.

Do szkoły podstawowej i liceum uczęszczałem w Warszawie przy ul. Żelaznej 88, gdzie obecnie mieści się Urząd Dzielnicy Wola. Moje zamiłowanie do elektrotechniki zrodziło się na lekcjach fizyki, na które uczęszczaliśmy do świetnie wyposażonej (prawdopodobnie przez UNRRA) pracowni fizycznej, mieszczącej się przy ul. Długiej. Tam zafascynowały mnie ćwiczenia i świetnie demonstrowane przez pana Lubbę pokazy, obrazujące zjawiska związane z elektrycznością. Pobudziło to moje zainteresowanie praktycznymi eksperymentami, m. in. skłoniło do skonstruowania słuchawkowego radia kryształowego oraz wykorzystania słuchawek jako lokalnego telefonu między kolegami mieszkającymi w pobliżu. Tak więc decyzję o wyborze dalszej edukacji miałem już dawno ugruntowaną, a wiadomość o przyjęciu mnie na studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej przyjąłem z wielką radością.

Integracja z koleżeństwem uczelnianym na pierwszym roku studiów następowała stopniowo, głównie w ramach grupy V-ej, której pełnego składu personalnego nie jestem w stanie obecnie odtworzyć, gdyż myli mi się ze składem późniejszej Sekcji Grzejnictwa Elektrycznego. Wspominam jednak z wielkim szacunkiem i wdzięcznością starostę Andrzeja Ryszkę i opiekuna grupy mgr Włodzimierza Zycha oraz wszystkich członków naszej V-ej grupy, nie wyłączając Koreańczyków.

Początkowo zazdrościłem kolegom, którzy mieszkali w akademiku, gdyż stanowili zgrany zespół wspomagający się wzajemnie w sytuacjach życiowych, jak również w nauce. Tego mi brakowało. Po kilku wizytach w akademiku zrozumiałem jednak, że sprawa nie wygląda tak różowo, a w dodatku dowiedziałem się o kłopotach niektórych kolegów z zakwaterowaniem w akademiku. Szczególnie współczułem Heniowi Sobusiowi, którego dalsze studia były z tego powodu zagrożone. Postanowiłem mu pomóc. Otóż przez kilka, a może nawet i kilkanaście dni, udzielałem mu noclegów na polowym łóżku, w małym mieszkaniu na Mariensztacie, w którym zamieszkiwałem u mojej cioci. Mieszkanie to niejednokrotnie stanowiło pewnego rodzaju azyl dla niektórych kolegów, podczas powrotów z potańcówek i innych imprez, które kończyły się nieraz zbyt wcześnie i sędzę, że dyshonorem byłoby dla nich wracać bezpośrednio do akademika. Koczowaliśmy więc na fotelu i krzesłach aż do rana. Mieszkanie to odwiedzali również niektórzy koledzy podczas okolicznościowych zabaw organizowanych na Mariensztacie, np. z okazji 1-go maja i 22-go lipca, gdyż w tym okresie Mariensztat był bardzo modnym miejscem imprez.

Z Mariensztatem kojarzy mi się jeszcze jedno wydarzenie, które miało miejsce prawdopodobnie w 1954 roku i które mogło skończyć się tragicznie dla mnie i niektórych moich kolegów. Otóż, w ówczesnych publikatorach bardzo rozreklamowana była impreza powitania lata – puszczenie wianków, połączone z pokazem sztucznych ogni, na wysokości Saskiej Kępy – była to wówczas nie lada atrakcja, w dodatku darmowa. Kolejną atrakcją był darmowy rejs statkiem z przystani obok mostu Śląsko-Dąbrowskiego do mostu Poniatowskiego. Umówiliśmy się z kolegami u mnie na Mariensztacie. Nie pamiętam składu ekipy, ale oprócz mnie był na pewno Henio Sobuś, mój kolega ze szkoły i jeszcze chyba dwóch kolegów z roku. Udaliśmy się więc na przystań, ale olbrzymi tłum oczekujących zniechęcił nas do skorzystania z podróży statkiem i oczekiwania na następny lub kolejny rejs. Postanowiliśmy więc udać się Wybrzeżem Kościuszkowskim piechotą na miejsce imprezy, gdzie po dłuższym oczekiwaniu ogłoszono jej odwołanie, bez podania przyczyny. Po powrocie do mieszkania dowiedziałem się od zrozpaczonyj, a jednocześnie uspokojonyj cioci, że na przystani wydarzyła się straszna tragedia, gdyż pod naporem tłumy załamał się pomost łączący nabrzeże z przystanią i woda pochłonęła kilkanaście osób. Pragnę zaznaczyć, że w tym miejscu brzeg Wisły był otoczony wysokim murem, a wartki nurt rzeki, ze względu na wysoki poziom wody w tej porze roku, uniemożliwiał ratunek. Wspominam o tym, bo jak przystało na owe czasy, takie wydarzenia były objęte znową ciszą informacyjnej, a była to jedna z większych, lecz zapomnianych

tragedii związanej z Wisłą i Warszawą, w której mogli uczestniczyć studenci naszego Wydziału Elektrycznego.

Chciałbym podzielić się pewnym osobistym przeżyciem, związanym z początkiem studiów. Miało to miejsce podczas pierwszego spotkania z lektorką języka rosyjskiego panią profesor Hildebrandt, która na wstępie zorganizowała tzw. „diktovkę”. Moim sąsiadem w sali wykładowej był Janusz Sawicki, świetny znawca tego języka, co zachęciło mnie do korzystania z jego doradztwa. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy pani profesor na następnych zajęciach ogłosiła wyniki prac oraz ich przydatność. Okazało się, że były dwie wyróżniające się prace: Janusza z oceną 5 i moja, z oceną 4, a pozostałe prace były słabe. Pani profesor zaznaczyła jednak, że oceny tych prac nie będą miały żadnego wpływu na zaliczenie przedmiotu. Posłużyły one jedynie podziałowi na grupy: dla zaawansowanych i początkujących. Sytuacja ta była dla mnie bardzo niezręczna, gdyż zgodnie z honorem ucznia-studenta nie zdobyłem się na odwagę i wyjaśnienie sytuacji. Postanowiłem to załatwić inaczej. Zorganizowałem sobie zwolnienie lekarskie i na kilku kolejnych zajęciach byłem nieobecny, a w tym czasie zacząłem intensywne nadrabianie luki językowej i jakoś wybrnąłem z tej sytuacji. Okazało się później, że przygoda ta miała pozytywne konsekwencje, gdyż wymuszona intensywna nauka tego języka bardzo się przydała, podczas pierwszej podejmowanej przeze mnie pracy po studiach, gdzie jednym z zajęć było tłumaczenie instrukcji dotyczących osprzętu samolotu typu MIG.

Wiele wspomnień z okresu studiów, które każdy na pewno zapamiętał, dotyczyło szkolenia wojskowego, które wówczas odbywało się wieloetapowo. Na początku mieliśmy co dwa tygodnie wykłady, jak również ćwiczenia w terenie na pobliskim Polu Mokotowskim, które wówczas było przeorane licznymi powojennymi okopami. Mnie utrwalił się w pamięci często powoływany na zajęciach z taktyki „dozór Nr 1”, który stanowił „lewy skraj budynku przypominającego wagon kolejowy”. W budynku tym mieścił się i obecnie również się mieści, choć w rozbudowanej formie, Urząd Patentowy. Tak się złożyło, że do budynku tego udałem się w 1962 r., w celu podjęcia pracy, tu przepracowałem nieprzerwanie 52 lata i w dalszym ciągu pracuję (obecnie na ½ etatu).

Następnym etapem szkolenia wojskowego był obóz w Morągu, który dostarczył nam wiele życiowych doświadczeń, ale również i politycznych, gdyż odbywał się po wydarzeniach na Węgrzech. Nie zapomnę naszego protestu przed złożeniem przysięgi wojskowej. Wybrana delegacja przekazała dowódcy (kompanii lub plutonu) nasze żądania, które sprowadzały się do uzupełnienia przysięgi o zapis: „wojsko nigdy nie będzie użyte przeciw własnemu narodowi” – w przeciwnym wypadku zapowiedzieliśmy bojkot przysięgi poprzez milczenie. Protest nasz

potraktowano poważnie, gdyż przez kilkanaście dni zamiast czasu wolnego mieliśmy w naszej drużynie obowiązkowe szkolenie uświadamiające z „politrukiem”. Przysięga się odbyła, ale bez głośnego chóru. Na szczęście nie były wówczas w modzie podsłuchy i nagrania. Występowały również na obozie elementy humorystyczne. Prawdopodobnie tu w Morągu powstał następujący dowcip: na nasze pytanie „czy w wolnym czasie można grać w brydża?” - szkolący nas kapral odpowiedział tonem kategorycznym: „nie! - bo u nas nie ma boiska.”

Po ukończeniu studiów byliśmy powoływani do wojska na trzymiesięczne szkolenie w szkołach oficerskich. Ja trafiłem do szkoły oficerskiej piechoty we Wrocławiu – Karłowicach. Z zapamiętanych wydarzeń utkwiła mi pewna przestroga przekazana na wykładach. Przytoczono bowiem karygodny przykład „jak jeden z elewów podczas pełnienia warty przy magazynie broni usiadł na progu, oparł karabin o drzwi i czytał książkę.” Jak się później okazało, elewem tym był Władek Torbicz, a przestroga powtarzana była przez co najmniej dwa lata, bo ja trafiłem tam dwa lata później niż Władek.

Kolejnym etapem integracji koleżeńskiej naszego roku były praktyki wakacyjne, które odbywały się w różnych miejscowościach, w bardzo zróżnicowanym, nieraz zupełnie przypadkowym składzie osobowym.

Najbardziej utkwiła mi w pamięci praktyka wakacyjna w ramach elektryfikacji rolnictwa, którą odbywaliśmy w obrębie wsi: Kosiny Bartosowe i Kosiny Kapiczne, w pobliżu Mławy. Wśród grona zapamiętanych przeze mnie uczestników znaleźli się: Janek Bielec, Tadek Majewski, Władek Torbicz, Leszek Woźniak i a zapewne jeszcze dwóch innych kolegów. Praktyka odbywała się w 1954 roku, a więc w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w Szwajcarii. Mogliśmy wysłuchiwać niektórych transmisji i komentarzy poprzez tzw. „kołchoźniki”, gdyż wsie były zradiofonizowane. Był to przykład kolejnego paradoksu tamtych ponurych czasów, gdzie propaganda wyprzedzała cywilizację, bo elektryfikacja, z naszym udziałem, była dopiero w toku. Utkwiły mi w pamięci niesamowite wyniki meczów, to znaczy rozgromienie w eliminacjach drużyny RFN przez słynną złotą jedenastkę Węgrów oraz pokonanie jej w finale przez ekipę RFN.

Pociąg do piłki nożnej oraz wspomniane transmisje powodowały, że każde wolne od pracy chwile spędzaliśmy na prowizorycznym boisku. Pamiętam, że doszliśmy do takiej wprawy, iż w zorganizowanych „ad hoc” meczach wygrywaliśmy wysoko z monterami (naszymi opiekunami praktyk), jak również z drużyną miejscowej młodzieży. Magia piłki nożnej zadziałała, gdyż nawiązane podczas tej praktyki stosunki przyjacielskie były kontynuowane podczas całego okresu studiów. W przypadku zaś Janka Bielca, Tadeka Majewskiego, Władka Torbicza i mnie, nawiązana więź

przyjacielska była tak silna, że jest kontynuowana do dnia dzisiejszego. Podczas studiów spotykaliśmy się więc często na boiskach w pobliżu placu Narutowicza, a także na Kole. Grono miłośników piłki nożnej rozszerzało się i w rozgrywkach, oprócz wymienionych poprzednio, brali udział między innymi: Piotrek Zadura, Jurek Żukowski, Janek Wasiak, Edek Krzemiński, Wojtek Bobiński i inni, a także mój starszy brat Tadeusz.

Pod względem zawodowym podczas tej praktyki zdobyliśmy wiele konkretnych umiejętności monterskich, przydatnych podczas dalszej pracy zawodowej oraz w codziennym życiu, a bezpośrednie spotkanie ze środowiskiem wiejskim uświadomiło mi jak ciężka jest praca rolnika.

Edukację na Wydziale Elektrycznym zakończyłem w październiku 1957 roku uzyskując tytuł inżyniera elektryka o specjalności – grzejnictwo elektryczne. Pracę dyplomową opracowaliśmy razem ze Staszkiem Abramczykiem. Dotyczyła ona elektrycznego pieca tyglowego do wytopu metali. Pamiętam, że w komisji egzaminacyjnej brali udział bardzo lubiani i szanowani przez nas P.T. profesorowie: Tadeusz Schwartz, Marian Mazur i Paweł Nowacki.

Okres po studiach

Pierwszą pracę, po ukończeniu studiów, podjąłem w instytucji wojskowej – Lotniczych Zakładach Remontowych Nr 4 w Warszawie, na Kole. Podstawowym moim zadaniem było przygotowanie dokumentacji wprowadzającej modernizację wyposażenia samolotów typu MIG podczas dokonywanych remontów. Dostyc szybko opanowałem tajniki elektrycznej instalacji samolotowej, chociaż odbiegała ona znacznie od znanych mi instalacji mieszkaniowych i przemysłowych. Wkrótce powierzono mi, jako jedynemu cywilowi stanowisko kierownika sekcji osprzętu. Nie przepracowałem tam zbyt długo, gdyż nie mogłem pogodzić się z gorszym traktowaniem cywila, pod względem płacowym, przywilejów socjalnych, oraz możliwości awansu, a już nie do zaakceptowania była sytuacja, gdy w trakcie organizowanych narad roboczych, musiałem opuszczać dalszą część posiedzenia, która dotyczyła spraw dla mnie utajnionych. Nie zamierzałem również, mimo propozycji przywdziać munduru zwłaszcza, że mój poprzednik wywalczył sobie odejście do cywila. Prawdopodobnie o opuszczone przeze mnie stanowisko pracy starał się nasz kolega Janusz Kubicz.

Kolejnym moim pracodawcą były Zakłady Elektrotechniki Motoryzacyjnej ZELMOT na Okęciu, gdzie zatrudniłem się w dziale głównego mechanika na stanowisku młodszego energetyka. Praca ta umożliwiła mi praktyczne zapoznanie się z różnorodnymi urządzeniami elektroenergetycznymi, a także z pracami inwestycyjnymi związanymi z rozbudową zakładów. Tam też zetknąłem się również z wynalazczością

zakładową, uczestnicząc w pracach zakładowego klubu techniki i racjonalizacji, a także reprezentując zakłady i klub na konferencjach związanych z uchwalaniem nowej ustawy o wynalazczości z 1962 roku.

Powyższe doświadczenia spowodowały, że w 1962 roku podjąłem ofertę pracy w Urzędzie Patentowym, który przechodził wówczas modernizację, zatrudniając się jako inżynier rozpatrujący zgłoszone wynalazki i wzory użytkowe. Na początku mojej pracy, w 1965 roku miał miejsce dosyć ciekawy spór patentowy, który pokazał, że w biznesie nie ma miejsca na sentymenty, oraz że w postępowaniu należy zawsze przestrzegać ściśle obowiązujących wymogów. Sprawa dotyczyła trzech wynalazków opatentowanych w Polsce pod nr 34603, 35291 i 36679 w latach 1951-53, na rzecz firmy EMI z Wielkiej Brytanii. Wynalazki te dotyczyły pionierskich rozwiązań związanych z telewizją i zostały dokonane przez P.W. Willans'a w 1934 roku, który scedował swoje prawa na rzecz firmy EMI. Firma ta, oprócz Polski dokonała zgłoszeń w wielu krajach, uzyskując patenty w latach 1940-1945, które wygasły po 15 latach od chwili udzielenia patentu, a więc najpóźniej w 1960 roku, po którym można było bezkolizyjnie wykorzystywać te rozwiązania na skalę przemysłową. W Polsce patenty nie mogły być udzielone w tamtym okresie, ze względu na toczącą się na jej terenie i wojnę, oraz pożar, który strawił znajdujący się w Warszawie przy ul. Lwowskiej gmach Urzędu Patentowego wraz ze wszystkimi dokumentami. Wznowienie procedury patentowej po wojnie było możliwe po przystąpieniu Polski w 1947 roku do porozumienia podpisanego w Neuchatel (Szwajcaria), które umożliwiło rekonstrukcję zgłoszeń patentowych, których dokumentacja została utracona w czasie II wojny światowej. Warunkiem tego było wykazanie się potwierdzeniem wcześniejszego przyjęcia zgłoszenia patentowego w Polsce, skompletowanie dokumentacji zgłoszeń oraz brak sprzeciwu zainteresowanych w Polsce instytucji. Firma EMI złożyła wnioski o rekonstrukcję zgłoszeń przedstawiając odtworzoną dokumentację. Urząd Patentowy poinformował o tym stosowny resort, a po uzyskaniu pisemnej opinii, że Polska nie jest zainteresowana tematyką objętą tymi zgłoszeniami, wznowił procedurę. Rozpatrująca sprawę osoba zwróciła jednak uwagę, że w złożonej dokumentacji brakuje dowodu cesji wynalazcy na rzecz firmy EMI na teren Polski i wezwała do jej nadesłania. W odpowiedzi firma złożyła wyjaśnienie, że dowód taki najpewniej istniał i, że w innych krajach cesja była uznawana, a nowego, aktualnego dokumentu nie może przedłożyć, ponieważ P.W. Willians zginął w czasie bombardowania Londynu. Prawdopodobnie, ze względu na przedstawione okoliczności, wyjaśnienie to zostało uznane za wystarczające, co doprowadziło do wznowienia postępowania, a w konsekwencji spowodowało udzielenie wspomnianych patentów, chociaż istniały przecież podstawy do

negatywnego rozstrzygnięcia. Nie kierując się bowiem sentymentem, przestrzegając ściśle wymogów prawa, co zapewne miałyby miejsce w praktyce urzędów zachodnich, można byłoby odmówić rekonstrukcji zgłoszeń. Niestety, wspomniane patenty zaczęły obowiązywać w Polsce od momentu udzielenia przez lat 15 tj. odpowiednio: patent nr 34603 do 1966 roku; patent nr 35291 do 1967 roku, a patent nr 36679 do 1968 roku. Zaistniała paradoksalna sytuacja polegająca na tym, że Polska, która poniosła przecież największe straty wojenne, jako jedyne państwo obwarowana była ochroną patentową rozciągającą się do 1968 roku, w okresie kiedy następował rozwój telewizji, podczas gdy w pozostałych krajach patenty dawno wygasły. Oczywiście sytuację tę, bez żadnych skrupułów, wykorzystał właściciel patentów, występując z roszczeniami o naruszenie praw patentowych. Na szczęście podczas wnikliwej kontroli procedury rekonstrukcji zgłoszeń, udowodniono, że nie zostały spełnione wszystkie wymogi przewidziane w porozumieniu z Neuchatel i wymienione wyżej patenty zostały unieważnione w 1965 roku.

Podczas mojej długoletniej pracy w Urzędzie miałem możliwość obserwować i uczestniczyć w przeobrażeniach działalności Urzędu, w zakresie prawodawstwa patentowego i jego koordynacji z prawem międzynarodowym. Zajmowałem się głównie oceną zgłoszonych wynalazków, piastując różne stanowiska, w tym również dyrektora Departamentu Badań Patentowych. Z satysfakcją i wielką przyjemnością miałem okazję zauważyć wśród grona wynalazców nazwiska kolegów z naszego roku, a byli to m. in.: Władysław Torbicz, Ignacy Zawicki, Stanisław Mówiński, Janusz Migdalski, Andrzej Gadaliński, Jerzy Busłowicz, Zygmunt Warsza, Eugeniusz Korejwo i Andrzej Gurgul. W Urzędzie Patentowym przez pewien czas pracował Andrzej Kropiwnicki, który później pełnił funkcję rzecznika patentowego w PHZ Polservice, a następnie otworzył własną kancelarię rzecznikowską. Uprawnienia rzecznika patentowego uzyskał także Wojciech Bobiński, pracując w Zakładach ERA. W latach 90 okresowo stanowisko dyrektora administracyjnego w Urzędzie Patentowym pełnił nasz kolega Jerzy Bogucki.

Z ważniejszych wydarzeń w działalności Urzędu Patentowego zapamiętałem m.in. umiejętne uniki ze strony kierownictwa Urzędu, które nie dopuściły do narzucenia nam przez były Związek Radziecki systemu świadectwa autorskiego zamiast patentu na wynalazek, co stanowiłoby deprecjację prawa patentowego. Stosowana presja była na tyle brutalna, że nie uchroniły się przed nią Bułgaria i Czechosłowacja. Przemiany polityczne w Polsce po roku 1989 otworzyły przed Urzędem szerokie możliwości współpracy z Zachodem, a szczególnie z Europejskim Urzędem Patentowym, który udzielał nam wszechstronnej pomocy, w postaci dostępu

do komputerowych baz patentowych, wyposażenia stanowisk pracy w odpowiedni sprzęt, oraz w szkoleniu kadry. Osobiście uczestniczyłem w 6-cio tygodniowym szkoleniu w Monachium i Hadze, gdzie zapoznałem się z podejściem i warsztatem pracy tamtejszych ekspertów patentowych oraz całokształtem działalności Europejskiego Urzędu Patentowego. Zajęcia były bardzo absorbujące, a więc nie było zbyt wiele wolnego czasu, ale na szczęście podczas weekendów mogłem poznać wiele ciekawych zakątków Bawarii.

Z innych zagranicznych podróży służbowych, z dumą i satysfakcją wspominam pobyt w Austriackim Urzędzie Patentowym w 1984 roku . Podczas uroczystej kolacji, po wyczerpaniu tematów zawodowych, jeden z uczestników goszczącej nas delegacji gospodarzy, chcąc zapewne sprawić nam przyjemność, opowiedział nam pewne wydarzenie. Otóż podczas 300. rocznicy „odsieczy wiedeńskiej” organizowane były w Wiedniu uroczyste obchody, które spotkały się z licznymi protestami mniejszości tureckiej, zarzucającej Austriakom brak prawa do takich obchodów, bo przecież nie oni ale Polacy przyczynili się do tego historycznego zwycięstwa. Jaka szkoda, że o tak chlubnych dla nas wydarzeniach przypominają nam inne narody, bo nie przypominam sobie ażeby ówczesne władze upamiętniły tę rocznicę.

Po ukończeniu studiów utrzymywałem i nadal utrzymuję, kontakty przyjacielsko-rodzinne z Jankiem Bielcem (choć osiadł on na stałe w Krakowie), Tadkiem Majewskim, Staszkiem Abramczykiem, Władkiem Torbiczem i Adolkiem Grochałą. Sporadycznie spotykałem się także z Jurkiem Żukowskim, Januszem Migdalskim i Wieśkiem/Januszem Adamczykiem. W ostatnim okresie uczestniczyłem w Zjazdach Jubileuszowych naszego roku oraz w spotkaniach w restauracji „ San Antonio”.

Janusz Tomicki



**Życie niezależnego elektryka
w trudnych czasach**

Studia

Szkołę podstawową ukończyłem w 1949. Razem ze mną tę samą 7. klasę ukończyli Edek Jasiński, Andrzej Kmieć i Janusz Księżopolski. Cała nasza czwórka rozpoczęła w tym samym roku naukę w Technikum Elektrycznym w Lublinie przy ulicy Czwartek. Maturę zdaliśmy w r.1953 i wszyscy postanowiliśmy studiować na Politechnice. Stopnie mieliśmy porównywalne (b. dobre i dobre).

Moi trzej koledzy należeli do ZMP i jako "przodownicy nauki i pracy społecznej" mogli wybrać uczelnie i nie musieli zdawać egzaminów wstępnych. Wybrali Politechnikę Warszawską. Ja "frajer" nie należałem do ZMP i byłem zmuszony zdawać egzamin wstępny. Wybrałem Politechnikę Gdańską (mniejsza liczba chętnych na jedno miejsce). Po 1 semestrze udało mi się przenieść na P.W. Przenosiny nie były łatwe – Gdańsk nie był chętny mnie oddać, a Warszawa nie była zbyt chętna, aby mnie przyjąć. Przenosiny udały się, dlatego że moja ciocia była sekretarką prof. Nielubowicza, który grywał w "bridge'a" z prof. Mejro. Dodatkowym argumentem na "przeprowadzkę" do Warszawy był fakt, że w Zielonce mieszkali moi dziadkowie i miałem tam zapewniony "wikt i opierunek". Musiałem jednak zrezygnować z "akademika" i stypendium, które otrzymywałem w Gdańsku.

W Zielonce poznałem naszego wspólnego kolegę Leszka Wójcika, z którym się zaprzyjaźniłem i pozostaliśmy przyjaciółmi do teraz. Przyjaźń ta owocowała wspólną nauką oraz licznymi wyjazdami wakacyjnymi – latem Mazury, zimą Zakopane.

Na początku 3-go semestru kilku z nas (podobno ci, którzy nieźle radzili sobie z nauką) pojechało pomagać w jesiennych wykopkach do PGR-u w Pieniężnie. W tym czasie koledzy prowadzili dla nas notatki z wykładów – pisali przez kalkę. W tym PGR było coś w rodzaju "sypialni", gdzie panował niesamowity bałagan i brud. Na nasze pytanie skierowane do dyrektora PGR: "czy tu sypiają ludzie"?, padła odpowiedź: "nie, traktorzyści". Na śniadania dostawaliśmy kawę zbożową z mlekiem. Kawa

ta "zajeżdżała" gnojówką – jak się okazało kucharka do mleka dolewała wodę ze studni, a ta (studnia nie kucharka) była wokół oblana gnojowicą z obory.

Zajęcia z fizyki prowadziła dr Leiblerowa. W trakcie sesji egzaminacyjnej uzyskała ten stopień. Nasz kolega Edek Krzemiński poszedł do Niej z gratulacjami z bukietem róż. Po gratulacjach prof. Leiblerowa wpisała Edkowi 5 do indeksu, który natychmiast włożył do kieszeni i szybko odszedł – oczywiście bez egzaminu.

Zgodnie ze zwyczajem, w czasie kolejnej sesji zimowej wybierałem się z Leszkiem Wójcikiem i kolegami z Zielonki na narty do "Zakopca". Ponieważ grupa Leszka zdawała egzamin z Maszyn Elektrycznych 1 (prądu stałego), poszedłem na egzamin z jego (Leszka) grupą dwa dni wcześniej, aby razem z nim wyjechać. Prof. Władysław Latek zgodził się mnie przeegzaminować, gdy Mu powiedziałem dlaczego chcę zdawać wcześniej. I tu nastąpiła (jak teraz młodzi mówią) "wtopa". Ponieważ ukończyłem Technikum Elektryczne, zdawalno mi się, że wiem wszystko o maszynach elektrycznych, więc nie za bardzo do tego egzaminu się uczyłem. Rzeczywistość była okrutna, okazało się, że zasługuję najwyżej na 2+. Profesor Latek postawił mi 3, aby, jak powiedział, nie psuć mi wyprawy na narty. Następnie dodał, abym na egzamin z Maszyn 2 (prądu zmiennego) nauczył się porządnie tego, czego nie umiałem. Wyobrazicie sobie, że na zakończenie egzaminu z Maszyn 2 powiedziałem, że mam u Pana Profesora zaległość z Maszyn 1. Na to Profesor: „czekałem czy pan o tym pamięta, bo ja tak” i dodał: „skoro obaj pamiętamy to sądzę, że pan to umie”. Nie egzaminował mnie dalej, tylko zapytał, czy udała mi się ta wyprawa na narty.

Po studiach

Studia ukończyłem niemal z rocznym opóźnieniem, gdyż musiałem wcześniej zacząć pracę, ponieważ w lutym 1958 zmarł mój dziadek, na którego utrzymaniu pozostawałem. Jesienią 1958 rozpocząłem pracę w Wołomińskich Zakładach Terenowego Przemysłu Materiałów Budowlanych (WZMB) w Wołominie na stanowisku Głównego Energetyka. Pracowałem tam do września 1960. W tym czasie napisałem i obroniłem pracę magisterską u Prof. Kahla pod tytułem "Ekonomicznie uzasadnione wahania napięcia zasilania silników elektrycznych w przemyśle". Wyniki mojej pracy magisterskiej zostały potem wykorzystane w pracy doktorskiej przez jednego z asystentów Prof. Kahla. Moją Pracę konsultowałem z Prof. Kahlem w Jego mieszkaniu przy ul. Polnej. Profesor był po udarze słonecznym i mówił: "gdybym poleżał na słońcu pół godziny dłużej to z męskich przyjemności pozostałoby mi tylko golenie". Po latach byłem, jako jedyny z Jego byłych studentów, na Jego

pogrzebie na cmentarzu ewangelickim przy ul. Młynarskiej.

W okresie 1960 –1964 pracowałem w Z-dach Elektronicznych T12 "Warel" przy ul. Modlińskiej w Warszawie na stanowisku starszego konstruktora, gdzie projektowałem urządzenia do hartowania stali prądami wysokiej częstotliwości.

Od października 1964 rozpocząłem prace w Hucie Warszawa, początkowo jako starszy inżynier automatyki, a później na stanowisku kierownika Wydziału Elektrycznego. Zadaniem tego Wydziału były remonty maszyn i urządzeń elektrycznych Huty. Spotkałem tam naszego kolegę z Wydziału Elektrycznego Janka Zajączkowskiego, który nie ukończył studiów z przyczyn rodzinnych. Awansowałem go na stanowisko Mistrza, gdyż wcześniej pracował jako elektromonter.

W czerwcu 1970 rozpocząłem pracę na stanowisku Dyrektora Zakładu nr 3 Warszawskich Z-dów Maszyn Budowlanych im. Ludwika Waryńskiego (w Ostrowi Mazowieckiej), a od stycznia 1972 byłem Dyrektorem Z-du nr 2 WZMB w Warszawie. W tym czasie miałem okazję rozmawiać z Fidelem Castro, który zwiedzał nasz Zakład podczas swojego pobytu w Polsce. W tym okresie koparki, które produkowały WZMB były eksportowane na Kubę.

Pewnej nocy w "moim" Zakładzie spłonęła lakiernia i organizacja PZPR, nie czekając na wyniki śledztwa prokuratury, udzieliła mi nagany partyjnej. Wcześniej wstąpiłem do PZPR, gdyż zapamiętałem z czasów szkoły średniej, że nie będąc w ZMP musiałem zdawać egzamin na "Polibudę". Prokuratura umorzyła śledztwo, w którym łączyła ten pożar z moją osobą, ale ja mocno zdegustowany tą sytuacją spuściłem legitymację partyjną z wodą w "kiblu" i zostałem warszawskim taksówkarzem na niemal 35 lat. W przemyśle pracowałem 15 lat.

Nowy mój zawód taksówkarza pracującego w jednoosobowym prywatnym „przedsiębiorstwie” musiał być poprzedzony zdaniem egzaminu na zawodowe prawo jazdy kategorii drugiej, uprawniającej do kierowania wszelkimi pojazdami z wyjątkiem autobusów powyżej 12 pasażerów. Zdanie tego egzaminu bez kursu i praktyki w zawodzie kierowcy zawodowego umożliwił mi fakt, iż w roku 1970 zdobyłem tytuł Rajdowego Mistrza Okręgu Warszawskiego. Prezes Autoklubu Warszawskiego rekomendował mnie Prezesowi Polskiego Związku Motorowego, który miał prawo wydawania zawodowych praw jazdy. I tak 15 grudnia 1972 zarobiłem pierwsze pieniądze "taksówkarskie" – 12 zł za kurs z ul. Floriańskiej do Centralnego Domu Towarowego „Smyk”.

Moim stałym miejscem postoju był nowo wybudowany hotel "Solec" na ul. Zagórnej na Powiślu. Dzięki dobrej znajomości angielskiego i dobrym układom w recepcji hotelu woziłem głównie pasażerów zagranicznych. Byłem z dwoma Polakami z Anglii na meczu z Anglią

w 1973, kiedy Polska pokonała reprezentację Anglii 2:0 w Chorzowie. Na meczu tym Lubańskiego sfaulował Mc' Farlain. Pewnego dnia z lotniska wiozłem amerykańską rodzinę, której dziadek został zabrany (przed odlotem do USA) do szpitala. Rodzina (córka, zięć i wnuczka) musieli wracać do domu, aby nie stracić pracy. Mnie poprosili, abym opiekował się dziadkiem Mr Lothem, który był operowany i musiał pozostać w szpitalu.



Rodzina przedstawiła mnie konsulowi USA z prośbą, aby udzielił mi pomocy (gdyby zaszła taka potrzeba) w sprawie ich ojca i dziadka. Zostawili mi dużą jak na owe czasy sumę 1500 \$ na pokrycie kosztów. Codziennie odwiedzałem Mr. Lotha w szpitalu przynosząc mu owoce kupowane na bazarze przy ul. Polnej. Pewnego dnia lekarz powiedział mi, że pan Loth jest już zdrowy, ale stan psychiczny nie pozwala mu wstać z łóżka. Dobrze by było, gdyby ktoś podtrzymał go na duchu. I wiecie co? Poprosiłem konsula USA, aby odwiedził pana Lotha w szpitalu. Zaprowadziłem konsula do sali szpitalnej i po chwili czekając na korytarzu ujrzałem jak konsul i pan Loth wychodzą i wesoło rozmawiają. Zapłaciłem

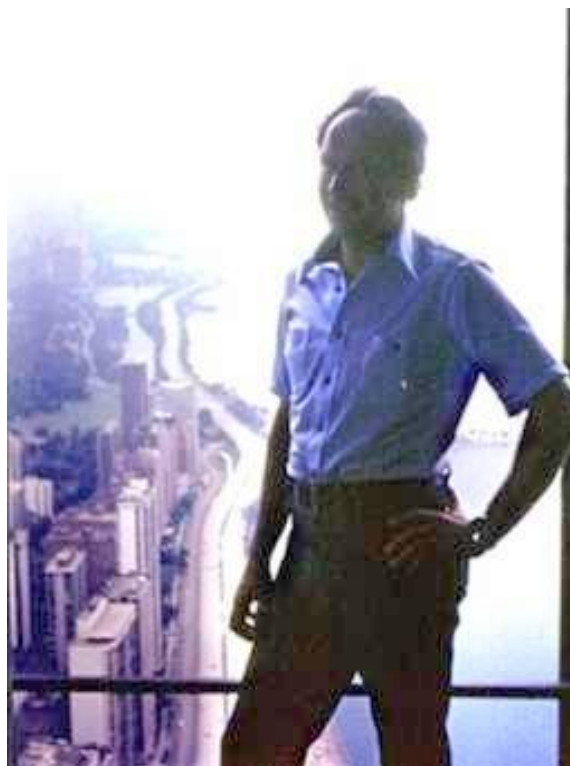
za operację i kupiłem bilet dla pana Lotha do Londynu, gdzie czekał na niego syn, który tam po niego przyleciał z USA. Zawiozłem pana Lotha na lotnisko i wyekspediowałem go Londynu.

W roku 1973 miałem przyjemność poznać pana (Mr.) Rog'a, który był przedstawicielem firmy Boeing i negocjował sprzedaż dla PLL LOT samolotów tej firmy. Wozilem moją "taxi" marki Wartburg tego pana. Ostatecznie kontrakt nie doszedł do skutku z powodu sprzeciwu (podobno) samego Gierka. Jak wiemy Polska zakupiła wtedy samoloty radzieckie Tupolewy. Mr. Rog zarekomendował mnie w firmie (dobrze znałem język angielski) jako zaufanego taksówkarza, co zaowocowało tym, że wozilem z lotniska Okęcie do hotelu Victoria załogi samolotów PANAM, które latały do Warszawy. Pewnego dnia zadzwonił w moim domu telefon i damski głos powiedział: "łącze z PANAM". Dzwonił kapitan samolotu lecącego nad Atlantykiem i powiedział, że bym przyjechał po załogę na Okęciu później, bo mają 2 godz. opóźnienia. Innym razem zadzwonił do mnie Mr. Rog, abym odebrał na lotnisku przedstawiciela Boeinga, który jest ich specjalistą od PR-u, i że bym zawiózł go do MSZ-tu. Tym gentlemanem okazał się Alan Shepard, który jako drugi człowiek stanął na Księżycu. Na lotnisku czekałem ja z napisem "Alan Shepard". Czekały na niego również dwie limuzyny. Jedna z MSZ-tu, a druga z LOT-u. Mr. Shepard pojechał moją "taxi", a za nami jechał mercedes z tekturową walizką pana Sheparda. Ta walizka, a dobrze pamiętam miała urwaną rączkę. Jak widać wielcy ludzie nie dbają o szczegóły.

Zawód taksówkarza był źródłem różnych przeżyć. Rok 1974. Czy widzieliście państwo kronikę filmową z wyzwolenia Obozu Auschwitz w Oświęcimiu? Jest tam taka scena, jak mali chłopcy zza drutów pokazują numery wytatuowane na rękach. Otóż w listopadzie 1974 r wiozłem do Oświęcimia jednego z tych (1945) "chłopców". Przyleciał do Polski z dwoma wnukami (bliźniakami), aby pokazać im miejsce, w którym przeżył straszne chwile. Była mgła i pod Radomskiem (na szosie "katowickiej") był wypadek. Droga była zablokowana, a ja w tej mgle z trudem wyhamowałem i zatrzymałem się za stojącą ciężarówką. Pomyślałem, że inny samochód może nie wyhamować i uderzyć w mój. Zjechałem więc na pobocze i stanąłem równolegle z tą ciężarówką. Za chwilę następane auto wyhamowało i stanęło za tą ciężarówką na miejscu, gdzie przed momentem ja "parkowałem". Kilka sekund i następane jadąca ciężarówka nie wyhamowała i uderzyła w to auto. Niesamowite!!! W tym aucie zginęły na miejscu 3 osoby. Mój pasażer zaniemówił, a po chwili powiedział: "Mój Boże, przeżyłem Oświęcim, a mogłem zginąć teraz razem z moimi wnukami". Dalsza droga przebiegła bardzo spokojnie

W styczniu 1975 poleciałem do USA na zaproszenie rodziny pana Lotha, Irene i Jerrego Draus. Miałem problem z amerykańską wizą,

ponieważ w aplikacji wizowej musiałem się przyznać, że do 1972 należałem do PZPR. I zgadnijcie, kto umożliwił mi otrzymanie wizy? Konsul, do którego się zgłosiłem i przypomniałem mu sprawę pana Lotha. Rok 1975 przepracowałem w USA w Flinn & Drefflein Engineering Company w Northbrook koło Chicago. Przez ten czas byłem głównym projektantem części elektrycznej pieców elektrycznych do hartowania i odpuszczania luf armatnich dla zakładów Babcocks & Wilcox. Projektując musiałem przestawić swój sposób myślenia na "amerykański". Ach te "cale", "stopy", "yardy", "cale (ułamki) kwadratowe", "stopnie Fahrenheita". Początkowo myślałem, że dostanę „świra”, ale po dwóch tygodniach wszystko było proste. Pamiętajmy, że amerykańskie niskie napięcie to połowa naszego. A więc prąd przy 110V dwa razy większy niż w Polsce. Ich sposób na dobór przekroju przewodu jest taki: dla każdej wyliczonej wartości prądu jest tabela z odpowiednim numerem przewodu. Nie trzeba sobie zawracać głowy "amperami na mm² czy amperami na cal². Bardzo sprytnie. Regulowane temperatury dwóch pieców, które projektowałem (przeliczając z Fahrenheita na Celsjusza) znajdowały się w zakresie 800-2300 °C. Na trudności techniczne przedsięwzięcia może wskazywać długość luf grubościennych wynosząca około 20 m.



Widok z najwyższego budynku John Hancoks w Chicago

W "moim dorobku" miałem także opracowanie dokumentacji

dotyczącej zainstalowania aparatury rentgenowskiej w Szpitalu Weteranów Wojennych (Veterans Hospital) przy Huron's Street w Chicago. Byli zdziwieni że Polak zna się na amerykańskich urządzeniach.

W pracy w F&D w Northbrook, miałem kolegę Kubańczyka. Julio (Hulio) Texidor był uciekinierem z Kuby – uciekł od reżimu Castro, bo groziło mu aresztowanie za poglądy polityczne. Pewnego dnia zapytałem go, czy chce uściskać moją dłoń, którą ścisnął jego "ulubieniec" Castro. Myślałem, że mnie uderzy z powodu głupiego żartu, ale się uspokoił, gdy mu wyjaśniłem, że naprawdę miałem okazję witać się z Fidelem w czasie, gdy pracowałem w "koparkach" w Warszawie, które były eksportowane na Kubę.

Roczny pobyt w Stanach Zjednoczonych dał mi sposobność przeżycia różnych zdarzeń, w tym zdarzeń kulturalnych, i spotkania wielu ciekawych ludzi. Będąc z przyjaciółmi w klubie The Fidlers (skrzypkowie) wygrałem 2 butelki szampana. Pierwszą w nagrodę za to, że byłem jedyną osobą z kraju "komunistycznego", a drugą, ponieważ wiedziałem jak się wymawia nazwisko perkusisty. Po angielsku wymawiali "Zadzek", a on był Polakiem i nazywał się Zając. Jego nazwisko było napisane na bębnie.

W Polskim Klubie miałem przyjemność rozmawiania z Aliną Janowską, która tam występowała. Przeprosiła ona widzów, że musi natychmiast wracać do Polski w związku z obawą o możliwość aresztowania jej męża, szablisty Wojciecha Zabłockiego, gdyż jego przyjaciel Jerzy Pawłowski został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo. Informacje o tym wydarzeniu szeroko upowszechniano wtedy w różnych mediach.

Innym razem, będąc w teatrze na sztuce francuskiej "Ulica nr 13", zostałem przedstawiony pani Eleonore Ramos jako "ciekawostka przyrodnicza" z kraju "komunistycznego". W latach 40-tych była ona sekretarką wytworni filmowej "Metro Goldwyn Maier". Po wielu latach (w 2003 r.) zostałem przez nią zaproszony do jej posiadłości w Santa Ana koło Los Angeles. Byłem jej gościem przez 5 tygodni. Eleonore opowiadała wiele o kulisach filmu. Oto jedna ciekawa historia. Eleonore była swego czasu w paryskiej Olimpii i tam zobaczyła na scenie młodą dziewczynę. Natychmiast wysłała telegram do swojego szefa, który niezwłocznie przyleciał do Paryża i podpisał kontrakt z tą "aktorką". A teraz "bomba". Ta dziewczyna to późniejsza znana aktorka Doris Day.

Pewnej niedzieli pojechałem na tor wyścigów konnych Horse Race Track do miejscowości Arlington Park (wszystko ma miejsce w stanie Illinois). Obstawiałem konia, którego imię mi się podobało – " Morze fortuny" (Sea of Fortune). Okazało się, że to był "fuks". Za 1 \$ wygrałem 100\$!! Ale przebicie!!!. Następnej niedzieli znowu pojechałem, aby wygrać, lecz przegrałem 150 \$!! Tylko 2 razy byłem na tym torze wyścigów

konnych. Na te wyścigi jeździłem lokalną koleją (ruch kolejowy lewostronny), którą wybudowali Anglicy na początku 20-go wieku.

Po rocznym pobycie w USA wróciłem do Polski. Gdy odchodziłem z pracy w Northbrook, to od prezydenta firmy Flinn & Dreffein otrzymałem zapewnienie, że praca i stanowisko będą na mnie czekały. Jednak na taki krok się nie zdecydowałem, bo zostawiłbym w Polsce moją Mamę i dotychczasowy dorobek. W 1976 roku wyjechałem z rodziną do Wiednia na wakacje. W Wiedniu mieściło się centrum emigracyjne do USA dla osób z Europy Wschodniej. Mój adwokat w USA powiedział, że jeśli tam się zgłoszę i podam jego "namiary" to on wszystko wyjaśni i dostanę wizy do USA dla całej rodziny, a on przyśle dla nas bilety lotnicze. Jednak nie udało mi się tego załatwić. Dopiero mój syn Tomasz wyjechał do Stanów w 1990 roku, gdzie zadomowił się na stałe. Nie powróciłem do zawodu inżyniera elektryka. Wykonując zawód taksówkarza byłem osobą niezależną od nikogo. Mogłem więc tak gospodarować swoim czasem, aby, dzięki wielokrotnym zaproszeniom syna, zwiedzić Stany Zjednoczone wzdłuż i wszerz. Może warto tu dodać, że, jak dowiedziałem się w 1976 r., prywatnym taksówkarzem była wtedy jeszcze inna osoba z wyższym wykształceniem mająca kłopoty – znany dziennikarz Andrzej Bober.

Dzięki zaproszeniu syna w 2000 r. zwiedziłem Góry Skaliste w stanie Kolorado. Jako zagorzały narciarz nie mogłem nie odwiedzić takich miast (ośrodków narciarskich) jak Aspen, nazywany zimową stolicą USA i Vail, słynącym z zawodów Pucharu Świata w narciarstwie alpejskim. W Vail trzykrotnie odbyły się mistrzostwa świata w narciarstwie alpejskim (1989, 1999, 2015).



Strażnik górski, Aspen Góry Skaliste (2000), Wododział Colorado Vail (2000)

Wspomniałem wcześniej, że w 2003 r. zostałem zaproszony przez panią Eleonorę Ramos do jej posiadłości w Santa Ana koło Los Angeles w południowej Kalifornii. Tutaj zwiedziłem posiadłość Johna Wayne. Jego

pomnik stoi na lotnisku w Santa Anna, które zostało nazwane jego imieniem. Odwiedziłem cmentarz gdzie jest on pochowany, lecz nie jest znane miejsce jego grobu, a to dlatego, żeby jego wielbiciele nie zdeptali cmentarza.

Najsilniejszych wrażeń w USA dostarczyła mi jazda samochodem z Los Angeles do San Francisco. Droga prowadzi autostradą PCH No1, co oznacza Pacific Coast Highway Nr 1. W Ameryce autostrada ma inne znaczenie niż u nas. W USA autostrada w polskim znaczeniu to Toll Way albo Free Way. Otóż PCH 1 prowadzi cały czas wybrzeżem Pacyfiku (szosy są numerowane od 1 i dalej w zależności od odległości od wybrzeża). Jedzie się wspaniale. Po drodze przejeżdża się przez znane miejscowości: Santa Barbara, Santa Monica, a także w pobliżu wąwozu "Modjeska", czyli wąwozu imienia Modrzejewskiej.



W San Francisco tramwaje są napędzane liną (jak kolejka na Gubałówkę), która biegnie w kanale pomiędzy szynami. Przejechałem przez most Golden Gate Bridge. Są tam zabezpieczenia, gdyż potencjalni samobójcy upodobili sobie to miejsce. Zwiedziłem więzienie na Wyspie Alcatraz i byłem w celi, w której był wieszony Al Capone.

Od stycznia 2008 jestem niezależnym emerytem, choć emeryturę pobierałem od kwietnia 2001 roku. Mieszkamy z żoną w Izabelinie w otulinie Puszczy Kampinoskiej w domu na pięknej leśnej działce.



Więzienie Alcatraz – Zatoka San Francisco.



Autor ze strażnikiem więzienia Alcatraz, i w wejściu do celi Alcapone (2003)

A teraz kilka słów o moim wnuku Łukaszu, którego historia jest ściśle związana z podróżami po świecie babci i dziadka. Łukasz, po ukończeniu 16 lat i 2 klas w liceum im. Reja w Warszawie, był przez pewien czas administratorem systemu komputerowego na Gieldzie Rolniczo-Kwiatowej w Broniszach koło Ożarowa, a w 2003 r. wyjechał na stałe w do ojca w USA. Po następnych 2 latach zdał maturę w Rockbrige High School w mieście Columbia – stan Missouri. Maturę zdał z najwyższą

oceną pośród 500 (pięciuset !!!) maturzystów i wygłosił w ich imieniu mowę na zakończenie szkoły. Jest on wysokiej klasy programistą komputerowym. Jeszcze przed wyjazdem z Polski był administratorem systemu komputerowego w Ministerstwie Rolnictwa. W USA wygrał kolejne konkursy programowania i reprezentował Stan Missouri na Krajowych Zawodach Komputerowych w Kansas (2005). Zdobył tam 2 złote medale, był zwycięzcą 2 konkurencji. W nagrodę był gościem Billa Gatesa w Dolinie Krzemowej w Kaliforni. Otrzymał propozycję darmowych (sponsorowanych) studiów uniwersyteckich. Studia rozpoczął po 2 latach, gdyż w tym czasie założył firmę doradztwa programistycznego. Po sprzedaniu tej firmy w ciągu 2 lat ukończył studia w Seaton Hall University w New Jersey. W czasie studiów był członkiem uniwersyteckiego zespołu programowania, który zdobył 1. miejsce w programowaniu w ogólno-amerykańskich zawodach uniwersyteckich. W roku 2010 ukończył studia podyplomowe i zdobył dyplom MBA (*Master of Business Administration*). Od roku 2011 mieszka w Hongkongu, jest żonaty z Amerykanką, ma 3-letniego syna Michaela (ja jestem dumnym pradziadkiem) i jest właścicielem firmy doradztwa inwestycyjnego. Wszystkie powyższe informacje można zobaczyć na jego stronie WWW.TOMICKI.NET.



Autor z żoną przed pomnikiem Mustafy Kemala Atatürka w Stambule (2013)

Dzięki mojemu wnukowi, ja i moja żona Elżbieta, będąc emerytami, mamy możliwość zwiedzania świata. "Sponsorem" jest nasz wnuk Łukasz. Zwiedziłem Turcję, Kalifornię, Hongkong (dwukrotnie), a ostatnio Chiny.

W Hongkongu nie ma podatku VAT, ceny są odpowiednio niższe. Z Chin Kontynentalnych (odległość najbliższej prowincji Chińskiej to 70 km) codziennie przyjeżdżają tysiące Chińczyków na zakupy. Samochód Porsche jest w Hongkongu ok.18000 \$ tańszy niż w Europie. Polacy nie potrzebują wiz do Hongkongu. Napięcie N.N. 240 V. Ruch drogowy lewostronny (pozostałość po Imperium Brytyjskim).

Podróżowanie w Chinach daje dużo wrażeń ze względu na prędkości. Podróż samolotem z Hongkongu do Szanghaju trwa 2,5 godz. Trasę z lotniska do centrum Szanghaju (25 km) przebyliśmy w kilka minut pociągiem MAGLEV, poruszającym się na poduszce magnetycznej (magnetic levitation) z prędkością 430 km/godz. Z Szanghaju do Pekinu (Bejging) jechaliśmy pociągiem 4,5 godz (1400km) – j eden przystanek.

W Pekinie 20 milionów mieszkańców widziałem wszystko godne uwagi, także Plac Niebiańskiego Spokoju. Jest nie do uwierzenia, że

w metrze są stacje z 14 parami ruchomych schodów w obu kierunkach, a na wszystkich schodach tłumy ludzi. Największe wrażenie sprawił na mnie Wielki Mur Chiński – 70 km od Pekinu. Uważam, że była to podróż (cały miesiąc) mojego życia. Nigdy wcześniej nie mieszkałem w tylu wspaniałych hotelach.





Żona autora i autor z żoną na Murze Chińskim (2014)

Patrząc wstecz na moje życie, mogę z przekonaniem stwierdzić, że mimo różnych, mniejszych i większych kłopotów na mojej drodze zawodowej, czuję się szczęśliwy. Może dlatego, że zawsze miałem oparcie w rodzinie.

Władysław Torbicz



Moja droga zawodowa z przygodami

Przygotowania do drogi

Maturę zdałem w 1953 r. po ukończeniu Liceum im. Tadeusza Kościuszki w małym mieście Włodawie nad Bugiem, o wielowiekowej tradycji zgodnego współżycia mieszkańców z trzech grup kulturowych, symbolizowanych przez trzy świątynie: katolicką, prawosławną i żydowską, a także przez cmentarz chrześcijański i dwa cmentarze żydowskie. Mój dom rodzinny sąsiedował bezpośrednio z cmentarzem żydowskim. Mimo tragedii wojennych, których jednym ze strasznych śladów jest odległy od Włodawy o 8 km niemiecki obóz zagłady w Sobiborze, tradycja tej wielokulturowości przetrwała do dzisiaj. Od wielu lat są we Włodawie organizowane festiwale trzech kultur. Przed wojną Włodawa leżała w Polsce centralnej, a obecnie jest miastem granicznym. Może ta wielokulturowość zaowocowała w postaci moich zainteresowań różnymi kulturami i religiami na świecie, i ich historią. Wiedza, którą dało mi Liceum, została uzupełniona wydarzeniem charakterystycznym dla tamtych czasów, a mianowicie, wyrzuceniem ze szkoły z „wilczym biletem” za niepoprawne poglądy czworga uczniów – dwóch koleżanek z mojej klasy, jednej z niższej i jednego chłopca z wyższej. Inną, wcześniejszą lekcją społeczną (1946 r.) było opanowanie miasta przez oddział „Żołnierzy Niezłomnych – Wyklętych”, dowodzony przez Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”, wcześniej mieszkającego przy tej samej ulicy co ja, i uwolnienie około 100 więźniów z więzienia UB, położonego w pobliżu mojego domu – słyszałem strzelaninę.

Egzaminy wstępne na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej obejmowały: pisemny – z matematyki i ustny – z fizyki. Z matematyki troską moją był błąd, który zrobiłem w obliczeniach dość złożonego wyrażenia rachunkowego, co skutkowało obniżeniem stopnia. Fizykę zdawałem bez problemów u pani dr Saturniny Woszczerowicz. Panią Doktor podziwiałem za jej fenomenalną pamięć. Na pierwszym wykładzie

z fizyki dla całego roku, patrząc w moją stronę, wywołała mnie do tablicy po nazwisku.

Moimi pierwszymi kolegami byli: Tadek Majewski, Michał Świechowski, Jurek Sidorowicz, Kazik Malanowski, Heniek Sobuś, który jako dziecko był wywieziony do Kazachstanu, i Wojtek Śliwiński. Zaczęliśmy studia 1 września. Przez jeden miesiąc nie miałem stypendium i akademika, więc waletowałem w pokoju mojego starszego brata Kazika w akademiku przy placu Narutowicza. Opiekunem naszej 5. grupy, która liczyła 32 osoby, był asystent, fizyk Włodzimierz Zych, dusza nie człowiek. On pomógł mi uzyskać stypendium i miejsce w akademiku. Naszym starostą był Andrzej Ryszka. Zamieszkałem w akademiku przy Placu Narutowicza w jednym pokoju z Tadkiem Majewskim i Chan Cho-Dżinem z Korei Północnej. Przez pewien czas waletował u nas Heniek Sobuś. Nie podobało się to organizacji partyjnej Koreańczyków, która postanowiła zmienić tę sytuację. Wspomagała ich w tym organizacja partyjna Wydziału Elektrycznego. W wyniku tych działań, Tadka przeniesiono do 12-to osobowego pokoju, Heniek przestał waletować i zamieszkał w innym miejscu. Był to jeden z przypadków umieszczania Koreańczyków wśród polskich mieszkańców domów studenckich. Moim obowiązkiem było pomaganie Cho- Dżinowi w nauce. W naszej grupie była również Koreanka Go Gum-Sok.

Inny system nauczania na uczelni niż w szkole średniej zakładał znacznie większą samodzielność pracy studentów. Lubiane przeze mnie wykłady doc. Romana Hampla z matematyki i sławnych Profesorów: Kazimierza Zarankiewicza z mechaniki i Szczepana Szczeniowskiego z fizyki na kursie magisterskim wprowadziły mnie do nowego świata wiedzy i dały dobre podstawy do zapoznawania się w całym ciągu studiów z tematyką zawodową. Prof. Zarankiewicz, Prezes Polskiego Towarzystwa Astronautycznego, ubarwiający swoje wykłady różnymi dykteryjkami, w czasie jednego z nich podzielił się z nami swoją opinią, że stan wiedzy i technologii pozwala na wystrzelenie sztucznego satelity w najbliższym czasie, co istotnie nastąpiło w 1957 r. Jednym z pierwszych przedmiotów zawodowych były Podstawy Elektrotechniki, wykładane bardzo systematycznie przez doc. Witolda Kotowskiego. Przedmiotem, który zakłócił mi przyjemność poznawania nowej wiedzy była Wytrzymałość Materiałów. Dwójka z egzaminu pisemnego tak mnie zmobilizowała do nauki, że po ponad godzinnym, ustnym „maglowaniu” przez jednego z pionierów wytrzymałości materiałów w Polsce, Prof. Bolesława Mayzela, dostałem 5.

Naszymi asystentami z tego okresu, których z przyjemnością wspominam, byli: Zdzisław Lebień (Matematyka), Włodzimierz Zych (Fizyka), Stanisław Bolkowski, Tadeusz Kaczorek i Ryszard Matusiak

(Podstawy Elektrotechniki, a później Elektrotechnika Teoretyczna). Asystent Lebień mieszkał w naszym akademiku i miał w zwyczaju pouczać studentów, kiedy należy kłaniać się asystentowi, w tym przypadku jemu – np. w WC kłaniać się nie powinno.

Wspominając po ponad 60-ciu latach początki naszych studiów wiemy, jak bardzo różnił się wtedy poziom nauki i techniki od czasów dzisiejszych. Sądzę, że dzisiejsza młodzież nie jest w stanie uświadomić sobie, jaki wpływ miała ta różnica na metody prowadzenia wtedy wykładów i ćwiczeń oraz na rodzaj pomocy naukowych. Chyba nie ma potrzeby szczegółowego omawiania tych różnic. Może celowe jest podanie kilku przykładów. Procedury obliczeniowe wykonywane dzisiaj w ciągu ułamków sekundy dzięki użyciu komputerów, musieliśmy wykonywać w ciągu wielu godzin, a nawet dni. Podobne porównanie występuje w odniesieniu do wykonywania rysunków przedstawiających w sposób graficzny wyniki pomiarów czy zaprojektowanych urządzeń. Również dzięki Internetowi, współczesny student ma ogromne ułatwienia w dostępie do źródeł wiedzy. Musieliśmy spędzać wiele godzin w słabo wyposażonych bibliotekach.

Co nie uległo zmianie? Człowiek, który pozostał mały w swojej małości i wielki w swojej wielkości. Liczne przykłady z życia codziennego wskazują, że ciągle jest wiele małości i podłości oraz dużo dobra na świecie.

Mieliśmy również wykłady z przedmiotów o charakterze ideologicznym, jak np. Podstawy Marksizmu-Leninizmu czy Ekonomia Polityczna. Ja, nienależący do ZMP, mam sporo uwag do wiadomości przekazywanych na tych wykładach. Może warto tu przytoczyć jedno ze spostrzeżeń, zawartych w następującym dialogu. Kto jest komunistą? Ten, kto czytał dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. A kto jest antykomunistą? Ten, kto czytał te dzieła ze zrozumieniem. Ja, choć przeczytałem ze zrozumieniem „Kapitał” Marksa oraz „Krótką Historię WKP(b)”, nie interesowałem się polityką. Z takimi, przekazywanymi nam treściami, spotykaliśmy się na każdym kroku, nawet w piosenkach. Czy jeszcze pamiętamy takie piosenki jak np.: „Stalin bojów wszystkich naszą chwałą, Stalin to młodości naszej blask...” lub „My ZMP, my ZMP, reakcji nie boimy się”. Kilka przykładów tego rodzaju twórczości mogliśmy sobie przypomnieć z nagrań na naszym ostatnim zjeździe koleżeńskim w 2013 r.

Ale były też sytuacje groźne. Na wniosek Prof. Aleksandra Berlera, kierownika Katedry Marksizmu-Leninizmu 2 studenci zostali postawieni przed komisją dyscyplinarną Politechniki, której członkiem był Prof. Cholewicki jako Dziekan Wydziału Elektrycznego. Prof. Cholewicki sprzeciwił się relegowaniu studentów, gdyż stwierdził, że studenci mówili prawdę, a za prawdę nie można karać. Sprawa dotyczyła jakichś protestów na Śląsku i ostrego pacyfikowania górników. Prof. Cholewicki znał sprawę

górników, gdyż jego żona była prawnikiem zaangażowanym w sprawy tych górników. Mimo nacisków ówczesnego Rektora PW, który zagroził nieprzedłużeniem zatrudnienia na stanowisku dziekana, Prof. Cholewicki doprowadził do tego, że studenci nie zostali relegowani. Natomiast Prof. Cholewickiemu nie przedłużono zatrudnienia na tym stanowisku. O tej sprawie opowiedział mnie i Kazikowi Malanowskiemu Prof. Tadeusz Kaczorek, wtedy asystent Prof. Cholewickiego.

Nie wybieraliśmy okresu naszych studiów. O tym zdecydowały daty naszych urodzin, a mówiąc współczesnym językiem – PESEL. Okres szkoły średniej, to tzw. okres stalinowski. Każdy z nas ma swoje przeżycia i obserwacje, a nawet cierpienia z tego okresu. Studia rozpoczęliśmy w roku 1953, w którym zmarł Józef Stalin i w którym został aresztowany Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Później pojawiła się nadzieja na zmiany, lecz okazała się ona płonną. Rok 1956 – w czerwcu antykomunistyczne Powstanie Poznańskie, krwawo stłumione w ciągu kilku dni, a w październiku dojście Władysława Gomułki do władzy (Polski Październik). Rok 1957 – we wrześniu likwidacja przez władze tygodnika studentów i młodej inteligencji „Po prostu”. Okres 1956-1957 to okres masowych wieców i demonstracji. Uczestniczyliśmy w wielu wiecach w Auli Politechniki. Demonstracje na Placu Narutowicza po zamknięciu „Po prostu” były rozpędzane przez milicję z użyciem pałek i gazów łzawiących. Gaz ten przez długi okres był dokuczliwy w kompleksie domów studenckich: pl. Narutowicza oraz ulice Grójecka, Uniwersytecka i Mochackiego. Może te doświadczenia w dużym stopniu przyczyniły się do tego, że wymienione wcześniej wykłady ideologiczne nie okazały się skuteczne – może z małymi wyjątkami?

Moje prace społeczne to uczestnictwo w odbudowie Warszawy i wykopki. Rozwój PGR-rów zakładał darmową pracę „ochotników”. W czasie wykopków jedna grupa studentów zbierała w PGR-ze ziemniaki za koparkami – do nich ja należałem – a druga grupa prowadziła im notatki z wykładów (np. przez kalkę). Na tych wykopkach często rozmawiałem z Bolkiem Podwapińskim – poznałem więc jego skomplikowaną, a przy tym głęboką osobowość. Dzięki niemu pierwszy raz odwiedziłem klasztor ojców franciszkanów w Niepokalanowie, w którym jego stryj był zakonnikiem. Zapoznałem się z bliska z działalnością zakonników i życiem Ojca Maksymiliana Kolbe, późniejszego świętego. Nawet zjedliśmy z zakonnikami wspólny posiłek. Później kilkakrotnie pokazywałem ten klasztor zagranicznym gościom naszego Instytutu.

W naszej grupie organizowano również życie kulturalne. Było to zadanie Zosi Gochnio – nie wiem czy z wyboru, czy z nakazu? Przygotowywaliśmy jakieś przedstawienia czy skecze. Pamiętam jeszcze

fragmenty jakiegoś ludowego skeczu, w którym był powtarzany śpiewany dialog: „Macieju! A co? A muzycka? A gro.”

W czasie studiów mieszkałem kolejno w akademikach przy: pl. Narutowicza oraz ulicach: Mochneckiego, Grójeckiej i Księcia Janusza. W akademiku naturalnym zjawiskiem było utrzymywanie bliskich kontaktów ze współmieszkańcami i kolegami z innych pokoi. Były więc wspólne imprezy i zabawy towarzyskie, a także wyjścia do muzeów, na imprezy sportowe, np. na pobliski żużel, na potańcówki czy do kościoła. Trzeba było pamiętać o terminach imienin. Zestaw zdjęć zgromadzonych przez nas z okazji zjazdu towarzyskiego w 2013 r. pokazuje np. takie spotkania w pokoju 12-osobowym. Nie zapomniano przy tym o winku i drobnych upominkach. Jak pamiętam, jednym z takich upominków był ten sam krawat przekazywany kolejnemu solenizantowi, by po wielu rundach wrócić do pierwszego fundatora. Powiedzenia i przemówienia wygłaszane na takich imprezach chyba będziemy pamiętali do końca życia, np.: o miodzie i jego znaczeniu w przyrodzie; dlaczego miód jest słodki i co z tego wynika; życie studenckie jest piękne...



Akademik przy Mochneckiego 8, w którym mieszkałem prze 2 lata z Chan Cho-Dżinem – wygląd obecny

W „dwunastce” oraz w kuchni na naszym piętrze Janusz Adamczyk (wtedy nazywaliśmy go Wieśkiem) i Jurek Żukowski organizowali „turnieje” bokserskie. Nie pamiętam, kto przyniósł do akademika rękawice. Przez pewien okres bardzo nam się podobała inna zabawa – salonowiec. Graliśmy również namiętnie w brydża i to przez dość długi okres. Np. początek drugiego roku studiów to 2 tygodnie codziennej,

wielogodzinnej gry w brydża, z udziałem Tadka i Wojtka. Kto był tam jeszcze, nie pamiętam.

Może w tym miejscu warto powiedzieć kilka słów o Chan Cho Dzinie, współmieszkańcu mojego pokoju. Miał on wspaniały głos. Będąc studentem Akademii Muzycznej w Korei, rozkazem towarzysza Kim Ir Sena został wysłany na studia do Polski. Bardzo często rozbrzmiewały w jego wykonaniu arie z oper wielkich kompozytorów. Opowiadał o zwyczajach panujących w Korei, znacznie różniących się od naszych. Np., tam człowiek pijany był uważany za nawiedzonego. Dodam jeszcze kilka słów na jego temat z czasów późniejszych. Odnalazł adres mojego miejsca pracy i podczas paru pobytów służbowych w Polsce spotykał się ze mną. Kilka razy zapraszałem go do Instytutu i do mojego mieszkania, gdzie przychodził mając przy sobie opiekunów, co, mówiąc oględnie, wpływało na sztuczność takich spotkań. Pomogłem mu w nawiązaniu kontaktów z niektórymi polskimi kolegami i asystentami z czasów studiów.

My chłopaki mieliśmy szkolenia wojskowe w okresie od 1. do 7. semestru – oczywiście ubrani w mundury wojskowe, których zapach ciągnął się za przechodzącym wojskiem studenckim. Szkolili nas wojskowi i koledzy, którzy wcześniej odbyli służbę wojskową – byli tacy. O wielu ciekawych, poważnych i niepoważnych zdarzeniach można byłoby długo pisać. Wspomnę tylko o jednym, gdyż miałem w nim swój udział. -Po deszczu grupa umundurowanych studentów czekała na placu pomiędzy Gmachem Głównym i Gmachem Chemii na rozpoczęcie zajęć. Ja, dla zabawy, używając nogi waliłem długą deską w kałużę, co wywołało dużo hałasu. Zauważył to sierżant Buturyn i zaczął krzyżeć. Jak wy studenci się zachowujecie? Jak małe dzieci! Tylko zdjąć wam majtki, ogolić i wysłać do przedszkola! Ignas Zawicki był bohaterem innego śmiesznego zdarzenia w czasie ćwiczeń na Polu Mokotowskim, gdy rozebrany złożył raport przechodzącemu dowódcy.



Na ćwiczeniach – od lewej: autor, Tadek Majewski i Henio Gładys

Końcowym etapem naszego szkolenia wojskowego był obóz w Morągu w 1957 r. Tu też „zaistniałem”.

W tym czasie odbywał się Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. Szefem kompanii był sierżant Toborek. Mnie mianowano dowódcą 3. drużyny mojego plutonu. Teren obozu można było opuszczać tylko w szyku zwartym. Kontrolowali to strażnicy w bramie wyjściowej. Na terenie obozu nie było transmisji z Festiwalu. Postanowiliśmy więc posłuchać piosenek festiwalowych poza terenem obozu. Drużyna ustawiła się w szyku zwartym i ze mną na czele, ze śpiewem, niekontrolowani przeszliśmy przez bramę. Ale sierżant Toborek też lubił piosenki i zrobił to samo, co my. On jednak miał prawo wychodzić do miasta. Naturalnym zdarzeniem w małym mieście było spotkanie naszej drużyny z szefem kompanii w miejscu transmisji koncertów festiwalowych. Sierżant Toborek wydał rozkaz: -ustawić drużynę w szyku zwartym i zaprowadzić ją do obozu. Nie pamiętam, czy ta sprawa zakończyła się naganą dla mnie na poziomie kompanii czy tylko plutonu, lecz bez wpisania do akt.

Nie przypominam sobie dokładnie bohaterów zdarzenia, które miało miejsce w czasie egzaminów na zakończenie obozu. Komuś udało się wziąć 2 kartki z pytaniami ze stolika komisyjnego (był to chyba Zenek Fiuczek/Czarnecki), aby móc przekazywać jedną kartkę następnemu zdającemu, w celu wcześniejszego przygotowania się do odpowiedzi na pytania z kartki? Nie pamiętam też, kto popsuł ten system, zaczynając odpowiadać na pytania z kartki, którą miał przy sobie, bez pobrania kartki od komisji. W wyniku tego szkolenia awansowałem do stopnia kaprała podchorążego. Rysiek Gąska uważa, że zdarzenie to miało miejsce na Polu Mokotowskim w czasie egzaminu z taktyki.

Może, aby nie wracać później do spraw wojskowych, wspomnę o dalszych losach mojej kariery wojskowej. Po kilku latach od zakończenia studiów powołano mnie na 3-miesięczne szkolenia wojskowe w Oficerskiej Szkole Piechoty Zmotoryzowanej we Wrocławiu-Karłowicach, położonej w bezpośrednim sąsiedztwie Psiego Pola. Tutaj też pozostawiłem po sobie ślad. Stojąc w pełnym rynsztunku w gorącym letnim słońcu na warcie przy furtce, przez którą żołnierze wychodzili na Psie Pole na ćwiczenia, zdjąłem hełm i powiesiłem go na bagnecie karabinu, który oparłem o płot. Czytając nowele James Joyce’a nie zauważyłem, że wracał z ćwiczeń pluton z naszej kompanii pod dowództwem porucznika. Skutek był oczywisty: wylegitymowanie i rozkaz zameldowania się do dowódcy kompanii. Nie pomogły tłumaczenia, że to nieważna, praktycznie nieuczęszczana furtka. Od aresztu uratowała mnie wizytacja Szkoły przez dowódcę Pomorskiego Okręgu Wojskowego, generała Zygmunta Huszcę. Przy takich wizytach wszystko musiało „grać”, nawet w papierach. Pamięć o mojej

niesubordynacji przetrwała w Szkole, o czym opowiedział mi Michał Świechowski, który był na ćwiczeniach w tej szkole w następnym roku.

Trzeci rok studiów przyniósł zmiany w postaci wyboru specjalizacji, co było związane z utworzeniem nowych grup studenckich (sekcji), a więc pewnego rodzaju „przetasowaniem” studentów. W tym okresie część wykładów i ćwiczeń była wspólna dla sekcji o różnych specjalnościach, a inne były prowadzone tylko dla danej specjalności i były ściślej związane z odpowiednimi katedrami Wydziału Elektrycznego. Ja wybrałem specjalność „Zabezpieczenia przekaźnikowe i automatyka elektroenergetyczna”, która została utworzona w 1953 r. Wtedy nawiązałem bliższe kontakty z uczestnikami tej sekcji: Kazikiem Malanowskim, Kazikiem Korczem, Januszem Księżpolskim, Władkiem Lachem i innymi, a także z Ignasiem Zawickim, Zygmuntem Warszawą i Januszem Migdalskim z sekcji Miernictwa Elektrycznego. Bardzo bliskie kontakty z tymi kolegami i z wymienionymi wcześniej: Tadkiem Majewskim, Michałem Świechowskim, Jurkiem Sidorowiczem i Wojtkiem Śliwińskim, a także z Adkiem Grochałą i Jankiem Bielcem utrzymywałem również po ukończeniu studiów.

Nie przypominam sobie, dlaczego wybrałem tę specjalność. Wybór Wydziału Elektrycznego był łatwy. Wtedy elektryczność trafiała do naszej wyobraźni w różny sposób. Atrakcyjną była nowoczesność tej techniki, wykorzystującej bliskie mi ze szkoły średniej prawa fizyczne, a także obserwacje efektów zastosowań elektryczności. W radiu propagowano także potrzebę elektryfikacji kraju. Natomiast wybrana specjalizacja wydawała się mi bliska, ze względu na potrzebę wykorzystania w niej lubianych przeze mnie metod matematycznych.

Chyba nie ma potrzeby przypominania toku naszych studiów. W celu podkreślenia wdzięczności tym, którzy kształtowali naszą znajomość elektrotechniki, wymienię najpierw nazwisko Prof. Józefa Żydanowicza, organizatora mojej specjalizacji i wykładowcy przedmiotu Zabezpieczenia, a następnie Profesorów: Stefana Lebsona (Miernictwo Elektryczne), Pawła Nowackiego (Automatyka), z którym później miałem przyjemność mieć bliższe kontakty, Władysława Latka (Maszyny Elektryczne), Janusza Lecha Jakubowskiego (Technika Wysokich Napięć), Stanisława Kończykowskiego (Układy Elektroenergetyczne), Tadeusza Cholewickiego (Elektrotechnika Teoretyczna), Jerzego Kryńskiego (Przyrządy Rozdzielcze), Czesława Mejro (Sieci Elektryczne), Tadeusza Khala (Instalacje Elektryczne), Jerzego Lando (Napędy Elektryczne), Zygmunta Figurzyńskiego (Prostowniki) i Tadeusza Oleszyńskiego (Oświetlenie). Asystentami na naszej specjalności byli: Stanisław Dominko, B. Kartaszyński, Janusz Rakowski i Marian Namiotkiewicz. Od nazwisk

pierwszych trzech pochodzi nazwa przekaźników zabezpieczeniowych DOKAR, którego byli oni konstruktorami.

Pierwszą jednomiesięczną praktykę wakacyjną odbyłem, jako pomocnik monter, przy budowie napowietrznej sieci elektrycznej średniego i niskiego napięcia (akcja elektryfikacji rolnictwa). Z praktyki tej pamiętam tylko fragmenty moich i Tadek Majewskiego rozmów z monterami i rolnikami o trudach ich życia na wsi, które nie było łatwe w czasach kolektywizacji. Ponieważ Tadek pochodził z Częstochowy, więc mieszkańcy wsi okazali mu duży szacunek.

Znacznie więcej wspomnień mam z drugiej, już specjalistycznej praktyki wakacyjnej, w Miechowicach. Pamiętam, że na praktyce tej byli: Kazik Korcz, Władek Lach, Gienek Korejwo, Janek Wasiak, Edek Jasiński i inni. Mogliśmy się tam zapoznać ze wszystkimi systemami nowoczesnej elektrowni ciepłej – paliwowymi (węgiel), wodnymi (chłodzącymi) i elektrycznymi. Elektrownia była wyposażona w generatory wielkiej mocy firmy Alstom i nowoczesne systemy zabezpieczające.

Poza sobotami i niedzielami przeznaczonymi w całości na odpoczynek i rozrywkę, a także czytanie książki Klub Pickwicka Karola Dickensa, dni robocze miałem podzielone na trzy części: rano praktyka w elektrowni, następnie (14-22) praca w Kopalni Miechowice i w nocy sen do 7-mej. O ile dobrze pamiętam, to pracę w kopalni, oprócz mnie, podjęli Władek Lach i Gienek Korejwo. Taka decyzja nie wynikała z apelu Partii o szybką budowę socjalizmu w PRL, lecz została spowodowana niedostatkami finansowymi. Ja planowałem przeznaczyć zarobione pieniądze na wycieczki. Przy okazji chcę nadmienić, że swoje niedobory finansowe uzupełniałem udzielając przez cały okres studiów różnego rodzaju korepetycji młodzieży z ogólniaków i techników.

Na szczytę, na głębokość 660 metrów zjeżdżaliśmy windą, ubrani w kombinezony, buty gumowe z cholewami i w kaski, z maskami gazowymi w torbie na plecach oraz zaopatrzeni w menażki z lekko posoloną wodą. Taka woda była konieczna ze względu na silne pocenie się. Naszym zadaniem było wrzucanie łopatami na rynny węgla odstrzelanego w przodku przez górników strzałowych. Rynny były napędzane sprężonym powietrzem. Wykorzystane powietrze służyło do wentylacji obszaru, w którym pracowaliśmy. Węgiel ten był podawany na szynowe wózki węglowe. Po szczytce, od stóp do czubka głowy czarni, windą wjeżdżaliśmy na górę i po łaźni szliśmy do łóżka. Tak było przez cały miesiąc. Oczywiście, nawiązała się sympatia między nami a górnikiemami.

Czy kopalnia była bezpieczna? Mówiono nam, że czasami występują małe tąpnięcia, lecz nie ma zagrożenia gazowego. W czasie naszej miesięcznej pracy w kopalni zetknęliśmy się z dwoma przypadkami pojawienia się takich wstrząsów. Powiedziano nam, że na poziomie

820 m kilka dni wcześniej wystąpiły wstrząsy, więc przez pewien czas miejsce to nie było eksploatowane, a teraz należy oczyścić przodek z węgla, który zalega po wstrząsach. Posłano nas do tej pracy. Ponieważ w czasie przerwy nie pracowały podajniki napędzane powietrzem, więc trudno było oddychać ze względu na brak świeżego powietrza. Strasznie pociliśmy się. Musieliśmy się rozebrać do naga, a pot wylewać z gumowych butów. To była kilkogodzinna katorga. Nie wytrzymałem i z menażki innego górnika musiałem kilka razy łyknąć trochę wody, raz nawet bez jego wiedzy. Na szczęście pracowaliśmy tam tylko jeden dzień i w następnych dniach powróciliśmy do poprzedniego miejsca pracy.

Drugi przypadek miał miejsce w ostatnim dniu naszej pracy pod ziemią. Zgodnie z przesądem panującym wśród górników, ostrzegali oni nas, żeby bardzo uważać, gdyż ostatni dzień może być nieszczęśliwy. Wykonując swoją pracę, stałem blisko ściany i narzucałem węgiel na podajnik rynnowy. Zmęczyłem się bardzo i odszedłem, aby trochę odpocząć. Moje stanowisko zajął miejscowy górnik. Po kilku minutach wystąpiło jakieś tąpnięcie i nogi górnika zostały przysypane węglem. On upadł z krzykiem. Zaraz nas zabrano z tego miejsca. Nie wiem, jaki był jego dalszy los. Ale ja miałem szczęście.

Dużo wrażeń mieliśmy podczas praktyki w Zakładach Wytwórczych Aparatury Rozdzielczej A10 (ZWAR) w Warszawie-Międzylesiu. W rozmowach z Wojtkiem Śliwińskim stwierdziłem, że ma on dokładniejsze wspomnienia niż ja, więc chyba tę praktykę przedstawi lepiej. Wymieniłem tylko, że służby socjalne miały z nami kłopot, gdyż zbuntowaliśmy się i nie chcieliśmy jeść jednodaniowego obiadu w postaci tylko zupy. Zapewniano nas, że będzie ona gęsta i czasami z wkładką mięsną. Protest przyniósł pozytywny skutek.

Bardzo ciekawym rodzajem praktyki były badania systemów zabezpieczeń sieci energetycznych zainstalowanych w rozdzielniach w okolicach Gdańska. Badania te były prowadzone pod kierunkiem mgr Dominki, który włączył do tego studentów. Mogliśmy się zapoznać na miejscu z ciekawymi rozwiązaniami zabezpieczeń i ich działaniem przy celowo wywoływanych zakłóceniach, np. zwarciach. Mieszkaliśmy w hotelu z oknami wychodzącymi na morze. Ja mieszkalem z Kazikiem Korczem w jednym pokoju, co pozwoliło nam na bliższe zapoznanie się. Wtedy poznałem również zwyczajnie kulinarny Kazika – uwielbiał on owsiankę (herkulo) na śniadanie.



Na nartach w Górach Sowich (1957) – od lewej strony: Andrzej Gurgul, autor,
Zdzisiek Bogdanowicz, Wojtek Śliwiński, Tadek Majewski

Nigdy nie byłem czynnym sportowcem. W okresie studiów lubiłem grać w piłkę nożną, siatkówkę, jeździć na nartach i łyżwach czy pływać. Lubiłem też turystykę, choć w tamtym okresie nie było łatwo podróżować. Podam kilka przykładów „wyczynów sportowych” i turystycznych Kolegów Elektryków z moim udziałem.

- Prywatny obóz narciarski w Górach Sowich z zakwaterowaniem u cici Andrzeja Gurgula (1957).
- Spływ kajakowy z Giżycka, przez jeziora mazurskie do jeziora Roś, a następnie rzekami: Pisą, Narwią i Bugo-Narwią do Wisły w Nowym Dworze. W spływie uczestniczyli Tadek Majewski, Jurek Żukowski, Stanisław Woronowicz i ja. Kajaki wypożyczyliśmy w Płocku, dzięki pomocy Wojtka Śliwińskiego. Jadąc do Płocka pociągiem usłyszeliśmy, że w Poznaniu wybuchły zamieszki (czerwiec 1956). Przy okazji byliśmy u Wojtka, w Jego domu rodzinnym. Jego Mama nakarmiła nas do syta jajecznicą. Wypożyczone kajaki zawieźliśmy pociągiem do Giżycka, skąd rozpoczęliśmy spływ. Ja pływałem z Tadkiem a Jurek ze Stanisławem Woronowiczem. Biwakowaliśmy w namiotach. Ostatni nocleg mieliśmy z przygodami. Do brzegu w Modlinie przybiliśmy w ciemności po burzy. Okazało się, że był to teren wojskowy, o czym świadczyli zauważeni w oddali strażnicy. Szybko zwinęliśmy się i kajakami dopłynęliśmy do Zakroczymia, a stąd statkiem do Płocka, gdzie je zdaliśmy.
- Obóz wędrowny w Górach Świętokrzyskich, w tym zwiedzanie dworku Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku. Organizatorem obozu było ZSP, a osobiście Władek Lach. Oprócz niego, na zachowanym zdjęciu rozpoznałem wśród uczestników tego obozu: Adolfa Grochałę, Zygmunta

Łojszczyka, Janusza Migdalskiego, siebie oraz dwóch kolegów, których twarze poznaję, lecz ich nazwisk nie mogę sobie przypomnieć.

- Wyjazd do Czechosłowacji zorganizowany przez ZSP, gdzie wspólnie Kazikiem Malanowskim zwiedziliśmy Pragę i piękny podgórski region turystyczny Czeski Raj.
- Wędrówka po Bieszczadach z Kazikiem Korczem i Ignasim Zawickim.

Najdalszym i najliczniejszym wyjazdem turystycznym z okresu studiów, w którym uczestniczyłem, była wycieczka przez Słowację i Węgry do Jugosławii, zorganizowana przez ZSP, w przygotowanie której najwięcej wysiłku włożył Włodek Lach. O swoim wkładzie w to dzieło mówiła również Bożena Skowrońska (Łochowska). Był to wyjazd pełen wrażeń i pięknych widoków przyrody oraz obiektów architektonicznych, które są pozostałościami dawnych kultur – greckiej, rzymskiej, chrześcijańskiej i muzułmańskiej. Dla nas z obozu socjalistycznego Jugosławia wydawała się wtedy oknem na świat kapitalistyczny, co przecież nie było prawdą. Wycieczka była bardzo dobrze przygotowana przez przyjmujących nas Jugosłowian (Chorwatów), jako rewanż za przyjęcie ich w Polsce. Z posiadanych zdjęć wynika, że z naszego wydziału uczestniczyło w niej około 30 studentów obojga płci oraz kilku profesorów. Jeszcze w kraju wielu z nas przygotowało się do tej wycieczki także pod względem handlowym, co dla biednych studentów było sprawą ważną. Okazaliśmy się więc amatorskimi handlowcami.

Kazik Malanowski i ja wykonywaliśmy wspólnie pracę magisterską. Celem naszej pracy było opracowanie zasady działania (model matematyczny), zaprojektowanie, wykonanie i zbadanie właściwości półprzewodnikowego, mostkowego przekaźnika odległościowego. Pomysłodawcą i promotorem był Prof. Józef Żydanowicz. Egzamin magisterski zdaliśmy w drugiej połowie grudnia 1958 r.

Z dużą przyjemnością wspominam współpracę z Kazikiem podczas przygotowywania pracy dyplomowej. Miałem możliwość w tym czasie poznać szerzej bardzo bogate wnętrze Kazika i jego zamiłowania, nie tylko naukowe. Sporo dyskutowaliśmy o różnych sprawach. Poznałem również Jego Rodzinę, a w szczególności Jego wspaniałą Mamę. Ponieważ wiele godzin spędzaliśmy w mieszkaniu Kazika w Otwocku, więc Pani Malanowska opiekowała się nami. Zawdzięczam Kazika Mamie wiele cennych informacji przydatnych młodemu człowiekowi.

Wędrowanie po drogach życia

Pełen nadziei spełnienia moich marzeń związanych z ciekawością świata, wyposażony przez moich Rodziców w zasady życia, a w wiedzę i papiery – przez profesorów i asystentów Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, rozpocząłem 1 stycznia 1959 r. podróż życiową

– nie w pełni jeszcze zbudowaną i wyboistą drogą w świecie elektrotechniki. Los rzucił nas w trudne, a nawet tragiczne czasy powojenne, kiedy były instalowane nowe struktury społeczne, często obce naszej tradycji. Trzeba było jednak odbudować kraj, w tym naukę, i tworzyć jej nowe ośrodki. Wybrałem więc zawód pracownika naukowego. Zakładałem, że zawód ten nie tylko umożliwi spełnienie moich marzeń poznawczych świata i nauki, ale zapewni większą niezależność poglądów – wtedy w czasach zniewolenia politycznego było to ważne dla mnie. Z perspektywy 55 lat mogę stwierdzić, że oczekiwania te zostały w zasadzie spełnione.

Rozpoczęcie pracy w Warszawie wymagało pokonania trudnego w tamtym okresie progę, jakim było mieszkanie i meldunek, konieczny przy zatrudnieniu. Wszystkie trudności przezwyciężyłem. Najpierw wynajmowałem pokój, a później, jako pracownik PAN, mieszkałem na Jelonkach w Osiedlu Przyjaźń. Problem stanowiło zameldowanie. Odmawiając zameldowania, władze Warszawy uzasadniły to odpowiednimi paragrafami. Życzliwe i bliskie mi osoby doradzały, abym ożenił się z konkretną Warszawianką. Ja jednak wolałem prostsze rozwiązanie. Poszedłem do biblioteki przy ul. Koszykowej i w aktach prawnych znalazłem inne paragrafy, które wskazywały na możliwość zameldowania w Warszawie. Odwołanie było skuteczne.

W świecie elektrotechniki

Moja droga nie była prosta – gdyż miała kilka znaczących dla mnie zakrętów, a także doznanych na niej przygód. Ponieważ praca magisterska, wykonana wspólnie z Kazikiem Małanowskim, dotyczyła mostkowego przekaźnika odległościowego do zabezpieczeń linii energetycznych, więc naturalną kolejną losu było zatrudnienie się w Instytucie Energetyki w Warszawie, gdzie zająłem się regulacją napięcia w sieciach energetycznych na północno-wschodnich obszarach Polski.

Po 3 miesiącach pojawił się pierwszy, bardzo ważny zakręt w moim życiu. Ignasz Zawicki powiedział mi, że pracuje w Zakładzie Elektrotechniki PAN, założonym przez Prof. Pawła Nowackiego w 1954 r., którego kierownikiem był wtedy mgr Maciej Nałęcz, późniejszy profesor, i że poszukuje on pracowników. Zostałem tam zatrudniony. W zakładzie tym miałem szczęście nawiązać wiele nowych, trwających do dzisiaj przyjaźni spotkać się z osobami, które wpłynęły w sposób znaczący na moje zainteresowania naukowe. Również dzięki jednej z tych przyjaźni poznałem moją żonę Alicję.

Zakład Elektrotechniki został w 1959 r. włączony do Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN oraz stał się załącznikiem późniejszego Instytutu Automatyki PAN (1965), a po pewnych „stanach

przejęciowych” – Instytutu Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej PAN (1975), gdzie pracuję do dzisiaj.

Moim bezpośrednim kierownikiem w Zakładzie Elektrotechniki był Prof. Radosław Ładziński (pracował On również w Pol. Warszawskiej na Wydz. Łączności), powstaniec warszawski, który zaproponował mi podjęcie badań dotyczących wzmacniaczy magnetycznych (nazywanych także transduktorami). Obejmowały one w szczególności konstrukcję kilku rodzajów wzmacniaczy oraz analizę i pomiary ich właściwości dynamicznych, i zakończyły się doktoratem (1965). Dynamika tych wzmacniaczy została opisana nieliniowymi równaniami różnicowymi, które można było aproksymować równaniami różniczkowymi. Praca ta została opublikowana w postaci książki, a jej podstawowe wyniki – w czasopiśmie IEEE Transactions on Magnetics.

Byłem pierwszym doktorantem Prof. Ładzińskiego, a on – pierwszym doktorem wypromowanym przez Prof. Pawła Nowackiego (1905-1979), którego promotorem był prof. Kazimierz Idaszewski (1878-1953) z Politechniki Lwowskiej, pracujący później w Politechnice Wrocławskiej. Prof. Idaszewski jako pierwszy Polak, uzyskał w 1904 r. stopień doktora-inżyniera na Politechnice w Brunzshwiku. Poprzednikami Prof. Idaszewskiego w sztafecie doktoryzowania byli profesorowie z Niemiec: Guido Bobländer (1855-1904), Moritz Traube (1826-1894), Eilhard Mitscherlich (1794-1863)...



Spotkanie (2007 r.) profesorów, absolwentów Politechniki Warszawskiej, Wydział Elektryczny. Doktoranci Prof. Pawła Nowackiego (portret): Radosław Ładziński, Janusz Kulikowski i Maciej Naęcz (trzy osoby w środku) oraz ich doktoranci: Ignacy Zawicki i Zbigniew Dunajski (pierwsza i trzecia osoba z lewej strony) i Andrzej Weryński i Władysław Torbicz (pierwsza i trzecia osoba z prawej strony). Druga osoba z lewej strony – Juliusz Kulikowski, a z prawej – Jan Wójcicki

Wynikiem praktycznym moich prac w zakresie magnetyzmu było opracowanie, dzięki inicjatywie prof. Radosława Ładzińskiego, wspólnie z Instytutem Energetyki, Oddział w Gdańsku, kilku konstrukcji wzmacniaczy magnetycznych do regulacji napięcia generatorów

synchronicznych dużej mocy w elektrowniach w Polsce (1963-1965), które przez wiele lat produkował jeden z zakładów w Gdańsku. Ponieważ wzmacniacze magnetyczne były również stosowane do sterowania oświetlenia w teatrach, więc brałem udział w opiniowaniu ich przydatności do sterowania oświetlenia w odbudowywanym wtedy Teatrze Wielkim w Warszawie i w budowanej Operze w Łodzi. Wzmacniacze te były produkowane przez jedną z firm warszawskich.

Transduktorami zajmowało się w przeszłości kilku naszych Kolegów. Prace magisterskie Zygmunta Maciejewskiego i Jacka Kaniewskiego dotyczyły wykorzystania tych elementów w układach pomiarowych, Wojtka Śliwińskiego – w napędach, a Kazika Korcza i Edka Jasińskiego – do zabezpieczeń odległościowych sieci elektrycznych. Wojtek Śliwiński i Kazik Malanowski w Instytucie Elektrotechniki w Międzyzlesiu opracowywali układy sterujące do urządzeń, w których stosowano wzmacniacze magnetyczne, a Zdzisiek Bogdanowicz podejmował próby zastosowania tych wzmacniaczy do sterowania układów prostownikowych dużej mocy. Także Tadek Majewski współpracował w 1965 r. z inżynierami English Electric przy uruchomieniu napędów walcowni zimnej taśmy w Hucie Warszawa, w których były zastosowane wzmacniacze magnetyczne do regulacji wzbudzenia silników prądu stałego. Ponadto Jacek Kaniewski był tłumaczem dużej monografii „Wzmacniacze Magnetyczne”, autorstwa prof. M.A. Rozenblata z języka rosyjskiego na język polski, więc warto w tym miejscu wspomnieć o genezie tej tematyki w Polsce. Opowiedział mi o tym Prof. Ładziński, autor pierwszej w Polsce pracy magisterskiej i rozprawy doktorskiej z tego zakresu. W roku 1949 student Radosław Ładziński uzyskał informację od Feliksa Matuszkiewicza – brata swojego kolegi Przemysława, który zginął w Powstaniu Warszawskim, że w Instytucie Kolejnictwa w Warszawie, gdzie on pracuje, są stosowane transduktory (wzmacniacze magnetyczne) firmy ASEA w opracowywanych tam układach regulacji. Tematyką tą zainteresował się Prof. Nowacki (późniejszy promotor doktoranta Ładzińskiego), który upowszechnił ją na naszym Wydziale. To byli pionierzy prac z tej tematyki w Polsce.

Metodologicznie bliskie wzmacniaczom magnetycznym są układy z magnetycznymi rdzeniami wielootworowymi o prostokątnej pętli histerezy, stosowane jako urządzenia pamięciowe do przetwarzania sygnałów analogowych i cyfrowych. Głównie moje osiągnięcie z tego obszaru to opracowanie licznika impulsów o dużej niezawodności, który został zastosowany do kontroli przesyłu energii elektrycznej między systemami energetycznymi Polski, Czechosłowacji i NRD. Prowadziłem również prace dotyczące urządzeń magnetyczno-półprzewodnikowych – wzmacniających i sterujących dla potrzeb pomiarów i regulacji

w energetyce, a także wykorzystania hallotronów do pomiaru mocy, do zabezpieczeń energetycznych (Zespołowa Nagroda Państwowa II stopnia - 1972) i w układach pamięci analogowych. Nie wiem, jaka była przyczyna, że na wystawie w Pekinie, w której uczestniczył nasz Instytut, zginęła tylko ta pamięć.

Ważnym wynikiem prac okresu 1977-1980, prowadzonych wspólnie z moim kolegą mgr inż. Jerzym Dudkiem, była seria tyrystorowych przekaźników z pamięcią do central telefonicznych PENTACONTA. Zostały one wdrożone do masowej produkcji w Zakładach Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych (ZWUT) w Warszawie. Były one przedmiotem eksportu przez wiele lat. Prace te zostały nagrodzone zespołowym wyróżnieniem w konkursie Mistrza Techniki (1978) i Zespołową Nagrodą Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki (1980).

W okresie „magnetycznym” mojego życia naukowego miałem możliwość poznania dwubiegunowego wówczas (zresztą obecnie również) świata – Zachodu i Wschodu. Po nawiązaniu współpracy z zespołem prof. Rozenblata z Instytutu Automatyki Akademii Nauk ZSRR w Moskwie, jeszcze przed doktoratem, w jesieni 1964 r., pojechałem tam na 3-miesięczne stypendium, gdzie kontynuowałem swoje prace dotyczące układów magnetycznych. Były to ostatnie miesiące Chruszczowa. Mówiono mi, że nie jest tam bezpiecznie, dając przykład, że któryś z naszych znajomych wyskoczył z 6 piętra ze skutkiem śmiertelnym. Czy bałem się jechać? Nie. Chciałem przynajmniej trochę poznać Rosję.

Od młodych lat pochłaniałem literaturę piękną, także wielkich pisarzy rosyjskich: Dostojewskiego, Tołstoja, Turgieniewa, Puszkina. Z językiem rosyjskim byłem za „pan brat”, gdyż mój ojciec (rocznik 1899) kończył szkołę jeszcze w zaborze rosyjskim i znał na pamięć wiele wierszy rosyjskich, które często recytował. W Moskwie każdą wolną chwilę poświęcałem zwiedzaniu wielkich, bogatych w dzieła sztuki muzeów moskiewskich. Chociaż byłem pod ich dużym wrażeniem, wyliczanie tego, co widziałem nie ma sensu, a tym bardziej ich ocenianie, gdyż nie mam do tego odpowiednich kompetencji. Mimo tego zastrzeżenia, w wielkim skrócie powiem, że zafascynowały mnie obrazy Andrieja Rublowa, nie tylko w małym Muzeum Sztuki Staroruskiej jego imienia, ale i w „Tretiakowce” i gdzie indziej. Moje zamiłowanie do literatury sprawiło, że odwiedziłem chyba wszystkie domy-muzea wymienionych wyżej i innych sławnych pisarzy rosyjskich, urządzone w miejscach ich zamieszkania, gdzie zgromadzono pierwsze wydania ich dzieł i pamiątki z ich życia.

W Instytucie poznałem bliżej wiele osób – niektórzy z nich, w tym prof. M.A. Rozenblat, odwiedzali później kilkakrotnie nasz Instytut, a osoby z naszego Instytutu – ich. Miałem przyjemność uczestniczenia z nimi na

przedstawieniach w teatrze Bolszoi i w Sowremienniku. Później kilka razy byłem w Sowremienniku sam. Nie muszę opisywać, jakie wrażenie wywarł na mnie ten jeden z najlepszych teatrów operowych na świecie. W tym czasie panowała jeszcze w Rosji atmosfera odwilży – skończyła się ona po zastąpieniu Chruszczowa przez Breżniewa w październiku 1964 r. Dobór repertuaru i wspaniała gra aktorów Teatru Sowremiennik dawały niesamowite przeżycia. Wskazywało to, że w Rosji, oprócz komunistów, są również zwyczajni ludzie. Z takimi zwyczajnymi osobami spotykałem się w czasie pracy w Instytucie i na spotkaniach towarzyskich. Np. w czasie całodniowej wycieczki statkiem po rzece Moskwie, z przerwą obiadową na leśnej polanie, przeprowadziłem ciekawą rozmowę z jedną z uczestniczek wycieczki, córką prof. K.A. Kruga, autora podręcznika Podstawy Elektrotechniki, na podstawie, którego doc. Witold Kotowski prowadził wykłady, i której był tłumaczem. Jej opowieść o ojcu trochę przypominała atmosferę powieści „Doktor Żiwago” Borysa Pasternaka. Oczywiście, mogłem to zauważyć później, dopiero po przeczytaniu tej powieści.

Wtedy w Moskwie, a także podczas innych tam pobytów, spotykałem Rosjan polskiego pochodzenia, którzy wspominali o swoich polskich rodowodach. Niektórzy pamiętali jeszcze polskie piosenki wojskowe. Jedna pani polskiego pochodzenia, która się mną opiekowała (istniała wówczas taka instytucja „opiekuna”) namawiała, abym ją zaprosił prywatnie do Polski. Podarowała mi nawet srebrnego rubla z czasów carskich. Nie było to jednak możliwe do załatwienia.

Wiele można byłoby napisać o Moskwie: o jej brzydkiej architekturze; różnych interesujących, starych zaułkach i cerkwiach, zniszczonych przez bolszewików; o Arbacie, którego wygląd przechował jeszcze wspomnienia dawnej Moskwy. Można byłoby też wiele opowiedzieć o wspaniałym pałacu rodu Szeremietiewów w Kuskowie koło Moskwy, np. o aktorkach, chłopkach pańszczyźnianych, kształconych w Paryżu, które po zestarzeniu się wracały na wieś do roli. Nawet tak prozaiczne czynności jak zakupy podarków przed wyjazdem do Polski były związane z przygodami wartymi opisu.

Na końcu moskiewskich wspomnień pragnę podać dwa przykłady panujących tam stosunków międzyludzkich. Ponieważ wiedziałem, że w Moskwie jest polski kościół katolicki pod wezwaniem św. Ludwika, nazywany kościołem francuskim, więc poprosiłem mojego kolegę Rosjanina, nawiasem mówiąc pierwszego czy drugiego sekretarza partii w Instytucie, aby znalazł adres tego kościoła. Okazało się, że jest on położony przy ulicy Mała Łubianka i to w pobliżu najgroźniejszego więzienia NKWD w ZSRR, w którym byli więzieni także Polacy. Każde moje niedzielne przejście koło tego więzienia na mszę wprawiało mnie w strach. Tędy chodziła również sławna piosenkarka Hanka Ordonówna,

gdy starała się wydostać swojego męża z tego więzienia. Jej piękny głos chyba większość z nas pamięta. Usłyszenie polskiego języka w śpiewach i modlitwach w tym kościele w odległej Moskwie było dużym przeżyciem. Ewangelia i kazanie były jednak w języku rosyjskim. Czy ten przykład potwierdza tezę głoszoną przez propagandę, że w Rosji była wolność wyznania? A oto drugi przykład. Z okna hotelu obserwowałem jak robotnicy, kobiety i mężczyźni ubrani w fufajki, podbijali kilofami żwir pod układane tory tramwajowe. Było zimno i padał śnieg. Współczułem wtedy tym kobietom. A teraz myślę, że komuniści już wtedy stosowali zasady marksistowskiej ideologii gender, która teraz, okrężną drogą przez Unię Europejską, dociera do nas. Ogólne spostrzeżenie: w metrze, autobusach, na ulicach, w kolejkach sklepowych, twarze były smutne, a ludzie wzajemnie nieufni. Jednakże można było zauważyć, że ci zatroskani ludzie byli często, w czasie podróży, zajęci czytaniem książek.

Jest zrozumiałe, że sprawy i dyskusje polityczne leżały wtedy na marginesie moich zainteresowań, gdyż miałem bardzo dużo zajęć zawodowych i pozazawodowych, a poza tym pamięć o Łubiance i osobach wyskakujących z piętra robiła swoje.

A teraz biegun drugi – biegun zachodni poznawania świata naukowego – i świata w ogóle. Już po doktoracie, dzięki Prof. Maciejowi Nałęczowi uzyskałem w 1968 r. roczne stypendium, ofiarowane mi przez British Scientific Instrument Research Association w Chislehurst (koło Londynu). Celem mojego tam pobytu było opracowanie miniaturowej pamięci cyfrowej o nieniszczącym odczycie, z rdzeniem ferrytowym w kształcie sześciangu i prostokątnej pętli histerezy, w którym linie słów i bitów matrycy przechodzą przez nieprzecinające się otwory w osiach prostopadłych, stąd angielska nazwa *biac*, przyjęta również w języku polskim. Na początku kierownik zakładu, w którym miałem pracować, Peter Hunt i mój bezpośredni przełożony, Derek Cornish, poprosili mnie o podpisanie zobowiązania do zachowania tajemnicy dotyczącej wyników badań oraz oświadczenia, że wyniki te będą własnością ich Instytutu i nie będę miał prawa do ich publikowania. Po wykonaniu modelu pamięci, przed zakończeniem pobytu w SIRA napisałem raport z badań i proponowane zastrzeżenia patentowe.

Może teraz kilka zwierzeń osobistych. Wtedy żyliśmy w jednym wielkim obozie pod przywództwem naszego wielkiego sąsiada, który starał się ujednoczyć nasze życie na swój sposób. Zresztą teraz te mechanizmy są zbliżone, lecz kierunek jest przeciwny. Wtedy słyszeliśmy opinie, że polski obóz był najweselszy – jednak odczuwaliśmy twardą rękę „naszych umiłowanych przywódców”. Zagraniczne stacje radiowe, nadające w języku polskim, były zagłuszane, aby zapewnić czystość ideologiczną. Gdy ktoś pozostał na stałe na zachodzie, to mówiło się, że „wybrał wolność”. Ja też

chciałem przewietrzyć się i poznać, to, co było zakazane. No i stało się. Nie przewidywałem i przyznam się, że nawet nie mogłem przewidzieć, jak duży wpływ będzie miał ten wyjazd na moją psychikę. Poczułem się człowiekiem wolnym. Z tego powodu opisowi pobytu w Anglii poświęcę więcej miejsca.

Po wielogodzinnej podróży pociągiem, a potem promem, postawiłem swoje stopy na ziemi angielskiej, gdzie przywitał mnie mój brat Kazik, który nadzorował w Londynie prace dotyczące dokumentacji zamówionej przez Polskę instalacji petrochemicznej do produkcji syntetycznego kauczuku, realizowane przez firmę amerykańską. Dzięki bratu, zamieszkałem wspólnie z nim w południowo-zachodnim Londynie, w domu pani Bronisławy Kojder, wdowy po żołnierzu Armii gen. Władysława Andersa. Mogłem więc już na początku pobytu poznać wiele osób z emigracji wojskowej w Anglii. Mieszkałem u tej pani krótko, ze względu na bardzo dużą odległość do SIRA, pokonywaną bardzo sprawnym metrem i bardzo szybką koleją podmiejską. Metro to było brzydsze od metra moskiewskiego, ale technicznie znacznie lepsze. Potem kilkakrotnie odwiedzałem panią Kojder z moją żoną. Później mieszkali u niej Kazik Korcz i Tadek Majewski w czasie swoich pobytów w Londynie.

W drugim, czy w trzecim dniu pracy w SIRA, w czasie spaceru po typowo angielskim lunchu podszedł do mnie starszy pan i przedstawił się po polsku, że tutaj pracuje i nazywa się Edward Komolibus. Był on majorem w Armii Andersa i brał udział w ataku na wzgórze Monte Cassino. Później znalazłem jego nazwisko w książce Melchiora Wańkowicza „Bitwa o Monte Cassino”, jako dowódcy plutonu łączności. Moja przyjaźń z nim trwała ponad 30 lat, aż do jego śmierci. Często z żoną spędzaliśmy u nich weekendy, łącznie z nocowaniem. Kilkakrotnie zaprosiliśmy jego i jego żonę Doris (Anielkę) do Polski. Wówczas państwo Komolibusowie mieszkali u nas. Nie było łatwo namówić Edzia do odwiedzenia kraju, gdyż on oraz inni byli żołnierze Armii Polskiej na Zachodzie, bali się przyjeżdżać do PRL, a obawy te często nie były płonne. Z Edziem, człowiekiem wysokiej kultury, w jego obszernym mieszkaniu w Chislehurst i moim skromnym w Warszawie wielokrotnie prowadziliśmy długie rozmowy na tematy jego przeżyć wojennych, losów Polaków na emigracji niepodległościowej i o wielu innych sprawach. Był to wspaniały gawędziarz, a ponadto śpiewak – członek jakiegoś chóru. Po 17 września 1939 r., po zajęciu wschodniej Polski przez Sowiec, jako żołnierz został wzięty do niewoli, jak wielu innych Polaków. Z Armią gen. Władysława Andersa, byłego więźnia na Łubiance, opuścił ZSRR i przez Teheran, po walkach w Afryce Północnej i Włoszech, znalazł się w Anglii. W SIRA spotkałem jeszcze dwóch Polaków – Tadek: młodego pracownika

naukowego, syna emigrantów wojskowych i stypendystę z Warszawy. Przez wiele lat utrzymywałem z nimi kontakty.

Nie był to jeszcze koniec mojego zaznajamiania się ze środowiskiem polskim w Londynie. Po pewnym okresie pobytu w Anglii, odwiedziłem kuzyna Mieczysława Puszczańskiego i jego żonę Wiesławę, którzy mieszkali w zachodnim Londynie na Ealingu. Może warto tu wspomnieć, że zaraz po wojnie na Ealingu została założona polska Wyższa Szkoła Techniczna, na której elektrotechnikę wykładał nasz Profesor Paweł Nowacki. U Puszczańskich zamieszkałem po przyjeździe do Londynu mojej żony Ali, aby wspólnie spędzić ostatnie 5 miesięcy. Micio, porucznik w Armii Andersa, przebył szlak, podobnie jak Edzio, z Rosji do Anglii. Będąc w Polsce dyplomowanym leśnikiem, tu został magazynierem. Ona, poprzednio żona poległego polskiego generała lotnika, w czasie wojny służyła w naziemnej obsłudze lotniska, gdzie stacjonowały polskie eskadry. Po wojnie podjęła pracę jako urzędniczka w administracji jednej z dzielnic Londynu. O umiejętności przystosowania się Polaków do życia w całkiem nowych warunkach, może posłużyć jej przykład. Ponieważ znała gwary londyńskich przedmieść cockney, więc w biurze służyła jako tłumaczka między interesantami z tych przedmieść a urzędnikami angielskimi, którzy tej gwary nie znali. Oboje gromadzili książki wydawane przez polskie wydawnictwa emigracyjne, co pozwoliło mi zapoznać się z książkami autorów będących na indeksie w kraju. U nich w mieszkaniu oraz po mszach w domu parafialnym w pobliskim polskim kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli miałem możliwość rozmawiania z wieloma Polakami mieszkającymi w Anglii o różnych sprawach. Dzięki nim poznałem Ognisko Polskie w Londynie, miejsce spotkań Polaków, w tym najwybitniejszych z emigracji niepodległościowej. Tu kwitło życie społeczno-kulturalne emigracji. Jest to temat rzeka.

Muszę się przyznać, że Londyn mnie olśnił. Było to przecież pierwsze miasto z krajów Zachodu, które poznałem, a zarazem stolica, niegdyś ogromnego imperium, a wówczas jak i obecnie nadal wielkiego mocarstwa. A Anglia w ciągu długiej swojej historii podbojów świata umiała gromadzić skarby kultury i sztuki. Na poznanie bogatych zbiorów z różnych okresów i miejsc z całego świata, zgromadzonych w British Museum poświęciłem dziesiątki godzin. Opisanie bogactwa kultury angielskiej: muzeów i galerii, zamków i pałaców rodziny królewskiej, i arystokracji angielskiej, olbrzymich kościołów, rozległych parków i ogrodów botanicznych, teatrów, mostów, wystaw czy księgarni nie jest tutaj możliwe, a zresztą chyba i niepotrzebne, gdyż takie opisy można znaleźć obecnie w wydawnictwach książkowych i elektronicznych. Powinienem jednak wspomnieć o czymś drobnym, którym była przyjemność spaceru z żoną po Południku Greenwich.

O moim zafascynowaniu tymi bogactwami może świadczyć następujący drobny przykład. Gdy na zakończenie mojego pobytu w SIRA mój kierownik Derek i współpracownicy zaprosili mnie z żoną do restauracji na uroczysty pożegnalny obiad, a także zapytali, jaki prezent sprawiłby mi największą przyjemność, bez wahania odpowiedziałem, że album „Treasures of Brittain”, który wcześniej przyciągał moje oczy w księgarniach. Notabene, album ten posłużył komuś z moich znajomych w Polsce do ilustrowania wydawanych książek. Również, inne elementy „krajobrazu miasta” jak: silne oświetlenie, wtedy głównie żółte sodowe, ulic i placów, zamieniające się w festiwal świateł w okresie przed Bożym Narodzeniem, szaleństwo zakupów w okresach posezonowych wyprzedaży (sales) w ogromnych domach towarowych, np. Harrodsa i Selfridges – dla bogatych, czy Marks and Spencers – dla mniej zasobnych w pieniądze, obfitość kwiatów na skwerach i w parkach przez cały rok oraz zieleń często koszonych trawników, wydawały się dla nas obrazkami z bajki. Jeden czy dwa dni zwiedzaliśmy Londyn z Kazikiem Malanowskim, który zawitał tu w czasie powrotu do Polski ze stypendium w Stanach Zjednoczonych.

Jeszcze chcę wspomnieć o jednej sprawie, tak różniącej wspomniane wcześniej dwa obozy państw. W Londynie na ulicach bardzo często spotykało się z ludzką życzliwością, np., gdy przystawałem i zaczynałem niezdecydowanie rozglądać się, to nagle słyszę: may I help you? Nieskrępowane przemówienia i dyskusje w Hyde Park Corner czy beztrudne i radosne zachowanie się ludzi w parkach, np. puszczenie latawców nie tylko przez dzieci, ale i przez osoby starsze, unaoczniły, że można i należy żyć inaczej niż w PRL. O tym świadczyła też forma konkursów urządzanych przez pracowników SIRA. Instytucja ta mieściła się w dawnej rezydencji arystokratycznej z dużymi balkonami. Wymyślano różne konkursy związane z hodowlą roślin na tych balkonach. W okresie mojego pobytu wygrał ten, kto wyhodował słonecznik o największej średnicy kwiatu. Przy takich okazjach śpiewano śmieszne piosenki własnego autorstwa, w których pojawiały się nazwiska z kierownictwa Instytutu.

Nie jest możliwe opisanie w krótkim tekście wszystkich ciekawych spraw i zwyczajów angielskich, które wywarły na nas duże wrażenie. Podam dodatkowo kilka przykładów. W przeciwieństwie do PRL, gdzie powszechnie dominowała bylejakość, w Anglii na uwagę zasługiwała obserwowana wszędzie solidność wykonywania prac, co najlepiej mogłem zauważyć w SIRA. Szkoda, że ta bylejakość przetrwała do dzisiaj. Policjanci, których zadaniem było pomaganie spotykanym osobom, kontrastowali z naszymi milicjantami. Szokowali chłopcy na ulicy w krótkich spodenkach i w podkolanówkach, z gołymi czerwonymi nogami, w bardzo zimne jesienne czy wiosenne dni – miało to być hartowanie.

Pokoje w budynkach gdzie mieszkałem były ogrzewane piecykami gazowymi, które włączało się za pomocą wrzucanych pensów. Chipsy sprzedawane w zadrukowanych opakowaniach – to tradycja z dawnych lat, gdy je sprzedawano w opakowaniach ze starych gazet. Zresztą, wyżywienie angielskie znacznie różniło się od naszego. Mnie to nie przeszkadzało, ale po przyjeździe żony do Anglii zaopatrywaliśmy się w produkty spożywcze w polskich sklepach, które łatwo można było spotkać w pobliżu skupisk polonijnych, jakim był np. Ealing.

Mój pobyt w Anglii nie ograniczył się tylko do Londynu. Dzięki SIRA miałem możliwość zwiedzenia jednego z zakładów English Electric Company, w którym opracowywano i produkowano urządzenia automatyki. Ze względu na wymagania stawiane urządzeniom do regulacji ważnych, niebezpiecznych procesów technologicznych, aby po uszkodzeniu układ przechodził samoczynnie do stanu zapewniającego bezpieczeństwo sterowanego obiektu, stosowano tam często elementy magnetyczne, stąd wybór tego zakładu do zwiedzania. Zaproponowano mi nawet tam pracę, ale nie zgodziłem się na to. Zakorzenie w kulturze polskiej i pragnienie dzielenia losów Polaków w kraju były czynnikami decydującymi. Pięknie o tym pisał Cyprian Norwid: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba/ Podnoszą z ziemi przez uszanowanie/ Dla darów Nieba.../ Tęskno mi, Panie...” Tak, byłem romantykiem i może nim pozostałem.

Niezapomnianym dla nas przeżyciem były turystyczne podróże po Anglii. Jeszcze w czasie pracy w SIRA, kolega z Instytutu Roger Simpson wraz z żoną Shilą zaprosili nas na wspólne zwiedzanie okolic Londynu, w szczególności parku i zamku Viscount De L’Lisle z XIV w., który częściowo został zamieniony w muzeum. Potem, wspólnie z nimi zjedliśmy kolację w ich nowym domu w Sidcup, wybudowanym przez władze komunalne dla młodych małżeństw. Do tej pory wymieniamy z nimi życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. W tej miejscowości, ze względu na bliskość miejsca pracy, mieszkałem przed przyjazdem żony ponad pół roku w pensjonacie pani Cresswell. Adres znaleźli mi koledzy z Instytutu z ogłoszenia w miejscowej gazecie. Gdy przyszedłem do jej mieszkania w celu omówienia warunków wynajmu pokoju, ona z angielską szczerością zapytała mnie: „are you spy?” Ja szczerze odpowiedziałem: „no” i to jej wystarczyło, więc zamieszkałem w tym pensjonacie. Akurat w tym okresie wykryto siatkę szpiegów rosyjskich w Anglii, co szeroko omawiano w prasie. Roger bardzo często podwoził mnie do Instytutu. W pensjonacie miałem możliwość poznania urozmaiconego życia różnych jego mieszkańców – sceny z ich życia są częstym tematem książek. Córka pani Cresswell, Helen, była znaną autorką książek dla dzieci – ich tłumaczenia spotkałem później w Polsce.

Interesującym miejscem niedaleko Londynu, które odwiedziliśmy (Ala, dwóch Tadków i ja) był położony nad Tamizą ośrodek polonijny w Fawley Cort, prowadzony przez Księżę Marianów, gdzie odbywały się coroczne, największe na Wyspach Brytyjskich spotkania polonijne. Tu, w czasie odpustu spotkaliśmy kilku poprzednio poznanych Polaków.

Pod koniec pobytu w SIRA, za zaoszczędzone pieniądze kupiłem Fiata 124. Był to mój pierwszy samochód. Ponieważ prawo jazdy otrzymałem kilka miesięcy przed wyjazdem do Anglii, więc nie do pozazdroszczenia była krótka praktyka nieopierzonego kierowcy na zatłoczonych ulicach Londynu z lewostronnym ruchem samochodowymi i z pojawianiem się przejściowych kłopotów związanych z używaniem nowego samochodu. W czasie jednej takiej jazdy, z Kazikiem Korczem jako pasażerem, zagrzał się silnik, więc wspólnie wychodziliśmy z opresji. Tym samochodem udałem się z żoną na zwiedzanie Anglii, nocując pod namiotem. Nie była to podróż dla mnie łatwa, gdyż często musieliśmy korzystać z wąskich dróg. Ze względu na lewostronność ruchu, Ala była okiem kierowcy, siedzącego od strony brzegu szosy. Ponieważ opisywanie trasy zajęłoby zbyt dużo miejsca, więc wymienię tylko najciekawsze jej punkty: Oxford, Blenheim Palace (miejsce urodzenia Winstona Churchilla), Cambridge, Sheffield, York (z najbardziej na północ położonymi wykopaliskami rzymskimi), Manchester, Chester, Caernarfon (potężny zamek na zachodnim wybrzeżu północnej Walii, siedziba księcia Walii Karola – byliśmy tam kilka dni po otrzymaniu przez niego tego tytułu), Bristol, Bath (z najlepiej zachowanymi w Anglii zabytkami rzymskimi – łaźniami), Londyn i Dover.



Caernarfon: siedziba księcia Walii Karola – stoi Ala

Pożegnaliśmy Anglię, przeprawiliśmy się promem do Calais we Francji i przez Valenciennes, słynące z wyrobu koronek (tu zatrzymaliśmy się na krótko u mojego kuzyna, byłego żołnierza Legii Cudzoziemskiej i policjanta francuskiego), Amiens i Reims z pięknymi katedrami, dojechaliśmy do Paryża. Zamieszkaliśmy w Stacji Naukowej PAN w Paryżu przy ulicy Lauriston. Po kilkudniowym zwiedzaniu Paryża, który nas oczarował swoją architekturą, katedrą Notre Dame, Dzielnicą Łacińską, ogrodami, bulwarami i wspaniałymi muzeami, ruszyliśmy w dalszą drogę. Przez Chartres, podziwiając piękną katedrę, Orlean z pomnikiem Joanny d'Arc, trasą z zamkami nad Loarą, Vazeley w północnej Burgundii z XII wiecznym opactwem benedyktyńskim i wspaniałą bazyliką św. Marii Magdaleny, przez Dijon dotarliśmy do granicy szwajcarskiej z nadzieją wjazdu do Szwajcarii. Nie pozwolono nam jednak przekroczyć granicy ze względu na brak wizy szwajcarskiej. Dlatego musieliśmy się udać na północ i po zwiedzeniu pięknego Strasburga, przekroczyliśmy na Renie granicę francusko-niemiecką, a następnie przez Karlsruhe, Rothenburg nad rzeką Tauber – śliczne średniowieczne miasteczko, otoczone murami (namiot rozbiliśmy pod tymi murami na brzegu rzeki) i Norymbergę dotarliśmy do Hof, gdzie wjechaliśmy do NRD, a po zwiedzeniu ładnego, lecz zrujnowanego Drezna, wyjechaliśmy w prawidłowym kierunku, mimo błędnego wskazania nam drogi wyjazdowej z miasta przez młodzieniaszków niemieckich – zauważyłem ich podejrzane śmieszki na twarzach. Szczęśliwie dotarliśmy do Zgorzelca. Nie będę tu opisywał, jak przyjąłem szarą rzeczywistość polskich miast w drodze do Warszawy. Cieszyliśmy się jednak, że jesteśmy już na swoim.

Gdy po 30 latach, byłem w Anglii na konferencji, postanowiłem odświeżyć wspomnienia, więc udałem się na kilka dni do Londynu. Zadzwoniłem do SIRA, ale już nikt z moich znajomych tam nie pracował, więc nie było sensu tam jechać. Z Wiesią Puszczańską spotkałem się w domu parafialnym przy polskim kościele na Ealingu. Jej mąż Miecio już nie żył. W życiu Polonii londyńskiej nastąpiły duże zmiany.

W latach 70. zainicjowałem w Polsce badania nad wykorzystaniem magnetycznych domen cylindrycznych w technice cyfrowej (jakby miniaturowych magnesików), które można wytwarzać w anizotropowych płytkach magnetycznych (o łatwym kierunku magnesowania prostopadłym do płytki – ortoferryty, granaty) i przesuwac w płaszczyźnie płytki. Z badaniami tymi wiązano wtedy na świecie duże nadzieje, gdyż przypuszczano, że pozwolą one na opracowanie tanich urządzeń cyfrowych, m.in. pamięciowych, które będą stanowiły konkurencję dla półprzewodnikowych urządzeń cyfrowych. Była to jednak złudna nadzieja. Zwyciężyły technologie półprzewodnikowe. Współautorskim wynikiem moich prac było wykonanie kilku modeli takich urządzeń

i opublikowanie pierwszej na świecie monografii dotyczącej magnetycznych domen cylindrycznych w technice cyfrowej. Tak przebiegała moja droga „Magnetyczna”. Tutaj małe zwierzenie: pytania dotyczące natury magnetyzmu męczyły mnie od czasów szkoły średniej.

W świecie inżynierii biomedycznej

Przygotowania do powołania Instytutu Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej PAN, jego powstanie w 1975 i kształtowanie jego zakresu badań naukowych, to drugi, znaczący zakręt na drodze mojego życia zawodowego. Ten odcinek drogi można nazwać „Bio”. Siłą sprawczą tego zakrętu był Prof. Maciej Nałęcz, inicjator i główny twórca IBIB PAN. Byłem pomocnikiem w realizacji tego zamierzenia. Był to ciężki okres w moim życiu, gdyż musiałem powoli zamykać wcześniejsze wątki badawcze i zapoznawać się z nowymi, a także, po długich namowach Prof. Nałęcza, zająć się, jako jego zastępca, pracami organizacyjno-naukowymi związanymi z koordynacją ogólnopolskich programów badawczych z zakresu bioinżynierii. Obowiązki te miały również swoje blaski, których jednym z najważniejszych była możliwość szerszego poznania tej tematyki, związanej z wieloma dziedzinami naukowymi, oraz nawiązania kontaktów z ludźmi, nie tylko z Polski, w tym z dotychczas nieznanego mi środowiska medycznego.

W ramach nowego kierunku badań zająłem się początkowo urządzeniami do analizy sygnałów EKG w próbie wysiłkowej. Jednak uznałem, że bardziej przyszłościowymi są badania dotyczące półprzewodnikowych czujników i mikrosystemów do pomiarów biochemicznych. Tematyka, którą podjąłem, dotyczyła tranzystorów polowych czułych na jony (ISFET-y). Została ona zapoczątkowana na początku lat 70. przez prof. Pieta Bergvelda z Holandii. Jako pierwszy w Polsce prace te rozpocząłem na początku lat 80. Nawiązanie współpracy z zespołem prof. Bergvelda, a następnie z innymi zespołami z Włoch, Francji, Niemiec, Tajwanu i Ukrainy miało istotny wpływ na rozwój badań w tym zakresie w Polsce. Na podstawie rozprawy z tej tematyki p.t. „Teoria i własności tranzystorów polowych, jako czujników biochemicznych” w 1989 r. uzyskałem stopień doktora habilitowanego. Również dorobek naukowy z tego zakresu był podstawą do nadania mi w 1991 r. tytułu profesora. Jest to bardzo rozległa tematyka wymagająca znajomości wielu dyscyplin naukowych z obszaru elektroniki, chemii, biologii i medycyny. W „Okružach” opiszę tylko kilka przygód związanych głównie z wyjazdami zagranicznymi w ramach współpracy naukowej oraz na konferencje.

Wrota psychologiczne na zachód, otwarte przez mój pobyt w Anglii, sprawiły, że wyjazdy do krajów z Europy zachodniej nie budziły tyłu

emocji, co poprzednio, lecz kraje te w dalszym ciągu nęciły, ze względu na dążenia do poznania najnowszej literatury naukowej i metod badawczych, a także świata. Od początku lat 80. stosunkowo często wyjeżdżałem do Istituto di Elettronica dello Stato Solido, CNR w Rzymie, gdzie współpracowałem z prof. Arnaldo D'Amico w zakresie półprzewodnikowych czujników chemicznych. Wyjazdy te pozwoliły mi poznać w pewnym stopniu skarby Rzymu i jego okolic (katakumby i Tivoli z Willą Hadriana, Ostia nad Morzem Tyreńskim), i Watykanu. Rzym z Watykanem to chyba jedyne na świecie miejsce tak bogate w kościoły, zabytki kultury i zbiory muzealne, będące głównie wytworem jego mieszkańców. Nie mogę stwierdzić, że widziałem wszystko, co jest warte zobaczenia, ale to, co widziałem z zabytków Rzymu Starożytnego, Średniowiecznego, Renesansowego i z czasów późniejszych jest nie do opisanania w krótkim opracowaniu.

Przy okazji zorganizowanej w Rzymie międzynarodowej konferencji Eurosensors (1991), miałem możliwość podziwiania dziennego i nocnego widoku miasta z tarasu Pałacu Senatorskiego na Kapitolu, w którym miało miejsce kilkugodzinne spotkanie towarzyskie uczestników konferencji. Tutaj z prof. Ryszardem Jachowiczem podjęliśmy decyzję o utworzeniu Polskiego Towarzystwa Techniki Sensorowej (PTTS), które powstało w 1992 r. Najpierw byłem jego Wiceprezesem, a następnie Prezesem.

W 1997 r. PTTS zorganizowało w Politechnice Warszawskiej konferencję Eurosensor, której byłem współorganizatorem z profesorami Ryszardem Jachowiczem i Janem Dziubanem. Przy tej okazji liczni uczestnicy tej konferencji podziwiali piękną Aulę Politechniki, w której podawano obiady.



Konferencja Eurosensors w Rzymie (1991). Widok na Rzym z tarasu Pałacu Senatorskiego na Kapitolu



Konferencja Eurosensors w Politechnice Warszawskiej, 1997, której byłem współorganizatorem i uczestnikiem (na zdjęciu prof. Dorota Pijanowska i ja przy plakacie na sesji plakatowej)

Może w tym miejscu powinienem dodać, że konferencje naukowe organizowane we Włoszech pozwoliły mi poznać również wiele innych pięknych miast włoskich, jak np.: cudowną Florencję – mieście Leonarda da Vinci i Michała Anioła; Mediolan ze wspaniałą gotycką katedrą i operą la Scala; Wenecję z kanałami i piękną Bazyliką św. Marka w stylu bizantyjskim; Padwę z Bazyliką św. Antoniego i cudnymi freskami Giotta w kaplicy Scrovegnich; Bolonię, Neapol, bliski naszemu sercu klasztor na Monte Cassino, Castel Gandolfo (byłem tutaj na spotkaniu z Papieżem Janem Pawłem II) czy wyspę Capri, gdzie mieliśmy tygodniową konferencję naukową.

Dzięki prof. D'Amico również trochę poznałem Rzymian. Wielokrotnie prowadziłem z nim rozmowy na różne tematy dotyczące sytuacji społecznej w naszych państwach: Włoszech, gdzie komuniści byli silną partią, i w Polsce – rządzonej przez komunistów. Kilkakrotnie był on w Polsce na nasze zaproszenie, a także miał krewnych w Bułgarii, więc mógł trochę poznać panujące u nas stosunki. Dla mnie był on bliski duchowo, ponieważ był zwolennikiem włoskiej chadecji – nawet miał bliskie kontakty z jednym z doradców rządu chadeckiego. W wyniku jednej z takich rozmów Arnaldo zorganizował u siebie w domu dyskusję, na którą oprócz mnie zaprosił znajomego księdza robotnika, przy czym on był zwolennikiem tego ruchu, a ja przeciwnikiem. Kilkugodzinna dyskusja nie zbliżyła nas w poglądach, czego można było spodziewać się, lecz pokazała jak silny wpływ na psychikę człowieka może mieć lewicowa ideologia.

Jest powiedzenie: być w Rzymie i nie widzieć Papieża to klęska. Dzięki jednemu ze znajomych mi polskich księży w Polsce, nawiązałem kontakt telefoniczny z księdzem z otoczenia Papieża, którego poprosiłem o pomoc w zorganizowaniu takiego spotkania. Niestety się złożyło,

że termin spotkania Papieża z małą grupą pielgrzymów, wskazany przez tego księdza, kolidował z moimi obowiązkami w przyjmującym mnie Instytucie, więc poprosiłem o inne rozwiązanie. Zapewniono mi miejsce w Auli Pawła VI w pobliżu przejścia, którym przechodzi Papież witając się z pielgrzymami. Pozwoliło to na zamienienie kilku słów z Ojcem Świętym. Mam nawet zdjęcia z tego spotkania, zrobione przez fotografa Papieża.

A teraz Francja. Moja współpraca z francuskimi ośrodkami (Lyon) i konferencje naukowe, oprócz pożytków zawodowych, umożliwiły również szersze poznanie zabytków we Francji. W tym okresie dotyczyło to głównie południa Francji (Lyon, Montpellier, Nimes, Avignon, Marsylia, Nicea, Cannes) i Paryża. Oprócz zwiedzania pięknych miejsc dużo rozmawiałem z kolegami francuskimi na różne tematy społeczno-kulturalne. Mogłem z nich wysnuć wniosek, że komuniści francuscy nie są tacy źli – więcej zła sprawiają komuniści polscy, a nawet przeciwnicy komunizmu w Polsce. Może w tym miejscu warto wspomnieć, że kontakty z uczonymi za granicą ułatwiały nam częste seminaria międzynarodowe organizowane w naszym Instytucie, z których w czterech byłem współprzewodniczącym.

W kilku zdaniach przedstawię jeden z moich, pełnych niespodzianek powrotów z Francji do Polski – podróż rozpocząłem w niedzielę 13 grudnia 1981 roku. Nieświadomy niczego, z biletem powrotnym do Warszawy zgłosiłem się wieczorem na lotnisko w Lyonie i zobaczyłem na tablicy odlotów samolotów, że wszystkie loty do Polski są zawieszane. W informacji wyjaśniono mi, że to z powodu wprowadzenia stanu wojennego. Spotkałem tam kilku Polaków oczekujących na samolot. Co mam robić, gdyż w domu oczekuje mnie żona z 7-letnim Piotrusiem i 7-tygodniową Anią? Naradzamy się, jakie powinniśmy podjąć kroki? Ja miałem paszport służbowy, a oni prywatne, gdyż wracali z pracy na saksach. W poniedziałek rano, po nocy spędzonej w holu portu lotniczego, zadzwoniłem do polskiego konsulatu w Lyonie, który odwrócił się do nas plecami, podając wiele powodów odmowy udzielenia nam pomocy. Jednym z nich była obawa, że przed konsulem będą anty-jaruzelskie manifestacje, więc nie chcą mieć wewnątrz obcych ludzi, szczególnie tych z prywatnymi paszportami. Po umyciu się w dworcowej łazience, zakupiłem wiktuały w pobliskim sklepie i koczowaliśmy dalej. We wtorek po południu zainteresował się nami jakiś ksiądz z francuskiej pomocy społecznej. Zaproponował nam, hotel na ich koszt, w którym spędziliśmy dwie noce, i w czwartek rano, rejsowym samolotem zawieziono nas do Paryża, skąd, po długiej odprawie celnej, czarterowy samolot przewiózł nas do Warszawy – mroźnej, zaśnieżonej i pełnej wojska grzejącego się przy piecykach węglowych. Szok, niesamowity widok. Skok z raju do piekła. A to, co było później, przeżywaliśmy wspólnie.

W 1983r., zaraz po zniesieniu stanu wojennego w Polsce, przebywałem przez 2 tygodnie w znanej placówce naukowej w Leningradzie. Plan naukowy i zwiedzanie zabytków i muzeów tego pięknego miasta, w którym długo przebywał Fiodor Dostojewski, poświęcając mu wiele miejsca w swoich powieściach, a Aleksander Puszkina umieścić dzieciństwo Eugeniusza Oniegina, nie wypełniały mi całego czasu. Któregoś wieczoru usłyszałem przez radio, że na drugi dzień odbędzie się odczyt poświęcony Papieżowi Janowi Pawłowi II. Miejsce mogłem łatwo odszukać, gdyż znajdowało się w pobliżu Ermitażu i kościoła polskiego. Z niepokojem wszedłem do sali wypełnionej słuchaczami spragnionymi informacją o słowiańskim Papieżu. Już pierwsze słowa prelegenta pokazały, że mamy do czynienia z typową agitacją antypapieską. Przez 45 minut z ust prelegenta płynął nieprzerwany potok słów, mający na celu podważenie autorytetu Ojca Świętego i Kościoła Katolickiego. Papież zawinił i staje się niebezpieczny. Tworzy światowy system oddziaływania na umysły ludzkie. System ten obejmuje wszystkie aspekty życia. Tworzy też zręby organizacyjne dla katolików, obejmujące dzieci, młodzież i dorosłych. Kultura i filozofia, którą Papież chce narzucić, nie mają podstaw naukowych. Watykan jest jednym z największych finansistów świata. Ogromne fundusze otrzymuje ze sprzedaży znaczków przez Poczta Watykańską, z dotacji kapitalistów oraz wpływów uzyskiwanych przez lokowanie tych funduszy w bankach i przemyśle zbrojeniowym. Posiada również radio o światowym zasięgu – Radio Watykańskie. Stąd Watykan jest zagrożeniem dla narodów miłujących pokój. Prelegent miał też zastrzeżenia do prawdomówności Papieża. Papież nigdy nie mówił o bogactwach Watykanu. Nie przyznał się, że w młodości miał narzeczoną... Prelegent nie wspominał o zamachu na Papieża.

Jaka mogła i powinna być reakcja słuchacza z Polski na te wywody? Znałem Związek Radziecki z uwagi na wieloletnią współpracę naukową z Rosjanami. Nie obce mi były opowiadania osób, także mi bliskich, które doznały wielu cierpień w tym kraju. Miałem własne, niemiłe wspomnienia z okresu po wkroczeniu Rosjan do Polski. Lecz są granice dopuszczalnego milczenia. Po kilku zdawkowych pytaniach słuchaczy, wstałem i przedstawiłem się, że jestem z Polski, o czym także świadczy mój akcent. W ciągu kilkunastu minut mówiłem o Ojcu Świętym, jako o Człowieku ogromnej kultury, uczonym, filozofie, znającym wiele języków, poecie, artyście, sportowcu, poświęcającym swoje życie dla ludzi cierpiących i uciskanych, który los tych ludzi zna również ze swojego doświadczenia, gdyż w czasie okupacji Polski przez Niemców był robotnikiem. Obca jest Mu wszelka nienawiść i wszystkich darzy miłością, niezależnie od rasy i religii, czego dowiódł całym swoim życiem. W czasie wojny pomagał Żydom. Z wieloma z nich łączy Go osobista przyjaźń.

Zaznaczyłem, że pieniądze otrzymywane przez Watykan są w dużej części przeznaczane na pomoc potrzebującym, w tym głodującym...

Po odczycie przeżyłem coś niespodziewanego. Słuchacze otoczyli mnie dużą gromadą i wypytywali się o różne sprawy, głównie o osobę Papieża, Polskę i „Solidarność”. Prelegent miał tylko nielicznych rozmówców. Nie chciałem przedłużać rozmowy, podszedłem do prelegenta i, wymieniając z nim niektóre myśli, zeszedłem do szatni. Spytałem go: skąd on wie o tych rewelacjach dotyczących osoby Papieża. Odpowiedź – z prasy włoskiej. Ja mu mówię, że ta prasa niekoniecznie musi być wiarygodna. Przecież donosiła ona również, że atak na Papieża został dokonany z inspiracji Andropowa, będącego w tym okresie Pierwszym Sekretarzem KC KPZR. To wg mnie jest przecież fałszywa informacja – dodałem. Czy on słyszał o tych rewelacjach? Odpowiedź była – nie. Wymieniwszy kilka grzecznościowych uwag na temat nauki, rozstaliśmy się.

Po wyjściu na pustą ulicę, a było bardzo późno, stwierdziłem, że jestem otoczony przez kilkunastu uczestników spotkania, którzy, żądni informacji, proponują odprowadzić mnie do hotelu. Teraz dopiero przyszła refleksja – poczułem strach. Jakoś udało mi się zakończyć to spotkanie. Powiedziałem, że mój hotel znajduje się w przeciwnym kierunku niż oni zamierzają jechać, o czym dowiedziałem się podczas wcześniejszej rozmowy. Nie miałem żadnych problemów i szczęśliwie wróciłem do kraju. Czy narażałem siebie? Może? Powtórzę tu za Zbigniewem Herbertem (Potęga smaku): „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru/ nasza odmowa niezgoda i upór/ mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi/ lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku/ Tak smaku/ w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia”.

Dalsze przeżycia przedstawiam w dużym skrócie. Są to: dziwne przygody w Barcelonie Gaudiego – na plaży z pięknymi opalającymi się dziewczynami w stroju toples oraz z „policjantami”, którzy okazali się oszustami, niby poszukującymi u mnie narkotyków, a przy okazji złodziejami znacznej sumy pieniędzy; obserwacje dotyczące narodowościowego różnicowania się mieszkańców różnych dzielnic Brukseli, głównie ze względu na napływ muzułmanów; rozmowy z kolegami z Niemiec na tematy polsko-niemieckie z Rosją w tle i zwiedzanie kilku ośrodków naukowych i kulturowych w Niemczech; uroczyste spotkania towarzyskie podczas polsko-japońskich seminariów naukowych w Japonii, na których Japonki były ubrane w piękne narodowe stroje, i na których serwowano wyszukane, wschodnie potrawy; tęsknota do Polski Polaków mieszkających w Wilnie Adama Mickiewicza i Józefa Piłsudskiego (grób matki i serce syna), gdzie wygłosiłem referat z przemianowanym nazwiskiem, jako Torbiczius, i dokąd przywoziłem przez granicę, wtedy jeszcze ZSRR, rzeczy dla pocieszenia serc Polaków

i Litwinów, i gdzie podziwiałem piękne, lecz zaniedbane groby sławnych Polaków na cmentarzu na Rossie – wynikło to częściowo z prośby Zygmunta Warszy, dotyczącej znalezienia i sfotografowania grobu rodziny jego żony, co udało mi się spełnić; szukanie dróg porozumienia między Polakami i Ukraińcami w czasie wielu spotkań z nimi w Warszawie i w Kijowie; w Soczi w Gruzji (Abchazji) wtedy w ZSRR, gdzie jako współprzewodniczący delegacji polskiej w zakresie kontaktów w ramach RWPG, dotyczących współpracy z ośrodkami radzieckimi w zakresie badań nad sztucznymi narządami, miałem okazję zobaczyć piękne tańce abchaskie w wykonaniu zespołu, do którego przyjmowano osoby powyżej 60 lat; czy drobne, lecz ciekawe przeżycia w Szwecji i Finlandii oraz u braci Czechów, Słowaków i Węgrów, związane ze współpracą naukową.



Chung Yuan Christian University: prof. Chung i autor na tle jednego z budynków Uniwersytetu oraz zdjęcie z okazji podpisania umowy o współpracy między CYCU i jedną z firm koreańskich – w programie tym uczestniczyliśmy (w pierwszym rzędzie autor i prof. Pijanowska, w drugim, w środku, prof. Chung)

Wieloletnia nasza współpraca z zespołem prof. Danny Wen-Yaw Chunga z Chung Yuan Christian University (CYCU) w Chung Li na Tajwanie, która zaowocowała wieloma wspólnymi publikacjami i patentami USA, umożliwiła mi zapoznanie się z wysokim poziomem ich techniki, pracowitością, gościnnością, kulturą i wytworami starej cywilizacji chińskiej, zgromadzonymi w muzeach na Tajwanie. Cudowne krajobrazy i kąpiel w Pacyfiku były dodatkiem do tej współpracy.

Na zakończenie wspomnę o niektórych innych moich działaniach, głównie o charakterze organizacyjnym. W latach 1975-1990 byłem zastępcą przewodniczącego ogólnopolskich programów badawczych i badawczo-rozwojowych dotyczących inżynierii biomedycznej. W okresie marzec 1993-styczeń 2007 byłem Zastępcą Dyrektora IBIB PAN ds. Naukowych. W tym okresie włożyłem dużo wysiłku w powołanie Polskiego Towarzystwa Inżynierii Biomedycznej, w którym jestem przewodniczącym

Komisji Rewizyjnej. W ciągu wielu lat, jako członek różnych zespołów Komitetu Badań Naukowych, a później Rady Nauki przy Ministrze Nauki i Szkolnictwa Wyższego, wybrany przez społeczność naukową z całej Polski, wypełniałem różne obowiązki związane z oceną i finansowaniem programów badawczych w Polsce z zakresu inżynierii biomedycznej, co znacznie rozszerzyło moją znajomość tych spraw. Tam, po wielu latach, spotkałem Basię Bolkowską, ważną osobę w Ministerstwie.

Przez 4 lata (2004-2008) byłem, jako przedstawiciel nauk technicznych, członkiem Rady Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (FNP), wspierającej finansowo najlepszych – młodych i starszych pracowników naukowych, która m.in. corocznie przyznaje nagrody indywidualne uczynom, nazywane przez media „Polskimi Noblami”.



Konferencja prasowa na temat nagród FNP w 2007 r. Członkowie Rady FNP, profesorowie – od lewej strony: Maciej Grabski, autor, Janina Józwiak (Przewodnicząca Rady), Kazimierz Stępień

W latach 2007-2013, jako członek Rady Programu Wieloletniego „Polskie Sztuczne Serce” (którego inicjatorem był prof. Zbigniew Religa), działającej przy Ministrze Zdrowia, wypełniałem obowiązki związane z oceną realizacji zadań programu i koniecznych jego modyfikacji.

Od 2006 r. jestem przewodniczącym Rady Programowej Naukowego Centrum Obrazowania Biomedycznego (NCOB) w Instytucie Fizjologii i Patologii Słuchu w Kajetanach.

Instytut Biocybernetyki
i Inżynierii Biomedycznej w Warszawie
Prof. Maciej Nałęcz, Prof. Władysław Torbicz,
Prof. Jan Maria Wójcicki



Uroczyste otwarcie nowej siedziby NCOB w Kajetanach (2009). Od lewej: prof. Jan Schmidt – Dziekan Wydz. Elektroniki i Technik Informatycznych PW, prof. Jan Wójcicki – Dyr. IBIB PAN, Wicepremier Waldemar Pawlak, dr Anna Gręziak – doradca Prezydenta RP, autor, dr Adam Fronczak – Wiceminister Zdrowia, prof. Henryk Skarżyński. Powyżej – jedna z kilkudziesięciu tabliczek "Przyjaciół po Wsze Czasy", na ścianie holu przy wejściu do **NCOB**

Uczestnictwo, w latach 2000-2006, w pracach zespołów oceniających w Brukseli wnioski projektów badawczych, z zakresu elektronicznych systemów pomiarowych, głównie dla potrzeb diagnostyki medycznej i ochrony środowiska, składanych do 5 i 6 Programu Ramowego Unii Europejskiej, pozwoliło mi zapoznać się szerzej z działalnością różnych europejskich zespołów badawczych oraz ze sposobem przyznawania środków na te badania. Będąc od 2007 r. członkiem Rady Fundacji Krzewienia Nauk Systemowych przy PAN, która jest Założycielem Wyższej Szkoły Informatyki Stosowanej i Zarządzania w Warszawie, miałem i mam możliwość poznawania działalności i problemów prywatnych uczelni w Polsce. Wykładowcami tej Uczelni są głównie pracownicy Instytutu Badań Systemowych PAN – koledzy Kazika Malanowskiego. Może warto jeszcze wspomnieć, że byłem współredaktorem i współautorem dwóch monografii z zakresu inżynierii

biomedycznej – 4-tomowej i 9-tomowej. Obecnie jestem redaktorem kolejnej monografii 10-ciotomowej, z której wydano już 2 tomy. Mam również na swoim koncie przetłumaczenie dwóch książek technicznych poświęconych układom elektronicznym: z języka angielskiego – z Kazikiem Korczem i z rosyjskiego – z Kazikiem Korczem i Januszem Migdalskim. Otarłem się także o dydaktykę, prowadząc w kilku uczelniach obieralne wykłady, dotyczące czujników i mikrosystemów do pomiarów biochemicznych.

Na zakończenie moich wspomnień chciałbym podziękować Ewie Torzeckiej (Okrasie) za jej inicjatywę i udział w zorganizowaniu pierwszego po latach Zjazdu Koleżeńskiego Elektryków 1953-1958, który odbył się w IBIB PAN 12.11.1998 r. Było to skutkiem przypadkowego, pierwszego po długich latach spotkania się nas na Placu Trzech Krzyży w Warszawie. To był początek naszego, odrodzonego po latach, wspólnego, koleżeńskiego życia towarzyskiego. Ponieważ Ewa oświadczyła w zdecydowany sposób, że nie napisze swoich „Okruchów”, więc przekonałem ją, iż ja trochę o Niej opowiem.



Ewa Torzecka (Okrasa): studentka; na spotkaniu koleżeńskim w San Antonio (20.06.2015) – obok Zosia Tyburska i Janka Wiśniewska (Czerniakowska); Babcia

Podziękowania należą się również Jance Wiśniewskiej (Czerniakowskiej), która zadbała o rozliczanie się uczestników naszych Zjazdów Koleżeńskich, a także Jadzi Kostewicz (Krakowiak), która, ręcznie sporządziła listę osób przyjętych na nasz Wydział na pierwszy rok studiów.

Ewa, Warszawianka z urodzenia, była drugim pokoleniem elektryków w rodzinie. Jej ojciec Edward, długoletni pracownik Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Centralnego (ZEOC), był pasjonatem i osobą zasłużoną dla elektroenergetyki w Polsce. On zaprojektował i nadzorował położenie pierwszego kabla energetycznego pod dnem Wisły. Przez wiele lat nadzorował rozbudowę sieci energetycznej w Polsce Centralnej. Za jego przykładem poszło dwoje z czworga jego dzieci – Ewa i Tomasz. Syn Tomasza, Piotr jest studentem Wydz. Elektrycznego PW. Ewa, po krótkim okresie pracy w Centralnym Biurze Konstrukcji Kablowych Ożarówie, podjęła pracę w Komisji Planowania, która później

została przekształcona w Ministerstwo Gospodarki. Tu, w Wydziale Energetyki pracowała aż do przejścia na emeryturę w 1990 roku. Teraz jej czas jest głównie wypełniony radością, którą daje pomoc córce przy wychowaniu dwóch wnuczek i oglądaniu ich postępów w ich nauce. Może też sporo czasu poświęcać na słuchanie muzyki klasycznej, której ma duży zbiór.

To pierwsze spotkanie zapoczątkowało kolejne nasze Zjazdy Koleżeńskie w IBIB PAN: w 2008 r. – główny organizator Heniek Gładys i w 2013 r. – główny organizator Wojtek Śliwiński. Szczególna nasza wdzięczność należy się Wojtkowi Śliwińskiemu i Mirkowi Zajdłowi za organizowane przez nich spotkania towarzyskie Elektryków, odbywające się w restauracji San Antonio w Warszawie, dwa razy w roku. One cementują naszą przyjaźń.

Dużą przyjemnością dla mnie było zorganizowanie przez Dyрекcję IBIB PAN w dniu 14.10.2015 r uroczystego Jubileuszu 80-lecia moich urodzin, który był obchodzony łącznie z 40-leciem IBIB PAN w ramach XIX Krajowej Konferencji Biocybernetyka i Inżynieria Biomedyczna. Tę uroczystość zaszczylił swoją obecnością mój promotor, Profesor Radosław Ładziński (w pierwszym rzędzie pierwszy z prawej strony) i kilku Kolegów ze studiów.



Uroczystość 80-lecia moich urodzin

Refleksje

Przyglądając się bliżej przebytemu przez nas okresowi życia, można stwierdzić, że jest on historycznie bardzo znaczący. To całe stulecie. Pierwszą część tego okresu, obejmującego I Wojnę Światową i 20-lecie międzywojenne znamy z opowiadań naszych rodziców i z lektur. Straszną

II Wojnę Światową i pierwsze lata komunizmu do śmierci Stalina (1953) przeżywaliśmy jako dzieci i młodzież i chyba nie wszyscy w pełni uświadamialiśmy grozę tamtych lat. W kolejnym okresie ustroj PRL „oscylował”, przyjmując różnorodne fazy – łagodniejsze i bardziej groźne dla ludzi. Słupami milowymi tych przemian były: Wydarzenia Poznańskie (czerwiec 1956), uwolnienie Prymasa Stefana Wyszyńskiego (październik 1956), Marzec '68, Wypadki (masakra) na Wybrzeżu (grudzień 1970), wybór kardynała Karola Wojtyły na Papieża (1978), powstanie „Solidarności” (1980), Stan Wojenny (1981), zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki przez komunistów (1984), aż do formalnego upadku komunizmu w Polsce (1989). Był to również okres uprzemysłowienia kraju. Myśmy wtedy stawali się czynnymi uczestnikami życia gospodarczego i społecznego, przejmując za nie odpowiedzialność w ramach swoich kompetencji i możliwości. Po uzyskaniu niepodległości (1989) wykonywaliśmy obowiązki zawodowe w warunkach transformacji ustrojowej w Polsce, otwarcia granic Polski, przystąpienia do NATO (1999) i Unii Europejskiej (2004). Mimo wolności, nie były to czasy łatwe, ze względu na upadek wielu gałęzi przemysłu i brak perspektywicznych programów rozwoju kraju. Było to i jest przyczyną masowych wyjazdów Polaków, głównie ludzi młodych, do pracy za granicą, z możliwością pozostania tam na stałe. Ta perspektywa nie jest korzystna dla Polski.

Okres naszego świadomego życia i działalności, to również okres ogromnego postępu naukowego i technicznego na świecie we wszystkich dziedzinach. Ale czy Człowiek stał się lepszy?



Moje stopklatki ze studiów i trochę dalszego życia

Szmat czasu, jaki dzieli nas od tamtych przeżyć, zatarł pewne fakty albo zmienił ich optykę widzenia. To, co napiszę może wyglądać półprawdą w oczach innych osób albo jeszcze gorzej. Mimo wszystko spróbuję przywołać z pamięci te „okruchy”, które odnajduję jako „stopklatki” z okresu studiów na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej (1953 – 1959) oraz kilka faktów z mojego życia w czasie pracy zawodowej.

Studia

Egzaminy wstępne z matematyki i fizyki przypominam sobie tylko fragmentarycznie. Matematyka była egzaminem pisemnym. Zadania zostały napisane na tablicy, bo jakiegokolwiek powielanie dokumentów było ściśle reglamentowane urzędowo. Egzamin nie był trudny, ale trzeba było dokładnie wczytać się w treści zadań. Przypuszczam, że dzisiaj nie byłbym w stanie ich rozwiązać. Pamiętam pochylone głowy przyszłych studentów nad stolikami, pomiędzy którymi krążyło kilka osób czuwających nad poprawnym przebiegiem egzaminu. Personalnie pamiętam tylko pana Stanisława Bolkowskiego. Rozwiązałem zadania i przygotowywałem się do wyjścia, ale „palec boży” odpowiedział, abym jeszcze raz przyjrzał się dziełu. Wróciłem do czytania i zauważyłem, że w jednym zadaniu przyjąłem złe założenia. Był czas na poprawienie błędu, którego powodem był stres, jaki się ma przed każdym egzaminem.

Egzamin z fizyki zdawaliśmy u pani Saturniny Woszczerowicz. Na początku zapytała, jaką skończyłem szkołę, a gdy powiedziałem, że Władysława IV, to egzamin był już przyjacielską rozmową i w takiej atmosferze stres egzaminacyjny minął. Zastanawiałem się, dlaczego pani Egzaminatorka tak mnie potraktowała. Władysław IV – męskie liceum – było wtedy znane jako dobra szkoła, ale przypuszczam, że był jeszcze inny powód. Po latach dowiedziałem się jaki to był powód. W budynku Władysława IV przed rokiem 1949 funkcjonowała kaźnia NKWD, w której prowadzono przesłuchania „wrogów ludu” i ich unieszkodliwiano. Pani

S.W. mogła o tym wiedzieć i to również mogło wpłynąć na atmosferę egzaminu. Mniej przyjemne spotkanie z fizyką miałem po drugim semestrze. Kończąc pisanie egzaminu schowałem do kieszeni ściągawkę ze wzorami. Bystre oko pani Profesor ten ruch zoczyło i było po egzaminie. Wakacje miałem rozwalone. Uważam, że pani Profesor była dobrym obserwatorem. Przypuszczam, że Bożena Skowrońska mogłaby to potwierdzić. Pocieszeniem były ćwiczenia z fizyki. Prowadziła je w niewielkich grupach pani Bożena Puchalska – Hibner. Miała ładną twarz, głos nieco ostry i przerwę pomiędzy zębami, co dodawało Jej uroku. Ćwiczenia były interesujące i prowadzone w przyjacielskiej atmosferze.

Pamiętam dwa wydarzenia spod szyldu „Gabinet Marksizmu - Leninizmu”. Wykład prof. Berlera na temat Komuny Paryskiej. Prelekcja była wspaniała, ujmująca i bogata w treści. Profesor dostał zasłużone brawa i głośne pochwały. Z czasem jednak usłyszałem, że wyemigrował z Polski do USA i tam podobno pracował w propagandzie antykomunistycznej. Może to tylko plotka?

Dodatkowo mieliśmy zajęcia w małych grupach z panią Lektorką. Temat - NEP w Rosji. Ta nowa polityka ekonomiczna polegała między innymi na ściągnięciu inwestorów z zagranicy. W ciągu trzech miesięcy ich działalność gospodarcza spowodowała, że chleb w Rosji stał się ogólnodostępny. Z czasem wprowadzono tzw „komunizm wojenny” i wszystkie przedsiębiorstwa znacjonalizowano. System ten trwał długie lata. Ktoś z naszej grupy zadał pytanie, dlaczego ten komunizm wojenny tak długo trwał? Odpowiedź dostaliśmy prostą, że trwał „siłą bezwładności”.

Rysunku technicznego uczył nas prof. Wocjan. Ćwiczenia prowadził pan Matla, a później pan Niemira. Ten drugi dał nam do narysowania i zwymiarowania model pompy o kształcie ślimaka. Praca była trudna, a czasu mało. Robiąc odręczny szkic modelu pompy zauważyłem, że obok w szafce zamkniętej na kłódkę wystają jakieś rysunki. Jakaż była moja radość, gdy wśród tych nadmiarowych rysunków zobaczyłem gotowy rysunek pompy. Rysunek łatwo dał się wyciągnąć. Ubyło dużo pracy, ale gdy przyniosłem mój przerysowany rysunek, to pan Niemira poprosił o szkic początkowy. Niestety musiałem dodatkowo wykonać go na papierze pakowym i okazać, ale to było już łatwe.

W trakcie egzaminu z Podstaw Elektrotechniki u pana S. Bolkowskiego do pomieszczenia wszedł prof. Kotowski. Usiadł obok i przysłuchiwał się moim odpowiedziom, a następnie zadał pytanie: co pan sądzi o przenikalności elektrycznej – ϵ_0 ? Speszony, zacząłem odpowiadać, wydaje się sensownie, ale dzisiaj nie byłbym w stanie tych wywodów powtórzyć. Profesor na koniec powiedział: tak to sobie pan wyobraża? Podziękował i wyszedł. Egzamin zdałem.

Wykłady z Mechaniki kojarzą mi się z ruchliwym, dowcipnym prof. Kazimierzem Zarankiewiczem. Biegał przy tablicy i cały czas mówił, w kącikach jego ust pokazywała się biała plamka, często opowiadał dowcipy. Jeden z nich przytoczę: - „Jeżeli ktoś zwróci się do państwa z prośbą o pomiary ilości wody płynącej w rzece, na której planuje wybudować młyn lub elektrownię, to bezwzględnie zażądajcie, aby przysłał po was bryczkę.” W tamtych czasach było to dla mnie zaskakujące.

Każda sobota była zajęta przez szkolenie w Studium Wojskowym. Umundurowani w wojskowe sorty, nie zawsze dobrze dopasowane i nie zawsze świeże, mieliśmy zajęcia na sali lub w terenie. Na sali wykładowcy uczyli nas o broni pojedynczego strzelca, o taktyce i regulaminach wojskowych. Wykładowcy reprezentowali różny poziom pedagogicznych zdolności. Pułkownik Zielonka usiłował nauczyć nas kierowania ogniem armat. Starszy Pan bardzo się denerwował, gdy nie byliśmy w stanie szybko wydawać rozkazów poprawnego przeniesienia ognia na cel, a swoje niezadowolenie wyrażał w ostrych wojskowych słowach. Ćwiczenia na polu odbywały się zwykle w sezonie zimowym. Gdy podczas wykładu staliśmy w szeregu, marzły nam ręce i nogi. Którejś zimy odmroziłem sobie piętę, bo włożyłem nie „moje” buty. Był potem kłopot przez kilka lat. Często po zajęciach polowych wracaliśmy do budynku na wykład. Zmarznięci żołnierze siadali w tylnych ławkach, aby można było odpocząć maskując się od wykładowcy stertą zdjętych płaszczy. Zmęczonych często niestety budziło chrapanie.

Życie studenckie

Pierwsze lata. W czasie studiów mieszkałem w Zielonce pod Warszawą. Przed wojną moi Rodzice mieli tam nowy dom z pięknym ogrodem, za który w sierpniu 1939 spłacili ostatnią ratę kredytu. W roku 1944 Niemcy nas wypędzili i przez płonąca Warszawę i obóz w Pruszkowie wywieźli na wieś w okolicy Końskich. Po wyzwoleniu wróciliśmy do Zielonki, gdzie zastaliśmy dom całkowicie zniszczony przez wyzwolicieli. Znowu trzeba było startować praktycznie od zera. Dostaliśmy mieszkanie kwaterunkowe, które Rodzice musieli wyremontować.

W czasie studiów poznałem Janusza Tomickiego. Okazało się, że mieszka On w domu swojej Babcy, położonym niedaleko naszego mieszkania. Od drugiego semestru staliśmy się nierozłączni. Janusz miał własny mały pokój, w którym razem mogliśmy się uczyć. Wspominam Jego życzliwą Babcie, która zasilala nas dobrymi obiadami i różnymi łakociami. Robiliśmy przerwy w nauce i udawaliśmy się na pobliski Czarny Staw. Jest to duże jezioro o brązowej wodzie (borowina), otoczone lasem i pagórkami z czystego żółtego piasku. Kąpiel i plażowanie dobrze robiło na spuchnięte

głowy. To urocze miejsce było również znane dwóm Koleżankom z naszego roku.

Na Politechnikę jeździliśmy zwykle razem, a podróże zabierały dziennie średnio ponad dwie godziny. Musieliśmy korzystać ze stołówki studenckiej przy ul. Koszykowej. Nie była ona jadłodajnią przyjazną. Już przy drzwiach studentów witał zapach, który odbierał apetyt. Dodatkowo asortyment dań był ubogi i dość jednolity. To wyżywienie nie zaspokajało potrzeb organizmu przy tak wyłożonej pracy. Na drugim roku mieliśmy zajęcia po dziesięć godzin dziennie z jedną przerwą obiadową. Jako student poczułem się dorosłym i jak inni paliłem papierosy. Doszło do sytuacji, że po wejściu na drugie piętro w gmachu głównym dyszałem jak starzec. Odwiedziłem gabinet lekarski. Pan doktor osłuchał mnie i patrząc prosto w oczy spytał: pan pali? Przyznałem, że tak. Rzekł, dziękuję. Pytam, co to znaczy? Odpowiedź była prosta – jak pan przestanie palić, to wtedy proszę przyjść. Całe szczęście, że doktor był szczery, a ja z bólem pokonywałem nałóg. Ten proces nie był łatwy. Trzeba było zmienić podejście do życia.

Zabrałem się za uprawianie sportu. Zaczęło się od pływania w „Spójni”, gdzie ze Zdzichem Kupcem ćwiczyliśmy wyczynowo pływanie. Treningi zabierały dużo czasu i były dla mnie zbyt mordercze. Zamieniłem je na wiosłowanie w MDK na Wale Miedzeszyńskim, gdzie zimą ćwiczyliśmy na basenie, a latem na szalupach na Wiśle. Tam spotkałem kolegów, którzy namówili mnie na pływanie pod wodą.



Na szalupie w MDK



Kurs płetwonurkowania

Tak zaczęła się jedna z przygód mojego życia. Zapisalem się do Ligi Przyjaciół Żołnierza na kurs pływania podwodnego. Obejmował on szkolenie teoretyczne, jak i pływanie w wielu basenach w Warszawie. Specjalny egzamin dał mi uprawnienia instruktorskie i możliwości wyjazdu na obozy, na których szkoliliśmy poborowych do wojska. Spotkałem tam nowych przyjaciół, z którymi do dziś mamy kontakt. Potwierdzeniem tego jest wspólne pływanie pod wodą na rafie Morza Czerwonego w roku 2006 (spotkanie po 50 latach) oraz wyprawa jachtem po archipelagu Seszele – rok 2008. Były jeszcze wyprawy kajakami po jeziorach mazurskich i szlakiem Krutyni. Na jednej z wypraw obozowaliśmy w namiotach na terenie Ruciane – Guzianka. Były to dla studentów biedne czasy i brakowało nam pieniędzy na jedzenie oraz na powrót do domu. Na szczęście obok była stołówka Ośrodka Bankowców. Znajomości z obsługą pozwoliły nam przetrwać trudny czas, bo zapraszali nas na darmową zupę w wazach. Śniadania i kolacje robiliśmy sami na bazie produktów zebranych w okolicznych ogródkach (cebula i owoce), a chleb dostawaliśmy w PTTKu, gdzie pracowały młode dziewczyny. Z Rucianego robiliśmy wypadki w różne strony. Na zaproszenie znanego polskiego żeglarza ogłoszone na rynku przy fontannie w Mikołajkach o treści: „Rzymianie i prostytutki - na Czarciej Wyspie zapłoncie ognisko”, popłynęliśmy na tę wyspę. Nocny powrót dwoma kajakami z postawionymi żaglami przy prawie sztormowej pogodzie na Śniardwach był, z perspektywy czasu, głupotą. Do domu wróciłem autobusem za pożyczone pieniądze od ojca kolegi, który przyjechał do Mikołajek na urlop.

Wykopki. W trzecim semestrze zmobilizowano nas i w ubraniach wojskowych pociągiem towarowym wyjechaliśmy w okolice Braniewa na wykopki do PGR-u. Był październik i szron już pokrywał pola. Na miejscu przywitał nas dyrektor i poprowadził na kwaterę w dużym budynku. Idąc zaglądaliśmy do pomieszczeń. W jednym zauważyliśmy na podłodze rozesłaną słomę, niesamowity bałagan i brud. Ktoś z naszych zadał pytanie: Tu mieszkają ludzie? Dyrektor odpowiedział: „Nie – traktorzyści”. Praca nasza polegała na wybieraniu do koszy ziemniaków wcześniej wykopanych przez maszynę, a z czasem przysypanych ziemią. Zbiory zależne były od rzetelności zbieraczy i od panujących warunków klimatycznych.

W drugim tygodniu wrywaliśmy buraki cukrowe. Ta praca była utrapieniem. Buraki trzeba było ciągnąć za zmarznięte liście, wyrwać z ziemi i specjalnym tasakiem odciąć korzeń. Nie mieliśmy rękawic. Robiliśmy to trzymając burak przez kieszeń w płaszczu wojskowym. Praca była mało wydajna, a straty w zbiorach duże. Wyżywienie przygotowywała nam kucharka. Pochodziła z Rembertowa, więc cieszyliśmy się jej sympatią. Na śniadania serwowała kawę zbożową z mlekiem, która często miała dziwny smak. Okazało się, że woda do kawy czerpana była ze studni, do

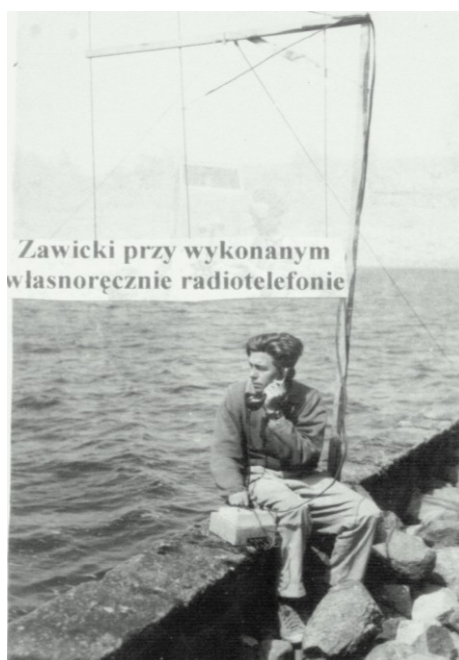
której na powierzchni ziemi dopływała gnojowica. Z dyrektorem mieliśmy różnicę zdań na temat pracy w niedzielę. Jego zasada była: „Kto nie robotajet, tot nie kuszajet”. My mieliśmy inne zdanie i po dyskusji, w czasie której w rękach mieliśmy noże do obcinania braków, ustąpił – wyrażając zgodę na nasze postulaty. W naszej sypialni prowadzono dysputy na różne tematy, padały różne argumenty. Zapamiętałem jedną konkluzję sporu pomiędzy dwoma dyskutantami: „Gdybyś był tak wysoki, jak jesteś głupi, to mógłbyś podawać piwo na księżyc”. Było ostro, ale zasłyszane „przyjacielskie” rozmowy miejscowych były nieporównywalne z naszymi.

Światowy Festiwal Młodzieży. Po drugim roku mieliśmy jechać na obóz wojskowy, ale ta propagandowa impreza spowodowała odwołanie naszych ćwiczeń. Zgłosiłem się do obsługi i zostałem skierowany do kwatery chińskiej, gdzie pilotowałem czeskie autobusy, które przyjechały do Warszawy na czas Festiwalu. Wyjeżdżaliśmy na występy z różnymi grupami artystów chińskich. Miałem możliwość oglądać ich pokazy, które obejmowały sztukę cyrkową, tańce smoków, tańce zespołów i śpiewy chórów pięknych dziewcząt chińskich. Były to wspaniałe dwa tygodnie po okresie egzaminów i wytężonej pracy na PW. Dodatkowo obiady w stołówce, gdzie kotlety schabowe i inne mięsa były serwowane każdego dnia, co poprawiało kondycję pracujących w bazie studentów. Były też trudne chwile, gdy chińskie służby miały do mnie pretensje o jakieś przeoczenie, ale po piskliwych okrzykach Chińczyków udało się tłumaczowi sprawę załagodzić.

Praktyki. Mieliśmy trzy. Praktykę w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, można uznać jako zapoznawczą. Zwiedzaliśmy hale produkcji samochodów, okoliczne tereny oraz rozdzielnie. Najlepiej pamiętam sytuację, gdy siedzieliśmy w celkach nowej rozdzielni i czasami czyściliśmy papierem ściernym noże odłączników. Panowie, którzy opiekowali się nami, zaproponowali nam pracę płatną w godzinach popołudniowych. Ciągnęliśmy kabel z bębna ustawionego nad wykopem. Praca była mało ciekawa, ale finansowo opłacalna.

Następne praktyki mieliśmy razem z Ignacem Zawickim. Zatrudniono nas jako „mierników” w Katedrze Geodezji Wyższej PW do obsługi urządzenia elektronicznego mierzącego temperaturę powietrza na różnych wysokościach. Prace przy pomiarach były monotonne, wielogodzinne, ale dochodowe. Wyniki z pomiarów wykorzystywano w pracach doktorskich geodetów. Pracowaliśmy w Trębkach na drodze prowadzącej do Płocka. Obserwowaliśmy życie na wsi, podziwialiśmy okoliczne piękne wąwozy prowadzące do Wisły. Byliśmy świadkami śmiertelnego porażenia piorunem rolnika, który pracował w bliskiej odległości od naszego stanowiska. To nie było moje pierwsze spotkanie z piorunami.

W następnym roku wyjechaliśmy z aparaturą pomiarową do Trzebieży. Geodeci prowadzili obserwacje przez kanał Szczeciński, a my mieszkaliśmy w namiocie obok naszego stanowiska. Do komunikacji przez kanał Ignacy wykonał telefon dipolowy. Miło wspominały wizytę geodety z Drezna, zaproszonego przez naszych mocodawców. Z tej okazji zorganizowano kolację na wyspie, gdzie serwowano świeżą rybę prosto z wędzarni i „wyborową”. Gość przesadnie zachwycał się poczęstunkiem, a dla praktykantów to był rarytas w tamtych trudnych czasach.



Trzebież – uzbrajanie stanowiska pomiarowego oraz Ignac na drugim brzegu kanału

Obóz wojskowy. Lipiec w Morągu był wyjątkowo upalny. W starych koszarach poniemieckich było duszno i smrodliwie. Niektórzy ironizując szli na spacer z „psem” po korytarzu, czyli ciągnąc pas wojskowy uderzający sprzączką o kamienną podłogę. Życie nie było łatwe, służba na korytarzu, ćwiczenia lub prace dyscyplinujące poza kolejką. Kapral, który traktował nas jak poborowych, dawał nam w kość. Ta „fala” trwała do czasu, aż w dogodnej chwili kilku kolegów otoczyło tego ciemiężcę, a Janek Lelito spokojnie acz stanowczo wytłumaczył mu, że do nas można lepiej trafić przez głowę niż komendą „czołgaj się”. Krąg, który otoczył kaprala, wyglądał groźnie i chyba dlatego rozmowa poskutkowałą.

Pamiętacie długie marsze ze śpiewem lub bieg kilkukilometry z częściami rozłożonego cekaemu na plecach? Mnie kiedyś do biegu uzbrojono w kółka CKMu. U celu biegu same spadły z mych ramion, nie

mogłem wypowiedzieć ani słowa, a mundur na plecach był biały od soli. Te ćwiczenia prowadził porucznik o pseudonimie „Glizda.” Z nim trudno było dyskutować, był „patriotą ludowym”. Na trasie naszego ataku była struga wodna i jeśli ktoś chciał ją ominąć, to porucznik zawracał go, aby wszedł do wody. W niedzielę poszliśmy wykąpać się w jeziorze. Po kąpieli zbiórka, porucznik Glizda, po wyrównaniu szeregu, pyta: czy ktoś się utopił? A Janek Lelito melduje – kapral się utopił, bo belki pływają. Istotnie w wodzie pływało kilka bali drewnianych. Porucznik zachował marsową twarz.

Wchodząc do budynku stołówki napotykało się na strefę zagazowanego korytarza.. Był to smród wymiotny, który wydobywał się z piwnicy. Tam w magazynach przechowywano między innymi kwaszoną kapustę, która z pewnością była zepsuta. Odcinek tego korytarza przebiegaliśmy biegiem zatykając nos. Przy stołach serwowano produkty z piwnicznych magazynów. Często jedliśmy śledzie solone, prosto z beczki. Monotonia tego dania stała się przyczyną agresji. Tazio Niepokulczycki strzelił niedojedzonym śledziem w kolegów przy sąsiednim stole. I zaczęło się. Rybki fruwały lądując na suficie, a rykoszety na stołach i mundurach innych wojaków. Charakterystyczny śmiech Tazia zagrzewał do walki. Po wyczerpaniu amunicji obraz pobojowiska był imponujący, ale rannych nie było. W końcowych dniach podano na śniadanie smalec do wojskowego chlebka. Była to jakaś odmiana. Gdy zajadaliśmy te wojskowe kanapki, ktoś, kto miał dobry wzrok, podniósł alarm. Okazało się, że na białym smalcu trudno było zauważyć małe białe robaki. Trzeba było dobrze się przyglądać, aby dostrzec małe poruszające się czarne główki. Dobre początkowo kanapki stały się niejadliwe. Dzień powrotu do domu chyba wszyscy uznali za dzień szczęśliwy.

Góry zimą. Jazda na nartach to sport, który uprawiam od szkoły średniej. Widoki, radość prędkości, ruch na świeżym powietrzu oraz spotkania z przyjaciółmi, to są zalety tego szaleństwa. Zmobilizowana dobrowolnie grupa studentów jechała pociągiem do Zakopanego. Dalej autobusem do Kuźnic, skąd z pełnym plecakiem i z nartami wspinaliśmy się przez Boczań lub Dolinę Jaworzynki na Hale Gąsienicową do Murowańca. Mieszkaliśmy w sali o kształcie trumny, o ścianach wyłożonych boazerią, mieszczącą około 40 łóżek. Był to hotel dla biednych ludzi, a do takich zaliczali się studenci. Dzisiaj ta sala już nie istnieje, bo zniszczył ją pożar. Na Hali nie było wyciągów. Jak się chciało zjechać, to najpierw trzeba było wejść do stóp Kotła Kasprowego. Miejscówki na kolejkę praktycznie były dla nas niedostępne. Towarzyskie życie w Murowańcu kwitło. Z naszego roku spotkałem Włodka Winiarskiego i Zygmunta Warszę. Podczas niepogody zorganizowaliśmy turniej brydżowy. Były licytacje i głośne rozgrywki na kilku stolikach. Z Włodkiem wygraliśmy ten turniej. Zygmunt protestował. Często nasze fundusze były wyjątkowo skromne, musieliśmy

„waletować w trumnie”, spaliśmy na podłodze pomiędzy łózkami zamożniejszych przyjaciół.

Kierownictwo Murowańca było bardzo tolerancyjne, ale kiedy waletowiczów było zbyt dużo, to rozpuszczało plotkę, że dziś w nocy będzie kontrola. Zygmunt i ja znaleźliśmy się w takiej sytuacji i z trumny na noc przenieśliśmy się do szałasów zwanego Księżówką. Spaliśmy na pryczy wysłanej słomą razem z dwoma znajomymi. Było zimno, bo nie było ogrzewania, a nieszczelne okna skutecznie wentylowały pomieszczenie. Każdy nałożył na siebie co miał, zwłaszcza imponujące były szlafmyce. Zimno nas nie usypiało, toteż opowiadanie kawałów prawie do rana dawało poczucie sukcesu w tej biedzie i nikt z nas nie zamarzał.

Do dzisiaj pozostała mi chęć i kondycja do jazdy na deskach. Teraz nawet dla wiekowych narciarzy jest dużo łatwiej, bo porównanie obecnego sprzętu narciarskiego do tego z czasów studenckich, to przepaść. Dzisiejsze narty „same skręcają” bez większego wysiłku narciarza. Dlatego każdego roku z Januszem Adamczykiem jedziemy szusować, ale teraz tylko blisko – do Szczyrku lub Krynicy, bo w Alpy to zbyt daleka podróż.



Odoczynek przy szałasie, Jazda na Halę Gąsienicową

Góry latem. Po trzecim roku Janusz Tomicki zarządził wyjazd do Zakopanego. Zamieszkaliśmy w Kirach u gazdów, znajomych mamy Janusza. Piękny wrzesień sprzyjał wypadom do z góry ustalonych miejsc, aby podziwiać tatrzańską przyrodę. W pierwszą wyprawę wyruszyliśmy do schroniska Ornak, a dalej przez Tomanową na Czerwone Wierchy. Na szlaku trafiliśmy na wopistów. Mieliśmy zaświadczenie z Politechniki, że udajemy się do Zakopanego. Władczy żołnierz zauważył, że w zaświadczeniu nie wymieniono strefy przygranicznej i miejsca gdzie jesteśmy. Na naszą uwagę, że w rubryce zaświadczenia by się nie zmieściło, schował nasze dokumenty i ostro powiedział: jak posprzątaacie nasze koszary to się zmieści. Posłuszni czekaliśmy na rozkaz wymarszu do koszar. Na szczęście nadeszła grupa turystów, którzy w dokumentach również mieli te same braki. Chyba było zbyt dużo osób do sprzątnięcia koszar i wojsko zrezygnowało z naszych usług. Było późno, więc nie

dochodząc do Czerwonych Wierchów wróciliśmy do domu. W następnych dniach zaliczyliśmy Gubałówkę i Giewont.

W piękny, słoneczny dzień, z aparatem fotograficznym w plecaku wybraliśmy się do schroniska nad Morskim Okiem. Przy Wodogrzmotach Mickiewicza zbieraliśmy maliny, a późnym popołudniem już w schronisku jedliśmy obiadokolację. Spaliśmy na koedukacyjnych pryczach po dziesięć osób w rzędzie. Noc była niespokojna, bo pchły dokuczały. Z czerwonymi plamkami w różnych miejscach na ciele ruszyliśmy rano przez Świstówkę do Doliny Pięciu Stawów. W schronisku zjedliśmy obiad i szybko ruszyliśmy w drogę, licząc, że przenocujemy w Murowańcu na Hali Gąsienicowej. Na Zawracie spotkał nas śnieg, lód i zimny wiatr. Byliśmy w krótkich spodniach, trampkach, swetrach i bez prowiantu. Zachęceni przez starsze od nas małżeństwo ruszyliśmy w dół. Niespodziewana zima dała nam w kość. Zmarznięci, głodni, ale szczęśliwi pokonaliśmy Zawrat. Zmieniliśmy nasz plan – zamiast do Murowańca, ruszyliśmy na Kasprowy do kolejki. Na „optykę” wydawało się bliżej i że łatwiej jest iść pod górę niż na dół. Im byliśmy wyżej, tym robiło się nieprzyjemnej, bo pojawiła się mgła, która szybko gęstniała. W takich warunkach trudno było o utrzymanie kierunku – już nie marszu, ale człapania. Zmęczenie, głód, gęsta zimna mgła oraz brak widoku upragnionego celu pogłębiał nasze złe samopoczucie. Doszło do stanu, gdy usiadłem na kamieniu i nie byłem w stanie dalej iść, ale gdzie tu iść, kiedy straciliśmy orientację w terenie. Janusz był mocniejszy i mobilizował mnie. Nie pamiętam ile czasu walczyliśmy ze swoimi słabościami, ale z mgły wyłonił się wopista. Okazało się, że byliśmy tuż przy grani około 300m od stacji kolejki na Kasprowym. Nowe siły w nas wstąpiły, bo żołnierz doprowadził nas do restauracji przy stacji kolejki. Musieliśmy wyglądać tragicznie, bo wstrzymali odjazd kolejki, a na stole postawiono dwa talerze darmowego rosółu z kawałkami wołowiny. Podniesieni na duchu i ogrzani zjechaliśmy kolejką, a dalej autobusem do domu w Kirach – ile to trwało nie pamiętam. Następne trzy doby praktycznie tylko spaliśmy. Gaździnka zaglądała do naszego pokoju i sprawdzała, czy żyjemy i zachęcała nas abyśmy zjedli „jajeczniczkę”. Byliśmy uratowani, ale od tego wypadku nabrałem szacunku i pokory dla gór.

Lato 1958. Janusz Tomicki jadąc pociągiem spotkał przypadkowych ludzi. W czasie przyjacielskiej rozmowy poruszony został temat żeglarstwa. W konkluzji zaproponowali Januszowi użyczenie ich własnej żaglówki oraz mieszkania w Stargardzie Szczecińskim, a także lokum na przystani nad jeziorem Miedwie. Okazja była wyjątkowa, bo zbliżały się ostatnie długie wakacje, które trzeba było sportowo wykorzystać. Z Kaziem, kolegą z Władysława IV, pojechaliśmy jako pierwsi. Janusz miał przyjechać nad Miedwie za tydzień. Na miejscu przywitani nas wyjątkowo życzliwi ludzie.

Dostaliśmy żaglówkę, namiot i pokój na przystani. Miedwie, to długie Jezioro (ok. 20 km) z wodą przejrzystą i dużą ilością ryb. Mieliśmy maski, fajki i płetwy oraz ościenie długości 3 m, które sami sobie zrobiliśmy.



Kemping nad Miedwiem – pertraktujemy z panią od dystrybucji o przydział desek dla przystani, Miedwie – udany połów

Z Kaziem wypłynęliśmy na jezioro, bo pogoda sprzyjała żeglowaniu. Szukając ryb buszowaliśmy po przybrzeżnych trzcinach i dopływach rzecznych. Woda była dość ciepła, więc pływało się zwykle do 0,5 godziny, zanim organizm zasignalizował, że zmarzł. Objawem były drgające szczęki nie do pohamowania. Połowy były wydajne i pozwalały zapewnić prowiant na smażone obiady i kolacje. Wypływaliśmy daleko od przystani w poszukiwaniu dobrych łowisk i tam nocowaliśmy w namiocie. Polowania dawały dużo emocji i obserwacji piękna podwodnej przyrody. Często zauważałem, że małe szczupaki w pozycji pionowej były przytulone do łodyg trzciny. Ta pozycja broniła je przed tatusiami-kanibalami. W trzcinach ościeniem trafiłem średniego szczupaka, ale jednocześnie duży szczupak też go upolował i zaczął ciągnąć w swoją stronę. Byłem mocniejszy. Szybko minął tydzień i nadszedł czas przyjazdu Janusza w godzinach przedpołudniowych. Pogoda była piękna i bezwietrzna. Powrót do portu udało się osiągnąć z czterogodzinnym opóźnieniem. Okazało się, że Janusz, będąc posiadaczem karty pływackiej, wynajął kajak dwóm dziewczynom ze Szczecina. Ten przypadek miał dla mnie zasadnicze znaczenie w dalszym życiu. Trzy lata później jedna z dziewczyn z kajaka została moją żoną. Z osobami ze Stargardu mieliśmy przyjacielskie kontakty przez wiele lat. Ostatnio z żoną odwiedziliśmy ich groby w Stargardzie Szczecińskim.

W czasie tamtych wakacji przenieśliśmy się jeszcze do Tucholi, ale tu woda była nieprzyjazna do polowań pod wodą. Dalej trafiliśmy do Sopotu. Namiot ustawiliśmy na plaży przed Grand Hotelem i pływaliliśmy w okolicznych wodach. Na obiady często chodziliśmy nie do Hotelu, ale do ojca Janusza w Sopocie. Korzystaliśmy z dobrego wyżywienia, więc nabraliśmy chęci do polowania nawet w zimnych morskich wodach. Wyprawa do Zatoki Puckiej nie przyniosła dobrych rezultatów materialnych, ale niesamowite przeżycia myśliwskie. W trzcinach spotkałem największego szczupaka w swoim życiu. Trafiłem go ościeniem, ale on był tak silny, że zaczął ciągnąć mnie po trzcinach. Po kilku metrach urwał się z mojej dzidy, a ja zostałem z mocno porysowanym torsem.

Spotkania z piorunami. W Zielonce mieszkaliśmy w domu stojącym na górcie, a sieć zasilająca była doprowadzona na drewnianych słupach. W czasie burz wyładowania elektryczne były wyjątkowo częste i bliskie. Pewnego dnia siedzieliśmy przy stole i kończyliśmy jeść obiad, kiedy rozszalała się burza. Zdażyliśmy wstać od stołu, kiedy po sieci wleciał z hukiem piorun do naszego mieszkania. Zniszczył rozetę porcelanową z bezpiecznikami przy wejściu, a jakaś jego część wyleciała z gniazdka sieciowego tuż obok stołu obiadowego i zrobiła czarną rysę na ścianie. Byliśmy oddaleni około dwóch metrów od ściany i nie doznaliśmy żadnych obrażeń. Tylko huk, dym i zapach spalenizny wypełnił nasze mieszkanie.

Położyłem się do łóżka, było ciemno, gdy nadeszła burza. Nagle nad moim łóżkiem pojawił się bezszmerowo piorun kulisty wielkości bańki mydlanej o średnicy około 10 cm. Wolno oddalał się w kierunku piecyka metalowego w kącie pokoju i tam eksplodował powodując huk, dym i wywołując moich rodziców z sąsiedniego pokoju. Tym razem obyło się bez strat materialnych i nie było uszkodzonych.

O innym podobnym wypadku wspomniałem wcześniej, który miał miejsce w czasie praktyki wakacyjnej w Trębkach. Stanowisko pomiarowe mieliśmy ustawione przy drodze i obsługiwałem je razem z Ignacem. Obok na polu kosił trawę rolnik. Był od nas oddalony o około 100 m. Słoneczny dzień został zakłócony nadejściem małej chmurki, z której niespodziewany piorun trafił prosto w rolnika. Podbiegliśmy do leżącego na polu, ale zmasakrowana twarz, nasza wiedza o pierwszej pomocy oraz niemożność wezwania fachowej pomocy prawdopodobnie przesądziła sprawę życia porażonego.

22 lipca 1966, trzy miesiące po urodzeniu się naszej córki, pojechaliśmy z kolegami na Mazury do Zgonu. Pożyczoną „omegą” wypłynęliśmy na Jezioro Mokre. Żeglarska pogoda popędziła łódkę na drugi koniec jeziora. Nadciągnęła burza, zaczął padać deszcz, co zmusiło nas do szukania schronienia na brzegu pod dachem. Niedaleko był mostek i wszyscy pobiegli w tym kierunku. Ja szedłem ostatni. Gdy stanąłem pod

liściastym drzewem uderzył w nie piorun. Do wysokości mojej głowy zerwał pas kory, a potem „miotelka” przeszła po mnie. Rzuciło mnie na 2 - metrowy krzak, z którego zsunąłem się głową w dół na potłuczone butelki leżące na brzegu jeziora. Na szczęście któryś z kolegów zauważył moje sandały na nogach dziwnie zaczepione na krzaku. Byłem nieprzytomny i siniejący. Przygodni ludzie pod mostkiem proponowali zakopać mnie do ziemi, ale moi koledzy z Wydziału Technologicznego PW przystąpili do reanimacji, bo nie miałem pulsu i oddechu. Z reanimacją były kłopoty, bo funkcje życiowe zanikały i trzeba było zaczynać od początku. Przychylny nieznamy właściciel syrenki, zawiózł nas do szpitala w Pisz. Był to trudny transport, bo byłem nieprzytomny, serce źle pracowało i trzeba było je pobudzać. Na drugi dzień oprzytomniałem w szpitalnym łóżku. Rokowania lekarskie nie były ciekawe. Ale po trzech dniach dochodziłem do równowagi. Dowiedziałem się, że moja koszula oraz spodnie są podziurawione przez ogień i mam na ciele ślady poparzeń. Jakież było zdziwienie znajomego lekarza, który pracował w szpitalu, gdy po kilku dniach wstałem z łóżka. Do Pisz przyjechała żona, a później moja siostra, która została na okres mojego pobytu w szpitalu i serwowała mi posiłki wzmacniające. Chyba po dwóch tygodniach wróciliśmy autobusem do Warszawy. Z opowiadań i analizy tego wypadku mogę stwierdzić, że miałem dużo szczęścia i wyjątkowo rozsądnych Przyjaciół. Przesolona koszula na skutek panującego upału spowodowała, że wyładowanie rozwinęło się po ubraniu. Dodatkowo w pracy często miałem bezpośrednie spotkania z napięciem, co mogło powodować bardziej tolerancyjną reakcję organizmu na prąd od pioruna. Wydaje się, że w tym wypadku został mi przetrącony kręgosłup szyjny, ale dolegliwości zacząłem odczuwać dopiero po wielu latach.

Praca dyplomowa i praca zawodowa.

We wrześniu 1958 prof. Stefan Lebson jako opiekun naszej sekcji – Budowa Przyrządów Pomiarowych – zaproponował mi pracę w Zakładzie Techniki Świetlnej Instytutu Elektrotechniki u prof. Tadeusza Oleszyńskiego. W październiku już pracowałem. Dojazdy z Zielonki do Międzyzlesia były uciążliwe, ale przyjacielskie stosunki w pracy i ciekawe tematy rekompensowały te niedogodności. Prof. Oleszyński i prof. Lebson, którzy byli z sobą w dobrej komitywie i po każdej Radzie Naukowej na PW obowiązkowo szli na obiad do pobliskiej restauracji, zaproponowali mi temat pracy dyplomowej: „Opracowanie metody pomiaru strumienia świetlnego i ilości światła ksenonowych lamp błyskowych”. Był to temat zlecony do Instytutu przez zakład przemysłowy. Tym sposobem miałem pracę i wykonywałem pracę dyplomową, która była użyteczna dla

przemysłu. Część pomiarów wykonywałem w Pałacu Staszica, ponieważ prof. Lebson dysponował tam przyzwoitym oscyloskopem.

W czerwcu 1959 przystąpiłem do egzaminu dyplomowego. Pierwsze pytanie, po omówieniu wykonanej pracy, zadaje prof. Figurzyński: "Pan, pracujący w technice świetlnej, powinien wiedzieć, co się dzieje w prostowniku rtęciowym, gdy patrzymy przez wziernik i widzimy zmianę koloru łuku". Zadrżałem, bo o prostownikach niewiele wiedziałem. Gdy ochłonąłem, dotarło do mnie, że w pytaniu jest podpowiedź. Stwierdziłem, że zachodzi zmiana barwy światła skutkiem zmiany orbity elektronów w atomach rtęci. Obserwując twarze członków komisji zauważyłem, że wybrnąłem z trudnej sytuacji. Dalej egzamin przebiegał bez komplikacji i tak zostałem magistrem inżynierem elektrykiem o specjalności „Budowa Przyrządów Pomiarowych”, będąc na etacie w Zakładzie Techniki Świetlnej Instytutu Elektrotechniki.



Zakład Techniki Świetlnej

Budynki, różnych zakładów specjalistycznych Instytutu Elektrotechniki były położone w lesie na dużym obszarze. Ich budowa i podstawowe wyposażenie dostosowane było do specjalistycznej tematyki badawczej. Goście zagraniczni, którzy odwiedzali Instytut, stwierdzali, że to jest „sanatorium”. Zakład Techniki Świetlnej posiadał hale z obrotowym ramieniem gonio-fotometru o długości 7,5 metra do wyznaczania krzywych światłości opraw oświetleniowych o długości do 1,5 m (świetlówki). Do fotometrowania projektorów dużej mocy wybudowano korytarz 30 metrów z przesłonami zakończony podstawą obrotową. Kula murowana o średnicy 3 metrów pozwalała na pomiar strumienia świetlnego opraw o dużych

gabarytach. Ława fotometryczna o długości 5 m i kula metalowa o średnicy 2 m zainstalowane w ciemni fotometrycznej, służyły do pomiarów światłości i strumienia różnych źródeł światła. Wybudowany sztuczny nieboskłon służył do badania natężeń oświetlenia dziennego w budynkach (np. szkołach) na etapie modelu budynku.

Urządzenia zainstalowane w budynku dawały olbrzymie możliwości pomiarowe. Na zewnątrz budynku zainstalowana była głowica pomiarowa dla statystycznego określenia klimatu świetlnego w Polsce. Obok budynku był basen przeciwpożarowy, który służył jako kąpielisko dla pracowników, jak również do celów badawczych. Okna w ścianach basenu pozwalały obserwować oprawy zanurzone w wodzie. Badano między innymi szczelność prototypowych opraw oświetleniowych dla powstającego w Polsce przemysłu okrętowego.

Na terenie Instytutu pracowałem ponad dwadzieścia lat. To była prawdziwa szkoła elektrotechniki, techniki świetlnej i elektroniki. Opracowywałem różne tematy na potrzeby przemysłu oświetleniowego, dla transportu i wojska. O wybranych opracowaniach napiszę kilka zdań. W latach 1962 – 1965 pracowałem nad modelami stateczników elektronicznych do zasilania świetlówek z baterii prądu stałego o napięciach 24 V, 36 V i 54 V. Produkcję uruchomiono w ELPO we Wrocławiu. Seria na 24 V stosowana była w pulmanach produkowanych przez H. Cegielski w Poznaniu i Pafawag we Wrocławiu.

W Instytucie Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie opracowano model 1/2 wagonu tramwajowego w skali 1:1, w którym zainstalowano oprawy oświetleniowe ze statecznikami 36 V mojej konstrukcji. Produkcję tramwajów 13N uruchomiono w roku 1970 w Konstal Chorzów, a opraw w Gostyninie. Tramwaje te kursują do dnia dzisiejszego w Warszawie. Stateczniki 56V stosowane były w wagonach eksportowanych do ZSRR. Wagony te przeznaczone były dla ruchu osobowego, ale uwzględniały zasadnicze potrzeby wojska. Z ich eksploatacją było dużo kłopotu, bo różne awarie w obwodzie zasilania wagonu były widoczne jako brak oświetlenia. Na bocznicę kolejową w Instytucie Elektrotechniki sprowadzono od Cegielskiego wagon, w którym przekonstruowaliśmy wspólnie z Zakładem Trakcji cały układ zasilania przystosowując go do nowej technologii związanej z elementami półprzewodnikowymi. Za tę pracę uzyskałem patent jako współtwórca. Pragnę dodać, że system indywidualnego przekształcenia prądu stałego na przemienny do zasilania świetlówek w środkach transportu, którego byłem propagatorem, jest stosowany obecnie pomimo nacisku różnych lobby, aby stosować w wagonach przetwornicę centralną.

W początkach lat siedemdziesiątych Zakład Techniki Świetlnej został przeniesiony z Instytutu Elektrotechniki pod zarząd Zjednoczenia

POLAM i zmieniono jego nazwę na Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy POLAM. W ramach Ośrodka zostałem powołany na stanowisko Kierownika Zakładu Miernictwa Oświetleniowego. W nowej organizacji realizowałem zadania dla potrzeb przemysłu oświetleniowego. Na uwagę zasługuje lumenomierz o średnicy 1 metra wraz z pulpitem do pomiaru strumienia świetlnego żarówek samochodowych lub żarówek głównego szeregu. Urządzenie było wyposażone w nowoczesny stabilizator i automatyczne drukowanie wyników pomiarów. Kierowany przeze mnie Zespół, który opracował lumenomierz, otrzymał w konkursie „Mistrz Techniki” w roku 1974 nagrodę NOT II stopnia. Potwierdzeniem przydatności tych urządzeń był w następnych latach, ich eksport w ilości 32 sztuk. Pisząc o urządzeniach pomiarowych trzeba wspomnieć o opracowaniu i wykonaniu w zakładowym warsztacie dwóch lumenomierzy do szybkiego pomiaru strumienia świetlnego lamp rtęciowych. Były to unikatowe urządzenia o średnicy około 4 metrów, częściowo zautomatyzowane, na które uzyskano patent. Lumenomierze zakupiły: Zakład im. Róży Luksemburg w Warszawie i Tesla Hołeszwowie w Pradze.

W roku 1975 powołany zostałem na Rzecznawcę SEP w zakresie specjalności Technika Świetlna. W latach 1969–1979 byłem członkiem Komisji Normalizacyjnej ds. Techniki Świetlnej. W latach 1973–1980 pełniłem obowiązki adiunkta, Kierownika Zakładu. Wobec narastających trudności zaopatrzeniowych przy realizacji projektów, które wymagały wykonania modelu, postanowiłem odejść z Polamu.

W 1980 zacząłem pracować w prywatnym zakładzie produkującym elementy z tworzyw sztucznych. Jako wspólnik działałem w tej firmie do roku 1982. Zdecydowałem, że trzeba zacząć działać w swoim zawodzie. Namówiłem kolegę mgr inż. Z. Cichockiego, z którym razem pracowaliśmy w Instytucie, do powołania nowej spółki. W szopie na działce wykonaliśmy próżniówkę (urządzenie do formowania z folii PCV różnych kształtów), opracowaliśmy technologię i wykonaliśmy narzędzia do cięcia, klejenia, zgrzewania i zdobienia elementów, z których montowaliśmy oprawy oświetleniowe do mieszkań. Z trudnościami zalegalizowaliśmy działalność gospodarczą w ramach Spółdzielni Rzemieślniczej w Warszawie i ruszyliśmy z produkcją i sprzedażą. W końcu lat osiemdziesiątych produkowanie czegokolwiek stało się niemożliwe ze względu na braki materiałowe. Wyjściem z trudnej sytuacji okazało się przypadkowe spotkanie obcej osoby reprezentującej firmę holenderską, która poszukiwała składu celnego. Zgłosiliśmy chęć współpracy i w roku 1991 zarejestrowaliśmy nową firmę pod nazwą TOMPA działającą jako skład celny i hurtownia sprzętu oświetleniowego. Holendrzy dostarczali tirami sprzęt oświetleniowy marki Philips, a my dokonywaliśmy odpraw celnych

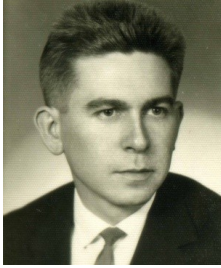
i sprzedawaliśmy towar w Polsce. Mieliśmy także odbiorców z Ukrainy. Byliśmy pierwszą hurtownią w Polsce z oświetleniem Philipsa. Utało się powiedzenie wśród naszych odbiorców, że „my wiemy co sprzedajemy”, a to z racji wiedzy jaką wynieśliśmy z pracy w Zakładzie Techniki Świetlnej. Dodać muszę, że odprawy celne były dla nas upokarzające ze względu na skomplikowane, biurokratyczne przepisy, różną ich interpretację oraz arogancję celników.

Sprzedanie Philipsowi Zakładu POLAM w Pile spowodowało, że dystrybucję w Polsce od roku 1986 przejęła Piła, a TOMPA związała się z Philipsem jako jedna z hurtowni. Dostawy od Philipsa uzupełnialiśmy importem własnym z Włoch i Belgii, korzystając z doświadczeń nabytych z prowadzenia składu celnego. Oprócz dystrybucji sprzętu, zająłem się komputerowym projektowaniem urządzeń oświetleniowych. W kolejnych latach zrealizowaliśmy znaczną ilość projektów oświetlenia biur, multipleksów kinowych, centrów handlowych, sklepów i banków. Za projekt oświetlenia Powszechnego Banku Kredytowego, zrealizowany w Łomży razem ze współpracującym architektem, uzyskałem pierwsze miejsce w ogólnopolskim Konkursie Oświetleniowym Philipsa w kategorii Oświetlenia Wnętrz.

Zbliżał się czas emerytury, a nasza praca w firmie była wielogodzinna i bardzo wyczerpująca. W połowie roku 1998 otrzymaliśmy korzystną ofertę i postanowiliśmy sprzedać naszą TOMPE francuskiej firmie o światowym zasięgu działania. W umowie pozostawiono nam kierownictwo hurtownią. Zadaniem dodatkowym było rozbudowanie filii w nowym dużym lokalu i powiększenie asortymentu o dział sprzętu elektroinstalacyjnego. Po wykonaniu tego zadania w końcu 2000 roku przeszedłem na emeryturę i jednocześnie założyłem jednoosobową firmę ELWOL w swoim mieszkaniu. Zająłem się projektowaniem urządzeń oświetleniowych. Wykorzystując znajomości w branży realizowałem dostawy zamawianego sprzętu i jego montaż w obiektach. Obecnie w dalszym ciągu prowadzę działalność gospodarczą, ale ostatnio zaczyna mi „PESEL” utrudniać pracę. Prawdopodobnie będę musiał zająć się innymi zagadnieniami, aby dalej pracą choć trochę wypełnić swoje życie. Zastanawiam się, czy nie jestem pracoholikiem?

Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że dzięki przypadkowemu spotkaniu przyjaznych mi ludzi oraz wyczerpanej pracy, która mnie interesowała i którą lubię, doszedłem do stanu, który zapewnił mojej rodzinie zadowolające życie. Podkreślić muszę, że punktem wyjściowym mojej kariery było spotkanie profesorów Stefana Lebsona i prof. Tadeusza Oleszyńskiego, którzy jakby nakreślili moją drogę zawodową, za co jestem Im wdzięczny i na zawsze będę Ich wspominał z szacunkiem.

Ignacy Zawicki



Nie tylko miernictwo

Szkoła średnia

Drogę od szkoły średniej do Politechniki wiernie opisał w swoich Okruchach Staszek Abramczyk. Obaj uczęszczaliśmy do tej samej szkoły. Mogę tylko dodać, że kilku niewymienionych tam kolegów też studiowało, na wieczorówkach, pracując jednocześnie w różnych przedsiębiorstwach. Niedawno zmarły dyrektor Instytutu Elektrotechniki, dr inż. Stefan Paradowski był również absolwentem naszej szkoły.

Naszymi nauczycielami (profesorami) przedmiotów technicznych, w tym podstaw elektrotechniki, aparatów elektrycznych, urządzeń zasilających, miernictwa elektrycznego, materiałoznawstwa... byli przedwojenni inżynierowie fabryki Szpotańskiego. Po wojnie, zakłady te, po upaństwowieniu, przemianowano na Pierwszą Państwową Fabrykę Aparatów Elektrycznych, a później Zakłady Wytwórcze Aparatury Wysokiego Napięcia. A w końcu ZWAR 3.

Szkoła nasza, gimnazjum i liceum, później przemianowana na technikum, mieściła się w dawnym biurowcu tych Zakładów (na Grochowie), a Zakład sprawował nad nią patronat. W fabryce odbywaliśmy zajęcia praktyczne (warsztaty) i praktyki wakacyjne. Drugi zakład Szpotańskiego był w Międzyzlesiu. Były tam Produkowane m.in. stacje transformatorowe dużych mocy na eksport – za pośrednictwem ELEKTRIMU lub MEGADEXu – do różnych krajów, a w szczególności krajów arabskich. Jeszcze w ZWARZE otrzymywały one tabliczki znamionowe z napisem „zdiełano w CCCP”.

Podczas „Piątego Rozbioru Polski 1990-2000” (określenie H. Pająka – autora książki o tym tytule) zakład w Międzyzlesiu został sprzedany międzynarodowej korporacji ABB. Większość zabudowań popadła w ruinę – po to prawdopodobnie został zakupiony. Dobrze, że chociaż resztki zabudowań ZWAR-u wpisano do rejestru zabytków jako: „Fabryka Aparatów Elektrycznych K. Szpotańskiego”. Były to 4 sprzężone hale produkcyjne, ul. Żegańska 1, 1900-30, nr rej.: A-448 z 8.07.2005.

Nasza nauka w gimnazjum przypadała na schyłek lat 40-tych i początek 50-tych. Okres kultu Jednostki – dla tych, którzy mogą nie

pamiętać, a mogą te słowa czytać, wyjaśniam: tą Jednostką był Józef Stalin, „Chorąży pokoju” i „Wódz postępowej ludzkości” – bliższe dane w encyklopediach. W szkole istniała organizacja ZMP (Związek Młodzieży Polskiej) przemianowana w późniejszych latach na ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej), której przewodniczącym klasowym był, ś.p., Szymon Wieromiejczyk, członek aktywny, ale nieszkodliwy. Od Szymona zapamiętałem np. to, że: „Państwo powstało tam, wtedy i o tyle, o ile przeciwieństwa klasowe nie dają się pogodzić” (Lenin). Formułka ta przydała mi się dwukrotnie na egzaminach (raz, jeszcze w szkole i po raz drugi już na uczelni). Na pytanie dotyczące czegokolwiek na temat państwa, w odpowiedzi zaczynałem: „Lenin powiedział, że, (itd., jak wyżej)” i dalej jeszcze coś tam mówiłem, ale to już było mało ważne dla komisji. Na egzaminatorach z odpowiednich przedmiotów robiło to „właściwe” wrażenie. Wynik: dobra ocena z przedmiotu.

Szkoła nasza, a w szczególności nasza klasa była w tamtym okresie oazą tolerancji i wolności. Kilku z nas, uczniów (w tym piszący te słowa) nie należało ani do ZMP ani do TPPR (Towarzystwo Przyjaźni Polsko Radzieckiej). W klasie ogólnie panowała atmosfera wzajemnej życzliwości. Nad drzwiami wejściowymi klasy wisiał krzyż, przez jakiś czas były lekcje religii w szkole, prowadzone przez księdza z parafii na Kamionku, a kiedy dyrektor szkoły pewnego dnia zarządził zdjęcie krzyża (niewątpliwie pod naciskiem czynników zewnętrznych czy tzw. odnośnych władz), delegacja kilku kolegów z klasy poszła z prośbą, aby krzyż przywrócić i dyrektor (p. Helwig o ile dobrze pamiętam nazwisko) pozwolił krzyż zawiesić. A trzeba pamiętać, że jednocześnie w tym okresie w naszym Kraju miała miejsce krucjata partii komunistycznej (PZPR) przeciw Kościołowi. Miały miejsce m.in. procesy polityczne księży i biskupów, prymas kardynał Stefan Wyszyński przetrzymywany był przez władze w odosobnieniu przez trzy lata. Mile widziani przez władze byli jedynie tzw. księża patrioci, którzy w istocie byli narzędziem mającym na celu rozbijanie jedności Kościoła katolickiego od wewnątrz. Maksymalnie ograniczono np. wydawanie pozwoleń na budowę kościołów – pozwolenie na budowę kościoła w Nowej Hucie zostało wydane po dwudziestu latach usilnych starań wiernych.

Ówczesne media krajowe przedstawiały świat i Polskę w krzywym zwierciadle. Dlatego powszechnym zjawiskiem było słuchanie, celowo silnie zagłuszanych, polskojęzycznych audycji zagranicznych. Dzięki audycjom BBC, Wolnej Europy, Głosu Ameryki, Madrytu, Paryża, wiadomo było co się dzieje na świecie i w ... Kraju. Z zaufanymi kolegami rozmawiało się więc mając informacje nie tylko z reżymowych środków przekazu.

A w szkole? Na lekcjach nieraz było wesoło. Np. fizyk, podczas lekcji o maszynach prostych wspominał też o kieracie. – „, Kto z was nie

widział kieratu?” Rękę podnosi uczeń Bąk. Nauczyciel: – „a bat widziałeś?” – „Widziałem”. – „To kierat też widziałeś”. A z kolei uczeń Cytryński: np., kiedy Babuszka, czyli nauczycielka rosyjskiego, wywoływała go po nazwisku do odpowiedzi, z końca sali krzyczał: – „nieobecny!”.

Nauczyciel chemii – to był Mendelejew, elektrotechniki – Potencjał, nauki o Polsce i świecie współczesnym – Kowboj (udawał podczas lekcji komucha), polonistka, a także historyczka w jednej osobie – to Chinka (ze względu na rysy twarzy), matematyk – Korsarz, fizyk i pozostali nie mieli (a może nie pamiętam?) nadanych przez nas przydomków.

Na temat egzaminu maturalnego nie mam dzisiaj szczegółowych wspomnień. Poszło dobrze i byłem jednym z pięciu absolwentów, którzy nie otrzymali „nakazu pracy”, a zatem mogli przystąpić do egzaminu na wyższą uczelnię.

Przebieg egzaminu wstępnego na Politechnikę nie utkwił mi zbyt w pamięci. Podczas wakacji, w lipcu i sierpniu 1953 r., tj. przed rozpoczęciem roku akademickiego, otrzymałem pracę (w charakterze kreślarza) w Fabryce Aparatury Rentgenowskiej i Urzędzeń Medycznych (FARUM), ul. Markowska 18 na Pradze. Przyjął mnie do pracy p. inż. Dobrski, profesor z Technikum, który w FARUM zajmował jedno z kierowniczych stanowisk. Wykonywałem tam, na podstawie odręcznych szkiców od mojego kierownika, p. inż. Grabowskiego (postać bardzo sympatyczna), rysunki techniczne elementów aparatury rentgenowskiej. Pracowało tam już kilkoro świeżych absolwentów Wydziału Łączności Politechniki Warszawskiej, (ludzie również bardzo sympatyczni), którzy dopiero co ukończyli studia na kierunku radiologia i elektronika medyczna. Od jednego z nich odkupiłem czapkę studenta Politechniki, w której później jakiś czas dumnie chodziłem. Był wśród nich także nieżyjący już, p. Lucjan Szolański, w późniejszych latach wieloletni lektor filmowy i telewizyjny. Atmosfera w pracy była przyjazna. Może warto tutaj wtrącić, że we wrześniu 1991r., tj. po 38 latach od w/w zatrudnienia, otrzymałem z FARUM **w ciągu dwóch dni (!)** od zgłoszenia, zaświadczenie o w/w pracy wakacyjnej – w związku z kompletowaniem dokumentów do emerytury.

Studia

Na początku studiów, zarówno ja jak i moi koledzy po technikum, byliśmy w dużej mierze oswojeni, z tematyką przedmiotów technicznych. Nie było zatem trudno dostać na Uczelni dobrą ocenę, chociażby z pierwszego egzaminu z podstaw elektrotechniki. Do dzisiaj pamiętam, jak Prof. Bolkowski (wtedy jeszcze nie profesor) „wałkował” mnie dość długo, po czym do indeksu wpisał 5 (pięć).

Piątek zbyt gęsto w moim indeksie nie było, ale dwójka, do końca studiów była jedna i to uzyskana w okolicznościach dla niektórych kolegów (w tym dla Władzia Torbicza) bardzo humorystycznych. Komu wtedy było wesoło, to było, ale mnie i p. pułkownikowi Łapkowskiemu (kierownikowi – komendantowi Studium Wojskowego przy Politechnice) nie było do śmiechu. Otóż, podczas letniej sesji egzaminacyjnej VI semestru, w pozał się Boże umundurowaniu, w szyku zwartym, pomaszzerowaliśmy (cały nasz rocznik), na Pole Mokotowskie, gdzie zorganizowano egzamin z wyszkolenia wojskowego. Na Polu podchodziło się do stolika, przy którym siedzieli członkowie komisji egzaminacyjnej, po kartkę z pytaniami, a następnie, po przygotowaniu odpowiadało się. Po egzaminie i wpisie oceny do indeksu odchodziło się na bok i oczekiwało na zakończenie egzaminu. Byłem po egzaminie, dostałem ocenę cztery i swobodnie, tak, jak inni koledzy po egzaminie wałęsałem się po Polu. Jeden z kolegów, spóźnialski, przyszedł w ubraniu cywilnym. W takim stroju podejście do egzaminu było niemożliwe. Poprosił mnie więc ów kolega, W.... (bo on był tym wojakiem, który zjawił się w cywilnym ubraniu), abym mu użyczył munduru. Zdjąłem swój mundur i dałem mu, a sam, pozostając w białym, jednoczęściowym „stroju kąpielowym” poruszałem się po terenie jak wszyscy inni, opalałem się (a pogoda tego dnia była piękna, dzień słoneczny) i nawet wywijałem fikołki. Nagle, zbliża się odkryty gazik (samochód terenowy) z kierownikiem Studium Wojskowego, podpułkownikiem Łapkowskim. Zbliża się... w moim kierunku. Podrywam się, staję na baczność i melduję: „Obywatelu pułkownika, student Zawicki melduje się po egzaminie”. Pan pułkownik coś tam wojskowym głosem wypowiedział, ... zdenerwował się. Ja też. Podszedł następnie do stolika egzaminatorów i rozkazał postawić mi dwójkę. Rozkaz wykonali. Wakacje miałem nieco niewesołe.

Po wakacjach, w terminie poprawkowym, zgłosiłem się do egzaminu i uważałem do niedawna (2014 r.), że z odpowiedzi postawili mi trójkę. Okazało się jednak, że w moim indeksie jest 4 (cztery) z tego egzaminu poprawkowego.

Podczas ćwiczeń na studium wojskowym zdarzały się też inne incydenty. „Bohaterem” czy autorem/sprawcą jednego z nich był Władzio Torbicz, który opisuje to szerzej w swoich okrucinach. Pamiętam jak oburzony instruktor wykrzykiwał wtedy w naszym kierunku m.in.: – „studenci, k... m..., gdzie wasza myśl twórcza?”.

Był też, jak wiadomo – w tamtych czasach, na naszej uczelni twór ideologiczno-polityczny pod nazwą Katedra Marksizmu-Leninizmu, na czele z jej kierownikiem, Aleksandrem Berlerem (wybrał wolność jeszcze przed upadkiem „najlepszego w świecie” – ja też nauczał wtedy – ustroju). Mała Aula na II piętrze gmachu głównego Politechniki nazwana wtedy Salą

marksizmu-leninizmu, nazywana była przez nas „kaplicą”. Przedmiot wykładany to Podstawy marksizmu-leninizmu. W jego skład wchodziła filozofia/dialektyka marksistowska i historia ruchów robotniczych, wykładana z „jedynie słusznego”, czyli marksistowskiego punktu widzenia. Takie były czasy. Większość z nas miała, jak sądzę, właściwy stosunek do tego przedmiotu. Nie wyrażę go tu własnymi słowami, ale przytoczę cytaty z książki zatytułowanej: „Uwagi o spustoszonego stuleciu” autorstwa Roberta Conquista, brytyjskiego dyplomaty i wykładowcy uniwersyteckiego: „Łoris-Mielikow, były profesor, bratanek reformatora z czasów Aleksandra II powiedział współwięźniowi z łagru, że w swoim instytucie prowadził wykłady z materializmu dialektycznego. Na pytanie, czy zna się na tym przedmiocie, odparł: Co tu się można znać, przecież to bzdury”.

Z uwagą i zainteresowaniem słuchało się wykładów Profesora Zarankiewicza z mechaniki teoretycznej. Pozostał mi w pamięci np. jego, nie do odparcia argument za względnością czasu. A mianowicie: „Godzina wiekiem – ze złym człowiekiem, a wiek godziną – z piękną dziewczyną”.

Profesora Hampla licznych dygresji podczas wykładów z matematyki też lubiłem słuchać, ale samego przedmiotu, analizy matematycznej, do egzaminu trzeba było się uczyć nie tyle z notatek z wykładów, co z „Pogorzelskiego” (4-tomowy podręcznik analizy matematycznej).

Profesora K. Kwiatkowskiego, wykładowcę materiałoznawstwa elektrycznego, zapamiętałem głównie dzięki jego przydomkom: kapitan saperów, kawalerzysta, najlepszy chemik wśród elektryków i najlepszy elektryk wśród chemików – jak ta palma na pustyni, a także ze sposobu przeprowadzania kolokwium, podczas którego można było poruszać się dowolnie po sali i konsultować z kolegami, gdyż, jak mówił Profesor: – „kolokwium nie jest po to, żeby wam stawiał dwóje, ale żebyście się czegoś nauczyli”.



Profesor Stefan Lebson

Profesor Lebson, przez kilka semestrów wykładowca przedmiotów związanych z miernictwem elektrycznym, należał do osób szczególnie zyczliwych dla studentów, o czym świadczy m.in. znana sprawa studenta

z Wydziału Łączności, którego, po tym jak wyraził się nieparlamentarnie na temat śmierci Józefa Stalina zamierzano usunąć z uczelni. Sprawa jego była rozpatrywana na uczelnianej egzekutywie partii (PZPR). Profesor, również członek Partii, studenta wybronił.

Władziowi Torbiczowi przesłałem i poniżej przytaczam fragment dłuższego tekstu autorstwa Józefa Bocheńskiego, absolwenta Wydziału Elektrycznego PW z okresu naszych studiów (ukończył studia wieczorowe).

Źródło:

<http://www.stankiewicz.com/index.php/index.php?kat=25&sub=488>

Bochenski pisze: „Pracę dyplomową zrobiłem podczas miesięcznego urlopu w pracy, bo w domu było małe dziecko. (...) w 1958r złożyłem egzamin dyplomowy (...)

(...) spotkałem na politechnice profesora Żyda, który był nerwusem ponad miarę i kłął wulgarnie, ale był uczciwy. Był to prof. Stefan Lebson, wykładowca „przrządy pomiarowe” i jak przystało na Żydów w czasach wczesnego PRLu – był sekretarzem partii (wydziału elektrycznego) (...) Przez dwa okresy wakacyjne, miałem zleconą pracę w komisji egzaminacyjnej, jako sekretarz techniczny komisji. Obowiązki moje polegały na posiadaniu wszystkich dokumentów zdających i przedstawianie ich profesorom, na ich żądanie. Ponadto musiałem pilnować sal na egzaminy, podawania ogłoszeń na tablicach i wszystko typu: „daj, podaj, przynieś”. Ale była za to zapłata.

W jednym roku zdawał na Politechnikę młody arystokrata Czartoryski (...). Już jego profil przypominał portrety antenatów. Kiedy podałem listę profesorowi J., który był Polakiem, to ten zapytał czy Czartoryski jest z rodziny autentycznych arystokratów. Ponieważ przeglądałem ręcznie kaligrafowaną metrykę kościelną, w której podano, że został on „urodzony z”, a nie jak my „urodził się” jako syn tego i tamtej, to odpowiedziałem, że „tak, jest z arystokratów”. Wtedy profesor zapytał, czy są dyrektywy, co do przyjęcia na studia tego arystokraty. Odpowiedziałem, że dyrektyw nie ma, co do przyjęcia kogokolwiek. Bardzo stary, (ok. 80 lat mający) przedwojenny profesor, polecił mi wtedy udać się do przewodniczącego komisji egzaminacyjnej, którym był profesor też przedwojenny, ale będący Żydem i sekretarzem partii wtedy – prof. Stefan Lebson i zapytać go o dyrektywy dotyczące Czartoryskiego. Poszedłem. Musiałem długo i dokładnie zrelacjonować rozmowę z profesorem egzaminatorem. Przewodniczący zdenerwował się i głośno powiedział: „patrz (wszystkim mówił „na ty”), taki stary trup goj, stojący nad grobem - przysyła ciebie też goja, do partyjnego Żyda, z pytaniem czy

w skomunizowanej Polsce uniemożliwić naukę innemu gojowi. Zamiast zrobić wszystko, co można, aby synowi jednej z najsławniejszych i zasłużonych dla Polski rodzin umożliwić studia, to on Żyda pyta, co ma zrobić. Idź i powiedz, że ma egzaminować tak, jak wszystkich. I żeby więcej ten p....y trup nie zawracał mi d..y”. Innym razem zaznaczyłem nazwisko inżyniera, chcącego podjąć studia magisterskie, a nie miał wymaganych lat pracy zawodowej po studiach inżynierskich. Lebson zapytał, co znaczy znaczek przy tym nazwisku, a kiedy ujawniłem braki lat pracy zawodowej, to kazał przepisać całą listę na nowo, żeby nie było tego znaczka. Powiedział: „zapamiętaj sobie, że jak kolega inżynier chce uczyć się dalej, to masz zrobić wszystko, żeby koledze inżynierowi pomóc. Powinniście, wy goje popierać się tak, jak popierają się Żydzi. A wy, jak jesteście we dwóch, to zakładacie nawet 3 partie, bo nie możecie dogadać się. I wy chcecie, żeby Żydzi nie kierowali wami? Goje - nieżyciowi mistycy, po swoim postrzelonym Mickiewiczu, zakochanym w Maryli do tego stopnia, że widywał na trzeźwo nimfy wodne, jak pijani białe myszki. Nawet jak byliście potężnym państwem, to zamiast trzymać się razem jak Żydzi i wspierać, to dla zemsty na innym szlachcicu – paktowaliście z wrogiem. Ty chociaż bądź trzeźwy, bo masz żonę i dziecko. Umiałeś zrobić, to umiej dać im jeść”. „Przecież to robię panie profesorze” – odparłem – „studiuje i pracuje, gdzie się da”. Spojrzał na mnie spod swoich krzaczastych brwi, zdjął okulary i powiedział: „Pewny jesteś, żeś nie Żyd? Bo coś rozumu masz trochę więcej niż goj. Idź sobie obejrzeć, czy nie jesteś przypadkiem obrzezany!”

Profesor Lebson był przez nas bardzo lubiany za swoją wiedzę i przychyłność studentom i pozostał w naszej pamięci na zawsze. Przed dniem Wszystkich Świętych w 2014 r. w towarzystwie Janki Wiśniewskiej i Leszka Wójcika wybraliśmy się do grobu Profesora we Włochach. Grób nie był bardzo zaniedbany (podobno ktoś od czasu do czasu odwiedza go), oczyściliśmy płytę, zapaliliśmy znicze, położyliśmy bukiet kwiatów w kolorze niebieskim (podobno na pogrzebach żydowskich dominuje niebieski kolor kwiatów) i zmówiliśmy „wieczny odpoczynek”. Na płycie nagrobnej Profesora wyryty jest cyrkiel obejmujący koło – czyli jeden z symboli masonerii. Myślę, że jeżeli dobremu łotrowi Jezus zagwarantował Raj, może uczynić podobnie dobremu masonowi. (Mam nadzieję, że to co piszę to nie herezja). Z pochówkiem Profesora były perypetie, gdyż, jak mi wiadomo (z internetu), gmina żydowska z jakichś powodów nie wyraziła zgody na jego pochówek na cmentarzu żydowskim, a z kolei ksiądz też wahał się, zanim wyraził zgodę na pogrzeb na cmentarzu katolickim (pewno musiał uzyskać zgodę wyższych instancji). Byłem na pogrzebie Profesora we Włochach i o ile mnie pamięć nie myli, pochówek odbył się w obrządku katolickim.

Po powyższej dygresji powracam do czasów studenckich. A więc, cztery praktyki wakacyjne podczas studiów odbywałem w instytucjach, których siedziby znajdowały się w Warszawie. W czasie praktyki po pierwszym roku studiów odbytej w Zjednoczeniu Instalacji Elektrycznych nr 3 wykonywaliśmy prace pomocnicze przy wykonywaniu instalacji elektrycznej w budynkach mieszkalnych. Pamiętam, że jednego dnia około południa miało miejsce częściowe zaćmienie słońca. Obserwowaliśmy je przez zakopcone szkiełka. Praktyki po drugim roku – w ZWAO A-52 – i po trzecim roku – w Zakładach Wytwórczych Aparatury Wysokiego Napięcia – to tylko zapoznawanie się z bieżącą działalnością produkcyjną tych zakładów z nieznacznym wglądem w ich działalność innowacyjną. Nie było żadnych ciekawych zjawisk ani na niebie, ani na Ziemi wartych opisanie. Natomiast mile wspominam dwumiesięczną praktykę po czwartym roku, odbyłą z Leszkiem Wójcikiem, w ramach której zostaliśmy włączeni do prac prowadzonych w Katedrze Geodezji Wyższej w Politechnice Warszawskiej. Wykonywaliśmy tam, na potrzeby pracy doktorskiej jednego pracowników naukowych Katedry, m.in. pomiary i rejestracje zmian temperatury w funkcji wysokości nad powierzchnią drogi asfaltowej w miejscowości Trębki. A później zlecono nam obróbkę matematyczną zgromadzonych danych. „Komputerem” do obróbki danych był arytmometr na korbkę.

Zostaliśmy także zatrudnieni na zlecenie przez tę Katedrę, do pomocy przy pomiarach geodezyjnych u ujścia Odry. Leszek Wójcik w swych Okruchach szerzej opisuje tę praktykę.



Obok anteny radiotelefonu siedzi autor okruchu, przy pulpicie pomiarowym naukowiec z Katedry Geodezji Wyższej PW

Dla potrzeb tych prac skonstruowałem w warunkach domowych dwie radiostacje na zakres UKF o zasięgu kilku kilometrów. Służyły one do porozumiewania się pomiędzy dwoma brzegami Zalewu Szczecińskiego, gdzie dokonywane były pomiary geodezyjne przez doktorantów (p. Andersa i p. Cieślaka) z Katedry Geodezji Wyższej PW.

Po trzecim roku studiów należało wybrać specjalizację. Podczas rozmowy z Leszkiem Wójcikiem przyjąłem jego sugestię, abyśmy wybrali jako specjalizację sekcję Pomiary. Okazało się z czasem, że wybór był dobry, a nawet bardzo dobry. Na Uczelni mieliśmy zajęcia m.in. z Prof. Lebsonem oraz z późniejszym moim pracodawcą, Profesorem Maciejem Nałęczem, członkiem PAN, aż do jego śmierci.



Profesor Maciej Nałęcz

Podczas jednej z przerw na zajęciach odbyłem z Prof. Nałęczem (wtedy jeszcze nie był profesorem), z jego inicjatywy, rozmowę. Rozmowa miała miejsce na balkonie jednej z sal wykładowych w Gmachu Elektrycznym. Profesor zaproponował mi wtedy przyjęcie do pracy w Zakładzie Elektrotechniki PAN, mieszczącym się w Pałacu Staszica, którego kierownikiem był (formalnie) prof. Paweł Nowacki, a jego zastępcą, w rzeczywistości prowadzącym Zakład był Prof. Nałęcz, wówczas jeszcze przygotowującym swoją pracę doktorską. Jak się miało później okazać, rozmowa ta zaowocowała wieloletnią (bo ponad 50-letnią) współpracą z Prof. Nałęczem.

Praca zawodowa

Jeszcze krótko przed oddaniem pracy dyplomowej na uczelni, we wrześniu 1958 r. zostałem przyjęty do w/w Zakładu, gdzie początkowo wspólnie ze śp. panem Stanisławem Topińskim – człowiekiem, ostoją spokoju, (wówczas zbierającym materiał doświadczalny do swojej rozprawy doktorskiej), wspólnie przeprowadzaliśmy badania właściwości miniaturowych termistorów do różnych zastosowań: np. do pomiaru temperatury ciała (z wyjściem elektrycznym), a później – już nie

miniaturowych, przeznaczonych do rozruszników silników elektrycznych. Po obronie pracy doktorskiej p. Topińskiego, do roku 1961 prowadziliśmy dalsze prace doświadczalne i konstrukcyjne nad zastosowaniami termistorów – głównie do pomiarów temperatury – m.in. dla celów medycznych, np. do pomiarów podskórnych i w mięśniu sercowym, a także do pomiarów powierzchniowych w instalacjach przemysłowych oraz w stosach kompostowych. Były to zaczątki przyszłej mojej tematyki biomedycznej. Od początku roku 1959 pracę w Zakładzie Elektrotechniki PAN podjął także Władzio Torbicz, który początkowo współpracował z Prof. Radosławem Ładzińskim.

Z upływem czasu nasz samodzielny Zakład Elektrotechniki powiększał się kadrowo i zmieniał nazwę, wchodził w skład kolejnych Instytutów, które również podlegały reorganizacjom i zmianom nazw oraz tematyki, ciągle w ramach Polskiej Akademii Nauk. Z tak ważnego momentu w życiu, jak obrona pracy magisterskiej w lutym 1959 r. nie mam szczególnych wspomnień, co oznacza, że poszło gładko.

Nie byłem i nie jestem sportowcem, ale lubię turystykę. Z ostatnich lat studiów zasługuje na odnotowanie wycieczka do Jugosławii, zorganizowana dzięki aktywności w ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich) Władzia Lacha i Bożenki Skowrońskiej. Również z ostatnich lat studiów i pierwszych lat pracy zawodowej mogę odnotować w skrócie swoją skromną aktywność na niwie turystycznej. A były to np.: turystyka piesza, w wakacje 1956 czy studenckie wczasy wędrowne PTTK na Szlaku Karkonoskim do Jeleniej Góry, za co przyznano brązową Górską Odznakę Turystyczną. Później, rok 1962 – szlakiem z Rabki do Kąt. Już po opuszczeniu Uczelni: 1961 r., – wczasy turystyczne kajakowe PTTK, szlak Krutyni i Jezior; 1962 r., – szlak w Puszczy Piskiej Sorkwity-Jabłoń. W latach następnych były kilkakrotne wyprawy w Bieszczady, w tym z Władziem Torbiczem, Kaziem Malanowskim i Kaziem Korczem, a także kolarskie wczasy PTTK z Gdańska do Warszawy.

Co się zaś tyczy pracy zawodowej w Zakładzie Elektrotechniki, który wszedł wówczas w skład Instytutu Podstawowych Problemów Techniki, to po opracowaniu kilku modeli termometrów termistorowych, z których niektóre znalazły zastosowanie praktyczne i nawet zostały sprzedane, profesor Nałęcz zaproponował zajęcie się nowym tematem, a mianowicie, zastosowaniami zjawiska Halla (nazwa od nazwiska). Zjawisko to polega na tym, że w cienkiej, prostokątnej płycie wykonanej z półprzewodnika (np. z germanu), przez którą przepływa prąd w kierunku wzdluznym, znajdującej się w polu magnetycznym skierowanym prostopadle do jej powierzchni, powstaje mierzalna różnica potencjałów elektrycznych w kierunku poprzecznym, przy czym ta różnica potencjałów jest wprost proporcjonalna do iloczynu natężenia prądu i wartości indukcji

magnetycznej. Nie do pominięcia jest wpływ temperatury, który zależy od rodzaju materiału półprzewodnikowego (german, arsenek indu, antymonek indu itp.). Niektóre zastosowania narzucały się same i były znane. Na przykład: pomiar indukcji magnetycznej, element mnożący do maszyny analogowej, przetwornik mocy elektrycznej na napięcie, bezkontaktowy pomiar prądów stałych o dużych i wielkich natężeniach. Większość z tych możliwości była realizowana także w naszym Zakładzie, włączonym do Instytutu Podstawowych Problemów Technicznych PAN, a później w Instytucie Automatyki PAN.

Moim tematem były m.in. hallotronowe przetworniki mocy elektrycznej 220V/5A, których małoseryjna produkcja została podjęta przez Zakład Doświadczalny Instytutu – ASPAN, oraz watomierze dla częstotliwości akustycznych. Pewna ilość tych przyrządów została sprzedana. Był to rodzaj małego sukcesu, gdyż do dzisiaj rzadko się zdarza, aby wytwory prac badawczych instytutów PAN miały nabywców komercyjnych.

Może warto tu opisać autentyczne zdarzenie o charakterze anegdotycznym. Oto po odbiór wykonanego na zamówienie dwuukładowego przetwornika mocy (2x100V, 5A) wykonanego w ASPANie na zamówienie, zgłosiło się dwóch dżentelmenów (zaopatrzeniowców) z firmy zamawiającej. Kiedy jeden z nich wziął do ręki przetwornik, o wielkości średniej dłoni, wyceniony u nas na 30 000 ówczesnych złotych, drugi z nich odzywa się: – „Kaziu, to jest warte tyle co twoja Syrenka!” (Wtedy nazwy samochodów pisało się z dużej litery).

W roku 1972 nasz zespół oraz osoby współpracujące spoza Instytutu zajmujące się zastosowaniami zjawiska Halla zostały w 1972 r. wyróżnione Zespołową Nagrodą Państwową II-stopnia za udział w opracowaniu technologii hallotronów i ich zastosowaniu w pomiarach i przetwarzaniu danych.

Powstał też pomysł, lansowany przez Prof. Nałęcz, wykorzystania zjawiska Halla do pomiarów drgań mechanicznych, bądź przemieszczeń poprzez umieszczenie płytki Halla, jako elementu ruchomego, w polu magnetycznym. Ten temat stał się realny po tym, jak Profesor Nałęcz w rozmowach z geofizykami z ówczesnego Zakładu Geofizyki PAN prowadzonego przez prof. Manczarskiego, zaproponował wykorzystanie zjawiska Halla do rejestracji sejsmograficznych. Mnie Profesor Nałęcz powierzył zajęcie się realizacją tego tematu, a patronat nad tą pracą ze strony ZG PAN przyjął z-ca dyrektora ZG PAN docent Roman Teisseyr – organizator i uczestnik wypraw geofizycznych m.in do Wietnamu 1957–1959; uczestnik i organizator lub współorganizator kilku wypraw polarnych na Spitsbergen w latach 60-tych 70-tych i 2000-nych – człowiek szlachetny i życzliwy, znany jako światowej rangi geofizyk.



Zespół wyróżniony Zespołową Nagrodą Państwową II-stopnia za opracowanie technologii hallotronów i ich zastosowania 1972 – od lewej: Wojciech Piątkiewicz, autor, mgr Zbigniew Dunajski, dr Andrzej Kobus, dr Stanisław Andrzej Ignatowicz, prof. Maciej Nałęcz, mgr Czesław Belkowski, dr Władysław Torbicz, mgr Henryk Ziomecki, mgr Roman Maniewski (stopnie naukowe w 1972 r.)

W naszym zakładzie Elektrotechniki PAN skonstruowaliśmy prosty sejsmograf do wstępnych badań, a z Zakładu Geofizyki otrzymałem typowy sejsmograf, w którym w naszym zakładzie dokonaliśmy przeróbki polegającej na zamianie czujnika elektrodynamicznego tego sejsmografu na czujnik z płytą Halla (nazywaną także hallotronem). Przenieśliśmy sejsmografy do obserwatorium sejsmologicznego, z którego korzystał Instytut Geofizyki PAN, mieszczącego się w piwnicach Pałacu Kazimierzowskiego na terenie Uniwersytetu Warszawskiego przy Nowym Świecie, gdzie przez szereg dni sprawdzaliśmy uzyskane rejestracje obu przyrządów.

Doc. Teisseyre w towarzystwie dwojga współpracowników (doktorantów) przychodził do naszego Zakładu Elektrotechniki w Pałacu Staszica, skąd szliśmy do w/w obserwatorium sprawdzać uzyskane rejestracje sejsmografów. Do mnie wówczas w/w zwracali się zawsze per mistrzu, co, muszę przyznać, nawet mi pochlebiało.

Przez szereg dni porównywaliśmy rejestracje uzyskane z naszego przyrządu z rejestracjami uzyskanymi z wówczas standardowych sejsmografów elektromagnetycznych (cewka indukcyjna umiejscowiona na końcu poziomego wahadła w szczeliny magnesu zamocowanego na podstawie przenoszącej drgania). W obu przypadkach sygnał wyjściowy był podawany na galwanometry z odczytem optycznym. Sygnał świetlny odbity

od lusterka odpowiadał drganiom solidnej betonowej ławy i było rejestrowane na światłoczułym papierze umocowanym na obracającym się bębnie. Przez kilka tygodni porównywaliśmy zapisy obu rodzajów przyrządów. Wynikiem rejestracji były występujące na co dzień drobne odchylenia od linii zerowej, odpowiadające tzw. mikrosejsmom skorupy ziemskiej. Amplitudy zapisów z naszego przyrządu były dużo większe niż z sejsmografów używanych przez geofizyków. Jednego dnia, pod koniec maja 1961 r. udało się nam zarejestrować niewielkie trzęsienie ziemi, które, jak się okazało miało miejsce w Grecji. Ten wynik jak i wszystkie wcześniejsze rejestracje wykazały, że nasz sejsmograf hallotronowy jest znacznie czulszy od wówczas stosowanych w geofizyce. Ma on jeszcze jedną cechę, której nie mają sejsmografy elektrodynamiczne. Ze swej zasady działania jest także tzw. nachyłomierzem (tiltmeter), czyli rejestruje także powolne nachylenia powierzchni gruntu.

Zachęcony przez Prof. Nałęcza przeprowadziłem porównanie charakterystyk częstotliwościowych – amplitudowych i fazowych – obu rodzajów sejsmografów, biorąc pod uwagę mechaniczne i elektryczne parametry. Te pierwsze były identyczne w obu przyrządach. Okazało się, że czułość naszego sejsmografu – dla drgań w zakresie niskich częstotliwości, z którymi ma się do czynienia przy trzęsieniach ziemi, o kilka rzędów wielkości przewyższa czułości dotychczas stosowanego sejsmografu magnetoelektrycznego.

Kilkunastostronicowy tekst tego opracowania wysłałem do Prof. Nałęcza, który wtedy (1961) przebywał na rocznym stypendium w Engineering Desing Center, w Case Institute of Technology w Cleveland, Ohio, USA. Profesor wysłał artykuł naszego autorstwa do publikacji. Została przyjęta i ukazała się w Bulletin of the Seismological Society of America pod tytułem: A hall-effect seismograph, 52 no. 2 (1962) 439-454. Konstrukcję sejsmografu hallotronowego opatentowaliśmy w Polsce (sobie a muzom).

Zakład Geofizyki PAN współpracował z górnictwem węglowym – w związku z występującymi w kopalniach tąpnięciami. Jak wiadomo, tąpnięcie jest jednym z zagrożeń naturalnych występujących w górnictwie. Wynika ono rozładowania energii potencjalnej sprężystości skał i jest połączone z wyrzuceniem materiału skalnego do wyrobiska lub zniszczeniem jego obudowy. Ja z prof. Teisseyre i jego współpracownikami, w tym z kobietą, byliśmy w Kopalni Bobrek w Bytomiu, gdzie zainstalowaliśmy nasz sejsmograf. Pojawił się pewien problem, gdyż przepisy zakazywały zjazdu kobiet na dół, ale po tym jak przebraliśmy się w uniformy górnicze była ona w spodniach i przeszła niezrozpoznana przez strażników.

W tamtym czasie prof. Teisseyre organizował wyprawę naukową do Wietnamu i namówił mnie do wzięcia w niej udziału. Dostałem z Zakładu Geofizyki PAN stosowne skierowania do lekarzy, głównie do tzw. Palmy przy ul. Mochnackiego (pod koniec 2011r przychodnie Palmy zostały zlikwidowane – wprowadzono nowy system), przeszedłem pozytywnie wszystkie wymagane badania lekarskie dla kandydatów na wyjazd do krajów tropikalnych i byłem gotów wyjeżdżać.

Zanim wyjazd doszedł do skutku prof. Nałęcz wrócił z USA i gdy poinformowałem go o wyprawie do Wietnamu zdecydowanie i skutecznie odradził mi ten wyjazd. Zaproponował w zamian starania o wyjazd do Kanady na studia doktoranckie, gdyż, jego zdaniem, była taka szansa w związku z nawiązaniem kontaktów z profesorem Glińskim z Ottawa University, który piastował tam funkcję chairman of EE Departament in Faculty of Pure and Applied Science i miał być zaproszony do naszego, wtedy Instytutu Automatyki PAN.

Nowa propozycja Prof. Nałęcza była kusząca, ale wydawała mi się mało realna. W tamtych czasach wyjazd na Zachód był raczej przywilejem, a nie prawem obywatelskim. Takie były czasy. A jednak! Profesor Gliński został zaproszony do odwiedzenia naszego Instytutu, a mnie profesor Nałęcz wyznaczył, jako osobę towarzyszącą gościowi podczas tej wizyty. Gościowi należało zorganizować wygłoszenie wykładu na uzgodniony temat, wozilo się go np. na zwiedzanie Żelazowej Woli, do AGH w Krakowie, co było połączone ze zwiedzaniem Krakowa itp. Nasz gość miał też w Warszawie swoich dawnych znajomych sprzed wojny, więc należało umówić z nimi spotkania. Przy tej okazji gość poznawał osobę towarzyszącą i poziom znajomości jego angielskiego.

Z moim angielskim było średnio. Uczęszczałem wtedy przez kilka semestrów na lektorat w PAN i do „Metodystów”, t.j. do Koedukacyjnej Szkoły Języka Angielskiego przy Placu Zbawiciela, a także na kurs wakacyjny zorganizowany przez British Council w Kołobrzegu w okresie, kiedy już rysowała się możliwość mojego wyjazdu do Kanady. W ośrodku w Kołobrzegu, gdzie był organizowany kurs, kręcili się jacyś polskojęzyczni mężczyźni, którzy z British Council nie mieli nic wspólnego i pewnego dnia jeden zaczepił mnie na chwilę. Chcieli tylko wiedzieć czy ja to jestem ja. Nie wiedziałem, czy to dla mnie dobrze czy źle. Po kilku dniach zostałem telegramem z Instytutu odwołany z tego kursu. Jak się okazało, pod pretekstem, że jestem tam bardzo potrzebny. Nie było to prawdą. Nikt w Instytucie nie wiedział kto mnie odwołał. Pomyślałem sobie, że może na kursie w jakiś sposób podpadłem? Miało to niewątpliwie związek (ale jaki?) z planami mojego wyjazdu do Kanady. Miałem jeszcze inne oznaki szczególnego zainteresowania moją osobą, co

mnie wówczas bardzo denerwowało. Poinformowałem o tym profesora Nałęcza.

Od profesora Glińskiego przyszło, na ręce dyrektora Instytutu, prof. Nałęcza, zaproszenie dla mnie do przyjazdu na studia doktoranckie od początku roku akademickiego 1964. Złożyłem w Dziale Zagranicznym PAN wszystkie wymagane przed takim wyjazdem dokumenty, jednak paszportu długo nie otrzymywałem. Dopiero, dzięki interwencji, a raczej zabiegom, profesora Nałęcza, który znakomicie potrafił lawirować (w dobrym tego słowa znaczeniu) w tamtym systemie, otrzymałem paszport z półrocznym opóźnieniem, spóźniony o jeden semestr, dotarłem do Ottawy w dzień Nowego Roku 1965. Odebrał mnie z lotniska profesor Gliński i zaprosił do swego domu na kolację.



Ottawa University-profesor Gliński (w białej koszuli i w krawacie),
autor okrucichów -na fotelu z prawej strony

W wyborze przedmiotów na uczelni miałem dużą swobodę. Ważna była wymagana suma punktów, które przypisano każdemu z przedmiotów. Interesowała mnie osobiście wówczas tematyka Learning Systems.

W sąsiedztwie uczelni w wielu oknach domów (na ogół jednopiętrowych) były ogłoszenia: „ROOM TO LET” albo „ROOM AND BOARD”. Kilkaset metrów od uniwersytetu wynająłem pokój z obiadami. Z pozostałymi posiłkami radziłem sobie sam. Wybrałem, i zaakceptowano, następujące przedmioty: Linear algebra I, II, Abstrakt Algebra I, II, III, IV, Topics in Digital Systems (Learning Machines), Applied Mathematics,

Reliable Computation, Information Theory and Coding, Probability and Statistic, Logic Circuits. Ze zdawaniem egzaminów z wybranych przedmiotów nie miałem większych problemów. Poprawek nie miałem. Na wszystkich wykładach robiłem notatki. Z w/w przedmiotów, przywiozłem sobie na pamiątkę do domu ponad 1000 stronich tych notatek w 18 zeszytach, każdy formatu A4. Przyznano mi tam skromne studenckie stypendium, a w drugiej połowie pobytu, tj. po trzech miesiącach, zlecono mi (odpłatnie) prowadzenie zajęć laboratoryjnych w grupie studentów.

Kilka razy byłem zapraszany do domu kolegi-Kanadyjczyka, do profesora Glińskiego, i do jeszcze innych profesorów polonijnych. Okazało się, że w Polsce, w rodzinie jednego z nich, był absolwent Politechniki Warszawskiej. Z podanego nazwiska i czasu studiów okazało się, że był to jeden z kolegów z naszego roku. Nie podtrzymywałem jednak tego tematu w rozmowie, bo po pierwsze, moje kontakty z tym kolegą były prawie żadne, po drugie wiedziałem, że był on członkiem Partii i nie chciałem moich gospodarzy wprowadzać z tego powodu, być może, w zakłopotanie.

Z uwagi na półroczne opóźnienie przyjazdu do Ottawy z powodu nieotrzymania paszportu na czas i ze względu na z góry wyznaczoną datę powrotu, nie miałem możliwości kontynuowania studiów w obranym kierunku doktoratu. Po obronie pracy dyplomowej na temat maszyn uczących się – była to tematyka, która, jak już wspomniałem, mnie wtedy bardzo interesowała – uzyskałem stopień Master of Science i ładny dyplom drukowany gotykiem. Czas mojego pobytu zakończył się. Pozwolenia ze strony Instytutu na dalszy pobyt nie otrzymałem. Pozostawanie dłużej znaczyłoby czynić kłopoty Prof. Nałęczowi, który rekomendował mnie na ten wyjazd, oraz mojej rodzinie. Takie były czasy. Powróciłem do domu. Nie myślałem zresztą wtedy o „wybieraniu wolności”, wolałem wrócić na emigrację (wewnętrzną) w Kraju. Jak mówią Amerykanie „My country, right or wrong; if right, to be kept right; and if wrong, to be set right”. Nie potrafię tak ładnie jak brzmi to po angielsku, przetłumaczyć na polski powyższego tekstu.

Pod koniec pobytu w Ottawie zorientowałem się, że za zaoszczędzone pieniądze ze stypendium będę mógł kupić w Europie tani samochód. Pośród zgromadzonych prospektów mój wybór padł na pojazd SIMCA 1000 (Francja). Cena 1000 US \$ – dzisiaj byłby to nowy samochód za 4000zł. Wówczas oznaczało to w Polsce dużo więcej. Przed wyjazdem z Kanady zrobiłem prawo jazdy.

Kursy na prawo jazdy w Ameryce, zarówno w Kanadzie jak i w USA, uzyskuje się nieporównanie łatwiej i taniej niż u nas. Do części „teoretycznej” (w Kanadzie) przygotowuje się samodzielnie, korzystając z bezpłatnie pobranych (w Department of Transport) dwu broszurek. W jednej z nich jest zamieszczonych sto pytań, a wśród nich wyodrębniono

pięć szkiców znaków drogowych, które każdy kierowca musi znać i pięć innych znaków drogowych – pełnych, a przy każdym z nich cztery warianty odpowiedzi, z których jedna jest prawidłowa. Na ostatniej stronie broszurki jest wykaz prawidłowych odpowiedzi na każde z tych stu pytań. Podczas egzaminu dostaje się 20 spośród stu w/w pytań. Do zdania egzaminu z „teorii” należy odpowiedzieć prawidłowo na 16 spośród tych pytań. Za kurs jazdy z licencjonowanym instruktorem (wybrany z ogłoszenia w gazecie) płaciłem \$4.00 za pełną godzinę (cena z maja 1965r). Jeszcze badanie wzroku i jazda egzaminacyjna po mieście.

Moja droga powrotna do Kraju (podróż Batorym – z ponad dwudniową chorobą morską) prowadziła przez Londyn, gdzie, korzystając z zaproszenia i gościnności kolegi z naszego Instytutu, wówczas już dra nauk technicznych, Janusza J. Kulikowskiego, przebywającego tam na stypendium, miałem możliwość zwiedzenia charakterystycznych obiektów Londynu, m.in. muzeum figur woskowych Madame Tussauds.

Z Londynu udałem się na krótki pobyt do Paryża po wcześniej opłacony samochód. Zatrzymałem się tam na kilka dni w Ośrodku Polskim PAN przy ul. Lamande. Wykorzystałem także możliwość zwiedzenia szeregu obiektów Paryża (oczywiście – Wieża Eiffla, Łuk Tryumfalny, katedra Notre Dame, Louvre). W muzeach, które zwiedzałem wypożyczało się przy wejściu za niewielką opłatą kilkujęzyczny elektroniczny przewodnik na słuchawki. O ile mi wiadomo w naszych muzeach takie przewodniki też są w użyciu od ok.10 lat. Wybrałem się też na przedstawienie w znanym Moulin Rouge. Po paru dniach w Paryżu przyjechałem, już SIMKĄ, do Warszawy. Samochód ten służył rodzinie przez ok. 15 lat.

Po powrocie z Kanady kontynuowałem, do 1971r, pracę w Zakładzie Elementów Automatyki Instytutu Automatyki PAN, kierowanym przez Prof. Nałęcza. Pod hasłem „rosnącego zapotrzebowania na przekazywanie praktycznych wyników gospodarce państwa” utworzono w 1971 roku Instytutu Cybernetyki Stosowanej PAN z tą samą kadram.

Nadmienię tu, że w 1971r. ożeniłem się z poznaną w Instytucie Anią z d. Sobczyńską – absolwentką szkoły pomaturalnej, której dyrektorem był nasz kolega ze studiów Stanisław Grefkowicz. Od małżeństw naszych dwu synów doczekaliśmy się dwu uroczych wnuczek i dwóch wnuków – młodszy-zuch, starszy-harcercz. Obecna (2015 r.) rozpiętość ich lat: od pierwszej do piątej klasy. Gościmy nasze wnuczka (z oczywistych powodów nie zawsze wszystkich na raz) niemal codziennie w naszym domu. Mają apetyt. I kuchnia babci bardzo im odpowiada. A babcia, choć nie jest obecnie okazem zdrowia, kucharzy, moim zdaniem, lepiej niż najlepszy biocybernetyk.

Co się zaś tyczy pracy zawodowej w Instytutach PAN, to można stwierdzić, że była ona urozmaicona zmianami nazw instytutów (o czym wspomniałem wyżej), w ślad za którymi (albo już nieco wcześniej) następowała zmiana tematyki prac. Przykładem mogą być, mające związek z układami uczącymi się, prace nad magnetycznymi pamięciami analogowymi. Na ten temat obroniłem swoją pracę doktorską. Postępy techniki komputerowej spowodowały jednakże zaniechanie w/w hardwareowych rozwiązań.

Zanim jeszcze, po kolejnej reorganizacji, powstał w 1975 r. Instytut Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej z dyrektorem Prof. Nałęczem, wyłoniony z większego tworu nazwanego Instytut Organizacji i Kierowania PAN i MNSzWiT, w Zakładzie naszym, najczęściej nazywanym Zakładem 1, kierowanym w dalszym ciągu przez dyrektora Prof. Nałęcza, następowała duża zmiana tematyki.

W porozumieniu z Profesorem dr med. Tadeuszem Orłowskim, wówczas dyrektorem I Kliniki Chorob Wewnętrznych Akademii Medycznej w Warszawie, w której prowadzone były dializy, powstał „zespół sztucznej nerki”. Zespół ten, w pracach którego również miałem swój skromny udział, miał na celu opracowanie urządzenia do automatycznego nadzorowania pracy sztucznej nerki (dializatora). W celu przygotowania się do pracy w nowej tematyce, prócz własnych studiów, brałem, wraz z wieloma innymi kolegami, udział w kursie „fizjologii dla inżynierów” zorganizowanym przez „Studium podyplomowego kształcenia lekarzy” z siedzibą przy Szpitalu Bielańskim w Warszawie. Koordynatorem i konsultantem w/w zespołu ze strony kliniki był pan dr med. Zbigniew Fałda, który jako pierwszy w Polsce, razem z dwoma kolegami lekarzami z tej kliniki, w dniu 2 stycznia 1959 r. przeprowadził dializę, z pełnym sukcesem, u 7-letniego chłopca. Dr Fałda w swojej „Historii powstania i rozwoju Ośrodka Dializ w I Klinice Chorob Wewnętrznych Akademii Medycznej w Warszawie”, wymienia: prof. Macieja Nałęcza, dr inż. Andrzeja Weryńskiego, dr inż. Ignacego Zawickiego z Instytutu Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej PAN oraz w dr inż. Wojciecha Piątkiewicza z Zakładu Doświadczalnego ASPAN. W zakończeniu pisze: „Wszystkim im należą się słowa wdzięczności i uznania za trud, jaki włożyli w powstawanie i upowszechnienie w naszym kraju nowej dziedziny lecznictwa.” Dzięki, Panie Doktorze, za te miłe słowa!

Współpraca z lekarzami zaowocowała rozszerzeniem kontaktów Prof. Nałęcza z medycznymi placówkami za granicą. M.in. został zaproszony do naszego Instytutu wcześniej poznany przez Prof. Nałęcza w Ameryce prof. Yukihiko Nose (wśród swoich to był Yuki) ze znanej w świecie Cleveland Clinic (Ohio, USA), kierownik Departamentu

of Artificial Organs – również znany w dziedzinie prac nad technicznym wspomaganie nerki i wątroby („sztuczna nerka”, „sztuczna wątroba”).



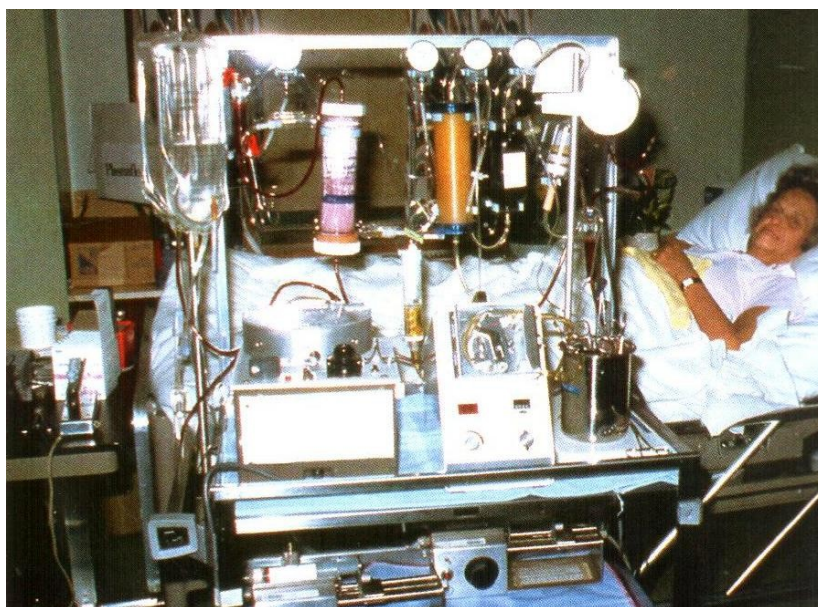
Około czterdziestoosobowy zespół Department of Artificial Organs, Cleveland Clinic. Prof. Yukihico Nose, Dyrektor Wydziału – w pierwszym rzędzie pośrodku, autor – w drugim rzędzie, 6. od lewej strony

Tym razem profesor Nałęcz zaaranżował wyjazdy na roczne stypendia do Cleveland Clinic (CC). Najpierw miał tam jechać dr Piątkiewicz a po nim dr Zawicki i inni. Tak też się stało. Pod koniec 1978r dr Piątkiewicz zakończył staż (z bardzo dobrą opinią), a ja rozpocząłem tam swój staż jako Postdoctoral Research Fellow. Wynajmowałem tam, za rozsądną cenę, mieszkanie (w czteromieszkaniowym domu), które wcześniej wynajmował mój poprzednik, i w nim mieszkałem do końca ponad półtorarocznego pobytu. Właścicielami domu byli zamerykanizowani Niemcy, (p.p. Blamowie). Ludzie kulturalni i przyjaźni. Po przyjeździe mojej żony Ani z synem (wówczas 5-letnim Markiem) do Cleveland (o czym dalej piszę obszerniej), kilkakrotnie zapraszali nas do siebie. Blamowie mieli motorówkę i podczas pewnego, ładnego weekendowego dnia zaprosili nas na wycieczkę nad pobliskie jezioro. Zabrali też z sobą narty wodne. Nad jeziorem zostałem zachęcony, abym spróbował posurfować na nartach. Nigdy przedtem nart wodnych nie miałem na nogach. I proszę sobie wyobrazić, że od pierwszego razu udało mi się prawidłowo wystartować i jeździć na nich. Była to pierwsza i dotychczas jedyna moja jazda na nartach wodnych i dlatego uważam, że powinienem o tym opowiedzieć w Okruchach. Dla uwiarygodnienia mojego wyczynu załączam moje zdjęcie na nartach wodnych.



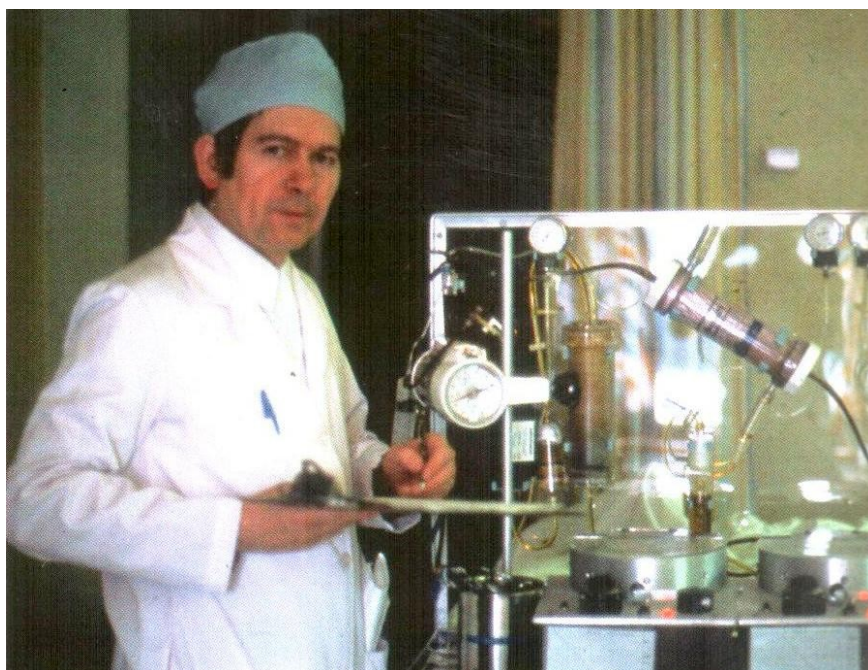
Autor na nartach wodnych

Gdy Wojtek Piątkiewicz odjeżdżał do Kraju, odkupiłem od niego samochód, którym codziennie dojeżdżałem do odległej o ok. 8 mil Kliniki. Mieszkanie w pobliżu kliniki było jak mówiono nie całkiem bezpieczne. Praca w Cleveland Clinic w polegała głównie na badaniach właściwości materiałów do budowy filtrów kapilarnych (elementów „sztucznej nerki”) oraz sorbentów do budowy pochłaniaczy toksyn (elementów „sztucznej wątroby”).



Pacjentka Cleveland Clinic podłączona do aparatury (sztuczna wątroba)

Badania były prowadzone przy współpracy z jedną z firm Japońskich, która dostarczała materiały i finansowała badania. Wyniki naszych badań omawiane na cotygodniowych zebraniach były wytycznymi dla producenta oraz stanowiły materiał do publikacji. Jeszcze podczas mego pobytu w CC w/w filtry i sorbenty były stosowane u chorych. Miałem tam własny wkład w zakresie publikacji i po powrocie do kraju z pokrewnej tematyki obroniłem pracę habilitacyjną.



Autor podczas badania sztucznej wątroby

W kwietniu 1979 r. brałem udział w czterodniowej Konferencji ISAIO i ASAIIO (Międzynarodowe i Amerykańskie Stowarzyszenia Sztucznych Narządów Wewnętrznych) w Nowym Jorku. Koszt wyjazdu na taką konferencję wynosił ok. \$500. Osoby ze stopniem doktora, zakwalifikowane do udziału w konferencji, otrzymywały przed wyjazdem potrzebną sumę z uwzględnieniem turystyki i nie potrzebowały się z niej rozliczać po powrocie z „delegacji”. Zakwaterowani byliśmy w hotelu HILTON. Przedostatniego dnia konferencji przedstawiciele firmy japońskiej, której produkty badaliśmy, zaprosili nas na obiad do japońskiej restauracji. Podobał mi się ten obiad – siedzi się po japońsku, je się przy użyciu pałeczek, a posługiwanie się pałeczkami nie jest początkowo łatwe. Zorganizowane było również zwiedzanie N. Yorku, w tym siedziby ONZ.

Podczas analogicznej konferencji w listopadzie 1979 r w San Francisco, na którą też byłem zakwalifikowany program turystyczny był obszerny.

Wśród uczestników konferencji w San Francisco poznałem też innego Zawickiego. Na początku było małe nieporozumienie, gdyż, kiedy podszedłem do niego i przedstawiłem się, on uznał, że mamy różne nazwiska gdyż wymawiał swoje nazwisko jako „Załiki” a ja – Zawicki. Był to chemik i jak się okazało (jakiś czas korespondowaliśmy z jego mamą), jego przodkowie pochodzili z tych samych okolic Polski. z których pochodzili moi dziadkowie i mój ojciec (Stara Ruda w Wielkopolsce). W latach 1900. przebiegała tam granica zaborów rosyjskiego i pruskiego. W książce telefonicznej miasta Cleveland, Zawickich było kilkunastu. Podobnie w N. Yorku i Chicago, a w całych Stanach Zjednoczonych – ponad 50-ciu, znacznie więcej niż wtedy w Polsce.

Jak wspominałem poprzednio, kilka miesięcy przed okresem wakacyjnym zaprosiłem do siebie (do Cleveland) żonę i syna, Marka. Początkowo wielomiesięczne starania o uzyskanie paszportu były bezowocne, ale i tym razem profesor Nałęcz pomógł swoim talentem w otrzymaniu paszportu. Ania nieraz wspomina przebieg podróży do Ameryki. Odlot samolotu z Okęcia przez Frankfurt do Nowego Jorku był zaplanowany na godz. 14:00. Z powodu przylotu tego dnia do Polski papieża, na lotnisko pasażerowie musieli się stawić przed godz 5:00. Tak, przed piątą rano. O samej podróży z dzieckiem moja żona może opowiadać długo. Warto tu jednak wspomnieć o naszej wakacyjnej turystyce po Ameryce. Zwiedzaliśmy m.in: Waszyngton, na Florydzie Centrum Kosmiczne Kennedy’ego, ze względu na Marka byliśmy wiele godzin w Disney Worldzie w Orlando, bywaliśmy na [Daytona Beach](#).

Nie zapomnę nigdy naszego powrotu (Datsunem), autostradą z Florydy. Złapał nas w drodze tropikalny deszcz. Nie było widać ani pojazdów, ani drogi, ani przed, ani za nami, ani z lewej, ani z prawej. Dokoła wodna zasłona. Jadę w ciemno. Zatrzymanie się groziło katastrofą ze względu na to, że nie było niemal żadnej widoczności na autostradzie. Nie wiem jak długo, może ponad pięć minut a może znacznie dłużej to trwało. Wydawało mi się, że bardzo długo. To cud, że ocaleliśmy!

Drugą ciekawą, ale nie niebezpieczną, sytuację miałem w Waszyngtonie. Po zwiedzeniu miasta wracaliśmy na kamping na obrzeżu miasta. Było już ciemno, słabe oświetlenie ulic, nie wiadomo gdzie się zatrzymać. Kompletnie straciłem orientację, nie wiedziałem gdzie jesteśmy. Zagubiony, jadę jednak, wolno (może nadarzy się okazja zapytania kogoś o drogę?) i oto nagle... widzę, że wjeżdżamy na teren naszego kempingu.

Po półtorarocznym pobycie w Cleveland, zaopatrzonej przez prof. Nose w odpowiednie zaświadczenie o odbyciu stażu naukowego w Cleveland Clinic, w końcu września 1980 r. powróciłem już do innej Polski. Kraj żył Solidarnością. Po powrocie z USA wykorzystałem swoją wiedzę tam zdobytą (uznano, że miałem wystarczający wkład publikacyjny)

w nowej dziedzinie i zachęte profesora Nałęcz, do napisania i obrony pracy habilitacyjnej.



Prof. Nose wręcza dyplom potwierdzający odbycie przeze mnie stażu w Educational Foundation of the Cleveland Clinic

Ciekawa i różnorodna tematyka pracy, stopnie naukowe, ładna nazwa miejsca pracy (z cybernetyką), stosunkowo liczne 1 do 2-tygodniowe wyjazdy zagraniczne w ramach wymiany między instytucjami o pokrewnej tematyce lub na konferencje, głównie do KDL-ów (t.j. tzw. Krajów Demokracji Ludowej), a w moim przypadku nawet na Zachód i przyjazna atmosfera w pracy to były cenne wartości. Jednakże w Instytucie o ładnej nazwie (IBIB PAN) wysokość wynagrodzenia nie zapowiadała uzyskania w przyszłości godziwej emerytury.

W Politechnice Radomskiej było zapotrzebowanie na samodzielnego pracownika nauki. Za poradą byłego dziekana wydziału na Politechnice Radomskiej i przyjaciela ze studiów – Zygmunta Warsz, zgłosiłem się do konkursu, który pozytywnie przeszedłem i zostałem zatrudniony w charakterze nauczyciela akademickiego na stanowisku profesora nadzwyczajnego (naukowo-dydaktycznego) w Politechnice Radomskiej im. K. Pułaskiego w Radomiu (Zakład Inżynierii Pomiarów, Instytut Automatyki i Elektroniki Transportu na Wydziale Transportu). Miałem również propozycję pracy na uczelni bardziej odległej od Warszawy niż Radom, ale, jak wiadomo z Wytrzymałość materiałów: „czas nie podlega prawu Hook’a”. Źródło cytatu: Prof. Bolesław Mayzel.

Do Radomia jeździłem od 1997, co dwa tygodnie – na sobotę i niedzielę. Nie kolidowało to zatem czasowo z pracą w Instytucie w Warszawie. Jedynie dojazdy pociągiem z Dworca Centralnego w okresach zimowych nie były miłe. W Politechnice Radomskiej wykładałem przedmioty: Technika Pomiarowa, Podstawy Metrologii, Miernictwo Elektroniczne, a od marca 2000 r. Biopomiary i Przetworniki biomedyczne. Ponadto zorganizowałem tam laboratorium miernictwa inżynierii biomedycznej.



Politechnika Radomska. Jubileusz 45-lecia

W Politechnice Radomskiej byłem zatrudniony ponad 8 lat. Doświadczyłem tam wiele życzliwości w dobrej atmosferze, zarówno ze strony kierownictwa uczelni, wydziału, instytutu, całego grona nauczycielskiego/profesorowskiego, jak również ze strony innych zatrudnionych tam osób i studentów. Pracę w Radomiu zakończyłem na własną prośbę w 2006 r. z powodu moich problemów zdrowotnych. W IBIB PAN pracowałem w dalszym ciągu, aż do emerytury.

Od czasu rozpoczęcia mojej pracy w Zakładzie Elektrotechniki PAN w 1958 r. aż do czasu mojego przejścia na emeryturę w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej w kwietniu 2009 r. pracowałem w towarzystwie Władka Torbicza i pod kierownictwem Profesora Nałęcza. W naszym Instytucie i we wcześniejszych jego okresach pracowały z nami jeszcze inne osoby z naszego roku – Kazik Malanowski, Janusz Migdalski i Janka Wiśniewska (Czerniakowska). Pozostał tam już tylko Władek.



Pożegnanie z IBIB PAN

27. Studentci I roku Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, wrzesień 1953 rok

Abramczyk Stanisław, Adamczyk Janusz – Wiesław, Aleksandrowicz Jan, Antonik Jerzy – Zbigniew, Anusik Stefan, Augustyńska Danuta, Baranowski Witold, Bartoszczuk Waclaw, Berczyński Józef, Bielec Jan, Bissaga Juliusz, Biziorek Stanisław, Bobiński Wojciech, Bogdanowicz Zdzisław, Bogucki Jerzy, Borensztejn Jerzy (później Borecki), Bronicz Alfred, Brzozowski Wiktor, Busłowicz Jerzy, Butkiewicz Bogusław, Chodziński Kazimierz – Jan, Chwaliński Stanisław, Cieśliński Tadeusz, Cmoluch Zofia (później Majerowska), Dorobkówna Barbara – Maria, Dudkowski Franciszek, Dymidziuk Hanna (później Wieczoryńska Barbara), Dyoniziak Danuta – Łucjana, Gac Zdzisław, Gadaliński Andrzej – Jerzy, Gaska Ryszard, Gładcki Jerzy – Karol, Gładyś Henryk, Gochnio Zofia – Maria, Godziński Janusz – Rajmund, Gołoszewski Franciszek, Gos Jan, Grefkowicz Stanisław – Marjan, Grochala Adolf, Gruber Lidia (później Kalinowska Barbara), Gurgul Andrzej, Herman Leon – Paweł, Ilkowski Kazimierz, Ilków Adam – Edmund, Iwanowski Andrzej – Zygmunt, Jabrzeński Kazimierz – Marian, Janiszewski Ksawery, Jasiński Edward – Michał, Jaszczuk Jerzy – Jan, Jeleń Andrzej – Józef, Jędrzejczyk Sławomir, Kaniewski Jacek – Tadeusz, Kałuża Eugeniusz, Kazimierski Władysław, Kędzierski Czesław, Klocek Józef – Jan, Kłodos Janusz – Lucjan, Kmieć Andrzej – Jan, Korcz Kazimierz, Korejwo Eugeniusz – Władysław, Kowalczyk Witold – August, Krakowiak Jadwiga – Zdzisława (później Kostewicz), Kropiwnicki Andrzej – Stanisław – Tomasz, Książkowski Janusz – Stanisław, Krzemiński Edward – Stefan, Kubicz Janusz, Kumanowski Marek – Maria, Kupiec Zdzisław – Damian, Kurzela Jacek – Stanisław, Kwasięborska Maria (później Łacka), Kwiatkowski Ludwik, Lach Władysław, Langner Jerzy – Robert, Lelito Jan, Łacki Leszek – Jan, Łysuniak Leopold, Maciejewski Zygmunt – Piotr, Macierewicz Jacek – Jerzy – Bogdan, Majewski Tadeusz – Marian, Maksymiuk Mirosław, Malanowski Kazimierz – Dariusz – Konstanty, Malewski Ryszard – Andrzej, Malon Stefan, Marti Antonio, Matuszewski Stefan – Jan, Meller Barbara (później Bolkowska), Merle Andrzej – Aleksander, Migdalski Janusz – Władysław, Miller Sylwester, Misztal Barbara – Halina, Młynarczyk Nikodem, Mońko Rajmund, Mówiński Stanisław – Franciszek, Mroczek Jerzy – Leopold, Niepokulczycki, Tadeusz – Józef, Nowak Antoni, Okrasa Ewa – Zofia (później Torzecka), Olbryś Kazimierz, Osiecki Andrzej – Julian, Piątek Waldemar, Pieczykolan Tadeusz – Henryk, Plaskota Tadeusz, Podwapiński Bolesław – Adam, Proga Witold – Antoni, Pyż Zdzisław – Józef, Raczyński Marian, Radzikowski Henryk – Odon, Resiak Czesław, Rudnicki Wiesław, Rusiniak Bogdan – Stefan, Ryszczyk Waldemar – Karol, Ryszka Andrzej, Sawicki Janusz – Jan,

Sawicki Tadeusz, Sidorowicz Jerzy – Franciszek, Siek Eugeniusz – Jan, Skoczylas Wojciech – Józef, Skowrońska Bożena – Teresa (później Łochowska), Snopczyński Szymon – Janusz, Sobuś Henryk, Stasiak Włodzimierz – Mirosław, Stefańska Wacława – Wanda, Stencki Tadeusz – Jan, Sterna Zdzisław – Edmund, Strzyżewski Janusz – Jerzy, Szmidel Włodzimierz, Szulgowicz Damiana, Szustkiewicz Wiesława (później Borkowska), Śliwiński Wojciech – Jerzy, Świech – Świechowski Michał – Franciszek, Świdorski Jerzy, Torbicz Władysław, Trębacki, Stanisław – Antoni, Turzyński Leon – Jerzy, Twardowski Edmund – Tadeusz, Tyburska Zofia, Uchański Janusz – Stanisław, Warsza Zygmunt – Lech, Waśniewski Eugeniusz, Wawer Zbigniew – Ignacy, Wieromiejczyk Szymon, Wilczyński Teodor – Michał, Winiarski Włodzimierz, Winiszewski Jan, Wiśniewski Jerzy – Sławomir, Włodarczyk Robert, Wojdowicz Eugeniusz, Wojtanowski Stanisław, Woźniak Leszek, Wójcik Leszek, Wójcik Stefan, Zadora Andrzej, Zadura Piotr, Zajączkowski Jan, Zajdel Mirosław – Tadeusz, Zakrent Andrzej, Zapalska Anna – Maria, Zawicki Ignacy – Józef, Zieliński Bolesław – Maria, Zwierz Zbigniew – Andrzej, Żmigrodzki Jerzy – Andrzej, Żukowski Feliks – Stanisław Kostka – Marcin, Żukowski Jerzy, Żurawski Czesław – Łącznie 153 studentów.

28. Osoby wymienione we wspomnieniach

Koleżanki i Koledzy Elektrycy – oprócz autorów Okruchów

Jerzy Antonik, Stefan Anusik, Waclaw Bartoszczuk, Józef Berczyński, Jan Biel, Wojciech Bobiński, Zdzisław Bogdanowicz, Jerzy Bogucki, Jerzy Borensztajn/Borecki, Samuel Brojdo, Alfred Bronicz, Jerzy Busłowicz, Chan Cho-Dżin, Chan Fil-Jun, Stanisław Chwaliński, Tadeusz Cieśliński, Zofia Cmoluch/Majerowska, Janina Czerniakowska/Wiśniewska, Jan Danielewski, Franciszek Dudkowski, Jan Figura, Zenon Fiuczek/Czarnecki, Zdzisław Gac, Andrzej Gadaliński, Go Gum-Sok, Zofia Gochnio, Stanisław Grefkowicz, Czesław Krzeczyński, Andrzej Gurgul, Edward Jasiński, Józef Klocek, Jerzy Kociołkowski, Eugeniusz Korejwo, Jerzy Kossowski, Andrzej Kropiwnicki, Edward Krzemiński, Janusz Księżpolski, Janusz Kubicz, Zdzisław Kupiec, Jacek Kurzeja, Władysław Lach, Jan Lelito, Zygmunt Łojszczyk, Zygmunt Maciejewski, Stefan Malon, Antonio Marti, Stefan Matuszewski, Roman Mazurek, Janusz Migdalski, Sylwester Miller, Barbara Misztal, Rajmund Mońko, Stanisław Mówiński, Ewa Okrasa/Torzecka, Tadeusz Orłowski, Tadeusz Pieczykolan, Bolesław Podwapiński, Witold Proga, Zdzisław Pyż, Henryk Radziszewski, Czesław Resiak, Andrzej Ryszka, Janusz Sawicki, Jerzy Sidorowicz, Wojciech Skoczylas, Bożena Skowrońska/Łochowska, Szymon Snopczyński, Henryk Sobuś, Włodzimierz Szmidem, Tadeusz Stęcki, Andrzej Syrczyński, Wiesława Szustkiewicz/Borkowska, Leon Turzyński, Tadeusz Twardowski, Zofia Tyburska, Zygmunt Warsza, Jan Wasiak, Zbigniew Wawer, Szymon Wieromiejczyk, Włodzimierz Winiarski, Robert Włodarczyk, Stanisław Wojtanowski, Stanisław Woronowicz, Leszek Woźniak, Stefan Wójcik, Jerzy Wrzesiński, Andrzej Zadora, Piotr Zadura, Jan Zajączkowski, Mirosław Zajdel, Jerzy Żmigrodzki, Jerzy Żukowski – łącznie 92 osoby.

Nasi Nauczyciele – Profesorowie i Wykładowcy

Aleksander Berler, Tadeusz Cholewicki, Zygmunt Figurzyński, Zdzisław Grunwald, Roman Hampel, Janusz Lech Jakubowski, Tadeusz Kahl, Henryk Knabe, Stanisław Kocjan, Kazimierz Kolbiński, Stanisław Kończykowski, Witold Kotowski, Jerzy Kryński, Kazimierz Kwiatkowski, Jerzy Lando, Władysław Latek, Stefan Lebson, Karolina Leibler, Bolesław Mayzel, Marian Mazur, Czesław Mejro, Paweł Nowacki, Tadeusz Oleszyński, Henryk Ryżko, Tadeusz Schwartz, Szczepan Szczeniowski,

Witold Szuman, Kazimierz **Zarankiewicz**, Józef **Żydanowicz** łącznie 29 osób.

Nasi Asystenci

Andrzej **Au**, Jerzy **Bąk**, Stanisław **Bolkowski**, Stanisław **Dominko**, Roman Michał **Dyląg**, Andrzej **Horodecki**, Tadeusz **Kaczorek**, Bolesław Kartaszyński, Ryszard Krawczyński, Jerzy Królikowski, Damazy **Laudyn**, Zdzisław Labiedź, Janusz **Maksiejewski**, Jan Maksymiuk, Ryszard Matla, Ryszard Matusiak, Maciej Nałęcz, Marian **Namiotkiewicz**, Ludwik Nowakowski, Stanisław Niemira, Bożena **Puchalska – Hibner**, Tadeusz Prokopiuk, Janusz **Rakowski**, Saturnina **Woszczerowicz**, Włodzimierz **Zych** – łącznie 25 osób.

Spis treści.

Przedmowa	3
1. Stanisław Abramczyk, Obrazki z mojego życia trudem malowane	5
2. Janusz Wiesław Adamczyk, Szczęściarz	13
3. Jan Bielec, Radość i powaga życia	24
4. Barbara Bolkowska (Meller), Takie były początki	38
5. Jerzy Dąbrowski, Elektroenergetyka z żeglarskim hobby	52
6. Ryszard Gąska, Trudny zawód inżyniera elektryka w mieście rodzinnym	74
7. Henryk Gładyś, Blaski i cienie mojego życia studenckiego, zawodowego i społecznego	88
8. Adolf Grochala, Refleksje	99
9. Sławomir Jędrzejczyk, Wspomnienia z głowy, czyli z niczego	126
10. Kazimierz Ilkowski, Okruchy wspomnień	133
11. Jacek Tadeusz Kaniewski, Moje życie z atomami w tle	141
12. Andrzej Kmieć, Wspomnienia i myśli nie całkiem uporządkowane	171
13. Kazimierz Korcz, Przedsięwzięcia licencyjne w polskim przemyśle podzespołów elektronicznych	202
14. Maria Łącka, Wsiąść do pociągu byle jakiego	214
15. Tadeusz Majewski, A prowadził mnie palec Boży	232
16. Kazimierz Malanowski, Od elektrotechniki do matematyki	267
17. Ryszard Malewski, Elektrotechnika widziana z Polski i Kanady	285

18. Andrzej Merle, „Zabawowa” młodość i poważna dojrzałość elektryka	323
19. Tadeusz Niepokulczycki, Trochę o latach młodzińskich i późniejszych	343
20. Janusz Strzyżewski, Pracowita młodość i urozmaicone życie zawodowe elektryka	348
21. Wojciech Śliwiński, Moja przygoda z elektrotechniką i nie tylko	366
22. Michał Świechowski, Elektryk w służbie wynalazczości i ochrony własności przemysłowej w Polsce	400
23. Janusz Tomicki, Życie niezależnego elektryka w trudnych czasach	408
24. Władysław Torbicz, Moja droga zawodowa z przygodami	421
25. Leszek Wójcik, Moje stopklatki ze studiów i trochę dalszego życia	457
26. Ignacy Zawicki, Nie tylko miernictwo	474
27. Studentci I roku Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, wrzesień 1953 rok	499
28. Osoby wymienione we wspomnieniach	501
Spis treści	503



Zjazd Absolwentów
Warszawa IBIB PAN 21.09.2013

ISBN 978-83-934966-1-7



9 788393 496617